

BERNARD SINGER

BIBLIOTEKA " KULTURY " Tom LXXVIII

OD WITOSA DO SŁAWKA

*Pamięci Syna mego Nachuma
Barucha, który zginął pod Tobru-
kiem, poświęcam tę książkę.*

Biblioteka IHUW

1076007749

IMPRIME EN FRANCE

INSTITUT

Editenr: mSTITUT LITTERAIRK, S.AHL., 91, ayenne de Poissy, Mesnil-le-Roi par MAISONS-LAFFITTE (S.-
et-O.)

LITERACKI

PARYŻ

1962

SŁOWO WSTĘPNE

Warszawskiego

inwentarza-

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, SJUUL, 1962

Książka niniejsza jest wyborem artykułów drukowanych w „Naszym Przeglądzie” w latach 1926-1939. Nie często się zdarza, aby kronika pisana z dnia na dzień na użytek codziennego pisma zachowała po czterdziestu latach taką świeżość i stanowiła równie pasjonującą chociaż smutną lekturę. Po wielkich dziennikarzach XIX wieku w naszej pamięci pozostały tylko ich dowcipy i *bo:i-tades*. Nie znaczy to, aby w kronikach Bernarda Singera brakło dobrych dowcipów, ale nie to jest w nich najistotniejsze. Notowane w nich na przestrzeni trzynastu lat wrażenia i refleksje składają się na uderzającą całość, oświetlającą pewien mniej znany aspekt dwudziestolecia.

Z autorem tej książki chodziliśmy przez kilka lat razem do sejmu, byliśmy świadkami tych samych wypadków. Szczęśliwszy od niego, nie musiałem o nich pisać. Porównując dziś moje wspomnienia z kroniką Singera, widzę od razu, o czym cenzura nie pozwoliła mu mówić. Brak w niej przede wszystkim faktów stanowiących ramy historyczne jego relacji. Po czterdziestu latach fakty te nie dadzą się odtworzyć z pamięci i ustalenie ich trzeba zostawić historykom. Niemniej wydaje mi się, że kronika Singera da się użytecznie uzupełnić przez krótki przegląd głównych przesłanek sytuacji, w której rozpoczął się zmierzch polskiego parlamentaryzmu, i temu celowi służyć ma niniejszy wstęp.

Nie jest przesadą mówić, że kronika Singera odsłania mniej znane aspekty dwudziestolecia. Wszyscy wprawdzie słyszeli o walce Piłsudskiego z sejmem. Walka ta jednak toczyła się na zamkniętym ringu przy bardzo nielicznej publiczności, prasa zaś była skre-

powana cenzurą. Przypominam tu sobie rozmowę na ten temat z marszałkiem sejmu Ignacym Daszyńskim. Było to w początku procesu Gabriela Czechowicza, ministra Skarbu postawionego przez sejm w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu za wydatkowanie z funduszy budżetowych ośmiu milionów złotych na propagandę wyborczą bezpartyjnego Bloku współpracy z rządem. Mówiliśmy o tym, ile osób, poza sejmem i jego nielicznymi gośćmi, zdaje sobie sprawę, w jaki sposób do tego procesu doszło i o co w nim właściwie chodzi. Wszystko zdawało się wskazywać, że liczba ich nie przekracza kilkuset, w najlepszym razie kilku tysięcy osób. Polska przeżywała wówczas krótkie dni swej *prosperity* i nikt nie miał ochoty zajmować się rozprawą przed Trybunałem Stanu, jakkolwiek chodziło w niej o sprawę zasadniczą czy, tak lub nie, płacący podatki mają prawo wglądu w dysponowanie pochodzącymi z tego źródła funduszami. Prawa tego nie negowali nawet monarchowie absolutni, którzy posiadali własne źródła dochodów lecz, gdy chodziło o daniny publiczne, odwoływali się do stanów. Obojętność Polaków była zapewne pozostałością

po czasach, kiedy zaborcy nie pytali ich o zgodę na płacenie podatków.

Do podobnych wniosków prowadzi lektura obecnych memo-rialistów i wspominkarzy, u których na próżno szukamy oświelenia sporu między Piłsudskim i sejmem. Nikt na pozór nie podejrzewa, że dla przyszłego historyka jednym z głównych aspektów dwudziestolecia będzie być może polska wersja powszechnego wówczas na całym kontynencie konfliktu między różnymi koncepcjami władzy.

"Wobec przemian wywołanych przez wojnę światową i wynikłych stąd trudności, wszędzie zaczęto odczuwać potrzebę rozszerzenia podstawy rządów i wciągnięcia do życia politycznego szerszych warstw ludności. Jedni sądzili, że właściwą do tego celu drogą jest rozszerzenie praw wyborczych i udziału ludności w rządach. Inni, idąc za nieśmiertelnym, jak się okazuje, wzorem Juliusza Cezara, sądzili, że złagodzić konflikty wewnętrzne i pociągnąć ludność do wielkich poczynań potrafi tylko genialny wódz o nieograniczonych pełnomocnictwach.

Z okresu rozbiorowego Polacy wynieśli doświadczenia, że szlachta sama nie potrafiła obronić Rzplitej, i że odzyskanie i utrzymanie niepodległości wymagać będzie wspólnego wysiłku wszystkich stanów. Na pojawienie się chłopów w sejmie patrzono jak na dalszy ciąg bitwy pod Raclawicami. Z doświadczeń tych nie wynikała jednak żadna jasna recepta. Udział chłopów w powstaniu kościuszkowskim był owocem śmiałej inicjatywy popularnego wodza. W odzyskaniu niepodległości w 1918 r. inicjatywa Piłsudskiego i I-ej Brygady wysunęła się na czoło wypadków i przesło-

8

niła inne, mniej spektakularne wysiłki. W 1920 armia sowiecka została odparta wspólnym wysiłkiem wszystkich warstw ludności. W działaniach wojennych jednak rola dowódcy wysuwa się z natury rzeczy na pierwszy plan. Dawne sejmy szlacheckie, sążone surowo przez historyków, nie zostawiły dobrej pamięci. Genialny wódz nie miał przed sobą, jak na sejmach elekcyjnych, zwartej tradycji republikańskiej. W latach pokoju okazało się, że ludność powoli tylko oswaja się z posiadaniem własnego państwa. W pamięci dorosłych instytucje państwowe były wciąż narzędziami zaborców. Pojęcia te zachowały się najdłużej na wsi. "W 1933, chcąc obejrzeć miejsce dawnej przeprawy na Wiśle naprzeciw Starego Otwocka, wybrałem się tam pieszo lewym brzegiem rzeki. Za Skolimowem wszedłem w kraj pozbawiony dróg i rzadko tylko odwiedzany przez mieszkańców bliskiej stolicy. Zmuszony do częstego pytania o drogę, byłem zdumiony życzliwością miejscowych chłopów. Każdy miał mi coś uprzejmego do powiedzenia. Dopiero dwaj młodzi chłopcy zdradzili tajemnicę tych pięknych obyczajów:

— Jeżeli pan pyta o przeprawę, jest jasne, że ucieka pan przed policją i chce przejść do innego powiatu.

Wygląda pan raczej na politycznego, ale kto to może wiedzieć? Może zabił pan ojca i matkę? Ale o to nikt pana nie będzie tu pytał. U nas jest tak: jeżeli kto ucieka przed policją, wszystko jedno z jakiego powodu, nikt go nie wyda i każdy mu pomoże się ukryć.

Nie wiem, czy policja polska zasłużyła na zaufanie ludności, ale nie o to chodzi. Faktem jest, że go nie posiadała, i że brak zaufania dzieliła z urzędem skarbowym i wielu innymi instytucjami. Wódz mógł porwać za sobą ludność do obrony kraju, ale przełamać jej nieufność, dać obywatelom złudzenie, że są współgospodarzami swego państwa, mogły tylko instytucje republikańskie i samorządowe.

Przeświadczenie to znalazło swój wyraz w taktyce sejmu. Bernard Singer wielokrotnie, i nie bez ironii, mówi o kompromisowości sejmu, o jego ustępliwości wobec Piłsudskiego i niechęci do ostrzejszych konfliktów. O taktyce tej miałem nieraz sposobność rozmawiać z przedstawicielami Centrolewu, zwłaszcza z Mieczysławem Niedziałkowskim, którego nikt dziś nie będzie pomawiał o brak odwagi i decyzji.

Unikanie konfliktów podyktowane było ^{wa8?} jaką przywódcy Centrolewu przywiązywali do instytucji republikańskich. Przy braku tradycji politycznych i obojętności ludności instytucje te mogły być zniszczone w jednej chwili, odbudowa ich wymagałaby pracy pokoleń. Przywódcy sejmu czuli się za nie odpowiedzialni i nie chcieli wystawiać ich na ryzyko. Sądzili,

że za cenę ustępstw potrafią przenieść je nietknięte przez lata krytyczne.

W latach poprzednich miałem sposobność zapoznania się z większą częścią parlamentów naszego kontynentu, zaczynając od Montecitorio sprzed zamachu Mussoliniego. Nieraz byłem świadkiem bardzo żywych debatów. Według moich wspomnień żaden z tych parlamentów nie okazał w chwilach krytycznych zimnej krwi i poczucia odpowiedzialności, jakie widziałem w sejmie polskim w latach 1926-1929.

Sejm dowiedział się jednak wkrótce, że taktyka ustępstw nie była rzeczą łatwą z graczem tak ostrym jak Piłsudski. Dowodu na to dostarczyła wzmiankowana już sprawa ośmiu milionów. W normalnym porządku rzeczy sejm mógł żądać wniesienia na tę sumę dodatkowej ustawy skarbowej, odmówić uchwalenia nowego budżetu dopóki ustawa taka nie zostanie zgłoszona, wreszcie uchwalić votum nieufności rządowi odmawiającemu wyliczenia się z sum budżetowych. Każda z tych decyzji prowadziłaby do natychmiastowego konfliktu. Dla uniknięcia go, lub przynajmniej odroczenia, sejm wybrał inną drogę. Wniósł

mianowicie skargę przeciw Czechowiczowi do Trybunału Stanu, który, nie będąc związany terminami, mógł ją rozważyć przez długie lata lub nawet znaleźć drogę do kompromisu. Trybunał nie spełnił tych nadziei. Wydał wyrok nie załatwiający niczego, nie negujący konieczności złożenia przez rząd dodatkowej ustawy skarbowej, lecz nie znajdujący winy ministra dopóki ustawa nie została złożona i odrzucona przez sejm. Sprawa wróciła więc do sejmu, jeszcze bardziej drażliwa i zaogniona.

W tej sytuacji sejm okazał się skłonny do ustępstwa skrajnego, a mianowicie do zadowolenia się w tej drażliwej dla obu stron sprawie rodzajem biernego prawa wglądu w postaci milczącego przyjęcia do wiadomości sprawozdania Najwyższej Izby Kontroli, stwierdzającego wydatkowanie ośmiu milionów złotych poza budżetem. NIK była wówczas organem sejmu, sprawozdanie jej było wydrukowane i miało być wręczone posłom przed końcem sesji budżetowej.

Gdy nadszedł umówiony dzień, prezes Izby Kontroli, profesor na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, przyniósł do sejmu wiadomość, że — dla względów, których wszyscy od razu się domyślili — nie będzie mógł złożyć sprawozdania. Widziałem go w chwilę potem na korytarzu sejmowym. Stał „jak Akteon błądy”, zmieszany, nie wiedząc co z sobą zrobić pod pytającymi spojrzeniami posłów. Kto widział takie sceny, czyta potem z większym zrozumieniem rzeczy historię Juliusza Cezara i obu Napoleonów.

10

Stało się jasne, że Piłsudski nie dążył do kompromisu, lecz do kapitulacji sejmu. Żądał odeń ni mniej ni więcej tylko zrzeczenia się najistotniejszych uprawnień, będących racją bytu parlamentu.

Nieprzejednana postawa Piłsudskiego była zjawiskiem złożonym, posiadającym kilka aspektów. Wynikała przede wszystkim z samego założenia władzy, opartej na autorytecie jednego człowieka, który nie mógł tolerować obok siebie innego autorytetu, opartego na zdaniu większości. Nie tłumaczy to jednak wszystkiego. Sejm zgodził się czasowo na rolę instytucji legalizującej decyzje Piłsudskiego. Skąd więc jego wrogość i nietolerancja? Przyczyn jej szukać należy być może w rewolucyjnej przeszłości Piłsudskiego. Rewolucje i powstania nie mogą się obyć bez wodzów i były zawsze głównym źródłem cezaryzmu. W pojęciach rewolucjonistów XIX wieku autorytet wodzów miał jednak swój kres, był zjawiskiem tymczasowym, ważnym do chwili zebrania się zgromadzenia konstytucyjnego. Zwołanie konstytuandy było ostatecznym celem działalności rewolucyjnej, końcem czasów jak sąd ostateczny lub wielki strajk generalny, mający dać początek społeczeństwu bez-klasowemu. Był to wielki mit, którego być może nikt sobie konkretnie nie wyobrażał. Piłsudski przeżył jego spełnienie się i zamiast mitycznego sejmu konstytucyjnego, którego samo zwołanie miało być rozstrzygnięciem wszystkich zagadnień, zobaczył przed sobą zgromadzenie ludzi żywych, z ich ludzkimi przywarami, walczących, często niedołącznie, z piętrzącymi się trudnościami. W porównaniu z na pół oderwanym, romantycznym ideałem paru pokoleń rewolucjonistów, obraz ten mógł mieć w sobie coś gorszego, być może nawet bluźnierczego. Przeżycia te zdają się być jednym ze źródeł odrazy, niecierpliwości i zarazem nieporadności Piłsudskiego wobec sejmu.

Takie były główne dane i założenia sytuacji, której dalszy rozwój opisuje kronika Bernarda Singera. Czy taktyka ugodowa sejmu była błędną, jak by się mogło wydawać z jej wyników? Patrząc dziś z oddalenia, mamy więcej danych do jej bezstronnej oceny. Fala cezaryzmu zmyła kolejno wszystkie prawie parlamenty naszego kontynentu. Taktyka ich była rozmaita. Jedne broniły się rozpaczliwie, inne kapitulowały bez słów, inne wreszcie wychodziły same na poszukiwanie wodzów, aby złożyć na ich ręce pełnomocnictwa otrzymane od wyborców. Wszystkie metody okazały się równie zawodne.

Taktyka sejmu zdawała się zrazu mieć pewne szansę. *Historia arcana* dwudziestolecia zanotuje zapewne fakt, że nawet w łonie Bezpartyjnego Bloku, mającego odgrywać w sejmie rolę konia trojańskiego lub, jak się dziś mówi, piątej kolumny, byli też zwolennicy legalności i parlamentaryzmu. Taktyka ugodowa Centro-

11

lewu przekonała ich, że kompromis z sejmem jest możliwy i że do dalszej wojny nie ma powodu. Liczba ich wzrastała i w pewnej chwili w łonie Bloku znalazła się większość, gotowa następnego dnia złożyć Sławka z przewodnictwa klubu i wybrać na jego miejsce ogólnie szanowanego profesora konserwatywnych poglądów. W przeddzień tej operacji pobożni spiskowcy zgłosili się do prof. Bar-tła, wówczas prezesa Rady Ministrów, aby zawiadomić go o swych planach i porozumieć się z nim co do dalszej taktyki. Szef rządu nie bez trudu zdołał odwieść posłów od ich zamiaru.

Z książki Singera dowiadujemy się, że wspomnienie sejmu broniącego swych praw ściagało jeszcze przez dłuższy czas późniejsze sejmy posłuszne. Okrojone w swych prawach, wybierane nie tyle przez obywateli co przez administrację, sejmy te trawione były przez kompleks niższości. Sam nawet twórca nowej konstytucji, Stanisław Car, gdy został marszałkiem sejmu, nie mógł się pogodzić z praktyką udzielania rządowi

pełnomocnictw *in blanco*.

Jedna z kronik sejmowych Bernarda Singera nosi tytuł „Smutne opowiadanie”. Słowa te mogłyby służyć za ogólny tytuł całej drugiej połowy książki. Stojący na ruinach sejmu kronikarz opisuje widoczne z jego punktu obserwacyjnego obniżanie się poziomu obyczajów politycznych, upadek prasy, dezorientację opinii i wynikłe stąd próby naśladowania wzorów hitlerowskich.

Kłęska i degradacja sejmu przyczyniły się bez wątpienia do tego posępnego procesu, ale nie były jego jedyną przyczyną. Wkrótce potem bowiem wystąpiły pierwsze objawy kłęski systemu opartego na autorytecie wodza.

Słabość pozycji sejmu w walce z Piłsudskim wynikała w znacznej mierze z listy spraw nie załatwionych przez rządy parlamentarne. Rządy te położyły wielkie zasługi w odbudowie kraju zniszczonego przez wojnę, w scaleniu dawnych zaborów i względnym uporządkowaniu spraw gospodarczych, mniej szczęśliwą rękę miały natomiast w sprawach politycznych.

Wciągnięcie do życia politycznego ludności polskiej kraju posuwało się powoli i nastęczało trudności, wynikające w znacznej mierze z braku samorządu, tej najlepszej szkoły demokracji. Nierównie trudniejszą sprawą było włączenie do życia politycznego mniejszości narodowych. Ile ich było? Statystyka polska nie mogła się ich doliczyć. O ich potencjalnej sile politycznej daje pojęcie statystyka wyborów 1922, podczas których mniejszości posiadały wspólną listę. W wyborach tych na listy polskie głosowało tylko 62% wyborców. Brak jakiegokolwiek *modus vivendi* z mniejszościami kresów wschodnich hamował próby wprowadzenia samorządu. W rezultacie ludność tych kresów nie korzystała nawet z tych uprawnień, jakie w czasach carskich dawało jej *ziem-*

12

stwo. Zaniedbanie i ubóstwo kresów stwarzało liczną grupę ludności gospodarczo biernej, ciężącej na rozwoju gospodarczym reszty kraju. Opanowanie tej sytuacji wymagało zawarcia z mniejszościami paktów, przyznających im pewien udział w życiu gospodarczym i politycznym kraju. Nawet program polonizacji i asymilacji mniejszości nie dawał się przeprowadzić przy pomocy dra-gonad i represji, o czym Polacy z własnego doświadczenia mogli najlepiej wiedzieć. Ówczesne pojęcia o państwie narodowym nie dostarczały do tych spraw żadnego klucza. Nie pozostawało więc nic innego jak liczyć na geniusz polityczny wodza. W obliczu podobnych trudności senat rzymski zaufał geniuszowi Sulli, wyposażając go w pełnomocnictwa dyktatorialne.

Zaniedbanie tych spraw przez rządy parlamentarne sprawiło, że skromne resztki kredytu, jakie pozostawiła po sobie Rzplita Jagiellońska, przypadły w udziale nie sejmowi lecz Piłsudskiemu. Wiązały się z nim różne, nie tylko polskie, nadzieje. W 1927, np. postyszałem w Paryżu od starego działacza żydowskiego z Petersburga, że i tam liczono na Piłsudskiego. Już wówczas obawiano się w Rosji nowej fali antysemityzmu i przypuszczano, że w razie prześladowań Żydzi będą szukali tymczasowego azylu w Polsce. Zdaniem mego rozmówcy tylko Piłsudski mógł opanować mogące powstać stąd w Polsce trudności. Jesienią 1920, po podpisaniu rozejmu z rządem sowieckim, spotkałem Czerwiakowa, prezesa rewkomu mińskiego i późniejszego prezydenta Republiki Białoruskiej, zmarłego śmiercią samobójczą w 1936.

— Straszny jest los kraju — mówił Czerwiakow — podzielonego na dwie rzęści pilnie strzeżoną granicą. Ale i ta sytuacja rokuje¹ pewne nadzieje, bo Moskwa nie będzie nam mogła odmówić swobód, jakie Polacy przyznają nam na swoim skrawku Białorusi.

Nadzieje związane z autorytetem i nieograniczoną swobodą działania wodza zaczęły się kruszyć w niedługim czasie po kłęsce sejmu. Zdumiewająca jest łatwość, z jaką wodzowie, w odróżnieniu od zwykłych śmiertelników, wchodzą na drogi, z których nie ma odwrotu. Zmusza to ich potem do skupiania uwagi na środkach utrzymania się przy władzy, której w trybie pokojowym już zrzec się nie mogą.

W dziedzinie spraw narodowościowych pacyfikacja Galicji była takim krokiem niepowrotnym, przesądzającym o losach kresów wschodnich. Wpływy polskie nie przestały się tam odtąd cofać, aby ograniczyć się wreszcie, zwłaszcza w zasięgu działania wszechwładnego Korpusu Ochrony Pogranicza, do czystej okupacji wojskowej. Było jasne, że kresy wschodnie odpadną od Polski przy pierwszym wstrząsie. W ostatnich latach przedwojennych żegnałem się z nimi kilkakrotnie, myśląc za każdym razem, że widzę je

13

po raz ostatni. Pacyfikacja Galicji była oczywistym dowodem, że na nieunikniony już odtąd proces odpadania kresów wschodnich wódz nie ma również żadnej recepty.

Drugim krokiem niepowrotnym było uwięzienie posłów w Brześciu. Motywy jego nie są jasne, bo nastąpił już po faktycznym zwycięstwie nad sejmem. Skutki jego natomiast były nieobliczalne. W braku jawnej opozycji sekretna dezaprobata wodza zaczęła zataczać niewidzialne kręgi, trawiąc nawet jego własne

szeregi. Nieufność i podejrzliwość wodza, nieodstępne towarzyski rządów personalnych, rozciągnęły się nawet na mianowane przezeń rządy, zmieniane wciąż jak gdyby w obawie, że mogą stworzyć jakiś konkurencyjny ośrodek władzy. Aprobata Brześcia stała się warunkiem, wymaganym od kandydatów na stanowisko ministra. W doborach według tego kryterium gabinetach więcej było ministrów oddanych niż kompetentnych. Lista spraw niezłatwionych przedłużała się w nieskończoność

W braku wolności dyskusji i prasy wiadomości o niepowodzeniach rządów przenikały powoli do świadomości obywateli, szerząc zniechęcenie i demoralizację. Kronika Bernarda Singera jest niezrównanym przewodnikiem po wszystkich stopniach i odcieniach degradacji ówczesnego życia politycznego.

Sprawozdania sejmowe Singera odbiegają od klasycznych wzorów kroniki parlamentarnej. Na Zachodzie jest to przeważnie rodzaj lekkiej. W kuluarach parlamentu dziennikarz zbiera codzienne żniwo barwnych anegdot, dowcipów, komentarzy protagonistów, pogłosek i plotek. Materiał ten, ujęty w krótkie paragrafy, znajdujemy w kronikach parlamentarnych francuskich. Skrepowany przez cenzurę, Singer mógł zeń tylko bardzo oględnie korzystać. Dzięki temu jego kroniki, nie rozpraszając się wśród efemerycznych szczegółów, oddają lepiej główny nurt obserwowanych procesów.

Cenzura jest też szkołą pisania. "W rękach wychowanego w niej dziennikarza niedopowiedzenie staje się bronią niebezpieczną. Singer zresztą nie wyzywał cenzury, wymykał się raczej z jej rąk. Być może dlatego, że jego pismo było przeznaczone przede wszystkim dla czytelników żydowskich, przed którymi skądinąd trudno już było coś ukryć, pozwalano mu pisać trochę więcej niż innym.

Dla czytelników obecnych skreślenia dokonane przez cenzurę są rodzajem urzędowego zaświadczenia, że pozostały po tej operacji tekst Singera nie jest pamfletem lub karykaturą, lecz portretem, do którego sejmy i rządy pozowały same, bez zastrzeżeń.

Nie wiem, czy jeszcze komuś udało się wytrwać tak długo na stanowisku sprawozdawcy sejmowego.

Pogodne usposobienie broniło Singera od grożącej na tym posterunku gorzkości i mizantropii. Gdy to nie wystarczało, uciekał się do lekkiej ironii. Styl

14

jego jest równy, utrzymany w tonie majorowym. Zważywszy naturę omawianych spraw, na szczególną uwagę zasługuje mistrzowsko utrzymana równowaga światła i cienia. i j • i. Nie zawsze mogąc pisać o sprawach, pisze często o ludziach. W kronikach jego znajdujemy kilkanaście sylwetek wybitnych osobistości tego okresu. Przeważnie trafne, portrety te zdradzają pe-wie ujmujący rys autora. Nie sądząc ich i nie broniąc, Singer patrzy życzliwie na mijające postacie. Jest rad, gdy może o nich powiedzieć coś dobrego. Ilekroć np. wymienia nazwisko Stanisława Cara notuje zawsze z przyjemnością, że b. minister Sprawiedliwości utracił swą tekę nie mogąc się zdobyć na aprobatę Brześcia. Rys ten zbliża czytelnika do autora i budzi zaufanie do jego sądu i informacji.

Paweł HOSTOWIEC

15

PRZEDMOWA

Klub sprawozdawców parlamentarnych był moim punktem obserwacyjnym od daty powstania sejmu polskiego tzn. od r. 1919. Założycielem tego klubu był Władysław Bazylewski, sprawozdawca dziennikarski w parlamencie wiedeńskim. Wywalczył u władz sejmowych lokal, lożę prasową, duży stół w bufecie sejmowym, dostęp do doskonale zaopatrzonej w książki i pisma biblioteki sejmowej. Z biegiem czasu wydobył on od ministerstwa komunikacji osiem rocznych bezpłatnych biletów kolejowych pierwszej klasy. Dziennikarze mieli więc możliwość zwiedzania kraju, zebrań i zgromadzeń publicznych po wsiach i miasteczkach.

Do lokalu klubu sprawozdawców parlamentarnych zgłaszali się desygnowani premierzy, ministrowie, prezesi klubów. Tu targowali się posłowie o rozmiary swoich przemówień w gazecie.

Stół dziennikarski w bufecie skupiał wybitniejszych posłów, dygnitarzy. Była to kuźnia wiadomości i plotek. Klub był wzywany na konferencje prasowe w ministerstwach i urzędach. Nie było walk partyjnych w lokalu klubu. Zdawało się, że członkowie jego zostawiają w szatni wraz z płaszczem swe przekonania polityczne. Żydzi, Ukraińcy, Niemcy, korzystali z równych praw.

Diariusz sejmowy był zimmunizowany. Punkt obserwacyjny ^ był dobry. Klub był uprzywilejowany. A mimo to nie było całkowitej wolności prasy. Stąd też wiele niedociągnięć w obserwacjach drukowanych. Od pierwszego dnia wypadało przemycać myśli lub rzeczy widziane, a szmugiel stawał się z roku na rok coraz trudniejszy.

Obowiązywał artykuł 129 carskiego kodeksu karnego w Kongresówce. Groził on więzieniem za „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, za podniecanie jednej części ludności przeciwko

drugiej".

17

Prasa komunistyczna była nielegalna. Różni był los prasy skrajnie lewicowej. Traktowano ją często jako możliwość poznania nastrojów proletariatu. Niektóre pisma ukazywały się przez czas dłuższy, jak np. codzienne pismo frontu ludowego. Inne miały żywot krótki, oraz szereg procesów sądowych. Czasem zamykano pismo wraz z redaktorem odpowiedzialnym.

Nowa era nastąpiła po przewrocie majowym. Scharakteryzował ją właściwie oficer wojsk po stronie przewrotu majowego przy sprawowaniu służby w sejmie. Gdy sprawozdawca parlamentarny okazał mu legitymację, uprawniającą do wejścia do sejmu, ten spojrzął na książeczkę i powiedział g...

Nastąpił zwrot ku gorszemu. Nie tyle ustawa prasowa, ile praktyka utrudniały podawanie informacji, umieszczanie felietonów lub reportaży dziennikarskich.

Dziennikarze z miejsca poczuli, że bat będzie świstał w powietrzu. Miał on być wymierzony przeciwko centroprowowi, ale hulał na wszystkie strony. Zaczęła się samocenzura nim jeszcze przysłyły urzędowe zakazy.

Tak było w r. 1927, gdy znikł zwolniony z więzienia w Wilnie gen. Włodzimierz Zagórski. Został on 'zlikwidowany' dlatego, że rzekomo miał dowody kompromitujące Piłsudskiego. Wszystkie poszlaki zbrodni szły w jednym kierunku, ale nie było mowy o dokładnym reportażu, o ścisłym sprawozdaniu. Komisariat rządu, a szczególnie wydział prasowy uzurpował moc władzy. Czasem zdawało się, że stoi on ponad formalnym rządem. W komisariacie rządu np. kolportowano paszkwile przeciwko urzędującemu premierowi Eartłowi. Czyniła to grupa płk. Sławka, a jednak nikt z prasy nie miał odwagi napomknąć o tym. Reżym trzymał się zasady, że góra wojska powinna politykować, a społeczeństwo winno stać na baczność. Nie wolno było pisać rewelacji o Belwederze. Dokoła tego gmachu krążyła legenda i można było dodawać jedynie laurki. Ministerstwo spraw wojskowych i sztab generalny były nietykalne. Pod szczególną opieką cenzury była polityka zagraniczna, a szczególnie działalność min. Becka.

W r. 1930 premierem został Piłsudski. Rozwiązano sejm. Osadzono posłów w fortecy brzeskiej. Bito ich. Przeprowadzono wybory pod terrorem. Zorganizowano pacyfikacje ludności ukraińskiej w Galicji Wschodniej. W czasie tej całej procedury prasa musiała zachować milczenie. Nie było mowy o felietonach lub reportażach, opisujących pacyfikacje, bicie posłów lub stosowany terror wyborczy. O tym można było pisać jedynie później.

Pisma były bite po kieszeni przez częste konfiskaty. Toteż

18

stał się aniołem stróżem tzw. przyjacieli redakcji. Był to urzędnik komisariatu rządu, który o każdej porze dzwonił do redakcji i przestrzegał. Dawał żywność i truł ją. Opowiadał np., że we Lwowie były rozruchy, ale o tym nie należy pisać. Pytał o posiadany materiał i kwalifikował, który jest cenzuralny, a który nie nadaje się do druku. Dowiadywaliśmy się od niego dość często o różnych rozruchach, ale uprzedzał, że są one tylko do naszej prywatnej wiadomości.

Gdy przyjaciel redakcji nie dzwonił, było ile. Trudno było, samemu ocenzurować pismo. Wtedy prowincjonalne wydanie gazety skazane było z reguły na konfiskatę. Ocalało wydanie warszawskie z białymi plamami.

W r. 1934, w tajemniczych okolicznościach, został zamordowany min. spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Okazało się później, że sprawcami byli terroryści ukraińscy. Nazajutrz jednak po zabójstwie, a później nawet w czasie procesu sądowego konfiskowano wszystkie artykuły dotyczące tej sprawy. Krążyły pogłoski, że policja lwowska wiedziała o przygotowywanym zamachu, ale z niewiadomych powodów działała opieszale.

Akcja bojkotu wyborów do sejmu w r. 1935 i 38 była zakazana. Działano nie tylko przy pomocy konfiskat. Grożono pewnym pismom zamknięciem lokalu ze względu na bezpieczeństwo gmachu: a nuż sufit się zawali.

W r. 1937 wybuchł s, trajk chłopski. Padły ofiary. O całym przebiegu strajku nie wolno było pisać ani słowa. Prasa zagraniczna pisała o strajku chłopskim, o strajku solidarności pewnych miast. Warszawska prasa zmuszona była do milczenia. Ani jedna notatka nie ukazała się w czasie strajku. Nie wolno było pisać o rzeczach widzianych. Dopiero po upływie czasu zakaz ten został odwołany.

W roku 1938 wojsko paliło cerkwie prawosławne w powiecie chełmskim. Nie wolno było dawać wzmianki o akcji wojskowej. Prasa została wezwana do ministerstwa spraw wewnętrznych i pouczona jak należy ostrożnie pisać o tym wyczynie żołnierskim. Specjalną opieką otaczał komisariat rządu prasę żydowską. Wiadomości o rozruchach antyżydowskich musiały być redagowane bardzo ostrożnie. Broń Boże „pogromy”. Zwykle ukazywał się komunikat urzędowy i wszystko co odbiegało od tego tekstu ulegało konfiskacie. Czasem polityka była bardziej krętą. Gdy młodzież, działająca pod auspicjami Ozonu, <*

istotnie należąca do faszystowskiej Falangi, organizowała bojkot księgarń żydowskich na Świętokrzyskiej przez tarasowanie wejścia do sklepów, na początku nie pozwalano wskazywać na źródło akcji. Później jednak sfery urzędowe przyznawały się do

19

współdziału. Wolno było wówczas nazywać organizacje, które współdziałały w akcji bojkotowej, ale nie wolno było potępiać sprawców.

Z nakazu MSZ komisariat rządu zabronił wezwania organizacji żydowskich do bojkotu towarów niemieckich. Nie wolno było odzywać się pogardliwie o gościach hitlerowskich, którzy przyjeżdżali do Polski. Goering był osobą nietykalną

Zdarzało się, że wśród cenzorów był jakiś literat (między in. poeta Gałczyński), Wtedy łagodził lub zmieniał zdania. Gazeta godziła się na poprawki, by ocalić numer od konfiskaty. Lepiej już było, by przeglądał gazetę, niż konfiskował. Toteż gdy toczyła się dyskusja w prasie jaka pisownia powinna obowiązywać, czy Zjazdu Reyowskiego, czy Akademii Umiejętności, pisałem, że jak pisać po polsku nie decydują żadne naukowe instytucje, ale komisariat rządu.

Do dziś dnia dziwię się, jak jednak ocalały moje artykuły mimo nieustannej cenzury, ciągłych targów z komisariatem rządu. Wydaje mi się, że decydowały tu różne względy. Mówiłem z czytelnikiem niedomówieniami poprzez plecy cenzora. Wierzyłem w powszechną głupotę wszystkich cenzorów - całego świata. Ratowało mnie, że pisałem w charakterze obserwatora, a nie strony.

Używałem różnych fortelów. Czasem pisywałem na tematy zupełnie obojętne. Często jednak musiałem przerywać całkowicie pisanie na kilka tygodni i korzystać z przymusowego urlopu.

Później było coraz gorzej. Aż zamajaczyła groźba Berezki Kartuskiej. Nie powiedziano mi tego wyraźnie, ale dano do zrozumienia, że to mnie czeka. Zresztą był to już okres, kiedy wydawało się, że cała prasa prócz ozonowej przestanie istnieć.

Musiałem często rozpoczynać opowiadanie skądś z daleka, by po kilkudziesięciu wierszach wrócić do sedna rzeczy. N/c dziwnego, że w zbiorze moich felietonów jest zbyt dużo domyślni-ków, niedopowiedzeń wymagających wyjaśnień, okaleczonych spostrzeżeń, zlagodzonych uwag.

A jednak to co ocalało jest fragmentem dwudziestolecia Polski. Do dziś dnia bowiem nie silono się ani w kraju, ani zagranicą na obiektywne odzwierciedlenie przebiegu wypadków w ciągu tego okresu, jak gdyby nie istniała ta Polska, a wszystko co się o niej pisze należało do mitologii. Felietony moje są zaprzeczeniem legend i przypomnieniem czasu między wojnami. Oczywiście wolalbym, by te moje odcinki, które drukowałem w Polsce ukazały się w kraju, gdzie istnieje już pokolenie, które nic nie wie o minionych czasach. Niestety, mimo wielokrotnych wysiłków nie udało mi się uzyskać zgody władz na przedrukowanie moich felietonów.

1929

20

HBW

Konwent seniorów

Marszałek sejmu Daszyński zaprosił ministra wojny, marszałka Piłsudskiego, na uroczystość jubileuszową polskiego parlamentu. Dwa tygodnie musiał czekać na audiencję, a wreszcie gdy udało mu się porozumieć z marszałkiem Piłsudskim, otrzymał kategorię odmowę.

Marszałek Piłsudski wypowiedział już swój pogląd o parlamencie polskim w lipcu 1928 r. kiedy w wywiadzie scharakteryzował działalność trzech polskich sejmów. Nie dziw przeto, że po takiej ocenie nie chce b. szef państwa przybyć do parlamentu na uroczystość

Przygotowania do uroczystości odbywają się w ciszy, interesuje się nimi wyłącznie prezydium sejmu, bufet, który ma przygotować potrawy na raut i straż marszałkowska, która będzie mogła przywdziać nowe mundury z okazji święta parlamentu.

Wielkie plany urządzenia rautu dla posłów wszystkich trzech sejmów z udziałem ministrów wszystkich rządów spełzły na niczym. Gdyby tylko było można, obecne prezydium sejmu zrezygnowałoby w ogóle z uroczystości. Sposobność nadarzyła się z powodu żaloby w rodzinie prezydenta, raut został odwołany.

Minęły te czasy, kiedy sejm był wszystkim, a rząd jego sługą, kiedy sejm był gospodarzem kraju, a gospodarzem sejmu by on, wódarz sejmowy, poseł Witos.

Dnia 9 lutego 1919 r. otwarto sejm. 20 lutego sejm zatwierdził swoje prawa, ogłaszając, że jest jedynym suwerennym władcą w kraju. Tekst Małej Konstytucji brzmi:

23

„Sejm konstytucyjny jest suwerenną i ustawodawczą władzą w państwie. Ustawy ogłasza marszałek sejmu. Naczelnik państwa wyznacza rząd na podstawie porozumienia z sejmem. Naczelnik państwa oraz rząd są odpowiedzialni przed sejmem”.

Czyż można sobie wyobrazić szerszą władzę, niż posiadał ją sejm? Tu tworzone i uśmiercano rządy, tu mianowano wojewodów, wysokich urzędników, tu rozdzielano dostawy, tu układano na zasadzie klucza partyjnego kolejkę tych, co mają korzystać z misy państwowej.

Marszałek sejmu reprezentował władzę parlamentu, a konwent seniorów był jego ciałem doradczym — organem ustawodawczym i wykonawczym w miniaturze.

Oto jak wyglądało ongiś posiedzenie konwentu seniorów. Powolnym krokiem przechadza się stary intrygant polityczny Głębiński. Biega za nim wiecznie zdenerwowany, z twarzą w półcieniu, w czarnym habicie ksiądz Lutosławski, kroczy z zamkniętymi oczyma Dubanowicz, wysuwa się naprzód z purpurową czapczką na głowie arcybiskup Teodorowicz, maszeruje hałaśliwie chłop Stolarski z „Wyzwolenia”, posuwa się chwiejnie stały bywalec szynków Rosset z klubu mieszczańskiego, idzie w towarzystwie swego przyjaciela Steinhaus hr. Baworowski. Bawo-rowski jest przedstawicielem klubu wyrównywania różnic, pośrednictwa między lewicą, prawicą, centrum, rządem, a wśród nich kroczy on sam, prawdziwy władarz sejmu, Wincenty Witos. Skrzypi podłoga pod jego ciężkimi krokami. Nie patrzy nikomu w twarz. Idzie z przyjacielem Kiernikiem, patrzącym prawym okiem w lewą stronę i lewym okiem ku prawej. Witos wita się z odcieniem wyższości, przywołuje innych przywódców sejmu skinieniem ręki. Ruchy, chód i wzrok stalowych oczu — wszystko jest jakby wypróbowane u Witos. Koledzy z jego klubu odczytują każde jego skinienie, studiują znaczenie każdego ruchu. Kręcą się koło niego jak poddani, inteligenci klubu: Dębski, Rataj, Kosydarski.

Kto wie, może rzuci jednemu z nich kość? Tego uczyni ministrem, drugi otrzyma koncesję, tamten zostanie prezesem urzędu ziemskiego. Tylko jeden patrzy na niego z nienawiścią. To poseł Stapiński. Witos zniszczył go w Galicji, a obecnie odbiera śmietanę z misy państwowej.

Z podniesioną głową, z manierami aktora kroczy lew sejmu, trybun ludu, grający świetnie w wielkie dni parlamentarne przedstawiciela mas ludowych — to poseł Ignacy Daszyński.

Posiedzenie konwentu seniorów rozpoczęło się. Rychło wchodzi, wstrząsając długimi żółto srebrnymi włosami, Ignacy Paderewski. Zaledwie zdążył otworzyć drzwi już szybko wybiega

24

z powrotem. Potężny konwent seniorów ogłosił jego dymisję i Paderewski został usunięty. Nie pomogły jego koncerty słowne w sejmie, groźby, że paskarze będą wisieć na szubienicach. Włodarz sejmu, Witos, orzekł gniewnie, że nie chce premiera, którego baba (żona Paderewskiego) miesza się do spraw państwowych.

Inne posiedzenie konwentu seniorów. Należy utworzyć nowy rząd. Ze wszystkimi dali już sobie radę uczciwi pośrednicy parlamentarni: Steinhaus, Loewenstein i Federowicz (Klub Pracy Konstytucyjnej), lecz tylko nie z nim. On milczy. Wszyscy czekają by złożył jakieś oświadczenie.

Kryzys rządowy trwa kilka tygodni, albowiem „on” nie wypowiedział swego zdania. Odbywa się długa debata w sprawie reformy rolnej. Ziemianie są gotowi na drobny kompromis. Lewica demonstruje, PPS atakuje, chłopci Witos łączą się z muzyka lewicy i wołają: ziemi! Obydwie strony stoją w oczekiwaniu. Lewica liczy głosy, mierzy siły. Walka przenosi się do konwentu seniorów. Zwołuje się jeden konwent za drugim, by załatwić konflikt krakowskim targiem. Witos patrzy w kąt i milczy. Konwent seniorów rozchodzi się bez rezultatów.

Nagła panika w gmachu rady ministrów. Dowiedziano się, że odbywa się nadzwyczajne posiedzenie konwentu seniorów. Czy rekonstrukcja? Kto wie jaki minister wyleci. Kręcą się przestraszeni przedstawiciele rządu, próbują nawiązać rozmowę z jakimś suwerenem zbliżonym do „niego” — z Kiernikiem.

Wbiegają nowi kandydaci na ministrów. Przy świętych drzwiach konwentu seniorów, obok pokoju Marszałka, stoją milcząco dziennikarze, ministrowie, kandydaci na ministrów.

Drzwi otwierają się. Poseł Federowicz formułuje komunikat. Treść należy czytać między wierszami.

Minister pyta o komentarz. Wynika z niego, że nie ma kryzysu rządowego, ale nastąpi wkrótce. Kiedy? — pytają dziennikarze Witos. Ten patrzy w jakieś nieokreślone miejsce i odpowiada — zobaczymy.

Konwent seniorów ukończył obrady. Ministrowie uspokojeni wyjeżdżają prędko samochodami z sejmu do gmachu rady ministrów.

27 kwietnia 1929 r.

Kapeki

Rewolucyjny wicher parlamentaryzmu, demokracji i powszechnych wyborów zmiótł ich już dawno z życia politycznego.

25

!!

Nie mieli w 1919 r. żadnych widoków wejścia do sejmu na podstawie powszechnego głosowania. Znaleźli się w sejmie dzięki przypadkowi, dzięki szczęściu, jako wspomnienie dawnych, dobrych galicyjskich czasów, kiedy Abramowicz był władcą policji, a Loewenstein wszechwładnym panem na ulicy żydowskiej. W r. 1919 nie było wyborów sejmowych w Galicji Wschodniej. Krwawe walki toczyły się między Polakami i Ukraińcami, a posłowie polscy odnośnych okręgów do parlamentu austriackiego weszli automatycznie do pierwszego sejmu polskiego.

Było ich osiemnastu — bez oparcia w społeczeństwie, z kompromitującym przydomkiem „konserwatystów”. Cały sejm był demokratyczny i różowy, narodowi demokraci, ludowi demokraci, a oni byli jedynymi przedstawicielami dawnej galicyjskiej tradycji rządowej.

Jakąż nazwę należy przybrać w tak ciężkich czasach? Jak bronić dóbr, które chłopci chcą parcelować, fabryk zagrożonych reformami społecznymi? Posadzono ich na fotelach skrajnej prawicy w sejmie, a przybrali niewinne miano: „Klub pracy konstytucyjnej”.

Dawni włodarze, którzy zwykli rozdzielać starostwa, koncesje, zarobki, musieli obecnie prosić o łaskę swoich dawnych klientów — partie chłopskie — prosić, by ich ratowały od upadku i pozwoliły przynajmniej umoczyć usta w misie państwowej.

„Kapecy” (tak ich nazywano) stali się guwernantkami stronnictw chłopskich, pośrednikami między różnymi grupami, podobnie jak słynny aktor Talma uczył Napoleona gestów królewskich, kapecy uczyli chłopów Witosa i prawie cały sejm gestów parlamentarnych.

Byli mistrzami ceremonii przy powstaniu rządu, przy uroczystych aktach o międzynarodowym znaczeniu, w czasie trudnych konfliktów w konwencie seniorów. Przędli wyszukane i cienkie nici intrygi, która zwała się pracą państwową. Dlatego byli najbardziej potrzebnymi posłami w sejmie, a choć było ich tylko 18, posiadali większe znaczenie niż kluby liczące 30-40 posłów. Posiadali zapewnione posady ministrów, wiceministrów, dyplomatów itp.

Odbywa się konwent seniorów. Sejm nie może sobie dać rady ze sprawą Korfantego, który posiada większość sejmu, by zostać premierem. Naczelnik Piłsudski nie chce zatwierdzić kandydatury i grozi, że zniesie konwent seniorów. Daszyński straszy gniewem ulicy. Chodzi o to, by do opinii publicznej nie dostały się zbyt echa wewnętrznych kłótni. Kogo wysła więc konwent seniorów do podyktowania komunikatu prasie? Wychodzi poseł Fedorowicz, prezydent miasta Krakowa, który między

26

jednym a drugim pociągnięciem dymu z cygara wypowiada bezbarwne, tajemnicze słowa. Pomaga mu poseł hrabia Baworowski, dorzuca mądre słowo poseł Stesłowicz.

Tworzy się nowy gabinet. Szuka się odpowiednich ministrów. Przy telefonie międzymiastowym w sejmie, na parterze, stoi poseł Stesłowicz i wywołuje ze starych, szlacheckich pałaców zapomniane postacie. Do jednego gabinetu wchodzi między innymi jako min. poczty poseł Stesłowicz. W ciężkich chwilach kryzysu rządowego Stesłowicz jest wszystkim. Ratuje, trzyma rękę na pulsie sejmu, jest faktycznym premierem, ale nominalnie czyni się zadość zasadzie demokracji — premier musi być zbliżony do Witosa, do PPS lub do endeków.

Cztery lata rządili w sejmie. Uratowali dla swojego stanu wszystko co można było, otrzymywali urzędy, koncesje, słowem wycisnęli z legitymacji poselskiej maksimum przywilejów, czując że dziś, jutro będą musieli zniknąć z widowni, albowiem zbliżają się powszechne wybory. W czasie wyborów do drugiego sejmu nie wystawili ani jednej kandydatury. Przybyli tylko na wieczór pożegnalny, na raut, na cześć odchodzącego i przyszłego sejmu. Przybyli wszyscy we frakach pożegnać się ze ścianami, wiedząc, że nigdy do nich więcej nie wrócą.

Uwagę rautu skupiał on, tajemniczy przywódca klubu, lew salonów, pożeracz serc niewieścich, świetny adwokat, Natan Opoka Loewenstein. (Badeni, habsburski namiestnik Galicji, zwykł go nazywać po prostu Nutka) Klub KPK kierował sejmem, a pięciu Żydów tego klubu kierowało klubem. Znaczący spraw prawnych był Loewenstein. Geniuszem w dziedzinie finansów był zawsze roztargniony, w brudnym kołnierzu, w potarganej marynarce potentat finansowy, Henryk Koliszer. Ekspertem w sprawach agrarnych był poseł Ignacy Steinhaus, typowy szlagon o długich wąsach. Mistrzem w zagadnieniach społecznych był poseł Bernard Stern, przewodniczący żydowskiego dobroczynnego towarzystwa (Linas Hacedek) w Buczaczu. Na Żydów z Koła Żydowskiego patrzyli ci posłowie jak na wariatów. Po co krzywić głośno o żydostwie, czyż tu w klubie kapeków nie można załatwić spraw żydowskich, odpoczynku niedzielnego, obywatelstwa, koncesji. Byle by tylko nie krzywić i nie demonstrować

Między jednymi a drugimi Żydami istniał mur. Posłowie Koła Żydowskiego nie witali się z posłami Żydami z klubu KPK. Dla klubu żydowskiego Loewenstein był bohaterem krwawych drohobyckich wypadków r. 1912, kiedy to policja strzelała do zgromadzonego tłumu żydowskiego, który się przeciwstawiał jego kandydaturze.

27

Jedynie tylko w ciężkich dla klubu żydowskiego chwilach, kiedy kwestia odpoczynku niedzielnego stała na porządku dziennym, biadał poseł Rauch ze Stanisławowa przed dziennikarzami żydowskimi, zapewniał, że i on jest Żydem. Nie odważyłby się nigdy przyjechać do Jarosławia (jego okręg wyborczy) w sobotę, mówił, że rozumie zagadnienie odpoczynku niedzielnego, że Żydzi muszą mieć otwarte sklepy w niedzielę, że może będzie można jakoś sprawę załatwić.

Żydzi z KPK unikali siedzenia razem w piątkę przy stole. Raziło ich, że zażydzają klub. Ale jakoś zawsze tak wypadło, że spotykali się razem i zażydzali klub KPK.

Piątek wieczór. Przy stole bufetowym krfpeków siedzą Żydzi. Siedzi z nimi Baworowski, Starowiejski i Jabłoński. Poseł Koliszer patrzy zadumany na ogród sejmowy. Do stołu zbliża się poseł Diamand z PPS (zawsze czuł się dobrze wśród kapeków) i dudni basowym głosem: *git szabes* (żydowskie przywitanie sobotnie).

Żydzi odpowiadają chóralnie — na wpół drwiąco — *git szabes*, a wtóruje im Baworowski, Starowiejski i Jabłoński. Ale rychło znika żydowskość. Żydzi rozchodzą się i kryją się w kąt. Posłowie Loewenstein, Steinhaus, Koliszer, Stern, Rauch rozchodzą się, by nie psuć katolicyzmu swego klubu, interesów własnych i swoich współników, Stesłowicza i Baworowskiego.

28 kwietnia 1929

„*Zwischenruffy*” i obstrukcje

Nad gmachem sejmu powiewa chorągiew — wkrótce rozpocznie się posiedzenie. Bilety wejścia na galerię zostały rozchwy-tane jeszcze wczesnym rankiem. Członkowie rozmaitych klubów biegną do kancelarii sejmu, do „piękności sejmowej” Gliszczyń-skiej i proszą o bilety dla swych prowincjonalnych wyborców, którzy pragną widzieć swego posła. W bufecie przygotowano większą ilość różnych potraw.

Będzie wielki dzień z przemówieniami ministrów, odpowiedzią opozycji, z *Zwischenrufami* — przewidziana jest nawet obstrukcja. Pierwszy sejm posiadał jeszcze maniery parlamentu austriackiego i udane dobre przemówienia bywały przerywane *Zwischenrufami*. Mistrzem był poseł Klemensiewicz z PPS,

28

Nie zjawiał się nigdy na trybunie i nie wygłaszał żadnych przemówień. Milcząco siedział b. aptekarz z Podgórze i przyglądał się mówcom, a kiedy np. ksiądz Lutosławski wpadał w patos i porywał sejm, kiedy wszyscy posłowie słuchali ze skupieniem mowy endeckiego trybuna, dawał się nagle słyszeć krótki *Zwischenruf* posła Klemensiewicza, sala wybucha śmiechem, patos i cisza znikają

Prawdziwym mistrzem w przerywaniu mówcom był poseł Diamand. Rzuca gromy z trybuny poseł Daszyński, pomaga mu pełnymi satyry uwagami poseł Diamand. Marszałek sejmu, Trąmp-czyński, przerywa głosem jakby z pustej beczki, a odpowiada bas posła Diamanda. %

Było ich trzech, którzy nie dawali się zbić z tropu żadnym *Zwischenrufem*. Kiedy im przerywano, odpowiadali dowcipnie jakby odrzucając piłkę z powrotem. Daszyński, Diamand i Lieberman koncertowali w tej dziedzinie.

Przemawia poseł Diamand. Trzeba zwalczać rząd, jakkolwiek w kularach flirtuje się z nim po cichu.

Przemówienie technicznie nieco sztucznością. Mówca czuje się nieswojo na trybunie, czeka na *Zwischenruf*, na uwagę ze strony prawicy. I oto odzywa się endecki poseł Sawicki.

— Lud jest mądrzejszy od pana.

Diamand podejmuje *Zwischenruf* i odpowiada: „Ale pan od ludu nie”.

A kiedy trzeba było uprawiać obstrukcje, kiedy w pierwszym sejmie zawisła groźba, że przepadnie ustawa o 46-godzin-nym tygodniu pracy, przybył do gmachu sejmowego w aucie poseł Klemensiewicz i przywiózł ze sobą trąbkę i małe gwizdawki.

Pierwszą obstrukcję przyjęto w sejmie z zadowoleniem. Prawica śmiała się do rozpuku, kiedy ponury, słaby poseł Perl z PPS uderzał z powagą i z wysiłkiem kijem w pulpit, grożąc drugą ręką marszałkowi sejmu. Kapelmistrz Diamand zwykł był przy pomocy trąbki zwiększać hałas, a gniewny głos Daszyńskiego z głosami Żuławskiego, Liebermana, Barlickiego i Moraczewskiego uzupełniał symfonię.

A kiedy przy obstrukcji współpracowały i chłopskie stronnictwa, a barczysty poseł Duro zwykł walić silną pięścią w pulpit, kiedy jeszcze pomagał mu poseł Smoła — sejm stanowił świetne widowisko dla galerii. Podobne tradycje panowały jeszcze w drugim sejmie. Kiedy wybuchał hałas, kiedy marszałek sejmu Rataj był zmuszony zewzwać do pomocy posłów z prawicy, którzy obchodzili ławy posłów lewicy i zapisywali demonstrujących, wówczas dochodziło także i do bójek. Nagle wypada posłowi Staniszkisowi, z

29

prawicy, ołówek i notes z ręki, poseł Duro jednym uderzeniem usunął go na bok. Papiery Staniszkisa rozwiały się po całym sejmie.

Prawdziwą muzykę z orkiestrą wniosły dopiero mniejszości

narodowe wspólnie z radykalną lewicą. Z szoferską trąbką przybył do sejmu poseł Wojewódzki z NPCh.

Jego towarzysz poseł, dr Fiderkiewicz, przyniósł ze sobą pałkę. Niekiedy orkiestra z trzydziestu kilku osób brzmiała jak strzelanina kulomiotów, lub trzask armat broniących twierdzy. Sejm zwykle był niezadowolony z takiej obstrukcji. Nie był to już koncert wagnerowski, lecz ka-kofonia, rażąca uszy większości polskiej. Nawet PPS zwykła się była wyrzekać tej obstrukcji. Bomby cuchnącej zgniłe jaja otrzymały prawa obywatelstwa w sejmie. Biedna straż marszałkowska musiała otwierać okna i bacznie śledzić radykalnych posłów mniejszości narodowych i posłów z NPC.

w starym gmachu sejm obstrukcja była łatwą rzeczą dla posła. Pulpity prosiły się wprost, żeby w nie bić. Marszałek sejm słyszał dobrze hałas, ale widział wyłącznie obstrukcjonistów z pierwszych ław. Siedzi sobie taki poseł w ostatnich rzędach, rzekomo spokojnie, ręce na pulpicie, a wali nogami w fotel swego towarzysza.

Zmieniła się sytuacja w nowym gmachu. Sala sejmowa została zbudowana w formie przepołowionej areny cyrkowej i marszałek sejm widzi ze swojej estrady wszystkich posłów. Nie słyszy ich, podobnie, jak oni nie słyszą jego, nie może rozumieć słów *Zwischenrufów*, zanikających prawie w obecnym sejmie — widzi natomiast każde skinienie, każdy ruch posła.

Zresztą nie ma przeciw komu urządzać obstrukcji. Przeciwko sanacyjnemu blokowi rządowemu? Blok ten jest i tak w mniejszości. Przeciwko marszałkowi sejm Daszyńskiemu? Jest to marszałek większości sejm. Obstrukcjonisci stali się bezrobotnymi, postarzelisi i są zmęczeni. Oparty na lasce kroczy poseł Dła-mand — rzadko daje się słyszeć jego głos.

Nie używa się więcej w gmachu sejm pałek ani trąbek. Ani Klemensiewicz, ani Diamand, ani Lieberman, ani Stroński nie przerywają mówcom. Zabawa parlamentarna ustała. Obstrukcję uprawia częściowo klub BB. Nie dowcipami, nie grą słów przerywa się mówcom, nie ironicznymi uwagami przeszkadza się przeciwnikowi. Pułkownicy, majorzy, porucznicy wprowadzili nowe obyczaje do sejm. Pałka poszła precz. Rewolwer i pistolet na Bielanach, pojedynek wedle przepisów Bożewicza otrzymał prawo obywatelstwa w parlamencie. Pada ostry *Zwischenruf* z ław lewicy w stronę BB. I w odpowiedzi daje się słyszeć ostre pytanie: — co pan powiedział?

30

Powstaje zamieszanie, wszyscy rozumieją, finał *Zwischenrufu* nastąpi na Bielanach, (miejsce pojedynku). A bez pracy chodzą po sejmie posłowie Duro, Ledwoch i inni — najlepsi muzykanci drugiego sejm.

30 kwietnia 1929

Osobiści nieprzyjaciele Pana Boga

Do atrakcji fejmowych należały dyskusje religijne, spór o prawa kościoła katolickiego. Do osobistych wrogów Pana Boga należeli posłowie Czapiński i Putek, a sejm chłopski słuchał uważnie wywodów wolnomyslnych, tak jak niegdyś sejmy [^]szlacheckie — nowinek protestanckich.

Sejm debatuje nad ustawą konstytucyjną. Chodzi o "uregulowanie stosunków państwa do kościoła. PPS wysyła obrazoburcę Czapińskiego. Ciężkim krokiem wchodzi na trybunę mól biblioteczny, nosi ze sobą pakę ksiąg. Gdy rozpoczyna przemówienie bije w pulpit, chce podkreślić te zdania, których nie może zaakcentować jego monotony głos.

Cytuje Voltaire'a, Reya, wyciągi z podręczników szkolnych o obskurantyzmie w Polsce, opowiadania z Nankego, wyjątki z „Prowincjałek” Pascala, bulle papieskie, kanon Ojców Kościoła.

Patrzą chłopci na furi ksiązek „biskupa masonów”, podziwiając uczoność w sprawach kościelnych, a poseł Czapiński coraz mocniej uderza w pulpit, imitując temperament polityczny. Nikt prócz księdza Nowakowskiego nie przerywał zwykle mówcy. Krzywił się jedynie lub opuszczał nawet salę pobożny pepesowiec, Bronisław Ziemięcki. Litanie krzywd chłopskich wyliczał obrońca Kościoła Narodowego, Jan Stapiński. Mówił o dobrach "martwej ręki, o dobrobycie księży. Chciwi lecz pobożni członkowie Piasta gniewają się, ale słuchają. Stary wyjadacz zna duszę chłopską i wie w którą strunę uderzyć. A z mowy może kapnąć coś od kościoła narodowego w Ameryce na wybory.

Na trybunę wchodzi arcybiskup Teodorowicz w fioletowej piusce, którą tak kunsztownie trzyma na wierzchołku głowy, że tylko raz w czasie potępienia wyprawy kijowskiej spadła mu z głowy. Szeptem rozpoczyna przemówienie. Zda się, że odprawia cichą mszę. Nie cytuje kanonów, ani ojców kościoła, lecz snuje przed słuchaczami martyrologię księży katolickich w Rosji, wskrzesza obrazy grottgerowskie. Głos rośnie i bije jak dzwon kościelny.

31

Twarz chłopów w skupieniu modlitewnym. Słucha sejm z uwagą kazania sejmowego. Jeszcze pół godziny temu użył Czapiński Mickiewicza do walki z kościołem. A oto perły poezji polskiej (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński) nanizal na różaniec, arcybiskup Teodorowicz.

Głos ma poseł Putek. Szybko wskoczył na trybunę. Już ubawił chłopów dykteryjkami o księżach. Już walczy z biskupem krakowskim. Szafuje łaciną dla zaimponowania chłopom. Wreszcie uderza swego

proboszcza z Choczni. Walczy z Bogiem jedynie na terenie Małopolski Zachodniej. Prowadzi nieubłagany bój z tiarą przedstawiciel korony (wójt w gminie) w Choczni. Toczy homerycką walkę o dzwony kościelne.

Jt

Ale oto finał dyskusji. Głosowanie nad konkordatem, nad budżetem, nad paragrafami konstytucyjnymi. Głosowało imienne. Rozłam nawet w Kole Żydowskim. Część posłów religijnych głośnie razem z Teodorowiczem i Lutosławskim. Część radykalnych chłopów znika. Wnioski wolnomyślnie przepadają. W trzecim sejmie ustała prawie dyskusja religijna. Nie ma już dawno arcybiskupa Teodorowicza, zmarł ksiądz Lutosławski, nie dorówna mu ksiądz Nowakowski. Zresztą nowy Bóg panuje w Polsce, z którym nie radzi zadzierać marszałek Daszyński, któremu nie ważą się przeciwstawić osobiście nieprzyjaciele Boga — posłowie Czapiński i Putek.

21 lipca 1929

Aleksander, Artur, straż marszałkowska

Aleksander chodzi ostatnio prawie bez pracy. Od czasu do czasu wpada do bufetu, pije kieliszek wiśniówki i wybiega prędko do gmachu sejmowego, gdzie mieszkają woźni. Aleksander, starszy woźny sejmu był przez długie lata wybitną osobistością. Zwykł był stać pod drzwiami konwentu seniorów, lub też obok gabinetu marszałka sejmu.

Woźni niższego stopnia roznoszą regulamin, maszyny do pisania, projekty ustaw. Laskę atoli nosi on sam. Trzyma ją z większą dumą niż marszałek sejmu podczas posiedzenia. On podnosi znaczenie parlamentu swoim zachowaniem się, rozmowami z szoferami różnych klubów.

— Kiedy skończy się posiedzenie sejmu? — pyta wstydliwie szofer rządowy.

32

— Stańcie obok wyjścia dla ministrów i czekajcie. Posiedzenie sejmu skończy się kiedy sejmowi będzie się podobało — zwykł był odpowiadać dumnie Aleksander.

Kiedy Aleksander wychodzi z gmachu sejmowego by kupić jakieś produkty w sklepie kolonialnym naprzeciwko sejmu, powstaje tam zamieszanie. Policjant opuszcza posterunek, aby dowiedzieć się o czym rozprawiano w wysokich sferach sejmowych.

Kiedy woźny Aleksander rozmawia z szoferem marszałka sejmu reszta szoferów przysłuchuje się uważnie. Minister przechodzi, ale Aleksander kłania się z godnością. Witos skrzypi butami i wchodzi do pokoju marszałka sejmu, Aleksander kłania się nisko, albowiem ministrowie zjawiają się i znikają, a Witos wiecznie pozostanie.

Ale zjawił się nowy konkurent Aleksandra. Był to fryzjer Artur. Na uboczu parteru tuż obok wejścia do korytarza funkcjonował jego zakład fryzjerski. Aleksander zwykł był tylko witać wybitne osobistości, wkładać im narzutki, wzywać szofera, a Artur trzymał ich wszystkich za głowę. Kogóż to bowiem nie strzygł i nie golił? Głębńskiego, Witos, Grabskiego, Rataja Trąmpeczyńskiego, Barlickiego — wszystkie obozy, wszystkie ugrupowania. Między mydleniem a ostrzeniem brzytwy następowała wymiana myśli. Artur mówi do Witos i dowiaduje się, że się goli, bo dziś odbędzie się posiedzenie Rady ministrów. Artur był dobrze poinformowaną osobistością. Nawet Aleksander musiał go prosić o wiadomości, ba, nawet intendent sejmu Elzanowski dowiadywał się u Artura.

Dalszym niebezpiecznym konkurentem dla Aleksandra był dowódca straży marszałkowskiej.

Wprowadzono ją w drugim sejmie. Komendant, wysoki, zdrowy o szerokich barkach dowodził osiemnastoma tęgimi strażnikami, zorganizowanymi wojskowo, aby być w pogotowiu kiedy parlamentaryzmowi groziłoby niebezpieczeństwo. Miał on prawo wyprowadzać posłów z sali, czuwać gdy straż marszałkowska bierze ich za plecy i wynosi. Stawał zwykle przed bramą w czasie wielkich dni parlamentarnych i kontrolował wraz z woźnymi bilety wstępu. Uważał także na hotel sejmowy i na wszystko co się działo w tym budynku. Artur, Aleksander, dowódca straży marszałkowskiej oraz szofer Rataja Erlich to były najlepiej poinformowane figury.

Tajna narada poza gmachem sejmowym. Auto marszałka znika, po pół godzinie Erlich wraca.

— Gdzieście jechali? — Na Marszałkowską — odpowiada Erlich.

— Na Marszałkowskiej mieszka Witos — dodaje Aleksander.

33

3

Jest więc wiadomość. Rychło wyjaśnia dowódca straży marszałkowskiej tajemnice narad. Szoferzy aut rządowych spoglądają z uszanowaniem na dobrze poinformowanych.

Ale czasy się zmieniają. Artur goli tylko posłów. Rzadko kiedy zjawia się minister w nowym zakładzie fryzjerskim obok hotelu sejmowego. Dowódca straży marszałkowskiej nie ma żadnych informacji.

Aleksander stoi obok gabinetu ministrów i usiłuje wyzebrać u dumnego szofera Rady Ministrów choć drobne informacje, jakąś plotkę, by podtrzymać autorytet u woźnych.

A później biegnie zawstydzony Aleksander do bufetu, pije prędko kieliszek wiśniówki, pije na dodatek

kieliszek cytrynówki, by zalać ból z powodu upadku parlamentaryzmu.

3 maja 1929

Sejm śpiewa

Było to w czasie ciężkiej walki o reformę rolną. Wniosek kompromisowy Piasta wisiał na włosku. Partia Witosowa składała się nie tylko z zamożnych chłopów, ale obejmowała również włościanina średniego i pewne grupy rolników ubogich, którzy wierzyli, że pierwszy sejm konstytucyjny z obawy przed bolszewikami da ziemię chłopom.

Na plenarnym posiedzeniu sejmu upadł kompromisowy projekt reformy rolnej. Wszystkie zgodliwe wnioski witosowców zostały odrzucone przez prawicę. Z zewnątrz dochodziły podmuchy rewolucyjne, które groziły ziemianom straceniem wszystkiego, lecz postanowili nie ustąpić ani jednej morgi ziemi. Gniew i oburzenie ogarnęły ławy poselskie. Stary demagog Stapiński wstaje z miejsca i grozi pięścią Głębińskiemu. Z ław chłopskich powstają posłowie i wygrażając pięściami zmiierzają ku prawej stronie. Spokojny i flegmatyczny marszałek Trąmpczyński dzwoni nieustannie, lecz czuje, że traci władzę. Zaraz dojdzie do krwawej bójki. Duch Szeli unosi się na sali, ale oto Witos spogląda na swoich piastuszków. Bójka? Przerwanie wszystkich stosunków z prawicą? Nie. Nie dopuści. Daje znak ręką, wstrzymuje swoich piastuszków, którzy rwą się do ław prawicy. Posłowie Dura i Smoła intonują basem pieśń powstańczą: „Gdy naród do boju”. 150 mocnych chłopskich głosów podchwytuje pieśń. Gdy dochodzi do słów „o cześć wam panowie

34

magnaci” rosną głosy, wzmagają się ton basowy, a w dźwiękach daje się odczuć oburzenie, chłopska złość. Wtórowali im PPS, nawet poseł Perl swoim słabym głosem mieszczanina pomaga i intonuje pieśń powstańczą. Jeden chłop milczał. Był to Witos. Spuścił oczy i czekał, gdy koledzy zakończą śpiew. Szybko skierował kroki ku drzwiom i wyprowadził swoich posłów.

W jakiś czas potem sejm śpiewa jeszcze raz. Było to podczas obstrukcji posłów z PPS. Chór nie dopisał i bezdźwięcznie brzmiał „Czerwony Sztandar” w ustach Barlickiego, Żuławskiego, Da-szyńskiego i innych. Przy uchwaleniu konstytucji śpiewano znowu w sejmie, ale już jak uczniowie w szkole. Na wpuł kościelnie brzmiał hymn „Boże coś Polskę”, który zaintonował ksiądz Lutosławski (miał dobry głos).

Nowy chór i nowe tony rozległy się w drugim sejmie. Sejm odrzucił wszystkie poprawki klubu ukraińskiego w sprawach językowych. I oto rozlega się pierwszy raz w polskim sejmie pieśń ukraińska. Wszyscy posłowie ukraińscy razem z białoruskimi śpiewają „Ne pora”. Stepowe głosy chłopów rozlegają się w sejmie. Przerażony sejm nie wiedział w pierwszej chwili jak reagować. Słuchano po części uważnie jak do dźwięków ukraińskich dostroił się chór białoruski z pieśnią „Dos myśmy spali”, a dyrygował chórem ukraiński poseł Kozicki z wąsami zwisającymi a la Szewczenko. Śpiewali w drugim sejmie i posłowie NPCh (Wojewódzki, Balin), nucąc pieśń oraczy i Międzynarodówkę, lecz chór źle funkcjonował i nadawał się więcej na obstrukcję niż na demonstrację

Drugi sejm był rozśpiewany. Po wydaniu posłów ukraińskich sądom, po śpiewie w sali sejmowej wychodzili posłowie ukraińscy ze śpiewem do kularów, docierali do bufetu i tam śpiewali całą noc przy długim stole ukraińskim. Czasem przysiadali się do stołu ukraińskiego lewicowcy, czasem nawet posłowie z prawicy, pochodzący z Galicji Wschodniej.

Nawet Koło Żydowskie śpiewało w drugim sejmie. Gdy odrzucono poprawki do ustawy językowej, gdy rozległ się mocny chór ukraiński i białoruski, rozniósł się śpiew grupy opozycyjnej z koła żydowskiego. Śpiewali posłowie Hartglas, Grynbaum, Wygodzki, słaby, biedny chór. Rozległ się w sejmie dyszkancik posła Hartgłasa, śpiewano „ojd łój owdo”. Sensacja była wielka. Wszyscy posłowie przysłuchiwali się pieśni hebrajskiej. W kularach nagabywano dziennikarzy żydowskich o podanie tekstu i tłumaczenia i posłowie endeccy z przyjemnością dowiedzieli się, że poseł Grynbaum groził w swojej pieśni wyjazdem do Palestyny.

35

A później dowcipkowano jeszcze długo w kole na temat chóru żydowskiego. Śpiewacy przyznali się skromnie, że nie wiedzieli co śpiewać, że nie ma odpowiedniej pieśni żydowskiej i tylko zwolennik yidysz poseł Wygodzki tłumaczył, że gdy Żydzi opuszczają salę należało raczej śpiewać „Joske Furt awek” (Josek odjeżdża). Poważny jednak poseł Grynbaum nie chciał słuchać dowcipów. Uważał, że demonstracja osiągnęła cel, że jednak w śpiewającym polskim sejmie wtrącili i Żydzi swoją piosenkę.

19 maja 1929

Czerwony szlachcic i poseł Krempe

W jednym klubie zasiadają Hipolit Sliwiński (nazywano go Hircio) czerwony szlachcic i Franciszek Krempe, typowy staromodny chłop. Hircio nie należał do kategorii dobrych mówców, politycznych intrygantów. Nie. Rzadko zabierał głos z trybuny. Natomiast dał się poznać w kularach jako wróg

wszystkich rządów. Był stale niezadowolony, ciągle obrażony. Kłął na wszystko. Do wszystkich galicjan mówił „ty”. Każdego z nich strofował. Przemówienia jego w bufecie brzmiały rewolucyjnie. Lubił uprawiać rewolucję przy kieliszku koniaku w szerszym towarzystwie. I nikt nie odważył się powiedzieć ani słowa. Jemu wolno było, bo za mandat uczciwie zapłacił, zapłacił za partię, za instruktorów, za tygodnik. Hircio dużo zarabiał, ale prędko wydawał. Przed uzyskaniem niepodległości Polski szerokim gestem popierał ruch Strzelca. W jego mieszkaniu, we Lwowie mieszkał długi czas Józef Piłsudski. W Warszawie nie zamieszkał w hotelu sejmowym. Członek Związku Chłopskiego, czerwony szlachcic lubił walczyć dla chłopów, ale nie mieszkać razem z nimi. Nienawidził też burżuazyjnego hotelu Bristol i mieszkał w szlacheckim Europejskim. Cała kariera polityczna Śliwińskiego była obliczona do działania na przekór. Na przekór kołtunerii lwowskiej zadawał się z chłopami, na przekór Witosowi szedł ze Stapińskim, na przekór całej Polsce popierał legiony. I przy takiej polityce zasiadł z kilkoma posłami w Związku Chłopskim w drugim sejmie wspólnie z Franciszkiem Krempa. Do trzeciego sejmiku nie wszedł już Śliwiński. Gorliwy piłsudczyk pokłócił się z piłsudczykami.

36

Przepadł podczas wyborów. Telegraficznie wymówił pokój w hotelu Europejskim i mieszka w Polsce, tak nazywa Lwów (Warszawa dla niego jest krajem prywiślinskim). Franciszek Krempa wszedł do trzeciego sejmiku, podobnie jak był w poprzednim sejmiku, jak zasiadał w austriackim parlamencie, albowiem Krempa oddał wielkie usługi chłopom.

Ten stary chłop nie przemawiał nigdy w sejmiku. Niski, krępy, podkręca ciągle wąsy i jakby specjalnym aparatem podnosi brwi, by studiować ceny potraw w bufecie. Krasomówstwo wykazuje tylko w czasie targowania się ze służbą bufetu. A jednak Krempa jest jednym z najpopularniejszych chłopów. Dniem i nocą pisze interpelacje. Jeśli jakiś chłop został skazany na grzywnę w sumie trzech złotych lub nie otrzymał na czas paszportu krajowego wpływa natychmiast „krempelacja”. Nieraz w czasie posiedzenia sejmiku marszałek odczytuje dziesięć, piętnaście jego interpelacji. Przez kilka godzin Krempa dyktuje na maszynę interpelacje, a potem szuka kumów, by je podpisali. A kiedy Krempa wraca do swego okręgu wyborczego, zwołuje chłopów i odczytuje im kilkadziesiąt interpelacji. Złośliwi twierdzą, że Krempa przepisuje stare interpelacje z parlamentu austriackiego.

W parlamencie austriackim pokazywał się tylko po odbiór pensji. Jego niemczyzna mocno kulała, a swoim wyborcom zwykł opowiadać, że „cysarz” go spotkał i nakazał „Frankowi” siedzieć we wsi i baczyć by szlachta nie krzywdziła chłopów. Jakkolwiek Krempa jest dziś zamożnym chłopem, który zarobił nieco pieniędzy na posłowaniu, cieszył się popularnością u chłopów i miał pewny mandat dzięki „krempelacjom”.

Szczęśliwe czasy krempelacji minęły. Kumowie nie chcą składać podpisów, a rząd nie odpowiada na wszystkie interpelacje. Ponuro kroczy tedy poseł Krempa w obawie o swą popularność. Boi się, że bez „krempelacji” nie zostanie wybrany do przyszłego sejmiku i będzie musiał szukać łaski u swego dawnego opiekuna, czerwonego szlachcica Hircia.

4 maja 1929

Kauziki w Sejmiku

Trzeba stworzyć rząd. Nie wiadomo czy będzie to centro-praw czy będzie to centrolew. Jedno jest atoli pewne, że bez cen-^o, tzn. bez Witosy, rząd nie powstanie.

37

Kandydat na premiera rozpoczyna swój spacer od klubu do klubu. Przedkłada program i zaraz wynika niewinna sprawa portfeli. Trzy czy cztery większe kluby obraziły się, trzeba więc ratować sytuację i sklecić gabinet przy pomocy małych klubów.

Odbywa się więc konferencja z prezesem katolicko-ludowego stronnictwa. Mały to klub z posłami z okręgu tarnowskiego, gdzie biskup „Walega” zwalcza Piastę i popiera Matakiewicza. Sam Matakiewicz to porządny człowiek, on nie chce koncesji, ani subsydium dla swojego tygodnika, nie potrzeba mu wsparcia dla utrzymywania sekretariatu. On chce tylko zostać wiceministrem sprawiedliwości. Gotów jest popierać wszystkie rządy, centrolewy czy centroprawy byle tylko zostać wiceministrem. Stronnictwo jego składa się z sześciu osób, ale on zalicza do swego posagu dwanaście osób, albowiem na wypadek gdyby klub jego wypowiedział się przeciwko rządowi rząd traci, powiada Matakiewicz, sześciu zwolenników, a otrzymuje sześciu przeciwników — razem dwanaście głosów. Mnóstwo rzeczy dokonał ten poseł byle znaleźć poklask u opinii. Przyniósł nawet raz pewnego podarunki dla prasy — wspaniałą kiełbasę krakowską. Ale nic nie pomogło, nie został wiceministrem.

Więcej szczęścia posiadał poseł Okoń ze swoimi czterema posłami. Za cztery głosy uzyskał poparcie dla chłopskiej gazety, kilka darmowych biletów kolejowych dla swych wyborców oraz załatwienie trzech

interwencji dla emigrantów w ministerstwie spraw zagranicznych.

Ale to były drobnostki. Tego nie można było nazwać korupcją. Kiedy atoli przybywa do ministerstwa handlu „pan brat”, a przy tym rzeczywisty brat Wincentego Witosa, poseł Jędrzej Witos i prosi o koncesję na wywóz jaj, czy może i powinien odmówić im taki drugi pan brat Witosa, min. handlu Szydłowski? Czy Kucharski, min. skarbu, odmówi poparcia i pomocy swemu ideowemu towarzyszy z Rozwoju, posłowi Dymowskiemu⁻⁷ mu? Czy można zbyć niczym interwencję restauratorów, na których czele kroczy osobiście b. poseł Rosset? Ministrowie wchodzą do sali sejmowej, gdzie odbywa się posiedzenie. Dyskusja jest gorąca, mówcy grzmą z trybuny sejmowej. Istnieją jednak praktyczniejsi posłowie, nie biorący udziału w debatach. Taki zbliża się powoli do ław ministrów, ściska dłoń ministra skarbu, trzymając w drugiej dłoni jakiś papier. Minister wdziewa okulary, czyta natychmiast treść podanego dokumentu, wyjmując wieczne pióro i już poseł posiada pomyślnie rozstrzygnięcie prośby. Powstała nowa koncesja. Gabinet ministrów zyskał nowego stronnika. Cała względna większość może rządzić jeszcze kilka tygodni.

38

Oto rządzi gabinet bezparlamentarny, nie posiadający posłów w rządzie. Większości już dawno nie ma. Rząd trzyma się przy sterze cudem. Pracuje za to cudotwórca rządu Grabskiego dyrektor departamentu, dr Kauzik.

Rząd zbliża się do upadku. Jest tak źle, że już gorzej być nie może. Wszyscy zapowiadają, że gabinet Grabskiego zgłosi dymisję. PPS grozi gniewem ludu.

Dyrektor Kauzik bierze na bok przywódców PPS. Konferuje krótko. Ma praktyczny projekt. Nie może patrzeć na ciężką sytuację kooperatyw, gotów jest zlikwidować trudności Banku Ludowego, gdzie PPS zaangażowała się i poniosła straty. Ma przy sobie notes, jakby książeczkę czekową funduszu dyspozycyjnego i dotrzymuje słowa. Zagorzały wróg Grabskiego Korfanty jest niezadowolony, będzie głosował przeciwko Grabskiemu. Kauzik bierze na bok posła K. z klubu chadeków. Partia ta cierpi w Łodzi na brak środków materialnych. Nie ma pieniędzy na reorganizację magazynów ślusarskich, a Kauzik nie może patrzeć na taką krzywdę. I notes funkcjonuje.

Trudny kryzys przeżywa Piast. Towarzystwa kredytowe pozostały bez grosza. Kilka słów zamienionych z posłem Dubielem i praca społeczna partii jest znowu wzmocniona. Kauzik ociera łzy. Kauzik znajduje drogę do opinii publicznej i zyskuje dla Grabskiego sympatie czerwonej prasy.

Oto pewne pismo miesiącami walczyło przeciwko Grabskiemu. Krótka konferencja z Kauzikiem, a pismo przestaje walczyć z Grabskim i ze szwedzkim monopolem zapalczanym, zwalcza natomiast sejm, który nie posiada funduszy dyspozycyjnych.

Nie potrzeba premiera, ani ministrów, Kauzik załatwia wszystko, on jeszcze nikomu nie odmówił, przeciwnie on każdemu proponuje. Rozumiał, że stronnictwa i kluby znajdują się w trudnej sytuacji dlatego wszystkim dawał: i dobre serce Kauzika ratowało Grabskiego całymi miesiącami i radowało serca dzieciątek klubów i setek posłów.

2 maja 1929

Tajny radca mężów stanu

P. Henryk Kołodziejski miał do niedawna w hierarchii urzędniczej rangę nieznaczną. Był naczelnikiem wydziału na stanowisku bibliotekarza sejmowego. Cichy, skromny człowiek, był i jest jednak centralną figurą w życiu politycznym Polski. Nie

39

~~~~~ ^m^TM \*

przemija, mimo zmiany kursu w Polsce. Pokój jego na parterze odegrał rolę historyczną i zna więcej tajemnic niż niejeden konfesjonał.

P. Henryk Kołodziejski jest bowiem spowiednikiem mężów stanu różnych odcieni. W jego pokoiku zwierzał się niejednokrotnie marszałek sejmu Rataj, próg ten często przekraczał premier Bartel, bywa tam marszałek sejmu Daszyński. Zajrzy przywódca kadetów poseł Chaciński, znajduje się tam częstokroć i młódź: posłowie Niedziałkowski i Czapiński.

Przychodzą strapieni, pełni trosk, żalą się na brak kontaktu, opowiadają o bólach parlamentu, a wychodzą uśmiechnięci, rozpozgodzeni. Zna bowiem Kołodziejski leki na ich niedole, ma mir po drugiej stronie barykady, ma wszędzie przyjaciół, druhów, kolegów.

Złośliwi endecy nazywali go przywódcą masonów, a pokój jego domem schadzek politycznych. Ochrzcili go tak, bo bywa często w towarzystwie senatora Posnera i p. Thugutta, bo w pokoju jego spotykały się i rozmawiały różne pary polityczne.

Zawzięci wrogowie, unikający nawzajem spojrzeń, przestę-pując próg pokoiku Kołodziejskiego, wymieniają rozmowy między sobą, łagodzą swary, ubijają punkty polityczne. W gabinecie tym rodził się rząd koalicyjny od Jędrzeja Moraczewskiego do Stanisława Grabskiego.

Pełniąc służbę telefoniczną w ową noc historyczną dziwiła się pani Natalia Szumańska, że wszystkie telefony dobijają się do tego małego pokoiku, że czeka w kolei Belweder, prezydium Rady Ministrów i sznur wysokich dygnitarzy. Wszystkie obozy miały wówczas swoich przedstawicieli w owym pokoju. Mrok panował w całym gmachu sejmowym, świeciło się jedynie w klubie sprawozdawców i w okienku bibliotekarza sejmowego.

W okresie pomajowym został ten pokój arką przymierza między „wschodzącym a gasnącym światem”. Łącznicy między sejmem a rządem, nosiciele zgody jak p. dyrektor Stempowski, zwiastun odroczeń, jak p. porucznik Zaćwilichowski, badacze nastrojów jak p. dyrektor Paciorkowski, znajdowali gościnę w jego pokoju.

Do pokoju bibliotekarza sejmu należy pukać dyskretnie. Można tam bowiem zastać w czułym politycznym *tete a tete* dyrektora Paciorkowskiego i skrajnie czerwonego Zarembę, wojowniczego pułkownika sanacji z pokojowym fanatykiem demo-kracji parlamentarnej.

Ma przeto długi poczet wdzięcznych p. Kołodziejski i nie dziw, że na posiedzeniu komisji budżetowej, na wniosek posła Czapińskiego przyjęto jednomyślnie, że bibliotekarz sejmowy korzysta z uprawnień dyrektora, z tytułu swoich zasług. Milczeli nawet niechętni endecy.

Klub sprawozdawców skwapliwie doniósł o nowej nominacji skromnego bibliotekarza, który nieraz odrzucał ponętne propozycje przyjaciół. Mógł zostać ministrem jakiegoś rządu. Pojmuje widocznie wagę i doniosłość swego stanowiska.

Na stanowisko premiera powołany został p. Świtalski. Złożył krótką wizytę marszałkowi sejmu, zawitał do p. marszałka senatu, zameldował się w klubie sprawozdawców. Zdawało się, że ceremonia skończona, a jednak samochód premiera długo jeszcze czekał na dziedzińcu sejmowym. Szukano p. Świtalskiego na placu tenisowym — na próżno, mąż stanu poszedł do konfesjonau, złożył wizytę bibliotekarzowi.

W ciężkiej chwili służy bowiem wszystkim p. dyrektor Kołodziejski, godzi spory jako sekundant posła Niedziałkow-skiego i zyskuje serca wszystkich. Opierała mu się długo endecja, ale i tam zyskał mir mistrz Kołodziejski. Przy osobnym stoliku zasiadł pijąc małą czarną z Rybarskim, a po chwili wprowadził go do swego zacisznego pokoju. Stał się odtąd rzecznikiem wszystkich sejmów, najpewniejszym parlamentarzystą, na wypadek ciężkich walk między Wiejską a Krakowskim Przedmieściem, nietykalnym ambulansiem w okresie bojów, choć z tytułu jedynie — bibliotekarz sejmowy.

16 października 1929

#### *Klub BB*

Weszli jako zwycięzcy do sejmu w 1928 r. Było ich 125. Zajęli dwa ogromne pokoje klubu endeckiego, wielką salę Piasta wraz z tarasem wychodzącym do ogrodu. Przejęli czarną tablicę endecką dla oznaczania terminu posiedzeń klubu, zarządu, prezydium. Zamierzali w pierwszej chwili zawładnąć sejmem. Marszałkiem sejmu miał zostać b. premier Bartel, pierwszym wicemarszałkiem poseł Jan Piłsudski, drugim poseł Jakub Bójko.

W pierwszym dniu zjawili się niektórzy posłowie w mundurach oficerskich, z krzyżami legionowymi na piersiach. Zdawało się, że pod rytm żołnierski kroczą otyły poseł Wiślicki i towarzysz jego z Lewiatana poseł Hołyński. W takt kadrówki maszerowali zawzięty cywil poseł Byrka, serdeczny kolega poseł Mianowski. Krążyły różne gadki o klubie BB. Opowiadano, że panuje tam musztra żołnierska, że zebranie klubu to mit, legenda. Staje

41

do raportu 125 posłów, wysłuchują oświadczenia pułkownika posła Sławka i rozlega się chóralne oświadczenie: „Rozkaz”!

Byli w pierwszej chwili zvarci, posłuszni. Nie mieli jedynie oglądy parlamentarnej, giętkości poselskiej, a uczył ich i przewodził w nauce regulaminowej nowy bohater, niegdyś szary poseł, zawzięty wróg koncesji szynkarskich, poseł Polakiewicz.

W pierwszej chwili kroczyli zgodnie, wysoki, niezgrabny, zaniedbany chłop Sanojca z wytwornym, szpakowatym brunetem posłem księciem Radziwiłłem. Był mir między dawnym wodzem ruchu ludowego Bójką i panem na Rusi, księciem Sapiehą.

O posiedzeniach plenarnych podawano zwykle w komunikatach klubu, że zagaił posiedzenie książę Radziwiłł, że poparł go poseł Sanojca. Regulamin o sankcjach karnych zakneblował usta wszystkim, nawet gadatliwym. Zamilkli kibice bufetowi, którzy przy kieliszku chętnie ujawniają pewne drastyczne szczegóły. Zresztą nie było co ujawniać. Klub był jedynie aparatem odbiorczym, słuchawką. Decydował zarząd, a raczej prezydium, ścisła piątka ludzi wtajemniczonych. Krótka narada w kularach, spacer przywódcy do ław rządowych, a w chwilę później wywołuje poseł Sławek skinieniem głowy jednego z posłów klubu BB i powierza mu wykonanie zadania. Czasem piątka rzuca rozkaz dla całego klubu. Ścisłe, z metodycznością wojskową opracowywano tu plany obstrukcji sejmowej.



Czasem piątka przekazuje pewne zadania parlamentarnym specjalistom klubu. Należy działać z regulaminem sejmowym w rękę, należy spreparować projekt ustawy. W kuluarach sejmowych krząta się wówczas młodzieńcy satelita księcia Radziwiłła, dawniej adiutant marszałka Trąpczyńskiego, poseł Piasecki. Zjawia się wówczas b. minister sprawiedliwości poseł Makowski, oczywiście tuż obok stoi „wyga parlamentarny”, rzekomy wychowanek Oksfordu, poseł Polakiewicz. Reszta posłów z klubu BB patrzy badawczo na wtajemniczonych i szuka odpowiedzi przy stole sprawozdawców parlamentarnych. Stoi krucho sprawa budżetu w komisji budżetowej, przepadają wnioski rządowe, prezes komisji poseł Byrka staje do raportu, słucha stanowczego rozkazu pułkownika Sławka, znosi uwagi posła Polakiewicza. Są stale pod dozorem, czuwają oczy gorliwych, muszą spełnić wszystkie ceremonie ustalone przez prezydium: bywać na posiedzeniach regionalnych, zjawiać się w komisjach, składać hołdy. Pilnuje posłów miła pani Aniela. Szuka ich w długich kuluarach, w bufecie sejmowym, w mieszkaniach prywatnych, by rzucić rozkaz zwierzchnika. Klub odbywa musztrę przed każdym posiedzeniem sejmu. Posłowie zmieniają miejsca

42

zgodnie z porządkiem dziennym. Sejm rozpatruje sprawy zagraniczne lub ukraińskie, w pierwszych rzędach siada b. pepesowiec poseł Loewenherz, towarzyszy mu b. endeck poseł Zbigniew Stroński. Na porządku dziennym sprawy gospodarcze, dyryguje w pierwszych rzędach poseł Hołyński z Lewiatana. Wysuwa się przy sprawach żydowskich poseł Wiślicki i patrzy triumfująco w górę do dziennikarzy: nie zawsze sterczy w ogonku klubu.

Stale siedzą w pierwszych rzędach: Sławek, Kościałkowski, Radziwiłł, Koc i oczywiście poseł Polakiewicz. Czasem wysuwa się majster od łamania żeber, bebesowski Longinus Podbipełta, ziemianin Jaruzelski<sup>^</sup>

Załamuje się chwilami zwarty front. Dochodzą ciche odgłosy buntu „liberałów”, lecz nie na długo. Krótki rozkaz zamyka usta malkontentom, cofają szybko puszczone w kuluarach niedyskrekcje i wracają cisi, zgodliwi pod rozkazy.

11 września 1929

### *Bohater złotego środka*

Gdyby wypadki toczyły się normalnym trybem, gdyby nie było przewrotu majowego, rezydowałby dziś b. marszałek sejmu i b. minister oświaty, p. Rataj, na Zamku jako prezydent Rzeczypospolitej.

Dziś jest pan Rataj strażnikiem regulaminu sejmowego. Głos jego rozstrzyga, gdy nasuwają się zawile kwestie w zakresie taktyki parlamentarnej. Jest specjalistą od procedury załatwiania interpelacji i nagłych wniosków. Skrzydła kariery p. Rataja zostały obcięte. Najbliżsi towarzysze opuścili go. Oziębłe wita się z nim poseł Byrka. Nie poznaje b. marszałka poseł Polakiewicz.

Na polach bitwy parlamentarzysty otrzymywał Rataj szybko jedno odznaczenie po drugim. Rataj był bowiem przez pewien czas ulubieńcem wodza chłopskiego Witos. Dwóch posłów budziło jego nadzieje: Brył i Rataj. Obaj synowie chłopów, którzy stali się inteligentami i szybko wspinali się po szczeblach kariery. Poseł inżynier Brył był taktykiem, właściwym kierownikiem stronnictwa Piasta. Poseł Maciej Rataj, b. członek Wyzwolenia, zrozumiał od pierwszej chwili, że przy pomocy Witos można wiele osiągnąć. Witos zaś szukał człowieka, który by mógł wmieszać się w dyskusję teoretyczną, który potrafiłby w ogniu aka-

43

demickich debat dorzucić słowo w imieniu Piasta, słowo nie wyjaśniające niczego, do niczego nie obowiązujące, a tak zagmatwane, że mogłoby wywołać wrażenie głębi.

"W istocie mógł Witos być zadowolony ze swego ucznia, posła Rataja. Na zjazdach Piasta, na posiedzeniach zarządu redagował on długie, inteligentne rezolucje.

P. Rataj był mistrzem w stępianiu ostrza radykalnych uchwał, idących zbyt daleko na prawo czy na lewo. Subtelne nici nieinteligentnych intryg, oto była jego specjalność

„Środeczkiem do celu” — to była dewiza p. Rataja. Już na stanowisku min. oświaty był Rataj prawdziwym marszałkiem sejmu, bezpartyjnym o zabarwieniu piastowskim. Pan Rataj nie był szczególnie religijny, a jednak potępiał akcję wolnomyślicieli. Nie był skrajnym reakcjonistą, a jednak ganił obstrukcjonistów przy obradach nad reformą rolną. Chłopski syn, Maciej Rataj, wyrobił w sobie maniery, które wyróżniały go spośród chłopskiego żywiołu. Prócz Witos, rzadko chłop bywał w jego mieszkaniu.

Tak to złotym środkiem osiągnął Rataj godność marszałka

sejmu. W pierwszych więc latach już stanął u progu swoich marzeń. Po zamordowaniu prezydenta Narutowicza stał się marszałek Rataj tymczasowym prezydentem Rzeczypospolitej.

Tragiczna śmierć Narutowicza zbliżyła na krótko lewicę, centrum, a nawet mniejszości narodowe. Czekano na premiera, który by odparł atak prawicy, przeciwstawił się endeckiej ofensywie. Marszałek Rataj pozostał jednak wierny zasadzie złotego środka. Znalazł człowieka, który by mógł wszystkich kokietować,

któty by nikogo nie zadrażnił, premierem został generał Sikorski.

Wkrótce Rataj znalazł mir w oczach prawicy, która odnosiła się do niego z pełnym uszanowaniem. Do gabinetu jego przychodzili endecy jak do spowiedzi. Mówiono sobie od serca, szukając drogi do utworzenia rządu koncentracji narodowej tzn. rządu chienio-piasta.

Lewicy zależało na obiektywności rzutkiego marszałka i rychło doszedł do skutku cichy blok pomiędzy PPS a Ratajem. W ciężkich chwilach, gdy mniejszości narodowe żądały wyrażenia yotum nieufności marszałkowi sejmowi, PPS ratowała sytuację.

Rataj zdobywał serca wszystkich. Regulamin traktował łagodnie. Pojął on szybko istotę maszyny parlamentarnej. Jeszcze szybciej nauczył się nie słyszeć projektów lub poprawek skrajnej lewicy, zapominać o poddaniu pod głosowanie rezolucji mniejszości narodowych, zasłaniając się przepisami regulaminu.

Projekty ustaw z setkami poprawek musiał przeprowadzać w sejmie osobiście marszałek Rataj. W gąszczu poprawek, przy nie-

44

ustającej gimnastyce poselskiej (wstawanie i siadanie) tracił już niekiedy orientację nawet bystry umysł Strońskiego. Orientuje się jednak marszałek sejmowi Rataj, prowadząc dalej głosowanie, odróżniając zbyteczne i konieczne poprawki. Wreszcie projekt ustawy w gotowej formie doręczany był rządowi. Przemawia skrajnie lewicowy poseł. Wysoka, elastyczna figura marszałka Rataja zatracza naraz całą swoją elastyczność i giętkość. Rataj reaguje w takich chwilach surowo. Ostro upomina mówcę, przypomina przysięgę poselską, nienaruszalność traktatów. W ten sposób z biegiem czasu stał się marszałek sejmowi Rataj wcieleniem patriotycznej bezpartyjności, człowiekiem, który umiał jednocześnie protegować blok chienio-piasta, nie drażniąc zarazem lewicy.

Sejm rządził krajem, marszałek zaś sprawował rządy w sejmie, cierpliwie czekając zakończenia kadencji, zmiany ordynacji wyborczej, która by doprowadziła do zdobycia wszystkich mandatów przez ugrupowania „rdzennie polskie”. Rataj podniósł blask i splendor parlamentu. Osobisty jego sekretarz arystokrata, hrabia Dwernicki, dbał o zachowanie manier, troszczył się o to, by wagon salonowy marszałka sejmowi zajmowało pierwsze miejsce podczas uroczystych ceremonii, by wagon salonowy marszałka jechał na czele pociągu, by dyplomaci nie zapominali składać wizyt pierwszemu człowiekowi w Polsce.

Szare ubranie z pierwszego sejmowi zamienił marszałek Rataj na czarne ubranie żakietowe z kwiatkiem w klapie, miękki kapelusz — na twardy, przyjaźń — na zdawkową uprzejmość wobec wszystkich.

Nadeszły krwawe dni majowe. Marszałek Rataj obserwował wypadki i dziwił się. Wszystko naraz załamało się, skończyła się polityka złotego środka. Począwszy od tego dnia wraz z upadkiem sejmowi, zaczął się i jego upadek. Dodawano mu otuchy, by występował w obronie praw parlamentu, by jako marszałek sejmowi bronił jego autorytetu. Bohater złotego środka jednak nie potrafił walczyć. Dekrety o odraczaniu i zamykaniu sesji sejmowych obracały w niwecz jego kunsztowne, lecz papierowe deklaracje. Dostojni goście opuszczali już gmach sejmowy. Często gościem stał się natomiast porucznik

Zaćwilichowski, złowieszczy „łącznik” między rządem a sejmem. Opuścił go dawny przyjaciel premier Bartel. Korespondencja między nimi toczyła się za pośrednictwem porucznika Zaćwilichowskiego.

Wagon marszałka sejmowi został odczepiony od rządowego pociągu krakowskiego, który wracał z uroczystości sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel. Rząd nie chciał się kompromitować obecnością wagonu sejmowego. W okresie, gdy sejm został roz-

45

wiązany, gdy urzęduje jedynie marszałek sejmowi, odebrano mu prawo posługiwania się własnym wagonem, a nawet prawo bezpłatnej jazdy.

Marszałek Rataj patrzył nieco zdziwiony na bieg wypadków. Czego chcą od niego? Przecież nie angażował się, nikomu nie stawał na przeszkodzie, był przez wszystkich lubiany, szedł zawsze złotym środkiem.

Z wysokiego tytułu marszałka sejmowi pozostało mu zaledwie mieszkanie w budynku sejmowym, mandat z ramienia Piasta, miejsce w sejmowej komisji, przyjaźń marszałka Daszyńskiego i posła Niedziałkowskiego. Kroczy po niegdyś swoim sejmie, jak gdyby człowiek zubożały, zabierając jedynie głos w ciężkich dniach walki sejmowi z rządem, by ratować polityką złotego środka upadający parlament. I tylko pełne uszanowania ukłony woźnych sejmowych przypominają mu jego dawną wielkość i wspaniałość.

23 maja 1929

**Marszałek Rataj zerwał z polityką złotego środka w r. 1939, gdy chodziło o walkę z okupantem. Zginął jako ofiara hitleryzmu.**

*Ugrzeczniiony socjalista z PPS*

Codziennie widnieją na łamach „Robotnika” groźne slogany: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. „Niech żyje rząd robotniczo-włościański”. „Niech żyje socjalizm”.

Na straży rewolucyjnych haseł „Robotnika” stoi poseł Mieczysław Niedziałkowski, któremu partia powierzyła mandat naczelnego redaktora po śmierci Feliksa Perlą. I oto trzydziesto-sześćoletni Niedziałkowski piastuje najwyższe urzędy w partii. Naczelnny redaktor centralnego organu, członek komitetu wykonawczego, zastępca chorego prezesa klubu parlamentarnego (posła Marka), członek komisji konstytucyjnej i spraw zagranicznych, urzędowy wódz opozycji, reprezentant lewicy zagranicą, towarzysz marszałka sejmu Daszyńskiego — słowem poseł Niedziałkowski ma dużo rewolucyjnych naszywek na swoich parlamentarnych epoletach. Nie przebył z dawnymi towarzyszami partii rewolucji 5-go roku, za młody był by działać czynnie w oddziałach niepodległościowych, a później w legionach. W owe czasy kształcił się młody Niedziałkowski, uczył się języków i otrzymywał solidne wychowanie.

Dopiero niepodległość Polski przyczyniła się do wysunięcia Niedziałkowskiego. Został szybko teoretykiem partii. Trzy czwarte dawnego programu zrealizowało życie. Niepodległość Polski była już faktem. Należało pomyśleć o socjalizmie na raty, o programie na dziś. Zmarł teoretyk partii Luśnia, ubył z szeregów Gumplo-wicz, został teoretykiem Niedziałkowski.

Stanął u boku premiera Moraczewskiego, pozyskał od razu poważanie. Solidnie wykształcony wilnianin znany był jako pupił marszałka Piłsudskiego. Opracowywał ordynację wyborczą w ministerstwie spraw wewnętrznych. Często towarzyszył premierowi w podróżach bryczką, środkiem lokomocji prezydium Rady Ministrów.

Rewolucyjna ordynacja wyposażyła w bierne prawo wyborcze Niedziałkowskiego. Otrzymał mandat w tym mieście, gdzie dawniej zasiadał na stolcu biskupim stryj jego, biskup płocki.

Od razu stanął w pierwszych szeregach PPS. Nie wygłaszał świetnych przemówień, nie przerywał mów ostrymi docinkami, nie uderzał w pulpit. Nie zrywał posiedzeń komisji. Wysoki, kształtny, delikatny, salonowy socjalista siedział w solidnym towarzystwie teoretyków konstytucji lub w zespole znawców polityki zagranicznej. Grzmiał z mównicy poseł Daszyński, trąbił w czasie obstrukcji poseł Dłamand, krzyczał słabiutkim głosem Perl. Dobrze wychowany poseł Niedziałkowski rzucał co najwyżej w czasie obstrukcji delikatną uwagę... cienki głos jego tonął w rozgwarze.

Gdy jednak należało w czasie ogólnej debaty konstytucyjnej zabrać głos w imieniu PPS, wówczas przemawiał poseł Niedziałkowski. Mówił jak profesor, cytował uczonych po francusku, niemiecku i angielsku. Towarzysze w robocie konstytucyjnej: Dubanowicz, Lutosławski, Baworowski, dziwili się umysłowi młodego starca Niedziałkowskiego. Stary Koliszer z klubu kapeków mówił: jaki świetny materiał na postępowego konserwatystę w przyszłości.

Był ozdobą i skarbem partii. Przy rokowaniach międzyklubowych pamiętano, że przyda się każdemu rządowi.

Jednolity był bowiem parlamentarny front polityki zagranicznej, kto więc pojedzie na posiedzenie Ligi Narodów do Genewy, kto będzie rozmawiał z socjalistami różnych krajów, kto będzie czarować po francusku towarzysza Paul Boncour'a lub Thomasa? Kto będzie mówił z towarzyszem Macdonaldem, kto porozumie się z socjalistami niemieckimi? Kto reprezentować będzie na zjazdach międzynarodowych polską rację stanu, komu innemu uwierzą, że polityka Polski jest pokojowa? Stroński po prawicy, Niedziałkowski po lewicy. To byli nieodstępni towa-

46

**47**

rzysze podróży ministrów spraw zagranicznych. Toteż każdy rząd považał młodego Niedziałkowskiego, który rozwijał się normalnie, zawierał zagranicą znajomości z mężami stanu. Teoretyzował w kraju wydając książkę Marksa skomentowanego i ulepszanego.

Miał drogę otwartą do dalszej kariery. W centroprawie byłby dalej ekspertem, a w centrolewic ministrem. Miał bowiem zalety dyplomaty. Umiarkowany i spokojny, a jednak niezupełnie fleg-matyk, nie abstynent, ale i nie pijak. Normalne dwie cytrynowki dziennie.

W tym duchu redagował „Robotnika”, w tym duchu prowadził opozycję sejmową: delikatnie, spokojnie pisywał rezolucje, coś w rodzaju groźby palcem niu, niu, niu dla dzieci.

Po przewrocie majowym, gdy rozdźwięki między PPS a obozem majowym wzrastały, trwał jeszcze cichy dyplomatyczny flirt między premierem Bartlem a posłem Niedziałkowskim. Bo trudno było gniewać się na spokojnego, pełnego umiaru posła Niedziałkowskiego.

Gdy poseł Sławek wyzwał na pojedynek Niedziałkowskiego dziwiono się w klubie BB. Zzymali się jego przywódcy, rodacy wileńscy, posłowie Piłsudski, Kościałkowski, Okulicz, Mackie-wicz. Znają go z Wilna, z domu, wiedzą, że nie jest groźny, że otrzymał staranne wychowanie, że nie zasłużył na pojedynek. Toteż zademonstrował swe sympatie członek BB, prezes komisji spraw zagranicznych, książę Janusz Radziwiłł, ustępując przewodnictwo posłowi Niedziałkowskiemu.

Cieżko bowiem gniewać się na obecnego przywódcę opozycji. Nieraz jeszcze przyda się w okresie zawikłań międzynarodowych i na terenie Ligi, lub w Drugiej Międzynarodówce — ugrzecz-niony rewolucjonista z PPS.

25 lipca, 1929

**Przypisek. Artykuł ten pisałem 30 lat temu. W toku 1939 w walce z okupantem okazał się Niedziałkowski nieugięty. Zyskał na ferworze. Wykazał charakter i zginął jako bohater.**

*Marszałek marszałka*

Pierwszego występu posła Ignacego Daszyńskiego oczekiwała galeria, a nawet sejm, jak występu światowej sławy wirtuoza. Był on znany i sławny od wielu lat. Daszyński porywał w Wiedniu masy, grzmiał w austriackim parlamencie, pory-

**48**

wał dusze całej młodzieży w Galicji i brał w jasyr serca wszystkich dziewcząt. W krakowskiej ujeżdżalni walczył przeciwko panom z obozu konserwatywnego. Na międzynarodowych kongresach należał do pierwszych skrzypków.

W swym pierwszym występie w sejmie polskim dał wzorowy klasyczny koncert słowa. Na trybunę wszedł wysoki pan, ubrany na czarno, o siwych włosach, bystrym wzroku, długich rękach i rozpoczął swą mowę kilkoma zdaniem wypowiedzianymi cicho. Głos rósł i wibrował różnymi tonami.

W kilku zdaniach był wzburzony i rzucał gromy basem, który brzmiał jak uderzenie bębna, drwił z przeciwnika, a tony Mefista z Fausta słyhać było w przemówieniu. Rytmicznie pracowały długie ręce. Demostenes, Cicero, klasyczni polscy aktorzy, to wszystko jednoczył Daszyński w geście, w dźwięku i w słowie.

Jakby mimochodem położył na obie łopatki premiera Paderewskiego, który w swych pierwszorzędnym mowach uznawał wyłącznie ton patosu, a nie ton satyry, którym tak świetnie operował Daszyński. A kiedy Ignacy Daszyński zabrał głos w wielkiej debacie w sprawie reformy rolnej, obawiali się obszarnicy z Kongresówki, że przyjdzie nie tylko oddać ziemię chłopom, lecz także dopłacić im, aby ziemię brali. Tak groźny był ton mowy Daszyńskiego. Panna Tola z bufetu, która uciekła z Rosji i straciła tam swoje dobra, nie miała serca podać coś Daszyńskiemu, temu Robespierrowi Polski, pragnącemu wyróżnić polską szlachtę. Rewolucjonista Daszyński nie był tak straszny, jak go malowała panna Tola. Takt Daszyńskiego rzucał się zaraz w oczy. Jakże rycersko rozmawiał ze swymi zagorzałymi przeciwnikami klasowymi, jak taktownie prowadził za rękę hrabiego Baworowskiego, jak mile uśmiechał się mówiąc ze Skulskim. Mistrz w walce z endekami, groził im strasznie w dniu, w którym doszli do władzy... „Zgłodniały lud nie będzie patrzył spokojnie” „gniew ludu jest straszliwy”. A ileż rodzajów rewolucji miał Daszyński na ustach? Aby zastraszyć obszarników mówił o „rewolucji w majestacie prawa” i wołał, że „rewolucja wzburzenia wybuchnie wśród mas”.

Kiedy jednak trzeba było tonów do koncertu narodowego, jedności wszystkich klubów, narodowej manifestacji, wówczas dawał Daszyński swoim prawicowym kolegom lekcje patriotyzmu. Żaden człowiek nie nienawidził tak z trybuny Czechów w walce o Cieszyn, żaden Lutosławski nie nienawidził tak bolszewików, jak Daszyński na trybunie. W wielkich dniach narodowej jedności przemawiał on w imieniu wszystkich. Przemawiał na „bis”. Były to tego rodzaju przemówienia, które we Francji rozplakatowuje się jako wzór patriotyzmu i krasomówstwa.

**49**

A kiedy przyszła wojna z bolszewikami i potrzeba było szefa propagandy, wszedł do gabinetu jako wicepremier. Mistrz opozycji prezentował się doskonale jako członek rządu.

Zakończyła się wojna i Daszyński wrócił do sejmu spożywać gorzki chleb opozycji, walczyć przeciw prawicy, obalać gabinety, grozić gniewem ludu i rewolucją oburzenia. Główna opozycja była również głównym zwolennikiem Belwederu. Po wielkich walkach z prawicą zwykł był przywódca opozycji przybywać ze sprawozdaniem do Belwederu. Tam nieraz słyszał gorzkie słowa. Przyjaciół Ignacego Daszyńskiego Józef Piłsudski znał doskonale mistrza słowa i niejednokrotnie powstrzymywał wielkiego trybuna, kiedy i tu chciał grać rolę przywódcy ludu.

W groźnych dniach roku 1922, kiedy endecki tłum zamknął w bramie Daszyńskiego i Limanowskiego, a robotnicy z fabryk biegli na ratunek swych przywódców, dał Daszyński świetne widowisko, jak należy załatwiać się z ministrami. Drżał minister spraw wewnętrznych Kamiński, kiedy wyzywał go od „łobuzów”, „smarkaczy” i „nicponiów”.

Grzmiał jeszcze głos Daszyńskiego kilka dni po wypadkach listopadowych, ale już niedługo. Razu pewnego, kiedy mówca na trybunie chciał wołać z oburzeniem i grozić „rewolucyjnym gniewem ludu”, głos jego załamał się, mówca szybko zeszedł z wysokich tonów i jeszcze szybciej zakończył przemówienie. Niedługo potem dowiedziano się, że Daszyński zachorował, że ma wadę serca i wyjechał do Nauheim. Trybuna była dla niego zamknięta. Nie wolno mu było już więcej przemawiać. Partia postanowiła

podziękować przywódcy: zajął on miejsce wicemarszałka Moraczewskiego, (który objął stanowisko ministra), odsunął się prawie od aktywnej polityki i rozpoczął pisanie pamiętników. Ale oto następuje przewrót majowy i Daszyński nie może pozostać w spokoju. Jego marzenia ziszczą się. Marszałek Piłsudski obejmuje władzę w kraju. Zdaje się, że nadszedł właściwy czas, by pierwszy w r. 1918 premier polski wszedł do nowego rządu, by wierny sługa zwycięzcy stał się wicepremierem gabinetu. Daszyński pozostaje jednak w cieniu, nie wspomina się go.

Zasiadł na poły zagniewany na fotelu wicemarszałka i gniewa się w broszurze na nowy rząd, który zapomniał o ludzie. Nie grozi marszałkowi Piłsudskiemu gniewem ludu, czyni mu jedynie delikatne wyrzuty, pełne poszanowania i uznania dla Marszałka. Ale oto wysłała opozycja swego przywódcę na trybunę sejmową. Daszyński ma przemawiać przeciwko rządowi marszałka Piłsudskiego. Sumienie nie pozwala mu na to i rzuca gromy z trybuny przeciw wicepremierowi, przeciwko profesorom w gabinecie, uda-

50

jąc że nie słyszy, kiedy opozycja prawicowa za każdym razem woła do niego: „Piłsudski”.

Po długim okresie milczenia wygłosił Ignacy Daszyński znowu przemówienie. Jeszcze raz oczarował salę starymi sztuczkami, ale był to tylko ryk konającego lwa w konającym sejmie. Długo musiał odpoczywać trybun po ostatnim przemówieniu.

Wielka tragedia rozegrała się, kiedy Daszyński został wybrany marszałkiem sejmu wbrew woli marszałka Piłsudskiego. Nie wierzył on, że długo potrwa gniew Belwederu. Sądził, że doprowadzi do pokoju. Gotów był przynieść na tacy do Belwederu głowę parlamentu, byle tylko zostać tam znowu bywalcem.

Poszedł cierniową drogą: kłaniał się ministrom w nadziei, że marszałek Piłsudski spojrzy na gmach sejmu. Długie dni oczekiwał jego wizyty. Tęsknił, a nie mogąc znaleźć drogi do niego, zwykł był w tajemnicy prowadzić rozmowy z cieniem marszałka Piłsudskiego, z jego przyjacielem Walerym Sławkiem.

Jakże delikatnie robił wyrzuty posłom z BB, byle nie rozgniewać Belwederu. Wszelkimi sposobami powstrzymywał swój klub i czekał by otworzyła się droga powrotna. Był sam w Belwederze, zaprosił marszałka na uroczystości dziesięcioletniego jubileuszu sejmu, aby udowodnić, że komendant przybywa w gościnę do swego dawnego przyjaciela. Ale obywatel komendant nie chciał przybyć do znieawidzonego sejmu. Kiedy nadeszła wiadomość, że marszałek Piłsudski przybędzie do senatu, chciał Daszyński przynajmniej w przejściu spotkać się z przyjacielem. Piłsudski postanowił jednak ominąć gmach sejmu. Uczucie gniewu wdarło się do serca Daszyńskiego, zabronił sekretarzowi udać się na posiedzenie komisji budżetowej senatu. W chwili gdy marszałek Piłsudski siedział w komisji budżetowej senatu, Daszyński znajdował się w bibliotece sejmowej i smutnie przeglądał katalog.

Ale Daszyński ma nadzieję, wierzy, czyni wszystko by pozyskać zaufanie Belwederu. Dawny przywódca opozycji powstrzymuje dzisiejszych opozycjonistów.

Z trybuny przemawia poseł Zahydny (Ukrainiec). Marszałek sejmu przysłuchuje się przemówieniu posła. Padają groźby rewolucji. Dawny przywódca opozycji, który sam ongiś groził rewolucją, przerywa mu i czyni żartobliwą uwagę: „proszę nie straszyć rewolucją”:

Stary doktor Daszyński prosi młodego Zahydnego, by nie mówił o pulsie, albowiem on, który latami trzymał rękę pacjenta, wie że nie ma pulsu. Tych z galerii można jeszcze straszyć rewolucją, ale nie jego. I ściskają mu dłonie za prowadzenie posiedzeń posłowie z prawic-, z klubu BB, przedstawiciele rządu.

Brakuje tylko jednej

51

dłoni, dla której to wszystko czyni, na którą czeka **cierpliwie** marszałek Daszyński, dłoni marszałka Piłsudskiego.

13 maja, 1929

Felieton ten był pisany w maju 1929 r. W październiku tegoż roku Piłsudski zorganizował najście oficerów na sejm i przygotowywał krwawą łaźnię dla posłów. W tym momencie Daszyński umiał się jednak postawić. Nie chciał otworzyć sejmu mimo nacisku Piłsudskiego. Zawrócił z drogi nieustannego kompromisu z „komendantem”. Tak rozpoczęła się istotna parlamentarna opozycja marszałka Daszyńskiego.

*Gladiator parlamentu — Herman Lieberman*

Stało się. Na czoło opozycji w sejmie wysunął się po procesie Czechowicza poseł Lieberman. Dopiero po przemówieniach w sądzie, po tym kiedy na barkach swych nosił jarzmo całego parlamentu, kiedy zaangażował partię w dalszą walkę słowną przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu, staje się Lieberman faktycznym przywódcą lewicowej opozycji.

Nie jeden patrzący z góry na salę sejmową, i słuchający głosu posła Niedziałkowskiego, który zwykł był „grzmieć” dyskantem przeciwko obecnemu rządowi, zapytywał: gdzie jest stara gwardia, dokąd usunięto starych asów parlamentarnych, czujących się na trybunie jak ryba w wodzie?

Posła Hermana Diamanda usunięto, przyznając mu godność prezesa Rady Naczelnej, nie występuje

więc prawie nigdy i rzadko dorzuca jakiś „szlagwort” w czasie nudnej dyskusji w sejmie W ukryciu siedział i drugi Herman parlamentu — poseł Lieberman.

Ten walczył na drugorzędnych pozycjach, wsunięto go do komisji prawniczej, by przeglądał ustawy, kontrolował dekrety, referował międzynarodowe traktaty. Usadowiono go w szeregach parlamentarnego „landszturmu”.

Odbywa się wielka dyskusja nad konstytucją. Wśród mówców w pierwszym rządzie zabiera głos poseł Niedziałkowski. Dopiero w drugiej kolejce wchodzi na trybunę poseł Herman Lieberman, rozkładając, jak dobrotliwy narrator, ręce na pulpicie. Taktownie kładzie na łopatki księcia Radziwiłła, drze pasy z „sanacyjnej” konstytucji.

Specjalnymi promieniami przeświecił Lieberman projekt konstytucji i pokazał słuchaczom jego prawdziwą „duszę”. Praw-

**52**

ńczy szperacz wyjął z niej bebechy i położył je na stole parlamentarnym. Uczynił to atoli z takim taktem, że nikt nie doznał uczucia wstrętu, a cała sala rozbrzmiewała śmiechem, patrząc jak męczy się i umiera w agonii projekt sanacji.

Nie zaniechał przy tym starego środka pozyskiwania oklasków nie tylko na ławach swych towarzyszy. Uderzył rychło w tony patriotyzmu, miłości ojczyzny, narodu i nawet od endeków wymusił oklaski, albowiem dla Liebermana za mało jest być dobrym mówcą. On musi nadal zdawać egzamin z patriotyzmu, jakkolwiek nikt się o to nie upomina, podobnie jak musi w tych przemówieniach dawać lekcje polskości.

Czynił to zapewne z przyzwyczajenia. Podobnie musiał w pierwszym okresie „koszerować” swój koszerny mandat od żydowskich wyborców w Przemyślu. Musiał go koszerować w oczach towarzyszy Daszyńskiego i Moraczewskiego oraz Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim.

Ale pomijając sprawę koszerności, był Lieberman nadzwyczajnym mówcą w pierwszym parlamencie polskim. Kilkakrotnie zabierał głos w sprawach konstytucji. Kilka razy mówił o swojej dziedzinie, o sprawach wojskowych, a potem zamilkł. Feliks Perl i dwaj Hermani (Diamand i Lieberman), trzech Żydów — to było za wiele dla Moraczewskiego i jego towarzyszy.

Rzadko padał złośliwy *Zwischenruf* pod adresem posła Liebermana. Zwykł się wówczas natychmiast ubezpieczać patriotyzmem, a trudno było rzucić Liebermanowi okrzyk Żyd, skoro przemawiał w imieniu interesów narodu polskiego.

Tak wystąpił patriotycznie przeciwko krytyce piłsudczyków, którzy się opowiedzieli przeciwko ustawie wojskowej Sikorskiego. Dał im lekcję patriotyzmu, zyskał poklask całej izby, ale za to wypominano mu w Belwederze, że jest sikorszczykiem.

Struna pękła — poseł Lieberman zdobył sejm, lecz stracił obóz piłsudczyków. Nie pomogły jego dawne zasługi, dawne osobiste stosunki z marszałkiem Piłsudskim, wspaniałe przemówienia obrończe legionów w czasach austriackich (Marmarosz Sziget). Herman Lieberman został wypchnięty z szeregów pił-sudczykowskich.

Po przewrocie majowym nie było już miejsca w kierowniczych organach PPS dla Liebermana.

Moraczewski, Jaworowski, Malinowski stali wtedy u steru. Nie pomogły jego zasługi przy tworzeniu i budowaniu partii, przy organizowaniu kas chorych, przy budowie domu ludowego w Przemyślu.

Lieberman został usunięty niemal ze wszystkich pozycji w partii. Przy wyborach sejmowych z trudem znalaziono dla niego miejsce wśród kandy-

**53**

datów na liście państwowej, z której trudniej było się dostać do sejmu.

Był osamotniony. Z ulicy żydowskiej odszedł już dawno. Był już tak spolszczony, że gotów był Żydom dać autonomię kulturalną. Trudno mu więc było otrzymać mandat od żydowskiego drobnomieszczactwa w Przemyślu, a u bram proletariatu polskiego stali na straży Jaworowski i Pączek. Piłsudzczycy jednak w końcu odeszli z obozu PPS, padł w walce poseł Marek, zasiadł na fotelu marszałka Ignacy Daszyński, a młoda gwardia PPS znała bardzo słabo nuty parlamentarnej retoryki.

I skokiem wszedł na trybunę pięćdziesięciodziewięcioletni H. Lieberman wyrывая smyczek flegmatycznemu posłowi Niedziałkowskiemu. Dał pierwszy koncert podczas dyskusji o konstytucji.

Audytoryum sejmowe żądało drugiego koncertu i *zagrał* symfonię

— oskarżenia przeciwko ministrowi skarbu Czechowiczowi. Padł w walce, zaatakowany osobiście przez sanację poseł Woźnicki z Wyzwolenia. Falszywie brzmiała obrona demokracji przez endeka Rybarskiego.

Automatycznie stał się przywódcą ostatniego bastionu poseł Lieberman,

Żwawo poruszał się poseł Lieberman w czasie stawiania pytań ministrom. Przypominał sobie swoje dawne

walki parlamentarne.

Prawnicy warszawscy otrzymali wzór retoryki, posłowie — temperamentu, sędziowie — znawstwa prawa, a wszyscy razem

— patriotyzmu. Kiedy wszedł już w hazard mówcy, zatarło się pierwsze wrażenie startego nieco organu głosu. Lieberman zwyciężył. Obecnie jest drugim w szeregach PPS przywódcą pełnej sesji jesiennej sejmu. Czy na długo? Pokłóceni mogą się przeprosić i kto wie, czy wówczas znowu nie odejdzie do rezerwy poseł Lieberman.

23 lipca, 1929

**Rząd zużył osiem milionów złotych na poparcie akcji wyborczej rządowej w r. 1928. W r. 1929 sejm pociągnął przed trybunał stanu ministra skarbu Czechowicza, oskarżywszy go o nadużycia pieniężne na poparcie bloku i/ądowego. Jednym z oskarżycieli z ramienia sejmu w procesie, który odbył się w r. 1929, był poseł Lieberman.**

*Profesor Stroński*

Na sali sejmowej wrzawa. Lewica nie zgadza się ze sposobem prowadzenia obrad przez marszałka sejmu.

Wysmukły, giętki

54

w figurze i polityce, Rataj szybko cytuje odpowiedni artykuł regulaminu. Powstaje dyskusja prawnicza na temat słuszności interpretacji marszałka. Dwóch posłów równocześnie prosi o głos, biegnąc szybko do marszałka z regulaminem w rękę, z gotowymi komentarzami do konstytucji, z precedensami z czasów pierwszego sejmu, z dowodami zaczerpniętymi ze wszystkich parlamentów świata.

Jeden z nich wybiega z lewej strony izby, szepcząc coś marszałkowi do ucha. To poseł Lieberman. Drugi szepce coś do ucha prawego — to poseł Stroński.

10 do 15 minut trwa prawniczy pojedynek specjalistów. Szczyci się swym specjalistą dialektyki prawnej PPS. Raduje się dusza prawicy na widok „talmudycznej głowy” posła Strońskiego.

W towarzystwie ciężkiej artylerii endeckiej, ociążonych posłów poznańskich, po śmierci księdza Lutosałwskiego (który był żydowskiego pochodzenia) był Stroński najruchliwszym, najobrot-niejszym politykiem obozu prawicowego.

Z fachu profesor romanistyki, Stroński jest przeciwieństwem typu profesora. Niekiedy po prostu budzi niezadowolenie swych przyjaciół partyjnych z powodu swej nerwowości, szybkości ujmowania spraw. Jego przyjaciele z arystokratycznego klubu chrześcijańsko-narodowego należeli do kategorii polityków, których obowiązywał rytm dawnego poloneza. Przy nagłym zwołaniu konwentu seniorów wychodzili z sali sejmowej wolnym, statecznym krokiem, maszerując do gabinetu marszałka.

Stroński nigdy nie dostosował się do ich powolnego rytmu. Jakby do powolnego tańca wyskakiwał szybko ze swego fotelu, biegnąc do gabinetu marszałka. Pierwszy zajmował miejsce, pierwszy układał rezolucje, rzucał *Zwischenrufy*, pierwszy też wybiegał z konwentu seniorów, by rzucić dziennikarzom *bon mot*, rozświetlające jakby reflektorem zagmatwaną sytuację parlamentu.

Reakcjonista, antysemita, członek najsłabszego klubu prawicowego w sejmie, nie używał nigdy poseł Stroński (z wyjątkiem okresu wyboru prezydenta w 1922) w toku swoich licznych przemówień brutalnej formy ataku. Nigdy nie uderzał drągiem, obca mu była walka na słowa, przypominająca pojedynek na szable.

„Szpilki” swoje owijał Stroński jedwabiem. Kłuł słodkimi słowami wytworności. Nie polemizował po grubiańsku, nie używał słów pospolitych, był zawsze wytworny, elegancki.

Przemawia z trybuny poseł Grynbaum, żaląc się na krzywdy mniejszości narodowych, przy tym powołuje się na traktat wersalski, cytując odpowiednie paragrafy.

55

Chwilę później znajduje się na trybunie poseł Stroński. Z pamięci cytuje wszystkie artykuły i paragrafy traktatu wersalskiego. Okazuje się, że Żydzi są „uprzywilejowani” w Polsce, że dostają więcej niż im się należy.

Bo trzeba wiedzieć, że jeśli szło o traktat wersalski, był Stroński najwybitniejszym jego znawcą. Gdy trzeba było w ciężkiej chwili przy próbie wprowadzenia w życie numerus clausus w Polsce, fachowca, który by wykazał, że numerus clausus nie jest stosowany, a gdyby nawet i tak było, to byłoby to „zgodne” z Traktatem, wysyłano do Genewy posła Strońskiego. Znanca francuszczyzny, wdziawał tam Stroński toż liberalizmu, malując rząd chjeno-piastowski na kolor różowy, a nawet czerwony.

Gdy nastąpiła moda „przyjaciół ligi narodów”, których zadaniem było przeprowadzić na terenie genewskim sprawy mniejszości narodowych na korzyść uciśnionych narodów, stanął Stroński w szeregach „przyjaciół ligi”, zmuszając sędziwego profesora Aulard’a do wycofania rezolucji przeciwko stosowaniu numerus clausus w Polsce.

W szybkim tempie wyjeżdżał Stroński z Warszawy do Genewy. Za jednym zamachem załatwiał poruczone mu sprawy ministerstwa spraw zagranicznych, inspirował francuskich dziennikarzy, wysyłał kilka depesz i

korrespondencji, by znów pokazać się w sejmie i stanąć u boku prawicy w ciężkich chwilach pracy parlamentarnej.

Któż, jak on w lot podchwycił ideał faszyzmu? Kto pierwszy ogłosił artykuł z tytułem wziętym z hymnu polskiego: „z ziemi włoskiej do polskiej?”. Stroński drżał z radości na myśl, że Polska pójdzie w ślady Włoch. Cieszył się, gdy obserwował pochód studentów endeckich pod bramy sejmu w pamiętne dni listopada 1922 r., gdy prawica usiłowała objąć władzę.

Stroński zachęcał, przyśpieszał, nawoływał, ale towarzysze jego partyjni z prawicy, nie mieli dość tchu by nadążyć za nim. Zasapani ustawiali w połowie drogi, zaczęli się wahać.

Jak brutalnie grzmiała prasa endecka nazajutrz po zamordowaniu prezydenta Narutowicza, jak subtelnie i delikatnie pisał Stroński w artykule zatytułowanym: „Ciszej nad tą trumną”.

Krok w krok, następując na pięty szedł Stroński za Piłsudskim, który „stoi na przeszkodzie”.

Gdy w organie Paderewskiego „Rzeczpospolita”, którego redaktorem naczelnym był Stroński, nie było artykułu o wersalskim traktacie, to z wszelką pewnością był atak na Piłsudskiego. „Niech podpisze” — oto był tytuł artykułu, w którym Stroński domagał się, by naczelnik państwa podpisał nominację Korfan-tego na premiera. W takich chwilach Stroński tracił swą wytwor-

## 56

ność. Tutaj walił prosto z mostu. Uroił sobie bowiem, że w Belwederze zmobilizowano lewicę przeciwko triumfującemu pochodowi faszyzmu.

Dlatego też był Stroński jednym z głównych celów walki obozu Piłsudskiego. Nie brakło też w szermierce przypominania o żydowskim pochodzeniu Strońskiego. Był to najcięższy argument w walce z wybitnym działaczem antysemitycznym. Na wszystkie *Zwischenruffy* odcinał się Stroński szybko i dowcipnie. Tylko okrzyk „Żyd” pozostawiał stale bez odpowiedzi.

Gdy upadły szansę pochodzenia faszystowskiego, osłabły zarazem szansę Strońskiego. Stracił on mir w oczach swego protektora Paderewskiego, który koniecznie chciał zostać prezydentem Rzeczypospolitej. Stroński stracił swój organ „Rzeczpospolita” i musiał zbierać grosze wśród arystokratów na założony przez niego nowy organ „Warszawiankę”.

W ciężkich dniach po przewrocie majowym opuściła go szlachta ziemska. Długo służył wiernie w walce przeciwko reformie rolnej w obronie wielkich posiadłości ziemskich. Teraz jednak stracił wszelki wpływ, stracił w końcu „Warszawiankę”, a do trzeciego sejmu wszedł z łaski sprzymierzeńców endeckich.

Bez własnego pisma, bez stronnictwa, ratuje jeszcze Stroński swój prestiż w sejmie złośliwymi *Zwischenrufami*. Jakże chętnie przeszedłby do obozu BB, by pomagać mu w pracy. Jakże doskonale broniłby Stroński „ich a zarazem „swojej” konstytucji.

Dawny jednak zagorzały wróg marszałka Piłsudskiego nie może być dopuszczony do klubu BB. Jeszcze mu nie wybaczone jego dawnych grzechów. Tylko w ciężkich chwilach, gdy trzeba cytować traktat wersalski, by dowieść nienaruszalności granic zachodnich, gdy trzeba wykazać Ukraińcom, że uciskają Polaków, ukazuje się na trybunie sejmowej Stroński, zbiera oklaski nawet na ławach BB i częściowo zmazuje swe grzechy wobec marszałka Piłsudskiego.

15 maja, 1929

### *Ostatni mohikanin*

Różni „bohaterzy” narodowi zdradzili obóz prawicy. Jeden bohater dotrwał do końca. Jest to b. marszałek sejmu i senatu Trąpczyński.

## 57

Gdy otyły, wysoki pan o melancholijnym złym spojrzeniu siedział na swoim marszałkowskim krześle, każdy miał poczucie, że parlament opiera się o twarde, mocne podstawy, że nikt nie tknie parlamentu, tak jak trudno byłoby ruszyć z miejsca masywnego marszałka Trąpczyńskiego.

Poznań powierzył mu misję walki z wrogami Polski: z Niemcami, Żydami, a szczególnie z marszałkiem Piłsudskim. Lekceważąco odnosił się Trąpczyński do Paderewskiego, z góry patrzył na przywódcę chłopskiego Witosę. Szydził z lewej opozycji, czuł odrazę do mniejszości narodowych, nienawidził najserdeczniej jednak Piłsudskiego.

W dniach wielkości sejmu, gdy zdawało się, że walka między marszałkiem Trąpczyńskim a naczelnikiem państwa, Piłsudskim skończy się zwycięstwem pierwszego, gdy prawica wahała się jak traktować szefa państwa, on przyjmował go sucho i oziębło. Nie wyszedł na jego spotkanie, gdy przybył do sejmu i jak w obcym domu pytał szefa państwa Piłsudski o drogę do miejsca obrad komisji głównej. Marszałek sejmu był wówczas górą. „Duży” Trąpczyński figurował na znaczkach pocztowych. Niejednokrotnie udawał się karetą do Belwederu. Nigdy wizyta tam nie trwała dłużej niż 15 minut.

Gdy wierni Piłsudscy domagali się na posiedzeniach sejmu większego poszanowania dla naczelnika państwa, gdy bijąc w pulpity posłowie Bagiński i Poniatowski czynili wstręty Trąpczyńskiemu,



marszałek sejm u cierpliwie i spokojnie przyglądał się obstrukcji. Rzadko wstawał z krzesła marszałkowskiego, by wyprostować się i majestatycznym spojrzeniem uspokoić oponentów. Jeszcze rzadziej przywoływał posłów do porządku swym basowym głosem. Raz tylko przemówił jako marszałek sejm u, by podkreślić swą nienawiść do traktatu o mniejszościach narodowych.

Był pierwszą figurą jako marszałek sejm u, grał jeszcze pierwsze skrzypce jako marszałek senatu. Na parterze w długim korytarzu, w ciszy gabinetu senackiego przyjmował przywódców endeckich sejm u i uczył ich strategii w walce przeciwko Piłsud-skiemu. Bywało, że w walce tej tracił spokój, że opuszczał gabinet marszałka senatu, by w komisji wojskowej senatu spierać się o metody strategii.

Nastaly dni sejmowe. Wszystko załamało się w ciężkiej walce z reżymem. Wszyscy milczeli. Cierpliwie znosił ciosy marszałek sejm u Rataj. Marszałek senatu Trąmpczyński protestował przeciwko swoistym sposobom zwoływania, zamykania, odraczania sesji sejm u i senatu. Wystosowywał listy otwarte, krytyko-

wał zarządzenia rządu w komisji senatu. Wyrwał palmę pierwszeństwa marszałkowi sejm u i rozpoczął walkę w imię parlamentaryzmu. Był prawie jedynym szermierzem w polu. Do pokoju jego przestali już zaglądać posłowie z prawicy. Cisza zalegała korytarz, w którym się znajdował gabinet marszałka senatu, na palcach wchodzili jedynie woźni, by nie przeszkadzać Trąmpczyńskiemu. Tylko w godzinach wieczornych odpoczywał. O 9-ej wieczór marszałek senatu wyjeżdżał autem do klubu resursy kupieckiej, a o 11-ej wracał, by znowu podjąć walkę.

Przy wyborach do trzeciego sejm u w r. 1928 marszałek senatu Trąmpczyński wszedł do sejm u jako zwykły poseł. Zajmował skromnie pierwsze, a z czasem drugie miejsce na ławach prawicy. Siadał na równi ze wszystkimi posłami w bufecie, by pić ulubiony napój poznańczyków — piwo. Nie tracił jednak na powadze. Nie przestawał w dalszym ciągu walczyć. Na każdym posiedzeniu komisji budżetowej lub wojskowej, na plenarnych posiedzeniach sejm u uporczywie domagał się wyjaśnień rządu na drażliwe pytania o nadużyciach w budżecie wojskowym.

Zdawało się, że partyjni jego towarzysze już zapomnieli o tych drażliwych sprawach, że nie chcieli wcale uporczywego przypominania; mieli nowe kłopoty, inne zmartwienia, ale marszałek Trąmpczyński z pruską systematycznością i uporem nie ustępował.

Stary parlamentarzysta przypominał sobie dawne swoje walki w parlamencie niemieckim. Zajrzał znowu do ksiąg prawników niemieckich, znowu wertował kodeksy karne różnych państw, by w przemówieniu z trybuny powołać się na świętość prawa.

Zdawało się, że właśnie jego koledzy w partii chcą go wycofać z pierwszej linii bojowej. Przestał występować czynnie, pozostawiając walkę landszturmowi swego stronnictwa.

Opuścił przeto Warszawę. Przestał bywać w klubie resursy kupieckiej, gdzie kompanowie dawno opuścili już obóz endecki. Udał się do Poznania, do Soplicowa endeckiego, by odpocząć i dalej toczyć bój.

Czasem zjawi się w sejmie, zajdzie do czyteln i, sucho powita posłów, zmierzy z pogardą sojuszników, którzy go opuścili i wraca powolnym krokiem do dwupokojowego mieszkania w hotelu sejmowym.

Idzie samotny, a oglądają z podziwem tego osobliwego samotnego szermierza — lewi bojownicy Niedziałkowski i Cza-piński.

28 maja, 1929

59

### *Ogród sejmowy*

W gorące dni, gdy posiedzenia sejm u przeciągały się do czerwca, gdy przesilenie rządowe wylańiało się w sierpniu, a w kularach sejmowych było duszno tak, iż tchu złapać nie można było, był ogród sejmowy prawdziwym wytchnieniem dla posłów. Swobodniej prowadziło się tam rozmowy polityczne, łatwiej było tam odpocząć, unikając uwagi ogółu.

Ogród sejmowy zajmował dość duży obszar, granicząc z ogrodem Frascati. W gorące dni unosił się tam zapach świeżej murawy, w maju kwitły bzy, w wieczory czerwcowe śpiewały słowiki. Panowała cisza i z dala tylko dochodził hałaśliwy rozgwar ulicy.

Leży sobie na trawie poseł chłopski, wygrzewając plecy na słońcu. — W Choczni u nas już żniwa — powiada towarzysz jego, wchłaniając zapach świeżej trawy. — A i u nas na Pomoodpowiada chłop z b. zaboru pruskiego.

rze

Na tarasie, prowadzącym do ogrodu czekają posłowie. Tutaj jest miejsce spotkań, stąd wychodzi się parami lub w trójkę do ogrodu, by załatwić podczas przechadzki szereg spraw politycznych.

Poseł Czapiński z PPS siedzi w ogrodzie, studiując ostatni numer rosyjskiego, emigracyjnego czasopisma socjalistycznego, czerpiąc z niego materiały do artykułów o Rosji.

Nikt tutaj nie hałasuje, nikt nie krzyczy jak w kularach. Tutaj mówi się cicho, tu chłodzą się zbyt gorące

temperamenty. Posłowi chłopskiemu wydaje się w ogrodzie sejmowym, że znajduje się z dala od sejmu, a bliżej wsi, swego okręgu wyborczego. Z daleka dochodzi go głos z sali sejmowej, wzywający do głosowania. Kilku woźnych wychodzi do ogrodu, trzymając dzwonki ręczne. Dzwonią po ogrodzie, trudno jednak wyrwać posłów chłopskich. Nie mają ochoty pójść do dusznej sali, gdzie trzeba głosować lub krzyczeć.

Rzadko wpuszczano do ogrodu obcych podczas kadencji pierwszego sejmu. Tylko dla posłów, korespondentów sejmowych było to święte miejsce dostępne.

Tutaj możliwe są wszelkie spotkania. Zagorzały wróg Witos, Jan Stapiński, prowadzi pod rozłożystym dębem ożywioną rozmowę ze swym przeciwnikiem. Zbliżają się dni wyborów do drugiego sejmu, trzeba się porozumieć. Witos i Stapiński nie podają sobie ręki, patrzą w niebo, rzadko wypowiadając jakieś słowo. Tutaj też Witos wziął na kawał Stapińskiego. Stapiński pozostał bez mandatu w drugim sejmie.

## 60

Goślowanie nad gabinetem Skulskiego. Na ławce pod brzozą drzemie staruszek, poseł rabin Perlmutter. Po drugiej stronie chrapie ksiądz Kotula. Woźny dzwoni niemal nad samym uchem. Obaj słyszą głos dzwonka, pozostają jednak na miejscu, wygrzewając się pod słońcem.

Prawdziwe intrygi, właściwa praca sejmowa zaczynała się właściwie wieczorem po zachodzie słońca. W pierwszym okresie pracy sejmu ogród sejmowy był nieoświetlany i tylko światło płynące z sąsiednich domów skąpo oświetlało aleje ogrodów. Toteż gdyby Daszyński prowadził rozmowę pod drzewem z księdzem Lutosławskim, nikt by tego nie spostrzegł.

Siedzi na ławce parka i szeptem rozmawia. Czyżby romans? Nie, to poseł Moraczewski i małżonka jego, posłanka, prowadzą między sobą polityczną rozmowę.

W drugim sejmie rozpoczęły się już pewne reformy w ogrodzie sejmowym. Zmniejszony został plac przeznaczony dla przechadzek. Urządzono dwa korty tenisowe. Zaczęli się pojawiać w ogrodzie obcy. Major Switalski grywał w tenisa ze swymi przyjaciółmi z pierwszej brygady.

Nadeszła wreszcie złowroga wiadomość, iż część ogrodu sejmowego musi być zniwelowana. Plac jest potrzebny dla nowego budynku sejmowego. Nagle obalony został historyczny dąb, w którego cieniu ubito tyle interesów politycznych. Przechadzka stawała się coraz bardziej utrudniona. Przybyła natomiast atrakcja: marszałek sejmu Rataj podarował dla ogrodu kilka jeleni i sarenek. Stoją tedy posłowie zakopiańscy, zabawiając się wesoło z sarnami.

W czasie zajęć sejmowych w r. 1926 kule armatnie zniszczyły jeszcze kilka dębów Fruwały kule i szrapnele niszcząc stare drzewa. Marszałek Rataj interweniował u dowódcy oddziału wojskowego, tłumacząc, że ogród sejmowy jest eksterytorialny i nietykalny. Kapitan zaznaczył, że będzie się starał oszczędzać ogród w miarę możliwości. Skończyło się na tym, że żołnierze ulokowali się na dobre w ogrodzie. Z granatami ręcznymi w dłoni zajęło wojsko trawniki, żołnierze rozsiedli się na ławkach, na których posłowie tak swobodnie i intymnie prowadzili pracę sejmową.

W rok później nadeszła smutna wiadomość, że część ogrodu zamieniona zostanie w ulicę. Prezydium sejmu zgodziło się bez wahania. Komu teraz potrzebny ogród sejmowy? Kto w nim spaceruje? Jedyne synowie marszałka senatu Szymańskiego urządzają tam wyprawy na bez. Straż marszałkowska ubolewa, że przypadnie źródło zarobku (dzierżawa jabłek w ogrodzie). Sarny wyzdychały, korty tenisowe stoją puste. Niekiedy widać tylko w

## 61



ogrodzie znaną trójkę. B. marszałek sejmu Rataj, poseł Niedziałkowski i bibliotekarz sejmowy Kołodziejski przechadzają się po ogrodzie w milczeniu i z melancholią przypatrują się murarzom, którzy wrywają kawał ogrodu dawnego sejmu suwerennego — dla ulicy.

11 maja, 1929

*Posel Smoła — rolnik i literat*

Karta wizytowa: Posel Smoła — rolnik, literat. Przynależność partyjna — Wyzwolenie. Zawiesiste wąsy, wysokie buty, działacz chłopski, specjalista od wieców. Chłopska partia Wyzwolenie musiała mimowoli wysunąć chłopów do rozmaitych komisji, podobnie jak to czynił Piast i grupa Babskiego. Trzeba było mieć także chłopskiego znawcę finansów, chłopskiego znawcę spraw oświatowych. Łatwo było znaleźć ochotnika dla komisji spraw rolnych. Znajdowali się jeszcze amatorzy dla komisji administracyjnej. Ale w komisji budżetowej i w komisji oświatowej było już posłom chłopskim trudniej.

Ciężkie jarzmo pracy w komisji budżetowej, referowania budżetu, zabierania głosu w dyskusji nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych lub ministerstwa rolnictwa, brał na siebie

poseł Smoła.

W imieniu Piasta zwykle przemawiali posłowie Toczek i Potoczek. Dyskusja zaczynała się od tego, że w ich wsi policjant zabrał komuś kilka jaj i do dnia-dzisiejszego nie ukarano go.

Poseł Pluta z grupy Babskiego, bogaty dumny chłop, ubrany wedle ostatniej mody chłopskiej, zwykł był omawiać szykany administracji we wschodniej Galicji. Poseł Smoła uderzał o ton wyżej. Zwykle brał ze sobą kilka książek, przeglądał cyfry budżetu, krytykował finansowe zarządzenia, pracował „naukowo”. W trakcie mowy rozlega się głos jakiegoś posła — Smoła przestań, to nie sprawa dla ciebie. — Pilnujcie lepiej swoich świń, kumie — zwykł był odpowiadać szybko poseł Smoła i znowu przytaczał cyfry, krytykował pozycje, wnosił poprawki, wnioski rezolucje.

— Smoła, nie wyężaj się — wołał z zazdrością poseł Toczek z Piasta.

Ale Smoła patrzy z pogardą na Toczka. Od trzech tygodni siedzi w bibliotece i każe sobie podawać broszury i książki. Przygotował się dobrze i posiada dużo dowodów, że w Polsce nie

62

potrzeba podatku gruntowego. Patrzą na niego inteligenci z Wyzwolenia — pani Kosmowska, z przyjaznym zawsze uśmiechem, Łypacewicz, nudny referent spraw budżetowych, Langer, referent wydawnictwa Mickiewicza. Spoglądają z radością chłopci, Stolarski Błazej, Koter, Nosek. Mówi ich człowiek. Inteligenci uśmiechają się, konkurenci z innych klubów drwią. Spada z trybuny karta konspektu Smoły. Wielkie litery, cyfry narysowane jak kije, ciężka robota, ale nie szkodzi. Smoła zakończył przemówienie, otarł pot z czoła i biegnie do biura stenografów uważać, aby stenografowie nie przekręcili jego „myśli”.

Bo dziennikarzy nie zachodzi przeglądać, jak będzie wyglądał skrót jego mowy. Tak czy owak nie ma do nich zaufania. Wie, że ta banda śmieszków będzie stroiła żarty. On zna ich przecież. Wszak sam jest literatem. Pisze beletrystykę w partyjnych tygodnikach.

Rychło po tym wchodzi Smoła do bufetu. Nie budzą w nim zakłopotania złośliwe żarty. Na składzie posiada Smoła setki docinków. Podpiwszy sobie, ociera wąsy, patrzy na rozkład jazdy i jest już gotów do podróży. Jedzie do swego okręgu wyborczego lub do obcych okręgów na wiece.

Za wszystkie krzywdy, za wszystkie złośliwości i żarty zbiera Smoła nagrodę na chłopskim zebraniu. Tam króluje, tam wyśmiewa inteligentów, tam wykpiwa konkurentów z Piasta. Nie obawia się *Zwischenruffy*, ani też nie boi się, że ktoś mu krzyknie — „oddaj buty, oddaj cukier”.

Od nikogo nie brał cukru, uczciwie wykonuje swoją chłopską, poselską i literacką pracę. Nigdy nie ubiega się o prywatne sprawy. Kiedy w partii odbywają się narady w sprawie rozłamu, kiedy trzeba podjąć ważne uchwały, kiedy należy wyczuć, jak wieś zareaguje, zasiada Smoła na pierwszym miejscu w swoim klubie.

A jednak teraz Smoła chodzi smutny po sejmie. Nie zabiera głosu w dyskusji budżetowej, nie wnosi rezolucji, nie pracuje nad poprawkami. Nie siedzi w bibliotece i nie przygotowuje żadnego materiału.

Siedzi na swym miejscu w nowej sali sejmowej, przysłuchuje się jak w dyskusji zabiera głos poseł Sanojca, jak donośnie przemawia, jak referuje budżet ministerstwa reform rolnych. Wyzwolenie jest w opozycji: posłowie stronnictwa wyrzekli się referatów w komisjach sejmowych. Nie ma co przygotowywać, szkoda pracy w bibliotece.

Jechać do okręgów? Trudno jest odbywać wiec na wsi. Oto stoi konkurent z BB i zbiera zaraz po wiecu prośby o wstawiennictwo do różnych instancji. Nie pomagają najlepsze *Zwi-*

63

IfiHSBUMi-

!! UJMOM

*schenruffy* na chłopskich wiecach. Głodni pragną więcej niż daje Wyzwolenie, a bogatsi szukają porad podatkowych u posłów z BB.

Nie ma z kim rozmówić się w bufecie sejmowym. Nie ma z kim spacerować w kuluarach sejmowych i pogawędzić. Toczek nie został wybrany. Potoczek chodzi zły i bije się z myślami, czy ma pozostać w Piaście czy przejść do BB.

Poseł Smoła likwiduje działalność polityczną. Zabrał się ponownie do literatury. Pisze dla Wyzwolenia, przygotowuje literackie materiały i zarzuca politykę

Na ostatnim kongresie Wyzwolenia słyszano dlatego tak mało o Smole. Nie wygłosił referatu o sytuacji gospodarczej, nie zanalizował budżetu, nie przygotowywał rezolucji. Przygotował cały materiał literacki dla organu partyjnego. Pisze wiersze. Studiuje Mickiewicza i cytuje wyjątki z Asnyka. Skończył się budżet skończyła się polityka, literatura stała się jedyną dziedziną posła Smoły.

1 sierpnia 1929

*Dola i niedola redaktora Wojciecha Stpiczyńskiego*

Niedawno w „Epoce” ukazała się wzmianka, że powrócił z urlopu redaktor „Głosu Prawdy”, Wojciech Stpiczyński. W samym zaś „Głosie” nie wspomniano o tym ani słówkiem. Stpiczyński stanowiska swojego z powrotem nie objął. Postępowanie takie było do przewidzenia. Pod koniec stycznia rb. „Głos Prawdy” doniósł, że redaktor Wojciech Stpiczyński wyjeżdża zagranicę na dłuższy urlop i przestaje być redaktorem tego pisma. Istotnie niezwłocznie zdjęto z gazety napis: „pod redakcją Wojciecha Stpiczyńskiego”.

W kołach politycznych opowiadano sobie, że wzmiankę umieszczono dopiero nazajutrz po wyjeździe Stpiczyńskiego do Włoch, a zatem bez jego wiedzy, co było przejrystą aluzją, że Stpiczyński nie ma się czego fatygować z powrotem do Warszawy, by grać tu jakąkolwiek rolę polityczną. Z „przywódcą radykalizmu polskiego” załatwiono się tedy nie całkiem delikatnie, jeszcze może mniej uprzejmie niż z jego przeciwnikiem b. ministrem sprawiedliwości Meysztowiczem.

Czy uczyniła to czwarta brygada — obszarnicy, którzy przystali do sanacji, czy też pierwsza brygada, która uważała, że złośliwy język Stpiczyńskiego psuje interes? Możliwe jest, że

64

wszystko to razem zważyło się na jego głowę. Nikt nie może powiedzieć z takim rozgoryczeniem, że republika jest niewdzięczna, jak W.S., lub jak go potocznie nazywają w Astorii, Ziemiańskiej, Oazie — Wojtek. Był legionistą. Walczył w pierwszych szeregach wesołej gromadki. Stracił oko podczas wojny. Został następnie na rozkaz władz okupacyjnych wysłany do obozu jeńców. Gdy ogłoszona zostaje niepodległość powraca do wojska, uczestniczy w wojnie przeciw Sowietaom. Wojna się kończy. Jego wódz, Piłsudski, siedzi w Belwedrze, ale endecy atakują, krytykują i prześladują Naczelnika Państwa.

Któż go obroni, kto walczy piórem, kto nawołuje do gromadzenia sił dokoła chorągwi POW? W pierwszym rządzie Stpiczyński,

Ciężkie czasy nastają dla piłsudczyków. O armii, o legionach, wszyscy zapomnieli, bożkiem Polski staje się Wł. Grabski, który ustabilizował walutę na 5,18 zł. za dolar. Generał Sikorski jest ministrem wojny, szeregi Piłsudskiego rzędą, opuszcza go częściowo PPS, chwieją się wyzwoleńcy. Wierny stoi przy nim ze szczupłą garstką — Wojtek. Walczy w „Głosie Prawdy”, w głosie opozycji, szarpie, dyskredytuje przeciwników wgrza się w PPS, oskarża wszystkich generałów, którzy są wierni Sikorskiemu i walczy nie tylko piórem, lecz i szablą. Odbywa dziesiątki pojedynków z powodu swoich artykułów, in.in. pojedynki z ministrem wojny, świetnym duelistą, gen. Szeptyckim. Ma przeciwko sobie setki procesów z powodu znieważenia Witosa, Kiernika i wszystkich władców doby parlamentarnej. Wiecznie wesoły, pogodny, radykalny, pociesza się nadzieją, że gdy Dziadek dojdzie do władzy, to oni „radykałowie” obliczą się z endekami.

Nigdy nie tracił otuchy i męstwa. Siedział w Astorii przy jednym stoliku z Włeniawą Długoszowskim, z poetami Młodej Polski, z resztkami 1-ej brygady i publicznie marzył o pięknych dniach, jakie mają nadejść. Tymczasem były to ciężkie dni. Gazetę skonfiskowano. Z utrzymaniem było krucho. Liczba awizacji sądowych, kar administracyjnych rosła z każdym dniem.

W owych dniach Wojtek był radykalny. Rozdzielał federacje, autonomię, posady wiceministrów dla mniejszości narodowych. Stał się także zwolennikiem szkół żydowskich, odwiedził żydowską organizację szkolną, bronił jej postulatów w swym tygodniku, był kochanym przyjacielem, miłym kolegą — słowem był „dobry Wojtek”. Gdy przyszło zbawienie, gdy wybuchł przewrót majowy, Wojtek promieniał, siedział w komendaturze miasta i komuni-

65

5

kował prasie biuletyn z pola bitwy. Nazajutrz po zwycięstwie podawał prasie tekst wywiadów z marszałkiem Piłsudskim. Czynił to bez interesu osobistego, z dobrego serca, z wielkiej uciechy. Tygodnik „Głos Prawdy” przeistacza się w pismo codzienne. Redaktorem jest Wojtek. W pierwszych dniach jest jeszcze mocno radykalny. Walczy z sejmem, z kościołem, z obszarnikami, żąda amnestii dla wszystkich przestępców politycznych. Domaga się legalizacji partii komunistycznej.

Z czasem jednak Wojtek ostygł. Kurs sfer miarodajnych mocno się różnił od jego własnych poglądów. Jego szturm na obszarników, jego atak na kościół, stały w sprzeczności z linią rządu. Doszło do tego, że urząd prasowy Rady Ministrów oświadczył, iż „Głos Prawdy” nie ma nic wspólnego z kołami miarodajnymi. Przestrzegano go, perswadowano mu, uczono go, by nie drażnił. Opuszczał jedną pozycję za drugą. Z jego radykalizmu pozostały nędzne, mizerne resztki. Na jednej pozycji wolno było Wojtkowi walczyć: na linii przeciw PPS. Wojtek ucichł. Ze skromnej Astorii przeszedł do bogatej Oazy. Już nie obdarzał autonomiami, nie udzielał subsydiów szkołom żydowskim, dziękował Bogu, że jego dziennik zipie i że wolno mu pisać bodaj coś niecoś w duchu radykalnym.

Te nędzne resztki radykalizmu nie przypadły czwartej brygadzie do smaku. Obszarnicy nie lubili Wojtki, który wymyśla i kole. Wyszedł z buzią przeciw ministrowi sprawiedliwości Meysztowiczowi. Powstała w obozie arystokratycznym wielka wrzawa. Radziwiłł, Lubomirski, Tarnowski, Sapieha, książęta, hrabiowie i wielcy obszarnicy żądali głowy „radykała” Stpiczyńskiego. Nie pomogły tłumaczenia, że ten radykał nie jest szkodliwy, że nikt go nie słucha, że w sferach miarodajnych jest tylko cieniem przeszłości.

Autor „Niedyskrecji” w tygodniku „Głos Prawdy” musiał wyjechać, musiał zachorować, musiał odbyć podróż zagranicę. Nie pomogły jego dawne zasługi, jego boje, nie wolno mu było już pisać. Na jego miejsce przyszedł jako redaktor pułkownik Koc, bo system terażniejszy nie potrzebuje ani staromodnych obszarników w stylu Meysztowicza, ani spóźnionych radykałów wzoru Wojciecha Stpiczyńskiego. „Głos Prawdy” przestaje być organem radykalizmu polskiego, a ostatnią grudę ziemi na grób ideologii Wojtka rzucili obszarnicy: Lubomirski, Tarnowski i Radziwiłł.

12 maja, 1929

**66**

### *Martwy bufet*

Posiedzenie sejmu. Przed głosowaniem przemawiają przedstawiciele rozmaitych stronnictw. Oto dorwał się do trybuny „małorolny chłop”, adwokat Łypacewicz. (Posiada przy ulicy Nowosenatorskiej dom na przestrzeni jednej czwartej morga). Ten potrafi mówić godzinę, półtorej godziny, a może więcej. Dokąd się więc ucieka? Oczywiście do bufetu. Po okrzykach, przeprowadzeniu obstrukcji i walce z prawicą czas odpocząć, zawiesić walkę. Dokąd się więc idzie? Oczywiście do bufetu.

Zima. Odbywa się głosowanie. W ogrodzie zimno, wyjść z gmachu sejmowego jest nieprzyjemnie, a głosować nie opłaci się. Dokąd należy się udać? Oczywiście do bufetu.

Posiedzenia sejmu zostały odroczone. Obraduje wyłącznie komisja budżetowa. Dokąd się idzie, by spotkać członka komisji? Znowu do bufetu.

Pokłóciwszy się na komisji lub na plenum — wchodzisz do bufetu. Tu toczysz przyjemną rozmowę z przeciwnikiem, albowiem podczas jedzenia nie masz obowiązku klócić się, przeciwnie, tu przepraszają się wszyscy. Jedna „kolejka” załatwia wszystko. Pije poseł Dobija, endeck, w ręce Smoły z Wyzwolenia. Całuje się ze wszystkimi posłami poseł Sadzewicz z narodowej demokracji, zastępujący w drugim sejmie mistrza de Rosseta. Pije ukraiński radykał, barczysty, muskularny chłop Makiwka w ręce endeckiego posła Dzierżawskiego.

Oto stoi przy bufecie gwardia Witosa. Wysoki znawca spraw finansowych Gruszka, organizator Dubiel wierny towarzysz Witosa. Odchodzi już trzecia kolejka, przystępuje Wyzwolenie, padają najpierw złośliwe żarty, potem bufetowe hasło: — Któż tu się klóci? Kumie, lepiej się napijmy.

Przy stole dziennikarzy siedzi Rozmarin, obok niego posłowie innych klubów. Jeszcze przed kilkoma minutami padały ostre słowa pod adresem Koła Żydowskiego, ale tu jest Rozmarin wodzirejem. Tu, przy szklance kawy wygłasza rewolucyjne mowy: w Warszawie nie ma porządku, warszawiści nie znają się na administracji, a wszystko byłoby lepiej, gdyby władza przeszła w ręce galicyjskich fachowców. Potakuje Marianek Dąbrowski z Piasta (redaktor krakowskiego Kurierka, obecny senator) zgadza się poseł Mianowski z chadecji, kiwa na znak zgody poseł Putek z Wyzwolenia.

W kącie sali przy stoliku siedzi poseł ksiądz Okoń z sześciu wyborcami i raczy ich piwem. Co pewien czas opuszcza ich i wita się z posłem lub ministrem, a do uszu wyborców dochodzi głos: •— uszanowanie panie prezesie. Uszanowanie panie ministrze.

67

Trzy długie stoły endeckiego klubu są pełne. Odbyło się posiedzenie klubu, obecnie nadszedł czas odpoczynku.

Pół godziny przed głosowaniem. Wszyscy siedzą w bufecie. Bufet przepelniony. Kelnerki z trudem dają sobie radę, odbywają się kolejki zamówienia kielbasy z kapustą dla chłopskich posłów, sznycle dla posłów z Koła Żydowskiego. Ale oto daje się słyszeć dzwonek. Posłowie opuszczają bufet, szklanki kawy stoją niedopite. Posłowie biegają do sali posiedzeń. Dziewczęta przylatują z potrawami. Koło stołu bufetowego panuje panika. Nie wiadomo kto skąd coś wziął i trzeba zdać się na uczciwość bliźniego.

W dziesięć minut po głosowaniu wraca gromada. Znowu pracuje Sadzewicz. Dotrzymują mu kroku posłowie z innych klubów i tworzy się międzypartyjne koło z kieliszkami w ręku.

Okres kryzysu. Nie ma jeszcze rządu. Do późnej nocy siedzą posłowie w bufecie. Nie wszyscy udają się na naradę „pod Bachusem”. Pusto tylko przy stolikach mniejszości narodowych. Ci nie mają nic do powiedzenia. Tylko Rozmarin czeka przy stoliku dziennikarzy.

Bufetowy sejm był w owych czasach ważną figurą. Właścicielowi „Gastronomii” opłaciło się drukować dopisek do cennika „Dzierżawca bufetu sejmowego”. W dniach, kiedy w Polsce nie było dobrych egipskich znajdowały się one w bufecie sejmowym i w „Gastronomii”.

Nadeszły dni majowe. Praca sejmu uległa przerwie. Posiedzenia sejmowe trwały co najwyżej po kilka dni na kilka miesięcy. Panowało bezrobocie w bufecie. Dawny dzierżawca Gastronomii zrezygnował z bufetu

sejmowego. Nie opłaci się już więcej pracować. Nowy dzierżawca siedzi w bufecie i nie może się doczekać wiadomości, kiedy wreszcie zwoła się sejm.

Wyszedł nakaz marszałka sejmu, że w bufecie nie wolno sprzedawać wódki. Do gmachu, gdzie nigdy nie przychodził urzędnik podatkowy, przybył egzekutor i wymierzył podatek bufetowi. Nowy dzierżawca, w nowej wspaniale urządzonej sali bufetowej bije się z myślami. Utrzymać bufet czy zamknąć, odbędzie się sesja sejmowa, czy nie? Dzierżawca sądzi, że nie warto teraz opuszczać bufetu. Sejmu co prawda nie ma, ale przybywają goście amerykańscy i tu urządzają dla nich komitety, obiady, kolacje. Tym wolno nawet sprzedawać wódkę.

Siedzą więc obcy ludzie przy nowych stołach bufetu sejmowego i przechodząc oglądają pusta salę posiedzeń sejmu.

19 lipca 1929

68

### *Marian Dąbrowski-Nortcliffe polski*

Posel Marian Dąbrowski nie należy do kategorii posłów przemawiających z mównicy sejmowej. Nie zabiera głosu na posiedzeniach komisji. Jak Isaac Newton rzucił raz w ciągu ośmiu lat jeden wykrzyknik. A jednak jest on najpopularniejszą figurą w sejmie. Nie należy wcale do kategorii mruków, owszem przemawia w bufecie, w kularach, słucha również uważnie współbiedników, pomstuje na „warszawistów” i zapisuje rzeczy godne w swoim notesiku.

Ileokroć Marian Dąbrowski usiądzie przy stole klubu BB, lub sprawozdawców parlamentarnych znajduje się zawsze grupka ludzi dotrzymujących mu chętnie towarzystwa. Nie dlatego, iżby chcieli usłyszeć cenne uwagi lub dowiedzieć się co piszczy w trawie sanacyjnej.

Marian Dąbrowski ma w sobie magnes inny. Jest właścicielem największego w Polsce pisma. Biję więcej niż 75 tys. egzemplarzy dziennie. Każde słowo, każda notatka w tym piśmie toruje drogę do popularności, a któż to z posłów, ministrów, urzędników, działaczy nie chciałby dostąpić zaszczytów i znaleźć się na łamach IKCyka? Dzięki piśmie dostał się on do pierwszego sejmu. Codziennie walił Marianek w Piasta jak w bęben, przezwiał witosików „paskopiasdami”, umieszczał rewelacyjne mowy posła Stapińskiego przeciwko Witosowi. Mowy pias-towców skracał niemiłosiernie. Zdzierał pasy z „zawady” posła Bardla. Po długiej walce zwyciężył. Bardel ustąpił. Na jego miejsce przyszedł następny na liście Marian Dąbrowski. Do sejmu wszedł otyły jegomość, z binoklami na krótkim nosie, zajął jedno z pierwszych miejsc w Piaście, zasiadł w bufecie w towarzystwie Rataja, Byrki. „Ilustrowany Kurier Codzienny” został organem Piasta.

Organem Piasta? Przesada. „Ilustrowany Kurier Codzienny” jest panną dla wszystkich i do wszystkiego. Pismo w miarę pobożne, z lekka demokratyczne i nieco konserwatywne. Wszak dociera do klerykałów i antysemitów w Poznańskim, czytują pismo bezbożnicy typu Stapińskiego, górnicy i właściciele hut, rzemieślnicy, sklepikarze, chłopci i ziemianie. Skala rozpiętości jest wielka. Należy wszystkich uwzględnić, każdemu przypodobać się.

Zawiał kurs endecki w Polsce. Artykuł wstępny jest odpowiednio narodowy, pobożny, zachłanny, ale pismo nie krzywdzi radykała. Na ostatnich stronicach pisma pracuje zmiana zapaso-

69

wa pseudomasonów, piłsudczyków, konserwatystów szkoły krakowskiej.

Spadają akcje endeckie. Zapasowa zmiana zajmuje pierwsze strony. Endecka zmiana pracuje na tyłach. Kilka zmian ma do dyspozycji redaktor Dąbrowski. Czekają cierpliwie kolejki zapomniani piastowcy i endecy spod znaku Dowbora Muśnickiego.

Był czas gdy Kurierek atakował zawzięcie Władysława Grab-skiego. Na głowy ludzi z domowym wykształceniem, na „muzykantów” padały straszliwe razy. Monopol spirytusowy, tytoniowy, a szczególnie zapalczany był przedmiotem najbezwzględniejszej krytyki. Aż nagle zaprzestano ataku na gmach przy ulicy Rymarskiej, artyleria Kurierka szturmowała sejm, potępiała brak zgody i jednolitości.

Raz tylko potknął się Marian Dąbrowski. Nie ocenił w porę wypadków majowych. W pierwszej chwili potępił bunt marszałka Piłsudskiego, wierzył w zwycięstwo wojsk rządu Witosy. Szybko się jednak połapał, wyprostował linię ideową, endecko-piastowa zmiana opuściła pierwsze stronicę pisma. Do szturmowego batalionu została powołana zmiana piłsudczyków z redaktorem Rublem na czele. Kwitował poseł Marian Dąbrowski swoje obowiązki wobec Piasta drobnymi wzmiankami na tyłach, lecz serce, strona pierwsza, należała do sanacji. Z rąk piłsudczyków otrzymał następnie mandat poselski do trzeciego sejmu. Zapalił się do nowego kursu. Już nie siedział przy stole dziennikarzy. Nie zasiadał nawet przy stole BB. Czuwał przy stoliku pułkowników, był zwolennikiem grupy wojskowej.

Gdy zdawało się, że załamuje się grupa pułkowników i trudno było uchwycić dalszy kurs reżymu, Kurierek stawał w pozycji wyczekującej, a uderzał tymczasem w etatyzm, w zachłanność maszyny biurokratycznej.

Cóż, nieraz bywa Kurierek w kłopotcie. Wybuchają ekscesy antysemickie we Lwowie. Endecy poznańscy domagają się pogromów, Żydzi krakowscy ukarania winnych. Wije się Kurierek jak wąż boa, wyprawia łamańce w obronie ekscesów, potępia ekscesy, broni starosty Kloca, gani administrację lwowską, wreszcie kończy uwagą że, „z jednej strony winni są Żydzi, a z drugiej studenci”. Drukuje odezwę starosty, episkopatu i uwzględnia potrzeby wszystkich od Kazimierza w Krakowie do „Szabesgoja” w Bydgoszczy. Zresztą można ru krótki czas obejść się bez orientacji, ratować się tylko informacją. W wielkie dni sejmowe, gdy sytuacja nie jest wyklarowana, warczy ruchliwie maszyna Mariana Dąbrowskiego w parlamencie. Kręci się żwawo naczelny redaktor, biega na dłuższe rozmowy do międzymiastowej. Znosi ostatnie plotki współpracownikom, informuje stary znawca parlamentu,

70

prezes klubu sprawozdawców, redaktor Bazylewski, zjawia się z Krakowa redaktor Rubel. Jest w piśmie wstęp sanacyjny, uwaga lewicowego posła, wywiad z pravicowym senatorem, schematyczny przebieg posiedzenia. Poznań, Kraków, Lwów — wszyscy zadowoleni.

Gdy rośnie niezadowolenie w kraju, wzmagają się drożyzna, a uderzyć w rząd jest trudno, wali się na rozkaz posła Mariana Dąbrowskiego w Warszawkę, w zwyczajne kacapskie, w czapkę Monomacha, zjada się na pierwszej stronie Czechów w sosie madziarskim, nienawidzi się Ukraińców, kopie się posła Grynbaum-a i kłuje się delikatnie rząd na ostatnich stronach pisma. Aż przyjdą inne czasy i nowa zmiana rządzić będzie na pierwszych stronach Kurierka. Przy nowym stoliku w bufecie sejmowym zasiądzie b. zwolennik grupy wojskowej, dawniej mieszczkański reprezentant Piasta, Northcliffe polski Marian Dąbrowski.

#### *Obywatel Thugutt*

Wśród stałych bywalców sejmowych, którzy siedzą przez cały dzień w bufecie podczas wielkich dni sejmowych, lub przychodzą między 5-6 na „pół czarnej”, albo wreszcie spędzają kilka godzin dziennie nie tyle w bibliotece sejmowej, ile u dyrektora Kołodziejskiego, którego łączą bliskie stosunki ze wszystkimi partiami w sejmie i wszystkimi ugrupowaniami w rządzie — jednym słowem wśród tych wszystkich znajduje się Stanisław Thugutt. Nie jest on już posłem, a jednak wpuszczają go wszyscy woźni z wielkim uszanowaniem, jak w pierwszym sejmie, kiedy korzystał z całej pełni przywilejów, nie będąc posłem.

B. min. spraw wewnętrznych rządu lubelskiego 1918 r., a następnie pierwszego rządu w Warszawie, b. przywódca Wyzwolenia i b. wicepremier w gabinecie Władysława Grabskiego, jest wciąż jeszcze wybitnym gościem w sejmie. Jego zagorzali wrogowie z BB mają mimo wszystko uszanowanie dla człowieka, który w wojnie polsko-bolszewickiej stracił rękę, który nabawił się ciężkiej choroby, zajmując jako mąż zaufania Piłsudskiego urząd ministra spraw wewnętrznych w czasie zamachu w r. 1919.

A on sam? Thugutt jest pełen gniewu i oburzenia na rządy Piłsudskiego. Wyrzuca cięte, złośliwe zdania. Całą politykę rządową uważa za bankructwo idei państwowej w Polsce. Zagrzewa opozycję do walki, ciągnąc ją za włosy na... barykady. Pardon,

71

łatwo się to wymawia „barykady”. W rzeczywistości domaga się Thugutt od opozycji, by słowa jej były ostre, by kłuły jak lance, by w przemówieniach Niedziałkowskiego, Woźnickiego i innych rząd wyczuł do jakiego stopnia grzebie demokrację, parlamentaryzm, liberalizm, a nade wszystko... praworządność.

Stanisław Thugutt, który w walce o zasady usunął, będąc ministrem spraw wewnętrznych, koronę orła polskiego z herbu państwowego, Stanisław Thugutt, który w okólniku zniósł tytuł „pan”, wprowadzając termin rewolucji francuskiej „Obywatel”, Stanisław Thugutt jest w wysokim stopniu — człowiekiem zasad. Święte i bliskie mu są (podobnie jak Posnerowi z PPS) zasady Ligi obrony praw obywatela i człowieka. W imię tych zasad przychodzi stale na wszystkie rauty poświęcone polsko-niemieckiemu zbliżeniu, na wszystkie kongresy przyjaciół praw człowieka, przyjaciół Ligi narodów. Prawicowi przeciwnicy nazywają go za to „masonem”.

Także promieniała twarz jego dawnego przyjaciela Bronisława Taraszkiewicza (Białorusina z Hromady) na widok człowieka zasad Thugutta w drugim sejmie. Jakże ożywiły się szeregi Wyzwolenia, gdy przywódca stronnictwa znalazł się jako poseł w drugim sejmie, i gdy w walce na słowa z trybuny sejmowej gromił Witosa za to, że opuścił sztandar chłopski, by zasiąść do pańskiego stołu rządowego.

Mniejszości narodowe przysłuchiwały się z dużym zainteresowaniem jego słowu. Albowiem Thugutt nie tylko rzucał zjadliwe słowa w rodzaju tych, które skierował do Witosa: „Mogłeś zostać wielkim chłopem, a zostałeś małym Witosem”. Thugutt żądał praw dla mniejszości narodowych, nie nazywał jednak rzeczy po imieniu. Rzucał w obronie mniejszości płomienne hasła rewolucji francuskiej: „równość, wolność i braterstwo” — dlatego, że stronnictwa mniejszości udzieliły poparcia rządowi Sikorskiego.

Nadeszła jednak dla Thugutta właściwa chwila. Powierzono mu misję utworzenia rządu koalicyjnego.

Misję otrzymał trybun i zwolennik haseł rewolucji francuskiej, Stanisław Thugutt.

Radość ogarnęła kluby mniejszości słowiańskich. Nie będzie się im już rzucało ochłapów w postaci dwóch ukraińskich szkół i pół białoruskiej szkoły ludowej. Ukraińcy i Białorusini spodziewali się federacji, a

przynajmniej- autonomii terytorialnej z portfelem ministerialnym w rządzie i specjalnym resortem dla spraw ukraińskich i białoruskich.

Ówczesny przywódca klubu ukraińskiego, Antoni Wasyń-czuk, wysoki, barczysty i otyły opuścił salę klubową, by poszukać

72

trybuna w kularach. Trzykrotnie nawijał mu się pod same oczy, lecz trybun go nie zauważył „Dzień dobry” — zadudnił basowym głosem Wasyńczuk. Thugutt jednak odpowiedział złośliwym pomrukiem. Nie zauważył Thugutt swego przyjaciela Taraszkiewicza, który miał dla niego uśmiech promieniejący z radości. Nie zauważył posła Grynbauma, który zetknął się z nim w drzwiach prowadzących z kularów do bufetu.

Stanisław Thugutt czekał nerwowo na pierwszym piętrze pół godziny na odpowiedź Wojciecha Korfantego, któremu postawił pytanie, czy stronnictwo jego (chadecja) zgodzi się przystąpić do rdzennie polskiej koalicji rządowej bez mniejszości narodowych. Spryciarz Korfanty pozwolił mu czekać. Koalicja nie doszła do skutku, lecz pozostał cień na sztandarze zasad obywatela Thugutta.

Wielki chorąży zwinął z czasem swój sztandar. Z Władysławem Grabskim, Stanisławem Grabskim i innymi siedł na radę ministrów lecząc czarnym plastrem wielkie rany problemu narodowościowego w Polsce. Z zasad pozostała góra popiołu.

Odszedł później i stanął poza nawiasem stronnictwa Wyzwolenie. Będąc już w Klubie Pracy stał się z powrotem człowiekiem zasad, znowu stał się złośliwy i znów był gotów sprawić podarunczki mniejszościom. Ale Taraszkiewicz znalazł się już po drugiej stronie barykady. W ukraińskim klubie doszli do głosu przedstawiciele lewego skrzydła.

Poza nawiasem przewrotu majowego pozostał Stanisław Thugutt w r. 1926. Bez partii, bez wpływu, niemal że bez słuchacza pozostał trybun. W gorących dniach otwierania, odraczania i zamykania sesji sejmu i senatu nie miały słowa jego żadnego znaczenia wśród grobowej ciszy bufetu, pośród dwóch, trzech posłów i pięciu, sześciu dziennikarzy.

Thugutt ostrzy swe zjadliwe słowa przeciwko rządowi, pod-przy nim tylko jedynie kilku przyjaciół, którzy pochłaniali jego zasady opozycyjne.

Z gestem Don Kichota powrócił do Wyzwolenia dopiero po wyborach sejmowych w r. 1928. Do trzeciego sejmu wszedł już nie jako poseł, lecz jako doradca opozycji, jako bywalec bufetowy. Ze wszystkich tytułów pozostał mu jedynie tytuł: „obywatel”.

Thugutt ostrzy swe zjadliwe słowa przeciwko rządowi, podrzucając je opozycji, jednak na trybunie sejmowej zatracają one ostrze thuguttowskiej satyry. On, który stracił armię, przegrywał bitwy, dziś w r. 29 uczy opozycję strategii. Każę przestrzegać zasad i. ostro wypomina w dziesięciolecie rządu lubelskiego wszystkim tym, którzy się załamali i nie dotrwali w walce do końca

73

A w bufecie między piątą a szóstą po południu obywatel Thugutt wciąż głosi hasła „równości, wolności i braterstwa” wobec mniejszości narodowych.

5 maja, 1929

*Klub ukraiński*

Nie było ich wcale w pierwszym sejmie. Mówiono o nich, lękano się ich cienia, przeciwko nim spreparowano ordynację wyborczą. Widmo ukraińskie zajrzało dopiero do drugiego sejmu w r. 1922.

Chłopi o głosach basowych, o ciężkim kroku, bez doświadczenia parlamentarnego. Przez ich poła maszerowały wojska różnych państw i formacji. Słyszeli często huk armat, nie dochodził do nich odgłos mów parlamentarnych.

Pierwsza demonstracja parlamentarna nie udała się. Chcieli przysięgać w języku ojczystym: „prysjahaju” rozległo się z ław ukraińskich, zamiast „ślubuję”. Kategorie sprzeciw marszałka sejmu oszołomił ich. Po krótkiej przerwie ślubowali wszyscy po polsku, rzadko dodając „prysjahaju”. Jedynie uparty Łuckiewicz oświadczył „ślubuju” miast ślubuję.

Markotno im było w sali sejmowej, obco czuli się w kularach, odpoczywali jedynie w bufecie, przy stole klubowym, tuż obok Białorusinów, mając u boku stół żydowski. Wydobywa poseł Nazariuk lub Mochniuk z płóciennej torby chleb czarny i smalec świński, prosi po ukraińsku opiekunkę stołów mniejszościowych, panią Janinę rodem z Żytomierza, o horyłkę i szybko następnie ucieka do hotelu sejmowego lub do klubu. Taktyka parlamentarna była im obca. Nie przejmowali się przegraną na terenie sejmowym, nie obchodziły ich kombinacje centrolewu, chienio-piasta. Ziewali na posiedzeniach komisji sejmowych.

Posiedzenie komisji administracyjnej. Na porządku dziennym sprawy obywatelstwa i samorządu. Uwija się energicznie poseł Insler z koła żydowskiego, preparuje zagmatwaną pajęczynę poprawek, rezolucji,



wniosków, nakłania posła Mochniuka, czy Nazariuka, by go poparł, bo chodzi tu o rzeczy ważne również dla Ukraińców: o sposób wyboru wójta, o ulgi w nabywaniu obywatelstwa. Patrzy chłop ukraiński na ruchliwego adwokata żydowskiego, ziewa obojętnie i macha melancholijnie ręką: — wszystko jedno. Jak to wszystko jedno? — pyta oburzony poseł Insler.

74

„Pierebyli my okupacju, pierubudiemo ł konstytucju” — odpowiada flegmatycznie Mochniuk. Splunął w stronę i poszedł do bufetu, nie czekając na koniec komisji administracyjnej.

Po pewnym czasie wysunęli się inteligenci, politycy. Każdy z nich po swojemu kosztował sztuki parlamentarnej, szukał porozumienia z lewicą sejmową lub nawet z rządem, aż sparzył się, nie wskazawszy nic dla klubu. Ugiął się i załamał barczysty, brzuchaty Anton Wasyńczuk (zwano go, jako zwolennika autonomii „antonomia”). Rychło wycofał się z prezesury Podhirski. Błąkał się niedługo po podwórzu rządowym premiera Sikorskiego b. nauczyciel łaciny w gimnazjum rosyjskim poseł Chrucki. Oszukano go. Odtąd prowadził opozycję. Odczytywał z kartek przeraźliwie długie, mało parlamentarne deklaracje, zaprawione reformą rolną, hasłem niepodległości, groźbą rewolucji, prawosławiem, nacjonalizmem. Szybko przejął metody lewicy młody Pawło Wasyńczuk. Groził buńczucznie z trybuny, godził się minorowo w bufecie, kokietował zachodnią orientacją i został męczennikiem, bo sejm wydał go sądowi. Walczył o szkołę ukraińską, dyrygent chóru ukraińskiego w sejmie, nauczyciel ludowy, Ukrainiec z wąsami a la Szewczen-ko, poseł Kozicki, lecz zacichł później, widząc beznadziejność gry.

W przerwach roboty parlamentarnej wracał klub do beznadziejnej opozycji. Wtedy rozlegał się w sejmie jakby ryk wołów ukraińskich i z trudem wynosiła straż marszałkowska, trzymających się oburącz foteli poselskich, Ukraińców. Tak wyniesiono Łuckiewicza, tak wyciągnięto z sali obrad Podhirskiego. Buntowników złamano. Posypał się deszcz wniosków prokuratora o wydanie sądom posłów ukraińskich. Poza tym lewica opuściła wspólny klub ukraiński.

Toteż klub ukraiński stracił liczebnie. Imponował jeszcze w bufecie barczysty Makiwka, dotrzymujący kieliszka dziesięciu polskim posłom chłopskim. Zżyli się w kularach chłopci ukraińscy z chłopami polskimi. Przysiadł do stołu dziennikarskiego inteligent poseł Pawło Wasyńczuk, ale trofea parlamentarne były kruche. Obiecywano sobie wiele, że po wyborach do następnego sejmiku wóz ruszy z miejsca. Przyjdą posłowie Galicji Wschodniej, których nie było ani w pierwszym ani w drugim sejmie.

W sejmie r. 1928 znikli posłowie ukraińscy z Wołynia. Na ich miejsce przyszli wskutek nacisku rządowego posłowie polscy, albo wyznaczeni przez rząd rzekomi Ukraińcy. Najbardziej przetrzebieni zostali posłowie ukraińscy skrajnego autoramentu. Z Galicji Wschodniej zjawili się nowi posłowie ukraińscy, 80%

75

inteligencji zawodowej, adwokaci, lekarze, księża. Pośrodku posłów usiadła kobieta, Rudnicka. Znikła z widowni ciężkawa se-natorka wołyńska, Ukrainka Helena Lewczanowska. Nowi posłowie szybko opanowali technikę kularów, krocząc szlakami „realnej polityki”. Zdobyli fotel wicemarszałkowski dla adwokata Zahajkiewicza, który urzędowo pełnił rolę szefa bufetu sejmowego. Mowy kwieciste wygłaszał przywódca klubu poseł Dymitr Lewicki. Zasiadli w komisjach, zdobyli przewodnictwo. Odczytali zajawę (deklarację) z hasłem niepodległości Ukrainy, lecz dali do zrozumienia, że nie są groźni i nieustępliwi, że program jest z rabatem osiemdziesięcioprocentowym, płatnym na raty.

Zdawało się, że znaleźli wśród rządzących wdzięcznych słuchaczy, bo wnosili w posagu tereny Ukraińców nadnieprzańskich. Złudzenie to nie trwało długo. Uśmiechnięty dla nich na chwilę Sławek mocno następnie oklaskiwał ministra Składkowskiego, gdy ten zapowiadał energiczniejsze środki władz wobec zbuntowanych Ukraińców we Lwowie. Flirt urwał się, parlamentarzyści ukraińscy spuścili nosy na kwintę. Nie pomogły zaloty i przemówienia posłów Celewicza, Łuckiego. Kwestia ukraińska nie ruszyła się ani na jotę, choć poseł Lewicki siedział tak blisko księcia Radziwiłła.

Opuścili przeto posłowie ukraińscy jeszcze przed zamknięciem sesji kulary sejmowe, a na placu pozostał w białej koszuli, w kolorowych spodniach, w łapciach, hucuł Siekieryk-Donikiw. Komiczny odcień groźnego widma kwestii ukraińskiej.

6 sierpnia, 1929

### **Posel Sanojca**

Gdy na mównicę wchodzi poseł Sanojca i w sejmie rozlega się ogłuszające dudnienie, gdy wyciągając swoje długie ręce i szczerząc zdrowe zęby rozprawia się ze swoimi przeciwnikami — większość posłów opuszcza salę, pustoszeje łoża dziennikarska i tylko amatorzy kawałów przysłuchują się przemówieniu posła Sanojcy. Mowy jego — to typowy groch z kapustą. Każde zdanie logiczne samo w sobie, lecz nie wiąże się ze zdaniem poprzednim. Czasem przemówienie nabiera jakiegoś sensu, gdy odpowiada na wykrzykniki, odcina się i uderza w słabą stronę przeciwnika. A jednak poseł Sanojca uchodzi za figurę polityczną, w klu-

76

**bie BB liczą się z nim, choć wysyłają go na trybunę tylko dla pognębienia parlamentaryzmu.**

Przechodził z jednego stronnictwa chłopskiego do drugiego. Student uniwersytetu, autor chaotycznej książki o rewolucji, był zwolennik posła Stapińskiego, służył doświadczeniem politycznym w klubie chłopskim.

Dla klubu BB ma Sanojca inne walory. Pomnożył liczbę chłopów. Jako radykał zaślania figurę Radziwiłła, Sapiehy, Tarnowskiego. Bo ilekroć padnie z lewicy zarzut, że BB to klub Radziwiłłów, zaraz wyłania się jako odpowiedź postać Sanojcy, radykała chłopskiego. Ma bowiem Sanojca przeszłość radykalną. Domagał się wywłaszczenia bez odszkodowania, groził rewolucją chłopską, omal że nie rzezią szlachty. Gorszył stronnictwa chłopskie konsekwencją. Chciał wcielać w życie programy socjalne radykalnych chłopów. Peszył ziemian, wydawał im się nowym Szelą. Na wiecach chłopskich cieszył się powodzeniem. Ciężki, o niezgrabnych ruchach, jako mówca grzmiał donośnie i groził zapamiętale. Miał mir w okręgu wśród małorolnych chłopów. W Wyzwoleniu nęciły go mało tematy piłsudczyków o statucie wojskowych władz naczelnych, w stronnictwie chłopskim walczył jedynie o reformę rolną. Przejście Sanojcy do klubu BB zaskoczyło niektórych. Tylko dawni jego koledzy przypominali, że Sanojca kilkanaście lat temu opuścił chłopski obóz, przeszedł do Stapińskiego, związanego „z austriakami”. W ten sposób ułatwił sobie byt jako student uniwersytetu, pracując w pisemku Stapińskiego. Gdy jednak z mównicy zarzucają Sanojcy towarzystwo Radziwiłłów, uderza w zakulisowe szacherki lewicy, odslania kularowy flirt lewicy z prawicą i zdobywa oklaski Radziwiłła.

Czasem wywija poseł Sanojca kozła. Otrzymuje referat ministerstwa reform rolnych, zapowiada w referacie wywłaszczenie bez odszkodowania, straszy na chwilę własnych mocodawców. Przewodniczący komisji budżetowej poseł Byrka odbiera mu referat. Sanojca nie wyciąga konsekwencji. Zrobił swoje, pokazał konkurentom z lewicy, że się przekonań radykalnych nie wyrzekł, obroni się nieustępliwością na wiecach chłopskich.

Czasem oburzy się poseł Sanojca, gdy klub BB głosować ma za wnioskami podatkowymi, gniewać się będzie w klubie, lecz w ostatniej chwili, na rozkaz prezesa klubu „anarchista” wchodzi na mównicę, by bronić wniosków podatkowych.

**Należy denerwować przeciwników, odciągnąć burdą od tematu, zepchnąć dyskusję do poziomu karczemnego. Na trybunę wysyła klub BB Sanojcę i sprawa załatwiona. Denerwując lewicę, obniży poziom sejmu, zabawi audytorium niewybredną polemiką. A potem samotny, zziąjany idzie do bufetu.**

77



Radykał, ponury szermierz sprawy chłopskiej, lewicowiec, prototyp Szeli, stał się chochlikiem sejmowym, tarczą Radziwiłłów, kłonicą do rozbijania parlamentu i tylko czasem w bufecie wspomina z posłem Putkiem dawne boje o czystość ruchu chłopskiego.

25 września, 1929

*Poseł Mackiewicz — herold królewski*

Za młodu był już konserwatystą. Chrząst dziennikarski otrzymał w „Dzienniku Powszechnym”, organie konserwatystów warszawskich. Podręczniki historii utkwily mu głęboko w pamięci. Jagiełło, Batory, Sobieski, magnateria u stóp tronu, szlachta u stóp magnaterii. Idea jagiellońska na rubieżach Rzeczypospolitej, wielkomocarstwowa Polska, hufce rycerskie z posłannictwem na Wschód, przewodzi im dzielny król. Pokutują jeszcze takie idee na dworach Wileńszczyzny. Doboszem wskrzeszenia monarchii jest redaktor „Słowa Wileńskiego”, poseł Mackiewicz. Jeszcze kilka lat temu był samotny. Żubry litewskie popierały łaskawie cudowne dziecko dziennikarstwa polskiego. Trzymało się pismo dzięki opiece Sapiehy, Jundziłła. Redaktor pisma stawiał wciąż kropki nad i. Zacierał ręce i dowodził, że wszystko idzie ku jednemu, ku wzmocnieniu władzy wykonawczej, ku pognębieniu parlamentaryzmu, a ostatnią metą będzie tron królewski. Różni się tym od konserwy krakowskiej, że szybko zorientował się i uwierzył, że uczyni to jedynie rodak — kresowiak, marszałek Piłsudski. Został piłsudczykiem przed przewrotem majowym. Błogosławił czyn majowy, gloryfikował każdą mowę Piłsudskiego. Lubował się każdym ciosem w parlament polski. Zdawało się, że siedzi w budce suflera i krzyczy zachwycony: mocniej!

Śni na jawie o zamachu, o przewrocie. Nikt inny, tylko Piłsudski może to uczynić. Widzi wszystkie znaki

na niebie i na ziemi, iż zbliża się ku temu. Był przecież jedynym dziennikarzem, świadkiem przymierza Piłsudskiego z arystokracją w Nieświeżu. Pragnie jedynie, by obeszło się bez zygzaków, bez wahań. Jest rewolucyjnym konserwatystą, niecierpliwi się, chce na chaosie, na rozkładzie parlamentu odtrąbić zwycięstwo przewrotu. Domaga się dalszych ciosów.

Wszak po to wstąpił do klubu BB, przecież wierzył, że prezes jego pułkownik Sławek rozsądzi z wewnątrz nienawistny parlament. Gorszy go kunktatorstwo, pauza. Zdiera wszystkie

figowe listki z klubu BB. Wali w lewicowców i liberałów tego klubu, w rodaka Kościałkowskiego, naciera na ziomka, posła Okulicza z Kuriera Wileńskiego, występuje przeciw premierowi Bartłowi.

Razi go konspiracyjność klubu. Przecież nie ma się czego wstydzić, nie ma czego ukrywać. Chętnie rozkonspiruje w kuluarach sejmowych posiedzenie plenarne klubu BB, opowie o zamiarach rządu. Ma informacje dobre. Informują go Radziwiłł, Sapieha, ministrowie konserwatywni. Czasem ulegnie zakłębom augurów klubowych, zatai na chwilę drastyczny przebieg walki między liberałami a pułkownikami, lecz nazajutrz wyśpiewa w „Słowie”.

Nużą go rozprawy konstytucyjne, igraszki towarzysza z obozu, młodziutkiego starca, posła Piaseckiego.

Gdyby pozwolono mu stanąć na trybunie sejmowej, rąbnąłby prawdę.

Ale też dlatego kryją się coraz mocniej przed nim wodzowie. Sypnie i odsłoni. Błagają go, by nie kompromitował, by nie odczytywał głośno sensu rzeczy zawartych między wierszami.

Ma erudycję. Jest dobrym mówcą, zna języki, mógłby zająć wysokie miejsce w klubie, pilnować sprawy na terenie międzynarodowym. Nie wdroył się do obowiązującego prawa konspiracji, a zagranicą byłby pogrzebał sprawę negliżowaniem klubu. Denerwuje się ostatnio między jednym wystąpieniem Piłsudskiego a drugim. Rażą go szeptki w kuluarach, rozmowy rządzących z opozycją. Woli wówczas uciec do Wilna, redagować „Słowo” z dodatkiem łowieckim dla ziemiaństwa, nad słuchując nerwowo, czy rozlegnie się głos z Belwederu, czy zbliża się czas rozgrywki, czy rodak z Litwy toruje już drogę do Polski mocarstwowej, czy ucieleśnia się sen o nowym Batorym dla Polski.

3 października, 1929

78

79

## 1930

### KONGRES CENTROLEWU

#### *Tradycja austriacka*

Gdyby nie wspomnienia dni listopadowych r. 1923, gdy robotnicy walczyli zażarcie z wojskiem, stając w obronie lewicy, walcząc przeciwko rządowi chienio-piasta, Kraków nie ściągnąłby tylu dziennikarzy na kongres. Uwaga kraju nie byłaby przykuta w ciągu dnia do tego miasta. Nikt nie przypuszczał, że mernerzy kongresu centrolewu: Niedziałkowski, Chaciński, Chądzyński rozpalą tłum i porwą na barykady, obawiano się raczej, że tłum krakowski zostanie sprowokowany. Proch był, a starczyło jednej zapalki by wybuchł. Starcie drobnych grupki w ciasnych uliczkach Krakowa, strzały na przepelnionym placu Kleparskim, mogły nadać kongresowi obraz ponury. Chmury były jeszcze w przeddzień kongresu, gdy do wiadomości czynników doszło, że przybyli Sanojca, Tomaszewicz, Walewski, Birkenmayer, Polakiewicz — oddział czołowy klubu BB.

Niewyraźnie wyglądała sytuacja, gdy nazajutrz rano dochodziły z rogatki pogłoski o walkach i utarczkach, gdy docierały podrobione odezwy, sfingowane przez BB depesze przywódców centrolewu o odwołaniu kongresu. Dzień zapowiadał się groźnie, gdy w rannych godzinach przez rogatki wkroczyły trzy oddziały policji w bojowym rynsztunku. Przemaszerowały przez ulice krakowskie i zniknęły w bramach. Zdawało się, że władza w Krakowie podała się do dymisji. Kilku policjantów na ulicy świadczyło jedynie o

83  
istnieniu władz bezpieczeństwa, znikli wojskowi. Na ulicach miasta ukazał się milicjant z czerwoną opaską pilnujący porządku. Przy rogatkach krakowskich obok policjanta i celnika miejskiego stali dwaj członkowie milicji PPS, rozdawali odezwy, udzielali informacji uczestnikom kongresu. W dobrej zgodzie rozmawiali ze sobą policjant, celnik i milicjant partii wzywający do obalenia najwyższych dygnitarzy w państwie. Na dworcu kolejowym biuro informacyjne stronnictw centrolewu funkcjonowało tuż obok posterunku policji. O 9-ej rano wyczuwało się, że nie będzie w Krakowie praktyk carskich, że wszystko ułoży się po austriacku: uprzejmie, grzecznie, bez walk.

Przed starym teatrem obok milicji, kontrolującej bilety wejścia, stali dwaj policjanci. Porozumiewano się wzajemnie w sprawie ustalenia porządku.

Nic już nie zagrażało kongresowi. Mógł się odbyć bez przeszkód. Gdy tłum opuścił plac Kleparski i po wiecu udał się pochodem przez ulice miasta, dwaj policjanci kroczyli na przodzie, kilku zamykało pochód

jako spokojna, zgodna asysta, na mocy austriackich przepisów.

Na ulicach miasta ukazał się dodatek nadzwyczajny „Naprzodu”. Województwo wydaje rozkaz konfiskaty. Do gmachu domu robotniczego wkracza policja. Komisarz salutuje przed wydawcą „Naprzodu” i prosi o wydanie nakładu.

Obie strony zachowują ceremoniał grzecznościowy. Przybywa drugi oddział policji dla odebrania nakładu. Zachodzi konieczność przeprowadzenia rewizji lokalu. Do redakcji wchodzi urzędnik starostwa w towarzystwie policjanta, przeprasza uprzejmie członków redakcji i prosi o zezwolenie policjantowi na wejście do drugiego pokoju redakcji.

Gawiedź uliczna i niezadowoleni sprzedawcy gazet witają policję gwizdaniem. Z lokalu administracji wybiega błąd „towarzysz” Czerwień i rozpędza gawiedź, mityguje sprzedawców i przeprasza oddział policji za mimowolną przykrość. Młodzieniec ubrany w niebieską koszulę i czerwony krawat (członek Turu) wynosi odezwy do auta policyjnego. Komisarz policji, salutując żegna administratora „Naprzodu”. Porozumiano się, że można wydać następny dodatek, ale już bez deklaracji centrolewu.

Na bocznej ulicy miasta pytam policjanta, gdzie jest pochód i choć groźne i niecenzuralne „precz” rozlegało się jeszcze na Kleparzu, policjant, salutując, wskazał miejsce pochodu.

Ani cienia dni listopadowych, nic co by przypominało pierwszomajowe demonstracje na Placu Teatralnym w Warszawie.

O godz. 1-ej „władza” wróciła do miasta. Milicja opuściła posterunki. Oficerowie ukazali się na mieście.

Oddziały policji

84

opuściły kryjówki i udały się w **stronę rogatek**. Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją austriacką.

1 lipca, 1930

*Pojednanie wrogów*

Zwołanie kongresu do Krakowa byłoby dla Piasta za dawnych dobrych czasów zabawą. Chłopi dostaliby bilety bezpłatne i ulgowe, przybywałyby orkiestry z okolicznych wsi. Mistrzami ceremonii byłiby Szczerbiński, Dzendzel. W centrum byłby Witos w otoczeniu „generałów” Kiernika, Dębskiego, Rataja, Widoty, Gruszki, Dubiela. Dla parady Bójko obok Sredniawskiego. Chłopi chętnie przyjeżdżaliby. Każdy miałby papier w rękę, podanie do izby skarbowej, do urzędu, a poparcie posła witosowskiego wiele znaczyło.

Czasy te minęły. Dziś sam Witos pilnował swych oddziałów przy rogatkach. O biletach ulgowych mowy nie ma. „Psują się” samochody ciężarowe, spadają mandaty karne na uczestników kongresu. Z orkiestrami gorzej.

Zresztą niewygodnie pokazać się publicznie w Krakowie, gdzie w r. 1926 „Naprzód” pisał: powiesić Witosą. Organizator kongresu połyka gorzką pigułkę. PPS sprowadza do Krakowa i bierze dawnego wroga pod swoją czujną opiekę.

Pierwsze rzędy w sali Starego Teatru zajmuje narodowa partia robotnicza, delegaci z PPS ostatnie rzędy i galerię. „Sztandar czerwony” wisi nad prezydium w towarzystwie chorągwi na wpół kościelnych.

Kongres w Starym Teatrze — to właściwie publiczna scena przeprosin wrogów. Poseł Barlicki trzyma pod ręką posła Witosą: prowadzą cichą rozmowę, jakby już dziś miał powstać rząd parlamentarny. Delegaci pokazują wodzom sfingowane depesze o odwołaniu zjazdu. Ktoś przynosi Witosowi depeszę z jego podpisem, w złości rzuca słowo: „oszuści”. Po chwili opamiętał się i poprawił: „bankruci”.

Cud zmartwychwstania dokonał się na kongresie. Wskrzeszone zostały trupy polityczne. Gruszka, Popiel, Dubiel, przed-majowi działacze chadecji, NPR, Piasta ukazali się w sali Starego Teatru.

Przewodniczącym kongresu jest poseł Róg. Jeszcze poseł Witos siedzi na boku. Wdział okulary i patrzy uporczywie w

85

rezolucje stronnictw. Kongres ma być uwerturą do zgromadzenia na Kleparzu.

Telegram marszałka Daszyńskiego przyjęła cała sala burzliwymi oklaskami, a potem przyszła kolej na deklarację. Sejmowy, wodnisty styl. Każdej uwadze solisty towarzyszył chór, który zagłuszał cienkie głosy i umiarkowane uwagi solistów. W okrzykach zlewały się głosy chłopskie z głosami robotniczymi. Zapomniano o starych zwadach. Witano oklaskami nawet Witosą.

Zdawało się, że ofiara przewrotu majowego poseł Witos uderzy w surmę bojową, że wybuchnie gniewem. Nie. Stary lis odgrodził się od deklaracji centrolewu, nie odpowie „siłą fizyczną na gwałty”. Ma na ustach słowo: praworzędność.

Uśmiechał się chytrze, gdy doszło do sporu w radykalnej rodzinie, gdy przewodniczący wicemarszałek Róg z Wyzwolenia, przerwał Waleronowi ze stronnictwa chłopskiego w chwili kiedy ten odczytywał ustęp deklaracji o połączeniu stronnictw chłopskich. Lewica pogodziła się z NPR, Ch.D, lecz są kłótnie w rodzi-

nie. Nie chcą czyści zaraniarze z Wyzwolenia łączyć się ze stronnictwem chłopskim. Boją się metod politycznych Wrony.

Kongresowi przysłuchuje się uważnie poseł Mackiewicz z BB. Wykazał się legitymacją dziennikarską. Zresztą, ziomek Niedziałkowski czuwa, by nie stała mu się żadna krzywda.

Na trybunę wchodzi przedstawiciel chadecji, poseł Kuśnierz z Krakowa, rycerz w bojach sejmowych o naprawę podatku obrotowego.

— Ekskluzywna polityka rządu.

Wśród delegatów chłopskich poruszenie i oklaski.

— Ekskluzywny rząd. Ł, Straszne słowo, ciężki grzech.

Po mowach solistów partyjnych przemówił od siebie król bez państwa, chorąży bez armii, wódz bez partii — obywatel Thugutt, członek bezpartyjnego bloku walki z rządem. Marat opozycji odbiegał od ogólnego tonu centrolewu. Uwypuklił winę przeciwników, ostro napadł na odpowiedzialnego i naczelnego redaktora reżymu pomajowego.

Nastąpiło zupełne pojednanie wrogów. Po przyjęciu deklaracji wszyscy śpiewali zgodnie chórem pieśń powstańczą.

Groźnie śpiewano: O cześć wam panowie magnaci.

Jedyny przedstawiciel magnatów poseł Mackiewicz wyszedł z gmachu, nie chciał przyglądać się głosowaniu nad ostrą rezolucją. Delegaci opuszczają ze śpiewem salę.

Poseł Witos maszeruje z posłem Barlickim. Poseł Niedziałkowski z księdzem Panasiem. Ksiądz Panaś zaintonował Rotę

86

Konopnickiej, za nim poseł Niedziałkowski. Śpiewał ją ponoć lepiej niż zwrotki Czerwonego Sztandaru. 3 lipca, 1930

### *Na Kleparzu*

Już na Kleparzu rozgorzała dyskusja na temat uczestników zgromadzenia. Sprawozdawca sanacyjnego pisma spogląda na ciżbę i szeptem mi na ucho: — kłapa. Może .5 tysięcy ludzi. Sprawozdawca „Naprzodu” dojrzał 40 tyś. osób. Mierzono obszar Kleparza. Z trybuny widziało się przepełniony plac. Był straszny ścisk. Oddziały chłopskie znajdowały się najbliżej estrady, dalej NPR. Pepesowcy zajęli skromnie ostatnie miejsca przy wylotach. Na trybunie umieszczono mikrofon. Zmontowano obok gigantofony. Gospodarz placu barczysty, otyły, poseł Mastek z PPS musztruje tłum: — spokój, cisza. Nie dać się sprowokować. Zaczynamy.

Orkiestra dogrywa ostatnie zwrotki Bartosza. Zagają zebranie poseł Jankowski z NPR. Znowu seria znanych szlagierów sejmowych, poezje z cytatai wieszczów. Nie ma wezwania. Słyszymy wyciągi ze starych stenogramów sejmowych. Gigantofony wzmacniają głosy mówców. Tłum uwagami wzmacnia ton polityczny przemówień. Wystarczy delikatna aluzja, by tłum nazwał rzecz po imieniu i grzmiał donośnie: precz.

— Przewrót majowy był wielkim oszustwem politycznym — oświadcza poseł Putek. Poseł Witos uśmiecha się i szeptem do posła Hausnera z PPS — mówiłem to wcześniej. Nie uwierzyliście i pokutujecie. Tymczasem lud nie czeka już na hasła. Sam nazywa „winnych” po imieniu i dudni: precz. W mieście, gdzie legiony maszerowały pod wodzą Komendanta, 6 sierpnia 1914 r., gdzie wódz PPS Daszyński sławił i reklamował towarzysza Ziuka (pseudonim Piłsudskiego) rozlegają się dziwne okrzyki, niesłychane nigdy w Krakowie: precz, precz. Nikt nie przerywa, nikt się nie sprzeciwia. Jakiś piłsudczyk tłumaczy mi: — strzelców wyprowadzono z miasta, peowiaków nie ma. Dlatego tak śmiało krzyczą.

Postawa tłumy staje się groźna. Padają hasła z tłumy nieprzewidziane przez autorów deklaracji centrolewu.

Przywódcy

87

mitygują. Poseł Mastek macha ręką aż na placu zapanowała cisza.

Upał nieznośny. Karafka z wodą na trybunie jest stale w użyciu. Ludzie mdleją. Niezwykle audytorium czeka na czyn. Poseł Chądzyński czyta długą deklarację małego stronnictwa NPR.

Obrzydza publicznie parlamentaryzm, choć wezwano tłum do bronienia sejmu.

Gdy odczytano i przyjęto rezolucję, gdy rozrzucono tysiące odezw, rozległ się okrzyk posła Mastka: formujemy pochód. Tłum stał jednak nieruchomy. Czekal: więc to wszystko?

Skoczne dźwięki orkiestr chłopskich budzą z letargu tłum. Pochód rusza. Na przedzie NPR. Za nim Piast. Skrzypią buty, Uderzają mocno laskami po bruku. Dobrze odziani z zielonymi kartkami na marynarkach. W pierwszym szeregu posłowie: Kier-nik, Rataj, Witos, Brodacki. Twarze radosne.

Wreszcie nadszedł czas. Jeszcze kilka lat temu po przewrocie tłum krzyczał za pochodem Piasta: — precz z Witosem.

Rytmicznie maszeruje oddział Wyzwolenia. Na przodzie posłowie: Wyrzykowski, Bagiński, Graliński, Karnicka. W jednym ręku noszą chłopci koszyki, w drugim trzymają laski i skandują miarowo groźny, niecenzuralny okrzyk, powtarzając go nieustannie.

Pochód z PPS. Delegacje z różnych okolic Galicji Wschodniej i Zachodniej. Oddziały śpiewają: Czerwony Sztandar i Na Barykady, Nagle rozlega się Międzynarodówka. Śpiewają robotnicy z Borysławia. Razem z nimi kroczy poseł Lieberman. Nie wysuwał się podczas kongresu. Nie szedł na przodzie razem z przywódcami. Dlaczego?

Pochód skręca na Plac Mickiewicza. Każda partia śpiewa swoją pieśń. Na placu rozlegają się jednocześnie pobożne pieśni NPR. Wtóruje mu Piast. Słysząc powstańczą pieśń nuconą przez Wyzwolenie. Rozlega się Czerwony Sztandar. Międzynarodówka. Wiatr miesza te wszystkie melodie. Z dala dochodzi jakaś dziwna kakafonia: istny symbol centrolewu. U stóp pomnika przemawia ksiądz Panaś. Chłopi opuszczają szeregi, by napić się wody.

Po godzinie miasto pustoszeje. Autobusy z Wyszkowa, Radomia, Kielc wywożą uczestników pochodu. Milicja opuszcza placówki i żegna się z policją. Ulica zamilkła. Głos ma kawiarnia krakowska. Geometry i arytmetycy różnych obozów mierzą teren Kleparza i obliczają cyfry uczestników. O Sztandarze Czerwonym zapomniano. Z okien dochodzi hymn krakowski: Nad modrym Dunajem.

4 lipca, 1930

**88**

*Dwie dusze Kuby Bójki*

„Ale na to przysiąc mogę, że w chłopach pokutuje dotąd prócz naszej duszyczki jeszcze druga, a choć to talmud żydowski pisze, że jeno Żyd, a i to na szabas, dostaje drugą duszę, to ja na całe gardło wołam śmiało, niech mi zrobią co chcą — że chłopci oprócz swej własnej, mają jeszcze drugą duszę. W nas pokutuje dusza bardzo brzydkiej pani, która zmarła w roku Pańskim 1848, a zwała się pańszczyzna... Toć z przykrością i ze wstydem stwierdzam, że ta cholera i w chłopach — posłach siedzi, lubo nie we wszystkich". Kuba Bójko — „Dwie dusze”.

Kuba Bójko liczy 72 lata. W ruchu chłopskim pracuje już czterdzieści lat bez przerwy. W partii Piasta, do której należał od daty jej utworzenia, zajmował pierwsze miejsce jako honorowy prezes.

Kuba Bójko nie był wielkim organizatorem, nie należał też do najlepszych mówców na zgromadzeniu, chociaż chłopci słuchali go z wielką uwagą. Był on sumieniem partii, rycerzem stojącym na straży chłopskiego honoru, pragnącym wykorzenić z chłopca niewolniczą przeszłość.

Chłop, nauczyciel ludowy, walczył na zgromadzeniach i w artykułach z tymi synami chłopskimi, którzy wychodzą z ludu, ale zdradzają jego interesy, którzy stają się duchownymi i służą interesom szlachty, obejmują urzędy, zdradzają interesy chłopstwa, stają się posłami przy pomocy głosów chłopskich, a zaprzęgają się do szlacheckich powozów.

Wszystkie te zygzaki nazwał Bójko jednym zdaniem „niewolnicza dusza” — druga dusza chłopca, którą należy wykorzenić i zniszczyć.

Dobrocią i złością usiłowała szlachta obalić ruch ludowy, przekupić przywódców. Walkę prowadzono przy pomocy administracji oraz kościoła.

W biednej Galicji, gdzie ciężko było zarabiać na kawałek chleba, a władza ziemian była ogromna, załamywał się jeden przywódca za drugim, każdy w inny sposób.

Załamał się pierwszy przywódca chłopów, poseł ksiądz Sto-jałowski, zaplątał się w interesy finansowe, zdradził chłopów i poszedł na służbę do konserwatystów, następnie do endeków, prowadząc jednocześnie akcję antysemitką w kraju.

Drugi przywódca Jan Stapiński ugiął się także. Kiedy obszarnicy poczuli, że jego stronnictwo staje się siłą w kraju, poczęli go kocietować koncesjami. Zaplątał się w interesy towarzystwa emigracyjnego i stał się wiernym sługą konserwatystów. Potem,

**89**

ii U III I

kiedy Stapiński począł wahać się, kiedy chciał odbyć pokutę, wystąpili konserwatyści z dokumentami przeciwko niemu i został skompromitowany w oczach masy chłopskiej.

Wiernie kroczył b. nauczyciel ludowy Bójko ze Stojalowskim. Opuścił go wtedy, kiedy zdawało mu się, że

w Stojałowskim bierze górę druga niewolnicza dusza. Bójko napisał broszurę przeciwko niemu. Bójko współpracował ze Stapińskim. Kiedy atoli stało się jasne, że i Stapiński jest skompromitowany, Bójko opuścił go. Zły był Stapiński, że stróż honoru chłopskiego zdradził go, ale Bójko szedł własną drogą. Musiał tymczasem odpierać ataki ze wszystkich stron, a w szczególności ze strony tarnowskiego biskupa Wałęgi, który go prześladował specjalnie za broszurę „Dwie dusze”.

Atoli walka zmęczyła go. Poszedł do Witosy i jakkolwiek widział rozmaite posunięcia nowego przywódcy, to jednak milczał. Zadowolony się prowadzeniem propagandy, pisanem artykułów i strzeżeniem honoru chłopów. Walka o interes biednego chłopów stała mu się już obca. Sam już był zamożny. Nowe ambicje miał już bogatszy chłop w Galicji. Pragnął by go dopuszczono do rządu, by mógł rządzić wspólnie z panami. Zamożny chłop w Galicji wystąpił z tymi samymi pretensjami z jakimi burżuazja we Francji przed Wielką Rewolucją.

Nastąpiła niezawisła Polska. Marzenia Bójki spełniły się. Jego Wicuch stał się premierem, chłop był panem w kraju. Obszarnicy chylił się w pierwszych niespokojnych latach 1918-20 do stóp chłopskiego premiera Witosy. Bójko otrzymał nagrodę. Wybrano go pierwszym wicemarszałkiem pierwszego sejmiku polskiego. Był później wicemarszałkiem pierwszego polskiego senatu. Do codziennej polityki nie mieszał się. Autor „Dwóch dusz” pisał dla chłopów opowiadania o dawnych czasach.

Jego Wicuch porozumiał się w międzyczasie z panami, poszedł na służbę do endeków, oddał się do dyspozycji klerykałów, rozpoczął krętą grę o reformę rolną.

„Kuba czemu milczysz” — pytali się Bójki jego uczniowie Dąbski i Brył. Ale Kuba chciał wypocząć, nie miał już siły do walki z tarnowskim biskupem, z otoczeniem Witosy, który mu przydzielił honorowy i dobrze płatny urząd wicemarszałka.

Dopiero po przewrocie majowym w r. 1928, kiedy przygotowywano się do wyborów sejmowych Bójko opuścił Witosę. Do ostatniej chwili milczał. Witos patrzył mu w oczy, szukał rady. Zimny Witos stał się nagle sentymentalny. Całował się z Bójko, a nazajutrz nadeszła wiadomość, że Bójko opuścił Witosę i idzie z sanacją

90

Jeden raz pocałowałem chłopów — zdradził mnie, skarżył się potem Witos.

Do nowego sejmiku wszedł Bójko z ramienia sanacji. Z Witosem był skłócony. Jako najstarszy poseł prowadził pierwsze posiedzenie sejmiku, kiedy policja weszła do sali parlamentu. Słabym głosem nie umiał uspokoić wzburzonych posłów. Przykre wrażenie wywarło na nim pierwsze posiedzenie. Czekał na dalsze. Na dzień, w którym zostanie wybrany pierwszym wicemarszałkiem trzeciego sejmiku.

W towarzystwie księcia Radziwiłła siedzi teraz Kuba Bójko w prezydium klubu BB. Z biskupem Wałęgą już się dawniej przeprosił, a kiedy przypomina mu się jego broszura sławna w całej Polsce, która w oczach mas chłopskich uczyniła go stróżem honoru chłopskiego, macha ręką i oświadcza z uśmiechem — „byłem wówczas taki młody”.

Bójko jest stary i zmęczony. A z cytatem z broszury o dwóch duszach występują obecnie jego dawni uczniowie i wielbiciele, posłowie Putek i Stolarski.

12 czerwca, 1930

91

## 1931

*Lecą liście z drzew*

(Z POWODU ŚMIERCY POSŁA MARKA)

Lecą liście z drzew. Z przerzedzonych szeregów klubu parlamentarnego PPS, odszedł dawniejszy prezes, b. wicemarszałek Zygmunt Marek. Właściwie padł już dawno, gdy po przemówieniu w sejmie, po odpowiedzi prezesa klubu BB Sławka, po znamienym liście posła Moraczewskiego, po szeregu ataków na jego osobę, załamał się, zachorował, straciwszy na długi czas mowę.

Towarzysze partyjni w tej ciężkiej chwili starali się dodawać mu otuchy, łudzić nadzieją, że wróci do zdrowia, ukryć wypadki dni ostatnich. Fingowano specjalne numery „Naprzodu”, usuwano pisma, które mogłyby wpłynąć zabójczo na jego osobę, ale nic nie pomogło. Cios *zadany* w boju był śmiertelny dla człowieka, który życie całe unikał walk ostrych, którego cała postawa była zaprzeczeniem brutalnego boju. Nie wytrzymał, bo nie był przyzwyczajony do nowej formy walk, bo został wystawiony na czołową pozycję przypadkowo, z braku sił bojowych w klubie PPS. Klub nie miał wówczas wyboru. Marszałkiem sejmiku został Ignacy Daszyński. Pozostał Herman Lieberman i Zygmunt Marek. Oczywiście klub wybrał drugiego, nie licząc się jeszcze z ewentualnością, że pozostanie w ostatniej chwili zdecydować się na wybór Mieczysława Niedziałkowskiego.

I w pewnej chwili sybaryta, nie pchający się do wyższych szczytów dla świętego spokoju, stanął na

najwięcej ostrzeliwanej pozycji. Został prezesem klubu w okresie, gdy partia musiała przejść do opozycji, gdy w klubie przygotowywał się rozłam

95

wie czas, by można było bez skrupułów, bez obawy ze względów cenzuralnych, podać dialog według relacji posła Marka.

A potem przyszedł przewrót majowy. Entuzjazm i rozczarowanie, odstawienie od stołu i od łoża, rozbrat marszałka Piłsudskiego z klubem PPS, odtrącenie od wszelkich możliwych beneficji tych, co tyle lat głosili imię jego.

Do odtrąconych należał i Zygmunt Marek. Musiał wziąć na siebie ciężkie jarzmo walki, przeciwstawić się opozycjonistom-piłsudczykom we własnym klubie, ratować partię w ciężkiej chwili rozłamu, reorganizować na specjalnym kongresie partyjnym w Sosnowcu, gdzie jeszcze lśnił dowcipem, rzucając dwuznaczne uwagi w stronę konkurencyjnego kongresu BBS w Katowicach.

Salonowa gra parlamentarna skończyła się jednak, parlamentarne zabawy zostały odrzucone. Na wyczelowaną mowę posła Marka o łabędzim śpiewie reżymu odpowiedział uderzeniem obucha prezes Sławek, dorzucił okrzyk minister Moraczewski. Padł poseł Marek w nierównym boju, niedostosowany do nowych form walki, które przeniosły się daleko za ramy parlamentu.

12 listopada, 1931

### *Mąż stanu na urlopie*

Po pięciu latach milczenia zabrał w 1931 r. głos b. premier b. minister spraw zagranicznych, Aleksander Skrzyński. Pięć lat czekał cierpliwie, mając nadzieję, że zostanie powołany na odpowiedzialne stanowisko, że wróci wreszcie do MSZ, gdzie działał pracował, sławił siebie i kraj, pisząc hymny na cześć Locarno. Czekał cierpliwie, choć miał dużo powodów do wyrażania głośno żalu.

Wszystkim wybaczone, wyniesiono różnych hrabiów i księ-ciów. Zapomniano jedynie o nim. Zajął czołowe stanowisko książę Janusz Radziwiłł, stały kandydat na ministra spraw zagranicznych, wysunął się nawet książę Eustachy Sapieha, b. organizator zamachu w r. 1919 na 1-szy rząd marszałka Piłsudskiego; został senatorem jeden z czołowych przedstawicieli konserwy, hrabia Tarnowski; zajął poczesne miejsce wśród senatorów b. sympatyk endeków, hr. Wielowiejski; zajmuje dotychczas stanowisko ambasadora b. członek Komitetu Narodowego, Skirmunt; zapomniano jedynie o Aleksandrze Skrzyńskim, choć miał

pośred-

97

7

i trzeba było prowadzić walkę wewnątrz z zawadiakami tej miary co Jaworowski, Moraczewski, Malinowski itp.

Spokojnie, lata całe, pracował w komisji prawniczej sejmu, jako członek, jako prezes, zyskując sympatię wszystkich stron. Realizował rewolucję w majestacie prawa, opracowywał projekty ustaw, zawsze znajdując możliwy dla wszystkich kompromis. Należał do kategorii salon-socjalistów, z którym można się dogadać w kuluarach sejmowych, pomówić przyjemnie w bufecie, pogwarzyć towarzysko w pociągu. Uśmiech i dobroć zyskały mu serca wszystkich, poczynając od posłów, kończąc na telefonistkach i damach bufetowych.

Już w r. 1923 dziwnym zbiegiem okoliczności spadł na barki posła Zygmunta Marka zaszczyt i kłopot nielada. Nagle wyrósł na przywódcę powstania krakowskiego, herszta rebelii, na tego, który miał wzywać do rozbijania żołnierzy, do walki z reżymem chienio-piasta. Spełnił misję zupełnie inną. Spokojem swoim gasił ogień powstania, zdemobilizował rewolucję, ale groźnie brzmiał wniosek prokuratora o wydanie posłów Marka i Stańczyka. Wszyscy, którzy patrzyli na twarz Zygmunta Marka, którzy słuchali świetnej jego obrony z trybuny uznali, że nie można go oskarżać o podżeganie do buntu. Wygłosił mowę płomienną, pokazał siłę talentu oratorskiego i tylko w ustach posła Lutosławskiego wyrósł na wielkiego buntownika.

Rząd wycofał wniosek o wydanie, sejm również nie chciał go wydać, nawet na jego życzenie. Toteż z uśmiechem rzucił mu towarzysz jego, Feliks Perl, uwagę: i tak popał bez draki w bol-szyje zabijaki (i tak nie walcząc stał się wielkim wojakiem).

Czynił to wszystko jako wierny członek partii, oddany osobie marszałka Piłsudskiego. Gdy w walce z chienio-piastem trzeba było ruszyć do boju, wysłano znowu posła Zygmunta Marka. Na porządku dziennym była sprawa postawienia przed trybunał stanu b. ministra skarbu rządu chienio-piasta, Władysława Kucharskiego. Oskarżał publicznie Jędrzej Moraczewski, sekundował dla dobra sprawy, dla zdemaskowania obozu prawicowego, dla przygotowania przyszłego przewrotu — Zygmunt Marek. Była to jednak ostatnia współpraca tych dwojga ludzi.

W wigilię przewrotu majowego poseł Zygmunt Marek, desygnowany na premiera, zjawił się u marszałka Piłsudskiego. Prosił o pomoc. Miał wrażenie, że zaliczone mu zostaną zasługi powstania listopadowego,



walka z Kucharskim. Spotkała go jednak odmowa. Historia kiedyś odsłoni treść dialogu prowadzonego między marszałkiem Piłsudskim, a Zygmuntem Markiem. Niektórzy twierdzą, że trwała dwie minuty; poseł Marek opowiadał, że trwała minut piętnaście. Nie przyszedł jeszcze właści-

96

nie i bezpośrednie zasługi wobec przewrotu majowego, choć popierał szczerą ręką rzeczników tego obozu i ich pisma („Droga”, „Głos Prawdy”), a stojąc na czele rządu koalicyjnego powołał na stanowisko ministra spraw wojskowych generała Żeligowskiego, otwierając tym samym drzwi dla przewrotu majowego. Przeciwnicy reżymu widzieli w nim moralnego sprawcę przewrotu majowego, toteż cierpiał niewinnie za czyny innych, pojedynkując się z b. ministrem spraw wojskowych, hrabią Szeptyckim. Zdawało się, że wszystkie zasługi zostaną mu policzone, że znowu będzie się piął po drabinie kariery politycznej, ten, któremu nauczyciel jego, redaktor „Kuriera Polskiego”, radca Ignacy Rosner, przepowiadał wielką przyszłość.

Szybko posuwał się naprzód przed przewrotem majowym, zyskując sławę w kraju i zagranicą. Umiał sławę swoją poprzedzić odpowiednią reklamą. Rozdawał autografy na prawo i na lewo. Był znany ze swoich dedykacji, popierał pisma liberalne, szczerobliwie obdarzał organ konserwatystów w Krakowie „Czas”, był rzutkim, ruchliwym ministrem spraw zagranicznych. Postacią, wymową, pięknymi słowami na cześć pokoju i zgody popularyzował się coraz więcej w kraju i zagranicą.

Związał nazwisko swoje z Locarno, stał się apostołem idei porozumienia, wierząc we frazes Brianda mocniej, niż jego francuscy współziomkowie. Chciał wszędzie realizować Locarno. Toteż gdy skłócone stronnictwa szukały między sobą porozumienia, powołano na stanowisko premiera *rządu* koalicyjnego, rządu Locarno wewnętrznego, Aleksandra Skrzyńskiego; sprowadzono go do kularów sejmowych, by godził Barlickiego ze Stanisławem Grabskim, Moraczewskiego ze Zdziechowskim.

W imię tegoż Locarno patronował ugodzie polsko żydowskiej. Niepokojny, zazdrościł laurów Edwardowi Beneszowi, szukał sławy nie tylko w Europie, lecz i w Ameryce. Udając się jako premier do Stanów Zjednoczonych, wygłaszał odczyty propagandowe o wszystkich pomysłach Brianda, w które uwierzył na serio hr. Aleksander Skrzyński. Przyszedł przewrót majowy. Wszystkim zdawało się, że ministrem spraw zagranicznych zostanie Aleksander Skrzyński, i było niespodzianką, gdy powołany został na to stanowisko b. poseł polski w Rzymie, usunięty z tego stanowiska pod naciskiem endecji, August Zaleski, który odnosił się krytycznie do locarneńskich posunięć Aleksandra Skrzyńskiego.

Hrabia Skrzyński czekał jednak cierpliwie, choć krążyły pogłoski, że powrót jego na Wierzbową jest niemożliwy, że Belweder patrzy niechętnym okiem na osobę, która za wszelką cenę chce zostać centralną figurą, że niezależny materialnie pan na

98

Zagórzanach chciałby zbyt szybko wyzwolić politykę przy ulicy Wierzbowej z wpływów Belwederu. Czasem przypominał się publiczności, wygłaszając odczyty o Lidze Narodów, o Locarnie, *zjawiając* się na koncertach w Filharmonii. Nadśluchiwał, czy imię jego nie zostanie gdzieś przypomniane, ale na próżno, nawet przyjaciele jego, autorzy Szopki Politycznej, usunęli w zeszłym roku jego kukielkę.

Pozostał samotny, poświęcając się więcej dziełom sztuki, przyjmując w pięknym swoim lokalu na Krakowskim Przedmieściu poetów i malarzy, skupując stare obrazy, oprawiając w wymyślne safony rzadkie książki ze swego księgozbioru.

Z półek księgarskich zniknęły mowy z jego fotografią, wydane własnym kosztem, a pisma przez niego tak mocno popierane usunęły jego nazwisko. Milczał i czekał cierpliwie, aż oto odezwał się. Świat polityczny zbierał się w Londynie, toczą się na nowo konferencje w stylu światowym. Polska może zabierze głos, a on przecież tak świetnie przemawia na trybunach światowych.

Przypomniawszy sferom politycznym, składając z obowiązku hołd Piłsudskiemu. Sangwinik, *zarzucił* melancholijnie usposobionemu ministrowi spraw zagranicznych zbyt spokój, pobyt na Jastrzębiej Górze, gdy rozgrywają się w świecie doniosłe wypadki polityczne

W kołach politycznych twierdzą, że ktoś na Wierzbowej obudził w nim nadzieję, że zatrzepotał pod wpływem wieści o możliwych zmianach, choć górował właściwie żal, że w takiej chwili nie może zostać aktorem na właściwej scenie, że nie może przemawiać w Londynie, w Paryżu, że musi w chwili obecnej zostać w dalszym ciągu mężem stanu na urlopie.

3931

*Smętne odejście — z powodu dymisji min. Matuszewskiego*

Długo jeszcze szeptać sobie będą w kawiarniach na ucho o przyczynie dymisji kierownika ministerstwa skarbu Ignacego Matuszewskiego. Prawdziwych powodów nie docieknie w tej chwili nikt, tak jak tajemnicą zostaną na czas długi jeszcze przyczyny nagłej dymisji premiera Sławka. Karność i tajemnica obowiązują wodzów w obozie rządowym. Rąbka tego nie uchyli nawet w Klubie Towarzyskim jeden

pułkownik drugiemu. Nie odsłonił przyczyny odejścia swego na posiedzeniu klub BB Wale-  
99

ry Sławek. Przed publicznością, przed widzami nie należy odsłaniać kulisów. Odszedł, bo społeczeństwo musi się zainteresować konstytucją. Do klubu BB zjawił się w szarym ubraniu, nie nosił już uroczystego stroju czarnego, przyjętego przy urzędowaniu w prezydium Rady Ministrów. Poczul się być może swobodniej, bo będzie mógł znowu wydawać przyjęcia w środy dla swoich towarzyszy, jadać skromne obiady u gospodyni domu, zjawiać się częściej w godzinach przedpołudniowych przy stoliku pułkownikowskim w Kawiarni Europejskiej.

Premier Sławek znalazł jednak jakieś pozorne motywy swego odejścia. Dlaczego odszedł miti. Matuszewski nie zdołano dotychczas wyjaśnić urzędowo. Nie zastąpiono go przecież siłą więcej fachową. Na jego cześć śpiewał pierwszy wicemin. skarbu Sta-rzyński, premier Prystor zaś powoływał się na ciągłość polityki gospodarczej, na oszczędnościową akcję Matuszewskiego. Czemu więc zgasła tak szybko wschodząca gwiazda Belwederu? Dlaczego odszedł pozostawiony w próżni, przydzielony do ministerstwa spraw zagranicznych w randze czwartego stopnia, czemu krążą o nim pogłoski, że jest w nielascie?

Trzy lata temu, gdy rozpoczął pracę w ministerstwie skarbu, witała go uroczyście sanacja. Wydrwiwała go pogardliwie opozycja, nazwano go kasjerem pułkowym, widziano w nim tylko człowieka drugiego oddziału, męża „silnej ręki” (p. Konopackiej, mistrzyni w dysku), co najwyżej świetnego publicystę „Głosu Prawdy”, który bez obsłony domagał się skończenia z przesadami demokracji, likwidacji parlamentaryzmu w całej rozciągłości, stosowania faszyzmu włoskiego na polską modłę, czyli reżymu, który obserwował na pękówce dyplomatycznej w Rzymie.

Do sejmu zjawił się pozornie rozbrojony, powiedział na wstępie, że jest laikiem, wytrącił broń przeciwnikom, posługującym się argumentem o kulcie niekompetencji. Był rycerski, uczył się u każdego kursu skarbowości, słuchał nawet uważnie nudnej jeremiady posłów chłopskich, spisywał dokładnie wszystkie skargi, starał się je uwzględniać. Bezwzględny rzecznik skrajnego faszyzmu parlamentaryzował się stopniowo.

Próbował broni rycerskiej na każdym kroku. Nawet sprostowanie do przeciwnika z obozu demokratycznego wysyłał nie powołując się na postanowienia ustawy, lecz apelując do kultury i sumienia naczelnego redaktora. Było w tym rycerstwie dużo z przebiegłości, ale metoda ta osiągała skutek.

Gdy zjawił się na trybunie sejmowej, okazał się jednym z nielicznych dobrych mówców obozu rządowego. Górował nad

100

opozycją spokojem, a po pewnym czasie i znajomością rzeczy. Zaczął pracę w komisji budżetowej od rycerskich pokłonów i zyskał po pierwszych przemówieniach nawet swoich przeciwników. Było bowiem odwagą trzy lata po przewrocie majowym podkreślić zasługi wszystkich ministrów przedmajowych, uwzględnić Władysława Grabskiego, uwydatnić szczególne znaczenie polityki oszczędności Jerzego Zdziechowskiego.

Tuż podczas ostatniej dyskusji budżetowej oswoił się z tematem. Otwierał dyskusję budżetową, zastępując często premiera, umiał bowiem prócz momentów gospodarczych wpleść do mowy swojej motywę polityki. Cierpliwie przeczekiwał przemówienia opozycji, by odpowiedzieć każdemu oddzielnie. Zaaklimatyzował się na terenie sejmowym, zdawało się, że pokochał tę trybunę, iż nie chce z niej zejść. Szybko odpowiadał każdemu mówcy. Uwzględniał specjalnie najzagorzalszego, najniebezpieczniejszego przeciwnika, posła Romana Rybarskiego.

Był to bowiem pojedynek nielada: na mównicę wchodzi poseł Roman Rybarski i zawzięcie bije w rząd, atakując politykę gospodarczą. Każdy wie że mówca nie pozostanie bez odpowiedzi, że dojdzie do pojedynku. Do głosu zapisał się już kierownik ministerstwa Ignacy Matuszewski. Idzie mistrzowski bój na szpady, w którym celuje i góruje mistrz słowa, syn wielkiego mistrza formy, literata Ignacego Matuszewskiego.

Dni radosnej twórczości, którą chętni się ludzie sanacji minęły już dawno. Smutna rzeczywistość kryzysu gospodarczego zajrzała w oczy. Opozycji przybywają coraz nowsze, coraz istotniejsze argumenty. Kierownik ministerstwa skarbu został otoczony ze wszystkich stron. Bronił się samotnie z trybuny sejmowej, rzadko używając do pomocy wiceministrów skarbu. Drugi pułkownik użył mu swej szpady. Dwaj współpracownicy „Gazety Polskiej” płk. Matuszewski i płk. Miedziński prowadzili wspólnie bój podczas ostatnich debat budżetowych.

Gdy kończyła się ciężka orka w sejmie, gdy trzeba było przygotowywać się do nowych bojów, chowali się w sztabie, w redakcji „Gazety Polskiej”, by bronić się, wymyśliwszy nowe uderzenie. Na kanapie w pokoju leżał zziębnięty, zmęczony, kierownik ministerstwa skarbu, a po pokoju kroczył towarzysz pancerny Miedziński. Nie opuszczał przyjaciela w ciężkiej potrzebie. Chory, wrócił jako generalny referent do sejmu, by po raz ostatni obronić przyjaciela.

Zachodziła potrzeba obrony. Mistrz słowa i formy malował w ciemnych barwach sytuację gospodarczą, a zmęczony tracił czasem styl rycerski w walce ze swoimi przeciwnikami. Nie dener-

wowała go tyle opozycja, ile pewnie smutna rzeczywistość. Nerwowo bronił już pożyczki kolejowej, niecierpliwie przemawiał gdy sprawy budżetowe były rozważane w sejmie w trzecim czytaniu.

Wybaczone mu nawet ł zdenerwowanie. Został już swoim człowiekiem, choć był przeciwnikiem, zasejmował się, trąd parlamentaryzmu dotknął i jego osoby. Ani się spostrzegł, że w bufecie sejmowym konferuje na tematy budżetowe z członkami opozycji.

Zyskiwał przyjaciół w obozie przeciwnym, zyskał wrogów w obozie własnym. Sieć niewidzialnych nici omotała jego osobę. Został zhańbiony zarzutami sparlamentaryzowania się, niegdyś najzaciętszy wróg parlamentu polskiego. Odchodzi żegnany sympatią opozycji, przeciwnik obozu antymajowego, obciążony grzechem fachowości. Obóz własny nie pożegnał go żadnym słowem, nie padły nawet te słowa z Belwederu, którymi został pożegnany b. premier Bartel.

Syn wybitnego znawcy Juliusza Słowackiego może na odchodnym, patrząc na sejm, powtórzyć słowa z testamentu poety: „a jak gdyby tu szczęście było — idę smętny”.

5 czerwca, 1931

*Zwiastun pokoju — poseł Jan Dąbski*

18 marca 1921 r. nastąpiło podpisanie traktatu pokoju między Polską, Rosją i Ukrainą Sowiecką. Na traktacie figuruje podpis przewodniczącego delegacji polskiej, Jana Babskiego. Ten, który podpisał z ramienia Polski traktat pokoju, miał widocznie mocne poczucie historycznego dzieła, skoro od tamtego czasu w ciągu 10 lat poświęcił się polityce zagranicznej, interesując się trwałością dzieła pokoju, dokonanego w Rydze.

W 10-tą rocznicę zawarcia traktatu pokojowego poseł Jan Dąbski wydał książkę pt.: „Pokój ryski”, zawierającą wspomnienia, rokowania, tajne układy, listy. Tak był zapatrzony w to dzieło pokoju, że wierzył iż książka wydana nakładem własnym cieszyć się będzie niezwykłą popularnością. Wszak odsłaniał kulisy, opowiadał dzieje stosunków Polski z najbliższym sąsiadem, streścił lapidarnie przebieg i przyczyny wojny, nie chowając ani jednego dokumentu, odsłaniając pewne winy.

102

Leżał w łóżku. Nie miał możności zająć się rozpowszechnieniem tej książki. I snąc czasy nasze nie nadawały się do tego, skoro dzieło tak historycznej wagi odbiło się słabym echem.

Poseł Jan Dąbski miał w przeszłości swojej i inne zasługi. Przywódca ruchu ludowego, radykał i rzecznik reformy rolnej z całą zawziętością walczył w pierwszym sejmie o jej realizowanie. Pilnował towarzysza partyjnego Wincentego Witos, którego psychologię znał doskonale, by reforma ta nie została w pierwszej chwili przehandlowana. Walczył z mównicami, hucząc donośnym swoim głosem, wygrażając ziemianom i zapowiadając bezwzględna walkę o jej wykonanie.

Stary ludowiec, gdy widział, że reforma rolna w rękach jego towarzysza partyjnego została zaprzepaszczone, że grozi pakt sojuszu Piasta z endecją, przeciwstawił się wyraźnie Wincentemu Witosowi. Nikt nie zapomni tych czasów, gdy w klubie Piasta toczyła się zawzięta walka o podpisanie tak zwanego paktu Lanckorońskiego z prawicą. Stronictwo ludowe Witos, mieściło się wówczas w największym pokoju sejmu, tam gdzie dziś znajduje się klub BB. Szeptem mówił o rokowaniach na posiedzeniu poseł Witos, w ciszy przemawiali inni posłowie, by głos ich nie doszedł do opinii publicznej. W korytarzu rozlegał jeden tylko głos donośny i bezwzględny w tonie. To grzmiał piorunując przeciwko koalicji z prawicą poseł Jan Dąbski. Opuścił klub. Tak zerwał za austriackich czasów z posłem Janem Stapińskim, który się zwał z konserwatystami, tak walczył o utrzymanie bezwzględnej linii w ramach swojej ideologii przez całe życie.

Historyczną była scena, gdy zetknęli się publicznie dwaj przewodniczący delegacji na konferencji pokojowej w Rydze. Poseł Jan Dąbski o twarzy chłopca, w ubraniu skromnym, donośnym chłopskim basem przemawiający publicznie i Adolf Abramowicz Joffe, o wyglądzie inteligenta, ubrany wytwornie, o manierach dyplomaty, jak gdyby studiował szkołę posłowania w ciągu wielu lat. Na zewnątrz bawiono się jeszcze w formy dyplomatyczne, przestrzegano ceremoniału, ustalonego przez wytwornych sekretarzy z jednej i drugiej strony, a później gdy chciano doprowadzić do realizacji dzieła pokoju, upadły wszystkie konwencje dyplomatyczne. Przewodniczący delegacji spotykali się we dwójkę, lub czasem z udziałem sekretarzy w Sali Czarnogłowców w Rydze. Z rozmów poufnych wyrosło dzieło pokoju — traktat ryski. Z tym traktatem wrócił poseł Jan Dąbski do sejmu, uważając go za dzieło pokojowe. Przejął się odtąd swą historyczną rolą, wczuł się więcej w sprawy zagraniczne, budząc nieraz pogardliwe spojrzenia starych dyplomatów, mistrzów języka fran-

103

cuskiego i angielskiego. Przeciwstawiali mu się nawet i przyjaciele z lewa, towarzysze z PPS, gdy dla

dzieła pokoju podpisanego w Rydze zgodził się na usunięcie z kraju wątpliwych przyjaciół Polski, atamanów i watażków, Petlurę, Sawinkowa itp., którzy wciąż męcili. Spotykał się wówczas z atakami „Robotnika”.

Odtąd przy każdej okazji, przy każdej dyskusji w komisji spraw zagranicznych pytał ministrów o swoje dzieło, badał zagadnienia stosunków z sąsiadem wschodnim. Robił politykę dnia powszedniego, ale czuł w sobie nastrój odświętny, gdy mógł poruszyć lub wspominać dzieło pokoju.

W dni powszednie walczył z przeciwnikiem swoim Wincentym Witosem, z paktem Lanckorońskim, przygotowując bezwiednie podłoże pod przewrót majowy, który przywitał tak radośnie.

Ale odtąd wypadki poszły inną koleją. Musiał we własnym klubie rozpocząć walkę o sprzeciwianie się nowemu reżymowi. Bój był ciężki, trudniejsza była walka o przeciwstawienie się dawnym przyjaciołom politycznym.

W dalszych walkach brał już coraz mniejszy udział. Złożyły się na to różne przyczyny. Choroba, fatalna napaść (został napadnięty i obity przez zwolenników sanacji) przykuły go do łóżka. Odtąd zjawiał się w sejmie w wyjątkowych chwilach, przychodząc na otwarcie, opierając się na kij. Mówi coraz ciszej, nie grzmi już głos jego w kularach, nie spaceruje podnosząc do góry elastycznie stopy, jak to zwykł czynić w ciągu lat wielu. Poświęca czas tylko jednemu: chce wydać jak najszybciej wspomnienia z traktatu ryskiego, czuje, że podkreśleniem tego faktu wchodzi bezsprzecznie do historii, pamięta słowa prezesa Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich Nomberga. Ten witał go na zjeździe jako przedstawiciela dziennikarzy polskich słowami: anioł pokoju. Gdy poczuł w sobie śmierć bliską, nie spisywał życiorysu własnego, nie przygotowywał pamiętników politycznych, ulubionemu dziełu poświęcił książkę, sprawie pokoju oddał hołd.

7 czerwca, 1931

## 1932

104

### *Senat spoczywa w spokoju*

28 listopada przypada dziesięciolecie istnienia senatu. Biuro senatu rozesłało dziennikarzom materiały historyczne dotyczące powstania tej instytucji i przebiegu pracy. Najwięcej miejsca poświęcono pracy ostatniego senatu, który — jak podaje biuro senatu — podczas sesji zwyczajnej rozpatrzył ogółem 153 projekty ustaw, z których 131 uchwalił w brzmieniu sejmowym, a do 22 projektów wniósł poprawki.

W uroczysty dzień rocznicy nie wypada mącić nastroju świątecznego i opisać dokładnie, jak odbywało się uchwalanie ustaw w senacie. Omawianie każdego punktu porządku dziennego mogło wynosić 15 do 20 minut i przemęczeni senatorowie z trudem załatwiali w ciągu kilku godzin kilkadziesiąt ustaw. Lansowana stale myśl „pogłębienia dyskusji” nie mogła dojść do skutku. Starsi wiekiem senatorowie pracowali w szybkim tempie niczym „udarnicy”. Budżet rozpatrywany przez sejm w ciągu trzech i pół miesiąca trzeba było przerabiać w ciągu kilku tygodni.

Senat chciał pracować i dla upozorowania czynności prowadził równoległe z sejmem dyskusję budżetową. Prowadzono jednocześnie z sejmem dyskusję nad poszczególnymi budżetami. Sejm nie był zazdrosny o swe prawa. Dyskusja do niczego nie obowiązywała. Nikt nie chciał powstrzymać „młodzieńczego wigoru” panów senatorów, jak to określił jeden z referentów.

Trudno było ściągnąć uwagę opinii publicznej na działalność senatu. W gmachu tym powtarzano kurs sejmowy w mocnym streszczeniu. Minister powtarzał z trybuny senatu argumenty wyłuszczone już poprzednio w sąsiedniej sali.

107

Rząd starał się szanować tę instytucję. Poniewierano drugi sejm, walczono ostro z trzecim sejmem, w drugim senacie jednak rząd zawsze był obecny na posiedzeniach, choć była to warta honorowa, choć rzadko zachodziła konieczność replikowania z trybuny.

A jednak smutny był żywot senatu przez cały czas istnienia. Historyczną była chwila pierwszego posiedzenia, gdy naczelnik państwa Józef Piłsudski powołał na przewodniczącego najstarszego wiekiem senatora Bolesława Limanowskiego, gdy ścisnął mu dłoń, witając serdecznie „jednego z najstarszych bojowników wolności naszej”. Barwnie wyglądało posiedzenie następne, gdy na sali zjawili się senatorzy w purpurach, arcybiskup Teodoro-wicz i biskup krakowski, książę Sapieha. Niedługo senat cieszył się swą ozdobą. Po krótkim czasie senatorowie Teodorowicz i Sapieha zrezygnowali (z nakazu kościelnych władz wyższych). Z górnych wspomnień I-go posiedzenia senatu pozostała jedynie gorycz. Tragiczna bowiem była chwila, gdy bojownik o wolność, senator Limanowski, sprowadzony specjalnie na pierwsze posiedzenie drugiego senatu, czekał w pierwszym rzędzie, by znowu zasiąść na fotelu marszałkowskim, jako najstarszy wiekiem, w charakterze przewodniczącego. Nie zauważono go. Papierek, który trzymał w ręku

nie został odczytany. Miejsce jego zajął powołany przez prezesa Rady Ministrów Piłsudskiego „młodszy nieco” senator Maksymilian Thullie z chadecji.

W innych chwilach historycznych senat był na boku. Nie dotyczyły go żadne ciosy. Nikt gwałtem nie zrywał jego posiedzeń, nie było burzliwych scen. Gdy w sejmie rzucano sobie nawzajem ostre wyzwiska, gdy padały dosadne określenia pod adresem ministrów, w senacie bawiono się jeszcze w galanterię. Ton wersalski podtrzymywał wielbiciel senatu, senator Posner z PPS, a rząd płacił wzajemnością.

W październiku 1929 r. znaleźli się w przedsiönku sejmu oficerowie, grożąc rozpedzeniem posłów. Senat czekał na dalszy bieg wypadków, a nuż wejdą i do tego gmachu. Starał się usilnie dobrotliwy marszałek senatu, prof. Julian Szymański zwrócić choćby odrobinę uwagi na senat, sam znosił krzesła dla oficerów i częstował herbatką. A i to nie pomogło.

Zdawało się senatowi, że dręczy go los, bo połączony został zbyt z gmachem sejmu. Nastąpiła wreszcie separacja, senat nie obradował w sali posiedzeń sejmu, nie siedziało już 111 senatorów na sali mieszczącej 444 posłów. Przerobiono starą salę sejmową, dodano jej wdzięku, oświetlono frywolnym światłem lamp elektrycznych, padającym z góry na panów senatorów. Powołano specjalnego dyrektora biura

108

senatu. Ubrano woźnych gmachu senackiego w mundury różniące ich od woźnych sejmu. Obrady komisji senackich odbywają się w specjalnych pokojach. Pan marszałek Szymański wystarzał się o lepsze meble dla poważniejszej instytucji. Posłów i senatorów łączy jedynie bufet. Zakreślono granicę między gmachem sejmu i senatu. Odczuć to można w pierwszej chwili, gdy z nieco zgiełkliwego sejmu wchodzi się na miękkie dywany senatu.

Kto mówi donośnym głosem w sejmie, ten od razu przycisza głos, wkraczając na terytorium senatu. W kuluarach prowadzących do komisji sejmu chodzą tam i z powrotem posłowie, dziennikarze, dyskutują głośno, nie kępując się, że w sąsiedniej sali odbywa się posiedzenie komisji. Z sali komisji budżetowej sejmu prowadzi krótka droga do bufetu.

Do sali komisji budżetowej senatu, jak do poszczególnych komisji wchodzi się na palcach, z wnętrza sali nie dochodzi żaden podniesiony głos. Nikt tam nie krzyczy, nikt się nie oburza. Czasem rozlegnie się jedynie opozycyjny głos senatorki Kłuszyńskiej, ale ginie szybko w kuluarach senatu.

Czasem trwa tam posiedzenie komisji od 4-ej po południu do 11-ej wieczór, a później rozlega się dzwonek w klubie sprawozdawców parlamentarnych. Woźny oznajmia przypadkowemu samotnikowi, że posiedzenie komisji zostało już skończone, że można zejść i odebrać sprawozdanie. Po 15 minutach wychodzą z gmachu senatorowie i szeptem opowiadają sobie o powadze dokonanej pracy, o ciężkich trudach instytucji, która musi poprawiać wszystkie błędy sejmu, o tym jak podnosi się poziom dyskusji bez oddźwięku w prasie.

Senat nie ma szczęścia do prasy. Dziennikarze sejmowi chcieliby nieraz; przez wdzięczność dla marszałka senatu Raczkiewicza, dać nieco dłuższe sprawozdanie z posiedzenia senatu, wydobyć poważniejsze momenty z przebiegu dyskusji. Nie udaje się to jednak. Redakcja pisma nie chce powtórzenia, nie chce kursu, który znudził się w relacji sejmowej. Nocny redaktor odbiera materiał i patrząc zgryźliwie dodaje: „Requiescat in pace”. (Niech spoczywa w spokoju).

10 lat upłynęło od pierwszego posiedzenia senatu. W rocznicę tej uroczystości nie będzie jednak żadnych bankietów, przemówień ani rautów. Senat nie obraduje, nie ma żadnych posiedzeń komisji, ani poszczególnych grup senackich. W gmachu panuje cisza. Senat spoczywa w spokoju.

28 października, 1932

109

### *Oj dana dana stronnictwa ludowego*

Stronnictwo ludowe zorganizowało na dzień 4-go września dożynki za Koninem. Parady świąteczne z terenu Galicji zostały przeniesione do Kongresówki. Złożyło się na to wiele przyczyn. Zgromadzenia ludowe nie cieszą się łaską władz, a parady, uroczystości świąteczne ze śpiewkami nie mogą ulec tej cenzurze, co wiec sprawozdawczy posłów opozycyjnych.

Miały to być dożynki na wielką skalę. Zapowiedziano przyjazd Witosy i najwyższych dygnitarzy stronnictwa ludowego. W odezwach rozrzuconych do ludności wymieniano posła Malinowskiego, Roga, Wrone, b. posła Thugutta itp. Każdy z posłów miał w tytule „prezes”, bo należało pogodzić wszystkie odłamy i udobruchać b. prezesów i wiceprezesów tytułami. To prezes partii, to prezes klubu parlamentarnego, to prezes Rady Naczelnej, a dla b. posła Thugutta znaleziono tytuł prezesa Sądu partyjnego.

Miała być wielka parada, dożynki z huczną orkiestrą. Władze potraktowały tak poważnie uroczystości, że zakazano nawet witania posłów na dworcu. Bramy triumfalne odsunięto daleko od stacji. Ocenowano teksty piosenek. Na dworzec pozwolono przybyć, jedynie z powitaniem, dyplomacie stronnictwa ludo-

wego, posłowi Langerowi. Obawy były przesadne. Sztuka urządzania kongresu, sprowadzania orkiestr, zaaranżowania pochodu narodowego z delegacjami jest po dziś dzień monopolem Witosy. Stronnictwo chłopskie i Wyzwolenie nie umie jeszcze organizować parady, ukryć resztki polityki w uroczystościach świątecznych. Brak doświadczenia galicyjskiego dał się już we znaki w r. 1928, w czasie święcenia dziesięciolecia rządu lubelskiego. Zebrano w Lublinie dość chłopów, ale paradę należytą zorganizowali wówczas towarzysze z PPS, którzy przeszli dobrą szkołę krakowskich parad.

Dożynki, uroczystości reymontowskie przygotowywano w Galicji w ciągu kilku tygodni. W dzień święta zjeżdżali się wszyscy posłowie ludowi, ministrowie i wiceministrowie, wicemarszałkowie sejmu, sędziowie itp. Warto było przyjeżdżać, zabrawszy uprzednio ze sobą papierek: do Izby Skarbowej, albo do urzędu. Przed ruszeniem pociągu pchano papiery ministrom, posłom. Nieraz ołówek ludowego posła skreślał na takim papierze ulgi dla wyborców, koncesje. Wycieczki zbiorowe korzystały z daleko idących ulg kolejowych. Na miejscu zbiórki funkcjonowały dobre kuchnie ludowe a szef, Jan Stanisław Szczerbiński, mistrz nad mistrze w organizowaniu szop ludowych, zwoływał, rozstawiał,

110

szeregował oddziały ludowe, komenderował orkiestrą, nadawał splendoru paradzie i chłop wracał zadowolony do swego domu.

Parady w Koninie nie było. Nie było banderii chłopskiej, bo zabroniono. „Wodzowie ludu” zeszli ze stacji kolejowej w Koninie przy ponurym milczeniu obcych im ludzi, a gdy przeszli przez szpaler rozległ się wrogi okrzyk: precz ze zdrajcami ruchu ludowego (okrzyki skrajnej lewicy). Weteran ruchu ludowego, Malinowski, spojrzał zdziwiony, ścisnęli zęby inni działacze ludowi. Przedsmak dożynek był smutny i nie zapowiadał nic dobrego. W samochodach dowiadują się posłowie, że oddziały jadące autobusem z Łęczycy do Konina wysadzono po drodze na szosie. 16 kilometrów trzeba było maszerować do miejsca uroczystości. Tekst piosenek dożynkowych został mocno ocenzurowany, a przecież cała parada opozycji stronnictwa ludowego schowana została w tych piosenkach.

Jedziemy szosą. Po drodze dwa, trzy autobusy, kilkadziesiąt osób maszerujących na piechotę. Nie słychać orkiestr. Widać natomiast większe oddziały policji z karabinami.

Przy bramie triumfalnej czeka zastępca starosty z komendantem policji. Poseł Langer zaznajamia władzę z wodzami ludu. Następuje wymiana nazwisk. Przed bramą stoją już większe oddziały z zielonymi sztandarami. Utworzono szpaler na cześć posłów. Czekają skromny oddziałek straży ogniowej i kilku delegatów z przygotowanymi mowami na cześć przywódcy ruchu ludowego. Wepchnięci zostaliśmy w ciżbę. Tłum zmieszał się z wodzami. Porządek imponujący na zjazdach Witosy nie został utrzymany. Rozlegają się okrzyki na cześć stronnictwa ludowego, słychać głośne niech żyje, ale po chwili urywają się okrzyki i cały tłum gapiących się szepce między sobą: a gdzie Witos?

Z miasteczka, ze wsi okolicznych zbiegli się ludzie patrzeć nie tyle na Witosy, ile na ten dziwny koncert pojednania Witosy z Bagińskim, posłów Wyzwolenia z piastowcami. Witos jednak nie przyjechał. Wyczuł niezadowolenie pewnych grup z powodu zbyt częstych wypadów do Kongresówki i dyplomatycznie wykręcił się listem przesłanym na ręce posła Langery.

Na łąkach jednego z towarzyszy partyjnych zebrali się chłopcy okoliczni. Było ich 4 do 5 tysięcy. Skupili się tuż koło zaimprovizowanej estrady, gdzie umieszczono wodzów ludu razem ze starostą i komendantem policji. Orkiestra cienko gra. Głośniej rozlegają się raczej okrzyki kilkudziesięciu chłopców na krańcach łąki, wykrzykujących nieustannie pod adresem wodzów ludu. *Padają* okrzyki niemiłe.

Ale oto zaczynają się dożynki. Parada z kosami, z oddziałami przodownic ma uciszyć opozycyjny krzyk chłopów na krań-

111

cach. Mistrza Szczerbińskiego ma zastąpić poseł Langer, wybrany z tych okolic. Konferensjerka nie odbiega od pierwotności wierszy dożynkowych.

Chór złożony z kilkudziesięciu osób śpiewa piosenki dożynkowe. Nuci grupka kuplety aktualne o wypadkach ostatnich. Już jest zwrotka o policji, która nie dała dojechać aż do Konina, są pieśni pochwalne na cześć wodzów ludu. Chór śpiewa odosobniony, nikt nie powtarza zwrotki przodownicy i piosenkarzy.

W otwartym polu giną wyrazy rzucane i nie słyszy się nawet należycie tekstu.

Ale oto kończy się uroczystość dożynkowa, odśpiewano kilkanaście strofek aktualnych, wychwalono każdego posła i senatora, wyróżzono b. redaktorowi Zaranja, posłowi Malinowskiemu prezydenturę Rzeczypospolitej, wychwalono senatora Ja-nuszewskiego „jedyne go kochanego pułkownika”, uznano talenty umysłowe posła Langery.

Konferansjerkę prowadzi w dalszym ciągu poseł Langer. Zaleca wodzów ludu wyjątkami z piosenek odśpiewanych. Zabierają kolejno głos posłowie ludowi Wrona, Malinowski, Róg i inni. Ton ogólny przemówień nie odbiega od piosenek dożynkowych. Śpiewają wszyscy unisono: w jedność siła. Chwałą

przed ludem dzieło swego zjednoczenia. Sztuka przemawiania na wolnym polu napotyka na przeszkody. Wiatr wieje w niepożądaną stronę i głos mówcy nie dochodzi do zebranego ludu.

Udaje się jedynie opanować audytorium posłowi Wronie i Rogowi. Dobry mówca dla inteligencji mieszczańskiej b. poseł Thugutt, nie znajduje oddźwięku wśród zebranej masy ani głosem, ani tematem przemówienia.

Rozgrzewa dopiero zebranych b. poseł Bagiński. Mówi o nędzy chłopskiej, o niedoli ludu, o tym, jak za kopę ogórków dostać można co najwyżej dwa pudełka zapalek. Wali w inteligencję i wreszcie mówi o tym, o czym nawet myśleć nie wolno. Wzywa imienia jego nadaremnie. Zastępca starosty jest nieco zdenerwowany. Treść nie jest gwałtowna, ani podburzająca, ale ton przemówienia namiętny i to przestrasza władzę. Prosi o względy poseł Langer, tłumaczy niewinność zdań posła Bagińskiego, ale zastępca starosty jest nieubłagany. Przecież umówił się, że nie będzie się mówić „o nim”, przecież musi być jakaś lojalna współpraca. Na wezwanie starosty zgromadzenie zostaje rozwiązane.

Na estradzie konsternacja. Co będzie z dożynkami, co będzie 2 zabawą ludową, z tańcami, z bufetem? Czy i to zakazane? Z gniewnego tonu zastępcy starosty wynika, że tłum ma się rozejść, że dalszej zabawy nie będzie. Ale oto zabiera głos dyplomata, poseł Langer. Zamyka uroczyste zebranie, poddaje się rozporza-

112  
dzeniom władzy, coś niecoś opowiada o dzisiejszych warunkach politycznych i mrugając chytrze w stronę starosty dodaje: a teraz możecie tańczyć, bawić się itp. Zastępca starosty waha się. Widzi spojrzenia zdziwionych posłów. Wstawia się uprzejmy komendant policji. Szeptem coś do ucha starosty dyplomatycznie poseł Langer i gniew władzy został przeblagany.

Orkiestra gra, bufet funkcjonuje, zabawa ludowa zaczęła się na serio. Piosenki aktualne poszły w niepamięć. Mowy zostały zapomniane. Na murawie otoczone kołem tańczą pary chłopskie. Rozlega się śpiew oj dana, dana na cześć stronnictwa ludowego.

9 września, 1932.

## ZAMORDOWALI GO

### *Blok mniejszości narodowych*

16 grudnia r. 1922 został zamordowany pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Gabriel Narutowicz. Kilka dni wcześniej tłum bezcześcił go na ulicy. Ale już w dzień wyboru, tzn. 8 grudnia, rozpoczęła się nagonka przeciwko nowo wybranemu prezydentowi. W godzinę po wybraniu go gawieź uliczna powiadomiona odpowiednimi odezwaniami narodowej demokracji przystąpiła do dzieła. Znalaziono winowajcę. Wiedzano kogo należy bezcześcić zanim ręka zabójcy dotknie prezydenta.

Narodowa demokracja w ciągu całego okresu swojej akcji politycznej nie знаła innego winowajcy. Szła ciągle po linii najmniejszego oporu, umiając się chować za płotem i referować następnie czarnosecinnym carskim sposobem odmiennie bieg wypadków.

Zaczęło się od bicia Żydów na ulicach Warszawy. Wieczorem w dzień wyboru prezydenta rozagitowana młodzież endecka, która uważała siebie za reprezentantkę idei faszystowskiej włoskiej na terenie Polski, wdzierła się do tramwajów, próbowała dostępu do dzielnic żydowskich i przy biernym stosunku policji dokonała śmiało akcji ataku. Bito Żydów wszędzie, wyrzucano ich z tramwaju, próbowano rabunku sklepów. Na ulicach Warszawy pojawiły się typy z koszykami gotowe do chowania zrabowanego u Żydów towaru. Akcje zwycięstwa endeckiego były zresztą mocne. Zdawało się wszystkim, że przewrót włoski dociera do Polski. Marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski — pisał nie-

113

dwuznacznie redaktor „Rzeczypospolitej” Stanisław Stroński. Dąbrowski, przybywający do Polski, powinienby oczywiście zgodnie z programem faszyzmu polskiego bić w pierwszym rzędzie Żydów.

Żydz bowiem w opinii ulicy uchodzili za winowajców wyboru prezydenta Gabriela Narutowicza. W pierwszy dzień otrzymał on przydomek żydowskiego prezydenta. Choć głosy żydowskie nie mogły zaważyć na szali wyborów, choć tych trzydzieści kilka mandatów poselskich nie decydowało o wszystkim na zgromadzeniu narodowym.

W sejmie zjawił się czynnik nowy, dotychczas nieznan. Narodziła się ordynacja wyborcza do sejmu spreparowana w ten sposób by żadne mniejsze grupy nie dostały się do sejmu, by mniejszości narodowe wynoszące więcej niż 35% w Polsce nie mogły zaważyć na losach spraw państwowych, by nie mogli decydować o żadnej ustawie, by równouprawnienie zawarowane w konstytucji i w traktacie o mniejszościach narodowych było pustym dźwiękiem poprzez pokolenia.

Pilnował tej sprawy ksiądz Lutosławski, towarzyszył mu prawnik Dubanowicz. Przysłużył się również przedstawiciel stronnictwa ludowego Piast — Buzek. Wszyscy razem konstruowali misternie ordynację wyborczą, zmuszając tym samym ludność żydowską do samoobrony. Istniała bowiem wówczas

naiwna wiara, że od liczby mandatów w sejmie zależeć będzie los ludności żydowskiej w Polsce, że na terenie parlamentu rozstrzygnięte zostaną wszystkie przemiany społeczne i narodowościowe, choć każda ustawa, która wychodziła z pierwszego sejmku stawała się nic nie znaczącym papierem nazajutrz po wydrukowaniu. (Reforma rolna, konstytucja, ośmiogodzinny dzień pracy itd.).

Blok mniejszości narodowych powstał jako akt samoobrony. Szerokie hasła federacyjne, narodowościowe, które rozbrzmiewały na wschodzie Europy, dotarły do Polski. Zaczęło się poszukiwanie mniejszości narodowych na obszarze Rzeczypospolitej. Ukryci pod ziemią w okresie wojny, rozbici politycznie, rządzeni swoiście, nie mogli przedstawiciele mniejszości narodowych na Kresach ujawnić swej fizjonomii. Twórcy bloku mniejszości narodowych mogliby opowiedzieć niesamowite historie o poszukiwaniach przywódców ukraińskich, białoruskich, na Wołyniu, w Wileńszczyźnie itp.

Stworzono w ten sposób mozaikę nielada: romantyczny

splot różnorodnych nazwisk, dziwną mieszaninę kast, zawodów, wyznań i przekonań politycznych.

Łączyła ich wszystkich krzywda, poczucie, że pojedynczo nie dostaną się do gmachu przy ulicy Wiejskiej, że trzeba się tam znaleźć za wszelką cenę, że zjawienie

114

się nie będzie gładkiem na otrzymanie autonomii personalnej, ale być może listem żelaznym dla zapewnienia nietykalności i częściowego zmniejszenia szykan wobec ludności zamieszkałej na

Kresach.

Izaak Grynbaum, ksiądz kanonik Klinke, Bronisław Ta-raszkiewicz, socjalrewolucjonista białoruski, Paweł Wasyńczuk, socjaldemokrata ukraiński, a obok nazwiska popów, rabinów, chasydów, chłopów, ziemian, działaczy z szyldem pseudorewolu-cyjnym. W tym towarzystwie maszerował również odnaleziony na bruku Warszawy miejscowy Rosjanin Serebriannikow. Rosjanie, którzy odnaleźli się jako Ukraińcy, nauczyciele ludowi którzy dopiero stawiali pierwsze kroki w polityce, skompromitowani działacze ortodoksyjni na ulicy żydowskiej, a ponoć nawet petlurowcy — wszyscy znaleźli się na jednej liście. 17 grudnia, 1932.

Opinia prasy polskiej przyjęła ze zgrozą nazwiska tych ludzi. Nazywano ich wrogami Polski, agentami obcych mocarstw, mistrzami od rozsadzania całości państwa itp., choć w towarzystwie tym znajdowali się działacze, którzy szli ręką w rękę z piłsudczy-kami, którzy współdziałali z Polską w okresie wojny polsko-bol-szewickiej, którzy związywali swe rojenia o republice białoruskiej, ukraińskiej ze zwycięstwem Polski w tej wojnie; znajdowali się na tej liście ludzie, którzy do niedawna utrzymywali kontakt z działaczami obozu Piłsudskiego, którzy znajdowali się na urzędach w Litwie Środkowej (Taraszkiewicz). Wśród rewolucjonistów, którzy mieli działać na szkodę Polski znajdował się ortodoksa Kirszbraun, przedstawiciel kupców Wiślicki, rabin Lewin i inni nieznani żołnierze żydowscy parlamentaryzmu polskiego, jak Syrkis, Mojsze Heller, Mincberg, rabin Szapiro, Stempel itp.

Gdy zjawili się w pierwszy dzień w sejmie, okazali się zupełnie izolowani. Prawica widziała w nich wojsko żydowskie, lewica bała się nacisku prawicowego, czasem tylko pojedynczy posłowie Wyzwolenia i PPS prowadzili rozmowy cichaczem z poszczególnymi działaczami, znanymi im z sympatii polonofilskich. W kuluarach sejmowych, w dzień otwarcia sejmku zaczął się cichy targ o wybór prezydenta, rodziły się dziwaczne kombinacje centrolewu i innych połączeń dla znalezienia większości. W tych wszystkich pomysłach pomijano przedstawicieli mniejszości naro-

115

we. (Złamał tę tradycję min. spraw zagranicznych Roman Dmow-ski). Nie mógł wiele o nim opowiedzieć serdeczny jego rzecznik, który namawiał również i Żydów do głosowania, wybitny dziennikarz, a wówczas również i piłsudczyk, Witold Giełżyński.

W decydującej chwili przetrucili piastowcy swe głosy na rzecz Gabriela Narutowicza, padło nań osiemdziesiąt kilka głosów bloku mniejszości narodowych. Zdawało się wielu posłom z tego bloku, że czynią to zgodnie z życzeniem Belwederu. Nie liczyli na wdzięczność przyszłego prezydenta, nie przypuszczali, że zapisze to w swej pamięci, nie chcieli tylko kandydata gnębieli. Osiemdziesięciu kilku posłów narodowości ukraińskiej, niemieckiej, żydowskiej, białoruskiej, głosowało wraz z lewicą na kandydata Gabriela Narutowicza. Został wybrany. Ponura cisza zaległa salę. Piastowcom zrobiło się przykro. Raziło ich towarzystwo głosujących. Endecy milczeli. Wierzyli w nastroje Warszawy, głos protestu drobnomieszczaństwa, w bezsilność policji, w ulicę, która przekreśli uchwałę zgromadzenia narodowego. Trzeba było jedynie znaleźć hasło, by zozydzić wybranego. A zatem, choć wybrali go Białorusini, Ukraińcy, Niemcy, nazwano Gabriela Narutowicza żydowskim prezydentem. Na blok mniejszości narodowych spadło odium wyboru, na głowy żydowskie skutki wyboru w zgromadzeniu narodowym. Odtąd szaleje przez osiem dni młodzież endecka, odtąd zawieszono zostaje bezpieczeństwo życia



żydowskiego na ulicach Warszawy. Zamordowanie prezydenta poprzedzi jeszcze scena bicia posłów i senatorów żydowskich na Placu Trzech Krzyży.

18 grudnia, 1932.

*Gwardia republikańska na ulicach Warszawy...*

Już w wigilię złożenia przysięgi przez prezydenta wiadano dokładnie, że nie obejdzie się bez awantur. Zapadła decyzja niedopuszczenia do przysięgi. Może po odroczeniu ceremonii choćby na jeden dzień prezydent się namyśli, ulegnie nakazom tłumu i złoży urząd. O tej decyzji prawicy wiedział każdy mieszkaniec Warszawy, prócz policji... komisarza rządu, ministra spraw wewnętrznych inżyniera Kamińskiego.

**117**

dowych, prawica nie dotykała się przedstawicieli bloku, bo narodzili się z idei radykalnych, bo w pierwszej chwili nie mogli pójść z przedstawicielami prawicy. Lewica omijała tych posłów, bo liczyła, że powinni automatycznie wykonywać ich rozkazy. Zresztą już na pierwszym posiedzeniu sejmu „skompromitowali się rewolucyjnie” posłowie ukraińscy. Chcieli podkreślić wobec świata, że istnieje naród ukraiński i miast „ślubuję” odpowiadali w języku ojczystym „prisjahaju”. Jedna groźba unieważnienia ich mandatów, stracenia prawa do zasiadania w parlamencie złamała ich. Na tym skończyło się rewolucyjne działanie posłów ukraińskich, białoruskich. Nie było zajawy, buńczucznej deklaracji.

A nazajutrz po pierwszym konstytucyjnym zebraniu sejmu myśleli przedstawiciele bloku mniejszości narodowych o jednym: o zbliżeniu się z lewicą, o kontakcie z PPS, Wyzwoleniem itp. Niektórzy nad słuchiwali czy nie nadejdzie rozkaz z Belwederu, czy nie padnie nazwisko kandydata. Gdy jednak nikt z lewicy nie raczył ich uświadomić co do przyszłego działania postanowili tylko dla demonstracji wysunąć przy próbnym głosowaniu „własnego kandydata” narodowości polskiej, wyłuskać w spisie radykałów polskich choć jednego, który by miał publiczną odwagę nie wstydzić się tego towarzystwa i znaleźli jedynie nie polityka, nie związanego z żadnym obozem partyjnym, chodzącego luzem dawniejszego profesora uniwersytetu petersburskiego, Baudouin de Courteney'a.

W pierwszej chwili wybór prezydenta odbywał się na sali, w kularach, spór w rodzinie. Stronictwo ludowe Piast wysuwa na kandydata swego członka, który niedawno zresztą został współpracownikiem redakcji ich partyjnego pisma, Stanisława Wojciechowskiego. Wyzwolenie nie ma zaufania do kandydatów Piasta i widzi w tym wszystkim kombinację taktyczne dla wysunięcia Witos na stanowisko prezydenta. Witos kręci się zły w kularach, że nie padło jego nazwisko, że musi ulec nakazom mafii, podszeptom nowo wprowadzonych ludzi do jego obozu, że pilnują go pułkownicy, majorowie, jako nowo wybrani posłowie Piasta. Kandydatem Belwederu miał być Stanisław Wojciechowski, ale Wyzwolenie wybiera nazwisko osobiście miłsze Belwederowi, dawnego ministra robót publicznych, następnie ministra spraw zagranicznych, Gabriela Narutowicza.

Niemile było dla bloku mniejszości nazwisko pierwszego ministra spraw wewnętrznych Stanisława Wojciechowskiego. Raziło, że nazwisko to padło z łona Piasta i chwycono się jak zbawienia nazwiska Gabriela Narutowicza. Nie znano go wcale, nie znała go opinia żydowska, a prasa żydowska mogła jedynie stwierdzić, że był przeciwnikiem dopuszczenia Żydów na konferencje prasowe-

**116**

Posłowie klubów mniejszości narodowych postanowili wziąć udział w posiedzeniu. Łatwo było posłom klubu ukraińskiego, białoruskiego i niemieckiego stawić się na posiedzenie. Fizjogno-mie ich nie nastęrczały wątpliwości, można było ich przepuścić bez przeszkód. Gorzej było z Żydami. Rabini, ortodoksi w kapotach, posłowie o charakterystycznych twarzach — wszyscy obo-wiązali się stawić w gmachu sejmu przed godziną 10.

Jeszcze o godz. 9-iej rano można było się przeschmuglować bocznymi ulicami na Wiejską, można było przejść ulicą Mokotowską przez Wilczą, skręcić do Instytutowej, później szybko wbiec za bramę sejmową. Tu nie hulala jeszcze gawieź, kręcili się jedynie w kularach posłowie klubu ludowo-narodowego, czekając sygnału z miasta. Sami zaś ostentacyjnie oświadcza li, że nie wezmą udziału w posiedzeniu. O godz. 10 rano ulica zabrała głos. Plac Trzech Krzyży zapełnił się studentami. Każdy miał laskę, wielu z nich uzbrojonych było w kastety. Zadanie bojówki było złożone. Trzeba było działać na dwa fronty. Nie dopuścić posłów i senatorów do gmachu przy ulicy Wiejskiej, nie dopuścić prezydenta z Łazienek do gmachu sejmu.

Pierwszy cel nie miał właściwie żadnego znaczenia. Przysięga mogła się odbyć nawet przy udziale pięciu posłów. Ustawa nie przewidywała żadnego aorum w tym wypadku, ale studenteria mogła dokonać upragnionej roboty, bicia Żydów i ich „pachołków”.

Wraz ze studenteria działała gawieź, razem tworzyli nową policję: „gwardię republikańską miasta Warszawy”. Do nich trzeba było się zwracać z prośbą o przepuszczenie na ulicę Wiejską. Oni sprawdzali

legitymacje posłów, senatorów i dziennikarzy. *Zagląдали* do samochodów. Nie wystarczył napis D na aucie (dyplomatyczny). Trzeba było okazać legitymację.

Dopomagali w robocie suflerzy, osobnicy, którzy kręcili się niegdyś w sejmie, znający poszczególnych posłów i senatorów. Gdy szmuglował się poseł z Wyzwolenia, PPS, okładano go laskami, odsyłano z powrotem do domu. Rozkazy szły z pobliskiego gmachu, gdzie mieścił się czarnosecinny Rozwój i działał znany po dzień dzisiejszy Tadeusz Dymowski.

Biada jednak tym posłom i senatorom, którzy należeli do narodowości żydowskiej i chcieli się dostać do gmachu sejmu. Tu pałka działała bezlitośnie. Bito bez żadnej ceremonii. Krwią obłany przedostawał się do gmachu sejmu senator Deutscher. Gwardia republikańska starała się wyperswadować mu ten pomysł. Bito go przez całą drogę, uparł się i szedł dalej. Pobito senatora rabina Kamińskiego, bito i innych. Bito żydowskich dziennikarzy.

118

Najniebezpieczniej było wówczas zwracać się do policji. Zaczęło się od znanego systemu sprawdzania legitymacji poszkodowanego. W chwilę później zjawiała się gwardia republikańska i brała ponownie pod swoją opiekę ofiarę.

Zorganizowano naprędce areszt policyjny w gmachu Kijoka na Placu Trzech Krzyży, trzymano więźniów i zakładników politycznych. Tam wtłoczono posła Daszyńskiego. Do innej bramy wepchnięto sędziwego senatora Limanowskiego. Smutny był obrzęd przysięgi prezydenta. Był blady, gdy przysięgał, zdawało się, że łka. Karetą prezydenta wjechała w głąb podwórza sejmowego. Na podwórzu zebrał się już tłum złożony z krewnych, posłów i senatorów. Przestraszone rodziny chciały się dowiedzieć o los tych, którzy próbowali przedostać się na ulicę Wiejską. Wśród gromadki słyszano jednocześnie złorzeczenia pod adresem nowo-obranego prezydenta. Senator Truskier zwraca ostro uwagę sąsiadce, iż mogłaby tutaj *zamilczeć*, ale wnet rozlegają się głosy: daj pan spokój — to jest krewna gen. Hallera.

Posłowie ludowi są szczególnie podnieceni. Senator radykalnego Wyzwolenia Zubowicz kręci się zdenerwowany i łapie pierwszego lepszego posła endeckiego, by go pobić. Grozi uroczyscie przywódca Wyzwolenia, poseł Stanisław Thugutt, ale wszystkie te groźby nie mają żadnego znaczenia. Ulica jest w rękach endeckich. Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Trębacka, wysłały swoich synów-studentów, by walczyć. W sześć lat później te same ulice głosować będą na sanację, opuszczając obóz endecki. *Zjawia* się w gmachu sejmowym min. spraw wewnętrznych Kamiński. Padają słowa dosadne, niecenzuralne z ust posła Dia-manda. (Gorsze uwagi słyszał Kamiński z ust Piłsudskiego w Belwederze) Tymczasem nadchodził z Woli i Mokotowa pochód robotniczy. Była obawa że dojdzie do starcia między robotnikami a studentami. Policja obudziła się.

Rozpędzono pochody robotnicze. Padły ofiary. Posłowie i senatorowie żydowscy skupieni w lokalu Koła Żydowskiego czekali aż policja uspokoi ulicę. Spodziewano się pomyślnych rezultatów rokowań między Thuguttem, a przedstawicielami Związku Ludowo-Narodowego.

Trzeba było czekać dość długo. *Zapadał* zmrok, posłowie i senatorowie ortodoksyjno-sjonistycznej Mizrachi i ortodoksyjnej organizacji Hagudy naradzali się w sprawie opuszczenia gmachu. Aż pada rozkaz: minche (modlitwa wieczorna). W sali Koła Żydowskiego utworzono minien (zbiorowisko złożone z więcej niż z 10 osób). W kuluarach sejmowych na pierwszym piętrze dochodziły do dziennikarzy i posłów wschodnie dźwięki nuconej smętnie modlitwy. Przewodził poseł rabin Szapiro. Był to jego

119

chu sejmu.

19 grudnia, 1932.

#### *Mordowanie po śmierci*

W walce z Gabrielem Narutowiczem działało nie tylko słowo drukowane. Artykuły pełne nienawiści były jedynie tłem. Puszczone w kurs plotki. Rynek, bazar, tramwaj, rynsztok, były terenem akcji. Puszczone w tłum pogłoski, że ten „mason” nie przysięgał, że podczas ceremonii w sejmie odwrócił twarz, że nie jest zresztą katolikiem, bo ma na imię Gabriel, że jest w ogóle Żydem. Plotka działała sprawnie. Ulica potępiła go. Mógł się spodziewać na każdym kroku znieważenia czynnego. Był bojkotowany. Prawica postanowiła omijać go towarzysko, choć wyciągał do niej kilkakrotnie rękę, choć właściwie nie pragnął innej rzeczy jak pojednania i nie zwracał się wcale do pierwszych ofiar jego wyboru. Nie porozumiewał się z mniejszościami narodowymi, nie wdawał się w żadne rozmowy z Żydami. Zdaje się, że nawet unikał ich, by zatrzeć wspomnienie okoliczności swego wyboru.

Te pierwsze dni po wyborze prezydenta oszołomiły nieco przedstawiciele mniejszości narodowych, wypadki rozgrywały się bez nich. Odbywały się narady stronnictw lewicy, konferowali ze sobą posłowie Thugutt, Witos, Bagiński, Poniatowski, Nie-działkowski, Barlicki. Unikano jednak tych, którzy rzekomo zawazyli na szali. Nie wdawano się z nimi w żadne rozmowy, jak gdyby wybór prezydenta odbył się bez

udziału mniejszości narodowych.

Wreszcie przyszedł fatalny dzień. 16 grudnia w godzinach popołudniowych zamordowano prezydenta Gabriela Narutowicza. Ulicami Warszawy kroczył po południu ogromny pochód. Odprawdzano na cmentarz zwłoki zabitego robotnika. W pochodzie powiewały czerwone sztandary robotnicze. Rozlegały się pieśni rewolucyjne. Robotnicy zgrzytając zębami zapytywali przywódców jak długo trwać będzie bezkarne mordowanie robotników, czy nie czas najwyższy opanować ulicę. Były to jeszcze czasy, kiedy można było dla hasła demokracji i parlamentaryzmu poruszyć masy robotnicze, ale przywódcy milczeli. „Towarzysze nie dajcie się prowokować”, to był leitmotyw przywódców, straży pożarnej, która gasiła wszelki możliwy ogień na ulicy robotniczej.

120

Gdy tłum dochodził do cmentarza chłopcy na ulicach wykrzykiwali dodatek nadzwyczajny o zamordowaniu Narutowicza. Jęk i okrzyk zbiorowy rozległ się w masie. Zdawało się, że tłum zerwie się z miejsca i rzuci się w dzielnicę Placu Trzech Krzyży, by rozprawić się z mordercami. Chciano zawrócić z pogrzebu i pójść na ulicę, ale przywódcy zrobili swoje. Rozległo się: „towarzysze nie dajcie się prowokować”.

Walkę przeniesiono do parlamentu, czasowy prezydent, marszałek Rataj powołał na przywódcę tej walki gen. Władysława Si-korskiego. Pod jego przewodnictwem miano stłumić anarchię, rozprawić się z przeciwnikami. Brzmiało to nieco dziwnie, lecz przedstawiciele mniejszości narodowych przypuszczali, że po zbrodni nastąpi mocniejsze zespolenie, że lewica wyciągnie do nich rękę, że Witos mimo wszystko pójdzie razem z lewicą, że w ogniu tej krwawej walki nastąpi uznanie praw mniejszości narodowych.

W pochodzie pogrzebowym brali udział na równi z lewicą przedstawiciele stronnictwa Piast, tuż koło sztandaru kroczył zbiedzony, zmizerowany, wysoki o zmęczonej twarzy pan, był to przyszły prezydent Stanisław Wojciechowski. Skoczne tony hy-, mnu narodowego przeistoczono tak by brzmiały jak marsz żałobny. Ze spuszczonej głowami chodzili przedstawiciele lewicy, ale w tej samej chwili dojrzywały nowe pomysły. Już nad grobem Narutowicza obmyślano nowe plany mordowania go po śmierci.

Wprawdzie gen. Władysław Sikorski tworzył rząd opierający się o lewicę i stronnictwo ludowe Piast, kokietując mniejszości słowiańskie, ale sam myślał o pozbyciu się niepotrzebnego bagażu. Dokuczał mu balast mniejszości narodowych. Przykro było Witosowi znajdować się w żydowsko ukraińskim towarzystwie. W restauracjach pod Bachusem, w Cristalu i w innych szynkach toczyły się rozmowy na temat nowego pojednania. Szukał sprzymierzeńców poseł Witos i jego towarzysze. Zerkał do cha-decji premier rządu, który miał rzekomo pomścić śmierć Narutowicza.

Uroczysty przywódca stronnictwa ludowego Wyzwolenie, poseł Stanisław Thugutt, myślał jakby najwłaściwiej uczcić pamięć Narutowicza. Zaczęło się od pomnika, który miał stanąć na placu publicznym, myślano o domu ludowym jego imienia. Z dnia na dzień plany stawały się coraz skromniejsze. Z godziny na godzinę było trudniej uzyskać większość dla dostojnego uczczenia 1-go prezydenta.

Kwiatami upiękuszono grób mordercy. Tysiąc pielgrzymek ciągnęło w stronę Powązek. Coraz mniej jednak głosów można było uzyskać w sejmie dla ufundowania pomnika Narutowicza. Nie mówiono już zresztą o tym. Skończono skromnym wnioskiem

121

o wmurowanie tablicy w gmachu sejmu i przy tym głosowaniu była chwilowa konsternacja. Na ławach prawicy ociągano się ze wstaniem. Dopiero gdy poseł Głabiński powstał cała prawica głosowała wraz z nim.

Na dole przy wejściu czyniono przygotowania do wmurowania tablicy. Na górze, o piętro wyżej, czyniono przygotowania do zbezczeszczenia tej tablicy, do przekreślenia całego aktu wyboru prezydenta Narutowicza. Prezydentem Rzeczypospolitej był już wówczas Stanisław Wojciechowski. Kluby mniejszości narodowych poszły bowiem przy drugim głosowaniu za centrolewem. Nie było po raz drugi kontaktu między jednymi a drugimi. Tylko wilnianin, rzecznik Belwederu, uchodzący za przyjaciela mniejszości narodowych poseł Kościałkowski, który w pierwszych dniach istnienia sejmu zaangażował się czynnie w walce z prawicą (pojedynek z gen. Hallerem) zjawił się w jednym z klubów mniejszości, by wyrazić życzenie Belwederu. Prosił, by wszyscy zechcieli głosować za Wojciechowskim mimo zastrzeżeń klubu żydowskiego. Zresztą nie było innego wyboru. Odrębne głosowanie mogłoby przeważyć szalę na rzecz narodowej demokracji, a krew zamordowanego prezydenta obowiązywała do nie dopuszczenia, by prezydentem został kandydat strony, która szczuła przeciw Narutowiczowi.

W kilka miesięcy później pakt był już gotów. Uchwalono wprawdzie wmurowanie tablicy na cześć prezydenta Narutowicza, ale w każdym artykule tego paktu posłowie stronnictwa ludowego Piast z Witosem na czele mordowali go ponownie. Oparci o większość parlamentarną mieli zburzyć podstawy parlamentaryzmu, korzystając z demokratycznej ordynacji wyborczej, mieli zniszczyć jej zasady

demokratyczne, uznające równość wszystkich głosów w sejmie. Decydować miała formalnie, (faktycznie decydowała ciągle) większość rdzennie polska tzn. tylko polskich klubów. Powstał rząd chienio-piasta. Premierem został ten, który nie mógł się dorwać do władzy prezydenta. Patronował tej robocie, oddając lokal do dyspozycji, chrzczony Żyd, senator Hamerling ze stronnictwa ludowego. (Porzucony następnie przez własny klub).

Dziesięć lat minęło od daty śmierci prezydenta Narutowicza. Blok mniejszości narodowych został rozbity przy wyborach do trzeciego sejmiku w r. 1928. W czwartym sejmiku nie ma już bloku, nie trzeba posuwać się do dawnych sposobów, by unicestwić znaczenie głosów mniejszości narodowych. W inny sposób zostali oni zepchnięci do roli pionka. Kwestia większości polskiej straciła na znaczeniu.

O Narutowiczu przypominano sobie w dziesięciolecie zamor-

122

dowania. Prasa cała postanowiła jednak dyskretnie zamilczeć o mniejszościach narodowych. Nie wspomniano Narutowicza na posiedzeniu sejmiku w dziesiątą rocznicę śmierci. Pozostała jedynie tablica wmurowana z mało czytelnymi złotymi zgłoskami po prawej stronie, przy wejściu tuż koło szatni poselskiej. Tylko wśród służby sejmowej krążyła kilka lat temu legenda, że coś straszy w sejmiku. Woźni sejmikowi przysięgali, że w okresie rządów chienio-piasta huczało w nocy w kuluarach, że słyszeć można było miarowe kroki, wychodzące z Piasta, kroczące w stronę Związku Ludowo Narodowego. Dziś zapomniano o strachu tak, jak wymazano z pamięci okoliczności wyboru i przyczynę zamordowania prezydenta Narutowicza.

20 grudnia, 1932.

*Pech Romana Dmowskiego*

Pan Roman Dmowski ogłosił w „Gazecie Warszawskiej” cykl artykułów pod ogólnym tytułem „Polityka międzynarodowa w dobie obecnej”. Artykuły te nie odbiegają od myśli wypowiedzianej przez Romana Dmowskiego w ciągu kilkudziesięciu lat. Zawsze i nieustannie węszy on wszędzie intrygę żydowską i u schyłku lat nie wyrzekł się tej myśli. Karierę w „Głosie” rozpoczął Dmowski od antysemityzmu wzorów carskich. Dziś korzysta ze słownictwa hitlerowskiego tak, jak niegdyś formułując program stronnictwa swego przepisywał poglądy Bismarcka.

Zdawało się, iż ta polityka powinna była utorować mu drogę do władzy. Jest przecież przywódcą stronnictwa narodowego, twórcą obozu Wielkiej Polski, stał na czele Komitetu Narodowego w czasie wojny światowej, a jednak nie stanął nigdy na czele rządu, nie zajął najwyższej godności w państwie i znajduje się faktycznie na uboczu, choć trudno posądzać go o brak ambicji i skromność

Jeszcze w r. 1912 Dmowski kandydując do Dumy oświadczył: przyznaję się otwarcie: tkwi we mnie element walki i upór, który wtedy gdy wróg woła: „każdy byle nie Dmowski”, odpowiada „a więc właśnie Dmowski”.

Z oświadczenia tego widać, że przywódca narodowej demokracji pchał się do władzy, że korzysta ze skromności przymusowej, że siedząc gdzieś w Poznańskim i pisząc artykuły na różne tematy, coraz mniej cytowane, wyrzekł się tym samym z musu najserdeczniejszych swych marzeń

123

Szczęście dopisywało Dmowskiemu tylko dwa razy. Dwa razy zostaje wybrany do Dumy, głosząc hasła antysemickie, ale już w drugiej Dumie musiał ustąpić. Ten dobry teoretyk okazał się złym taktikiem na terenie parlamentu. Znikł na czas dłuższy i wypłynął dopiero w r. 1912 przy wyborach do trzeciej Dumy. Kandydatura jego napotkała na sprzeciw nawet wśród rzeczników narodowej demokracji. W tej walce padł. Najbliżsi jego przyjaciele wyrzekli się go. W „Kurierze Warszawskim” B.K. nazwał go kandydatem na szczudłach: „zakochany w pozie i gestach, potrzebujący dla najdrobniejszego ruchu jakiejś formuły dogmatycznej, taki „chadataj na szczudłach” byłby osobistością raczej zabawną, niż poważną. Właściwości duchowe pana Dmowskiego nie kwalifikują go w najmniejszej mierze do roli kierownika polityki narodowej”.

Dopiero wojna światowa wysuwa na czoło społeczeństwa polskiego Romana Dmowskiego. Wierny orientacji rosyjskiej łączy on los Polski z losami Ententy. Stawia na konia koalicji. Tworzy u boku państw koalicyjnych Komitet Narodowy, mający poprzec postulatów polskie. Pracuje niezmiernie, przyczynia się niewątpliwie do ustalenia zachodnich granic Polski. Nikt nie kwestionuje zasług Dmowskiego w owym okresie. Niejednokrotnie jednak psuje sobie robotę taktiką, nieustannym węszeniem niebezpieczeństwa żydowskiego na konferencji wersalskiej. Musi się często posługiwać innymi mniej zdolnymi od siebie ludźmi dla zyskania sympatii sojuszników (Paderewski).

A jednak gdy przyjeżdża ze zwycięstwem do Warszawy, gdy przynosi owoce traktatu wersalskiego, nazwisko jego nie wpływa wcale na powierzchnię Inni przez niego wymyśleni bohaterowie upajają publiczność endecką. Mówiono z entuzjazmem o Paderewskim, wpływa nazwisko Hallera, cieszy się już

popularnością pierwszy marszałek sejmu Wojciech Trąpczyński. A w Belwederze zasiada największy jego przeciwnik, którego on zwalczał jeszcze w r. 1902 i 1904, Józef Piłsudski. Specjalnie jeździł Roman Dmowski do Japonii podczas wojny rosyjsko japońskiej, by przeciwdziałać akcji Józefa Piłsudskiego. Podczas wojny światowej Roman Dmowski zwalczał legiony jako orientację austriacką. Ideologia aktywistyczna odrzucała myśl oparcia się o Ententę. Zdawało się, że właśnie dlatego powinien zasiąść w Belwederze Roman Dmowski. Stało się inaczej. Warszawa nie znała go już, tylko Żydzi pamiętali o jego wyczynach w r. 1913. Warszawianin, syn majstra murarskiego, nie umiał trafić do umysłu Warszawy. Nie zdobył większości polskiej. Sucha, reakcyjno-dogmatyczna trzeźwość w rewolucyjnym okresie 1918 r. odbierała mu możliwość zyskania władzy.

**124**

Więcej jeszcze, stronnictwo jego, narodowa demokracja, zmuszone było zmienić firmę, zastosować się do nowych warunków, doczepić do tytułu swego wyraz nie bardzo lubiany przez przywódców: „ludowy” przewawszy się związkiem ludowo-na-rodowym.

Posel Dmowski nie zabiera jednak głosu w pierwszym sejmie. Rzadko zresztą odwiedza ten gmach, uważa, że tytuł posła jest dla niego zbyt mały. Czeką na większe odznaczenie. Tylko raz bierze udział w głosowaniu nad konstytucją. W imieniu stronnictwa jego przemawiają wszyscy prócz niego. Chciałby skrzyżować szpady tylko z jednym godnym siebie przeciwnikiem, z Józefem Piłsudskim. Ale przeciwnik siedzi w Belwederze, a tu w sejmie wypada jedynie walczyć z oddaną Belwederowi lewicę.

Raz tylko jeden odbywa się tajemnicza konferencja między Romanem Dmowskim a Józefem Piłsudskim. Prezes komitetu narodowego przychodzi do Belwederu by złożyć sprawozdanie z działalności swej w Wersalu (maj r. 1920). Odtąd spotykają się tylko luźno w Radzie Obrony Państwa, gdzie Dmowski ostro atakuje Piłsudskiego. Ale i tam nie przebywa długo. Znika z horyzontu rozgoryczony.

Zdawało się, że w r. 1922 zwiększają się szansę Romana Dmowskiego. Józef Piłsudski nie będzie kandydował na prezydenta. Obóz narodowo-demokratyczny dyskontuje ruch faszystowski na całym świecie jako zwycięstwo swojej myśli. Posel Stroński pisze niedwuznacznie „o marszu Dąbrowskiego z ziemi włoskiej do Polski” Młodzież narodowo-demokratyczna stroi się w czarne koszule faszystów włoskich. Do władzy nie doszedł. Nie wystawił kandydatury na posła do sejmu, przypuszczając, że stronnictwo jego utoruje mu drogę do władzy poważniejszej.

Tak zawisł aż do r. 1923. Dopiero w tym roku rząd chjeno-piasta powołuje go na stanowisko ministra spraw zagranicznych, ale nie długo trwał na tym stanowisku. Wincenty Witos traci większość sejmową. Dmowski miał naprawić błędy swego ucznia i poprzednika, Mariana Seydy, miał zmienić politykę zagraniczną w stosunku do Rosji Sowieckiej i zreorganizować ministerstwo, ale krótkość czasu była na zawadzie.

Odtąd Roman Dmowski znowu znika, jedzie na polowanie do Afryki. Czasem odezwie się cyklem artykułów i czeka na dalszą akcję stronnictwa. Nadchodzi jednak rok 1926. Marzenia obozu narodowego o zdobyciu władzy drogą nieparlamentarną wyzyskuje strona przeciwna. Roman Dmowski dochodzi do wniosku, że stronnictwo jego popełniło cały szereg błędów, że zawinił towarzysz jego partyjny Stanisław Grabski, że nie odpowiadał sytuacji Stanisław Głabiński. Dmowski wpada znowu na myśl zmia-

125  
ny firmy. Obok stronnictwa ma powstać organizacja ludzi zdecydowanych, związanych konspiracją, jak ludzie obozu pomajo-wego. W Bazarze, w Poznaniu rodzi się obóz Wielkiej Polski wraz z przybudówkami. Zagrzewa ich do boju Roman Dmowski, ale ludzie najbliżsi zawodzą — Głabiński, Dębski. Upatrzeni przez niego oboźni nie wytrzymują pierwszej próby. Nie udaje się egzamin z hartem charakteru. Najsprawniej działa jedynie obóz Młodych "Wielkiej Polski, ale w programie działania ma tylko jedno hasło: bić Żydów.

Droga do władzy staje się jednak coraz dalsza. Roman Dmowski przestaje już marzyć o zdobyciu dla siebie najwyższego urzędu i przeistacza się znowu w teoretyka, w proroka obozu własnego, wyznaczając drogę polityki zagranicznej Polski, i jak w poprzednim okresie odnosi częściowy sukces. Sam jednak jest skazany na samotność. Kto wie czy przetrwa modę na Hitlera tak jak istniała moda na Mussoliniego i jak sam przerabiał Bis-marcka na modłę polską.

68-letni Roman Dmowski pisuje coraz więcej dla historii, wierząc, że historia przyzna mu więcej zasług, niż jego współcześni, i zapisze na jego dobro zasługi w dziedzinie polityki zagranicznej. Dziś jednak Dmowski musi stwierdzić z goryczą że w życiu udawało mu się wiele, ale nie miał talentu do zrealizowania marzeń swego życia, że coś mu zawsze stawało na przeszkodzie by móc dojść do władzy.

24 grudnia, 1932.

*Kongres pięknych słów*

Gdy na półkach księgarskich ukazała się książka b. ministra przemysłu i handlu Eugeniusza

Kwiatkowskiego pt. „Dysproporcje”, wrócono jej wielkie powodzenie. B. minister przemysłu i handlu obecnego regime'u zabiera głos w sprawach aktualnych. Już nie jest związany z rządem, siedzi na osobności w Mościcach i nie jest zmuszony do powtarzania stereotypowych zdań, które obowiązują ludzi obozu. Może wyzwolić się z frazeologii „bezpartyjnej”, z karności „bezpartyjnej” i opowiedzieć coś o swoich przeżyciach i doświadczeniach.

Mężowie stanu w reżymie obecnym zjawiali się nagle i niespodziewanie. Nikt jeszcze wczoraj nic nie słyszał o zdolnościach finansowych pana wiceministra Koca, a już teraz uchodzi on za autorytet i znawcę stosunków finansowych na rynku między-

126

rodowym. Zjawiają się nazwiska ludzi w ogóle nieznanych. Do dziś dnia trudno ustalić czym rządzą się w chwili obecnej ludzie, którzy, wysuwają kandydatury, dlaczego wystawieni zostali na czołowe stanowiska ludzie bez wczoraj, tak jak nie wiemy dlaczego nagle znikają, mając całą przyszłość poza sobą.

Zdawałoby się, że p. minister Eugeniusz Kwiatkowski odsoni przede wszystkim przyczynę zjawienia się swego w ministerstwie przemysłu i handlu, że wytłumaczy jakim cudem skromny inżynier z Chorzowa zjawił się w gmachu przy ulicy Elektorальной jako minister, w jakim warsztacie układał przedtem program gospodarczy Polski, by móc stanąć na czele życia gospodarczego w chwili odpowiedzialnej.

Wyjaśnienia tego p. Kwiatkowski nie dał. Poeta na posterunku gospodarczym poprzestał na wizji przyszłego życia gospodarczego Polski, na zdawkowym rzucie oka przy omawianiu przeszłości historycznej Polski, na rozwinięciu myśli programowych wypowiedzianych często przez organy prasowe obozu rządzącego o konieczności wzmocnienia władzy, przy tym Batory uchodzi za ideologicznego ojca stosowanego obecnie bata. Pisze o losach konstytucji 3-go maja, którą mógł uratować jedynie jakiś przewrót majowy.

P. minister Kwiatkowski należy do typowych marzycieli. W ubiorze jego, w wiązaniu czarnego krawata jest coś z poety wieku 19-go, z fantasty oddającego hołd kierunkowi idealistycznemu w historii. Na konferencjach gospodarczych nieraz snuł marzenia niczym Gajowiec z „Przedwiośnia” Żeromskiego, mówiąc o swoim ukochanym morzu, o „ulubionym dziele — Gdyni, upiększając cyfry tak szumnym potokiem pięknych słów, iż nieraz zdawało się dziennikarzom, że są słuchaczami najpiękniejszej symfonii gospodarczej, że miast kartek ze słowami p. minister przerzuca kartki z nutami, że śpiewnie gra, przymykając oczy z zachwytem.

Były to piękne czasy rozwoju gospodarczego państwa. Szczęście dopisywało, strajk węglarzy angielskich wzmocnił znaczenie Górnego Śląska. Minister Kwiatkowski rozwijał Gdynię, realizował marzenia o rozbudowie życia gospodarczego. Barometr gospodarczy zapowiadał pogodę. Przeciwnicy polityczni reżymu nie mieli nic do zarzucenia ministrowi Kwiatkowskiemu. Zresztą nie potrzebna była żadna polityka. We wszystkich dziedzinach przemysłu i handlu obserwowano wzrost koniunktury i dwaj trubadurzy reżymu p. premier Bartel i p. minister Kwiatkowski wygrywali na puzonach hymn o szczęściu.

Tablice statystyczne świadczyły nieustannie o wzoście, a p. minister Kwiatkowski miał możność na wszystkich konferencjach prasowych wskazywać pal-

127

cem na te świeczniki jaśniejące terażniejszości życia gospodarczego.

Przekroczenia budżetowe nie mogły być wówczas grzechem. Był wielki staw i wielka grobla. Miał wówczas możność Kwiatkowski pięknie marzyć na jawie, miał prawo snuć teorie najbardziej oderwane. A w międzyczasie, między jedną konferencją gospodarczą a drugą jeździł do swego ulubionego dziecka, do Gdyni, patrzeć na rozwój portu i opowiadać następnie z trybuny parlamentarnej o amerykańskim wprost wzoście tego miasta.

Stabilizacja trwała jednak krótko. Widmo kryzysu światowego zajaśniało również i do Polski. Odpędzał je pięknymi słowami p. minister Kwiatkowski, mówił coś uczenie o rozpiętości cen, prawil o konieczności melioracji życia gospodarczego i coraz bardziej zwił żagle twórczej fantazji w swoich przemówieniach. Gdy minister Kwiatkowski przemawiał w pierwszym okresie z trybuny sejmowej, zdawało się, że na trybunie stoi futurysta Marinetti, tak entuzjastycznie brzmiała pieśń o rozwoju gospodarczym. Wtórował mu w koncercie pełen „radosnej twórczości” minister Składkowski. Przeciwstawiał się wówczas pesymizmowi profesora Adama Krzyżanowskiego optymistą, minister skarbu Czechowicz. Rada ministrów tworzyła wówczas orkiestrę radosną.

Przeminął czas. Kryzys gospodarczy coraz więcej dokuczał. W słowach p. ministra Kwiatkowskiego słyhać było już coś z łabędziej pieśni pożegnania. Był coraz smutniejszy. Krążyły pogłoski, że nie może stać na posterunku gospodarczym, bo został zrujnowany materialnie, bo minister przemysłu i handlu jest gorzej płatny niż dyrektor przedsiębiorstwa na Górnym Śląsku. Ukazywały się pogłoski coraz prozaiczniejsze, mało licujące z poetycką postacią i działaniem ministra przemysłu i handlu p.

Kwiatkowskiego.

Aż po kilku latach przyszła książka pt. „Dysproporcje”. Gdyby zjawiała się w r. 1926-7, byłaby może uzupełnieniem ówczesnego stanu rzeczy w obozie rządowym. Gdy zjawia się dzisiaj, stanowi dziwną dysproporcję między smętkiem dnia dzisiejszego, a marzycielskim wizjonerstwem p. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Piękne więc słowa, które tak cudnie zebrał p. minister Kwiatkowski na 307 stronicach idą, niestety, na marne. To wszystko już zostało powiedziane, ale to wszystko już dawno przebrzmiało.

17 czerwca, 1932.

128

Noc św. Bartłomieja w tanim wydaniu

€

## C

Dyskusja w komisji budżetowej toczy się według ustalonego już od kilku lat zwyczaju. Przez długie miesiące długie milczenie: w ostatniej przepisanej konstytucją chwili zwołanie sesji budżetowej, dwa-trzy posiedzenia, a później — zgodnie z wolą czynnika decydującego — odroczenie sesji sejmowej na jeden miesiąc, tak żeby sejm nie obradował więcej niż trzy miesiące. Takie warunki sformułował marszałek Piłsudski przy próbie tworzenia rządu marszałka Szymańskiego, tak się dzieje według niepisanej konstytucji, która jest mocniejsza od wszelkich pisanych ustaw i przepisów.

A później w komisji budżetowej odbywa się praca na amerykańską modłę z zastosowaniem najnowocześniejszych metod racjonalizacji. Pracuje się systemem konwejera. Referent omawia budżet, minister składa wyjaśnienia, posłowie bez przerwy zabierają głos, zniecierpliwiony przewodniczący patrzy na zegarek, traci czasem humor i opryskliwie przywołuje do porządku posłów, którzy przekraczają kontyngent czasu i w 12 godzin budżet jest już gotów.

Omawia się resort, wynoszący w wydatkach kilkaset milionów złotych. Wydobycie tych pieniędzy wymaga trudu i nacisku fiskatorów, ale omawianie tych sum idzie prawie że lekko. Raz, dwa, trzy i o godzinie 12 w nocy przewodniczący, poseł Byrka, wychodzi triumfując z komisji budżetowej do bufetu. Cel został osiągnięty. Budżet przyjęty w drugim czytaniu.

Sędziwy poseł Malinowski, najstarszy wiekiem w sejmie, przemawia do budżetu Ministerstwa Rolnictwa. Założyciel „Za-

131

Noc św. Bartłomieja w tanim wydaniu

Dyskusja w komisji budżetowej toczy się według ustalonego już od kilku lat zwyczaju. Przez długie miesiące długie milczenie: w ostatniej przepisanej konstytucją chwili zwołanie sesji budżetowej, dwa-trzy posiedzenia, a później — zgodnie z wolą czynnika decydującego — odroczenie sesji sejmowej na jeden miesiąc, tak żeby sejm nie obradował więcej niż trzy miesiące. Takie warunki sformułował marszałek Piłsudski przy próbie tworzenia rządu marszałka Szymańskiego, tak się dzieje według niepisanej konstytucji, która jest mocniejsza od wszelkich pisanych ustaw i przepisów.

A później w komisji budżetowej odbywa się praca na amerykańską modłę z zastosowaniem najnowocześniejszych metod racjonalizacji. Pracuje się systemem konwejera. Referent omawia budżet, minister składa wyjaśnienia, posłowie bez przerwy zabierają głos, zniecierpliwiony przewodniczący patrzy na zegarek, traci czasem humor i opryskliwie przywołuje do porządku posłów, którzy przekraczają kontyngent czasu i w 12 godzin budżet jest już gotów.

Omawia się resort, wynoszący w wydatkach kilkaset milionów złotych. Wydobycie tych pieniędzy wymaga trudu i nacisku fiskatorów, ale omawianie tych sum idzie prawie że lekko. Raz, dwa, trzy i o godzinie 12 w nocy przewodniczący, poseł Byrka, wychodzi triumfując z komisji budżetowej do bufetu. Cel został osiągnięty. Budżet przyjęty w drugim czytaniu.

Sędziwy poseł Malinowski, najstarszy wiekiem w sejmie, przemawia do budżetu Ministerstwa Rolnictwa. Założyciel „Za-

131

blisko komisji, światło lamp pada na zabrudzone ściany. Straż marszałkowska snuje się poprzez mroczny korytarz i półciemne sale, a z komisji dochodzą stłumione głosy przemawiających posłów.

Posłom z narodowej demokracji sprzykrzyła się widocznie ta noc bez mocniejszych efektów, zamajaczył im się sen o nocy św. Bartłomieja. Dyskusję nad budżetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeistoczono w dyskusję żydowską. Mówiono o Żydach: jeżeli ten syk pełen jadu i nienawiści można nazwać mówieniem. Zainaugurowano hecę starej daty, według wzoru pierwszego sejmku.

Pamiętamy, jak w pierwszym sejmie wchodził na mównicę ksiądz o twarzy oliwkowej, czarnym zaroście, oczach gorejących ogniem Torquemady i głośno wzywając, albo szepcząc, atakował ludność żydowską.

Towarzyszyły księdzu Lutosławskiemu zadowolone okrzyki prawicy i piastowych chłopów. Była to jednak

napaść w wielkim stylu pierwszorzędny mówcy. Cały buchał ogniem. Palił się do dzieła świętej inkwizycji, myśląc jedynie o nowocześniejszych metodach wytepienia ludności żydowskiej. Nie wierzył nawet własnym towarzyszom partyjnym. Spoglądał podejrzliwie na Stanisława Grabskiego, mierzył nieufnym wzrokiem Stanisława Głabińskiego, obawiając się kompromisu, sprzedania sprawy świętej. Ale w historii powtórzenie daje obraz wypaczony. Napoleon III naśladowujący Napoleona Pierwszego jest postacią komiczną. Próbował inny działacz naśladować Lutosławskiego, lecz bez powodzenia (ksiądz Nowakowski).

Próbował szczęścia w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych poseł Wierczak z klubu narodowego. Generalny sekretarz stronnictwa, mistrz od organizowania bojówek endeckich, sam rosły i zdolny do ataku fizycznego, stał obok towarzysza o zaciętej twarzy i nieco mongolskim typie pośła Korneckiego. Z tyłu zaglądał im w oczy towarzysz pancerny, pupilek endecji, poseł Bielecki z Obozu Wielkiej Polski. Wszystko, co średniowiecze wymyśliło w gadkach przeciwko ludności żydowskiej zostało nanizane na nowoczesne pseudonaukowe dowody hitlerowców, przetłumaczone z niemieckiego na język polski przez Adolfa Nowaczyńskiego. Szef bojówki przedzierzgnął się nagle w uczonego, specjalistę od spraw żydowskich i zajrzał nawet do encyklopedii włoskiej, czytał dzienniki idyszowe „Hajnt” i „Moment”, brakowało jedynie cytaty z Szulchan-Aruchu, czyli kodeksu talmudycznego. A w końcu przemówienia krótka konkluzja: wytepić, wysiedlić, Puriszkiewicz i Kruszewan zostali przetłumaczeni na język polski, „świecili triumfy w polskim parlamen-

133

ranią” pionier ruchu ludowego, tego ruchu chłopskiego, który się narodził w atmosferze galicyjskiej korupcji, został ostro przywołany do porządku przez uprzejmego przewodniczącego Byrkę. Niezwykle dowcipny poseł Byrka byłby, być może, zachował całkowitą uprzejmość wobec pośła Malinowskiego, lecz świetny dygnitarz z klubu BB, wierny urzędnik sanacji ma czas przepisany. Musi w terminie rzucić do stóp sejmu przepracowany przez komisję preliminarz budżetowy. Przemówienia traktuje on jako przymusową dekorację do procesu uchwalenia budżetu, jak szafran do ryby. Ładnie, ale można się obejść.

Skończyła się nawet dotychczasowa parada w bufecie przy omawianiu poszczególnych budżetów. Już nie zjawia się kilkudziesięciu urzędników, dyrektorów departamentów, naczelników. Odbywa się wydawanie lekcji. Posłowie w bufecie czekają kolejki, by powiedzieć i odejść.

Żale i skargi ludności, groźne podziemne huki otrzymują swój wyraz w komisji budżetowej w formie przytłumionej.

Do komisji dochodzi jedynie piana rozhukanych bałwanów. Nie słychać łoskotu burzliwego morza, czasem jedynie rozlegnie się przytłumiony jęk posłów ukraińskich. Czasem minister odsłoni ubocznie kulisy życia polskiego i opowie rzeczy nieznaną ogółowi o tzw. powstaniu na Polesiu. (Minister Pieracki). Czasem słyszy się późno wieczorem rewelacyjne wynurzenia, coś w rodzaju autobiografii ministra sprawiedliwości. Członkowie komisji bez różnicy przekonań słuchają z zapartym oddechem oświadczenia o skutkach bezowocnych próśb o ulaskawienie. W owych chwilach zdaje się wszystkim, że anioł śmierci unosi się w powietrzu na sali komisyjnej, że muska twarz posłów, że szubienice stają u drzwi komisji, prosząc o prawo wejścia. 14 lat słuchał sejm różnych wyjaśnień ministrów. Spowiadał się minister Czechowicz w dzień odejścia ze stanowiska. „Płakał” przy drzwiach zamkniętych minister Skarbu Grabski, zwierzał się nie jeden minister Spraw Zagranicznych, nie było jednak wynurzenia podobnego do oświadczenia pana ministra Michałowskiego.

Ale działo się to w godzinach wieczornych. Zmęczeni członkowie komisji puścili mimo uszu mocne słowa twardego ministra. Historia oceni je sprawiedliwiej. Po panu ministrze sprawiedliwości, Michałowskim, nikt głosu nie zabierał w sprawie wyjaśnienia.

I tak noc w noc odbywa się mówienie bez przerwy. Cały gmach sejmowy tonie w ciemnościach. W sali posiedzeń dziwny mrok, w dużej sali prowadzącej do korytarza komisji budżetowej przeraźliwie zimno. W bufecie sejmowym, który znajduje się

132

przewrotu majowego głosił hasła sprawiedliwości dla mniejszości narodowych. Związał je z programem mocarstwowej Polski.

Było w tym dużo patriarchalizmu szlacheckiego. Tak w okresie powstań rojono sny o wyzwoleniu jeszcze więcej nieszczęśliwych niż Polacy narodów. Zmartwychwstała Polska otoczy skrzydłami opieki Białorusinów, Ukraińców, Litwinów, ale stanie się to po odzyskaniu dawnych granic. Tak marzyli ludzie popowstaniowi, którzy się nie godzili na istniejący stan rzeczy. Te hasła wcielono do programu demokratów, wpisano do programu PPS, marzono o nich przy założeniu legionów, mówiono o realizacji maszerując na wschód. Oczy wielu Ukraińców i Białorusinów skierowane zostały w stronę tych marzycieli. Czekano cierpliwie aż ludzie tego obozu dojdą do władzy. Już nie



wierzono nawet hasłom federacyjnym, ale przypuszczano, że nowi ludzie, którzy dojdą do władzy, przyniosą chociażby autonomię terytorialną, zapowiedź lepszego współżycia i nowego jutra dla mniejszości narodowych.

W tym towarzystwie cieszył się szczególną sympatią Tadeusz Hołówko. Uchodził za malkontenta we własnym pepesow-skim obozie. *Zarzucał* nieraz swoim towarzyszom, że nie myślą wcale o programie narodowościowym. Sam bezpośrednio stykał się z Ukraińcami i Białorusinami. Zdobywał ich serca rozlewną szczerością. Z twarzy jego patrzyła uczciwość, która rozbrajała nawet zaciętych.

Zagadnieniom narodowościowym poświęcił wiele artykułów. Był członkiem każdej instytucji, która zajmowała się problemem ukraińskim.

Gdy ludzie obozu Tadeusza Hołówki doszli wreszcie do władzy, obudziły się nadzieje wśród mniejszości narodowych. Przypuszczano, wierzone, że ludzie, z którymi niedawno jeszcze rokowano na temat postulatów narodowościowych zechcą zająć się kwestią ukraińską, białoruską itp., że skończył się naiwny okres badania kwestii żydowskiej przy komitecie, utworzonym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i zacznie się realizacja słusznych *żądań*.

Uwaga wszystkich skierowana została wówczas w stronę Tadeusza Hołówki, uchodził on obok Leona Wasilewskiego za najlepszego znawcę zagadnień narodowościowych. Tylko że poglądy Leona Wasilewskiego były formułowane w postaci suchych punktów w programie, a hasła Tadeusza Hołówki tchnęły gorącym radykalizmem powstaniowego.

Bieg wypadków jednak potoczył się inaczej, niż chciał tego widocznie Tadeusz Hołówko. Między hasła głoszone przez niego, a czyny, które nastąpiły po przewrocie majowym, wślizgnęła się

135

cię, w polskiej komisji budżetowej. Dla całości obrazu potrzebne jeszcze były gorejące świece i księgi żydowskie na stole.

Średniowiecze było jednak tragiczne, powtórzenie tych scen przez ludzi, których adherenci są gotowi na boku handlować z Żydami, brać czysto polskie koncesje, by odstępować je za gruby grosz Żydom, czyniło wrażenie błazeńskiej komedii. Noc św. Bartłomieja w sejmie wypadła obrzydliwie i do momentów ponurych wkradły się chwile chochlikowe.

Dawkami antyżydowskimi starają się endecy urozmaicić nudnawe posiedzenie komisji budżetowej.

Akompaniamentem ży-dożerczym rozweselić pragną ponurą nieco komisję, tonącą w cyfrach i nie zdającą sobie w pośpiechu wagi z ogromu zagadnień, które jak w kalejdoskopie przesuwają się w ciągu czternastu nocy przez salę komisyjną.

24 stycznia, 1933.

\*

#### *Smutna uroczystość w sejmie*

Klub BB zorganizował w czwartek uroczystość dla uczczenia pamięci zamordowanego w Truskawcu Tadeusza Hołówki. Odślonięcie biustu zabitego *działacza* klubu BB odbyło się w gmachu sejmu. Brali udział przedstawiciele rządu, członkowie klubu BB, rodzina zmarłego. Po przemówieniach uczczono pamięć posła Hołówki minutą milczenia.

A jednak trzeba by może wprowadzić do tej uroczystości więcej niż minutę milczenia, by posłowie z klubu BB mogli w ciszy i skupieniu zastanowić się nad tym zjawiskiem, czemu przyjaciel mniejszości narodowych, niegdyś mąż zaufania lewicy, czczony być musi tylko w towarzystwie kolegów klubowych? Zresztą nie próbowano organizować uroczystości na szerszą skalę. Mały parlament skorzystał z praw swoich do gmachu sejmowego, nie rozsyłając żadnych zaproszeń do innych klubów. Uczyniono być może słusznie, nie chcąc wywoływać tarć w chwili odślonięcia biustu Tadeusza Hołówki. Mogły wyniknąć jakieś zgrzyty i nieporozumienia, choć pozornie wydawać się może, że właśnie w tym momencie zamilkłyby wszelkie różnice zdań.

I tu tkwi sedno dramatu żywota Tadeusza Hołówki.

Nikt nie wątpi, że Tadeusz Hołówko był najserdeczniejszym przyjacielem mniejszości narodowych, że chciał jak najuczciwiej rozstrzygnąć zagadnienie ukraińskie i białoruskie. Lata całe do

134

dość oryginalnie i swoiście. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że z racji urodzin Ministerstwo Oświaty przypomni sobie wieloletnią działalność literata i zaproponuje mu samorzutnie jakąś nagrodę państwową, że władze sejmowe względnie senackie znajdą specjalny etat dla kierownika diariusza sejmowego i stenogra-fu. Powstała przy Senacie specjalna komisja dla pilnowania czystości języka i najwłaściwsze miejsce przypadłoby Karolowi Irzykowskiemu. Nie byłaby to synekura lub odskocznia dla przyszłej lepszej posady. Lata całe Karol Irzykowski zajmował się czyszczeniem języka mówców sejmu i senatu. Czynił to pobłażliwie i gorliwie, tak iż nieraz mówca chłopski odczytując mowę swoją w

stenogramie podziwiał sam siebie i swe zdolności językowe, i mógł na wiecu powtórzyć mowę wygłoszoną w sejmie, wywołując uznanie wszystkich zebranych.

Nie przypomniano sobie w odpowiedni sposób o 60-leciu krytyka literackiego. Przedstawiciel ministerstwa oświaty nie był obecny na śniadaniu wydanym przez klub sprawozdawców parlamentarnych. Zresztą okoliczności bankietu były tak smutne, że lepiej nawet było, iż nikt z osób urzędowych nie świecił obecnością. Władze sejmowe przypomniały bowiem sobie o 60-leciu Karola Irzykowskiego w sposób dość pomysłowy. Wyciągnięto wnioski, że skoro ma już 60 lat, wiec powinien przejść w stan spoczynku, tym bardziej że ma za sobą zbyt długą praktykę pracy parlamentarnej. Nie pytano go, czy jest chory, nie pytano rów-nież posłów i senatorów, czy źle spełnia swe obowiązki wobec nich, nie interpelowano tym bardziej kolegów — dziennikarzy, ale zwyczajnie specjalnym rozporządzeniem nakazano mu delikatnie odpoczynek.

Każdy obecny w sejmie i w senacie byłby się nawet mocno zdziwił, z powodu zarzutów postawionych Irzykowskiemu. Kierownik diariusza sejmowego miał swoje specjalne upodobania przy rozpatrywaniu mów posłów i senatorów. Interesowała go przeważnie forma przemówienia, właczał to wszystko w formy literackie. Rozprowadzał o wypadkach politycznych w sejmie ze stanowiska literackiego, miało się nieraz wrażenie, że ten wybitny literat, mówiący o wypadkach politycznych, spadł z nieba, tak bowiem oryginalnie i niesejmowo traktował zdarzenia aktualne.

Kto chciał jednak w okresie gorączki sejmowej podczas przerwy obiadowej odpocząć po zgiełku rozpraw politycznych, ten zwykle przysiadł się do stołu klubu sprawozdawców parlamentarnych i prowadził rozmowę z Karolem Irzykowskim na tematy, które nie są obce, zresztą nawet czynnikowi miarodajnemu w Polsce. I toczyła się rozmowa przyjemna, a czasem i zacięta z

137

tw. racja stanu. W imię racji wyrwano ze wszystkich wniosków hasła drastyczne ustępy federalistyczne. Los sprawił, że właśnie w okresie pomajowym byliśmy świadkami zgrzytów, które zakończyły się tragiczną pacyfikacją. Naczelnik wydziału wschodniego MSZ-tu, a następnie wiceprezes klubu BB, Tadeusz Hołówko, stawał się coraz więcej człowiekiem zamkniętego obozu.

Przeżywał on tragedię wielu swoich towarzyszy, którzy mieli prawo do wypowiedzania swoich poglądów jedynie szeptem. Jeszcze w kuluarach sejmowych w późnych godzinach można było go widzieć w towarzystwie posłów ukraińskich, lub białoruskich. Mówił wtedy porywająco, jak niegdyś, nim obóz jego doszedł do władzy. Ale z mównicy przemawiał jako mąż stanu, szczerłość przekonań tamowała racja stanu. Z biegiem czasu stosunki wzajemne rozluźniły się zupełnie.

Dawni przyjaciele spotykali się w ukryciu, w ciemnym korytarzu, by cichaczem omówić warunki wypuszczenia na wolność posła ukraińskiego, Dymitra Lewickiego. Unikano w rozmowach tonów serdeczności, zaniechano rozmów o przeszłości, zwinięto już dawno sztandary federalistyczne, autonomiczne i rokowano na tematy drobne.

Co się stało z Tadeuszem Hołówką w ostatnim roku, trudno było ustalić. Widać było jedynie, że z twarzy jego znika coraz więcej serdeczny uśmiech, że unika rozlewności, że przeistacza się coraz więcej w męża stanu. Nagle doszło do tego niesłychanego morderstwa. Człowiek, który dużo lat poświęcił idei współzycia polsko-ukraińskiego, zginął w tak fatalny sposób.

Gdy w przedśionku sejmowym ustawiono biust Tadeusza Hołówki, i posłowie i senatorowie klubu BB zebrali się dla uczczenia Jego pamięci, na pierwszym piętrze znajdowali się w swoim lokalu klubowym posłowie ukraińscy. Nie zaproszono ich na tę uroczystość. Nie zjawili się: tylko w rozmowach ze sobą poruszali tragiczne perypetie stosunków polsko-ukraińskich oraz smutne dzieje ostatnich lat dawnego serdecznego ich przyjaciela Tadeusza Hołówki.

5 czerwca, 1933.

*Dymisja „partyjnika” Karola Irzykowskiego*

Klub sprawozdawców parlamentarnych uczcił 14 bież. miesiąca 60-lecie urodzin Karola Irzykowskiego. Święto to wypadło

136

Już przestał grywać w klubie sejmowym w szachy, zajęty wciąż naprawianiem stylu nowych mówców i leaderów. Pracował coraz uparciej, nie chcąc się wyrzec bezpartyjności w działalności literackiej, pragnąc uczciwie zarabiać na chleb i nie być zależnym od żadnego pisma. Nie udało mu się. Został przeniesiony w stan spoczynku.

W odrodzonej Polsce w pierwszym *rządzie* marszałka Pił-sudskiego powstało Ministerstwo Kultury i Sztuki. W roku 1933 Ministerstwo Kultury i Sztuki, oczywiście, należy już do zabytków. W gmachu, gdzie rządzi, zresztą dość obiektywny, marszałek sejmu, były profesor literatury polskiej doktor Świtalski, nie ma miejsca dla wybitnych krytyków literackich, którzy chcą koniecznie z pracy zawodowej ciągnąć „zyski” na

swoje utrzymanie.

Gdy koledzy żegnali w bufecie sejmowym Karola Irzykowskiego, w całym gmachu panowała cisza niezmacona od wielu miesięcy. Trzy — cztery miesiące trwało tu jakieś rzekome życie, a w ciągu ośmiu miesięcy panuje spokój macony przez pomysły literacko usposobionych dziennikarzy, którzy za wszelką cenę chcą wykrzesać nieco życia z tego gmachu i robią ruch polityczny tam, gdzie go nie ma, interpelując czynniki urzędowe o wiadomości, przywiązując wagę do miesięcznych zebrań posłów z klubu BB. W tej ciszy przemawiał wzruszony Karol Irzykowski, który 14 lat bez przerwy pracował w tym gmachu. Mówił do ofiar parlamentaryzmu. W pożegnalnej mowie nie użył ani jednego politycznego argumentu i okazał się takim „partyjnikiem”, jakim był przez lata całe, pracując w sejmie.

19 czerwca, 1933.

#### *Najlepszy dowcip Karola Radka*

W czwartek w godzinach wieczornych panował na Dworcu Głównym w Warszawie ożywiony ruch.

Władze bezpieczeństwa czuwały nad porządkiem koncentrując się głównie koło peronu jedenastego, dokąd przybywa pociąg pośpieszny z Moskwy. Z wagonu wyszedł b. członek prezydium kominternu b. członek SDKPiL z r. 1904, współpracownik redakcji „Czerwony Sztandar”, Karol Radek. Na dworcu oczekiwał go naczelny redaktor „Gazety Polskiej”, b. komendant POW na terytorium Rosji, pułkownik poseł Bogusław Miedziński. Najserdeczniej przywitał się Karol Radek z wybitnym aktorem polskim, towarzyszem lat młodzieńczych, Jaraczem.

139

Karolem Irzykowskim o kierunkach literackich w Polsce. Zawsze się o coś gniewał, wypowiadał komuś wojnę, mówił niezwykle opozycyjnie, ale była to opozycja czysto literacka.

*Zaciętą* rozmowę przerywał zwykle dzwonek, który przypominał Karolowi Irzykowskiemu, że w tym lokalu nie jest literatem lecz urzędnikiem sejmowym. Płacił szybko za czarną kawę i biegł na górę do biura diariusza sejmowego, by podyktować, lub względnie samemu napisać streszczenie przemówienia. Zlatywał na dół do sali sejmowej, by cierpliwie wysłuchiwać wszystkich możliwych, a raczej niemożliwych przemówień i dać jak najwierniejsze streszczenie. Bywało, że dygnitarze na ławach rządowych nie wiedzieli nawet, że ten skwapliwie notujący ich mowy człowiek zasłużył na los lepszy. Ale z czasem zjawiał się na mównicy człowiek, który patrząc mu w twarz nabierał innej formy mówienia.

Z przyjemnością brał się do streszczania mowy ministra skarbu Ignacego Matuszewskiego, czuł wtedy, że jest znowu w jakiejś literackiej rodzinie: ojciec literat, a i syn nie gorszy od niego pisarz, pilnujący formy literackiej.

Karol Irzykowski uchodził wprawdzie w opinii naiwnych za socjalistę, był przecież recenzentem literackim i teatralnym „Robotnika”. Wprawdzie marksiści nie mieli z niego żadnej pociechy: tkwił w ideologii socjalizmu utopistycznego, łączył to wszystko ze światopoglądem paneuropejskim i raczej należał do kategorii szlachetnych ludzi, uważających za swój obowiązek protestować wszędzie, gdzie dzieje się jakaś krzywda. W tym się wyrażała cała jego polityka.

Opowiadano o nim, że gdy na serio chce wiedzieć, co się dzieje w sejmie, wyjeżdża do Krakowa i tam w rozmowie ze starym kolegą Srokowskim, dowiaduje się o szczegółach i anegdotach sejmowych, o kulisach życia parlamentarnego.

Lecz przyszedł przewrót majowy. Karol Irzykowski po swoim ocenił wypadki polityczne. Wchodząc do klubu BB oświadczył zgryźliwie: Idę do świątyni Kadena-Bandrowskiego.

Zdawało mu się, że ktoś na serio traktuje jego „partyjni-ctwo”, Stał się jeszcze gorliwszym urzędnikiem. W diariuszu sejmowym poczęły zniknąć zgryźliwe wykrzykniki opozycyjne. Mowy przedstawicieli sanacji były uwzględniane coraz mocniej przez Karola Irzykowskiego. Gdy dochodziło do referatu generalnego sprawozdawcy, posła pułkownika Miedzińskiego, kierownik diariusza sejmowego przeistaczał diariusz raczej w stenogram, choć właśnie redaktor naczelny „Gazety Polskiej”, znając doskonale Karola Irzykowskiego z pracy parlamentarnej, najmniej go mógł posądzać o partyjność.

138

świecającego przeważnie lwią **cześć** swych artykułów zagadnieniom polityki międzynarodowej, ożywiając w ten sposób pisma partyjne w Sowietach poświęcone wyłącznie wewnętrznym sprawom siewu, zbiorów, wzmoczenia przemysłu, czystkom partii itp. Wyrzekł się on już dawno burzliwej walki opozycyjnej, już zapomniał o tym okresie, gdy w fabryce AMO wraz z Trockim

1 innymi próbował walczyć z rządami Stalina. Dziś kierownik polityki zagranicznej w Izwiestjach jest jednocześnie referentem polityki zagranicznej u Stalina i razem ze wszystkimi publicystami sowieckimi uważa za konieczne poprzeć ważkość swoich uwag odpowiednimi cytatami z mów obecnego wodza WKP (Wszech-związkowa Partia Komunistyczna).

W tym stanie rzeczy, gdy zmieniły się warunki oraz perspektywy polityki zagranicznej Polski, Karol Radek

przestał być czerwonym straszakiem. Nie dziw przeto, że p. minister spraw zagranicznych Zaleski nawiązał z nim serdeczny kontakt w Genewie, że nie ustała seria flirtów między dziennikarzami rządowymi Polski, a najwybitniejszym publicystą sowieckim, że doszło wreszcie do zaproszenia go jako gościa „Gazety Polskiej”.

Flirt trwa tak długo i uczynił takie postępy, że niejedni, pamiętający rok dwudziesty, spluwają przesadnie, dodając „bez uroku”. Co kilka miesięcy następuje podpisanie jakiegoś nowego wspólnego aktu. Doszło już nawet do uzgodnienia terminów filologicznych i określenia w konwencji wyrazu „napastnik”. Kto wie czy za kilka dni nie ukaże się w organie naczelnym sanacji artykuł Karola Radka o sytuacji międzynarodowej i czy nie nastąpi odwzajemnienie przez umieszczenie artykułu wstępnego Bogusława Miedzińskiego w Izwiestłach.

Do Wilna wyjechał umyślnie minister spraw zagranicznych Beck, by złożyć sprawozdanie marszałkowi Piłsudskiemu z ostatnich posunięć. Pewnie napomknął mu również o wizycie Karola Radka w Polsce. Kto wie czy starzy znajomi, a ciągle *zażarci* przeciwnicy nie spotkają się, czy nie zostanie przyjęty b. członek prezydium kominternu SDKPiL w zacisznej wiosce Pikiliszki?

Karol Radek ma zabawić w Polsce kilka tygodni, zaznajomi się pewnie ze światem politycznym Polski, choć właściwie powiedziawszy zna doskonale wszystkie kulisy tej polityki i zetknie się z 2 dawnymi wrogami, a obecnie sprzymierzeńcami politycznymi. Ale kto wie czy będzie mógł zobaczyć starych, dawnych przyjaciół politycznych, czy uzyska od władz sądowych dostęp do nich, czy ujrzy nawet tych, którzy jeszcze znajdują się na wolności. Paradoxy polityki międzynarodowej przyczyniły się do tego, że Karol Radek przyjeżdża do Warszawy, by podać dłoń dawnym przeciwnikom, a nie móc ujrzeć starych, dawnych przyjaciół.

141

Policja otoczyła opieką Karola Radka. Miało się wrażenie, że chce ustrzec b. wodza trockistów przed demonstracją trockistów w Warszawie. Serdeczne przywitanie i przyjazna rozmowa między Radkiem a Jaraczem musiały wywołać refleksje wśród obecnych na dworcu ludzi. Kto znał Jaracza ten dopytywał się z kim rozmawia tak tkliwie jeden z najwybitniejszych aktorów Polski. Kto znał pułkownika Bogusława Miedzińskiego, ten ze zdziwieniem dowiadywał się, że wymiana komplementów na dworcu odbywa się między b. członkiem prezydium kominternu i b. komendantem POW w Rosji.

Do opisu tej sceny i tych paradoksów historycznych nadawałby się właściwie najlepiej sam Karol Radek, choć i płk. Bogusław Miedziński mógłby z właściwą mu zgryźliwą konia również skreślić te dziwne spotkania dwóch światów. Obecny na dworcu gość oświadczył, że tylko dlatego zdjął brodę, by nie straszyć swą przeszłością. Starzy jego przyjaciele, którzy znali go z dawnego okresu *Bturm und Drang Periode* nie mogli go poznać. Zdawało im się, że mocno wysolidniał, że stracił dużo z niepo-rządne go wyglądu, z buńczuczności w twarzy, że nabrał cech dyplomaty.

Jeden z b. wodzów trzeciej Międzynarodówki, który gromił w ciągu kilku lat oportunistów drugiej Międzynarodówki, przygotowywał akcje rewolucyjną w Niemczech, organizator zjazdu pracujących Wschodu w Baku, rektor uniwersytetu chińskiego, a nade wszystko namiętny publicysta, który ze zjadliwą konia sponiewierał swoich przeciwników, staczając ostre boje z przedstawicielami PPS, gromiąc ich z powodu socjalpatriotyzmu, autor słynnego pamfletu „Napoleon Czwarty” (o Piłsudskim) przybył do Warszawy jako gość „Gazety Polskiej”, pisma reprezentującego obóz z drugiej strony barykady. Witano się tu jednak o wiele serdeczniej niż na słynnym zjeździe w Berlinie, gdzie miało nastąpić porozumienie między Międzynarodówkami.

Historia porusza się szybko naprzód. Od wielu lat przejeżdżał Radek z Moskwy do Berlina przez Warszawę, zatrzymując się jedynie na dworcu. Był tranzytowym gościem Polski, choć urodził się tu i jest związany węzłami przyjaźni z wielu działaczami, choć ma wielu znajomych w Warszawie i Krakowie i prowadził w Polsce dość rozgałęzioną działalność. Nie nosił wówczas jednak w ręku gałązki oliwnej, możliwości porozumienia dwóch światów. Miał więcej markę partyjnego działacza i dziennikarza politycznego, niż dziennikarza dyplomaty.

Czasy się zmieniły. Karol Radek przestał być wybitnym działaczem partyjnym. Od 1930 r., gdy został z powrotem przyjęty do partii, przeistoczył się raczej w dziennikarza dyplomate, po-

140

nictwa chłopskiego, którzy złożyli weksle w ręce prezesa Wrony i nieraz muszą prosić o prolongatę. Tu też należy szukać źródła kryzysu w tym stronnictwie i przyczyn przejścia niektórych do obozu ideowców spod sztandaru prorządowego klubu Kulisiewicza. Tradycja pierwszego została jednak w wielu klubach utrzymana. Zwołują posiedzenia w dzień, gdy część posłów zgłasza się osobiście po odbiór pieniędzy. Stwarza się w ten sposób pozór ciągłości pracy parlamentarnej. Następuje rzekoma wymiana zdań, sprawozdania z działalności „w terenie” (termin klubu BB) i przyjęcie do „zatwierdzającej wiadomości” sprawozdania

prezydium.

Klub narodowy urządza posiedzenia nawet w ciągu miesiąca, chcąc uniknąć podejrzeń, że członkowie schodzą się jedynie pierwszego po odbiór pieniędzy. Członkowie tego klubu nie mają specjalnych zmartwień z ułożeniem porządku dziennego. Prezes klubu Rybarski składa sprawozdanie z sytuacji w kraju, urozmaicając referat ploteczkami. Można z góry ułożyć antyżydowską rezolucję, która jest aktualna dla stronnictwa narodowego o każdej porze dnia i nocy. A reszta? Reszta przed ogłoszeniem ginie w cenzurze.

Pierwszego każdego miesiąca pojawiają się sprawozdania poszczególnych klubów wraz z rezolucjami o sytuacji w kraju. Dziennikarze korzystają z tych uchwał dla własnego użytku i rzadko ktoś ryzykuje streścić te rezolucje, które zostały powzięte przez klub opozycyjny. Co dwa miesiące w okresie ferii letnich odbywa się również posiedzenie klubu BB. Po piętnastu minutach rozlegają się burzliwe oklaski przepełnionej sali, a po godzinie dochodzi do wiadomości dziennikarzy, że klub postanowił zająć się specjalnie sprawami ustrojowymi oraz wzmocnić pracę w terenie. Te rezolucje można podać bez obawy. Skonfiskuje je co najwyżej czytelnik, ziewając przy pierwszym wierszu na widok znanych zwrotek o konieczności zmiany konstytucji. Umieści je na naczelnym miejscu jedynie „Gazeta Polska” i „Kurier Poranny”, Nikt się jednak nie łudzi, że te kilkadziesiąt wierszy pełnych patosu odzwierciedlają nastroje kraju, że w czerwcu lub lipcu 1933 Polska nie ma innych zmartwień i nie pragnie niczego innego jak zmiany konstytucji.

Był powód do istotnych zmartwień. Zdawało się nawet, że wobec sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej zwołana zostanie sesja nadzwyczajna sejm i senatu. W powietrzu jednak zawisł bat. Padła groźba i postanowiono w ostatniej chwili cofnąć się. W kuluarach sejmowych było już rojno. Woźni sejmowi cieszyli się na wieść o zwołaniu sesji nadzwyczajnej, przypuszczając, iż z tej okazji ubiorą ich wreszcie w porządne mundury i zdejmą te

143

Rzeczywistość międzynarodowa wymyśliła lepszy koncept niż mistrz dowcipu na Kremlu Karol **Radek**.

10 lipca, 1933.

*Byle polski sejm zaciszny, byle polski sejm spokojny*

Trwało to krótko. Przez pewien czas wydawało się, że podwoje sejm zostaną na nowo otwarte dla pracy parlamentarnej, że choć kilka dni będą wielkie, burzliwe posiedzenia i rząd będzie siedział na cenzurowanym. Ale już po dwóch dniach wiadomo było ostatecznie, że nie dojdzie do zwołania nadzwyczajnej sesji sejmowej, że petycja do prezydenta Rzeczypospolitej nie zostanie zaopatrzona w należyłą ilość podpisów.

Długo trwały szepty w klubie ludowym. Zastanawiano się, jak wydobyć na wierzch wypadki dni ostatnich, a mianowicie rozruchy chłopskie. Rozważano wszystkie za i przeciw i wreszcie postanowiono nie nalegać na zwołanie sesji nadzwyczajnej. Zresztą byłby kłopot z zebraniem kwalifikowanej ilości podpisów. Minęły te czasy, gdy kluby opozycyjne po zamknięciu sesji sejmowej miały gotowe blankiety z podpisami posłów na ewentualną petycję do prezydenta.

Wyrzeczone się od kilku lat tej broni. Już ustalił się zwyczaj, że gdy w kwietniu zostaje zamknięta sesja budżetowa sejm, to przebudzenie się parlamentu następuje dopiero w listopadzie, a nawet i w tym miesiącu następuje odroczenie sesji sejmowej o 30 dni. Każdy się do tego przyzwyczaił i rząd i opozycja chętnie opuszczają ten gmach od kwietnia do listopada. Już znika wstyd brania „zasiłków dla bezrobotnych” co pierwszego. Dla oszczędzenia mitręgi sekretarki klubów wysyłają wielu posłom i senatorom pieniądze przez pocztę. Toteż każdego pierwszego pełno jest urzędniczek sejmowych na poczcie i obrót wynosi kilkaset tysięcy złotych.

W niektórych klubach zmniejszono nawet diety poselskie. Urzędowo poseł otrzymuje 965 złotych. Klub odlicza od 10 do 20% na potrzeby biurowe, partyjne itd. Zamożniejsi posłowie z klubu BB nie otrzymują wcale diet poselskich. Klub ściąga je pierwszego na potrzeby kancelaryjne. Ciężko jest jedynie w tych klubach, gdzie oprócz podatku klubowego należy uiszczać każdego pierwszego stare zaległości z tytułu kampanii wyborczej. Najmocniej daje się we znaki ten ciężar posłom z dawnego stron-

142

kowski. Ale na *zjeździe* nie ma tego, który prowadził do ataku. Od kilku lat marszałek Piłsudski wita zebranych legionistów listami smętnymi i pełnymi poezji. Organizatorzy zjazdu starają się przeto nadać zebraniu legionistów inny charakter.

Dwunasty zjazd legionistów miał się odbyć pod hasłem oderwania od kryzysu. Tak brzmiał tekst

przewodniczącego. Miano zabawić legionistę, który przybył na zjazd, rozruszać go, urozmaicić mu dzień i zakończyć pobyt wielkim „usia susia” w Łazienkach.

Bawili się w sobotę wieczór legionieści, zapelniając restauracje i szynki warszawskie. Śmieli się do rozpuku jeszcze dwie godziny przed uroczystościami na placu tuż przy krzyżu Traugutta, gdy rozdawano w namiotach śniadania. Przypominali sobie dawne czasy legionowe, dawne wspólne śniadania, obiady, lecz gdy skończyło się nabożeństwo i na mównicę wszedł brat marszałka Józefa Piłsudskiego, Jan Piłsudski, zebrani leguni odczuli już powagę chwili i smutek, że tylko Jan, a nie inny wita ich u stóp Traugutta. A później przyszedł list z dala, z Pikiliszek, z wspomnieniem bojów, z opisem czoła, zroszonego nie tylko potem. Z boków na placu rozlegały się okrzyki. Starzy legionieści milczeli, nadśluchiwali co będzie dalej. Wiedzieli, że w tym gronie, w tym smutnym miejscu nie ma okazji do dyskusji. Chcieli usłyszeć wskazania w okresie kryzysu. I padło słowo: na mównicę wszedł prezes klubu BB pułkownik Sławek. Choć kilka dni temu przygotował sobie przemówienie, choć w urzędowym organie sanacji mowa ta była wydrukowana, jako dodatek nadzwyczajny, prezes klubu był wzruszony. Co powiedzieć w dzień kryzysu gospodarczego? Mówił o konstytucji, dał skondensowaną rozprawę na temat ustroju państwa. Brać legionowa nie przetrwała być może należycie ustępów z przemówienia prezesa klubu BB. Była to rozprawa abstrakcyjna, aż nagle padła bomba: wy będziecie rządzić. Czynne prawo wyborcze do senatu wyposażonego w szersze prawa niż sejm należy do tych, którzy zostali odznaczeni krzyżami. Dumnie spoglądają na swoje krzyże bracia legionieści, choć nie rozlegają się burzliwe oklaski. Ale oto wchodzi na mównicę generał Sławoj Składkowski. Pozornie rzuca zasłonę na dotychczasowy poważny nastrój, pozornie wprowadza w rubasznym swoim przemówieniu momenty wesołe, zabawia brać legionową, która śmieje się do rozpuku. Już czuć nastrój „usia susia”. Ale między wierszami wesołej rozmowy z braćmi legionistami była mowa o grobach, o *żalach*, było odparcie zarzutów o „kryzysie idei komendanta”. Poważny zjazd w obecności najwyższych czynników państwa miał się zakończyć na 145 »o

łachmany, które są symbolem obecnego parlamentaryzm<sup>^^</sup> doszła ich wieść, że stronnictwo ludowe wyrzeka się<sup>z</sup> petycji, spuścili głowy. „-Waliły

Sensacja przeto trwała krótko. Kluby się zebrały, „<sup>uc</sup>. \ g rezolucje nie nadające się do użytku publicznego i rozej<sup>\*</sup>. Od kwietnia do listopada musi być cicho, choćby nie wiem nastroje nurtowały opinię publiczną. Sejm musi być i spokojny”.

5 sierpnia,

*Na zjeździe legionistów*

U stóp krzyża Traugutta, w obecności prezydenta, stów, strzelców i zebranego tłumu, w obecności rządu, została bomba polityczna przez dawnego członka bojowej zacji PPS, a obecnie prezesa klubu BB pułkownika<sup>sl</sup> kreślony został szkic projektu nowej konstytucji, upra do czynnego prawa wyborczego do senatu jedynie<sup>oc^zn</sup> Yirtuti Militari i Krzyżem Niepodległości. Senat zostanie uprawniony z sejmem, a raczej będzie mógł przekreślić w decyzje sejm. Będzie więc decydował o ustawach w f<sup>i</sup>L-i instytucje ustawodawcze decydują teraz na serio o czyrnKO 26 tysięcy osób wybierać będzie do senatu. Dotychczas s<sup>-^</sup> do urny wyborczej miliony wyborców. Nazajutrz po ogi<sup>o</sup> wo<sup>o</sup> nowej konstytucji stracą wyborcy (szczególnie kobiety) P ygl głosu do senatu. Decydować będzie o wszystkim elita

.. , nowa słucha, wyrażając w mniej lub więcej entuzjastyczny V uznanie dla mówcy. Zjazdy legionowe od kilku lat strać y<sup>^</sup> swym pierwotnym znaczeniu. Jeszcze w r. 1924 zjazd legi<sup>on</sup> A<sup>^</sup> w Warszawie był zjazdem opozycji, której przewodził m<sup>ar</sup> a<sup>ja</sup> Piłsudski. Dosadnie i ostro skrytykował on wówczas g<sup>e</sup> ^ Sikorskiego, bezwzględnie zaatakowali rząd ówczesny oddań legionieści.

f , za

Dziś w pierwszych szeregach krzesel, tuż u stóp r<sup>\_</sup> Traugutta siedzieli jako przedstawiciele rządu towarzys<sup>6</sup> w<sup>\_</sup> szałka Piłsudskiego, premier Jędrzejewicz, minister spra<sup>^</sup>-nętrznych pułkownik Pieracki, minister pracy i opieki<sup>SP</sup> ca<sup>d</sup>-gen. Hubicki, wicemin. spraw wojskowych gen. Sławoj

144

zgorziona. Domagano się satysfakcji, toczono rozmowy poufne \v gmachu prezydium Rady Ministrów, zapowiadano nawet pojedynki jaśnie wielmożnego księcia w walce o cześć karteli. Do pojedynku nie doszło. Sprawę złagodzone honorowo dla stron obu, ale przedstawiciele ciężkiego przemysłu mruzczeni niezadowoleni. Spotkała ich krzywda, choć pierwsi zgłosili akces do rządu.

Odtąd ucichły wszelkie walki. Sejm został zamknięty. Rząd zdobył w przeddzień zamknięcia sejmku bat na potentatów przemysłu. Ukręcono bicz z piasku w postaci ustawy kartelowej i zapowiadano trzaśnienie batem, w chwili, gdy przedstawiciele przemysłu nie zgodzą się na postulaty rządu w sprawie obniżki cen.

Tymczasem przemysł rozwinął wielką akcję prasową w obronie karteli. Przypominano rządowi, że sam narodził tę instytucję, że zagarniając dla siebie niektóre dziedziny przemysłu i handlu w postaci monopolu, etatyzując przemysły, rząd jednocześnie pozwalał przemysłowcom na współrzędny monopol w postaci karteli. Rząd organizował nawet przymusowo kartele, uważając, że zorganizowany przemysł *znajdzie* się bardziej pod czynną opieką czynników decydujących.

W ciągu kilku miesięcy toczyła się cicha walka o obniżenie cen. Co tydzień podawano do wiadomości publicznej biuletyny z pola walki, wieści o obniżeniu cen w różnych dziedzinach przemysłu. Wreszcie przyszedł ostateczny komunikat, że akcja została doprowadzona do pomyślnego końca.

Zahaczyło się wszystko jedynie o cement. Krążyły różne pogłoski o przebiegu walki aż doszło do otwartej wojny. Ministerstwo przemysłu i handlu ogłosiło rozwiązanie kartelu cementowego i złożyło skargę do sądu kartelowego. W sferach urzędowych rozpoczął się ruch mobilizacyjny. W prezydium Rady Ministrów dowodził akcją wiceminister pułkownik Lechnicki wraz z sekretarzem komitetu ekonomicznego radcą Martinem. W ministerstwie przemysłu i handlu objął dowództwo sam pan minister wraz z kierownikiem barometru gospodarczego (Instytut Koniunktur Gospodarczych) wymownym profesorem Lipińskim. Poruszono wszystkie sprężyny, zbierano gorliwie cały materiał dowodowy. Przygotowanie do wojny wyglądało tak, jak gdyby decydował się raczej los rządu, niż karteli. W kuluarach sądowych opowiadano, że zebrano materiał dzięki wewnętrznej walce w kartelach. Gdyby jeden z najdrobniejszych zarzutów spadł na głowę drobnego kupca, kodeks karny i *zarządzenia* administracyjne zmiotłyby go z powierzchni. *Zarzuty* były ciężkie i słuszne. Uniemożliwiano eksport, wstrzymano dowóz waluty do kraju, zamykano przedsiębiorstwa. Niektóre ustępy podania do sądu kartelowego przypominały zupełnie wyjątki z książki napisanej

147

wesoło, dowcipami generała Składkowskiego, ale i tu między wierszami drgały nuty smutne.

Skończyło się wesoło. Więcej niż godzinę trwała wielka defilada legionistów i ogromnej ilości gości i uczestników zjazdu. Weselej było jeszcze w godzinach wieczornych na zabawach w Łazienkach, w przepelnionej kawiarni, gdzie po raz pierwszy od wielu lat pito piwo. Wesoło było i w teatrze na wodzie, gdzie legun bawił się niewymyślnym wcale przedstawieniem. Zorganizowane śmiech na kilkanaście godzin, oderwano przyjezdnych legunów od trosk kryzysu gospodarczego. Obdarowano legionistę prawem wyborczym do senatu i kazano mu bawić się w „usia siusia”. Bawił się w niedzielę do późnej nocy. Usia siusia rżnięto na harmonii w dorożkach, słyszano w przepelnionym tramwaju, usia siusia śpiewała na dworcach habilitowana u stóp krzyża Traugutta nowa elita.

8 sierpnia, 1933.

*Ugłaskanie sekutnicy*

*Sad nad kartelem cementowym*

Dwa lata trwa już „straszliwa” wojna rządu z kartelami. Rozpoczął walkę minister przemysłu i handlu Prystor, tocząc akcję o obniżenie cen. Rozgorzał bój na terenie sejmu, gdy „zmuszono” przedstawicieli przemysłu do dobrowolnego obniżenia cen wyrobów skartelizowanych. Wrzało wówczas tak w kuluarach, jak gdybyśmy byli w przeddzień socjalnej rewolucji w Polsce. Pozwolono w owe dni Sanojcy złożyć całym soczystym stylem chłopskiego posła przeciwko burżuazji, a później na posiedzeniu komisji budżetowej pomstowano półurzędowo przeciw kartelom tak, iż zdawało się, że na głowę Minkowskich, Kutténów, spadną gorsze razy niż na posłów brzeskich, że dziś, jutro ukażą się listy gończe z fotografiami potentatów przemysłu. Atakowano przedstawicieli przemysłu naftowego. Radykalizujący poseł z BB, Wojciechowski, zaatakował ostro przedstawiciela Lewiatana, posła Hołyńskiego.

Aż wreszcie padła bomba w komisji budżetowej sejmu. Minister przemysłu i handlu, generał Zarzycki, wytknął potentatom ciężkiego przemysłu wszystkie winy wobec robotnika polskiego. Zahaczono nawet o nazwisko księcia Janusza Radziwiła, skompromitowano książęce i hrabiowskie nazwiska posłów i senatorów BB. Frakcja konserwatywna w klubie rządowym była

146

rządowi *złą* politykę kartelową, przypominając jednocześnie ile przemysł dał na pożyczkę narodową, że kroczy drugi z kolei po urzędnikach państwowych. „Przegląd Gospodarczy” zapomniał jednak dodać, że suma subskrybowana przez przemysł zostanie zaksięgowana na koszty produkcji, że przy tej ofiarności ciężkiego przemysłu nikt nie narażał się na sprzedaż prywatnego samochodu na cele pożyczkowe. Gdy odczytywano „wyrok”, dziennikarze i urzędnicy natężyli słuch. Tak straszne będą skutki ich przewiny? Czy zostaną skazani na dwa lata ucziwej pracy i na pięć lat pozbawienia praw przynależności do karteli? Wyrok brzmiał nieco inaczej. Niektóre umowy zostały unieważnione, niektóre pozostały w mocy. Profesor Lipiński i radca Martin jednak triumfowali. Zwyciężyli. Oskarżeni przegrali.

Na dole czeka na oskarżonych karetka, przepraszam samochody prywatne. W kilka dni później ukazały się

wiadomości o zreorganizowaniu Centrocementu na nowych podstawach. Tak straszliwie skończyła się wojna z kartelem cementowym.

Za tydzień, za dwa wpływać będą prośby do rządu małych i drobnych kupców, zubożałych rzemieślników, by rząd w zatargach swoich z nimi zachował się tak, jak z kartelem cementowym, by tak samo posadził ich na ławie oskarżonych, by czekał ich ten sam groźny wyrok, by ugłaskano ich tak, jak sekutnice cementową. 27 października, 1933.

#### *Pan sejmu na tulaczce*

Gdy w czwartek wieczór do gmachu sejmowego przybył pan prezes Rady Ministrów i odbył konferencję z marszałkiem sejmu Switalskim, wśród woźnych sejmowych zapanowało ożywienie. Pierwsza jaskółka sesji sejmowej już jest... Pewnie przywiózł dekret o otwarciu sesji budżetowej sejmu i senatu. Pan premier nie odwiedził jednak marszałka senatu, a w kilkanaście minut później wiadomo już było, że nie będzie dekretu. Konferencja nosiła widocznie charakter poufny, skoro nie wydano żadnego komunikatu.

Tajemnicza wizyta premiera, jak i polowanie kilka dni przed zwołaniem sesji sejmowej muszą oczywiście wywołać pewne zainteresowanie. Dzień po dniu odbywały się posiedzenia Rady Ministrów dla przygotowania materiału dekretowego, opracowano

149

w r. 1916 pt. „Imperializm jako najnowszy etap rozwoju kapitalizmu”. Autor W. I. Lenin widocznie przeczuł pana Kuttana. Na stronicie dziesiątej czytamy: „przytoczymy jeszcze jeden przykład z gospodarki kartelowej. Powstanie karteli i tworzenie monopolów szczególnie łatwe jest tam, gdzie można zagarnąć wszystkie lub główne źródła surowców. Byłoby jednak błędem myśleć, że monopole nie powstają i w innych gałęziach przemysłu, gdzie nie można zagarnąć źródeł materiałów surowych. W przemyśle cementowym surowy materiał znajduje się wszędzie. Ale i ten przemysł skartelizowany jest w Niemczech. Fabryki zjednoczyły się w okręgowe syndykaty: południowo-niemiecki, reńsko-westfal-ski itp. Ustalono ceny monopolowe: 230-280 marek za wagon przy własnej cenie kosztu 180 marek. Przedsiębiorstwa dają 12-169/6 dywidendy, przy czym nie należy zapominać, że geniusze współczesnej spekulacji umieją skierowywać do swoich kieszeni duże sumy zysków, oprócz tych, które się rozdziela jako dywidendy. Ażeby usunąć konkurencję z tak zyskownego przemysłu, monopoliści dopuszczają się nawet takich sztuczek: rozpowszechniają fałszywe wiadomości o złym stanie przemysłu, drukują anonimowe ogłoszenia w gazetach: „kapitaliści, strzeżcie się wkładać kapitały w interes cementowy”, skupują wreszcie zakłady „postronnych” (tj. przedsiębiorców nie biorących udziału w syndykatach), płacą im odstępnego 60, 80, 150 tyś. marek. Monopol toruje sobie drogę wszędzie i wszelkimi sposobami, zaczynając od „skromnej” wypłaty odstępnego i kończąc na amerykańskim zastosowaniu dynamitu względem konkurenta. Usunięcie kryzysów przez kartele jest bajką burżuazyjnych ekonomistów, broniących kapitalizmu za wszelką cenę”. W gmachu Sądu Najwyższego, w sali, gdzie rozważano proces brzeski, odbyło się posiedzenie sądu kartelowego. Stały komplet Sądu Najwyższego został uzupełniony dwoma sędziami. Po lewej stronie zasiadał nowy sędzia, b. minister skarbu Matuszewski. Po prawej b. prezes Towarzystwa Przemysłu Górniczego, b. minister w rządzie chjeno-piasta, obecnie wiceprezes Lewiatana, Szydłowski. Nie było mimo ciężkich zarzutów ławy oskarżonych. Ławę obrończą zajęli radcy prawni Centrocementu, a oskarżeni kręcili się na sali jako zwycięzcy. Twórca kartelu, pan Kuttan rozdawał książki na prawo i na lewo, zapewniając, że on — Kuttan — szedł zawsze za wskazaniem budowniczego Polski i od jego ideologii nie odstąpił.

Kilka dni trwała wojna. Adwokaci bronili klienta, dowodząc, że „porozumienie” nie jest jeszcze umową, mówiąc „o godziwym” zysku, choć wyrazy te brzmiały tak, jak „uczciwa kradzież”. W tym samym czasie „Przegląd Gospodarczy” zarzucał

148

głosu. Od czasu przewrotu majowego zjawiał się na sali posiedzeń, zajmując ostatnie miejsce. Nie wchodził na trybunę, nie rzucał żadnego wykrzyknika w gmachu, gdzie przestał już decydować. Kręcił się jedynie w kuluarach, zjawiał się w korytarzu otoczony grupką wiernych przyjaciół, których liczba topniała z dnia na dzień. Jeszcze ugięła się pod naciskiem butów wodza ludowego, jeszcze odpowiadał dwuznacznikami na pytania dziennikarzy, ale przyjście jego do gmachu nie miało już czaru lat poprzednich, gdy każde mrugnięcie okiem, gest, stanowiły pole do komentarzy. Siedem lat tłustych miał prezes Witos, siedem lat chudych zakończyło pobyt jego w sejmie.

W okresie lat tłustych był Witos częstym i bezustannym gościem parlamentu. Zjawiał się również w okręgu wyborczym dla wielkich pomp i uroczystości, organizując dożynki, zabawy literackie na cześć Reymonta w Wierzchosławicach, barwne kongresy w Krakowie z licznym udziałem wiernych adiutantów.

Od r. 1926 poszedł premier Witos w lud. Spoglądał ze strachem w oczy swoich dawnych adherentów, szukał judaszów. Jeszcze na kongresie w Krakowie towarzyszyli mu dawni przyjaciele polityczni: poseł



Marian Dąbrowski i poseł Byrka. Jeszcze siła ludu szła zwartym szeregiem, a później trzeba było zamilknąć na czas krótki.

Odtąd przysły ciężkie chwile próby i cierpień. Błysnęła nadzieja na kongresie krakowskim Centrolewu, twardo zlorzeczyli chłopci przeciwko nowym rządóm, zapowiadając wraz z pepesowcami wymyśloną przez nieboszczyka Perłą „rewolucję w majestacie prawa”. Skończyło się to smutno i okrutnie. Kartki wyborcze nie zaważyły na szali walki o władzę.

Kilka dni po zwolnieniu zjawił się w kularach sejmowych więzień brzeski Witos. Kto patrzył w nieco żółkłą twarz tego człowieka, ten widział wzmożony błysk oczu. Po pewnym czasie ożywił się. Szukał dalszej drogi do walki, do zdobycia władzy. Jednoczył ludowców, odgradzając się jednocześnie od swoich sprzymierzeńców z lewa. oraz mocniej pracował w okręgu wyborczym, zapowiadając na różnych zebraniach nowy etap walki. Rzucił różne groźne zapowiedzi, żyrował ewentualne strajki chłopskie, mówiąc jednak ciągle o zachowaniu legalności. Zakołysała się fala chłopska, ożywił się ruch po wsiach. Wódz przemawiał do tysięcznych tłumów. Wzbierało niezadowolenie. Ostatnie procesy sądowe świadczą o rozhukanym żywiole zbiedniałego chłopstwa. Szedł łomot biedy włościańskiej bez echa w mieście. Burzliwe chłopstwo szukało przywódców w dzień gorączki i ruchu, ale wówczas zjawiali się wodzowie jedynie by mitygować lud.

151

materiał ustawodawczy dla parlamentu, a tu nagle przerwa. Pan premier udaje się z panem prezydentem na Górny Śląsk. Ukazują się notatki o polowaniu. Następnie półurzędowa agencja oświadcza że nie będzie żadnych zmian w rządzie, że stary gabinet Prystora, objęty w spadku przez premiera Jędrzejewicza zostaje bez zmiany. Poufne rozmowy w czasie polowania zahaczyły pewnie i o inne tematy. Krążą w dalszym ciągu pogłoski o tarcjach na górze, o pewnej różnicy zdań w łonie obozu rządzącego. Nieuchwytnie te tarcia nie posiadają głębszego znaczenia, gdyż ludzi tego obozu łączy władza posiadana i konieczność bronienia wszystkich pozycji wobec nacisku z zewnątrz.

Przed sejmem stanie rząd jednolity i klub BB, posłuszny mimo różnicy zdań. A jeśli czasem jeden z posłów wyłamie się rzekomo i głosować będzie, lub przemawiać wbrew utartej linii, to dzieć się to będzie również w zgodzie z naczelnym dowództwem parlamentarnym i z zasadą, że na składzie ideologicznym trzeba mieć wszystkie towary, poczynając od antysemitkich półtonów w uchwałach powziętych przez stan średni w Gdyni i kończąc na radykalnych kwasach frondujących z Przełomu.

Za trzy, cztery dni zjawi się cały klub BB w komplecie. Prezes klubu odczyta wskazania ideologiczne. Członkowie bezpartyjnego stronnictwa obdarzą go oklaskami, każdy otrzyma instrukcje. Poszczególne komisje klubu BB otrzymają prawo rzekomego samodzielnego działania i poprawiania projektów ustaw rządowych. Członkowie BB ludzi się więc będą, że odgrywają rolę, jako sprężyna aparatu ustawodawczego, i że sztandar wiszący nad gmachem sejmu jest widomym dowodem istnienia parlamentu w Polsce.

Biuro sejmu usiłuje uczynić wszystko, by dodać trochę blasku zblakłemu w oczach społeczeństwa parlamentowi. Wstawiono do przedśionka sejmowego doniczkę z kwiatami, zawieszono piękny kilim w hallu, oczyszczono ogród sejmowy, przetrzepano znowu wszystkie dywany. Rozpoczynają się przygotowania do przewietrzenia sali sejmowej. Tylko wnęki w sali posiedzeń, specjalnie przeznaczone dla obrazów sejmowych, świecą pustką. Opada tynk. Stare projekty obrazów w okresie rządu marszałka Daszyń-skiego nie zostały obecnie wzięte pod uwagę. Nowych projektów jeszcze nie ma, choć można byłoby użyć dużo tematów, jak to: wynoszenie posła z sali sejmowej, obraz błyskawicznego uchwalenia ustawy, nocne posiedzenie z udziałem śpiących posłów.

Obecna sesja budżetowa jest mimo wszystko zapowiedzią nowego okresu w życiu parlamentu. Będzie to sejm bez Witosy. Siedem lat siedział ostatnio Witos w parlamencie nie zabierając

150

nego. Należał do pierwszego pokolenia zwolenników marszałka Piłsudskiego. Do *zarządu* walki czynnej (organizacji przedlegio-nowej) wstąpił dopiero w r. 1910, gdy cała frakcja rewolucyjna wzięła prawie rozbrat z akcją polityczną w kongresówce, gdy przygotowywała się do przyszłych, możliwych starć z Rosją.

Kto wie, czy reorganizacja ministerstwa poczt i telegrafu, a więc wcielenie do ministerstwa przemysłu i handlu, względnie do ministerstwa komunikacji nie nastąpiłoby w ciągu ostatniego okresu, gdyby nie osoba Boernera. Twórca pierwszej milicji ludowej cieszył się szczególną sympatią wśród legionistów i miał okazję na ostatnim *zjeździe* w Gdyni witać kolegów imieniem rządu. Był ministrem fachowym, tylko podczas akcji przedwyborczej angażował się politycznie jako kandydat na posła, lecz z trybuny sejmowej starał się zachować pozory rzeczowości.

Śmierć prezesa Najwyższego Trybunału Administracyjnego, dr. Pietaka stanowi również stratę dla reżymu.

Od r. 1927 bez przerwy do roku 1933 pracował dr Piętak w prezydium Rady Ministrów. Przyszedł w dziwnym okresie, gdy między stanem prawnym, siłą liczebną zwolenników obecnego rządu, a stanem faktycznym zachodziła poważna różnica. Rząd miał za sobą wojsko, zdobywał administrację, lecz nie miał parlamentu, a ustawy nie bardzo były wygodne dla twórców nowego reżymu. Czynnikiem decydującym nie uznawał istniejącego stanu prawnego, choć twierdził, że nie chce łamać prawa. Szukano drogi pośredniej, między-granicznej. Cztery posłowie drugiego sejmiku (jedyni zwolennicy nowego reżymu) musieli forsować ustawy, mając przeciwko sobie pozornie większość opozycyjną. Trzeba było wyrwać od swoich przeciwników pełnomocnictwa i tą drogą tworzyć nowy stan prawny.

Większość w trzecim sejmiku jednak baczyła uważnie, by dekrety na mocy pełnomocnictw nie obracały się przeciwko niej, by nie przekreślały istnienia sejmiku. Toczyła się wielka walka o formę prawną dekretów, które sypały się jak z rogu obfitości, toczył się bój o sposób zwoływania parlamentu, o terminy odroczeń, o legalność postępowania rządu.

(Plama cenzury)

Obrońcą nowego stanu prawnego z trybuny sejmowej był wiceminister sprawiedliwości, a następnie minister, obecnie wicemarszałek Car. Autorem ustaw i dekretów, rozporządzeń o zwołaniu i odroczeniu sesji sejmiku był nie zawsze minister sprawiedliwości. Przeważna ilość dekretów wyszła raczej z prezydium Rady Ministrów. Autor tych dzieł był w cieniu i nie chciał wcale pysznić się dokonanymi pracami w dziedzinie ustawodawczej. Miał pozostać na boku, szybko chwytając w lot intencje czynnika

153

Nikt nie wiedział dokąd ta gra prowadzić będzie. Nie wiedzieli również i najbliżsi z grupy Witos, aż przyszły rozprawy sądowe. Siedzący na ławie oskarżonych chłopcy szukali przywódców, obrońców i pomocy. W dziwny sposób stronnictwo ludowe zostało zluzowane przez obrońców z narodowej demokracji. Posłowie endeccy Zieliński i Liwo figurowali jako obrońcy w procesach chłopskich, organizując jednocześnie wiece, przemawiając do chłopów, należących do stronnictwa ludowego. Dopiero w ostatniej chwili ludowy poseł Wrona sprowadził posłów adwokatów ze Stronnictwa Ludowego.

Mimo to nie było to dowodem ukończonej walki. A jednak wyjechał zagranicę wraz z Kiernikiem i Bagińskim, by stworzyć nową emigrację polityczną

W okresie lat tłustych i w okresie lat chudych poseł Witos z wyjątkiem przymusowego „odpoczynku” w więzieniu był ciągle w ruchu, w walce o władzę. Dziś zaczyna się okres trzeci: cierpliwego, bezczynnego czekania na emigrację.

Przed wyjazdem jego do Pragi Czeskiej nie toczyła się w stronnictwie ludowym dyskusja jak postąpić po zapadnięciu klamki, po odrzuceniu skargi kasacyjnej, po uprawieniu wyroku skazującego w procesie brzeskim. Odbił się wyjazd bez pożegnania. Tylko w towarzystwie najbliższych przyjaciół, starego towarzysza Kiernika i nowo nawróconego Bagińskiego udał się Witos do Czechosłowacji. Nie pytał o nic innego więźnia brzeskiego Putka, który demonstracyjnie podkreślił, że zostaje, tak jak pozostali na placu boju Ciołkosz, Mastek, Barlicki.

Część więźniów brzeskich postanowiła przeczekać w więzieniu, część na łańcuchach. Na łańcuch poszedł Witos, opuszczając sejm, gdzie rządził siedem lat i zgrzytał siedem lat następnymi. Na plac boju przychodzą nowi z giętkim i kompromisowym inteligentem, b. marszałkiem Ratajem na czele.

30 października, 1933.

*Z zdobnej karty rządu*

Tydzień przedświąteczny wypadł smutnie dla obecnego rządu. Zmarł Prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego, dr Piętak. Zmarł minister poczt i telegrafu Boerner. Dla legionistów, dla pepesowców z tzw. frakcji rewolucyjnej, śmierć ministra Boenera jest dużą stratą. Był działaczem okresu przedwojennego

152

*Polityka na kongresie historyków*

21 sierpnia otwarto w Warszawie w auli politechniki kongres historyków. Zjazd uczonych nie ma zwykle dla przeciętnego obywatela szczególnego znaczenia. Wiadomo tylko, że kongresy międzynarodowe są zaszczytem dla państwa, w którym się odbywają. Są benefisem wydziału propagandy MSZ, narażają wyższych dygnitarzy na wysłuchiwanie dłuższych mów, odbywają się w atmosferze wzajemnych komplementów, które do niczego nie obowiązują. Rauty, wycieczki po kraju kończą zwykle cykl tych uroczystości.

Inaczej wypadło na kongresie historyków. Każdy temat zahacza tu o politykę. Wypadki historii starożytnej mogły służyć dla aluzji do dziejów współczesnych. Politycy nieraz posługiwali się historią dla celów doczesnych. Fryderyk Wielki nie lubił grabić ziem obcych bez pozorów historycznych. Ilekroć sięgał po szmat ziemi polskiej zawsze zamawiał u historyków odpowiednie dowody i prawa w archiwach. Wielcy uczeni, obiektywni rzekomo mężowie nauki, umieli dogodzić Fryderykowi. Nawet zwolennicy

najidealistyczniejszego pojmowania dziejów fabrykowali dla względów materialnych odpowiednie dowody historyczne zamówione przez władców.

Toteż historia roi się od falsyfikatów, preparowanych przez poszczególnych królów, prezydentów, przez tych, którzy sami zapisują się do historii, nie pozwalając przeciwnikowi wnosić poprawek. Według własnoręcznych opisów faraonów czytano dużo lat historię Egiptu. Po wielu wiekach, gdy wielu odrzuciło teorię, że ważą jedynie królowie i bohaterowie, gdy rzucono nowy snop światła na dzieje tych państw, zauważono, że nie tylko faraonowie mieli znaczenie w historii. Kapłani w Księgach Zmarłych spisywali smutne dzieje rzemieślników egipskich. Dyktatorzy wpisywali się własnoręcznie do historii. Tylko po załamaniu się dyktatury w archiwach znajdowano szeregi dokumentów, wnoszących poprawki do własnoręcznych opisów dyktatorów.

Gmach Politechniki Warszawskiej służyć może jako przykład, jak się fabrykuje historię. U wejścia do auli umieszczono tablicę, iż w gmachu tym urzędował sztab armii północnej z generałem Józefem Hallerem i szefem sztabu Zagórskim na czele, który opracował plan bitwy pod Warszawą. O bitwie tej pisano wiele, pisali i ci, którzy się sami wpisują do historii, wnoszono najrozmaitsze korekty, puszczone w ruch różne gadki. Historyk, który po tysiącu lat natrafi na tablicę, wmurowaną przez endeckich studentów, będzie miał wiele kłopotu z ustaleniem

155

decydującego i nadać tym pomysłom moc prawną, wcielić je w dekrety.

Oburzone dziennikarstwo przypisywało autorstwo dekretu prasowego obecnemu posłowi w Czechosłowacji, Grzybowskiemu. Człowiekiem jednak, który nadał szatę prawną intencjom rządu, był późniejszy prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Był wiernym urzędnikiem i zrozumiał, że nie ma takiej myśli politycznej rządu, której nie można byłoby motywować prawnie i wcielić w życie drogą dekretu. Wypełnił lukę między stanem prawnym a stanem faktycznym. Przez papierowy most dekretów przeszedł reżym do nowej sytuacji, do pewnego uzgodnienia stanu prawnego ze stanem faktycznym, (plama cenzury).

A walka o reorganizację była ostra. Wprowadzono cały szereg zmian drogą dekretów i uzyskano dzięki temu większość w różnych instytucjach.

(Plama cenzury).

Funkcje te spełnił doskonale, zachowując do ostatniej chwili skromne milczenie, dr Pięta.

Na pierwszym piętrze, w gmachu prezydium Rady Ministrów odbywały się niejednokrotnie ciche konferencje między premierem a radcą prawnym, (później szefem biura prawnego) dr. Pięta. Szefowie gabinetów byli w najserdeczniejszym kontakcie z tym mile uśmiechniętym urzędnikiem, który nowoczesnie zrozumiał znaczenie i istotę konstytucji (po Lassalowsku).

Dopiero po wyborach do ostatniego sejmiku mógł odpocząć. Rząd posiadał w parlamencie murowaną większość. Można było przeforsować w sejmie wszystkie potrzebne ustawy, nie chowając intencji, nie uciekając się następnie do interpretacji odmiennych od zamierzeń ustawodawcy. Kierownik biura prawnego miał nieco więcej wolnego czasu. Nie było potrzebne natężenie, jakie panowało od r. 27-go aż do roku 30-go.

Reżym obecny hojnie obdarował swego najwierniejszego urzędnika. Został prezesem Najwyższego Trybunału Administracyjnego, gdzie spoczywają od lat bez dalszego biegu skargi marszałków i wicemarszałków sejmiku i senatu. Funkcje Pięta przekazano zięciowi jego, doktorowi Paczowskiemu, który został kierownikiem biura prawnego przy Prezydium Rady Ministrów.

W ciągu tygodnia legionści i dawniejsi pepesowcy frakcji rewolucyjnej wraz z panem premierem Prystorem stracili przyjaciela, reżym zaś stracił najlepszego sługę, doskonałego, skromnego interpretatora, autora licznych dekretów.

17 kwietnia, 1933.

154

stwu polskiemu. Wygłasza referat po polsku, poświęcając sporo uwagi polityce kolonizacyjnej rządu carskiego na terenach b. Królestwa Polskiego. Potępia politykę rusyfikacyjną wobec Polski, piętnuje nawet tych carów, o których niektórzy politycy Polski wyrażali się względnie pochlebnie, oświetla negatywnie działalność ugodowców polskich, krytykując jednocześnie stanowisko SDKPiL (zgodnie z tezami Lenina) w sprawie niepodległości Polski. Prezydent Akademii Umiejętności na Białej Rusi był sam nieco zażenowany publicznym wystąpieniem wśród uczonych polskich. Pierwszy raz bowiem występował w języku polskim, przemawiając akcentem zbliżonym do wymowy b. ministra polskiego i profesora w Wilnie, Staniewicza. Sala w skupieniu wysłuchiwała referatu Gorina puszczając mimo uszu tak drażniące dla uczonych słowa, jak „rewolucyjny proletariat”. Huczne oklaski na cześć prezydenta Białoruskiej Akademii Nauk, młodego uczonego sowieckiego, są w sali Politechniki Warszawskiej paradoksem historii i tchną

polityką tym bardziej, że historyk Gorin na wstępie swego referatu podkreślił jak zgodnie działała carska Rosja z cesarskimi Niemcami w stosowaniu ucisku wobec Polaków.

Tak wykuwa się nowa historia stosunków polsko-sowieckich. Obok historii kongres obfitował w różnorodne historyjki, poczynając od nieobecności jednego z najwybitniejszych profesorów historii Szymona Askenazego, kończąc na fatalnym funkcjonowaniu megafonu w gmachu, gdzie technika powinna świecić przykładem. Uczestnicy zjazdu spodziewali się również przybycia Pił-sudskiego, który wykupił kartę uczestnictwa. Marszałek nie zjawił się, zajęty pewnie robieniem historii, której tajemnice odsłonią po długich latach nowi archiwiści na następnych kongresach.

28 sierpnia, 1933.

#### *Konstytucja złotego wieku rycerstwa*

Od kilku dni toczy się w prasie dyskusja nad nowym projektem konstytucji klubu BB. Trudno właściwie mówić o wymianie zdań. Nikt nie zna jej szczegółów. Nie wiedzą o niej nawet najwybitniejsi posłowie i senatorowie klubu BB. Prezes klubu nie uważał nawet za wskazane zastosować zasady „wewnętrznej demokracji”, wezwać posłów i senatorów na specjalne posiedzenie i zawiadomić ich o losach sejm i senatu. Co pewien czas odby-

157

prawdy. Na innych bowiem murach, w innych gmachach wmurowano odmienne tablice o przeciwnej treści, przypisując innym zasługę bitwy pod Warszawą.

Gmach, w którym odbywa się kongres ma wymowne znaczenie historyczne. Nie wmurowano tablicy na cześć fundatorów tej uczelni. Zapomniano o nich przezornie, bo gdyby historia miała zaważyć, trzeba byłoby stwierdzić, że gmach ten został wzniesiony dzięki gorliwej pracy i ofiarności Rotwanda i Wawelberga, że kontynuowano w tym wypadku tradycje Blocha, Kro-nenberga, Epsteina i Wertheima. Dziś do Politechniki Warszawskiej trudno się dostać tym, którzy byli połączeni węzłami pokrewieństwa z wspomnianymi rodami (o ile się nie chrzcili). A przeważna część słuchaczy politechniki, trzymając się haseł Hitlera, pozbawiłaby nawet wnuków Rotwanda, Kronenberga i Wawelberga, którzy już nic nie mają wspólnego z żydostwem, praw do przekroczenia tego gmachu.

Otwarcie kongresu historyków zaczęło się od razu od polityki. Oczy wszystkich zwracały się w stronę tych uczonych, którzy przybyli z Niemiec. Pytano o nowofabrykowanych profesorów, którym patent naukowy wydaje sam Hitler, względnie pomocnik jego Goebbels. Przybyła wyjątkowo ekipa nie bardzo wyraźna pod względem politycznym. Zjawił się nawet profesor, który został wyrzucony z Wrocławia z powodu pochodzenia żydowskiego. Sam sztandar, który wisiał w sali Politechniki dowodził, że Niemcy jeszcze nie bardzo kwapili się z demonstrowaniem nowego reżymu. Nie było znaku swastyki na sztandarze niemieckim. Nie wyróżniał się on wśród kilkudziesięciu sztandarów, które wisiały w czasie uroczystego otwarcia kongresu.

Historia robi swoje. Czerwony sztandar Związku Republik Radzieckich wisiał tak, jak gdyby chorągiew ta nie stanowiła już wcale przełomu w tradycjach międzynarodowych po wojnie światowej. W r. 23-24 nie można by było nawet pomyśleć o wywieszeniu tego sztandaru. Sprawa zaproszenia delegacji sowieckiej byłaby przedmiotem sporów z negatywnym wynikiem. Dziś sztandar ten wisiał na czołowym miejscu. W prezydium kongresu zasiadał symbolicznie (nie przybył z powodu choroby) Łunaczarski. Przedstawiciele nauki sowieckiej zapowiedzieli szereg referatów o komunie paryskiej, o epoce od Babeufa do Marksa.

Ale bo i chwila historyczna jest osobliwa. W historii dzieją się rzeczy o których się nie śniło nawet...

politykom. Stary esdek Hanecki przynosi w darze marszałkowi Piłsudskiemu historię. Przywozi ze sobą dokumenty z archiwum o pobycie marszałka Piłsudskiego na zesłaniu w Syberii. Prezydent Białoruskiej Akademii Nauk, Gorin przynosi również dary historyczne społeczeń-

156

Czemuż nagle przeto prezes Sławek ogłasza projekt nowej konstytucji? „Miałoby smutki znowu wrócić, kraść co już dawno ukradzione?”.

Od lat słyszymy zapewnienia, że nie ma drogi do powrotu, że czasy parlamentaryzmu i demokracji skończyły się. Każdy coraz mocniej wierzy w te słowa rzucone z trybuny sejmowej przez obóz rządowy i dlatego zastanawia jedynie pośpiech w nadaniu formy prawnej stanowi faktycznemu. Od lat twierdził to bohater żeromszczyzny, pułkownik Sławek. Głosił powrót do złotego wieku rycerstwa. Poszum słów z Walgierza Udałego, wybór wyrazów z „Dumy o Hetmanie”, błysk zdań z „Róży” i „Wiernej Rzeki” tętni w jego deklaracjach. Gdy prezes Sławek przemawia zdaje się wszystkim, że chce wciągnąć społeczeństwo do średniowiecza rycerskiego, że odrywa je od kryzysu dnia powszedniego w najgorszych chwilach wzmagającej się nędzy, że powiewa jak bohater Cerwantesa proporczykiem i ma na tarczy nie wyświechtane hasła honoru, męstwa itp. Nigdy prezes klubu BB Sławek, ani premier rządu pułkownik Sławek, nie używał w przemówieniach swoich tak zwanych niskich lotów. Zawsze treść ginęła w doborze pięknych

słów i trzeba było czekać miesiące, by zrozumieć jaka proza spoczywa w głębi tych dobranych wyrazów. Ubrany sam w szary powszedni strój prezes klubu BB jest stale świąteczny, nakłada na rzeczywistość polską i własne intencje pokrowiec rycerstwa, i tylko w chwilach „odkurzania rzeczywistości”, widzi się doczesne cele jego zamiarów.

Na stokach cytadeli 6-go sierpnia prezes Sławek rozdał nowe patenty szlacheckie, pozwolił nowouszlachconym skorzystać z prawa nobilitowania innych. Przyszły wybrany przez legunów senat będzie miał prawo znaleźć nowych zasłużonych, którzy będą korzystać z czynnego prawa wyborczego do senatu. Prócz tych, którzy się zasłużyli w krwawych bojach pod Kościuchnowką, nad Sto-chodem, znajduje się w przyszłości ci, którzy zdobyli dla rządzącej grupy w walkach wyborczych większość w swoich okręgach wyborczych. Dziś jednak, w pierwszych wyborach do nowego senatu decydować będą najbliżsi i najlepsi, ci którzy już właściwie decydują o wszystkim w kraju i z niechęcią oglądają gmach przy ulicy Wiejskiej, gdzie wykonywane są pozornie funkcje władzy ustawodawczej.

Gdy podano do wiadomości publicznej o nowym projekcie konstytucji klubu BB, nikt się nie zastanawiał, w jaki sposób zostanie on zrealizowany. Strona formalna uzyskania kwalifikowanej większości w sejmie nikogo w tej chwili nie obchodzi. Wyczuwa się, iż znajdzie się większość, że zostanie zdobyta za wszelką cenę, że wysoki i giętki, jak interpretacja sama, wicemarszałek

159

wają się plenarne posiedzenia klubu BB. Posłowie i senatorowie wysłuchują rozkazów i przyjmują do wiadomości decyzje przyjęte rzekomo przez prezydium klubu, choć każdy wie, że nie prezydium, a inne mniej uchwytnie ciało decyduje i przedkłada wnioski klubu do zatwierdzającej wiadomości.

Bomba, która została rzucona 6-go sierpnia na zjeździe legionistów jest tylko sensacją pozorną. Prezes Sławek zapowiada rządy elity, mówi, że od dziś o losach państwa będą decydować najlepsi, którzy wybierają do senatu; degraduje sejm, stwarza czynnik nadrzędny, decydujący spory między sejmem a senatem.

Właściwie elita ta istnieje już od przewrotu majowego. Najwyższe stanowiska w Polsce zajęli ci, którym prezes Sławek udziela obecnie wyłącznego prawa głosowania do senatu. Siedzą na wyższych stanowiskach w ministerstwach, dotarli do instytucji gospodarczych, kierują bankami. Handel i przemysł, syndykaty i kartele mają przedstawicieli elity na czele. Słowo „rozkaz” wdarło się do wszystkich urzędów. Dryl żołnierski przedostał się do wszystkich biur i kancelarii. „Melduję się” oświadczają urzędnicy w biurach, ulegając stylowi swoich zwierzchników. Szef bezpieczeństwa, naczelnik wydziału w ministerstwie komunikacji, minister przemysłu i handlu, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa, każdy przynosi ze sobą legitymację elity. Elita rządzi, kieruje, rozporządza i realizuje już dawno projekt nowej konstytucji klubu BB.

Jeśli kierownik PIM'u (Państwowy Instytut Meteorologiczny) nie jest dotychczas generałem lub pułkownikiem, to jest to tylko przypadek. Przecież padły już rozkazy pod adresem kryzysu gospodarczego, wydano dyspozycje do przesilenia ekonomicznego, by cofnęło się na z góry przygotowane pozycje. Czyż nie można przeto rozkazywać pogodzie i postawić na czele PIM'u leguna, którego biuletyn meteorologiczny byłby rozkazem dla przyrody?

W dniu, gdy władze wykonawcze otrzymały całą pełnię przywilejów ledwie tolerując władzę ustawodawczą, w chwili, gdy najważniejsze stanowiska władzy wykonawczej zajęli legioniści, obecny projekt konstytucji klubu BB, ogłoszony uroczyście przez prezesa Sławka, został właściwie wykonany w pięciuset procentach. Żadne prawo pisane nie zabezpieczy już lepiej praw tej elity, niż rzeczywistość ostatnich lat. Zasedli, okopali się, wzmocnili się na swoich stanowiskach i w tej chwili nie ma takiej siły, która by zdołała wyrwać im z rąk zdobytą władzę. Elita rządzi, mając do dyspozycji cywilów-fachowców, którzy już dawno uznali prawo elity do rozporządzania się ich osobami.

158

posiedzeń. Na ławach prawicy i lewicy rozsiadają się od razu bezceremonialnie posłowie z BB a poseł Burda, stara się przybrać minę majestatyczną, symulować Trąpczyńskiego. Poseł "Wa-lewski z BB usiądzie na miejscu Niedziałkowskiego. Tylko starzy byli pepesowcy, należący obecnie do BB nie biorą udziału w tej wędrówce. Pali bowiem wspomnienie dawnych czasów.

Szkoda demonstracji ze strony opozycji, bo to kosztuje. Przywołania do porządku z zapisaniem do protokołu — zł. 45, wykluczenie z posiedzenia przez marszałka — pół pensji miesięcznej, blisko 500 zł., wykluczenie za zgodą sejmu — strata pensji miesięcznej. Nie każdy klub ponosi zbiorową odpowiedzialność za odezwanie się posła. W mniejszych i uboższych klubach poseł sam płaci karę. Zapłacił karę poseł Ładyka z klubu ukraińsko-socjalis-tycznego za uwagi rzucone pod adresem marszałka sejmu. Zł. 488 za uwagę, że marszałek nie bardzo obiektywnie odnosi się do posłów mniejszości narodowych. Toteż marszałek bez trudu opanowuje sytuację na posiedzeniu. Uderzenie w kieszeń stanowi

dotkliwy cios dla opozycji. Jedno posiedzenie nocne w sprawie ustawy komunalnej pociągnęło za sobą kilka tysięcy złotych kary. Lekki okrzyk, nie przypominający zgoła obstrukcji pierwszego i drugiego sejmku został skarcony i opanowany w ciągu pięciu minut. Więcej niż 10 minut nie ma odwagi krzyżeć i hałasować opozycja. To kosztuje. U góry siedzi dyrektor biura sejmku, major Dziadosz, obok naczelnik kancelarii Mieroszewicz. W rękę trzymają karty fotograficzne. Z dala wydaje się, iż tasują karty do gry. Nie, wyszukują postacie, nazwiska posłów nieznanych, by podać do wiadomości marszałka kogo należy przywołać do porządku z zapisaniem do protokołu, by ułatwić przeprowadzenie ustawy.

Gdy o godz. 8-ej wieczór rozważano w kuluarach losy ustawy samorządowej wszystkich ogarniało przerażenie. Wyliczono z ołówkiem w rękę, że nawet po przeprowadzeniu wszelkich restrykcji mówić się będzie co najmniej 53 godziny, że głosowanie imienne nad wszystkimi poprawkami potrwa tyleż, że pobity zostanie rekord długotrwałego posiedzenia w parlamencie francuskim, że będzie to walka obliczona na zmęczenie.

O godz. 9 i pół wieczór odbywa się gorączkowa narada wodzów klubu BB. Opuszcza miejsce w sali sejmowej prezes Sławek biegnie za nim szybko wicemarszałek Car. Już wychodzi z ławy rządowej cichy i zacięty, zawsze ostrożny minister spraw wewnętrznych pułkownik Pieracki, już opuszcza miejsce przewodniczącego marszałek Switalski. Posiedzenie prowadzi jeden z liberalniejszych wicemarszałków BB były radykał, prof. Wacław Makowski.

161

<sup>M</sup>

Car, znajdzie prawny zaulek dla zrealizowania projektu. Nie zastanawiano się nawet, czy członkowie klubu BB, gdzie zasiadają dawni demokraci, zechcą wnieść pewne poprawki do projektu, układanego przez prezesa Sławka przy współdziałaniu wicemarszałka Cara. Te sprawy zostały już przesądzone. Rycerz Sławek wolałby nawet, by projekt konstytucji został raczej obwołany niż uchwalony, by targi i przetargi, zgilek dyskusji sejmowej nie zmąciły uroczystości nadania mocy prawnej. Chciałby pewnie tylko minuty ciszy po ogłoszeniu projektu i entuzjastycznego wołania zgadzającej się elity. Ale gdy przebrnie poprzez procedurę regulaminu sejmowego, konstytucji i zdoła wreszcie wyrwać dla obozu rządzącego nową konstytucję, spełni się wówczas szczyt jego marzeń: zasiadać będzie w senacie jako jego prezes w towarzystwie pierwszej brygady, zostawiając w sejmie czwartą. Na czele państwa stanie wówczas człowiek, którego nie będą krępować obecne formy konstytucyjne. Elita zasiądzie w senacie, elita stworzy nową elitę, rycerze będą przekazywać pażom z Legionu Młodych i Straży Przedniej władzę rycerską. Spełnią się marzenia o złotym wieku rycerstwa.

W listopadzie rb. zostanie wniesiony projekt konstytucji, nadający przywileje elicie. Wyższą warstwę tworzyć będą leguni. Czwarta brygada czekać będzie smętnie kilka lat na nadanie szlachectwa, grzać się będzie w słońcu nowych panów, rządzących już siedem lat w Polsce. Po drodze w projekcie konstytucji zginął szary, powszedni, walczący o byt przyziemny, toczący nieraz boje klasowe „obywatel”. Wódz rycerzy dojrzał jedynie najbliższą mu szlachtę leguńską: kryzys, rzeczywistość, obce są bohaterowi ze złotego wieku rycerstwa.

14 sierpnia, 1933.

**Uwaga: Był to pierwszy z projektów prezesa klubu BB Sławka. Uległ on później przeróbce.**

*Nocny duch ustawy samorządowej*

Skończyło się to o godz. w pół do trzeciej w nocy. Projekt ustawy, najważniejszej z ustaw (prócz konstytucji), został załatwiony w ciągu jednej nocy. Szkoda słów i szkoda nawet oburzenia. Nie warto uderzyć w pulpit, rzucać głośne okrzyki, polemizować z marszałkiem, nucić na sali sejmowej „gdy naród do boju” i grozić BB „o cześć wam panowie magnaci”. Zresztą chór opozycji funkcjonuje coraz podłej. Nie warto nawet opuszczać sali

**160**

poseł Sommerstein. Marszałek oświadcza: stoi mniejszość, wniosek odrzucony. Dla dokładności mógłby powiedzieć: „stoi mniejszość narodowa, wniosek samo przez się został odrzucony”

O godz. 2-ej min. 30 narodziła się ustawa samorządowa. Z każdego artykułu wyglądają władze nadzorcze. Kręgosłup demokratyczny dawnego dekretu został złamany. Ustawa z szerokimi pełnomocnictwami dla przedstawicieli rządu będzie podtrzymywana na wsi przez policjanta, w mieście przez starostę. Z dawnych przywilejów samorządowych nadanych dekretem w okresie, gdy czerwony sztandar powiewał jeszcze na zamku królewskim, pozostały nic nie *znaczące* resztki. Obywatel zajmuje poślednie miejsce. Rozsiada się szeroko obywatel Duch (b. starosta, członek BB, główny autor nowej ustawy samorządowej).

20 lutego, 1933.

*Pałac na Bielańskiej*

W środę w godzinach popołudniowych panowało w sejmie i w kuluarach sejmowych podniecenie. Nie było dyskusji nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych. Skończyła się już debata nad budżetem

ministerstwa spraw wojskowych. Przy ostatnim budżecie, jak zwykle, biorą górę temperamenty: majorowie i pułkownicy różnych obozów sprzecniają się ze sobą dość ostro. Skończyło się jednak względnie spokojnie. Nie należy traktować na serio dwóch pojedynków i kilku drobnych awantur na posiedzeniu komisji.

Ale żeby przy tak nierycerskim budżecie jak ministerstwo przemysłu i handlu, mogło dojść do sprawy honorowej — trudno było uwierzyć. A jednak w środę po przemówieniu pana ministra przemysłu i handlu gen. Zarzyckiego panowało wielkie zdenerwowanie wśród konserwatywnej grupy klubu BB. Książęta, hrabiowie i redaktorzy ich pism byli oburzeni. Rodowe nazwiska Radziwiłłów, Potockich, Lubomirskich zostały zdrażnione. Nerwowo zwykle senator hr. Wojciech Rostworowski, który i tak ma dużo kłopotu z ustawą akademicką i zajęty jest mocno pilnowaniem interesów krakowskiego konserwatywnego „Czasu” w Warszawie, przygotowywał nawet ostrą enuncjację z powodu zajścia środowego.

W kuluarach sejmowych odbyła się w czwartek gorączkowa rozprawa obecnych w sejmie konserwatystów. Przybyli posłowie

163

Parlamentarzyści nowej daty schowali się w pokoju przeznaczonym dla ministrów. Narada trwa kilkanaście minut, a tymczasem posłowie z opozycji zabierają głos, starają się powstrzymać szybki pęd ustawodawczy klubu BB. W dyskusji szczegółowej trudno przyczepić się do każdego artykułu. Na trybunie stoi stary poseł chłopski Duro. Za dobrych czasów, przy uprawianiu obstrukcji, walił pięścią w stół, rozbijał pulpity, groźnie wykrzykiwał. Dziś ma przemawiać „rzeczowo” musi użyć szyderstwa zamiast siły fizycznej i dialog między posłem Duro a wicemarszałkiem Carem wypada dziwnie miękko.

O godz. 12-iej w nocy sytuacja wygląda beznadziejnie. Już zdaje się, że dyskusja nad ustawą samorządową nie skończy się. Pierwsze szeregi klubu narodowego opuściły gmach sejmu, ale na zmianę przybyła nowa warta. Już zapisują się do głosu posłowie zupełnie nieznani, wynurza się endecki poseł Liwo, postać zupełnie mityczna, zjawia się na trybunie z ramienia stronnictwa ludowego, bliżej nieznanego poseł Pac.

Znikają ostatnie argumenty, zyskuje jedynie na reklamie Franc Moszkowicz, dzierżawca kabaretu Adria, którego zakład reklamuje z wysokości trybuny poseł Araszkiewicz ze stronnictwa ludowego. Zarzuca posłom z BB, że spieszą się, bo czekają na nich stoliki w Oazie i w Adrii.

Już wszystkie kawały zostały wyczerpane. Cała obstrukcja skończyła się o godz. 1-iej w nocy. Sejm przystępuje do głosowania. Tu triumfuje opozycja. Będzie głosowanie imienne nad każdą poprawką. BB zmęczone może ulegnie. Stało się jednak inaczej. Pojedynek Stroński — marszałek Switalski skończył się. Nowy regulamin, zresztą przepisany z ułożonego poprzednio przez marszałka Daszyńskiego, ułatwia pozbycie się głosowania imiennego. Za piętnaście druga gra ma się już ku końcowi. Będzie można już w ciągu kwadransa opuścić salę sejmową. Tymczasem posłowie z BB, karni, zgodnie z rozkazem zajmują miejsca na sali sejmowej. Siedzi w pierwszym rzędzie książę Radziwiłł, obok b. minister komunikacji, inżynier Kiihn.

Opozycja opuszcza salę. Galeria pusta. Światła elektryczne padające z góry nabierają ciemnego, przytłumionego koloru. Wszystko razem wygląda jak resztki po większej uczcie. Praca ustawodawcza przeistacza się w monotonię. Ma się wrażenie, że przewodniczący wobec nieobecności opozycji chętnie wyzbyłby się przesądów parlamentarnych i powiedział:

„Jesteśmy we własnym towarzystwie, opozycji nie ma, obserwują nas tylko dwaj Żydzi Sommerstein i Rozmarin. Po co głosować, ustawa przyjęta”.

Ale pęta parlamentaryzmu obowiązują, marszałek Switalski poleca odczytywanie poprawek opozycji. Częściowo reprezentuje ją

162

Mackiewicz i Podoski. Zjawił się b. dyplomata, b. poseł polski w Bukareszcie, marzący jeszcze o laurach dyplomatycznych senator hr. Wielowiejski. Magnateria interweniowała. Samochody z sejmu udawały się w stronę prezydium Rady Ministrów. Odbywały się rozmowy, posłuchania, Zapowiadano nawet złożenie mandatów przez konserwatystów. Mówiono o buncie magnaterii. Szeptano o sprawie honorowej i zastanawiano się czy wobec tego, zgodnie z kodeksem nieśmiertelnego Boziewicza, podać do wiadomości publicznej jakiegokolwiek wyjaśnienia grupy konserwatywnej.

Urządzono nie wydać komunikatu i podać jedynie do wiadomości publicznej, że w piątek odbędzie się posiedzenie prezydium grupy gospodarczej BB. Arystokraci obozu sanacyjnego, zgodnie ze zwyczajem wieku 20-go nie nazywają się po imieniu. „Grupa gospodarcza”, a nie grupa hrabiów i książąt, ich redaktorów i podbiegaczy. Wstydliwie ukryto prawdziwy tytuł grupy, choć tym samym osłonięta istotny cel hrabiów i książąt zasiadających w sejmie i senacie. Chodzi o obronę interesów gospodarczych, raczej nie tyle o obronę, ile o zdobycie placówek dla magnaterii rodowej. Obrażono podobno przywódcę obozu konserwatywnego w Polsce, księcia Janusza Radziwiłła. Minister generał, który poznał się na swoich klientach, zamienił komisję w konfesjonał i spowiadał się z pewnych trudności na terenie górnośląskim.

Spowiedź w obecności trzydziestu kilku ludzi musiała siłą rzeczy dojść do wiadomości publicznej. Diariusz komisji nie podał tej części przemówienia pana ministra, ale drastyczny ustęp wędrował z rąk do rąk i doszedł również do wiadomości grupy konserwatywnej klubu BB.

Nie mędrkując chytrze, stylem żołnierskim, opowiedział pan minister całą prawdę o członkach rad nadzorczych koncernu Flicka. Nie nazwał nikogo po imieniu, mówił jedynie o rodowych nazwiskach, ale konserwatyści, jak przysłowiowy policjant w Petersburgu, który aresztował przechodnia za słowo idiota, widząc w tym obrazę cara, domyślili się, że chodzi tu o księcia Radziwiłła. A przecież książe Radziwiłł stanął pierwszy w szeregach czwartej brygady, gdy zastanawiano się jeszcze w obozie konserwatywnym czy usłuchać namowy Sławka. Książe Radziwiłł poszedł w lud i zdecydował nie wystawiać swego nazwiska na liście senackiej, gdzie od wieków zasiadała arystokracja. Hrabia na Ołyce został umieszczony na liście sejmowej i zgodził się siedzieć z „gołota” w instytucji pogardzanej przez arystokrację.

Książe Radziwiłł bratał się z ludem. Figurował na liście wyborczej razem z „kułakami” ukraińskimi, parał się otwarcie z Żydem Wiślickim, kumał się z chłopskim posłem Sanoją, witał się serdecznie z Kuba Bójko, tworzył nawet jeszcze grupy ludowe

164

pod egidą wielkomocarstwowców. Został czerwonym księciem. W sejmie siedział w pierwszym rządzie obok przywódcy ukraińskiego klubu posła Lewickiego. W komisji spraw zagranicznych żył naj-zgodniej ze swoim wiceprezesem posłem Niedziałkowskim z PPS. Wykazał tyle serca dla mieszczaństwa, co Łęcki z „Lalki” Prusa.

Mówił, improwizował z trybuny sejmowej, poddając się rozkazom swego przywódcy posła Sławka. Łamał w sobie różne wątpliwości z powodu Brześcia, choć miał dużo zmartwienia z powodu wahań, ale rozumiał, że wiele rzeczy dzieje się w Polsce dla jego dobra i uspokoiwszy się „koniecznością historyczną” zamilkł. Czasem tylko żalił się we własnym wytwornym towarzystwie, skarżąc się na dorocznym obiedzie „Czasu” na łamanie prawa.

Nie bardzo rozrzutny książe pan, nie przypominający w niczym prapradziada „panie kochanku”, zmuszony mimowoli do popierania pism obozu konserwatywnego, postanowił otworzyć podwoje swego pałacu dla ludu.

Białawy pałac, wciśnięty między Bank Polski a posesję mieszczańską, zawsze pusty, rzadko oświetlany, nagle ożywił się. Ministrowie, dyrektorzy departamentów, posłowie i senatorzy, zaludnili komnaty książece. Przybywali profesorowie, reprezentujący ideologie drobnomieszczaństwa polskiego. Prócz periodycznych zebrań przedstawicieli obozu zachowawczego, odbywały się herbatki na temat etatyizmu, samowystarczalności, podniesienia przemysłu krajowego. Powstawały dzięki temu nowe organizacje gospodarcze, nowe kartele, nowe syndykaty. Książe pan dbając o przemysł krajowy stawał na czele organizacji. Pan przy ulicy Bie-łańskiej szedł na wszystkie koncesje dla ludu. Proszono go by stanął na czele wydziału handlu gęsiami, uczynił to chętnie. Kazano mu wejść do koncernu Flicka, poświęcił się dla ludu. Liczba poświęceń księcia Radziwiłła rosła jak grzyby po deszczu. Książe pan był jednak niezadowolony. W klubie BB odbywa się coraz mocniejszy nacisk na grupę konserwatywną. Wczoraj jeszcze ministrowie, dyrektorzy departamentów byli na chrzcinach kartelów, gdzie Radziwiłł brał na siebie chętnie rolę ojca chrzestnego, dziś grupa robotnicza BB sarka nieznośnie. Ministrowie się boczą i sam pan premier nie jest łaskaw dla organizacji, które nie chcą iść na obniżenie cen.

W obozie konserwatywnym panuje rozgoryczenie. Gorętsi i mniej zaangażowani w przedsiębiorstwach gospodarczych radzą nawet złożyć mandaty. Krzywdy bowiem są coraz większe. Stały bywalec domu przy ulicy Bielańskiej, były starosta galicyjski, senator Sobolewski, jest nawet zdziwiony. Zarzucono mu jakąś

165

głupią aferę w sprawie pszczyńskiej i zmuszony został do oddania swego honoru pod opiekę sądu marszałkowskiego. Własny obóz pod naciskiem zewnętrznym zawiesił go w urzędzie członka prezydium klubu konserwatywnego.

Dom na Bielańskiej opustoszał znowu. Przerwano na czas uroczyste przyjęcia dla ministrów, dyrektorów. Odbywają się jedynie gorączkowe narady swoich w bocznych pokojach. W pałacu jest znowu ciemno i ponuro. Książe pan odbiega chwilowo od polityki i jedzie na polowanie do nowoczesnego magnata, austriackiego barona, króla piwowarów, Goetz-Okocimskiego. W jego nieobecności jednak zlikwidowano zatarg między arystokracją rodową, a malkontentami z pierwszej brygady. Ktoś się cofnął. Dom przy ulicy Bielańskiej zostanie pewnie ponownie otwarty dla narad gospodarczych. Znowu spadną na głowę księcia pana „uciążliwe stanowiska” prezesa rad nadzorczych. Ale w środę i w czwartek sprawa wyglądała „groźnie”. Mówiono o sprawie honorowej, o sekundantach.

Skończyło się jednak pogodnie. Sarkają doradcy księcia pana, ale pan na Bielańskiej nie opuści swego



stanowiska. Przemienie czas, sprawy w sądach marszałkowskich towarzyszy z jego obozu zostaną załatwione krakowskim targiem. Sejm zostanie odroczone, krzyk o kartelach ucichnie. Niezadowolonym zatknę się usta papierową ustawą o nadzorze nad kartelami. Zyska znowu na blasku świecąc wszystkimi światłami, dom przy ulicy Bielańskiej.

30 stycznia, 1933.

#### *Chorąży i świadek lat tłustych*

Na ulicy Poznańskiej mieści się gmach poczty i telegrafu, budowa którego została formalnie zakończona kilka miesięcy temu. Ministerstwo poczt nie przejęło całego gmachu. Pusto i prze-stronnu jest jeszcze w poszczególnych pokojach. Nikt nie śpieszy się z uroczystym otwarciem. Gdy dojdzie nawet do ostatecznego przeniesienia wszystkich biur z ulicy Fredry na ulicę Poznańską, uroczystość otwarcia owego gmachu będzie prawdopodobnie skromna, w tablicy pamiątkowej nie będzie pewnie figurował główny budowniczy inżynier Ruszczewski.

Właściwie inżynier Ruszczewski bohater procesu, rozgrywanego się obecnie w sądzie okręgowym, ma trochę szczęścia. Sprawa jego przypada na okres wielkich wypadków politycznych w

166

Europie i ważnych zagadnień gospodarczych w kraju. Poza tym ocalała go Gorgonowa (bohaterka innego, sensacyjnego — kryminalnego, procesu) Szpalty pism przepełnione są wszystkimi bzdurami sprawy Gorgonowej. Proces jej stwarza złudzenie, że Polska jest krajem szczęśliwym i nie ma innych zmartwień, jak tylko kwestia winności lub niewinności bohaterki z Brzuchowic.

Rozdmuchiwanie procesu Gorgonowej przydało się inżynierowi Ruszczewskiemu. Na sali sądowej widzieć można pięć — sześć osób publiczności. Prasa opozycyjna trzyma wartość, by wcisnąć w mózg czytelnika kulisy lat tłustych po przewrocie majowym, by oświetlić historię przekroczeń budżetowych i gmachów budowanych za cenę tych przekroczeń od roku 1927 do 1929.

Akcja ta nie ma powodzenia. Liczba wierszy poświęconych procesowi Ruszczewskiego kurczy się z dnia na dzień. Działo się to cztery lata temu, a wydaje się, że czasy te są zamierzchłe, prehistoryczne, bezpowrotne.

Przekroczenia budżetowe? Kto myśli dzisiaj o całej tej sprawie? Były przekroczenia, ale był również okres stabilizacji kapitału. Były to czasy sławnego strajku węglowego w Anglii, gdy eksport polski wzrastał nieustannie, gdy w każdej dziedzinie życia gospodarczego można było spostrzec wzrost i rozwój, gdy przy wyborach do sejmu w roku 28-ym miast odezw wyborczych kreślono linię porównawczą, jak to było przed majem, co się stało po maju. Okres przedmajowy w zestawieniu z latami następnymi wyglądał jak liliput w porównaniu z Gulliwerem.

Trubadurem tego okresu był premier Bartel, wiernie akompaniował mu minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski. Były to świetne czasy. Pretensje o przekroczenia budżetowe brzmiały nieco dziwnie. Człowiek z ulicy rozumiał, że skoro są pieniądze to wolno je wydawać, że skoro w budżecie są nadwyżki, to należy budować, inwestować. Kazimierz Bartel miał być tym nowym Kazimierzem, który Polskę murowaną miał zostawić jako żelazo-betonową

Co kilka dni ogłaszano projekty nowej budowy. Budowano linie kolejowe, rozpoczęto budowę węzła kolejowego w Warszawie, rozbudowywano Gdynię.

Budowanie szło bez przerwy. Prace wykonywano z ogromnym rozmachem na okres kilku lat. Architekci jak stwierdzono to już na przewodzie sądowym, zajmowali się nie tylko budowaniem, ale i bujowaniem. Sporządzano fantastyczne projekty, brano olbrzymie pieniądze za kosztorysy, ale w szczęśliwym okresie nadmiaru, w czasie lat tłustych, nie miało to żadnego znaczenia. Nikt tego nie zauważał.

167

dając na zadane pytania. Po skończeniu zeznań szybko się oddalił. Nie miał na sali żadnych znajomych, prócz dziennikarzy. Nikt nie przybył na jego przywitanie. B. szef gabinetu Stempowski schował się w Banku Rolnym. W Warszawie ma tylko jednego przyjaciela, wiele znaczącego, którego kadencja kończy się za kilka miesięcy (prezydent). Do niego udał się b. premier lat tłustych okresu pomajowego, by po kilku godzinach wrócić do Lwowa, siedzieć samotnie w swym mieszkaniu, prowadząc czasem dłuższe rozmowy z b. wojewodą Borkowskim. Profesor Bartel zerwał już z polityką, jest jedynie, jak wszyscy obywatele kraju, świadkiem wypadków politycznych i czasem tylko, by przerwać monotony bieg swego żywota, przypomina się opinii publicznej w sali sądowej jako świadek lat tłustych, lub okresu parlamentarnego.

24 kwietnia, 1933.

#### *„Pion” rządu*

W pierwszych dniach października ukazał się w Warszawie pierwszy numer tygodnika literacko-społecznego „Pion”. Redaktorem pisma jest szef prasowy prezydium Rady Ministrów Tadeusz Świącicki. Artykuł wstępny napisał Adam Skwarczyński, jeden z głównych współpracowników „Drogi”, wyższy

urzędnik na Zamku. Następuje artykuł pośła BB Wilama Horzycy. W dziale teatralnym zabrał głos Juliusz Kaden-Bandrowski, kierownik literacki „Gazety Polskiej” oraz Władysław Zawistowski, naczelnik wydziału kultury w ministerstwie wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Mamy przeto pismo półurzędowe, oświetlające zagadnienia literatury oraz po części problematy społeczne.

Obecny premier i minister oświaty dąży widocznie do rządu nad duszami i uważa, że należałoby opanować na rzecz reżymu teatr, literaturę, wychowanie tzn. młodzież, skoro rząd łoży wydatki na poparcie teatru, i literatury, uniwersytetów, szkół itp. W kraju, gdzie „czynnik decydujący” rozpoczynał karierę jako dziennikarz-literat, gdzie działacze społeczni przemawiają z mównicy sejmowej uroczyście stylem Żeromskiego, gdzie artyści malarze zajmują wysokie stanowiska, rządowa opieka nad literaturą przychodzi nieco za późno.

Pamiętać należy, że przewrót majowy został dokonany nie tylko przy pomocy wojska, przy współudziale robotników, ale jednocześnie przy czynnym poparciu świata literackiego. Młoda

169

Przyszły jednak lata chude. Okres przekroczeń budżetowych już dawno minął. Trudno i ciężko jest bardzo „dokroczyć” do budżetu, pokryć dochody z wydatkami. Każdy grosz okresu lat tłustych wydaje się jakimś drogocennym złotem. Ludzie zarabiali tysiące, a czytelnik naiwny wzdycha że w tym pięknym okresie, gdy na podróże, dla nakręcania filmu wydawano po kilkadziesiąt tysięcy, on płacił słone podatki.

Proces Ruszczewskiego trwał tygodnie i wszystko odbywało się w tempie normalnym, nieco już nawet nudnym. Ale nagle w procesie zapanowało ożywienie. Na sali sądowej zaczęli się zjawiać bohaterowie lat tłustych. Przybył -b. minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski. Brakowało jedynie jeszcze samego mistrza, chorążego okresu, premiera Kazimierza Bartla.

Profesor Bartel widocznie zasmakował w świadczeniu przed sądem okręgowym w Warszawie. Gdy stawał półtora roku temu w sądzie okręgowym, jako świadek w procesie brzeskim, zdobył sobie całą salę wykwinnością odpowiedzi, doskonałością prowadzenia dialogu, umiejętnością odparowania pytań prokuratora. Miał salę. Publiczności było dużo, adwokaci stawili się również w komplecie. Czuł fluid sympatii oskarżonych. Spoglądali mu tęsknie w twarz, przypominając sobie złote czasy cichej współpracy opozycji z Bartlem, to znaczy z formalnym rządem współczesnym. Gdy mówił, widział, jak posłowie — oskarżeni — pozerają każde słowo. Gdy odchodził, wszyscy czuli, że odchodzi razem z nim legendarna epoka pseudoparlamentaryzmu z udziałem opozycji.

Gdy b. premier Bartel zgłosił się jako świadek w procesie inżyniera Ruszczewskiego, rzeczy wyglądały nieco inaczej. Mimo iż pisma zapowiadały kilkakrotnie jego przybycie, na sali sądowej było 15 osób.

Jedynie dziennikarze stawili się w komplecie, przypuszczając, że były premier, który zerwał z obozem rządzącym i w wywiadzie specjalnym zarzucił nawet posłom klubu BB, że wznawiają okres sejmokracji, rzuci na sali sądowej snop światła, odsłoni kulisy, ujawni szczegóły dotąd jeszcze nieznanne.

B. premier Bartel poznał od razu audytorium. Siedząc w pierwszej chwili w czwartym rzędzie pustej ławy sądowej, zorientował się że nie warto tu przychodzić z zeznaniami męża stanu, że wystarczy świadectwo architekta, budowniczego. Sprawa bowiem sama nie mogła już zyskać na rozgłosie. Proces, który byłby tak aktualny jeszcze niedawno, już dziś nikogo prawie nie obchodzi.

Zresztą, sala sądowa była mu obca. Adwokaci, którzy mieli go peszyć nie należeli do tej kategorii, z którą miał do czynienia w procesie brzeskim. Tam serdecznie zadawał pytania adwokat Berenson, tu młody adwokat starał się przerwać tok ostrych oskarżeń b. premiera. Miał kilka drobnych sukcesów, odpowla-

168

Ale w pierwszych artykułach „Pionu” jest pewne odsłonięcie kart. Adam Skwarczyński, Wiłam Horzyca, domagają się szacunku dla tych, co walczyli w okresie niewoli, wyrażając się lekceważąco o tych, którzy się urodzili w okresie niepodległości i nie mają zrozumienia dla starych romantycznych szermierzy od Mickiewicza aż do Piłsudskiego. W tych artykułach przebija się linia przewodnia prezesa klubu BB Sławka. Obaj literaci popierają elitę, domagając się dla niej specjalnego wyróżnienia. Pan Skiw-ski<sup>1</sup> w małym artykuliku uzasadnił myśl b. ministra spraw wewnętrznych, obecnie wiceministra spraw wojskowych, generała Składkowskiego która brzmiała lapidarnie: „byczo jest”.

„Istnieje rażąca dysproporcja między tym co się w Polsce dzieje, a tym co się w Polsce pisze. Uogólniając i świadomie przechodząc nad wyjątkami, można powiedzieć, że dzieje się u nas wcale dobrze, a pisze źle. Bardzo źle”. Tak brzmi „byczo jest” pana Skiwskiego<sup>1</sup>. Można byłoby się zapytać autora artykułu, komu jest dobrze, ale nie o to chodzi w tej chwili. W artykule tym został nakreślony program nowej literatury. Pisarze „Pionu” domagać się będą, by nie było *rażące* dysharmonii między pisaniem a rzeczywistością, jeśli rzeczywistość jest zła, tym gorzej dla rzeczywistości. Musi istnieć optymizm, zapoczątkowany na *zjeździe* gospodarczym klubu BB. Muszą być usunięte smutne kulisy z wielkich uroczystości.

Na dworcach kolejowych, w starostwach, wiszą prospekty nowego pisma. Redakcja zapowiedziała

nazwiska najgłówniejszych pisarzy, którzy duchowo będą współpracowali z obecnym rządem. Państwowe wychowanie w szkolnictwie, ściślejsza kontrola polskiego radia, opieka nad teatrem — oto droga, po której kroczy nowy premier. Prócz podatków społeczeństwo powinno oddać serca i dusze i pójść w „rajską dziedzinę uludy” z panem Skiw-skim w „Pionie”.

12 października, 1933.

*Pierwsze akordy Akademii literatury*

*Z ogromnej sali wyniesiono śmiecie.*

*I kurz otarto z krzesel, Weszli*

*I siedli z szmerem, jak pochwy*

*I ogłosili... cóż... że są w \omplecie,*

*I siedzą, siedzą, aż tam gdzieś na świecie*

**I. Skiwski został później współpracownikiem pism okupacyjnych hitlerowskich.**

171

Polska przygotowywała grunt dla tego przewrotu. We wszystkich pismach literackich atakowano chiono-piasta. Wszystkie kabarety literackie wykpiwały ministrów parlamentarnego reżymu. W *Qui Pro Quo* wykpiwano stale Witosa, Niedziałkowskiego i innych parlamentarzystów. Drwiono z różnych działaczy kręcących się w sejmie, nie szanując nikogo. Gdy dochodziło jednak do osoby czynnika decydującego, wówczas zniknął uśmiech, a panował patos. Doskonali kpiarze: Tuwim, Hemar, Słonimski, Lechoń, zabierali głos, by słać uroczyste imię jego.

Szopki warszawskie, nawet po przewrocie majowym zdzierają jeszcze w dalszym ciągu skórę z działaczy parlamentarnych, śmiejąc się dobrotliwie z mężów stanu nowego okresu.

Od tego czasu upłynęło kilka lat. Niektórzy z literatów wyjechali zagranicę na placówki polityczne, przytulili się do ministerstw, a wielu znalazło się w pewnym kłopotcie. Stosunek do reżymu a musiał się siłą rzeczy zmienić.

Zacząły się tarcia od Brześcia, od oświadczeń kilkunastu literatów w „Wiadomościach Literackich”. Była to separacja, ale jeszcze nie rozwód. W sferach miarodajnych zrozumiano, że specjalny francuski numer „Wiadomości Literackich” jest potrzebny dla celów propagandowych i nie zerwano całkowicie więzów. Literaci prorządowi zabierali głos w „Wiadomościach Literackich”. Pobóg-Malinowski umieścił w tym piśmie kilka artykułów o sławnych czynach organizacji bojowej PPS, o zasługach w tej akcji marszałka Piłsudskiego.

Nowy premier Jędrzejewicz zapatrzony bardziej w sprawy kultury (poprzedni interesował się więcej sprawami gospodarczymi) zaczął od zdobywania placówek kulturalnych. Pierwszym czynem pana premiera Jędrzejewicza było wzięcie udziału w poświęceniu sztandaru Straży Przedniej. Jeszcze przed tym jako minister, walczył o przeprowadzenie w sejmie ustawy akademickiej. Kilka miesięcy później doszło do wiadomości publicznej, że Teatr Polski korzystać będzie z pomocy czynników miarodajnych, ale w zamian będzie musiał być pod kuratelą rządową.

Teraz ukazało się pismo literackie. Zabrał głos jeden z przedstawicieli obozu sanacyjnego Adam Skwarczyński, który już od kilku lat głowi się nad scaleniem wszystkich hufców, które się skupiły pod sztandarem 1-ej brygady. Odbywa się poszukiwanie ideologii, choć rzecz znamienna, że w pismach prorządowych program ten ukrywa się głęboko pod warstwą pięknych słów, zapożyczonych ze słownika Żeromskiego. Wydawnictwa z wieczorów spędzanych na Zamku, z herbatek dyskusyjnych na tematy ukraińskie, białoruskie, przypominają co do formy „Wieczory Florenckie” Juliusza Klaczko.

170

Od widu lat nie było w tej sali, gdzie dawniej zasiadał wicegu-bernator, tak świetnej publiczności, choć jeszcze za czasów Władysława Sikorskiego odbywały się tu rauty z udziałem prasy i gościł tu wśród działaczy b. premier Władysław Grabski.

Nastroj przed otwarciem był jak przed wielką premierą. Gdy na podium stanęli członkowie Akademii, siwi mężowie, zmęczeni trudem lat, zapanowała cisza, a następnie rozległy się oklaski. Ubrani w czarne stroje, ozdobieni piękną blachą, wyglądali akademicy, jak dobre oprawy w wytwornych bibliotekach, i gdyby nawet zastygli w milczeniu, gdyby przewodniczący nie rzekł ani słowa do zebranych, byłoby i tak dużo uroczystego nastroju w obrazie zasiadających czternastu akademików pod biustem Stefana Żeromskiego, który patronował zebranym.

Niemy film musiał być jednak urozmaicony dźwiękowcem. Zabrał głos prezes Akademii Wacław Sieroszewski. A po nim przemówił prezes Rady Ministrów Janusz Jędrzejewicz, odznaczony również dostojnością akademika. Czuć było, że wchłonał nie tylko literaturę wieszczów, Wyspiańskiego i Żeromskiego, ale że żyje dźwiękami poetów nowoczesnych. Na gruncie rzeczywistości stanął poprzedni premier Aleksander Prystor, na skrzydłach poezji i literatury unosił się w środę premier od zdobycia dusz, Janusz Jędrzejewicz. Złożył hołd jako legionista temu, który łączył w sobie słowo i szablę.

Aż później przysła cicha msza. Szepem wygłosił przemówienie zasłużony pisarz polski, Wacław Berent,

samotnik, literat unikający od lat towarzystwa ludzkiego. Spowiadał się sam przed sobą, zapominając, że ma przed oczyma publiczność ze słucha go uważnie pan Zaniku, że stoi wyprostowany na baczność adiutant prezydenta, który musiał w ciągu prawie godziny wpatrywać się w usta wielkiego pisarza, nie będąc w stanie uchwycić ani jednego dźwięku. Publiczność chciała skrócić pisarzowi mękę mówienia oklaskami. Kilka razy powtarzała się ta nieco irytująca scena między irytującą się publicznością, a zasłuchanym w sobie mówcą.

Zakończono uroczystość odczytaniem depeš powitalnych. Nie było depešy od tego, którego uczczono tutaj najserdeczniej. Nie przysłał depešy, nie wystosował listu, wyjechał do Wilna, by prowadzić rozmowy z dyplomatami.

Prezes Akademii Waclaw Sieroszewski zamknął posiedzenie. Publiczność pozostała jednak na sali. Akademicy zeszli z podium wdając się w tłum. Mieli miny przygnębione. Byli nie tyle uroczyści, co smutni i unikali rozmów o Akademii. Kolegium nie nadało się widocznie do publicznego pokazu, schowane w małym gronie zaimponowałyby więcej społeczeństwu. Było im nieswojo

173

„ *Wariat Wynajdzie por?*, a artysta

*Podrzedny — promień sf wieczny uirulaU, X nie uczony jafcis tam dentysta Od wszech boleści człoWieka ocalt, A akademie milczq... lecz W komplecie.*

Cyprian NORWID

Lista została zamknięta. Ogłoszono urzędowo spis członków Polskiej Akademii Literatury. Odbyło się przed tym »«nkmete poufne posiedzenie. Udekorowano członków specjalnymi odznaczeniami. Wybrano prezesów honorowych i wresz cie P^o-wiono pokazać si, światu, stanąć przed obliczem ^tykowkly rackich, polityków, działaczy, zazdrosnych kolegów lub pominie tych a Lzę więcej zasłużonych. Otwarcie miało być uroczyste z udziałem prezydenta, premiera, w pięknym gmachu prezydium

Izorem ciągnęły samochody na Krakowskim Przedmieściu ^stronę gmach? rządowego. Przed budynkiem stał duży tłum Rząd czci literaturę, składa hołd pisarzom, organizuje specjalną akademię. Odtąd istnieć będzie najwyższa instancja decy-dujął, ziszczą się idy Stefana żeromskiego. Na proszeniach napis: strój wieczorowy Kto wie, czy niejedyn z tych cztonkow Akademii nie będzie musiał się wysilić, by zdobyć sobie ten strój. Całe życie przeważnie spędzili w ciężkiej walce o byt. Cate życie nosili szare stroje, a tu nagle strój wieczorowy. Z^u km akademika nie łączy się żadna pensja czy dotacja. Wszystko jed nak powinno wypaść uroczyste. Rząd chce wykazać jak kocna i ceni literaturę. Ceni nawet i dziennikarstwo, skoro wśród czton-ków Akademii zasiada dziennikarz Rzymowski. ... ,

Zjawili się panowie we frakach, panie w strojach balowych, generałowie w mundurach, rząd *iti corpore*, b. premier Frystor, prezes klubu BB Sławek, wybitni działacze klubu BB, ministrowie i wiceministrowie. Byli to przeważnie legionieści, którzy pod ' wpływem literatury śnili sen o szpadzie, którzy ulegli czarowi słów Stefana Żeromskiego, urokowi Gustawa Daniłowskiego Lekarze, inżynierowie, studenci wprzęgli się w r. 1914 w rydwan poezji i z pieśnią na ustach szli w legiony.

Nie mieli za sobą większości społeczeństwa, ale zdawało im się, że błogosławią ich wieszczce, że duch Wyspiańskiego wzywa ich do czynu. Literatura ciążyła nad nimi. Fantaś stanowili przyboczną straż literatury polskiej. Sam czynnik decydujący, a wówczas komendant, był przecież literatem i zanim zdobywał szablę, podbijał słowem. , , , Wielka sala na pierwszym piętrze w prezydium Rady Ministrów była rześcicie oświetlona. Blasku dodały światła jupiterów.

172

ze spokojem bieg walki o władzę. Jedyne w Poznaniu nie chciano uznać nowego rządu. Tłum demonstrował przeciw Piłsudskiemu, mówiono o widmie nowej Wandei. Marszałek Senatu Trąmp-czyński musiał wyjechać specjalnie do Poznania dla uspokojenia umysłów.

Gdy wódz endecji Roman Dmowski tracił władzę w Warszawie, przeniósł się do Poznania, gdzie jest honorowym obywatelem miasta. Z biegiem czasu sytuacja w Poznaniu zmieniła się. Na zmianę nastrojów wpłynęła PWK (powszechna wystawa krajowa). Rządłożył wydatki na zorganizowanie wystawy. Popierano wydatnie inicjatywę. Udało się w ten sposób przełamać częściowo nastrój mieszczaństwa wrogi dla rządu. Przedtem traktowano jeszcze Poznań jako miasto endeckie. Tu założył Roman Dmowski obóz Wielkiej Polski. Ale kryzys ekonomiczny, PWK, obecność garnizonu wojskowego, uczyniły swoje.

Na los wyborów wpłynęła strategia wojskowa władz centralnych. Wiadomości o rozpisaniu wyborów nadeszły nagle i zaskoczyły stronnictwa opozycyjne. Stronnictwo ludowe zajmowało się jeszcze dumaniem nad losem więźniów brzeskich. Rozpatrywano wyniki ruchawki chłopskiej, ale nie było gotowych list kandydatów do gmin. Stronnictwo nie posiadało aparatu wyborczego i nie mogło się przeciwstawić sprawnej, z góry przygotowanej robocie BBWR.

Wojna o samorządy jeszcze się nie skończyła. Odbywają się wybory w różnych częściach kraju, ale los tych wyborów jest już z góry przesadzony. Rząd zyskuje nowy aparat, o który może się oprzeć.

W czasie walki zniesiono całkowicie jedno stronnictwo, a mianowicie chadecję. Już od kilku lat próbowano rozbić szeregi stronnictwa, które było opoką bloku prawicowego. Część chadeców od razu przeszła do sanacji. Po pewnym czasie udało się również złamać chadecję w senacie. Początek zrobił senator lwowski Thullie. Przeczuwał możliwość rozłamu nowo upieczony wódz chadecji Wojciech Korfanty. Ale między chadecją śląską i resztą stronnictwa była wielka przepaść.

Śląska chadecją trzymała się dzięki autorytetowi Wojciecha Korfatego. Reszta plątała się między nogami endecji i sanacji. Wyzionął ducha centralny organ chadecji w Warszawie, „Rzeczpospolita”. Pozostało jej jedynie pismo w Krakowie „Głos Narodu”, ale niebawem udało się dobrać i do pana Burtana.

Zachodziła obawa, że chadecy będą się brzydzić w sanacji towarzystwa żydowskiego, że *zażądają* wzmożenia akcji antysemitycznej. Wszystkie te obawy zostały przewyciężone. Odseparowano zgrabnie sanacyjnych Żydów od bloku rządowego. Sanacja

175

i chętnie zniknęli, gdy woźni wezwali ich na obiad do pana prezesa Rady Ministrów.

Wielka uroczystość skończona. Za godzinę, dwie, rozejdzie się to wszystko po kawiarniach, pójdą w świat nie nadające się do druku szczegóły, opowiadania o akademikach, epizody z jupiterem, który tak cudnie olśnił akademików swoim światłem i spowodował wrażenie zmroku, gdy zgasł, a na sali błyszczały jedynie żarzące się gęsto lampy elektryczne.

Gdy światła zgasły i ciemność zapanowała, wydawało się, że w tej sali, skąd spoglądał biust Żeromskiego na posiedzeniu Akademii, smutek panował dlatego, że w uroczystym otwarciu uczczono właściwie koniec świata odchodzącego, finał znikającej, a niegdyś świetnej literacko, Młodej Polski.

13 listopada, 1933.

*Stronnictwo umiera*

Dziwny widok przedstawia kawiarnia Europejska o godz. 2-iej po południu. W szatni dość duży ruch, przy stoliku zwykle zarezerwowanym dla stałych gości zasiadają ludzie obozu rządzącego. Panuje tam gwar i rozlega się głośny śmiech wiceministra skarbu Kozłowskiego. Stałym gościem tego stolika jest, prezes klubu BB Sławek. Przywykł w Galicji, w okresie przedwojennym, do przebywania w kawiarni. Jest tam również minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki, dyrektor biura sejmowego major Dzia-dosz. Dosiadają się czasem kibice, wykorzystując starą znajomość, by pokazać przed kawiarnią, że utrzymują stosunki z możnymi tego świata. Panuje tam tak pogodny nastrój, jak gdyby udało się przełamać wszystkie kryzysy i dopłynąć do cichego portu.

Minister Pieracki ma szczególnie powód do zadowolenia. Świcił niedawno triumfy przy wyborach do gmin wiejskich i miast. Gorliwi statystycy stwierdzili, że BBWR odniósł zwycięstwo. Jeszcze przed tym udało się ministrowi spraw wewnętrznych przeprowadzić batalię w sądach (procesy stronnictwa ludowego). Dziś odbywa się walka w terenie i organy sanacyjne opowiadają o niezwykłym zwycięstwie.

Trudno w obecnej chwili ocenić, kto zwyciężył w czasie wyborów na Pomorzu i w Poznaniu. Przypomnieć jednak należy jeden szczegół, że Poznań był niezdobytą twierdzą, że endecja rządziła tam od lat. W maju 26 r. całe społeczeństwo przyjęło

174

Ostatni akt odbył się również dość spokojnie. Do ostatniej chwili pracował w redakcji „Robotnika” skazany poseł Dubois, robiąc przeglądy prasy, lub przyjmując w mieszkaniu w Alei Trzeciego Maja przyjaciół politycznych oraz kolegów dziennikarzy. Przygotowywał się spokojnie do celi więziennej. Spakował manatki, zebrał trochę książek, m.in. „Brunatną Księgę” oraz „Historię Rewolucji Rosyjskiej” Trockiego. Krótko skreślił przed kolegami swe zamiary. "Weźmie się do roboty drukarskiej w więzieniu

mokotowskim, uczyć się będzie języków, może będzie pisał wspomnienia o tym, o czym myśleć nie wolno.

Do ostatniej chwili pracował, zrobił ostatni przegląd prasy i pożegnał się z kolegami, by pojechać do Mokotowa. Wstąpił do sejmu, jako przedstawiciel młodzieży. Był młodzieżowcem do ostatniej chwili.

Wszedł do więzienia również drugi skazaniec poseł Mastek. W Centrolewic nie odgrywał większej roli.

Przypadkowo dostał się do sejmu na miejsce zmarłego posła Marka, ale już przed tym miał pewne zasługi.

Sam o tym opowiadał podczas procesu brzeskiego. Była to dziwna spowiedź działacza robotniczego, o tym jak mu się udało w r. 1923 rozbroić towarzyszy robotników, jak przy pomocy kiełbasy nabrał walczących i odebrał im broń. Rubasznie i pogodnie zachowywał się w sądzie. Z uśmiechem na twarzy przybył teraz do Warszawy. Nie zwierzał się ze swoich zamiarów, nie powiedział jak spędzi czas w więzieniu. Być może, po krótkim czasie skorzysta z urlopu zdrowotnego, jako chory na cukrzycę.

Do więzienia wchodzi b. poseł trzech sejmów Józef Putek. Ten zdolny mówca dobrowolnie ograniczył się do obrony gminy własnej i walkę z klerykalizmem przeistoczył w bój z proboszczem, a walkę z rządem w zatarg ze starostwem. Był ulubieńcem trzech sejmów. Ze sprawy swej gminy Choczni uczynił zagadnienie światowe. Walczył z księdzem proboszczem aż do ostatniej instancji, przesyłając skargę pisaną po łacinie

do Watykanu. Pamiętny był jego bój o dzwony kościelne. Szafował ustawami zgodnie ze starą tradycją austriacką, nie orientując się, że przyszły nowe inne czasy. Chłopi wszystkich obozów słuchali z uwagą posła Putka, bo mówił wesoło posiłkując się humorem chłopskim, a w potrzebie imponował i dobrą łaciną niczym ksiądz z ambony. Dumni byli chłopi z uczoności chłopskiego dziecka, a on uśmiechnięty spacerował po przemówieniu w kularach, rozmawiając serdecznie nawet z przeciwnikami politycznymi. Jeszcze urzędował jako sekretarz sejmu po wypadkach brzeskich, aż opuścił stolicę i osiadł w gminie. Poseł Adam Ciołkosz zjawił się dopiero w trzecim sejmie (1928-1930) zabierając pierwszy raz głos w sprawie resortu mi-

177

12

posługiwała się hasłami antysemitycznymi nie gorzej niż endecja. W akcji wyborczej bloku rządowego brał czynny udział „stary bohater”, b. redaktor endeckiej gazety „Dwa grosze”, Antoni Sadzewicz. Odbiwała się antysemityczna konkurencja in plus i b. redaktor endeckiego pisma twierdzi, że z walki tej wyszedł zwycięsko. Kto zaś czytał choć pobieżnie odezwy wyborcze obozu sanacyjnego, ulotki i pisma poznańskie oraz pomorskie, ten musi przyznać, że główny organizator bojkotu Żydów w r. 1912 ma stanowczo rację. Jeszcze kilka lat temu klub chadecji miał swą wagę, stanowił poważny czynnik polityczny w sejmie. W konwencie seniorów zasiadał jako jego przedstawiciel Chaciński, decydując nieraz o losach rządu. Poseł Gdyk rozstrzygał jako wicemarszałek sprawy wewnętrznego wyglądu gmachu sejmu, interesując się specjalnie stanem bufetu. W kolejce mówców zabierał głos poseł Bitner, sława adwokacka chadecji. Chadecja zasiadała w poszczególnych rządach. Miała ministrów i wiceministrów. Wołano ją na Zamek w chwilach ciężkich dla państwa. Dziś rozpięchła się cała gromada. Niektórzy zdradzali na chwilę, by znowu wrócić do chadecji (poseł Bryła), ale przeważna część opuściła stronnictwo. Na placu boju pozostał profesor Ponikowski b. premier.

Wybory samorządowe są uwerturą do przyszłych wyborów sejmowych. Termin tych ostatnich nie jest jeszcze dokładnie znany. Poprzedzi je jakaś konstytucja lub tajemnicze tezy konstytucyjne, których ogłoszenie zapowiada wicemarszałek sejmu Car. Dziś stwierdzić jedynie można, że dotychczasowe wybory samorządowe spotkały się z zadowoleniem endecji i sanacji, z jęklwym płaczem zdruzgotanej po drodze chadecji.

### **11 grudnia, 1933.**

#### *Po przegranej walce*

Od kilku dni opinia publiczna została zaalarmowana epilogiem procesu brzeskiego. Właściwie skończyło się już wszystko. Proces przeszedł przez wszystkie instancje. Nie wniesiono projektu ustawy amnestyjnej. Z chwilą zatwierdzenia wyroku przez Sąd Najwyższy wszystko odbywało się według ustalonej procedury. Nie było nakazu przyśpieszania sprawy. Był to już koniec obojętny dla tych, którzy wszczęli proces. Aż wreszcie prokurator wezwał skazanych do stawienia się w więzieniu.

176

mentaryzmu w Polsce, dowodzi, że dokonano w ciągu 15 lat przewrotu nielada. Portrety kilkunastu premierów wiszą w klubie sprawozdawców parlamentarnych. Połowa z nich przeszła do historii by więcej nie wrócić, odeszła w cień z duchami. Upłynęło lat 15, a zdaje się, że było to już o wiele, wiele dawniej. Pierwszy premier polski, Jędrzej Moraczewski, który stanął w pierwszym sejmie jako poseł, a znany był nawet po przewrocie majowym, znikł prawie z widowni życia politycznego i tylko dzięki współpracy posłanki-żony, Zofii Moraczewskiej, ratuje honor swojej organizacji ZZZ, walcząc rzekomo o resztki reform socjalnych.

Premier, który pierwszy stanął przed sejmem polskim, pianista i trybun, Ignacy Paderewski, znajduje się już dawno poza krajem, nie chcąc wrócić do Polski, chyba że wdzięczni rodacy zechcą go obdarzyć największą godnością w kraju. Odżegnywa się od wszelkiej polityki, broniąc jedynie traktatów międzynarodowych zawartych z Polską.

Premier Skulski — któż go pamięta? W okresie rozkwitu parlamentaryzmu wyskoczył nagle, jako mąż opatrnościowy, mogący zaważyć, to na rzecz prawicy, to na rzecz lewicy. Stworzył sztuczną partię — narodowe zjednoczenie ludowe, złożone z kilkudziesięciu posłów, a przy wyborach do drugiego sejmu przepadł z kretesem. Stronnictwo jego zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Dziś Skulski nie zajmuje się już polityką. Tytuł b. premiera utorował mu drogę do konkretniejszych zaszczytów. Pracuje w przemyśle, siedzi w Żyrardowie i w innych wielkich akcyjnych towarzystwach.

O premierze Ponikowskim pamiętać można tylko jedno, że u boku jego pracował świetny dziennikarz, dyrektor departamentu, Witold Giełżyński. W pewnej chwili Ponikowski musiał ustąpić, bc nie cieszył się zaufaniem Belwederu. Dziś b. prezes Rady Ministrów, b. rektor Politechniki Warszawskiej, jest skromnym posłem w stronnictwie Korfantego (chrześcijańska demokracja) i kto wie, czy wypłynie kiedyś na powierzchnię życia politycznego.

Trudno coś powiedzieć o dwudniowym „kefirowym” premierze Arturze Sliwińskim, mistrzu od kreślenia wizerunków wielkich mężów politycznych w historii. Upadł już w czasie dyskusji sejmowej nad swoją nominacją. A następny premier, prof. Nowak, przeprowadził wybory do sejmu i senatu, przeżył ciężkie chwile burd ulicznych przy wyborze Narutowicza i znikł, by nie wrócić do życia politycznego.

Dyktatorem był przez krótki czas Władysław Grabski, poseł Stronnictwa Narodowego. Ufundował walutę polską, w pierwszych chwilach jego triumfu bezsilny sejm dawał mu wszelkie

179

nisterstwa poczt i telegrafu. Przejęty tradycją austromarksizmu starał się jakoś pogłębić ideologię partyjną. Należał do tych, którzy szperali w bibliotece sejmowej i popierali przemówienia pliką dokumentów i kupa książek. Nie miał humoru Putka, ale miał poczucie dramatu, a raczej tragedii procesu brzeskiego. Toteż powiedział w sądzie: „teraz sądzą nas za to, żeśmy usiłovali obalić rząd gwałtem, a być może z czasem sądzić nas będą za to, żeśmy tego nie czynili”.

Posłem wszystkich sejmów był Norbert Barlicki. Ciężkim krokiem stapał w kuluarach, spoglądając przymkniętymi oczyma na ludzi. Głos jego dudniał donośnie na sali. Należał do ludzi twardych w stronnictwie. Zarzucano mu niesłusznie lenistwo. Zniechęcenie i apatię przypisywano mu częściowo jako nieróbstwo. W pierwszym sejmie był delegatem na konferencję pokojową w Rydze. Pracował wspólnie z ekspertem Feliksem Perlem. Przemawiał stale w dzień 1-go Maja na placach i zebraniach publicznych. Po wyjściu z więzienia zamilkł, nie zabrał głosu w sejmie. Tylko w kuluarach sejmowych i w bufecie można było słyszeć jego rozważania, które dowodziły, iż dokonał wielkiej rewizji, że przewartościował wiele wartości, zastanawiając się nad słabością ruchu demokratycznego.

Spokojnie, bez żadnej akcji zewnętrznej rozegrał się epilog. Posłowie brzescy poszli cicho do więzienia. Reszta tuła się na emigracji lub usuwa się w cień. Walka z lewicą zostaje przeto czasowo zawieszona. Na placu boju pozostali słabsi, więcej salonowi jej przywódcy, wygłaszający z przyzwyczajenia mowy z trybuny parlamentarnej.

27 listopada, 1933.

*Polskie na Moskwie gody*

W ciągu jednego dnia skończył się żywot sejmu. Nazajutrz zapomniano o nim, odszedł na dni 30, mimo piętnastolecia niepodległości polskiej. Nie będzie umyślnego posiedzenia sejmu dla podkreślenia uroczystego momentu. Nie będzie również przewidywanej amnestii. Prócz odznaczeń, orderów i rewii na Polu Mokotowskim, prócz uroczystych artykułów, nie zapowiadają się żadne akty.

Sam przegląd wypadków od powstania rządu Moraczewskie-go, od powołania sejmu ustawodawczego, wszechwładztwa parlamentu aż poprzez przewrót majowy do zupełnego upadku parla-

178

spraw zagranicznych Beck składa szereg oświadczeń pełnych sympatii dla sąsiada wschodniego. Wreszcie marszałek Piłsudski przyjmuje na audyencji posła Antonowa Owsiejenko. Miłość wybuchła płomieniem z przybyciem Karola Radka do Warszawy. Jada lotnicy tam i z powrotem. Broni z mównicy polityki polskiej wobec Sowietów pułkownik Miedziński, bronii praw Polski do Pomorza „Bolszewik”. Przygotowuje się ekipa pisarzy i dziennikarzy sanacyjnych na wycieczkę do Sowietów. Na dworcu moskiewskim rozlega się hymn polski. Pije zdrowie wojska i lotnictwa polskiego dowódca sowiecki, asystuje mu komunista polski Julian Unszlicht. Pije zdrowie Osowiachimu i sowieckiej floty powietrznej pułkownik Rayski i rozlegają się na przemian to hymn polski, to hymn sowiecki, Międzynarodówka. Przez komnaty krem-łowskie spacerują oprowadzani wojskowi polscy. Dawni wrogowie *ogłądają* się z szacunkiem i prawią sobie nawzajem dusery, a w przerwach na bankietach gra orkiestra polki i mazurki. Idą „polskie na Moskwie gody” w szesnastolecie rewolucji październikowej, powstania Republiki Rad, i w piętnastolecie niepodległości Polski.

14 listopada, 1933.

**181**

pełnomocnictwa, aż w ostatnich dniach swoich rządów błagał najmniejsze kluby o poparcie. 8-go maja 1926 r. (tuż przed przewrotem) wynurzył się znowu na powierzchnię, upoważniony przez prezydenta Wojciechowskiego do utworzenia rządu, ale wobec stanowczego oświadczenia marszałka Piłsudskiego zrzekł się tej misji. Odtąd ucichł, stanął jedynie na czele komitetu pożyczki narodowej już po przewrocie majowym.

Czy wróci kiedyś wszechmocny niegdyś premier, generał Władysław Sikorski, dobrowolny emigrant, współpracownik „Kuriera Warszawskiego”, polityk na ustroniu, związany niegdyś z Witosem, który również teraz poszedł na tułaczkę.

A później idą portrety premierów reżymu pomajowego. Spogląda prezes Rady Ministrów Kazimierz Bartel, który usunął się zupełnie od polityki i „przysięga Bogu”, że nigdy nie wróci na żadne stanowisko

polityczne.

I gdyby ktoś zechciał odtworzyć nazwiska ministrów rządu przedmąjowego, byłby w wielkim kłopotcie. Są to przeważnie puste dźwięki bez treści, ludzie nieznanymi — tylko w okresie rządów premiera Skrzyńskiego powoływano na stanowiska ministrów wybitniejszych działaczy ze Stanisławem Grabskim na czele.

Różnie bywało przed przewrotem majowym. Centrolew, centropraw, Korfanty wicepremier, Daszyński wicepremier, Thu-gutt minister spraw wewnętrznych, Thugutt wicepremier, ale polityka zagraniczna rządu w ciągu 14 lat nie ulegała prawie zmianom. Zawsze trwał romans z Francją, bez przerwy utrzymano dystans wobec wschodniego sąsiada. Zdawało się w pewnej chwili, że gdy do rządu dojdą endecy, sytuacja zmieni się radykalnie w stosunku do Związku Radzieckiego. Ale ministrem spraw zagranicznych zostaje poseł endecki Marian Seyda i... protestuje przeciwko przemianowaniu nazwy RSFSR na ZSRR (Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika Rad — na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich).

14 lat trwała ustalona polityka wobec Związku Radzieckiego i dopiero teraz pod wpływem ostatnich wypadków w Niemczech nastąpił zwrot, który pozornie przekreśla politykę 14 lat. Kilka lat trwały przed tym rokowania o podpisanie paktu o nieagresji, a dziś pakt ten w zestawieniu z dalszym etapem stosunków pol-sko-sowieckich wydaje się mało znaczącym aktem. Poprzednio przy każdym expose minister Zaleski zapewniał, że lada chwila pakt zostanie podpisany, ale istnieje poważna trudność stworzenia arbitrażu na wypadek powstania zagadnień spornych. W tym oświadczeniu wyczuwało się chłód angielski.

Nie minął jeszcze rok od stanowczego zwrotu w dziedzinie polityki zagranicznej. Po podpisaniu paktu o nieagresji minister

180

# r

\0 UJ

*Rok pozornej stabilizacji*

Rząd odpoczywa. Niektórzy ministrowie wyjechali na urlop świąteczny. W Warszawie na miejscu pozostał minister spraw zagranicznych Beck, który wkrótce ma wystąpić w Genewie w nowej roli, jako przewodniczący Rady Ligi. Rząd opracował i wnosi do sejmu projekty ustaw o walce z nierządem, o leczeniu chorób wenerycznych. Sejm odpoczywać będzie do 11 stycznia. Na pozór wszystko odbywa się w nastroju różowym i z lekką wesołym. Zdaje się nawet, że fala trosk ominęła Polskę. Tam upadają gabinety, gdzie indziej odbywają się wybory. W Polsce spokój. Za kilka miesięcy odbędą się wybory samorządowe w Warszawie, Łodzi, nastąpi swoiste rozdzielenie miast na okręgi i po wykonywaniu odpowiedniej geografii wyborczej, odtrąbione zostanie nowe zwycięstwo obozu rządowego.

Wszystko dzieje się utartym trybem, monotennie, przy czym rok bieżący staje się podobny do roku ubiegłego. Ten sam sposób zwołania sesji budżetowej, to samo odroczenie sesji na dni 30, bliźniaczo podobne przemówienia na komisji budżetowej, powtarzanie kursu na plenum, ostatnie gadanie w senacie, uchwalenie budżetu, wreszcie przekreślenie tego budżetu przez rzeczywistość — wszystko jak co roku. Wytworzyła się jakaś monotonia życia państwowego i publicznego. Przedstawiciele obozu rządzącego chwalą tę jednostajność, widząc w niej dowód stabilizacji życia publicznego w Polsce. Szary obywatel według tej opinii został odcepiony od polityki i będzie się zajmował troskami dnia codziennego.

185

Kościuchnowką, święciła triumfy w listopadzie, w czasie raptownego zwrotu na Zachód. Z posagiem paktu o nieagresji z Sowiecami zwrócono się w stronę Niemiec, również z pokojowymi propozycjami, chcąc wygrać atut uzyskany na Wschodzie. Gra trwa jeszcze... ale stwierdzić można, że w drugiej połowie r.ub. nastąpiło mocne ożywienie w dziedzinie polityki zagranicznej w Polsce.

Na pierwszy rzut oka był to więc rok spokojny. Społeczeństwo obarczone troską dnia poprzedniego, podczas wyborów do gmin czyniło wrażenie niedźwiedzia odpoczywającego w leży zimowej w barłogu. Słyszało jedynie fanfary radosne obozu rządzącego na temat życia gospodarczego; interesowało się słabo polityką zagraniczną, a tym mniej zmianami w rządzie, posunięciami wewnętrznymi, projektami konstytucyjnymi, gdzie jest mowa o rządzie, sejmie, senacie, prezydencie, sądzie, a gdzie został



zapomniany i zgubiony zwykły obywatel. — Był to rok, gdzie rząd mógł się pochwalić przed społeczeństwem aktywnością, traktując milczenie opinii publicznej jako wyraz zgody i potakiwania.

2 stycznia, 1934.

### *Nagle i niespodziewane uchwalenie nowej konstytucji*

Większość sejmowa uchwaliła wczoraj na posiedzeniu sejmu tezy konstytucyjne, jako projekt konstytucji. Projekt przyjęto we wszystkich trzech czytaniach. Tego finału nie spodziewał się nikt wczoraj rano, gdy przystąpiono do rozprawy nad sprawozdaniem komisji konstytucyjnej z toku prac nad wnioskiem klubu parlamentarnego Bloku Współpracy z Rządem w sprawie zmiany konstytucji. Do sprawozdania załączone zostały trzy druki: jeden stary, zawierający projekt konstytucji BB, wniesiony 6-go lutego 1931 r.; drugi druk, ustalający wykaz zagadnień konstytucyjnych z 17 marca 1931 r.; oraz sprawozdanie komisji konstytucyjnej z toku prac nad wnioskiem klubu parlamentarnego w sprawie zmiany konstytucji. Sprawozdanie to nie zawierało żadnych wniosków do sejmu, nie było uświęcone tradycyjną parlamentarną formułą: komisja uchwaliła przedłożyć sejmowi przyjęcie następującego wniosku: „Sejm uchwała itd.". Każdy z posłów opozycji przypuszczał, że będzie to teoretyczna rozprawa, że rozmowy potrwają jeszcze dość długo, że tezy

187

Zresztą, monotonię r.ub. ożywiono zjazdami gospodarczymi, propagandą optymizmu gospodarczego, która zakończyła się hymnem pożyczki narodowej i przewyżką sum subskrybowanych w stosunku do rozpisanej pożyczki.

Czy można przeto twierdzić, że jest źle, skoro można się wykazać takimi zewnętrznymi dowodami i powiedzieć światu, że, wobec załatwienia prawie wszystkich palących zagadnień, na porządku dziennym znajduje się tylko sprawa konstytucji.

Można przeto powiedzieć, że wszystko odbyło się w najlepszym porządku, że w roku przyszłym będzie jeszcze lepiej, bo rząd zorganizował fundusz pracy, fundusz inwestycyjny, na wiosnę rozpoczną się wielkie roboty, bezrobotni znajdą zatrudnienie. Słowem raj na ziemi. Wprawdzie powstaje pytanie, co robić będą bezrobotni przez zimę, bo wszystkie plany obmyślane są akurat na wiosnę.

Przyszedł nowy premier, który odsunął od siebie precz kłopoty gospodarcze, powierzając całkowicie troskę o politykę ekonomiczną wiceministrowi Lechnickiemu.

Odtąd rząd wylatuje nad poziomy, zakłada Akademię, powstaje pismo literackie zbliżone do kierunku rządowego („Pion”), które zamiast autonomii daje Ukraińcom na pożarcie Jareme Wiśniowieckiego. Sfery oficjalne krzątają się koło teatrów, biorąc pod kuratelę Teatry Polski i Mały.

Z otwarciem Akademii wypadło jakoś gorzej. Nie było depeszy powitalnej Józefa Piłsudskiego. Sekretarka p. ministra spraw wojskowych, Hłakowiczówna, znalazła również jakiś sposób, by nie przyjąć godności akademickiej. Wszystkie te drobne niedociągnięcia łączono w jedno. Złośliwi twierdzili nawet, że honorowy członek tej Akademii trochę pokpiwa w przystępie dobrego humoru z tej instytucji, i że nie jest wcale zachwycony osobą autora Generała Barcza (Kaden Bandrowski). Tak czy owak kilka pism humorystycznych i szopki polityczne ubiły trochę grosza.

Rok ubiegły był tak bliźniaczo podobny do poprzedniego, że prócz zmiany premiera nie nastąpiła nawet zmiana ministrów w rządzie. Te same podatki i te same zapowiedzi, iż reforma podatkowa nastąpi później. Tylko w jednej dziedzinie nastąpiły poważne zmiany w ciągu roku. Od przewrotu hitlerowskiego nastąpiło przełamanie lodów w stosunkach polsko-sowieckich. Flirt prowadzony był tak, iż mógł się nawet wydawać niektórym gorącą miłością. Podpisywano pakt, umowy, jeżdżono tam i z powrotem, by ochłonić na początku zimy, w środku listopada.

Kunsztowna gra szachowa w dziedzinie polityki zagranicznej, przypominająca nieco partyzantkę, wyczyny pod Łowczówkiem,

186

„Teraz albo nigdy”, „kuj żelazo póki gorące”. Nigdy na sali nie będzie można zdobyć takiej większości. Wobec braku przeciwników i wobec obecności połowy ustawowej liczby posłów, można przeprowadzić głosowanie w drugim i trzecim czytaniu nad projektem konstytucji. Mistrz interpretacji wynalazł w artykule 18 dwa punkty: „sejm może uchwalić następujące skrócenie postępowania formalnego: a) uwolnienie wniosków lub sprawozdań od drukowania, b) dopuszczenie natychmiastowej rozprawy bez odesłania do komisji”. Marszałek Car składa wniosek o głosowanie nad całym projektem w drugim i trzecim czytaniu. Większość sejmowa oczywiście głosuje. W ten sposób tezy konstytucyjne zgłoszone o godz. 10 rano przeistoczyły się w projekt ustawy konstytucyjnej, przyjętej w trzech czytaniach o godz. 8 z minutami wieczorem.

Twarze posłów z klubu BB rozpromienione. Wszystkich ogarnia radość. Wicemarszałek Car ociera chustką

pot z twarzy. Ciężka była robota.

Jak na komendę rozlega się hymn Pierwszej Brygady. Panuje radość z powodu tak niespodziewanego szczęścia. W pierwszej chwili marszałek sejmu z lekka dzwoni, śpiew urywa się, ale oto prezes klubu Sławek dał znak marszałkowi sejmu. Marszałek odstawia dzwonek. Pieśń rozlega się w dalszym ciągu. Ministrowie siedzący wstają, radość nieopisana.

Sekretarz odczytuje jakieś dalsze wnioski. Nikt tego nie słucha. Prezes Sławek całuje się z wicemarszałkiem Carem. Wicemarszałek Makowski obejmuje i całuje Cara, odbywa się scena wzajemnego całowania się. Najwięcej jest obcałowywany mistrz od interpretacji, solenizant nowej konstytucji, wicemarszałek Car. Oto idzie w stronę pokoju dla rządu. Po drodze chwyta go poseł — sekretarz prezydium sejmu i całuje.

Posiedzenie zostało zamknięte. Opozycja zlatuje się do kularów. Nikt nie wie o co chodzi, co się stało. Czy uchwalono tak uroczyście tezy? Ale oto dowiadują się, że uchwalono konstytucję. Panuje konsternacja. W zamieszaniu dochodzi do publicznej kłótni między posłami opozycji. Gani się taktykę nieobecności na sali w czasie rozprawy nad konstytucją. Kluby opozycyjne pośpiesznie zwołują posiedzenia. Toczy się spór w kularach, czy tak uchwalona konstytucja jest zgodna z postanowieniami regulaminu i konstytucji marcowej.

Dziennikarze zagraniczni zwracają się do marszałka sejmu Switalskiego z prośbą o wyjaśnienia. Rozpromieniony marszałek komunikuje że konstytucja została uchwalona w trzech czytaniach i odesłana do senatu. Dziennikarze pytają się, co będzie, gdy

# W

189

!

powędrują do komisji konstytucyjnej senatu, a tymczasem nic jeszcze z tego nie wyniknie.

Klub BB jednak potraktował sprawozdanie o wiele poważniej. Na wczorajsze posiedzenie sejmu przybyli wszyscy ministrowie z premierem na czele, oprócz min. spraw wojskowych. Wicemarszałek Car odczytał swój referat, a później przedstawiciele poszczególnych klubów sformułowali swój stosunek do projektu. Były to na ogół krótkie deklaracje. Każdy klub po odczytaniu swojej deklaracji opuszczał salę posiedzeń. Pierwsi opuścili salę posłowie Klubu Narodowego.

Nikt nie wiedział w dalszym ciągu co się właściwie stanie z tezami, jak wybrnie większość sejmowa z sytuacji. Jeszcze w godzinach rannych wiadomo było, że z ramienia BB przemawiać będzie kilkunastu mówców. Zarządzono przerwę obiadową, i oto podczas przerwy odbyła się narada prezydium klubu BB z udziałem marszałka sejmu. Na posiedzeniu tym uchwalono, że przemawiać będzie tylko prezes klubu BB, płk. Sławek. Nie powzięto jednak ostatecznej decyzji w sprawie losu tez.

Dopiero po wyczerpaniu listy mówców opozycyjnych marszałek sejmu zarządził przerwę. Było to mniej więcej o godz. 7 wieczór. Spostrzeżono, że można skorzystać z nieobecności posłów opozycyjnych na sali i posiadać w tej chwili kwalifikowaną i przepisana przez konstytucję większość.

Teraz albo nigdy. Wytworzyła się wymarzona sytuacja. Nie trzeba będzie wyłuskiwać posłów, używać specjalnych kruczków. Brakowało tylko jednej *rzeczy*: zgody czynnika decydującego na sam projekt konstytucji. Resztę w razie pozytywnego stanowiska Belwederu postanowił wziąć na siebie wicemarszałek Car. W ciągu 15 minut trzeba było wszystko zdecydować. Przemianowanie tez na projekt konstytucyjny i przeprowadzenie głosowania powierzono wicemarszałkowi Carowi. Skomunikowanie się z Belwederem polecono staremu towarzyszowi i przyjacielowi Piłsudskiego — b. premierowi Aleksandrowi Prystorowi. Godzina trzy na ósmą. Marszałek sejmu otwiera posiedzenie. Na sali nie ma posłów z opozycji, siedzą wyłącznie posłowie BB. Wicemarszałek Car prosi o głos i wnosi, aby tezy konstytucyjne nazwać ustawą konstytucyjną. Całą opozycję reprezentuje jedynie poseł Stroński, który sprzeciwia się i powołuje się na regulamin sejmowy i na konstytucję. Ale poseł Stroński jest samotny, ma do dyspozycji tylko regulamin i konstytucję, lecz nie ma do dyspozycji opozycji. Marszałek Świtalski nie bierze pod uwagę oświadczenia Strońskiego. Tezy konstytucyjne dzięki inter-pretatorskim zdolnościom pana Cara, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przeistoczyły się w projekt konstytucji.

188

Becka do Moskwy i zapowiedzi wizyty do Berlina toczyły się obrady budżetowe. Posłowie poszczególnych klubów wchodili na wpół senni na mównicę, wygłaszali z obowiązku beznadziejne mowy do poszczególnych budżetów. Sala posiedzeń stopniowo opróżniała się.

W kularach sejmowych urzędniczki sanacyjne polowały na posłów z BB. Wyszukiwano ludzi, którzy by weszli na mównicę i prowadzili dyskusje na różne tematy. Dopiero przed uchwaleniem budżetu w drugim czytaniu nastąpiło ożywienie. Na trybunę wszedł generalny referent budżetu płk. Miedziński, by rozprawić

się z posłem Żuławskim. Trzeba bowiem przyznać, że żadna mowa w ciągu dyskusji budżetowej nie dała się tak we znaki sanacji jak przemówienie posła z PPS, który rozstawił rodzinę po kątach i przeistoczył się w nieurzędowego prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Poseł Miedziński był zły, gdy atakował, mówił nerwowo, gdy odpowiadał Żuławskiemu. Dopiero wracając do rozprawy z klubem narodowym, gdy przyjął dyskusję na temat kwestii żydowskiej przemawiał znowu spokojnie, jak gdyby ważył każde słowo. Oświadczenie jego na ten temat brzmiało niemniej intymnie, niż szczere wyznanie w sprawie swojej kariery, skazanie go przez Piłsudskiego na odbywanie kary w ciągu pięciu lat w charakterze naczelnego redaktora „Gazety Polskiej”. Miało się wrażenie, że odbywa się domowa rozmowa między klubem BB a klubem narodowym, że zwycięski klub rządowy, który czuje się mocno w każdej innej dziedzinie tłumaczy się, wyjaśniając, że tolerancja wobec Żydów płynie nie tyle z dobrotliwego serca, ile z nieszczęsnego musu. Treść oświadczeń Rybarskiego, Bieleckiego i innych endeków w sprawie żydowskiej ma zostać opracowana w „europejską, humanitarną okładkę klubu BB”.

W ciągu ostatnich jednak dni kuluary sejmowe oderwały się od ceremonialnej nudy dyskusji budżetowej. Szeptem, lub głośno toczą się rozmowy jedynie na temat zbrojnego powstania robotników wiedeńskich przeciwko rządowi Dolfussa. Tu nie ma urzędowych oświadczeń, tu nie trzeba się zasłaniać jak generalny referent Miedziński, że rząd nie wtrąca się do spraw wewnętrznych czyjegoś państwa. Tu co chwilę nagabują dziennikarzy o wieści z placu boju i, dziwna rzecz, nawet wrogowie ruchu robotniczego przeistaczają się we współczujących. W kuluarach sejmowych kręci się dużo posłów związanych niegdyś z Wiedniem. Dyskutują głośno na temat każdej dzielnicy, obłożonej przez wojska Dolfussa, wyrażając cześć osamotnionym bohaterom, którzy rozpaczliwie, lecz odważnie walczą o honor robotnika austriackiego.

191

senat wniesie jakieś poprawki. Czy trzeba będzie w sejmie tylko 11/20 głosów dla przyjęcia tych poprawek.

Marszałek sejmu nie chce odpowiadać na te pytania. Resztę załatwi senat w szybkim tempie. Zresztą marszałek nie ma już czasu. Wyjeżdża wraz z prezesem Sławkiem i b. premierem Pry-storem do prezydenta Rzeczypospolitej.

Jeszcze kilka minut wcześniej przyjął marszałek sejmu min. spraw zagranicznych Becka, który mu przyniósł drugą radosną wieść o podpisaniu paktu o nieagresji między Polską a Niemcami na przeciąg lat 10. Posłowie z BB udają się do swoich lokali klubowych na mieście. W niektórych instytucjach zbliżonych do obozu  *rządzącego* wywieszono już sztandary.

W klubach opozycyjnych toczą się obrady do późnej nocy. Uchwały wiadome, można je było przewidzieć z góry. Projekt konstytucji został uchwalony niezgodnie z regulaminem i konstytucja. Jest bezprawny itp. Jeszcze dziś odbędą się dalsze narady klubów i powzięte zostaną ostrzejsze uchwały.

27 stycznia, 1934

*Sejm w odblasku pożogi wiedeńskiej*

*„Paryż robotniczy Wraz ze sWą komuną będzie Wiecznie czczony, ja! o sławą obryty zwiastun nowego społeczeństwa. Jego męczennicy zapisali się w wielkim sercu l-lasy robotniczej. Jego poskromiciele już dziś historia przygwoździła do pręgierza, od którego nie oderwą ich żadne modlitwy ich Jflechtów”.* (Karol Marks: *Wojna domowa we Francji*)

Nigdy może ceremoniał uchwalenia preliminarza budżetowego nie był tak ponury, jak w rb. i nie odprawiany był w nastroju tak leniwej ospałości.

Zdawało się nawet, że dokoła tej dyskusji dzieją się rzeczy ważne. Dwa kluby złożyły hołd rządowi. Znajdujący się w stałej opozycji klub ukraiński zgłosił ofertę, uznając siłę i zwycięską wolę reżymu pomajowego. Klub niemiecki oświadczył, że chciałby być filarem tego rządu. Gdy wszystkie kluby opozycyjne, a nawet „propozycyjne” zastrzegły się wyraźnie co do nowo uchwalonej konstytucji, klub niemiecki przyjął nowy tekst do wiadomości, niczym sanacyjny poseł Minberg i kombatanaci żydowscy. W atmosferze zwycięstw na froncie wewnętrznym jak i w polityce zagranicznej, pod akompaniament podróży ministra

190

Gmach ten, znajdujący się w najbogatszej dzielnicy Warszawy, gdzie latem i jesienią skupia się na spacerach całe eleganckie towarzystwo, odcięty jest od zgiełku Alej Ujazdowskich. Tu przed bramą jest cisza. Wartownik pilnuje wejścia, agenci policji ze wszystkich stron otaczają pałac, warta, znajdująca się po drugiej stronie ulicy, trzyma również straż.

Tylko raz ludność cywilna miała okazję zajrzeć do wnętrza tego gmachu. Było to nazajutrz po przewrocie w t. 1926, gdy wojska rządowe wraz z prezydentem Wojciechowskim cofały się w stronę Wilanowa, a wojska marszałka Piłsudskiego zajęły pałac. Publiczność, zwiedzająca wówczas Belweder, była zdziwiona skromnymi rozmiarami sal i pokoi, panującym tam mrokiem. Nieliczni mieszkańcy gmachu nie raz skarżą się na wilgoć, twierdząc, że Belweder został zbudowany jakby wśród moczarów i błot.

Prezydent Rzeczypospolitej przekazał Belweder do dyspozycji marszałka Piłsudskiego. Można byłoby

znaleźć pałac okazalszy, ładniejszy, mniej wilgotny. Minister spraw wojskowych wybrał sobie gmach, gdzie cierpiał wiele jako naczelnik państwa. Nad gmachem tym unosi się legenda i czai się tajemnica. Są bowiem na świecie różnego rodzaju wodzowie. Są działacze, którzy pokazują się narodowi jawnie i publicznie i w tym stałym kontakcie, ciągłym przemawianiu i pokazywaniu się wykuwają swoją wielkość. Są działacze, którzy prowadzą całą akcję w ukryciu, tajemniczo, rzadko ukazują się przed ludem, pozwalając jedynie swoim wielbicielom snuć legendę o sobie. Im mniej przemawiają publicznie tym mistyczniej brzmi legenda o nich, tym więcej kursuje plotek i baśni i wszystko razem składa się na ich wielkość. Tak wykuwa się w Związku Radzieckim legenda o Stalinie, mieszkającym w zamkniętym dla obcych Kremlu, opuszczającym rzadko ten gmach, wyjeżdżającym tajemniczo, albo do podmiejskich Gorków, albo w podróż po nowo zbudowanym kanale.

Łatwiej jest jeszcze wykuć sobie w ten sposób legendę wojskowym, panom życia i śmierci swoich podwładnych, wychowanym w atmosferze tajemnicy i karności. W ten sposób żył i rządził Napoleon Bonaparte często gburowaty dla swoich generałów, ciągle serdeczny i uprzejmy dla swoich sierżantów. W pseudo-bibliograficznym zbiorze, wydanym kilka lat temu w Krakowie, ukazał się zmyślony tytuł rzekomego dzieła Józefa Piłsudskiego: „Jak umknąłem błędów Napoleona”. Piłsudski życie całe poświęcił studiowaniu żywota cesarza Francuzów i nieraz w przemówieniach swoich cytuje jego oświadczenia. Legendarną tajemniczość przejął od swego mistrza. Legendą otoczył również gmach, w którym mieszka.

**193**

13

Gdy na mównicy ukazał się prezes frakcji socjalistycznej, poseł Niedziałkowski, gdy po zdaniach poświęconych dyskusji budżetowej, poruszył sprawę walk proletariatu austriackiego, na sali zapanowała cisza. Nie był to hołd złożony kunsztowi orator-skiemu posła Niedziałkowskiego. Być może zbyt spokojnie i cichym głosem przesyłał pozdrowienia swoim towarzyszom. Zresztą, nie mógł inaczej. Stronictwo jego zmęczone walką lat ostatnich odpoczywa ledwie sapiąc. Lecz nie słowa, a samo wspomnienie Wiednia poruszyło salę. Żołnierze, siedzący w szeregach klubu BB, byli radykałowie, niepodległościowcy, siedzieli ze spuszczoneymi głowami, bo znaleźli się ludzie, którzy przełożyli śmierć nad życie pod butem „Hitleramuchy”, małego Dolfussa, ubierającego się w togę wielkiego dyktatora.

Jeszcze godzinę czasu trwała dyskusja. Głosowano i uchwalono coś na plenum sejm, ale uwaga wszystkich przenosiła się coraz bardziej do Wiednia. Przez kuluary sejmowe kroczy ciężko poseł Czapiński, pyta o ostatnie wieści. Poseł Szczerkowski z PPS wyszukuje dziennikarza by wyciągnąć wiadomości o losach proletariatu austriackiego. Mówią szeptem, jakby nad grobem. Mówią szeptem jednak i dlatego, bo pali wstyd, że trudno przyznać się do pokrewieństwa z proletariatem, który w poczuciu nawet przegranej rzucił się do walki i wyrzekł się w bojach o honor robotniczy ufundowanych w ciągu wielu lat zdobyczy, gmachów i domów, instytucji i lokali — tego całego blichtru, który dawał socjaldemokracji austriackiej pozory ugruntowania socjalizmu w Wiedniu.

Uczucia sympatii towarzyszyły tym ludziom na wspomnienie, że kiedyś w równie beznadziejnej walce, okrytej chwałą, brali udział dwaj Polacy, których imię przeszło do historii, dwaj bohaterzy, Dąbrowski i Wróblewski.

19 lutego, 1934

### *Tajemnica Belwederu*

Na krańcu południowej dzielnicy Warszawy, odcięty od sąsiednich gmachów, mieści się pałac, gdzie zamieszkuje od daty przewrotu majowego marszałek Piłsudski. Jeszcze przed tym mieszkał tam jako naczelnik państwa. W owych czasach mówiono, że istnieje podziemne przejście między Belwederem a sejmem, że tamtędy chodzą posłowie lewicowi, by komunikować się ze swoim wodzem.

192

Rzadko bywa, by adiutantura Belwederu wydała komunikaty o wizytach u marszałka Piłsudskiego. Nigdy nikt po opuszczeniu Belwederu nie puszcza pary z ust.

Każda wizyta obcego dyplomaty w Belwederze jest zapowiedzią jakiegoś zwrotu. Tym zwrotem było przyjęcie Antonowa Owsiejenki, z którym Piłsudski prowadził w ciągu godziny rozmowę w języku francuskim. Przełomową była wizyta posła niemieckiego von Moltkego.

Tak tajemniczo również wyglądają wyjazdy Piłsudskiego do swego miasta ulubionego i tylko czasem odsłania się istotny cel wizyty. Po dłuższej wizycie Piłsudskiego w Wilnie i konferencji z szefami wydziału bezpieczeństwa nastąpiła szybko likwidacja skrajnie lewicowej Hromady Białoruskiej.

Ale od tego okresu upłynęło dużo czasu. Marszałek Piłsudski po powrocie z zagranicy w r. 1931 poświęcił się wyłącznie sprawom polityki zagranicznej. Cykl wywiadów w sprawie konstytucji został urwany. W małej broszurce pt. „Poprawki Historyczne” nastąpiło jedynie bezwzględne pożegnanie z wodzami obozu lewicowego.

Odtąd opowiadano sobie, że czynnik decydujący rzucił na pełne wody swoich wychowanków, chcąc się

przyjrzeć jak płyną bez jego wskazań. Utworzono jednak namiastkę liny ratowniczej, radę przyboczną, która miałyby dopomóc kierownikom życia politycznego w chwilach ważnych i decydujących dla państwa. Powstało ciało tajemnicze, stanowiące elitę elity, bo składające się z byłych premierów, powołanych za zgodą marszałka Piłsudskiego. Zbierali się kilka razy na Zamku, zjawiał się również i premier wiosny współzycia z parlamentem, profesor Kazimierz Bartel. Opowiadano sobie, że pewnie wyskoczy na premiera, że jest mowa o zgodzie i współpracy.

Gdy jednak profesor Bartel zjawiał się ostatnio we wtorek, nikt nie prorokował mu premierostwa. Każdy wiedział, że ten oddalony od życia politycznego profesor, który się nadawał do okresu półparlamentarnego, jest obecnie tylko reprezentantem „dołów kawiarnianych”, niezadowolonego, przeciętnego człowieka, że stanowi odzwierciedlenie opozycji społecznej, obok zadowolonych z biegu rzeczy byłych premierów, którzy zajmują w danej chwili jeszcze poważne stanowiska.

Chętny do rozmów, lubujący się w wymyślnych dialogach, opowiadający między wierszami istotę rzeczy, profesor Bartel tym razem nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Kto mówił, co mówił, do jakich wniosków doszli wszyscy — nikt o tym w tej chwili nie wie, bo konferencja odbyła się w Belwederze.

194

Zaczyna się seria domysłów. Stroskany kryzysem gospodarczym obywatel chce, by na konferencji tej mówiono o sprawach ekonomicznych. Dotknięty przez zaszeregowanie urzędnik, myślący sanacyjnie, pociesza się, że tam pewnie zmyto głowę autorom rozporządzenia o urzędnikach. Wiernie oddani czynnikowi decydującemu sierżanci i podoficerowie wierzą, że powiedziano komuś do słuchu w ich obronie.

Politycy parlamentarni ułożyli sobie, że tematem tych rozmów był nowo uchwalony projekt konstytucji z 26 stycznia br. Nawet opozycja uczyniła z czynnika decydującego „czynnik nadrzędny”, skoro uwierzyła i rozpowszechnia plotki, że nawet on uznał obecny projekt konstytucji za chybiony i kazał zawiesić go na kołku, opracowując własny.

Opowiadano sobie dalej, że czynnik decydujący po załatwieniu szeregu doniosłych spraw polityki zagranicznej znowu rzucił okiem na sprawy wewnętrzne, bo nabrało się materiału wiele i przybyły krzywdy nielada, które rzekomo mają boleć i pana Belwederu.

Każda taka pogłoska, każda plotka, puszczona w ruch, jest wawrzynem w legendzie Belwederu. Co się jednak stało na tej konferencji, nikt nie wie, tak jak nikt nie powie nic, co się dzieje podczas gry wojennej z udziałem Piłsudskiego.

Być może, że były to gry cywilne czynnika decydującego ze swoimi premierami. Każdy z nich ma rangę wojskową. Być może były to raporty próbne premierów o sytuacji na różnych odcinkach, akademickie rozmowy o sztuce rządzenia państwem, wskazania na przyszłość.

Strategia i taktyka odgrywają w naszej polityce wewnętrznej dużą rolę. Czynnik decydujący nieraz w celach taktycznych zasłania tajemnicą rzeczy drobne, odsłaniając nagle przed obywatelem rzeczy ważne. Konferencja odbyła się w gmachu tajemniczego Belwederu. Trzeba będzie dłużej czekać by dowiedzieć się, który z problemów bolących istotnie społeczeństwo, był przedmiotem rozważań i rozstrzygnięć 7 marca br.

12 marca, 1934.

*„Droga” Adama Skwarczyńskiego*

Pogrzeb Adama Skwarczyńskiego nie różnił się na pozór od pogrzebów wybitnych dygnitarzy obozu rządzącego. Kilka oddziałów Legionu Młodych, grupki młodzieży wiejskiej ze sztandarami,

195

Stała się rzecz paradoksalna. Udało się grupie rządzącej zdobyć szkołę, stworzone zostały odpowiednie organizacje, wprowadzono należyte nauki dla zyskania serc młodzieży, a jednak młodzież, opuszczając średni zakład naukowy, dostając się do bram uniwersytetu ulega natychmiast przeobrażeniu, przechodząc szybko do obozu narodowej demokracji.

Z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę Adam Skwarczyński. Za dawnych czasów, jeszcze przed zdobyciem władzy, snuł myśl o nadaniu teoretycznych podstaw tęsknotom i walkom. Teoretyzował w „Rządzie i Wojsku”, poszukiwał dróg w „Nowej Gazecie” pod redakcją Stanisława Kempnera.

Chciał stworzyć myśl syntetyczną 1-ej brygady i przekazać ją następnym pokoleniom. Nie myślał o żadnym osobistym udziale we władzy, stale teoretyzował, zbierał najbliższych przyjaciół, by wieczorami snuć myśli o idei przewodniej i szukać światopoglądu swoiście polskiego.

W czasie tych dyskusji poruszano dużo tematów. Mówiono o organizacjach sanacyjnych, o ich zasięgu ideologicznym. Nie przewidziano jednak widocznie, że organizacje te spotkają się z biegiem czasu z przeciwnikami, że nastąpi wzajemna penetracja, że mostem ideologicznym będzie ruch antysemicki.

Poszukiwanie dróg nie dało dotychczas żadnych rezultatów. Pierwsza brygada przyznać się musi, że w

chwili obecnej wódz starczy za ideologię i nieraz boleje, że nie ciągle go słyszy, bo milczy od lat wielu. Nie może więc otrzymać ideologicznych wskazań nawet na najbliższą metę.

Pismo, w którym czynnie pracował Adam Skwarczyński, odzwierciedlało tragedię sytuacji. „Droga” bowiem nie reprezentuje żadnych dróg, ale daje możliwość poszczególnym pisarzom poszukiwania ścieżek, a raczej maszerowania na bezdrożu.

Poszukiwania trwały aż do chwili ostatniej. Czasem między wierszami „Pionu” brzmiała uraza do młodzieży o to, że otrzymaw-szy w spadku niepodległość, nie szuka syntez, nie chce idealistycznej walki o lepsze jutro.

Kto widział zboliałą cierpieniami uduchowioną twarz Adama Skwarczyńskiego, ten zrozumiał, że cierpienia pochodziły nie tylko ze strasznych mąk amputacji nogi, przewlekłej choroby, ale również z coraz mocniej utrwalającego się przekonania, że na zdobycie nowych pokoleń trzeba będzie stracić dużo czasu, że nie udało się stworzyć siły atrakcyjnej, że trzeba jak w r. 1914 maszerować samotnie, mając teraz w posiadaniu jedynie aparat, a więc tylko władzę

Za konduktem pogrzebowym postępowali wszyscy koledzy i towarzysze zmarłego, którym udało się za życia zrealizować ma-

197

urozmaiciły kondukt pogrzebowy. W szeregach tzw. cywilów maszerowali krokiem żołnierskim towarzysze broni z okresu walk o niepodległość, koledzy z legionów, a nawet starzy przyjaciele, którzy już dawno zerwali z obozem rządowym. Tak się to dzieje w Polsce, że po wypadkach r. 1930 strony spotykają się rzadziej i tylko na pogrzebie dochodzi do wzajemnego zetknięcia się, do rozmów o czasach minionych. Nie było tzw. szerszej publiczności. Adam Skwarczyńskid *działał* w ciasnych kółkach, oddziaływał sugestią czaru własnego, ale nie było dużo młodzieży z zupełnie innych powodów. Towarzysze broni już dawno nie *należą* do młodzieży. Na pogrzebie oglądali się nawzajem dygnitarze, spostrzegając u kolegów swoich siwe włosy, symboliczną „awizację do sądu najwyższego”. Niejeden z uczestników pogrzebu zdał sobie sprawę, że od tamtych czasów minęło już 20 lat, że zbliża się okres istotnych zmian warty, przekazania stanowisk młodszemu pokoleniu powojennym.

Działo się to 20 lat temu. Wstąpili wówczas do legionów, mieli określone ideały. Za światopogląd starczyła im tęsknota kilku pokoleń: marzenie o niepodległości. Reszta nazajutrz miała wyglądać rajsco. Polska będzie wedle tych marzeń demokratyczną, radykalnie społeczną itp. Byli jeszcze młodzi, gdy ziścił się sen pokoleń, gdy wbrew logice wypadki potoczyły się na rzecz legionów, carska Rosja rozpadła się w gruzy, a Austria i Niemcy przegrały wojnę.

Powstały nowe zagadnienia, choć lwią część programu została zrealizowana. Chciano walczyć w na wpół konserwatywnej Polsce o realizację radykalnego programu, a nade wszystko toczono zawzięty bój o władzę. Dawni poeci, malarze, aktorzy, nauczeni doświadczeniem wojny, prowadzili na froncie cywilnym niemniej odważnie ostre walki.

Przyszedł rok 1926. Władza dostała się całkowicie w ręce legionistów i wówczas dopiero zaczęła nurtować myśl o programie, o nowej ideologii, o sensie posiadania władzy, o stworzeniu ideałów dla następców, o przekazaniu im takiego testamentu, dla którego warto nie tylko żyć, ale umierać i ginąć.

Do obozu rządzącego przychodziły brygady z różnymi ideami. Każda warstewka ze swoim poglądzikiem, każdy odłamek klasy ze swoim światopoglądzikiem. Namnożyło się brygad wiele. Przerażeni przywódcy 1-ej brygady czuli, że toną w odmęcie różnych poglądów, że solidaryzm przeistacza się w chaos myśli, że gromkie słowa pięknie dobrane maskują wywietrzała treść. Mo-carstwowość była jedynie głuchym echem dawnej idei niepodległości, a nowe idee nie zdołały pociągnąć za sobą młodzieży.

196

leskiego stanowiło raczej odroczenie terminu zawarcia niż jego przyśpieszenie. Zasłanianie się względami formalnymi, mówiono o przeszkodach ze strony Ligi Narodów itp. Przyjeżdżali literaci sowieccy do Polski. Stykano przedstawicieli literatury polskiej z sowiecką, pokazywano w gmachu poselstwa filmy, zaznajamiano z uczonymi sowieckimi, ale dalej ani kroku.

Gdyby jednak zestawzić nawet te stosunki z okresem przyjazdu pierwszego poselstwa sowieckiego do Warszawy, trzeba było je uznać za idealne. Złowrogo została przyjęta delegacja sowiecka w r. 1921.

Gmach, w którym mieściło się poselstwo sowieckie, traktowano jak dom zarazy, a ówczesny redaktor naczelny „Kuriera Porannego” Kazimierz Ehrenberg, pisząc o poselstwie, które ulokowało się w Hotelu Rzymskim użył motta: „ta karczma Rzym się nazywa”.

Gmach poselstwa sowieckiego był niepodobny do obecnego. Piętno walki o rewolucję światową wyciśnięto na wszystkim. Na każdym półpiętrze znajdowały się biusty wodzów rewolucji. Ze wszystkich stron umieszczono transparenty na czerwonym tle z napisami w języku rosyjskim i polskim. Spozierały bojowe hasła Marksa, Engelsa, Lenina o ustroju społecznym, o religii, burżua-zji itp.

Był to okres, gdy hasła rewolucji światowej rozbrzmiewały nie tylko w Rosji Sowieckiej, ale i w Niemczech, gdy przepaść między światem kapitalistycznym, a Rosyjską Socjalistyczną Federacyjną Sowiecką Republiką była nie do przebycia, gdy Anglia i Francja próbowały jeszcze szczęścia w interwencjach, a noty sowieckie, podpisywane przez Cziczeryna brzmiały jak odezwy do ludów poprzez plecy rządów.

W tych czasach posłowie sowieccy mieli bardzo małe pole do popisu. Mało zdziałał poseł Karachan. Następca jego, poseł Oboleński, zajmował się przeważnie studiowaniem dziejów literatury polskiej, lub przekazywaniem not protestacyjnych rządu sowieckiego.

Była jakaś poufna rozmowa wicekomisarza Litwinowa w Belwederze. Składał wizyty w Warszawie komisarz dla spraw zagranicznych Cziczeryn, ale oprócz projektu marszałka senatu Trąpczyńskiego o osuszeniu błot na pograniczu polsko-sowieckim, nie padły żadne propozycje urzędowe w sprawie melioracji stosunków polsko-sowieckich.

Później przyszedł okres nieszczęśliwych zamachów zorganizowanych przez białą emigrację. Nie udało się następcy Wojkowa, Bogomołowowi, doprowadzić do załagodzenia stosunków, mimo serdecznego przemówienia do prasy z cytowaniem wiersza Mickiewicza: „Do braci Słowian”.

199

rzenia aż do zdobycia władzy włącznie. Gdy jednak spoglądali na grupki młodzieży, które maszerowały wraz z konduktem pogrzebowym, musieli ze smutkiem przyznać, że myśl naczelna Adama Skwarczyńskiego nie została zrealizowana, że nie stworzono jeszcze nowego światopoglądu, nowej pierwszej brygady, że nie udało się przekazać testamentu przyszłym pokoleniom, że jutro wymyka się im z rąk na rzecz sił jeszcze nieznanymi i nie skryształizowanymi.

Po poszukującym uporczywie drogi Skwarczyńskim pozostały jedynie wspomnienia czaru osobistego, wrażenia o cnotliwym lecz błędnym rycerzu, mogącym łatwiej wymierzyć drogę przebytą niż wskazać pokoleniom choć jedną piędź drogi do przebycia.

6 kwietnia, 1934.

•^

↓

### *Żołnierz rewolucji i dyplomata*

Z Warszawy został odwołany poseł sowiecki Antonow Owsiejenko. O ustąpieniu jego krążyły jeszcze dawniej pogłoski, uważano bowiem, że wraz z ustąpieniem posła Patka z Moskwy, zakończeniem cyklu rokowań polsko-sowieckich, zawarciem paktu o nieagresji, powinien ustąpić również poseł sowiecki w Warszawie.

Poseł Antonow Owsiejenko przetrwał jednak jeszcze czas dłuższy, doczekał się dalszego zaciśnienia stosunków polsko-sowieckich, zapowiedzi przedłużenia paktu o nieagresji do 10-ciu lat i podniesienia poselstw do rang ambasad. Czteroletni bowiem okres pobytu A.O. w Polsce uwięziony został powodzeniem i może on spokojnie wracać do kraju z dodatnim bilansem działalności dyplomatycznej. Stosunki te nie od razu ułożyły się tak dobrze. Poseł sowiecki musiał czekać na swoim stanowisku długo nim doszło do przełamania lodów. Przyzwyczajony do aktywnej działalności trwał na stanowisku obserwatora, informował się, prowadził ogólnie przyjętą robotę dyplomatyczną w postaci przyjęć i wizyt, by stwierdzić z zalem, że dalej nie posuną się wzajemne stosunki, że porozumienie jest za górami i za lasami.

Poseł A.O. przyjechał do Warszawy w rok po zamordowaniu posła Wojkowa. Stosunki wzajemne nie były wprawdzie naprężone, ale nie należały do najlepszych. Rokowania o zawarcie paktu nieagresji zawiśły w powietrzu. Każde oświadczenie ministra Za-

198

pogłębienie stosunków nie wpłynie na osłabienie ideologicznego frontu w walce z „wrogiem wewnętrznym”.

Odjeżdżając jednak, poseł A.O. mógł z zadowoleniem stwierdzić, że wszystko co należy do nowego programu polityki zagranicznej Sowietów zostało wykonane w całej pełni. W nagrodę zwolniono go od obowiązku dyplomatywania, pozwolono mu przerwać przymusową robotę posła na obczyźnie i wrócić do kraju, tym bardziej, iż zerwał już dawno z ruchem trockistowskim. W r. 1921 do poselstwa sowieckiego przychodzili jedynie przedstawiciele władz bezpieczeństwa. W r. 1933 i 1934 ludzie obozu sanacyjnego są częstymi gośćmi poselstwa. Warunki się zmieniły, przy wejściu na schodach nie ma już transparentów i napisów. Znalazł się język wspólny rozmów, którym się posługiwał tak doskonale w ciągu ostatnich dwóch lat poseł A.O.

W sobotę wyjechał A.O. Czy pracować będzie dalej na polu dyplomatycznym, czy uda mu się pozostać w kraju, by wykazać aktywność i stanąć na nowym froncie walki gospodarczej? W każdym razie do różnych jego tytułów dojdzie nowy tytuł współautora paktu o nieagresji i posła w okresie kardynalnej zmiany stosunków polsko-sowieckich.

9 kwietnia, 1934.

**P.S.:** — Antonow Owsiejenko, Włodzimierz Aleksandrowicz urodzony w 1884 r. został zlikwidowany przez Stalina w r. 1938 jako wróg narodu i zrehabilitowany w rok po śmierci Stalina.

### *Polityka a sport*

Gdy w sobotę w godzinach wieczornych przez ulicę Wiejską przewalały się tłumy, gestykułując gorączkowo, rozprawiając namiętnie na temat wyników gier na boisku, obraz ten wydawał się dziennikarzom, szczególnie sprawozdawcom parlamentarnym wychodzącym z sejmu, dziwnie obcy. Terminologia boiska odbiega od życia politycznego. Nikt z dziennikarzy nie mógł zrozumieć p co właściwie chodzi. Mówiono o golach, o faulach, o jakimś innym świecie. Nikomu z dziennikarzy nie mogło się przyśnić, że między tym światem, a polityką zagraniczną będą jakieś punkty styeczne, że mecz będzie wyrazem jakiejś polityki. Tak się jednak stało. Należy uważniej spoglądać na mecze, baczniej śledzić za drużyną footballową, chodzić na boisko, bo punkt ciężkości polityki zagranicznej przeniósł się z ulicy Wiejskiej lub Wierzbowej na Agrykolę.

### **201**

Gdy poseł A.O. przyjechał do Warszawy zapowiadano, że uda mu się osobistym wpływem przyspieszyć porozumienie polsko-sowieckie. Miał znajomych z okresu dawnego. W r. 1905 walczył w Kongresówce jako członek rosyjskiej grupy SDKPiL i oficer z rządem carskim. W Puławach przygotował bunt żołnierski. W 11 i 12 numerze z „Pola Walki”, pisma poświęconego historii polskiego ruchu rewolucyjnego, (Instytut Lenina przy CKKP) czytać można ciekawe szczegóły z okresu tej walki.

Wierzono, że żołnierz rewolucji, który walczył w Polsce, znajdzie drogę do porozumienia. Osoba A.O. nie była obcą działaczom rządowym okresu pomajowego. Organizator powstania w Sewastopolu, który został wówczas skazany na śmierć, zdobywca Pałacu Zimowego, który aresztował Rząd Tymczasowy, dowodzący armią południową, który rozbił Kaledina, snuł zamiary o wkroczeniu do Rumunii, by później przez Węgry połączyć się z Bela Kuhnem, był znany przed przyjazdem do Warszawy jeszcze z powodu różnicy zdań między nim, a centralnym komitetem.

Aktywny działacz rewolucji nie z własnej chęci opuścił granice Republiki Sowieckiej, by pełnić obowiązki dyplomaty i zajmować się reprezentowaniem. Podzielił los Rakowskiego. Był jeszcze przedtem posłem w Czechosłowacji i na Litwie.

W Warszawie został skazany na czekanie, na zahamowanie aktywności. Nastąpiła zmiana koniunktury. Przyszedł okres paktów. Tak jak niegdyś dawny kolega A.O., Adolf Abramowicz Joffe, preparował hurtowo traktaty pokojowe, tak nowo powołany komisarz spraw zagranicznych, Litwinów, wykazał „udar-niczeskije tempy” w zawieraniu paktów o nieagresji. Wprawdzie opozycja skarżyła się, że ilość osłabia jakość, że gatunek produkcji zostaje tym samym pogorszony, paktów wprowadzają w błąd opinię publiczną, ale z biegiem czasu udało się Litwinowowi rozszerzyć sferę wpływów i działań. Co kilka tygodni przynosił on do Moskwy nowy pakt o nieagresji z jakimś państwem.

Zmiana rządu w Niemczech wpłynęła również na zmianę taktyki polskiej wobec Sowietów. Nastąpiło wreszcie podpisanie paktu o nieagresji. A.O. został przyjęty przez marszałka Piłsudskiego. Po krótkim boczeniu się nastąpiła znowu poprawa stosunków. Minister Beck udał się do Moskwy, ukazały się pogłoski o przedłużeniu terminu paktu o nieagresji oraz podniesienie poselstw do rang ambasad.

Nie wszystkie sprawy zostały jeszcze należycie wyjaśnione. Wiele rzeczy wymagać będzie jeszcze uzupełnienia. W Sowietach trwają jeszcze zastrzeżenia w sprawie zygzakowatej polityki Polski, a w Polsce podnoszone są również wątpliwości, czy dalsze

### **200**

Kto wątpi, ten miał okazję sprawdzić wszystko w jednej krótkiej, a charakterystycznej wiadomości, że MSZ postanowiło nie poprzeć starań drużyny footballowej w Polsce o wyjazd na mecz do Pragi Czeskiej. Wiadomość ta na pierwszy rzut oka wydaje się nie polityczną: Utrudnienia paszportowe istnieją od lat wielu. Jednak każdy wie, że to jest polityka. Drużyna, która nie wyjechała do Pragi Czeskiej, zrzekła się zwycięstwa na rzecz Czechosłowacji. Trzeba będzie zapłacić około 30 tys. zł. odszkodowania, ale to głupstwo. Chodzi bowiem o wyższą politykę.

Mogłoby się stać, że na boisku w Pradze Czeskiej rozentuzjasmowany tłum wznosiłby okrzyki na cześć Polski, że padłyby okrzyki również ze strony naszych footballistów, okrzyki na cześć Czechosłowacji. Zachodziła obawa rozgrzania stosunków polsko-czeskich, a teraz nie pora ku temu.

Siła wyższa widocznie nie chciała takiego zbliżenia. Na boisku gdzie miał się odbyć mecz, wybuchł pożar we wtorek. Trybuny poszły z ogniem, ale Czesi uparli się. Postanowili mimo pożaru doprowadzić boisko



do porządku i zawiadomili drużynę polską, że czekają.

Zauważono więc na Wierzbowej, że Czesi nie chcą słuchać ostrzeżenia opatrności, że się uparli i dlatego postanowiono wyprowadzić ich z błędu i wytłumaczyć, że państwa biją się na boisku tylko wtedy, gdy przestają się bić w innych dziedzinach, że akty sportowe są w tej chwili najwyższym wyrazem porozumienia narodów, że bramkarze, kopacze, footballiści, tenisiści i inni bohaterzy nóg i rąk są jaskółkami dobrych stosunków sąsiedzkich.

Gdy stosunki polsko-czeskie były jeszcze znośne, a tak było jeszcze w zeszłym roku, tenisiści polscy bawili w Pradze Czeskiej i wznoszono okrzyki na cześć Polski i Czechosłowacji. Znany aktor czeski, Ylasta Burian, przybył na boisko, by przyjrzeć się grze. Była szlachetna konkurencja wśród walczących; tak walczone również w Poznaniu.

Po tej walce przyszła zapowiedź: do widzenia w Pradze. Drużyna polska miała przybyć by wziąć udział w walce o mistrzostwo. Rezultat jednak wypadł żalony. Nie będzie walk polsko-czeskich... na boisku, a skoro nie ma tych walk, więc dowód, że na innym terenie toczą się ciche, ale dotkliwe boje.

Nie liczy się paktu o nieagresji. Nawet zapowiedź przedłużenia jeszcze o 5 lat nie ma istotnego znaczenia. Podniesienie poselstwa do rangi ambasady byłoby rzeczą doniosłą, ale najwyższą poprawą stosunków polsko-sowieckich byłby mecz footballowy. Mecz decyduje o wszystkim.

Gdy przybędą szermierze sowieccy do Polski, gdy rozlegnie się na ziemi polskiej okrzyk na ich cześć, gdy przybędą szermie-

202

rze polscy do Sowietów i tłum będzie krzychał na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, będzie to dowodem załatwienia pewnych ważnych spraw.

Należy patrzeć na politykę z domieszką sportową. Oczywiście nie można sobie wyobrazić, że Goliat-Beck będzie walczył z Dawidem-Benezem, tym bardziej, że Goliat ma pewne dawidowe zdolności, bo strzela dość celnie, jak to stwierdzono na strzelnicy sowieckiej. Gdy wreszcie nadejdzie wiadomość, że MSZ nareszcie zgodziło się na wysłanie drużyny polskiej do Czechosłowacji, to można wzniesić rękę do góry i powiedzieć: nareszcie spokój.

Doniosłą była wizyta posła polskiego w Berlinie, Lipskiego, u Hitlera. Była to zapowiedź paktu o nieagresji, ale ważniejszą jeszcze była wizyta footballistów polskich w grudniu w Berlinie. Oni to otwierali nową epokę w dziejach stosunków polsko-niemieckich. Skoro biją się na boisku, to zawieszono walkę o „korytarz”. Tłumy na rozkaz wyczuły intencję rządu i zdyscyplinowana masa niemiecka wznosiła okrzyki na cześć Polski, słuchając w pozycji na baczność, z hitlerowskim pozdrowieniem, hymnu polskiego...

Minister propagandy Goebbels przybył na boisko. W szeregach ustawili się członkowie oddziałów szturmowych. Głośniki podawały do wiadomości publicznej przebieg meczu. Walkę transmitowano przez radio, by obwieścić światu, że Polska i Niemcy walczą na boisku sportowym, że ustaje tym samym walka, która trwała lat kilkanaście.

Po tym akcie nastąpi drugi. Walki footballistów między sobą to najwyższy akt przyjaźni. 9-go września przybędą do Warszawy footballiści niemieccy i grać będą na stadionie wojskowym. Na 1-go Maja br. została zapowiedziana wizyta poszczególnych dziennikarzy polskich w Berlinie. Zaproszeni oni zostali przez ministerstwo propagandy, ale wizyta pięściarzy, tenisistów, dalsze zawody sportowe są ważniejsze od tych spotkań politycznych.

2 kwietnia przybędzie do Warszawy min. spraw zagranicznych Francji, pan Barthou. Zapowiedziane jest również przybycie dziennikarzy francuskich i niemieckich. Odbędą się prawdopodobnie konferencje na Wierzbowej, a co najważniejsze i w Belwederze. Będą wywiady, konferencje prasowe. Cała prasa europejska śledzić będzie uważnie bieg wizyty, zadając sobie pytanie, czy zdołano wreszcie usunąć wszystkie trudności, które nagromadziły się w ciągu lat wielu, a piętrzą się w ciągu ostatnich miesięcy. Na porządku dziennym znajdują się sprawy gospodarcze, traktatowe.

203

Strona niemiecka będzie bardzo uważnie śledzić, czy doszło broń Boże do ostatecznego porozumienia, czy też wreszcie nastąpiło dalsze ochłodzenie stosunków.

Kto zna jednak tajemniczość rokowań w Polsce, ten wie, że nie uda się odsłonić kulisów rozmów, chyba, że w Pradze podczas wizyty Barthou zostaną wyjaśnione niektóre sprawy warszawskie.

Kto jednak patrzeć będzie sportowymi oczyma na rokowania polsko-francuskie i miast dręczyć naczelnika wydziału prasowego Przesmyckiego, zwróci się raczej do kierownika działu sportowego Olchowicza, ten dowie się więcej niż wszyscy dziennikarze polityczni. Trzeba będzie spytać tylko o jedno, czy drużyna polska wyjeżdża do Francji, czy zapowiada się rewizyta pięściarzy francuskich w Polsce. Jeśli nastąpi odpowiedź twierdząca, wszystko będzie jasne. Można nawet przepowiedzieć wyjazd footballistów polskich do Pragi Czeskiej.

Trzeba zastosować nowoczesne metody w polityce. A może zupełnie nie nowoczesne? Działo się bowiem coś podobnego w starożytnym Bizancjum. Losy polityki rozgrywały się tam w hipodromie w walce między błękitnymi a zielonymi. Na wyścigach konnych zbierały się tysiące. Była to bowiem nie tylko gra, ale i wielka walka polityczna. Pięściarze mają głos, oczyma footballistów należy patrzeć na politykę. Wracamy z lekka do czasów bizantyjskich.

16 kwietnia, 1934.

#### *Odrodzenie sanacji*

W maju 1926 r. doszedł do władzy reżym pod hasłem walki z nieuczciwością. Zdawać się mogło, że jesteśmy w okresie 10 wieku, gdy w obliczu końca świata ludność przygotowywała się do oczyszczenia się z grzechów, gdy dla przebłagania wszechmocnego, mówiono o kajaniu się, o zmazaniu win.

Pod hasłem walki z korupcją rozpoczęto dzieło przewrotu majowego. Czynnikiem decydującym, kierującym wówczas walką, oświadczył w komendaturze, prasie: za dużo nieprawości.

Odtąd rozpoczął się cykl walki z nieprawościami. Pierwszy ruszył do boju najwierniejszy rzecznik marszałka Piłsudskiego, poseł Jędrzej Moraczewski. Nazwał wszystkich po imieniu, wynalazł najsoczystsze określenia, rzucał oskarżenia pod adresem b. ministrów, prezesów klubów, współników chienio-piasta.

**204**

W więzieniu zasiedli bohaterowie źle funkcjonujących masek gazowych, cywile i wojskowi. Na wszystkich zgromadzeniach i zebraniach mówiono o walce z korupcją. Powstał rząd pod hasłem walki z nieuczciwością. Mianowano ministrów, jako ludzi czystych rąk. Mogli to być słabi fachowcy, a czasem znający tylko sztukę wojskową. Posiadali jeden tytuł do rządzenia. Pyszni się swoją prawością.

Cały rok rządono w okresie wieku rycerstwa, jak gdyby dziś, jutro miał być koniec świata i trąby archaniołów miały wezwać obóz rządzący przed sąd ostateczny.

Co kilka tygodni ogłaszano wywiad z czynnikiem decydującym. Padały słowa ostre, dosadne. Była mowa jedynie o nadużyciach suwerenów, o kradzieżach dawnych ministrów, o hulankach wodzów. Mówiono o niesłychanych zbrodniach rządów poprzednich. Zdawało się, że parafrazowano słowa hymnu narodowego: "syn okradł ojca, brat okradł brata, mnóstwo endeków jest pośród nas

Miotła, która miała wymieść wszystkie złodziejstwa, gałęzi-stwa, nieprawości, była głównym hasłem wyborczym do sejmu w r. 1928. Reżym pomajowy żył w pierwszym roku z kapitału uczciwości, a wcieleniem tego rycerstwa był czynnik decydujący, który opuściwszy Belweder, jako naczelnik państwa, zabrał ze sobą bardzo skromne ruchomości i mieszkał niemniej skromnie w Sulejówku.

Zadawano sobie pytanie, jak długo żyć można hasłami uczciwości, jak długo rządzić można niebiańskimi zasadami czystych rąk na padole płaczu? Władza składa się z urzędów, obdarza obywateli koncesjami lub je odbiera, nakłada podatki.

Wątpliwości powstawało coraz więcej. W miarę jak reżym utrwał się, strona przeciwna poczęła coraz bardziej patrzeć mu na ręce. Zajrzano do ciekawej księgi, do kulisów gospodarki państwowej, do sprawozdań Najwyższej Izby Kontroli Państwa i trzeba przyznać, że nie szukano tylko plam na niebie. Musiało się coś znaleźć. Takie są bowiem prawa rządzenia. Słabość ludzka oddana jedynie pod kontrolę historii zrobiła swoje. Sprawy oparły się o sądy, a w wyborach r. 1930 szermowano przeciwko obecnemu reżymowi zarzutami o nadużyciach. Parlament ubierał się w togę sędziego, posyłając swoich najlepszych ludzi do trybunału stanu, by oskarżali rząd o przekroczenia i szereg grzechów ludzkich.

Opozycja sejmowa poczęła poddawać w wątpliwość cele i zamierzenia reżymu pomajowego. Namnożyło się grzechów sporo, ale widocznie nie widział prezes klubu BB, rycerz bez zmazy i skazy, który wciąż mówił o walce z nieuczciwością, który bez-

205

Termin wyborów zbliża się. Rzecznicy wekslowania na lewą zwrotnicę wybrali drogę dla kampanii przedwyborczej. Wieś dostanie nieco tańszy cukier, tańszą naftę, tańsze nawozy sztuczne, trochę oddłużenia i odrobinę satysfakcji moralnej.

Sądny dzień będzie można rozłożyć na cały rok, bo nabrało się grzechów wiele. Od czasu przewrotu majowego, gdy spisano ze społeczeństwem cyrograf o wiecznej uczciwości, upłynęło już więcej niż lat siedem i „cyrograf nadal nie służy”. Po ośmiu latach będzie roboty wiele. Prócz samokrytyki, prowadzonej na łamach „Gazety Polskiej” zaczyna się wielkie „samoczyszczenie”.

Kumające się ze stronnictwem ludowym sfery rządowe śpiewają hymn tego stronnictwa: „O cześć wam panowie magnaci”. Koncepcja założyciela klubu bezpartyjnego współpracy z rządem, opierania się na sferach konserwatywnych zostaje na krótki czas porzucona. Razem z tą koncepcją schną wszystkie pomysły, wynikające z tego założenia, umiera najulubieńsze dziecko pułkownika Sławka — elita.

Rząd walczy o odzyskanie waloru dni pierwszych, o rzeczy ważniejsze w oczach wyborców niż elita. Czy można zdobyć ponownie niewinność? Na to pytanie ma odpowiedzieć czynami pan premier Kozłowski.  
8 września, 1934.

*Losy księgi zażaleń*

Traktat podpisany przez Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego 28 czerwca 1919 r. brzmi jak wspomnienie o czasach zamierzonych. Kto pamięta o traktacie wersalskim, kto przeglądał zobowiązania tam zawarte? Każdy artykuł tego traktatu ma ten sam posmak, co postanowienia konstytucji marcowej.

Wiele artykułów brzmi uroczyście i nic z tego nie wynika.

Jak pięknie brzmiał aneks: „wszyscy obywatele polscy bez różnicy rasy, języka lub religii będą równi wobec prawa i korzystać będą z tych samych praw cywilnych i politycznych. Różnice co do religii, wierzeń lub wyznania nie powinny szkodzić żadnemu obywatelowi polskiemu, w korzystaniu z praw cywilnych i politycznych, mianowicie, gdy chodzi o dopuszczenie do urzędów publicznych, obowiązków i zaszczytów, lub w wykonywaniu różnych zawodów i przemysłów”.

Co się stało z tym artykułem w traktacie, jak został wcielo-

**207**

ustannie rzucał gromy pod adresem opozycji, stawiając w pierwszym rzędzie zarzuty o nadużycia.

Nie było wypadku, by prezes klubu BB Sławek, nie przypominał opozycji grzechów dawnych, by nie mówił o agenturach obcych, o czerwońcach, o złodziejstwach i szalbierstwach. Prezes klubu BB Sławek widział źdźbło w oku bliźniego, ale przeciwnicy zaczęli już mówić o belce. Rozpoczęło się od szeptów. Opozycja przeszła do interpelacji w parlamencie, do wniosków nagłych, a skończyło się na coraz głośniejszym oskarżaniu.

W obozie rządzącym zdawano sobie sprawę z wagi takich oskarżeń, z broni, którą ukuć mogą przeciwnicy. Zorientowano się, iż można stracić jedyny posag wniesiony przy objęciu władzy. Charakterystycznym objawem było przemówienie ministra przemysłu i handlu, generała Zarzyckiego, pod adresem podpory rządu pomajowego — obozu konserwatywnego.

Aż stało się. Pułkownicy opuścili plac boju. Prezesem rady ministrów został prof. Kozłowski... I w pierwszej chwili zdawać się mogło, że odbywa się próba wskrzeszenia przewrotu majowego, że mamy do czynienia z reformacją sanacji, a raczej z próbą odrodzenia, próbą powrotu do klasycznych wzorów dni majowych w r. 1926.

Rozpoczęła się fala walki z nadużyciami. Nie jest to przypadek, że cios padł na głowę obozu konserwatywnego, że rzecznicy lewicowego odchylenia sanacji musieli w pierwszym rzędzie zajrzeć do akcyjnych towarzystw, skontrolować listę członków rad nadzorczych, wyciągać nazwiska dobrych znajomych.

Zacząto od szlachcica, ziemianina, a skończyło się na dobieraniu się do jaśnie wielmożnych, do hrabiów, aresztowano hrabiego Henryka Potockiego, a w obozie rządowym mówią o dalszych rewelacjach, o nowej walce z nieczystościami, która przewyższy ogromem pierwsze rewelacje majowe.

Działaniom towarzyszą kary, przypominające całkowicie pierwsze dni przewrotu majowego. Nowy prezydent miasta Warszawy sparafrazował i połączył w jedno wszystkie wywiady marszałka Piłsudskiego i rzucił w twarz dawnym ławnikom i urzędnikom magistrackim, te same słowa, jakie rzucał marszałek Piłsudski w maju dawnym suwerenom, ministrom i wyższym urzędnikom.

Obok taniej nafty, cukru, nawozów sztucznych, potaniała wartość należenia do obozu zachowawczego, skoro władze otwierają na oścież przed wybitnymi konserwatystami drzwi Mokotowa i Pawiaka. Spadała wartość tytułu hrabiowskiego, a słyhać groźby, że w dalszej akcji rządu o potaniecie różnych artykułów obniżona zostanie wartość mitry książęcej.

206

# L

ny w życie — to wszystko właściwie należy do historii Żydów w Polsce od r. 1919.

Od tego czasu zajmowano się studiowaniem kwestii żydowskiej w parlamencie polskim. Wśród różnych komisji powstała w pierwszym sejmie specjalna dla spraw żydowskich. Na czarnej tablicy, wymieniającej w kolejnym porządku różne komisje, znajdowała się również i ta, pod komisją dla spraw morskich.

Zbierała się ta komisja kilka razy. Zjawiali się tam specjaliści nielada, działacze z żydożerczego Rozwoju,

a więc wątpliwi zwolennicy „realizowania” podanego ustępu traktatu o mniejszościach narodowych. Rezultaty praktyczne były nadzwyczajne. Kto wątpi, niech sprawdzi listę urzędników Żydów na stanowiskach państwowych: listonoszów, kolejarzy, inżynierów, lekarzy.

Kwestii żydowskiej w parlamencie imano się nieraz. Pionierem tych prób był Alfred Nossig, który starał się doprowadzić do zetknięcia się przedstawicieli klubu żydowskiego z przedstawicielami klubów polskich. Chciał w sztuczny sposób doprowadzić do rendez-vous, zapewniając stronę polską, że pragnie tego klub żydowski, a stronę żydowską, iż jest to najgorętsze życzenie klubów polskich. Każde zetknięcie zaczynało się od uroczystego oświadczenia klubów polskich: tylko bez powołania się na traktat o mniejszościach, na układ narzucony. Wszystko będzie załatwione w ramach konstytucji. Z własnej, nieprzymuszonej woli Żydzi dostaną w Polsce o wiele więcej. Będzie to równouprawnienie 98 próby.

Nad zrealizowaniem tego traktatu zastanawiał się w swoisty sposób w drugim sejmie przedstawiciel narodowej demokracji Stanisław Grabski. Rodziła się ugoda polsko-żydowska pod patronatem ministra spraw zagranicznych Skrzyńskiego. Na ulicy żydowskiej toczyła się walka o stosunek do ugody. Mówiono o wielkich zwycięstwach. Narodowa demokracja uznała rzekomo po raz drugi prawa Żydów do równouprawnienia.

Przyszły nowe czasy. Pierwszy premier rządu pomajowego, prof. Bartel oświadczył z trybuny, że równouprawnienie Żydów będzie wcielone w życie. Premier Bartel miał długą listę przyrzeczeń. Obiecywał lokatorom, przyrzekał właścicielom domów. Miał ciepłe słowo dla robotników, rozważał życzenia przemysłu. Nic dziwnego, że w takim nawale prac zawieruszyła się obietnica dana z mównicy sejmowej.

Odtąd w komisjach sejmowych przedstawiciele Koła Żydowskiego naiwnie upominali się o zrealizowanie przyrzeczenia. Nie było powołań na traktat, ani odwołania się do konstytucji. Traktat został narzucony, konstytucja została porzucona. Przywódcy

**208**

Koła Żydowskiego wyrażali żal i dowiadywali się w kuluarach, że mają rację, ale z tego nic nie wynika. Był to okres poprawy stosunków gospodarczych, ale jednocześnie trwającego procesu zubożenia mas żydowskich. Mimo to nie nalegano gwałtownie na realizowanie równouprawnienia. W wielkiej grze między sejmem a rządem zapomniano o Żydach.

I oto w piętnastolecie, gdy zapomniano już zupełnie o traktacie mniejszościowym, czytelnicy pism dowiedzieli się, że od dziś dnia nie będzie on obowiązywał Polski. Piętnaście lat obowiązywał, ale nikt o tym nie wiedział.

Piętnaście lat leżał ten traktat uprawniający do zażaleń przed Ligą Narodów. Przypominało to sławną księgę *zażaleń* Czechowa. Rezultat praktyczny czechowskiej księgi *zażaleń* był nijaki. Okoliczni mieszkańcy stacji kolejowej wpisywali tam czasem ploteczki, a czasem i skargi. Zdawało się, że to nieszkodliwa rzecz, a jednak postanowiono skasować okazję do *zażaleń*, choć pasażerowie żydowscy nie wpisali tam ani jednej skargi, choć w ostatnich czasach już dawno zapomnieli o traktacie, o konstytucji i zwięzili program do ram dziwnie skromnych.

Pan minister Beck zapowiedział z mównicy waloryzację postanowień traktatu. Będą one przetłumaczone na walutę polską. Odtąd obowiązywać ma nie narzucony traktat z zagranicy, ale zasady zawarte w polskiej konstytucji. Brzmi to dumnie. Przypomina to tego hrabiego, który oświadczył, że nie płaci weskli, ale długi honorowe: wierzyciel podarł weksel i prosił o zapłacenie długu. Hrabia zapłacił, bo był to dług honorowy. Weksel genewski ma zostać długiem honorowym. Znikają żyra Pade-rewskiego i Dmowskiego.

Odtąd widocznie nabiorą więcej wagi wnioski Koła Żydowskiego, interpelacje i skargi na pokrzywdzenie, na wyzucie z praw, na nadmierne obciążenie podatkiem, na uniemożliwienie dostępu do wyższych zakładów naukowych, do urzędów. Odtąd będzie księga *zażaleń* na serio. *Zaczyna się nowa era prawdziwego równouprawnienia Żydów. Jakże chciałoby się w to wierzyć.*

18 września, 1934.

*Zaproszenie do sejm*

6 listopada odbędzie się pierwsze posiedzenie sejm, zwołanego dekretem prezydenta na sesję zwyczajną.

Sejm, jak moty-

**209**

14

lek żyć będzie dzień jeden, by później *zasnąć* na dni 30. Nawet w ostatnią sesję nie pozwala się sejmowi rozgadać się należycie. Sejm będzie musiał w ciągu jednego dnia śpieszyć się tak, jak pan premier podczas przemówienia swego przez radio, gdy w ostatnich minutach szybko recytował kartkę za kartką, chcąc w ciągu godziny wyczerpać przedmiot.

Reżym obecny liczy z zegarkiem w rękę godziny mówienia sejm. W ciągu wielu miesięcy nabiera się dużo materiału palnego, ale rzecznicy obecnego reżymu uważają, że mowy opozycyjne są jak wrzód, który

należy od razu przeciąć. Niech mówią bez przerwy w ciągu dnia, nie rozkładać mów opozycyjnych na cały tydzień. Niech obrzydnie społeczeństwu potok słów.

Cel zostaje zwykle osiągnięty. Gdy jeszcze przemawiał minister skarbu, posłowie z BB oraz opozycja są w komplecie, gdy zabierają głos pierwsi przywódcy większych stronnictw słuchają ich uważnie. Poseł Rybarski z narodowej demokracji wydobywa jakieś rodzynki, poseł Żuławski z PPS rozstawia rodzinę sanacyjną po kątach, dając pikantne szczególikę z życia dygnitarzy, ale już następni mówcy powtarzają się, a gdy w godzinach wieczornych przywódca małego klubu wygłasza dłuższe przemówienie o winie rządu, powtarzając znane już zarzuty z przemówień pierwszych przywódców, to wydaje się wówczas, że nie jest to pierwszy dzień sejmowy, ale że sesja trwa dziwnie długo.

Przed rozpoczęciem pierwszego posiedzenia sejm ulega się złudzeniu, że na sali zerwie się burza, że suma win zebranych przez opozycję starczy na pioruny do spalenia reżymu. Orkiestra sejmowa gra jednak bez podziału ról. Powtarzanie win osłabia wagę zarzutów. Zresztą zrzędną kolejkę pierwszych mówców.

Opuścili życie polityczne mówcy, którzy porywali parlament i społeczeństwo. Zabierają głos działacze polityczni, którzy w poprzednich sejmach uchodzili za mówców drugiej klasy. Cała działalność parlamentu ogranicza się do mówienia bez skutku. Opozycja może poprzestać jedynie na wyplakiwaniu, przy czym zbyt ostry szloch zostaje pohamowany przez marszałka sejm, bo z regulaminu sejmowego *czyhają* kary na posłów jak na uczni szkolnych. Za każde ostre słowo poseł zostaje bity po kieszeni. Nie pozostaje więc nic innego, jak łkać parlamentarnie, żalić się grzecznie i zamienić ostry ton przemówienia na donośny. Huczy czasem z mównicy bas opozycyjny, ale głos brzmi gwałtowniej niż treść. A wtedy obóz rządowy wysyła na mównicę specjalistę od dudnienia, od wprowadzania zgiełku, posła Sanojcę.

Kluby sejmowe w przeddzień posiedzenia sejm odbyły już narady. Przygotowano furę wniosków i interpelacji. W ten sposób zimmunizowane zostaną te wypadki życia politycznego, które

210  
były przedmiotem rozmów, nie mogąc być tematem pism. Przez kilka dni prasa nabierze nowych kolorów, wyzwoli się z pęt ograniczeń prasowych. Kilka dni czytać będzie można w prasie opozycyjnej wnioski i interpelacje, odbiegające tonem od tekstów artykułów wstępnych.

Ale przerwa sejmowa trwać będzie 30 dni, wyczerpie się materiał drastyczny. Prasa wróci do szarzyzny życiowej i czekać będzie znowu aż otworzą usta sejmowi, aż przemówią posłowie opozycyjni w komisji budżetowej i na plenum sejm.

W całym mówieniu tkwi jakiś dramat. Gdy słyszy się posła opozycyjnego, przemawiającego z trybuny sejmowej, wyliczającego serię win rządu wobec pustej ławy rządowej i obojętności przerywanej hałasem dwóch lub trzech zawodowych krzykaczy z BB, to ma się wrażenie, że żale te niczym się nie różnią od zawodzeń i skarg na cmentarzu.

Wygląda to smętnie: na wpół puste ławy poselskie, znudzony przewodniczący, głos ginący w nieakustycznej sali, warknięcie przeciwnika i wreszcie obojętność własnych towarzyszy, którzy automatycznie oklaskują, ale w duszy czują, że szkoda gadania.

Czasem dojdzie do jakiegoś pojedynku słownego. Zmierzą się ze sobą interpretatorzy, wicemarszałek Car z posłem Strońskim. Odbywa się wówczas rozmowa w stylu galanterii, ale słuszność argumentów nie ma żadnego znaczenia. Decyduje większość zdobyta przez obóz rządowy.

W parlamencie gdzie nie ma ścierania się poglądów, gdzie argumenty opozycji uderzają o większość jak groch o ścianę, gdzie nie ma czaru niepewności i możliwych kombinacji w układzie sił — dyskusja polityczna traci na znaczeniu, bo składa się z monologów, wygłaszanych z obowiązku, bez nadziei skorygowania swoim przemówieniem niezłomnej woli rządu.

Wszystko jest tu z góry znane i wiadome. Zabiorą głos mówcy w porządku kolejnym. Gdy dojdzie do przemówienia posła komunistycznego, dyskusja zostanie przerwana, albo mówca zostanie pozbawiony głosu po pięciominutowym przemówieniu... Sejm przejdzie do porządku dziennego nad różnymi opozycyjnymi wnioskami. Marszałek zapowie odesłanie preliminarza budżetowego do komisji budżetowej, oświadczając, że o terminie następnego posiedzenia posłowie zostaną zawiadomieni pisemnie.

Pytania, które padną pod adresem rządu z dziedziny polityki zagranicznej, wszelka chęć odsłonięcia zamiarów reżymu w dziedzinie polityki wewnętrznej, w sprawie rozwiązania sejm — pozostaną bez odpowiedzi.

Wszystko bowiem powinno się odbywać zniemacka, zgodnie z zasadami strategicznymi po zaskoczeniu przeciwnika. Odbywa

211

lek żyć będzie dzień jeden, by później zasnąć na dni 30. Nawet w ostatnią sesję nie pozwala się sejmowi rozgadać się należycie. Sejm będzie musiał w ciągu jednego dnia śpieszyć się tak, jak pan premier podczas przemówienia swego przez radio, gdy w ostatnich minutach szybko recytował kartkę za kartką, chcąc w

ciągu godziny wyczerpać przedmiot.

Reżym obecny liczy z zegarkiem w rękę godziny mówienia sejmu. W ciągu wielu miesięcy nabiera się dużo materiału palnego, ale rzecznicy obecnego reżymu uważają, że mowy opozycyjne są jak wrzód, który należy od razu przeciąć. Niech mówią bez przerwy w ciągu dnia, nie rozkładać mów opozycyjnych na cały tydzień. Niech obrzydnie społeczeństwu potok słów.

Cel zostaje zwykle osiągnięty. Gdy jeszcze przemawiał minister skarbu, posłowie z BB oraz opozycja są w komplecie, gdy zabierają głos pierwsi przywódcy większych stronnictw słuchają ich uważnie. Poseł Rybarski z narodowej demokracji wydobywa jakieś rodzynki, poseł Żuławski z PPS rozstawia rodzinę sanacyjną po kątach, dając pikantne szczegóły z życia dygnitarzy, ale już następni mówcy powtarzają się, a gdy w godzinach wieczornych przywódca małego klubu wygłasza dłuższe przemówienie o winie rządu, powtarzając znane już zarzuty z przemówień pierwszych przywódców, to wydaje się wówczas, że nie jest to pierwszy dzień sejmowy, ale że sesja trwa dziwnie długo.

Przed rozpoczęciem pierwszego posiedzenia sejmu ulega się złudzeniu, że na sali zerwie się burza, że suma win zebranych przez opozycję starczy na pioruny do spalenia reżymu. Orkiestra sejmowa gra jednak bez podziału ról. Powtarzanie win osłabia wagę zarzutów. Zresztą zrzęda kolejka pierwszych mówców.

Opuścili życie polityczne mówcy, którzy porywali parlament i społeczeństwo. *Zabierają* głos działacze polityczni, którzy w poprzednich sejmach uchodzili za mówców drugiej klasy. Cała działalność parlamentu ogranicza się do mówienia bez skutku. Opozycja może poprzestać jedynie na wyplakiwaniu, przy czym zbyt ostry szloch zostaje pohamowany przez marszałka sejmu, bo z regulaminu sejmowego czyhają kary na posłów jak na uczni szkolnych. Za każde ostre słowo poseł zostaje bity po kieszeni. Nie pozostaje więc nic innego, jak łkać parlamentarnie, żalić się grzecznie i zamienić ostry ton przemówienia na donośny. Huczy czasem z mównicy bas opozycyjny, ale głos brzmi gwałtowniej niż treść. A wtedy obóz rządowy wysyła na mównicę specjalistę od dudnienia, od wprowadzania zgiełku, posła Sanojcę.

Kluby sejmowe w przeddzień posiedzenia sejmu odbyły już narady. Przygotowano furę wniosków i interpelacji. W ten sposób zimmunizowane zostaną te wypadki życia politycznego, które

210

były przedmiotem rozmów, nie mogąc być tematem pism. Przez kilka dni prasa nabierze nowych kolorów, wyzwoli się z pęt ograniczeń prasowych. Kilka dni czytać będzie można w prasie opozycyjnej wnioski i interpelacje, odbiegające tonem od tekstów artykułów wstępnych.

Ale przerwa sejmowa trwać będzie 30 dni, wyczerpie się materiał drastyczny. Prasa wróci do szarzyzny życiowej i czekać będzie znowu aż otworzą usta sejmowi, aż przemówią posłowie opozycyjni w komisji budżetowej i na plenum sejmu.

W całym mówieniu tkwi jakiś dramat. Gdy słyszy się posła opozycyjnego, przemawiającego z trybuny sejmowej, wyliczającego serię win rządu wobec pustej ławy rządowej i obojętności przerywanej hałasem dwóch lub trzech zawodowych krzykaczy z BB, to ma się wrażenie, że żale te niczym się nie różnią od zawodzeń i skarg na cmentarzu.

Wygląda to smętnie: na wpół puste ławy poselskie, znużony przewodniczący, głos ginący w nieakustycznej sali, warknięcie przeciwnika i wreszcie obojętność własnych towarzyszy, którzy automatycznie oklaskują, ale w duszy czują, że szkoda gadania.

Czasem dojdzie do jakiegoś pojedynku słownego. Zmierzą się ze sobą interpretatorzy, wicemarszałek Car z posłem Strońskim. Odbywa się wówczas rozmowa w stylu galanterii, ale słuszność argumentów nie ma żadnego znaczenia. Decyduje większość zdobyta przez obóz rządowy.

W parlamencie gdzie nie ma ścierania się poglądów, gdzie argumenty opozycji uderzają o większość jak groch o ścianę, gdzie nie ma czaru niepewności i możliwych kombinacji w układzie sił — dyskusja polityczna traci na znaczeniu, bo składa się z monologów, wygłaszanych z obowiązku, bez nadziei skorygowania swoim przemówieniem niezłomnej woli rządu.

Wszystko jest tu z góry znane i wiadome. Zabiorą głos mówcy w porządku kolejnym. Gdy dojdzie do przemówienia posła komunistycznego, dyskusja zostanie przerwana, albo mówca zostanie pozbawiony głosu po pięciominutowym przemówieniu... Sejm przejdzie do porządku dziennego nad różnymi opozycyjnymi wnioskami. Marszałek zapowie odesłanie preliminarza budżetowego do komisji budżetowej, oświadczając, że o terminie następnego posiedzenia posłowie zostaną zawiadomieni pisemnie.

Pytania, które padną pod adresem rządu z dziedziny polityki zagranicznej, wszelka chęć odsłonięcia zamiarów reżymu w dziedzinie polityki wewnętrznej, w sprawie rozwiązania sejmu — pozostaną bez odpowiedzi.

Wszystko bowiem powinno się odbywać zniemacka, zgodnie z zasadami strategicznymi po zaskoczeniu przeciwnika. Odbywa

211

się to bowiem również w atmosferze gry, która musi często starczyć za program.

W jesienne dni rozpoczyna się ostatnia sesja budżetowa sejmu. Czar pożegnania powinien byłby ciążyć nad parlamentem. W te ostatnie dni rząd powinien był obarczyć parlament pracą, by móc pokazać przed społeczeństwem, że większość rządowa dobrze zasłużyła się krajowi, że przyniosła mu w darze ulgi i prawa.

Z pierwszego dnia widać jednak, że rząd nie zamierza ustroić sejmu obecnego w wawrzyn dobroczyńcy, że podsunie mu budżet z nowymi podatkami, który większość sejmowa uchwali bez skrupułów.

Odejdzie? I na to pytanie trudno odpowiedzieć. Kadencja sejmu ma się ku końcowi, ale w preliminarzu budżetowym nie ma pozycji wydatków na wybory. Nie są wobec tego wykluczone niespodzianki, które zostaną zalegalizowane przez odpowiednie interpretacje.

Opozycja szykuje się już do wyborów. Wydaje się jej, że jest to ostatnia kadencja sejmu. Chce się opuścić na krótki czas ten gmach, skąd często spoglądają sztandary żałobne, ogłaszające śmierć posłów i senatorów. Gdy chorągwie czarne powiewają szarpane wiatrem u wejścia sejmu wydaje się, że głoszą one śmierć nie tylko jednego posła, ale że symbolizują coś więcej.

Kilka dni temu sejm żegnał zasłużonego współpracownika diariusza sejmowego Zielińskiego. W godzinach wieczornych ustawiono w dwóch szeregach na podwórzu straż marszałkowską, trzymającą w ręku pochodnie. Smutny to był widok, ale w tym oryginalnym pożegnaniu uczynnego kolegi władze sejmowe wykazały dużo zrozumienia dla ceremonii pogrzebowych. Te pochodnie w ciemną noc na pustym podwórzu, wśród ciszy panującej, z nikłym udziałem posłów, mówiły o jeszcze jednej żałobie. We wtorek 6-go listopada ustaną na jeden dzień sny pogrzebowe. Ożywią się kuluary, dźwięczyć będą dzwonki wzywające na posiedzenie. Trwać to będzie do nocy, gdy woźni sejmowi zgaszą światła, by oświetlić ponownie ponurą salę za dni 30.

3 listopada, 1934.

*Dla kogo?*

10-go listopada wieczorem przy świetłach pochodni maszerowały oddziały w stronę Belwederu.

Spoglądając na przeciaga-

212

jące tłumy, czytając napisy na transparentach, stwierdzić można było, że tylko w państwowych zakładach oraz komunalnych instytucjach robotnicy znaleźli schronisko i mają jakiś byt zapewniony. Prócz robotników zakładów państwowych i urzędników ciągnął sznur młodzieży szkolnej prowadzony przez nauczycieli i dyrektorów. Po drodze nie wznoszono okrzyków. W ciszy dochodziły oddziały do Belwederu. Tam dopiero wiwatowano na cześć marszałka Piłsudskiego.

Dorocznym zwyczajem marszałek Piłsudski nie wyszedł do zebranych. Honory gospodarzy domu pełnili generałowie oraz adiutantura. Tak już się dzieje od lat wielu, że Piłsudski nie wychodzi na dziedziniec, że nie udziela się publiczności, że rzadko zjawia się nawet na rewiach wojskowych. Kiedyś było inaczej. Gdy tłumy przychodziły pod Belweder, gdy w okresie długo trwającego kryzysu rządowego masy pepesowskie demonstrowały na cześć naczelnika państwa i delegacje ustawiały się rzędem na dziedzińcu, wychodził do nich Józef Piłsudski, by przywitać się i rozmawiać z delegatami.

Czasy zmieniły się. Od tego okresu nawet sfery rządzące szukają kontaktu z czynnikiem decydującym, nie zawsze z powodzeniem. Ministrowie przemawiają, składają oświadczenia, ale ciągle w trwożliwym nastroju, czy uzyskają wotum zaufania Belwederu, czy uda się wreszcie dowiedzieć, jakie stanowisko zajmuje w danej sprawie marszałek Piłsudski.

Nie chodzi bowiem o wotum zaufania sejmu — tam większość została już dawno zdobyta — ale o instrukcje czynnika decydującego. Bywa bowiem, że 3/4 jakiejś pracy dokonano w ministerstwach, a w ostatniej chwili trzeba się z niej wycofać. W tajemnicy opowiadają sobie wodzowie, że z Belwederu padło: nie. Trzeba znowu zaczynać od początku i dalej czekać na nową zgodę.

Nie każdy bowiem minister ma możliwość zameldowania się z raportem, zaglądania do oczu i wydobywania najważniejszej dla siebie prawdy: czy postępuje tak, jak życzy sobie czynnik decydujący. Toteż dymisje przychodzą często niespodziewanie, bo uchwycenie nici przewodniej czynnika decydującego napotyka na wielkie trudności.

Od r. 1930 Piłsudski nie zabiera głosu publicznie w żadnej sprawie. Nikt nie wie co on robi, choć każdy domyśla się, że poświęca się polityce zagranicznej i sprawom wojskowym.

Na Zamku w dzień przyjazdu prezydenta powiewa sztandar Rzeczypospolitej. Marszałek Piłsudski zjawia się w Belwederze lub w Giszu (Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych) i nie wolno

213

odda najbliższych, że nie pozwoli na wciąganie do spraw publicznych ludzi, którzy mu są potrzebni.

Któż więc jest następcą? Dla kogo pisana jest nowa konstytucja? Kto zamianuje, a raczej znajdzie tę nową wielkość w Polsce? Czy uczyni to może nowa instytucja b. premierów? Gdy mundur nowego projektu konstytucji zostanie już należycie uszyty, gdy wyrzucone zostaną ostatnie fastrygi, trzeba będzie czekać lata aż pasować będzie na odpowiednią miarę. Przez ten czas mole zjedzą mundur. Życie może wynaleźć inne sposoby rządzenia. Może się zjawić ni stąd ni zowąd społeczeństwo i cofnąć pełnomocnictwa. Wiele lat od przewrotu pisze się, redaguje i przerabia konstytucję. Gdy dochodzi jednak do realnego pytania: co będzie nazajutrz po uchwaleniu, dla kogo piszą, kto zostanie wyposażony we władzę nieomal że boską — panuje głuche milczenie. Bez odpowiedzi na to pytanie uchwalenie projektu klubu BB staje się jedynie pustą formalnością.

Za kilka tygodni rozpocznie się w senacie praca nad uchwaleniem nowego projektu konstytucji. Senat przekaże projekt sejmowi. Większość sejmowa postara się by projekt został ustawą w rocznicę 26-go stycznia. A później trapić będzie w dalszym ciągu zagadka. Ustawa będzie poszukiwać nie tyle autora ile bohatera, którego tymczasem nikt nie widzi.

12 listopada, 1934.

#### *Nieprzyjacielska dyskusja dwóch pism sanacyjnych*

Coraz częściej dochodzi w obozie sanacyjnym do wymiany zdań. Jeszcze dwa lata temu ujawniał kulisy jedynie przedstawiciel kierunku konserwatywnego Cat ze „Słowa” wileńskiego. W br. przyłączył się do dyskusji „Czas” krakowski, krytykując ostro niektóre zarządzenia rządu.

Na wszystkie ataki odpowiadała „Gazeta Polska”, urzędowy organ klubu BB, a wystąpienia „Słowa” traktowano na ogół jako odruchy „swawolnego Dyzia”.

De chóru opozycyjnego zapisał się między innymi „Kurier Poranny”. Test to opozycja osobliwa, nie przypominająca w niczym kierunków krytykujących rząd ani z lewa ani z prawa. Sfery miarodajne powołały ten organ dla urzędowego pełnienia funkcji opozycyjnych, uważając, że ani lewica, ani prawica nie

215

adiutanturze podawać żadnych szczegółów o miejscu pobytu, o gościach przyjętych.

Czy przyjmuje premierów? Wtajemniczeni opowiadają, że raz na miesiąc zjawia się premier z raportem w Belwederze lub w Giszku, ale żaden z premierów nie może odpowiedzieć na pewno, czy po raporcie zdobył aprobatę. Czynnikiem decydującym nie zjawia się na posiedzenia Rady Ministrów. Nieraz dekrety spoczywają w generalnym inspektoracie po kilka tygodni. Mówią, że ostatnie dekrety nie były zatrzymywane w Belwederze — widzą w tym dowód zaufania dla obecnego premiera.

Nikt jednak nie może wejść na trybunę sejmową i oświadczyć, że taka jest wola czynnika decydującego. Nie zdołał tego uczynić najwierniejszy towarzysz Walery Sławek, przedkładając sejmowi projekt konstytucji klubu BB. Gdy wreszcie w ciężkich zmaganiach, fortelem strategicznym, przy pomocy kunsztu, wydobyto, a jak mówi opozycja, wycyganiono uchwalenie projektu, gdy po długich staraniach udało się prezesowi klubu BB uzyskać audiencję i wreszcie usłyszeć zdanie Belwederu, marszałek Piłsudski, niczym Dawid podczas wojny, gdy go żołnierze uraczyli wodą zdobytą, oświadczył, że nie chce takiej ofiary, że nie zamierza skorzystać z pomysłu militarne elitarnego skonstruowanego przez prezydium BB. Projektodawca wrócił stropiony. Znowu wzięto się do pracy. Teraz przysięgają wtajemniczeni, że już wszystko się uda, choć boją się, że w ostatniej chwili nastąpi zahaczenie.

Najbliższych trapi myśl, czy istotnie konieczne jest uchwalenie tej nowej konstytucji. Nie jest ona potrzebna czynnikowi decydującemu, przed którym od r. 1926 pochylają się jako przed Marszałkiem nie tylko sztandary pułkowe, ale i ustawy. Zgina się w kabłąk nawet konstytucja, gubiąc po drodze prawa parlamentu

Dla kogo więc? Czy dla następcy? Gdzie on? Czynnikiem decydującym nie nazwał po imieniu następcy, nie widać takiego, dla którego nowy mundur konstytucyjny nie byłby za szeroki.

Sowiecka Encyklopedia starała się odgadnąć myśl Belwederu. Na stronie 547 Małej Sowieckiej Encyklopedii czytamy między innymi: „Rydz Śmigły, prawa ręka Piłsudskiego i prawdopodobnie jego następcą”. Oczywiście nie możemy traktować dosłownie wskazań Encyklopedii, tym bardziej, że marszałek Piłsudski oszczędza ludzi wojska, trzyma ich jak gdyby w cieniu i nie chce puszczać ich na wody polityki aktualnej.

Ileokroć mówi się o zmianach w rządzie i wypływają nazwiska generałów, znawcy twierdzą, że czynnikiem decydującym nie

214



umieją spełnić należycie swego obowiązku. „Kurier Poranny” miał zostać profesorem nauk opozycyjnych. Krytyczne wystąpienia „Kuriera Porannego” nie spotykały się dotychczas z zastrzeżeniami urzędowego obrońcy klubu BB. Każde pismo miało swoje określone funkcje. Sztywna „Gazeta Polska” broniła rządu, składała deklaracje w sprawie polityki zagranicznej, dając korespondencje z całego świata z wyjątkiem Polski. Tylko na ostatniej stronie w dziale ogłoszeń komorników sądowych odzwierciedlała również sytuację gospodarczą w kraju. Ten dział przekreślały często różowe biuletyny Instytutu Koniunktur Gospodarczych, optymistyczne przemówienia premiera lub ministra skarbu, umieszczone na pierwszej lub drugiej stronie pisma.

„Kurier Poranny” powołany został do roboty krajowej, do funkcji lekkiej kawalerii, z przywilejem uprawiania drobnej opozycji, oczywiście, za zezwoleniem sfer miarodajnych. Redaktor „Kuriera Porannego” Wojciech Stpiczyński nie mógł zresztą inaczej. Założyciel „Głosu Prawdy” był stale w opozycji i nawet po przewrocie majowym uderzał w miarodajnym piśmie codziennym w konserwatystów, duchowieństwo itp. Wiedzą wszyscy, że nie tylko choroba, ale i pewne warunki sprawiły, że obecny redaktor „Kuriera Porannego” wystąpił z „Głosu Prawdy”. Sama nazwa tego pisma raziła sanację spokrewnioną z konserwą. Obecny wiceminister skarbu Koc podjął się wówczas likwidacji „Głosu Prawdy”, podejmując się niemiłej funkcji spłacania długów, ale za to powstał organ pułkowników, poważny, solidny, bez liberalnych odchyłeń.

Redaktor Wojciech Stpiczyński nie dał jednak za wygraną. Przyjaciół zabitego ministra Bronisława Pierackiego, zdołał z biegiem czasu stworzyć sobie codzienny organ polityczny. Zdawało się, że między „Gazetą Polską” a „Kurierem Porannym” nie ma żadnej konkurencji. Wojciech Stpiczyński był kolegą obecnych współpracowników „Gazety Polskiej”, a jednak doszło do wymiany zdań. Redaktor Stpiczyński poruszył najniemniejniejszy temat, że bywają wypadki, iż nauczyciele biją dzieci w szkole. Nie uogólniał, przytaczał jedynie przykłady pojedyncze, nie mówił, broń Boże, o tym reżymie, że opiera swój system na biciu, na przymusie i na gwałcie. Wręcz odwrotnie, prosił o wyjaśnienia. Domagał się oświadczenia ministra oświaty i w kilka dni później otrzymał list od swego przyjaciela ministra Wacława Jędrzejewicza. A jednak „Gazeta Polska” nazwała ten artykuł „niezasłużonym oskarżeniem”, twierdząc, że wszystko, co pisze Stpiczyński nie jest prawdą tzn., że „nie fakty są nieprawdziwe, ale ich charakter jest styczeń”. Zestawiono Stpiczyńskiego z pisarzem Uniłowskim, a więc z literatem, przeciwko któremu utworzony został wspólny front „Gazety Warszawskiej” i „Polski Zbrojnej” za felieton z wojska w „Wiadomościach Literackich”.

Już z tego zestawienia wynika, że „Gazeta Polska” jest niezadowolona z ostatnich posunięć „Kuriera Porannego”. W całej dyskusji przyznać trzeba, że słuszność jest po stronie „Gazety Polskiej”. Cóż bowiem zarzuca „Gazeta Polska” „Kurierowi Porannemu”? „Wycelowano tyle piór przeciw muchom, a tak niewiele strzela się do słonia, a nawet do mamutów, które spokojnie spacerują po Polsce”.

Zarzut jest słuszny. Jeśli wyrazem opozycji ma być pretensja, że gdzieś tam biją dzieciaka, to wszystko jest w porządku, wszystkie sprawy zostały w takim razie załatwione i chodzi o załatwienie tylko jednego odcinka. Są istotnie sprawy ważniejsze, o których należałoby mówić. Sprawy należy poruszać zasadniczo, a nie w ramach drobnych epizodów.

Ale tu zachodzi pytanie, czy „Gazeta Polska” zagwarantuje dziennikarzom i pismom możliwość poruszania spraw zasadniczych. Przecież\* nie przypadkowo uderza część prasy w prezydenta miasta Warszawy, bo krytykowanie zasadnicze w innych dziedzinach jest niedopuszczalne i niemożliwe. Jeśli przedmiotem ostrego ataku jest szczególnie magistrat warszawski, to tylko dlatego, że łatwiej jest uderzać w Plac Teatralny ze strony Ratusza, niż nawet w sąsiedni gmach tej ulicy (gdzie mieściła się defensywa i więzienie). To przyczynia się do zwężenia tematów, do uciekania od spraw zasadniczych, ważnych, ogólnopolskich do zagadnień drobnych.

Za carskich czasów Ehrenberg był skazany na pisanie recenzji teatralnych w „Kurierze Porannym” i tam ujawniał swój gniew i opozycję, bo poza teatrem nie istniała żadna dziedzina, o której można było swobodnie i bez przeszkód rozprawiać. Chowano się więc za Kordianem Słowackiego, przemawiano politycznie w recenzjach teatralnych ze sztuk Shawa. W takich warunkach rzeczy podrzędne stają się sprawami głównymi; i wtedy to proces hrabiego Ronikiera był najważniejszym tematem w dziejach

Warszawy.

Są pisma dość sprytnie (np. IKC), wiedzące, że nalefey trzymać czytelnika w jakiejś tam opozycji, że lepiej trawi, gdy ma powód z rana do niezadowolenia. Uderzają więc w „warsza-wistów”, w Czechów, biją przeciwnika, który nie może się bronić i dają tym samym namiastkę opozycji. Zakres tematów do martwienia się został ograniczony. Trwa to już dość długo i weszło tak w krew prasy, że gdyby otworzono jej nawet usta

216

217

usłużnie projekt ustawy we wszystkich trzech czytaniach i byłyby gotowe dodać nawet i czwarte czytanie. Czemuż więc ten gniew, dlaczego dyskusja w prasie sanacyjnej nie zatrzymała się na zagadnieniach donioślejszych dla podatnika, na nowych przedłożeniach podatkowych, wniesionych przez min. skarbu Zawadzkiego? Dlaczego zatrzymano się akurat przy ustawie bibliotecznnej i stworzono sztuczny tłok przy zagadnieniu mniej ważnym, choć inne sprawy budzą więcej wątpliwości?

Klub BB zgłosił do sejmu projekt konstytucji, w senacie referent Rostworowski odczytał poprawki do tego projektu. Dlaczego w sprawie tej nie zabrał głosu ani jeden publicysta sanacyjny, choć czynnik decydujący miał już wątpliwości i domagał się usunięcia „elity” z projektu uchwalonego w sejmie mimo urzędowego oświadczenia, iż marszałek Piłsudski życzy sobie publicznej dyskusji w tej sprawie?

Sfery miarodajne przygotowują projekt reorganizacji administracji. Trudno ustalić dokładnie o co chodzi w tym projekcie. W każdym razie wiadomo już, że władze administracyjne otrzymają nowe przywileje kosztem społeczeństwa i nikt z prasy urzędowej nie zastanawia się, czy nie należałoby wszcząć dyskusji na ten temat. Ciągłe toczą się rozprawy na tematy uboczne, a nigdy w sprawie zasadniczej.

Dyskusję tę można byłoby więc zostawić na uboczu, gdyby nie jedna okoliczność, że zabrał w niej głos b. premier i minister oświaty Jędrzejewicz, że odpowiedział mu ostro b. min. skarbu Matuszewski.

Premierzy pomajowych rządów nigdy nie są przedmiotem ataków lub krytyki w prasie sanacyjnej.

Odchodzą, bo taka jest wola czynnika decydującego, ale na zewnątrz pozostaje szacunek i poczucie hierarchii. Każdy odchodzący premier otrzymuje jakąś zaszczytną funkcję lub stanowisko.

Obecna działalność premiera Jędrzejewicza jest mało znana ogółowi. Na posiedzeniach sejmu nie zajął pierwszego miejsca na ławach BB. Miało się wrażenie, że znikł, choć w pismach ukazały się wiadomości, że poświęcił się działalności wśród młodzieży, że w dalszym ciągu będzie się zajmował sprawami kulturalnymi, że ma nie tylko przemożny wpływ w resorcie swego brata min. oświaty, ale prowadzić będzie robotę na dalszą metę.

Jeszcze rok temu b. premier Jędrzejewicz prowadził robotę na szeroką skalę. Czynił wrażenie Peryklesa, który chce przeistoczyć Polskę w Ateny, stworzył Akademię Literatury.

Miało się wrażenie, że chce zrealizować swe teozoficzne poglądy o rozanieleniu ludzkości, że przywiązuje wiele wagi do czynnika irracjonalnego, do tego mistycyzmu, który jest tak popu-

219

i pozwolono mówić zupełnie otwarcie okazałoby się, iż dotknięta ona została nieszczęściem parlamentu polskiego, że nie umie już mówić zasadniczo, że oduczyła się poruszania spraw w ramach szerszych.

W tej dyskusji, która toczy się między „Kurierem Porannym” a „Gazetą Polską” raczej ma ta ostatnia.

Poszczególne wypadki bicia istotnie nie mogą być powodem do rozdzierania szat. Trzeba byłoby mówić nie tylko o biciu, ale, nie daj Boże, może i o dyktaturze. Ale należy to do tematów, które rozgniewałyby nie tylko „Gazetę Polską”, ale i ową ważną osobę oglądającą pismo zanim ono ukazuje się na ulicy. W samym końcu jednak powstaje pytanie: dlaczego doszło do tak ostrej wymiany zdań, dlaczego gniewa się „Gazeta Polska”, gdy porusza się temat bicia? Pewnie tylko dlatego, że z epizodycznego traktowania przez „Kurier Poranny” opozycja przeszła do zasadniczego omawiania tych spraw, że najniewinniejszym artykułem dano zer opozycji do mówienia nie tylko w sprawie bicia dzieci szkolnych. Artykuł urzędowego organu klubu BB brzmi jak upomnienie „nie wy-• wołuj wilka z lasu”; i słuszność jest po stronie „Gazety Polskiej” 24 listopada, 1934.

*Sztuczny tłok czyli ustawa o bibliotekach*

Od kilku tygodni toczy się gorączkowa dyskusja na łamach prasy sanacyjnej. Mężowie stanu na urlopie: b. premier Jędrzejewicz, b. minister skarbu Matuszewski, b. wicemin. spraw wewnętrznych, Jaroszyński, oraz wybitni krytycy, literaci i publicyści toczą zawzięte boje o sprawę, która, zdawałoby się, nie jest bardzo aktualną w końcu roku 1934. Tematem dyskusji jest ni mniej ni więcej — ustawa o bibliotekach. Właściwie można byłoby na wstępie zadać pytanie pod nazwą „Kogo”? Kogo to obchodzi? Kogo obchodzić może projekt ustawy o bibliotekach, jeśli nawet zahacza o nowy podatek. Płatnika podatkowego przyzwyczajono już od wielu lat do serii podatków, do dodatków od podatków. Podatki i fundusze ściąga się we wszelkiej postaci, licząc na to, że „fundusz cierpliwości” podatnika nie ulegnie wyczerpaniu.

Jeszcze jeden podatek piętnastogroszowy, jeszcze jeden haracz byłby przeszedł bez echa. Ciała ustawodawcze uchwałyby

218

larny w chwili obecnej w pewnych sferach miarodajnych i dodawał tyle blasku i znaczenia Ossowieckiemu i innym jasnowidzom. Wirujące stoliki wracają i wielu ludzi, nie znajdując rozwiązania trapiących zagadnień w drodze normalnej szuka odpowiedzi w transach mistycznych.

Walczący o dusze b. premier Jędrzejewicz domagał się przeto forsowania ustawy o bibliotekach, powołując się na autorytet prezesa klubu BB. Mimo to został w „Gazecie Polskiej” ostro skrytykowany, choć jest byłym premierem, choć zasłaniał się autorytetem.

Krytyka ta jest tym bardziej charakterystyczna, że premierzy pomajowi okazywali pewną drażliwość wobec krytyki i gniewała ich nawet przyjacielska karykatura umieszczana w organie klubu BB. Ileż to było sarkania, gdy w „Gazecie Polskiej” ukazała się karykatura premiera Prystora, mimo iż intencja była jak najlepsza.

Mniejsza o to kto staje w obronie ustawy o bibliotekach, kto jest jej przeciwnikiem. Zrealizowana ustawa skończyłaby się nowym podatkiem, popieraniem zetatyzowanych pisarzy bez pożytku dla literatury.

Namiętna kłótnia redaktora Stpiczyńskiego z Matuszewskim, Boya z Jaroszyńskim, biadania Kadena Bandrow-skiego, nieszkodliwy spór w rodzinie prowadzony, jak gdyby istotnie szło o rzeczy poważne, dowodzi jedynie, jak zamknięty jest krąg tematów, którymi wolno się publicznie zajmować.

W r. 1927 b. minister Matuszewski pod pseudonimem Ogińskiego walczył w „Głosie Prawdy” przeciwko parlamentaryzmowi, walczył o zasady *rządzenia*. Dziś sprawy zasadnicze zostały już przesądzone. Mówi się o zagadnieniach drugorzędnych, udając, że są to sprawy podstawowe.

Mówi się o funduszu na cele biblioteczne i podkreśla się słusznie, że społeczeństwo nie ma już pieniędzy na nowe fundusze. W dyskusji tej nikt nie odważył się zwrócić uwagę, że w ramach obecnego budżetu, przy dokonaniu należytego „yirement”, można przerzucić dużo milionów z działu opancerzonego i nie-tykalnego na cele kulturalne, bez potrzeby uciekania się do specjalnego funduszu na opłaty szkolne, bez rodzenia nowych funduszy i płodzenia podatków bez miary.

Ale to są sprawy zasadnicze. W chwili zaś obecnej wolno się gorączkować i roznamiętniać przy sprawach drugorzędnych, wolno się kręcić w zamkniętym kole, omijając najogólniej zagadnienia zasadnicze, stwarzając sztuczny tłok tam, gdzie nie warto się pchać, jak np. przy projekcie ustaw o bibliotekach.

31 grudnia, 1934.

220

### *Bitwa o Żyrardów*

Naczelnny publicysta „Gazety Polskiej” ostro zaatakował Boussaca, właściciela przeważnej części akcji żyrardowskich. Wśród różnych słusznych zarzutów znalazło się również naiwne żądanie wobec kapitału, aby jego przedstawiciele przestrzegali zasady moralności w interesach. Toczy się śledztwo. Manipulacje finansowe i podatkowe zakładów żyrardowskich są przedmiotem szczegółowych badań. Sprawę prowadzi znany z 1930 r. (aresztowanie posłów i wysłanie do Brześcia) sędzia śledczy przy sądzie apelacyjnym Demant.

Bitwa o Żyrardów toczy się w Polsce z pewnymi przerwami od wielu lat. Zburzoną przez Rosjan fabrykę odbudował z biegiem czasu rząd polski, ale po pewnym czasie zgłosił się rzekomo prawowity właściciel po swoją własność. Posiadacz większości akcji wszedł w posiadanie fabryki, zapłaciwszy drobne odszkodowanie. Ówczesny minister skarbu w *rządzie* chienio-piasta, Kucharski, zaakceptował powyższą transakcję. Nie udało się przedstawicielowi większości sejmowej, posłowi Moraczewskiemu, postawić Kucharskiego w stan oskarżenia przed trybunałem stanu. Nie było większości kwalifikowanej, a mimo to atak ten utrudnił pozycję narodowej demokracji. Był to pierwszy bój o tak zwaną sanację stosunków.

Rzecz zrozumiała, że walka ta miała tło polityczne i torowała drogę przyszłym sanatorom do władzy.

Wojna ta nie dobiegła końca. Żyrardów wraca kilkakrotnie na porządek dzienny. Do różnych ofiar bitwy o Żyrardów przybył ostatnio znany działacz A. Lednicki, który popełnił samobójstwo. Trudno przypuścić, że Żyrardów jest szczególnym wyjątkiem, ośrodkiem scentralizowanego wyzysku wśród gromady dobrodziejów i łaskawych dla robotnika fabrykantów. Recepta Kadena Bandrow-skiego o Kostryniu, o krwiożerczym kapitale zagranicznym przyczyniła się zbyt jednostronnie do oczyszczenia kapitalistów krajowych.

Kapitał francuski w Polsce miał oczywiście swe szczęśliwe czasy. Za „wyzwolenie” Polski, za konwencję wojskową, za tzw. „parszywe pożyczki”, za starą dość często broń, płacono bardzo drogo. Posłowie rządu francuskiego, konsulowie, a nawet szarzy obywatele francuscy interweniowali zawsze szczęśliwie przy ulicy Wierzbowej. Sojusz suwerena z wasalem obowiązywał. Wasal musiał płacić wszystkie koszta przyjaźni, a ceny były słone.

Dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat zmienia się sytuacja. Do interwencji w sprawach gospodarczych jest używany ambasada-

221

wają się wzajemne wizyty floty, lotników. Odbywa się zabawa w angielską dżentelmenerię. Grano na Wierzbowej według sztuki Jewreinowa: „To co najważniejsze”, udając, że decydują rzeczy nieistotne, że wizyty na Polu Mokotowskim i w Leningradzie odwrócą uwagę od istotnych posunięć Becka. A przecież sprawa negocjowania paktu wschodniego przez Wierzbową doprowadziła do mocnego zadrażnienia stosunków polsko-sowieckich.

W stosunkach dyplomatycznych polsko-francuskich zasłona dymna przestaje odgrywać rolę należyta. Stosunki polityczne mają sprawdzian w stosunkach gospodarczych. Odbywa się sprawdzanie rentowności (*prowierka rublom*) uczuć polsko-francuskich. Rachunek wypadł opłakanie. Członek rady nadzorczej Żyrardowa, senator Dobiecki, staje przed sądem marszałkowskim. Będzie pokutował za własne winy, ale w czasach dzisiejszych odpowiada nie tylko jako przedstawiciel mniejszości polskiej w Żyrardowie ale jako autor paktu polsko-francuskiego na tym terenie w chwili, gdy wszelkie pakti inicjowane przez Francję zostają torpedowane. Toczy się bowiem bitwa nie tylko o Żyrardów.

4 sierpnia, 1934.

223

dor Francji, ale nie zawsze ze skutkiem. Czasem dochodzi do wymiany zdań, do dość dosadnych uwag ze strony Wierzbowej, iż nie przystoi naciskać w sprawach prywatnych.

Skutki tych wizyt odpowiadają obecnemu stanowi stosunków polsko-francuskich. Minister spraw zagranicznych Barthou przyjeżdża do Polski nie tylko ze spisem spraw politycznych, ale ma oddzielny spis spraw gospodarczych. Mąż stanu Francji musi z ubolewaniem stwierdzić, że te rzekome drobne sprawy gospodarcze nie *dadzą* się oddzielić od spraw politycznych, że gdyby stosunki polityczne wyjaśniły się należycie, nastąpiłoby również całkowite uregulowanie spraw gospodarczych. Nie byłoby może zatargu z elektrownią, która należy do kapitału francuskiego, nie wyskoczyłyby zatargi w hutach należących do Francuzów, nie wylazłaby znowu sprawa żyrdowska.

Każdy wyczuwał, że expose pana premiera Kozłowskiego ustęp o kapitale zagranicznym nosił charakter polityczny, że między wierszami tego ustępu można było wyczuć stan barometru politycznych stosunków polsko-francuskich.

W dzień wyjazdu premiera Kozłowskiego na dłuższy urlop wypoczynkowy wybuchła wojna żyrdowska. W dzień później min. Beck przyjął ambasadora Francji pana Laroche. Nikt nie zna tematu rozmów. Może mówiono również i o pakcie wschodnim skonstruowanym przez Barthou dla otoczenia Niemiec. Być może pan ambasador Laroche zainteresował się przyszlą wizytą premiera węgierskiego Goembesza w Warszawie. Jest bowiem dużo powodów do znaków zapytania i wykrzykników. Prasa francuska daje wyraz zaniepokojeniu, uważając, że gra z Niemcami, rozpoczęta jedynie dla zbudzenia uczuć zazdrości we Francji, przestaje być grą. Zasmakowano tak dalece na Wierzbowej w tych uczuciach, że stały się nawet zapowiedzią poważnej miłości. Jest już według tej prasy za późno na robienie scen i wyjaśnienie sytuacji. Pan ambasador Laroche ma, jak widać, dość poważny rejestr spraw do omówienia z ministrem Beckiem, ale kwestii nie ulega, że zahaczył o Żyrardów, ilustrujący częściowo stan stosunków polsko-francuskich. W sprawach sportowych odzwierciedlił się stan stosunków polsko-czeskich. Z polskiej strony wołano raczej dołożyć, pokryć straty z powodu niedotrzymania terminu niż wysłać drużynę polską do Pragi Czeskiej. Zagrano po pańsku, po szlachecku. W stosunkach polsko-francuskich zagrano po kupiecku. Przypomniano kompleks spraw gospodarczych, wyliczono litanię krzywd polskich i zakończono poważną grą, bo bitwą o Żyrardów.

Rozdrażnienie występuje wyraźniej niż w stosunkach z Sowietami, gdzie na razie obowiązują maniery dżentelmeńskie, odby-

222

## 1935

15

oainstwowca Padł tak, jak oskarżeni o nadużycia osobiste senator WyroTtek Dobiecki, jakkolwiek tło walki jest zupełnie mnę. Nikt nie zazucil mu nadużyć ani działań dla materialnych korzyść! Jednak popadł w ostry konflikt z < \*\*

nistracji politycznej i szkolnej". Naruszył więc cześć nieskalanej j wpływami politycznymi, niezależne, admmfracjL są więc słuszne. Będzie to nauka dla wszy.

ców choćby zasługi ich w przeszłości były nie

' sŁan<sup>y</sup>o w ten sposób legionisty piłsudczyka, niej chwili, a nawet w dzień ogłoszenia wyroku w nie

przysięgał wierność ideologii piłsudczykowskiej, ^Zlikwidowano człowieka! który się tak zapierzyl w walce z J^f^fJT likwidowaniu przeciwników, że nie ma dokąd wrócić, że poza  
227

**L** obozem, do którego należał nie może widzieć ani jednego przyjaciela. Nie może się nawet skarżyć na metody, bo w walce politycznej prowadzonej od 1926 r. sam się ich imał. Był wierny obozowi przez cały czas. Na rozkaz piłsudczyków wybrany został z ramienia stronnictwa ludowego jako poseł na sejm. Z rozkazu opuścił klub Witosa i wstąpił do stronnictwa chłopskiego. Brał czynny udział we wszystkich walkach parlamentarnych, które były uwertura do przewrotu majowego, a zwłaszcza, w niezrozumiałej wówczas dla szerokiego ogółu akcji, przeciwko opracowywanej ustawie o naczelnych władzach wojskowych. W bojach tych odznaczył się poseł Miedziński, walczył obecny minister spraw wewnętrznych, wówczas major Kościółkowski, ale brał w niej czynny również udział wierny piłsudczyk, b. delegat na konferencję pokojową w Rydze, major Polakiewicz. Gdy po zwycięstwie trzeba było zdobywać zwolenników dla obozu rządowego, major Polakiewicz *działał* w szeregach stronnictwa chłopskiego. Rozsadzał klub, odrywał posłów, zdobywał rzeczników i wyszedł zwycięzcą przy wyborach w r. 1928.

Stu kilkunastu posłów zjawilo się wówczas w sejmie pod wodzą prezesa pułkownika Sławka. Byli karni, oddani i wierni. Gotowi byli rozbić nieprzyjaciela wszystkimi sposobami. Chętnie usłuchali rozkazu wysadzenia sejmu od wewnątrz, a więc przez bójki, zrywanie posiedzeń, obstrukcje, a czasem nawet przez powołanie się na nowy regulamin.

Karnym żołnierzom, majorom i pułkownikom było łatwiej dwa razy uderzyć, niż raz przemówić. Trzeba było jednak posiadać i mówców. Do pracy tej użyto posłów, którzy już mieli pewną praktykę parlamentarną. Wykonywali ją posłowie Miedziński i Polakiewicz. Pierwszy z większą wytwornością przypominającą ćwiczenia fechtunku, drugi prosto, bezpośrednio i z sercem. Gdy trzeba było cytować regulamin, gdy zachodziła konieczność wszczynania burdy w kuluarach, gdy padł rozkaz rzucenia ostrzejszych oskarżeń pod adresem sędziwego b. marszałka Trąpczyńskiego, czynił to Polakiewicz. Miało się wrażenie, że w czasie bojów posuwał się za daleko poza linię nieprzyjacielską, dalej niż nakazywała taktyka własnego klubu. Dokuczał opozycji przy każdej okazji. Dowodził grupą, która dopiero pod jego kierunkiem stawiała pierwsze kroki na terenie parlamentaryzmu, a towarzyszyli mu wiernie, dawny poseł Cieplak i b. redaktor Walewski.

Było jednak coś tajemniczego w stosunku prezydium klubu do jego osoby. Dla dokładności należałoby może nie używać terminu „prezydium klubu”, a raczej stwierdzić, że ci, którzy mieli wpływ na przesunięcia i nominacje, na wysuwanie i usuwanie

**228**

ministrów, nie korzystali z talentu posła Polakiewicza i pozostawiali mu jedyne pole do działalności — parlament.

Na zewnątrz nie można było tego spostrzec, ale najbliżsi wyrażali żal, że Lolo nie wysuwał się, gdy poseł Miedziński został już ministrem poczt i telegrafu.

Wszystkie łaski spadły jednak na głowę Karola Polakiewicza po wyborach w r. 1930. Poseł Miedziński nie był już ministrem, spełniał, jak sam się przyznaje, skromne funkcje na terenie sejmu i jako naczelny redaktor „Gazety Polskiej”, a Karol Polakiewicz posuwał się coraz wyżej. Wybrano go wicemarszałkiem sejmu. Został powołany na stanowisko prezesa komisji administracyjnej. Był przewodniczącym grupy BB w komisji budżetowej, ale więcej niż ze wszystkich tytułów dumny był z jednego zaszczytu: referenta budżetu ministra spraw wojskowych marszałka Piłsudskiego. Wprawdzie Piłsudski nie przyjmuje już referentów budżetowych sejmu dla omówienia budżetu ministerstwa. Rzadko konferuje z „pyskaczami sejmowymi”, ale kto wie: a nuż wezwie jednak referenta do siebie, przecież tyle by się dało za możliwość bezpośredniej rozmowy. To starczy za rangę, za zaszczyt siedzenia w rządzie, w którym nigdy się nie zjawia Piłsudski na posiedzeniach rady ministrów. Marzył o tym pewnie Karol Polakiewicz, który przecież towarzyszył Piłsudskiemu w 1925 r. w Druskie-nikach i dostąpił później zaszczytu, że marszałek trzymał do chrztu jego dziecko.

Mógł już nie marzyć o żadnych większych zaszczytach, syt sławy parlamentarnej. Reszta przy szłaby z czasem: wszak towarzysz jego, major Kościółkowski czekał dość długo aż przyszedł dzień powołania go na stanowisko min. spraw wewnętrznych przy milczącej zgodzie klubu BB. Na przeszkodzie stanęła jednak zbyt duża aktywność, zbyt duże angażowanie się. Na posiedzeniach komisji budżetowej sejmu zawsze zabierał głos, ciągle polemizował, stale wykazywał znajomość rzeczy w różnych dziedzinach życia państwowego.

Na terenie grupy ludowej był niemniej czynny. Wydarł koszule zielone stronnictwu ludowemu i starał się o organizowanie „wojska chłopskiego” do dyspozycji klubu BB. Obok tworzyły się inne wojska chłopskie, bardziej popierane przez czynniki miarodajne. Wziął się do roboty ludowej książę pan Janusz Radziwiłł, organizował hufce chłopskie książę Dynasów Row-niund Piłsudski, ubrany w piękny strój niczym dowodzący wojskami księstwa Monaco (urządził 1-szy pokaz wojska ludowego na Dynasach).

W tym nierównym boju o wpływy na wsi został pokonany dawny działacz stronnictwa ludowego Karol Polakiewicz. Home-ryckie boje z przeciąganiem hufców wroga na swoją stronę, walka

229

o duszę b. ludowca Dzendzla i inne tajemnicze kłótnie grup ludowych sanacji nadawały się do humoreski. Uboga, tonąca w nędzy, dobijana podatkami, obciążona długami, wieś polska stała się przedmiotem sporu grup, których wpływy były bardzo znikome, jeśli nie mówić o wpływach materialnych ze znanych źródeł. O bojach tych nie wiedzano by wiele, gdyby nie prasa tych grup. Tak się bowiem dzieje w klubie BB, iż walki wewnętrzne rzadko dochodzą do wiadomości ogółu. Pokonani cicho opuszczają plac boju, wznosząc okrzyki na cześć Marszałka i wracając na każde wezwanie.

Można było w ciszy załatwić zatarg z wicemarszałkiem Po-lakiewiczem i rzucić rozkaz, by poddał się, wyrzekając się działalności ludowej. Sprawa byłaby skończona. Mówią jednak, że poseł Polakiewicz po pewnym czasie zadumał się nad całokształtem swojej działalności. Wydawało mu się, że obdarzony tytułami wicemarszałka, prezesa komisji administracyjnej, przewodniczącego grupy BB w komisji budżetowej, a nawet referenta budżetu spraw wojskowych stanowi jednak mało wobec ukrytych figur, wydających rozkazy i dysponujących nawet jego osobą

Chciał nadać treść istotną swoim iluzorycznym tytułom. Mógł się bowiem dziwić, że postawiony tak wysoko w parlamencie wie tyle, co wszyscy szeregowcy w jego obozie, ma takie wpływy na zredagowanie konstytucji, co zwyczajni szaraczkowie w jego klubie, a mniej znany poseł Podoski wysuwa się naprzód i zna tajemnice nie tylko konstytucji, ale i ordynacji wyborczej.

Walka o nadanie treści formalnym tytułom skończyła się fatalnie. Od roku trwał sąd nad wicemarszałkiem Polakiewiczem. Nie był to nawet sąd klubowy. Odbywało się to przedtem w ciszy, ale później dochodziły coraz wyraźniejsze wieści. Wicemarszałek Polakiewicz przestał przewodniczyć, nie zwoływał posiedzeń komisji administracyjnej, nie wchodził na mównicę sejmową by dokuczyć opozycji, choć liczba mówców klubu BB jest bardzo ograniczona i zachodzi konieczność eksploatowania Sanoj-cy przy każdej okazji. Poseł Polakiewicz nie zasiadał już w pierwszym rzędzie na sali posiedzeń w sejmie. Najgorszym ciosem było jednak pozbawienie go referatu budżetu spraw wojskowych.

Rozpoczyna się dyskusja w komisji budżetowej sejm, tyle jest okazji do przemawiania, do oświadczenia w imieniu klubu, ale prezydium klubu BB zabroniło mu zabierania głosu: raz tylko odezwał się przy rozważaniu budżetu o kwaterunku wojskowym. Na tym urwało się.

Aż ogłoszono wyrok. Gdyby wicemarszałek Polakiewicz przyjął milczeniem uchwałę prezydium — wyrok nie byłby opublikowany. Odszedłby tak jak wszyscy, którzy na rozkaz zewnętrzny

230

muszą się usunąć. Poseł Polakiewicz chciał zginąć w walce, czekał na usunięcie publiczne choć wie, że nikt w klubie (łącznie z jego dawną grupą ludową) nie wstawi się za nim, że gra jest nierówna, że odchodząc nie ma dokąd wracać.

Poseł Polakiewicz przyjął walkę, nie zrzekł się mandatu, ani tytułu wicemarszałka. Czekają na uchwałę pełnego klubu. Za kilka dni zbierze się sejm. Czy wejdzie na mównicę sejmową, by w nowej roli bronić się wobec uchwały sądu i prezydium? Czy stanie na plenum sejm, twarzą do b. kolegów i powie wszystko, co zebrało się w nim w ciągu ostatniego roku? Czy przerwą mu głosy tych, którymi dowodził jeszcze niedawno? Poseł Polakiewicz wziął urlop. Być może do tego czasu zostanie zamknięta sesja sejmowa i sprawa zostanie załatwiona na innej drodze. Akcja przedwyborcza zbliża się i klub BB uczyni wszystko, by nie dostarczyć opozycji gratki nielada, by publicznie nie oświetlić rzeczy, które są przedmiotem troskliwych rozmów w zacisznych gabinetach przy rozważaniu zagadnień czystek.

25 lutego, 1935.

*Umorzenie zaległości programowych*

*Jest ktoś, co mnie wiąże do roli i ktoś, co mnie od roli odrywa.*

*Jest ktoś, co mi skrzydła rozwija i ktoś, co mi skrzydła pęta.*

*Jest ktoś, co mi oczy zakrywa i ktoś, co światło ciska.*

(Wesele — Wypiańskiego)

Sejm, podatek gruntowy, szarwark, podatek od tłuszczu, nowe podatki od uposażeń, ustawa o pełnomocnictwach, a nawet widmo przyszłej konstytucji — cóż znaczą te zagadnienia, te wszystkie sprawy wobec doniosłej ustawy o rozbudowie siły zbrojnej w Niemczech. Wypadki polityczne rozwijają się w szybkim tempie, a jednak decyzja ta zaskoczyła całą Europę, prócz Polski, gdzie polityka zagraniczna

śpiewana jest na zwrotkę: „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”.

W Paryżu, w Londynie, a nawet w Rzymie odbywają się specjalne narady na temat decyzji Niemiec.

Jedynie Polska „oder-

231

## I Hr

którym pozwala rządzić od 1930 r., ale nie pisze się na wszystkie ich czyny. Mówił tak długo, jak zachodziła konieczność karcenia przeciwnika. Milczy, bo musiałyby skarcić swoich. Milczy od 1930 r. tzn. od okresu, gdy uczniowie jego mają prawo i moc rządzenia bez żadnej przeszkody.

Jest to ostatnie złudzenie opozycji, ostatnie przed rozejściem się, przed zakończeniem drugiej części dramatu, granego od 1926 r. do końca 1934 r. Odbywa się jeszcze w kuluarach liczenie sił opozycji, zagładanie do konstytucji, jak gdyby reżym obecny zatrzymywał się przed drobną przeszkodą natury regulaminowej lub konstytucyjnej.

Widmo konstytucyjne miało być upiększone różowymi reflektorami radykalnych złudzeń: frontem do wsi, ulgami podatkowymi, walką z biurokratyzmem, a nawet uśmiechem pod adresem mniejszości narodowej. Coś jednak ciąży nad tym gabinetem, że wbrew woli nabiera oblicza janusowego. Że choć składa się z młodych ludzi, pochodzących z jednego obozu, wyzierają sprzeczności. Na różowe zapowiedzi ministrów pada czasem czarny kir rzeczywistości. Pan min. spraw wewnętrznych Kościałkowski chce zbliżyć urzędnika do obywatela. Wszystko zdawałoby się jest w porządku, ale p. min. spraw wewnętrznych jest obciążony hipoteką wątpliwych działań w okresie poprzednim i złośliwi Ukraińcy twierdzą, że otrzymali autonomię terytorialną wraz z Białorusinami, ze wspólną stolicą w Berezie Kartuskiej.

Premier Kozłowski zapowiada z mównicy umorzenie zaległość; podatkowych w 70%, ale oto przemawia w komisji skarbowej minister skarbu Władysław Zawadzki i świat czarowny wraca do rzeczywistości. Z 70% pozostaje wątpliwe 10%, bo „państwo musi żyć”, bo „obywatel musi zacisnąć pasa”, bo prócz bloku bezpartyjnego współpracy z rządem pan min. skarbu powołuje do życia nowy blok „współpracy obywatela z urzędem skarbowym”.

Rząd przyszedł na wiosnę do sejmu z programem majowym. Uśmiechał się do wsi, zerkał do szarego człowieka i miał w pogotowiu serię ustaw ulgowych. Rząd odchodzi do ciszy gabinetów z odmienną zupełnie hipoteką. Przez cały czas starano się brać od społeczeństwa tak, by miało ono złudzenie, że coś otrzymuje. Złudzenie to trwałoby dość długo, gdyby nie nożyce, które odezwały się z ulicy Rymarskiej (gmach ministerstwa skarbu) i nadawały istotną treść obietnicom obecnego rządu.

Z zapowiedzi pana premiera pozostanie tylko jedno zrealizowane w życiu: nowa konstytucja, Z mowy pana min. rolnictwa — wrażenie smutnej rzeczywistości na wsi, z oświadczeń pana min. spraw wewnętrznych pozostanie to, o czym się nie pisze. Jeden minister całkowicie zrealizował program, przyszedł z zapo-

233

## L

wana od traktatu wersalskiego”, jak niegdyś według oświadczenia premiera, „oderwana od kryzysu gospodarczego światowego” patrzy z bocznicą spokojnie na fakty, które rozgrywają się na wielkim gościńcu politycznym. Jest tak cicho na drodze polskiej, że dwa pisma półrządowe nie uważały za konieczne zabrać głos i zareagować wobec faktu niezwykle doniosłego. A jednak jeszcze kilka dni temu „Kurier Poranny” zastrzegł się wobec planu lotnictwa niemieckiego, a korespondencje Augura, krytykujące Niemcy, umieszczone w tym piśmie, świadczyć miały, że istnieją pewne grupy, nawet wśród sfer miarodajnych, poszukujące odpowiedzi na rebusy ulicy Wierzbowej.

Ustawę o powołaniu nowej siły zbrojnej, uzupełniono apelem, a Goebbels uważał za wskazane osłodzić apel zwrotami na cześć Polski. Gdy min. propagandy w Sport Pałace przemawiał do zebranych

szturmowców, rozległy się okrzyki, przypominające całkowicie nastrój r. 1914. Burzliwymi oklaskami przyjęła publiczność komplementy na cześć Polski, choć między wierszami tego ustępu '(a może i dlatego) słyszeć można było, że tylko dzięki naszemu wschodniemu sąsiadowi (Polsce) udało się stworzyć fakty dokonane dni ostatnich.

Logika wypadków wymaga, by nazajutrz stanął na czele rządu personalnie odpowiedzialny za obecną politykę zagraniczną w Polsce min. Beck. Obowiązywałaby ona w tym wypadku, gdyby uchodziła po r. 1926 parlamentarna logika, gdyby bieg wypadków był całkowicie jasny, gdyby nie było podziału na redaktorów odpowiedzialnych i faktycznych naczelnych.

Ten stan rzeczy ma ulec zmianie. Powoli lecz pewnie zbliżamy się do nowej konstytucji. Wszystkie nadzieje na utrzymanie starej konstytucji pierzchły. Wytworzył się paradoksalny stan. W kuluarach sejmowych przywódca BB zapewniają, iż czynnik decydujący zgodził się, by nowa konstytucja nosiła imię Józefa Piłsudskiego, a posłowie opozycji uczynili z czynnika decydującego czynnik nadrzędny dla siebie. W sejmie wierzą, że bohater, który uciekł z powieści Że-romskiego i błąka się po świecie politycznym (Sławek) może pragnąć takiej konstytucji. Przypuszczają, że zakochany w formułach prawniczych, z których każde zdanie da się interpretować tam i z powrotem, wicemarszałek Car, może chcieć, by przypadek 26 stycznia, stał się faktem. Ale nie dają wiary, żeby czynnik decydujący zgodził się na zaakceptowanie tworu, napisanego tak, że nie widać ani rąk, ani nóg: skąd wyziera jedynie pięść, trzymająca się kurczowo pałki.

Czynnik decydujący milczy. A biednej, nieszczęsnej opozycji wydaje się, że przygląda się on samodzielnej grze swoich uczniów,

232

•iedzią podatków i odchodzi z podatkami uchwalonymi przez sejm. Rząd opuścił już dawno gmach parlamentu. Siedzi tam tylko i urzęduje kilka dni z rządu min. Zawadzki. Po uroczystych imieninach na cześć Piłsudskiego przyjdzie w środę z rachunkiem, będzie trzy dni tkwił w parlamencie, by odebrać społeczeństwu te złudzenia, jakie w nim obudzili uśmiechnięci, pełni optymizmu młodzi ministrowie obecnego rządu.

Nie nastąpiło umorzenie zaległości podatkowych, pozostaje jedynie wniesienie projektu o umorzenie zaległości programowych obecnego rządu. A może i to będzie zbyteczne, uczyni to nowa konstytucja. 19 marca, 1935.

#### *Sanacyjna oda do młodości*

W pismach świątecznych ukazał się komunikat grupy seniorów Legionu Młodych o cofnięciu swoich nazwisk z list opiekunów. Deklarację podpisali premier Sławek, b. premier Janusz Jędrzejewicz, min. oświaty Wacław Jędrzejewicz, min. spraw wewnętrznych Zyndram-Kościałkowski, prezydent miasta Warszawy, Stefan Starzyński, naczelnik wydziału wschodniego MSZ, Tadeusz Schaetzel. Nadto zgłosił oddzielny list o zrzeczeniu się senioratu marszałek sejmu, Kazimierz Switalski. Motywy przytoczone są zabójcze dla organizacji, która w ciągu swego istnienia związana była z obozem sanacyjnym. Zarzucono Legionowi Młodych „metody zbyt daleko odbiegające od ustalonych założeń moralnych i ideowych”. Jakkolwiek decyzja ta nie jest urzędowo uchwałą rządu, to jednak będzie ona wskaźnikiem dla władz. Odtąd organizacja uprzywilejowana, ciesząca się zaufaniem władz administracyjnych i szkolnych, korzystająca z subwencji państwowych, traci kredyt moralny i materialny. Zarzut postawiony jest dość ciężki, bo mowa tu o przewinieniach natury moralnej.

Po wyroku w sprawie wicemarszałka Polakiewicza zarzuty te nie przedstawiają się w istocie rzeczy tak groźnie. Seniorzy nie podali materiału dowodowego, który skłonił ich do powzięcia tak daleko idącego wniosku.

Jeszcze kilka tygodni przedtem zawiadomiono Komendę Główną Legionu Młodych o zamiarze cofnięcia subwencji. Postawiono szereg warunków, ale zdawało się, że rokowania nie zostały jeszcze zerwane.

Wyznaczono zjazd walny na połowę

234

maja, licząc że organizacja popierana przez czynniki miarodajne korzystać będzie ze znacznych ulg kolejowych. Ale oto w kilka dni później nadeszły wiadomości, że ministerstwo komunikacji nie udzieli żadnych obniżek.

Sytuacja staje się wobec tego poważniejsza, tym bardziej, że lista seniorów, która zrzekła się opieki nad Legionem Młodych, nie została jeszcze wyczerpana. Podano tymczasem do wiadomości publicznej kilkanaście nazwisk. Reszta, wynosząca jakieś 80 osób, zostanie rozłożona na raty w zależności od zachowania się komendy Legionu Młodych, od oświadczeń publicznych jakie złożą dotknięci wiadomością członkowie organizacji.

Dla Legionu Młodych dalsze rygory nie mają już większego znaczenia. Byli ciągle w cieniu sławy



obecnego obozu rządowego. Odtąd mogą śpiewać: nie dbam jaka spadnie kara... Cóż może im więcej grozić? Nie wyślą ich na północ, na Polesie.

Na czym polega wina tej organizacji, czy istnieją może zarzuty poważniejsze? Jeszcze 19 marca w dzień imienin marszałka Piłsudskiego przemawiał na akademii Legionu faktyczny szef propagandy płk. Miedziński. Na zjazdach sanacyjnych legioniści tworzyli straż porządkową. W styczniu 1934 r. brali udział w radosnej demonstracji z powodu uchwalenia konstytucji w sejmie. Nazajutrz po zamordowaniu min. spraw wewnętrznych Pierac-kiego, zorganizowali demonstrację przeciwko prawicy. Zawsze i ciągle stali do dyspozycji rządu. Po uchwaleniu ustawy o ograniczeniu autonomii wyższych uczelni urządzili owację przed sejmem jednemu z seniorów b. premierowi i ministrowi oświaty Januszowi Jędrzejewiczowi. Przeszło 5 lat wykonywał Legion Młodych zlecenia starszych. Na terenie wyższych zakładów naukowych przeciwstawili się legioniści przeważającej sile endecji. Legion Młodych miał być ostoją sanacji na wyższych uczelniach. Z tych szeregów mieli wyjść przyszli urzędnicy. Młodzież ta miała złuzować odchodzące pokolenie. Otaczano ją opieką.

Nie można się było temu dziwić. Obóz, który zwyciężył przy ostatnich wyborach i zdobywał mieszczaństwo w okresie dobrej koniunktury, nie umiał trafić należycie do młodzieży i zaopatrzyć się w hufce zastępcze. Uniwersytet i Politechnika były w rękach endecji, W szkolnictwie średnim i niższym udało się opanować aparat nauczycielski i dyrektorski. Nie dbano jeszcze należycie o zdobycie młodzieży. Działano jeszcze w ramach hymnu: „nie chcemy od was uznania”. W pierwszym okresie sprawowania rządów nie odczuwano jeszcze tragedii, dramatu byronowskiej samotności. Dopiero po coraz mocniejszym opanowaniu aparatu stanęła myśl o jutrze, o zyskaniu następców, o zdobyciu przyszłe-

235

Bez troskliwej opieki seniorów żywot Legionu Młodych będzie suchotniczy i nie pozostanie nic innego jak samo rozwiązanie i wcielenie lojalniejszych elementów do nowej organizacji, która zostanie powołana w czasie najbliższym.

Jeszcze przed zgonem, Legion Młodych został pozbawiony skrzydeł. Nie mógł bowiem wobec rosnącego kryzysu gospodarczego spełnić funkcji inkubatora posad. Nie było lotu ani praktycznych zysków. Śmierć przychodziła jeszcze przed wyrokiem.

Zdobycie nowego pokolenia jest dla obozu rządzącego kwestią zdobycia jutra. Dłuższe świadome macierzyństwo grozi niebezpieczeństwem, a sceptyczne machnięcie ręką na 15 roczników otwiera pole do działania dla czynników opozycyjnych. Oda do młodości spaczona rozkazem, bez lotów potęgi, uzupełniona drylem, nie natchnęła młodzieży do większych czynów. Klęska została urzędowo przypieczętowana.

23 kwietnia, 1935.

*Nazajutrz*

Od niedzieli 12 maja Polska przeżywa dni żałoby. Zagadnienia dnia powszedniego odsunięte zostały przez ten czas na bok. Ceremonie pogrzebowe zagłuszają chwilowo sprawy dnia jutrzejszego. Wiadomości o chorobie Piłsudskiego dochodziły szeptem jedynie do najbliższych. O zgonie myślano mało. Odsuwano tę myśl od siebie tak jak w rodzinie, gdy mimo choroby ojca lub matki najbliżsi unikają myśli o możliwości zgonu.

Wielbiciele, stojący blisko obozu rządzącego, wiedzieli o chwilach krytycznych. Sam marszałek od dłuższego czasu zapatrzył się smutnie w możliwość rychłego końca. Jeszcze w r. 1928 i 1929 mówił o swojej chorobie w wywiadach, udzielanych prasie. Stało się jednak, że komunikat o katastrofie zaskoczył kraj. Nie było bowiem żadnych biuletynów o chorobie.

Nie przerywano normalnego trybu prac maszyny państwowej. Działo się to od kilku lat, że rządy wewnętrzne prowadzone były jak gdyby nie było marszałka Piłsudskiego. Wiedziano, że pracuje w GISZU lub w Belwederze, że poświęca się sprawom polityki zagranicznej że śledzi bacznie działalność premierów, ale pozostawia im jednocześnie całkowitą wolność, chcąc wyrobić samodzielność, że odbywa się gorączkowy kurs przygotowywania kadr zastępczych.

237

go pokolenia, przed którym — jak patetycznie oświadcza nowa konstytucja — obecne pokolenie ma stanąć jak przed instancją sądową. Zagadnienie wychowania młodzieży, zdobycia dusz trafiło jednego z chorążych duchowych obozu pomajowego Adama Skwarczyńskiego. Prócz wiecznego konfliktu między starymi i młodymi, dostępu do młodzieży strzegło duchowieństwo, które w rzecznikach obozu pomajowego widziało jeszcze starych bojowników rewolucji r. 1905, a więc rzekomych masonów, ateuszy itp. Stara wiara po zdobyciu władzy porzuciła dawne poglądy, jak dygnitarze napoleońscy, kumając się z konserwatystami. Mimo to jednak spoglądano na nią jeszcze nieufnie. Pierwsze prace zdobycia młodzieży rozpoczął Adam Skwarczyński, który ze smutkiem spostrzegł, że robota nie posuwa się naprzód. Jedyną

ostoją był Legion Młodych.

Po śmierci Skwarczyńskiego zagadnienie młodzieży przekazane zostało Januszowi Jędrzejewiczowi. Klecono organizacje szkolne, tworzono kółka uniwersyteckie, ale w stylu zachowania dominował dryl wojskowy. Rozkaz przecinał często dyskusję.

Organizacja Legionu Młodych zawierała różne elementy. To rozmarzonych działaczy zapatrzonych w szumną przeszłość 1-ej Brygady, to nosicielei hasła sprawiedliwości społecznej. Zjawili się również i neopozytywiści, młodzi łowcy posad, traktujący organizację jako trampolinę do zaszczytów intratnych. Zjawiali się wśród młodzieży wodzowie z ambicją komendanckiego rozkazywania, twórcy klik. Obóz ten stanowił istną wieżę Babel z nadzwyczajną rozpiętością poglądów i apetytów.

Mętlik ten ożywiony temperamentem słów gorących wydawał się groźny konserwatystom, bo w miarę rosnącego bezrobocia wśród inteligencji pracującej brało w Legionie Młodych górę niezadowolenie społeczne, wyrażanie ustrojowi kapitalistycznemu. Oczywiście koncesją za odstąpienie od programu były wygody uiszczane doraźnie. Wszystko to się mieszało w jedno: uznanie Brześcia, nowej konstytucji, radykalne burzenie świata.

W tym chaotycznym wewnętrznym szamotaniu rozdziły się frakcje i ugrupowania. Po czystce generalnej spławiono odłami lewicowy (Zapasiewicz). Nie udało się organizacji w ciągu 5 lat opanować wyższych zakładów naukowych, ale mimo to marzono o rozszerzeniu działalności w terenie, o stworzeniu konkurencyjnego Legionu Młodych wobec Legionu Starszych.

Nie udało się nade wszystko z narodową demokracją i sanacja musiała rozpocząć własną robotę saperską przy pomocy ściągania młodych endeków do swego obozu jak np. Stahla, Pies-trzyńskiego, Wojciechowskiego itp.

236

9 lat, a raczej krócej trwał ten kurs. Krócej, bo nie od razu po przewrocie majowym sprawy wewnętrzne zostały przekazane bezpośrednio premierom. Od roku 1926 do 1930 Piłsudski osobiście angażuje się, przemawia, daje wywiady na temat polityki wewnętrznej, przybywa na posiedzenia rady ministrów, przewodniczy jako premier.

Prezes Rady Ministrów, a nawet min. spraw wojskowych Piłsudski, zjawia się często w gmachu Prezydium Rady Ministrów i odbywa narady z premierem lub z poszczególnymi ministrami. Jest tak dalece aktywny w sprawach wewnętrznych, że wyjeżdża umyślnie do Wilna i w gmachu województwa odbywa bezpośrednią konferencję z szefami bezpieczeństwa publicznego przed rozwiązaniem Białoruskiej Hromady. Staje przed trybunałem stanu jako świadek ekspert, przychodzi na posiedzenia sejmu, komisji sejmowych. Jest dowódcą na froncie wewnętrznym.

Ale od r. 1930 zapanowała cisza. Na cyklu wywiadów o prezydencie przyszłej konstytucji urywa się na zewnątrz działalność jego w sprawach polityki wewnętrznej. Nie przybywa na posiedzenia rady ministrów. Ostatni raz oświadcza jeszcze obecnemu premierowi Sławkowi swe zastrzeżenia na temat uchwalonej przez sejm 26 stycznia 1934 r. konstytucji, wypowiada się przeciwko zasadzie elitarności w wyborach do senatu. Jeszcze wygłasza przemówienie na posiedzeniu komitetu wychowania fizycznego. Wysłuchuje b. premierów. Odtąd ani słowa. Snują się jedynie domysły, krążą pogłoski i nawet przeciwnicy obozu rządowego łączą swe nadzieje z rzekomo odmiennym stanowiskiem Belwederu.

W ciągu tych lat milczenia wzrasta się stanowisko nadrzędności Piłsudskiego. Snuje się coraz mocniej legenda. Na legendę tę składały się lata dawnej działalności, gdy był żołnierzem rewolucji narodowej. Legendę tę snuli dawni jego towarzysze w bojach politycznych, przedstawiciele PPS i Wyzwolenia. Do tego dochodziła adoracja oddanych mu legionistów. Gdy w ciemną noc pod takt werhla wolno posuwających się oddziałów wojskowych ruszyła trumna marszałka Piłsudskiego wydawało się, że posuwa się całun legendy.

Trumna posuwała się powoli w dzień defilady pogrzebowej, gdy przenoszono ją z lawety na platformę, gdy starsi generałowie ciągnąc liny wolno posuwali ją w stronę pociągu. Powtarzała się scena z Bolesława Śmiałego i z Nibelungów. Zdawało się, że pozostałych na polu oficerów, generałów, ministrów i wszystkich znajdujących się w łóżach, a przyglądających się bacznie tej scenie, opanowuje stari odrętwienia. Lecz w chwilę później oczy wszystkich przesunęły się wraz ze zniknięciem wagonu w stronę pozostałych pierwszych w kondukcji i powstawały wówczas w umysłach ludzi

238

arcyludzkie, ziemskie pytania. **Oczy** skierowały się w stronę generalnego inspektora sił zbrojnych Rydza Śmigłego i w stronę stojącego obok niego generała Sosnkowskiego i w stronę szeregu rządowego z premierem na czele, gdzie obok stali, jako ciała zastępcze powołani za czasów premiera Prystora, b. premierzy Polski pomajowej. Stali więc i Bartel i przybyły z wywczasów prof. Leon Kozłowski. Póki trwała i snuła się legenda obracali się oni wszyscy w stronę wodza jako podkomendni. Dziś mają rządzić

bezpośrednio przy pomocy paragrafów nowej konstytucji, która formalnie daje im moc władzy. Dotychczas istniał arbiter a raczej superarbiter, nieprzewidziany przez konstytucję, a utrwalony przez legendę i mocniejszy od wszelkich paragrafów najwygodniejszej dla władz konstytucji. Legenda dawała mu prawo do nadrzędności. Legendy nie przechodzą dziedzicznie. Myśli te snuły się, choćby dlatego, że woła rządu starano się nie przerywać nawet w dni żałoby biegu prac w urzędach i w parlamencie. Prezes klubu BB premier Sławek wyraził życzenie, by grupa konstytucyjna klubu BB pracowała bez przerwy nad projektem ordynacji wyborczej. Przy żałobie, przy oglądaniu trumny, która poruszała się wolno, myślano o legendzie, ale przy pracy ziemskiej nad ordynacją wyborczą zastanawiano się, czy w chwili obecnej, gdy tworzy się tak wielka luka, wypełnią ją osoby, zaopatrzone jedynie w moc konstytucji. Gdy rządcy poruszać się będą, gdy wyjdą z odrętwienia pogrzebowego, oczy społeczeństwa zwrócą się w ich stronę i śledzić będą bacznie i krytycznie. Kończy się mityczna tajemniczość ukryta w Belwederze. Zaczyna się w okresie kryzysu gospodarczego, nierozwiązanych zagadnień społecznych i narodowościowych, poruszanie się mężów stanu w ramach nowej konstytucji, zaostrzone ścieraniem się poglądów. Żaden czynnik równy legendzie nie będzie mógł przerywać sporu jednym słowem. *Zaczynają się dni próby.*

21 maja, 1935.

*Dary Danaid*

Jest jakaś dziwna rozpiętość między przemówieniem prezesa Rady Ministrów Sławka, a projektem ordynacji wyborczej, odczytanym przez posła Podoskiego. Ze słów prezesa klubu BB wieje

239  
poezja. Między wierszami wyczuwa się, że chce stworzyć zakon mężów cnotliwych, walczących o dobro państwa z wyrzeczeniem się wygod własnych. Z tekstu ordynacji wyborczej, z rozmaitych paragrafów wysuwa się myśl, że wyborca głosując nie będzie miał wyboru, że jakkolwiek się będzie kręcił, którędy będzie zmierzał, zawsze wyskoczy na liście kandydatów do sejmu jedynie zwolennik obozu rządowego. Przemówienie premiera Sławka to wzór cnoty obywatelskiej, ordynacja wyborcza — to wzór sztuki adwokackiej, umiejętność przeistaczania mniejszości w większość. Taki jest los pięknych i szumnych słów wcielonych w paragrafy, taka jest dola wyrazów niebiańskich, gdy trzeba je ściągnąć na ziemię. Gdy w Prezydium Rady Ministrów w nastroju uroczystym, w gabinecie prem. Sławka, przy stole ustawionym w podkowę, odczytywano mowę i przedłożono projekt ordynacji, w klubie BB przy ul. Wiejskiej panowało zdenerwowanie. Posłowie chodzili rozgorączkowani, gestykulowali i nadśluchiwali, czy nie nadejdą wieści z Krakowskiego Przedmieścia, czy z projektu ordynacji wyborczej nie będzie można wyrzucić dla siebie jakiegoś wyjścia.

A gdy w czwartek obrady przeniesiono z gmachu Prezydium Rady Ministrów do lokalu klubu BB, można było zaobserwować przygnębienie posłów i senatorów. Siedem lat trwała nauka wychowawcza prezesa klubu BB, w ciągu siedmiu lat starał się oderwać posłów i senatorów od spraw osobistych i pociągnąć ku sprawom publicznym. Nie raz doznawał zawodu. Nie ciągle zakon trzymał się kupy. Trzeba było w ostatnich miesiącach usprawnić sąd klubowy, który musiał działać z szybkością sądu polowego. Widocznie praca w kierunku przeistoczenia psychiki tego klubu nie dała rezultatów, skoro na posiedzeniu czwartkowym rozległy się protesty, skoro pierwszy raz po siedmiu latach miast hucznych oklasków i oświadczenia „niech żyje!”, rozległy się głosy krytyki. Senator Evert oświadczył, że za tym projektem głosować nie może.

Podzielono się na dwie kategorie: na tych co mieli odwagę bać się i na tych, którzy tej odwagi nie wykazali. Jedni oświadczyli wyraźnie, że w ten sposób tracą mandaty, a drudzy głośno deklarowali się na rzecz nowego projektu, choć w duszy pragnęli jego obalenia. Ostatni wiedzieli bowiem, że protest na nic się zda, że przeciwstawienie się może im zamknąć tylko ewentualny dostęp do przyszłego parlamentu. Najnieszczęśliwsi byli konserwatyści. Zasadniczo ordynacja wyborcza, przypominająca raczej nominację wyborczą, powinna byłaby ich uspokoić. W obecnym układzie sił obóz konserwatywny ma swoich przedstawicieli, a przy zmianie ordynacji wy-

**240**

borczej zachodzi obawa, że sekretarze powiatowi klubu BB poprą innych kandydatów...

W ciągu tych dwóch dni komisja konstytucyjna klubu BB przeistoczyła się nagle w parlament ze wszystkimi przywarami przedmajowymi. Krytykowano każdy artykuł nowego projektu ordynacji wyborczej, zgłoszono moc poprawek, sprzeczano się nawzajem.

Gdy przyjdzie jednak chwila uroczysta przed odejściem w niepamięć, przed całkowitym zniknięciem, klub BB jednomyślnie uchwali w pełnym sejmie projekt nowej ordynacji wyborczej, uchwali i słusznie śpiewać będzie do społeczeństwa hymn Pierwszej Brygady: „nie chcemy od was uznania”, będą śpiewać przez ły

przy dokonaniu aktu harakiri nowocześni samuraje.

Dziś jednak są zdenerwowani, unikają spojrzeń dziennikarzy, nie chcą podać żadnych informacji i wyglądem swoim zdają się mówić „dla was to igraszka, nam chodzi o życie”.

Na naradach tych nie jest obecny solenizant, któremu prezes klubu BB, pułkownik Sławek, złożył hołd, twierdząc, że profesor archeologii Leon Kozłowski jest autorem pomysłów w ordynacji wyborczej, że on to ukuł kolegia wyborcze.

Przed oczyma czytelnika premier Kozłowski personifikował rząd zwrócony twarzą do szarego człowieka. Widziano w jego nominacji powrót do bartłowskich czasów, świt wprawdzie bez rumieńca, ale z pewną odmianą liberalizmu. Prezes klubu BB Sławek przekonał jednak opinię publiczną, że wszyscy premierzy okresu pomajowego odwracają się twarzą tylko w stronę Belwederu. Śmiejący się bezustannie premier Kozłowski zaśmiał się śmiechem szyderczym, który przejmując dreszczem wielu posłów i senatorów klubu BB. Nie spełnił może wszystkich przyrzeczeń, zawartych w swoim expose, ale dał numer nadprogramowy: nową ordynację wyborczą. Z tym podarunkiem przejdzie do historii, którą inny uczony archeolog wygrzebie po latach wielu.

11 maja, 1935.

### *Troski dnia powszedniego*

Dni żałoby mają się ku końcowi. Serce Piłsudskiego wraz z ciałem matki jego znajdują się w Wilnie. Stopniowo następuje normalizacja życia politycznego. Dążył do tego uporczywie pre-

241

16

Pogoda sprzyjała aktowi samobójczemu. Wył wiatr jesienny. Monotonnym głosem odczytał ordynację wyborczą do sejmu i senatu poseł Podoski, a brzmiało to jak nabożeństwo żałobne za duszę posłów i senatorów zebranych na posiedzeniu.

Nie było innej rady, jak przyjąć „entuzjastycznie” projekt samobójczy. Wahający się spoglądali jeden na drugiego, szukali pierwszego rycerza, który odważy się głośno i ostro wystąpić przeciwko projektowi. Znalazłaby się wówczas dość pokaźna grupa, która poszłaby w jego ślady. Każdemu jednak widać było miłe życie doczesne.

Teraz pójdzie już wszystko drogą normalną. Sesja nadzwyczajna została zwołana. Nie będzie głośnej dyskusji na plenum sejmu w pierwszym czytaniu. Projekt klubu BB zostanie automatycznie przesłany do komisji. Opozycja została zaproszona do rzeczowej współpracy. Może wnieść poprawki. Może wprowadzić szereg udogodnień do gilotyny, która zapowiada śmierć partii. Zasada śmierci nie zostaje podważona, może być jedynie złagodzony sposób wykonania wyroku. Czy opozycja weźmie udział w tym akcie samobójczym. W łonie stronnictwa ludowego zaznaczają się pewne rysy. Odbywają się oddzielne narady dawnej frakcji chłopskiej. Niektórzy myślą o uratowaniu choćby własnego okręgu.

W pierwszych chwilach po 1-ym maja wydawało się nawet, że zadzierzga się nic między lewą opozycją a pewnymi czynnikami rządowymi. Snuto nadzieję i ludzono się, że jest ktoś, który stępi ostrza projektu ordynacji wyborczej. Nadzieje te pękły w ciągu ostatnich dni.

W ten sposób życie polityczne wkracza na normalne tory. Po pięciu latach posłowie zbierają się, ale nie po to by żyć parlamentarnie, lecz by ogłosić własną śmierć. Sejm będzie żył 3 tygodnie nadzwyczajnie, by umrzeć i dobić nie tylko siebie, ale i parlamentaryzm. Odbędzie się to wśród głuchego milczenia całego społeczeństwa. I tylko sprawozdawcy parlamentarni obserwować będą gaśnięcie tej lampy karbidowej.

3 czerwca, 1935.

### *Smutne opowiadanie*

*Żyj?, by zwało się, że żyłem (Wyspiański).*

Posiedzenie ku czci marszałka Piłsudskiego w sejmie i senacie wypadło uroczyście. Minuty milczenia były więcej wymowne

243

mier Sławek. W najcięższych chwilach toczyły się obrady w Prezydium Rady Ministrów, odbywały się konferencje na Zamku.

Pierwszy ocknął się z żałoby konserwatywny „Czas” krakowski, który zresztą w najcięższych chwilach pamiętał, by w obwódce żałobnej wysunąć postulaty polityczne. Załzawiony „Czas” kłaniał się czolobitnie generalnemu inspektorowi sił zbrojnych, b. ministrowi spraw wojskowych w lewicowym rządzie lubelskim, Rydzowi Śmigłemu, domagał się szanowania prawa i wyrażał obawy, że znajdują się różni interpretatorzy pisma świętego, którzy opacznie tłumaczyć będą intencję i myśl przewodnią Piłsudskiego. Troski dnia zaprzętnęły uwagę pism. „Gazeta Polska” stwierdziła, że w owe dni żałobne najlepszym sprawdzianem spokoju była giełda. „Szary człowiek” z ulicy Królewskiej (gmach giełdy) zachował się spokojnie. W kilka dni później urzędowy organ klubu BB spoglądał z ubolewaniem na politykę gospodarczą innych krajów, twierdząc, że jedynie obóz rządowy w Polsce prowadzi politykę słuszną,

przewidując obniżenie poziomu życia i stosując się do tego. Istotnie spokój panuje na giełdzie warszawskiej i na innych giełdach w Polsce. Nie drgnęły giełdy w dzień spadku franka, nie panowało ożywienie, gdy wszystkie giełdy świata interesowały się guldenem holenderskim. Ale przyczyny tego spokoju nie wynikają z wielkiej równowagi osiągniętej na drodze dobrobytu. Giełda warszawska oderwała się już dawno od giełd światowych, jak Polska od kryzysu światowego.

Życie rozwija się normalnie. Po długich obradach grupy konstytucyjnej zwołano plenarne posiedzenie grupy BB. Premier Sawek zwołał klub, by ogłosić poprzez ordynację wyborczą jego zgon, by zapowiedzieć 90% posłów i senatorów, że odejdą i nie wrócą więcej do parlamentu. Posiedzenie zapowiadało się dramatycznie. Zdawało się bowiem, że ludzie, którzy nie mają nic do stracenia przeciwstawiają się gwałtownie projektowi ordynacji wyborczej. Wydawało się niektórym, że samobójcy z klubu BB dokonają samsonowego czynu.

Jeszcze w kuluarach sejmowych łudzono się, że członkowie klubu BB dadzą wyraz niezadowoleniu. Odbywało się tzw. płkanie w kamizelkę. Jednak każdy z tych posłów i senatorów pamiętał, że jest tworem i wymysłem swego prezesa, że ze strony opozycji usłyszeć może co najwyżej uwagi z „Dziadów”: „...i my nie znajmy litości...”. Płacz ich nie odezwie się żadnym echem w społeczeństwie. Niektórzy z nich mogą zostać odprawieni z kwitkiem, tak jak ta służąca u Zapolskiej i otrzymać świadectwo służbowe: „stojał przy głosowaniu i nie był pyskaty”, (sto-jała pod bramą i była pyskata).

242

W takim nastroju mówiono w kuluarach i bufecie nie tyle o parlamentarystach ile o parlamentarzystach.

Posłowie, którzy po 10 lat spędzili w tym gmachu zastanawiali się nad swoim dalszym losem. Niektórzy zazdrośnie spoglądali na posłów urzędników, którzy wrócą na posady państwowe.

Opowiadano sobie o różnych posłach, którzy już zabezpieczyli się w Zupach, Pupach i innych państwowo-społecznych urzędach. Zrozpaczeni posłowie bez stanowisk spoglądali zazdrośnie na członków straży marszałkowskiej, myśląc, czy nie warto byłoby złożyć ofertę z powołaniem na praktykę parlamentarną. Wydaje się jednak, że w przyszłym sejmie funkcje członka straży marszałkowskiej będą ograniczone i czysto dekoracyjne. Opinia publiczna usunięta zostanie jeszcze przed tym z sali posiedzeń przez najlepszą straż marszałkowską, bo przez nową ordynację wyborczą.

W czwartek przed posiedzeniem sejmu posłowie byli obarczeni własnymi troskami. Sytuacja gospodarcza, stan bilansu handlowego, zagadnienie urodzaju, a nawet plotkarskie sprawy, kto z kim i przeciwko komu, przestały być tematem w kuluarach sejmowych. Skwapliwiej witano się z ministrami, podsekretarzami stanu, ściskano bojaźliwie dłoń premiera i prezesa klubu BB.

Po pięciu latach członkowie BB muszą odejść bez słów podziękii, bez medalu pamiątkowego, bez listu pochwalnego z wypisaniem zasług parlamentarnych. Po pięciu latach można zrozumieć dopiero losy bezrobotnego i współczuć z nim.

Ciężka to rzecz nie być opozycją, a jednak stale gubić się w domysłach co do terminu rozwiązania sesji i ostatecznego skończenia kariery. Tyle smutnych myśli kołotało się w umysłach posłów sejmowych w ciągu dnia i dlatego jeszcze przed terminem rozpoczęcia żałobnego posiedzenia sejmu smutek panował w gmachu i wzmagał nastrój uroczysty w chwili otwarcia posiedzenia o godz. 4,15.

8 czerwca, 1935.

#### *Dymisja weterana partii*

(Dzieje Stanisława Grabskiego)

Kilka dni temu na zebraniu w Tarnopolu doszło do ostrej wymiany zdań między Stanisławem Grabskim a miejscowymi członkami narodowej demokracji. Rozległy się okrzyki: „Precz ze Stanisławem Grabskim”, „Niech żyje Roman Dmowski”. Od przewrotu majowego przestano mówić o Stanisławie Grabskim.

245

niż wszelkie możliwe przemówienia. Milczący sejm to symbol obecnego parlamentu w ciągu ostatnich lat pięciu, ale do nastroju dołączyło się jeszcze uczucie osobistego smutku, które opanowało wielu posłów i senatorów. Sejm nabiera bowiem więcej powagi i nastraja się coraz smutniej w obliczu własnej niedoli.

W godzinach rannych miało się wrażenie, że znikają kluby sejmowe. "Wytworzyła się jedna wielka rodzina bezdomnych i bezradnych. Nawiązały się rozmowy łączące posłów różnych stronnictw w jedno.

Konferowano na temat co będzie nazajutrz, kiedy zapieje kur i duchy z Wiejskiej znikną z areny politycznej.

Nie mówiono już prawie o ordynacji wyborczej, skoro mały parlament (klub BB) lub, jak złośliwie twierdzi opozycja, parlament małych, przyjął walerianowe krople (Walery Sławek) i znieczulił się do przyszłej operacji wiwiskcyjnej — sprawa już jest przesądzona.

Klub narodowy postanowił nie przygotowywać żadnych kontrprojektów i zapatrzony w przyszłość spogląda na obecną ordynację wyborczą tak jak młodszy syn w ubogiej rodzinie na spodnie kupowane dla

starszego brata. On je przecież będzie musiał później nosić. Wiara ta jest nieco przesadna. Chmury zbierają się nad głowami endecji. Toczą się walki wewnętrzne. Co kilka dni trzeba wykląć innego kacerza, potępić pismo („Kurier Lwowski”).

Klub narodowy przeistacza się w rzeczową opozycję. W kuluarach sejmowych kręcą się posłowie z dawnego stronnictwa chłopskiego i omawiają sytuacje w porozumieniu z czynnikami miarodajnymi. Opowiadają sobie w korytarzu sejmowym, że dla stronnictwa ludowego nadaje się tytuł Żeromskiego: „rozdziobią nas... Wrony”. (Wrona, poseł frakcji chłopskiej).

Nie walczy już więcej klub ukraiński (Undo). Klub ukraiński socjalradykałów, pragnąłby również porozumieć się z czynnikami miarodajnymi i zapewnić sobie choćby 4 mandaty do sejmu. I Undo i socjalradykałowie wyrzekli się pretensji do reprezentowania Wołynia.

Posel białoruski Jaremicz przygotowuje również ofertę, tym bardziej, że jako mieszkaniec Wilna ma znajomych u czynników miarodajnych. Zaasekurowali się już przedstawiciele klubu niemieckiego. Reduty demokracji broni wyłącznie PPS, trzymając się zasady o rewolucji w majestacie prawa. Wnieśli więc projekt ordynacji wyborczej do sejmu i senatu. Brzmi to wszystko beznadziejnie. Projekt PPS-u zostanie włączony do dokumentów historycznych i jest wyrazem raczej smutnego obowiązku niż przekonania.

**244**

Nie kandydował do 3-go sejmu, odsunął się od czynnej polityki, wykladał na uniwersytecie we Lwowie, pisywał artykuły w organie endecji „Słowo Polskie”. Gdy sanacyjny zespół stu, korzystając z sytuacji, przejął gazetę został stworzony nowy organ lwowski „Kurier Lwowski”. Stanisław Grabski umieszczał tam artykuły na tematy polityki gospodarczej kraju oraz zagranicy.

Był w dalszym ciągu bożyszczem młodzieży endeckiej. Nieraz prywatnie dawał wyraz niezadowoleniu z powodu polityki wewnętrznej narodowej demokracji, mówił z przekąsem o Romanie Dmowskim. Był jednak szanowany również i przez starszych endeków, choć miano do niego żal, że polityką swoją przyspieszył przewrót majowy, że naraził narodową demokrację na straty, zawierając w swoim czasie ugodę z Żydami, że osłabił prąd anti-ukraiński.

Nie mówiono jednak o tym głośno. Obawiano się walki z bożyszczem młodzieży. Pamiętano o jego wielkich zasługach dla partii, szczególnie w Galicji Wschodniej. Czym byłaby narodowa demokracja we Lwowie bez Stanisława Grabskiego? Czym byłoby dawniejsze „Słowo Polskie” bez jego artykułów? Antysemityzm, antyukrainizm zaszczerpił Stanisław Grabski na terenie galicyjskim. Burdy uniwersyteckie, awantury uliczne miał Lwów do zawdzięczenia profesorowi, który podniecał młodzież.

Dawny członek PPS, „towarzysz Mazur”, przejął z partii socjalistycznych zasadę szerokiej organizacji. Organizował mieszczaństwo, ożywił organ endecki „Słowo Polskie”, szczuł i podniecał, wysunął narodową demokrację do walk, zmierzył się z potężną rządzącą konserwą, zdobywał mandaty dla swoich popleczników. Ekscelencja Głębiński był jedynie firmą. Endecy warszawscy, mieszkający we Lwowie teoretyzowali w kwartalnikach, Roman Dmowski nie wtrącał się do spraw galicyjskich, a jedynie kongresowiak Stanisław Grabski szybko się zaaklimatyzował i przyczynił się do rozkwitu narodowej demokracji. Był taktikiem i teoretykiem stronnictwa. Umiał wicherzyć, ale znał również sztukę rokowania. Pamiętał stale o artykułach wstępnych w „Słowie Polskim”. Był obiektem nienawiści całego obozu lewicowego w Galicji.

Tak rządził i panował w stronnictwie do 1-szej wojny światowej. Obóz niepodległościowy nie może mu darować orientacji rosyjskiej. Postawiono mu różne *zarzuty*, że rzekomo donosił, że był przyjacielem władzy okupacyjnej rosyjskiej, kolegą gubernatora rosyjskiego Galicji Wschodniej na początku wojny. *Zarzuty* te posiadają dziś jedynie znaczenie historyczne. Dokumenty o denuncjacji budzą nawet pewne wątpliwości. Osoby charakteryzowane

246

przez niego znajdowały się wówczas daleko na terytorium austriackim i nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Ententofil z przekonania pracował w Komitecie Narodowym w Paryżu i przybył w r. 1919 do Warszawy w dzień powstania rządu ludowego, by domagać się kapitulacji premiera Moraczewskiego i bezwzględnego oddania się pod władzę Komitetu Narodowego.

Odtąd po wyborach do sejmu stał się jednym z panów w gmachu przy ulicy Wiejskiej.

Podczas tworzenia rządów Związek Ludowo-Narodowy odgrywał rolę pierwszorzędną, a w klubie tym wodził rej nie Roman Dmowski, który wybrany do sejmu nie zabrał ani razu głosu, lecz Stanisław Grabski, który wraz z bratem swoim Władysławem zasiadał w pierwszym sejmie.

Brał czynny udział we wszystkich kampaniach narodowej demokracji przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu. Miał przewagę nad innymi działaczami dzięki znajomości stosunków nie tylko w byłym zaborze austriackim, ale i w byłym zaborze rosyjskim. Uchodził za ekonomistę, miał pretensje do zdolności

dypomatycznych, przemawiał przekonywująco z trybuny sejmowej, choć głos był nieco piskliwy. W szeregach przeciwników uchodził za krętacza politycznego, ale miał markę człowieka osobiście uczciwego. Jako delegat sejmu wyjechał do Rygi na konferencję pokojową z Sowietami. Spotkali się ponownie przy wspólnej pracy dawni towarzysze, a później zażarci przeciwnicy: Stanisław Grabski i Feliks Perl. Pracowali wspólnie biorąc czynny udział w redagowaniu pokojowego traktatu ryskiego. Stanisław Grabski odciął wówczas Litwę od Rosji, wyrzekł się Mińska, by nie mieć kłopotów federacyjnych i dla tych powodów pokwitował przejście Kijowa w ręce Sowietów. Nie wierzył bowiem w autonomię narodowościową i uważał, że jedyną drogą do rozwiązania zagadnień narodowościowych jest połykanie Ukraińców i Białorusinów. Wobec kwestii żydowskiej, miał w programie jedno: zniszczyć gospodarczo... W ciężkich chwilach dla narodowej demokracji chciał ją zmodernizować, uważając, że musi istnieć rozpiętość między programem a taktyką. Należy często ze względów taktycznych porozumiewać się z przeciwnikiem, kompromitować go raczej sojuszem. Tak działał, wyciągając nieraz dłoń do lewicy, proponując różne rządy koalicyjne. Tak skaptował przywódcę radykalnego Wyzwolenia, Stanisława Thugutta, dla rządów swego brata Władysława Grabskiego.

247

Zasmakował w zawieraniu traktatów, w wypalaniu fajki pokoju, w zawieszaniu broni dla zaskoczenia przeciwnika. Gdy wydawało mu się, że sytuacja finansowa Polski jest coraz cięższa, próbował ugody z Żydami, licząc na jakieś kapitały międzynarodowe. Za cenę akcji propagandowej Żydów na świecie na rzecz Polski, był gotów dać 6% rabat z bojowego antysemityzmu. Układał się z innymi stronnictwami dla utrzymania władzy parlamentarnej. Czuł może wyraźniej od innych groźbę przewrotu i klecił, związywał, skłócone ze sobą kluby parlamentarne.

W tych wszystkich kombinacjach widział siebie jedynie na stanowisku ministra oświaty. Gdy późno w nocy zjawił się wraz z desygnowanym premierem Skrzyńskim w gmachu sejmu dla stworzenia gabinetu koalicyjnego, snuł wobec dziennikarzy na temat swojej funkcji: — Przepędzę ten cały komitet, który za-twierdza podręczniki. Składa się z krewnych i towarzystwa wzajemnej adoracji. Zorganizuję szkoły zawodowe. Dla mnie jedynym zaszczytem jest piastować urząd polskiego ministra oświaty.

Kręcił się nerwowo w korytarzu z rozczochranymi włosami, w sportowym ubraniu, trzymając nerwowo kaszkiet w ręku. Tradycyjny kaszkiet, który zawieszał gdzieś w redakcji i po napisaniu artykułu szukał w ciągu kilku godzin.

Myślał, że sojuszami, układami utrzyma stan rzeczy. Dla zasymilowania Ukraińców i Białorusinów wymyślił szkoły utrakwis-tyczne (dwujęzyczne), gdzie mogliby się dobrze nauczyć po polsku i łatwo zapomnieć po ukraińsku i białorusku. Prostolinijna i ciężka narodowa demokracja nie mogła nadażyć za jego posunięciami. Wydawało się niektórym naiwnym działaczom, że Stanisław Grabski daje koncesje Żydom, Białorusinom, Ukraińcom, że składa zbyt dużo ofiar na rzecz lewicy.

Środki zaradcze Stanisława Grabskiego nie odniosły skutku. Z drugiej strony barykady stał nie mniej zdolny gracz, mający do dyspozycji armię. W rządzie koalicyjnym zasiadał mąż zaufania obozu piłsudczyków, gen. Żeligowski. Gdy narodowa demokracja wspólnie ze stronnictwem ludowym Piast podjęła się utworzenia rządu i postanowiła zrobić porządek w wojsku, było już za późno. Czuł i wiedział o tym Stanisław Grabski, który próbował nawet nawiązać kontakt z Sulejówkiem, gdzie mieszkał Piłsudski. Wypadki potoczyły się jednak zbyt szybko. Nastąpił przewrót majowy.

Narodowa demokracja została na krótki czas zdruzgotana, obciążona grzechem ugody z Żydami, porozumienia z Ukraińcami i innymi kompromisami, które uchodziły za kompromitację. Wódz batalii, czołowy mówca stronnictwa ustąpił, wyjechał do

248

Lwowa i z dala przyglądał się posunięciom swoich kolegów klubowych oraz nowego rządu.

Przyglądał się polityce narodowościowej, obserwował działalność gospodarczą i nieraz wydawało mu się, że rząd obecny wykonywuje właściwie jego politykę, tylko nieco elastyczniej, realniej i zgrabniej, że rządowe rabaty z równouprawnienia są większe niż jego rabaty z ucisku. Wyrzekł się już dawno marzeń o władzy, o powrocie do znaczenia jego stronnictwa i raczej marzył o pewnym pojednaniu z obozem rządowym, o tak zwanym rzeczowym stosunku. Stanisław Grabski nie jest zresztą samotny. Liczba jego zwolenników rośnie i przysparza wiele kłopotów partii.

Prócz zdobywania przez obóz rządowy organów prasowych endecji, powstają jeszcze rozłamy prawdziwe. Następuje gorąca wymiana zdań między dwoma wodzami: Stanisławem Grabskim i popieranym niegdyś przez niego senatorem Stanisławem Głębińskim. Klóćą się dwaj emeryci polityczni. Jeden pojednany, drugi niepojednany i na sali w Tarnopolu pada nazwisko trzeciego, który stał się mitem (Roman Dmowski).

Tak schodzą z placu ostatni weterani narodowej demokracji.

10 czerwca, 1935.

#### *Pedicure*

Od wielu lat sejm nie obradował w dni upalne, nie przekraczał terminu określonego niegdyś przez marszałka Piłsudskie-go i kończył prace parlamentarne 1-go kwietnia. Dla skrócenia terminu pracy sejmu odraczano umyślnie sesje budżetowe o jeden miesiąc. Jak najmniej sejmu! — oto było hasło naczelne po przewrocie majowym.

I oto przed odejściem, przed zgonem ostatecznym, czwarty sejm pracuje jak gdyby istniał w okresie sejmowładztwa. Przypomina on owe czasy, gdy uchwalono reformę rolną, ustalono pierwszą w Polsce konstytucję i ordynację wyborczą. Były to upalne dni. Wynoszono się z kuluarów do ogrodu sejmowego, prowadzono rokowania pod kasztanem. W dużym parku sejmowym można było się ukryć przed oczyma ciekawych. Dobijano targu, klecono większość dla kompromisowego układu o reformę rolną, a tymczasem grzmiano na sali, grożono zemstą ludu, odzwier-ciadlając nastroje mas na wsi. Wszystko działo się w atmosferze

249

Prezesowie, sekretarze i nawet zwyczajni szeregowi dyktują poprawki. A nuż uda się zwiększyć skład sejmu choćby o 20-tu posłów, zdobyć jeszcze 5 czy 6 mandatów dla opozycji. Odbywa się twórcza akcja współpracy z referentem ordynacji wyborczej. Odbywa się akcja obrony każdego mandatu.

Zgłoszono kilkaset poprawek. Posłowie opozycyjni są dumni. Każda poprawka ma zniweczyć cel ordynacji wyborczej. Kilkaset poprawek to wydarcie drapieżnych pazurów monopartyjnych. Tak łudzą się posłowie opozycyjni. Przywódcy zaś obozu rządowego cieszą się z współpracy, chwalą moc wniesionych poprawek. Pazurów bowiem nie wydrze opozycja. Część poprawek zostanie przyjęta, a cała groźna akcja opozycji, wszystkie poprawki stanowiąc będą jedynie pedicure, dekoracyjne upiększenie lakierem o czerwonym kolorze pazurów monopartyjnych ordynacji wybor-

czej.

15 czerwca, 1935.

#### *Zgon sejmu*

Zgon sejmu następował jak gdyby w jakąś jesienną pogodę, choć było upalnie. Nawet w ostatniej chwili sejm nie miał wydatniejszych momentów. Prezydium klubu BB nie delegowało swych najlepszych posłów dla obrony projektu ordynacji wyborczej. Sędzia poseł Podoski jako referent czynił wrażenie obrońcy z urzędu. Mamrotał nie budząc zainteresowania własnych posłów, znających zresztą wyrok i motywy, a czytanie brzmiało jak brzęczenie muchy.

W atmosferze ogólnego ziewania toczyła się cała dyskusja. Posłowie opozycyjni nie wykazywali również więcej energii. Nad sejmem zawisła klątwa marazmu. Powtarzano zdania dawno już znane, obracano się dokoła oklepanych ogólników.

Inaczej być nie mogło. Gdy protestowano rzekomo uroczyście z trybuny sejmowej przeciwko ordynacji, jednocześnie modlono się o przyjęcie choćby minimum poprawek, o jakiegokolwiek zwiększenie kontyngentu posłów. Łudzono się łaską, która spadnie z Zamku.

A później, gdy dowiedziano się ostatecznie, że projekt ustawy zostanie przyjęty bez poprawek, że oprócz pozornych poprawek posła Madejskiego o zwiększeniu liczby delegatów robotniczych w kolegiach nie będzie żadnych zmian, zrezygnowano całkowicie z dalszej walki.

251

podniecenia, w brudnawej sali, w zakopconym bufecie. W korytarzach i kuluarach panował ruch. W sekretariacie klubów poselskich spisywano gorączkowo na maszynach poprawki do projektu ustawy. Dziś, jak za dawnych czasów, panuje ożywienie w kuluarach. Prowadzą między sobą rozmowy posłowie różnych klubów. Opuszczają kuluary, by udać się do ogrodu sejmowego. Nie chowają się dla uniknięcia wzroku ciekawych, nie układają kompromisu. Spacerują po parku, który został wprawdzie uporządkowany, ale jednocześnie znacznie zmniejszony, jak gdyby w proporcji do znaczenia obecnego parlamentu.

W komisji konstytucyjnej sejmu toczą się obrady. Przeważ-na część posłów kręci się jednak w kuluarach, ogląda nowe portrety przywiezione do sejmu. Parlament stroi się, wnętrza sal *zostają* ozdobione.

Sprowadzono do gmachu rzeźbę Dunikowskie-go. Wybitny artysta pracował długo nad odlewem Ignacego Da-szyńskiego. Marszałek odchodzącego sejmu z gestem rycerskim postanowił ufundować rzeźbę swego przeciwnika. Na postumencie stoi trybun parlamentu polskiego. Rzeźba z r. 1910 czy 12, z czasów górnych i chmurnych, gdy nieboszczka Austria prześladowała demokrację, gdy walczono o powszechne prawo wyborcze, a „Ignatz” był bożyszczem ludu wiedeńskiego. Jeszcze nosi długie wąsy. Ma się wrażenie, że rozgląda się po kuluarach i chce krzyknąć swym patetycznym głosem: ruina!...

Posłowie klubu BB, członkowie komisji konstytucyjnej, często opuszczają salę. Nie są tam potrzebni. Do



ostatecznego głosowania daleko, a przemawiać *zakazano*. Ma się wrażenie, że klub BB postanowił uczcić przez wielogodzinne milczenie śmierć demokracji w nowej ordynacji wyborczej.

Walczą jedynie namiętnie posłowie opozycji, wygłaszając zasadnicze przemówienia. W pierwszym szeregu znajdują się marszałek Rataj i poseł Niedziałkowski. Mówią o demokracji, o prawach ludu. Walczy współautor pierwszej ordynacji wyborczej do sejmu, poseł Niedziałkowski, przypominając sobie dawne boje w pierwszym sejmie przy układaniu pierwszej konstytucji. Zagląda do artykułów nowej ordynacji wyborczej pełnej szarad i niedomówień. Kto wie jakie niespodzianki kryje w sobie ten nowy twór. Kto wie jakie figury wyskoczą z gmachu nowego sejmu, czy nie zajdą czasem takie niespodzianki, że instytucje ciągnące zawodowo zysk z humoru, wytoczą proces nowym posłom tego gmachu o nieuczciwą konkurencję.

I choć gra jest z góry przegrana i losy ordynacji są przesądzone wre gorączkowa praca w sekretariatach klubowych, jak za dawnych czasów. Maszynistki klubowe piszą bez przerwy.

250

Zapomniany w ciągu ostatnich tygodni b. premier prof. Kozłowski chodził jako triumfator w kularach sejmowych. Przyznawał się do autorstwa projektu ordynacji wyborczej do sejmu, twierdząc, że marszałek Piłsudski zaakceptował projekt, oświadczając co następuje: — wynalazł pan ucho igielne, a teraz zrób pan wybory, ale uczciwie.

Kolumb ucha igielnego, Edison ordynacji wyborczej, nie podaje jednak szczegółów dlaczego nie spadło na niego szczęście przeprowadzenia wyborów do sejmu i senatu, dlaczego zluźowano go tak szybko, mimo iż cieszył się względami w Belwederze, mimo iż kilka dni po dymisji został przyjęty przez Piłsudskiego na dwugodzinnej audiencji.

B. premier Kozłowski wierzy, że po uchwaleniu tej ustawy będzie można przeprowadzić wybory uczciwe, a gdyby nawet istniał nacisk administracji, to po pewnym czasie poseł uniezależni się od starosty, a zbliży się do wyborcy. Tak rozpowiada profesor Leon Kozłowski w kularach sejmowych, przeoczywszy widocznie smutne doświadczenie, że posłowie sanacyjni odwrócili się od wyborców,wołając schronienie u władz administracyjnych.

Premier Sławek oświadczył, że im cięższa jest sytuacja, tym energiczniej trzeba usuwać wszelkie objawy sprzeciwu ucieleśniane w partiach. Nie przed wyborcą, ale przed kolegium wyborczym stawać będzie kandydat by uzyskać mandat poselski.

To wszystko przyjęła opozycja dziwnie spokojnie, z pewną rezygnacją, a wśród posłów obozu rządowego znalazła się jedna „sprawiedliwa”. Po wielu latach nieobecności w sejmie zjawił się Wojski vulgo Wąsał — b. premier Moraczewski i odbył konferencję z żoną swoją posłanką Moraczewską. Posłanka Mora-czewska po krótkiej konferencji w ogrodzie sejmowym zdecydowała się głosować przeciwko ustawie, mimo, że należała do obozu rządowego.

Skończyło się imiennym głosowaniem bezimiennych posłów, końcowym oświadczeniem marszałka, że o następnym posiedzeniu posłowie zostaną zawiadomieni na piśmie, choć w rzeczywistości dekret o zamknięciu sesji i rozwiązaniu parlamentu będzie wieścią żalobną dla posłów, że zapadną w nicość.

Zdawało się, że ostatnie posiedzenie sejmu wypadnie choć nieco więcej uroczyście. Opozycja milczała.

Za tydzień, dwa, rozpocznie się nowa kampania wyborcza. 14-go lipca kongres stronnictwa ludowego poweźmie uchwałę o stosunku do wyborów. W najbliższych dniach zapadnie decyzja Rady Naczelnej PPS. Tymczasem w gmachu sejmu zastanawiają się nad przeróbką zbyt wielkiej sali sejmowej. Zbudowana dla

252  
zmieszczenia 444 posłów będzie za przestronną dla 208 „delegatów kolegów wyborczych”.

1 lipca, 1935.

### *Hymn Pierwszej Brygady*

W sobotę, w godzinach popołudniowych w Prezydium Rady Ministrów odbyło się odmeldowanie posłów i senatorów klubu BB. Do raportu stawili się wszyscy. Na odchodnym zabrał głos premier i prezes klubu BB, pułkownik Sławek. Było to expose premiera, który nie nakreślił pogramu w czasie objęcia rządów. Nie było na to czasu. Wysuwały się jednak zagadnienia nowe, pytania co będzie nazajutrz.

Pan premier zabrał głos jako najbliższy przyjaciel marszałka Piłsudskiego i powiedział wyraźnie, kto ma prawo do wzięcia odpowiedzialności za rządy w Polsce, ściśle powiedziawszy, komu przysługuje przywilej rządzenia. Wyjaśnił niedwuznacznie, że rządzić powinni ludzie 1-ej Brygady, piłsudczycy.

Kto jest piłsudczykiem? I tu otrzymano krótkie, ale dobitne oświadczenie. Piłsudczykami są ci wszyscy, którzy walczyli w 1-ej Brygadzie i później stanęli obok marszałka Piłsudskiego, gdy był naczelnikiem państwa, odprowadzili go do Sulejówka, słuchali jego rozkazów w dalszym ciągu i u niego szukali natchnienia dla dokonania przewrotu.

Przewrót majowy dokonany został jak wiadomo jednocześnie przy współudziale PPS, czynnie

współpracował prezes Związku Kolarzy poseł Kuryłowicz, przygotowując strajk kolejowy. Na wezwanie PPS zgłosił się proletariat miasta Warszawy. Dziś wyjaśnione zostało, że uczynili to ze względów partyjnych, że nie mają przeto prawa do udziału w rządach.

Nie wolno przeto posłom z PPS powoływać się na Piłsudskiego, przeciwstawiając go obozowi sanacyjnemu. Są mu obcy, bo w r. 1928 pokazali prawdziwe oblicze. Na nic wiec zasługi Ignacego Daszyńskiego, który napisał książkę: „Największy człowiek w Polsce”. Nie liczą się przeto prace Leona Wasilewskiego, który niedawno jeszcze otrzymał prawo redagowania mów i rozkazów Piłsudskiego. Dwa miesiące temu ukazała się książka jego pt. „Piłsudski jakim go znałem” i dowiadujemy się, że nawet po Brześciu miał zaszczyt utrzymywać kontakt z marszałkiem Pił-sudskim, pracować w biurze historycznym, redagować „Niepodległość”, choć jak wiemy jest członkiem PPS, płaci składki

253

członkowskie, a niedawno przewodniczył na posiedzeniu Rady Naczelnej PPS, wzywającej do bojkotu wyborów. W ten sposób PPS traci wszelkie prawo do roszczenia pretensji do odszkodowania.

Zarzut partyjnictwa dotknął częściowo klub BB. Premier Sławek kilkakrotnie zarzucił na poufnych zebraniach, że protekcjonizm i wady partyjnictwa wdarły się do tego klubu, że decydują częściowo interwencje, bileciki, telefony, że sąd klubowy musiał ciężko pracować by skończyć z nepotyzmem. Nie pomogła nawet „czystka” władz sądowych. Z jednej strony, sprawy natury etycznej, z drugiej strony odchylenie lewicowe trafiły klub. Postanowiono więc zlikwidować organizację, zawiesić działalność klubu i stworzyć nową organizację, która by w terenie współdziałała z rządem.

Blok bezpartyjny współpracy z rządem zostaje ostatecznie zlikwidowany. Premier Sławek nie powiedział dokładnie jak wyglądać będzie nowa organizacja zastępcza. Nagle i niespodziewanie dla „partyjników” powstał BBWR — zwierza się prezes klubu. Nagle i niespodzianie dla BBWR powstanie nowa organizacja.

Powołują ją do życia ci, którzy w tej chwili rządzą, tj. ludzie 1-ej Brygady. Czy zabezpieczą nowy twór przed rakiem partyjnictwa i trądem protekcjonizmu, czy też po roku, dwóch, zajdzie konieczność po wielorakich czystkach, ponownej likwidacji? Jedno już można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że BBWR, który przyszedł do sejmu jako obóz, odchodzi po 7 latach jako partia i dlatego zostaje skazany na śmierć. Premier Sławek widzi całą winę w parlamentaryzmie i w poprzedniej ordynacji wyborczej i traktuje nową jako niezawodny piorunochron, a raczej anty-partiochron.

Jaki los czeka partię? Co będzie ze stronnictwami, które działać będą wyłącznie poza parlamentem? Na to nie ma odpowiedzi. Potępiono w czambuł wszystkie partie, nie czyniąc różnicy między PPS a endecją. Tak oto odbywa się nazajutrz po śmierci Piłsudskiego nawrót do konstytucji. Nie ma superarbitra, nie ma już czynnika decydującego. Są jedynie komentatorzy jego pisma i dzieł, najbliżsi przyjaciele, którzy stoją u steru nawy państwowej i ogłaszają że odtąd Polska wraca do republiki opartej o nową konstytucję. Oto znika cała mistyka tajemniczości, odtąd rządzić będą ci, którzy zastąpili w radio sygnał z poloneza Szopena pierwszą zwrotką 1-ej Brygady.

Kto rządzi w Polsce? Powstają pytania, na które prawdopodobnie udzieli premier odpowiedzi przed wyborami. Pierwsza Brygada składała się z kierunków, które uzgadniał wódz. Dziś ma

254

to czynić konstytucja. Dokument ma być mocniejszy od układu sił w grupie rządzącej, a przecież każda grupa zechce wypełnić ją swoją treścią, tak jak nadał jej właściwą treść w swoim przemówieniu obecny naczelny komentator pułkownik pułkowników, premier Sławek.

9 lipca, 1935.

*Od Witosa do Stawka*

Dziesięcioletni okres po przewrocie majowym zakończony uchwaleniem konstytucji, nowej ordynacji wyborczej do sejmu i senatu został upamiętniony szeregiem odznaczeń. Ordery, komandorie oficerskie przypadają zwykle w listopadzie lub w maju. Tym razem, wbrew ustalonym zwyczajom, odznaczenia nadane zostały w lipcu dla podkreślenia, że skończył się okres i, że powinni zostać wynagrodzeni ci, którzy brali czynny udział w walkach od r. 1926 do r. 1935.

Odnaczony został człowiek, który brał udział w walce od pierwszej chwili aż do ostatniej, to w charakterze wiceministra sprawiedliwości, to jako minister sprawiedliwości, to jako wicemarszałek sejmu. Trudne bowiem były pierwsze etapy po przewrocie majowym. Trzeba było zastosować w całej pełni teorię Einsteina i wyinterpretować konstytucję marcową z r. 1921, tak jak gdyby to już była konstytucja kwietniowa r. 1935. Trzeba było wdrzeć się między wiersze tej konstytucji i systemem wyjaśnień nadać jej nową treść. Należało nagiąć ustawy do życia, do racji stanu po r. 1926, uczynić z konstytucji tchnącej ideologią parlamentaryzmu ustawę tęskniącą za ideałami mocnej władzy. To był cel działań wicemarszałka Cara. Miał na samym początku większość przeciwko sobie. Klub BB stanowił mniejszość w trzecim

sejmie, ale miał w chwilach decydujących jeden głos większości, głos Piłsudskiego. Nieraz przegrywał w starciu słownym z prawnikami przedmajowymi, z mówcami parlamentarnymi, z posłami Liebermanem, Trąpczyńskim, Strońskim, ale wiedział dokładnie, że cała działalność jego to konieczność upozorowania prawnego czynów nieodzownych.

Miał w sobie jednak coś z obrońcy i w pewnej chwili zawahał się. Minister rządu Piłsudskiego „wrywał sobie włosy z fysej głowy”, jak opowiadał w wywiadzie marszałek Piłsudski, gdy trzeba było zdobyć się na Brześć. Odszedł. Został skazany na

255

siedzenie w parlamencie, na pokutę w gmachu sejmowym. Do r. 1930 był spowiednikiem pragnień prawniczych marszałka Piłsudskiego. Od r. 1930 wcielał w formuły prawne życzenia przyjaciela marszałka Piłsudskiego, płk. Sławka. Nie wysuwał się poza stanowisko wicemarszałka, ale tu działał niezmiernie. Gdy pierwszy projekt ustawy konstytucyjnej okazał się zły, pisał drugi. Był jedynym na froncie walki o konstytucję, aż dopiął celu.

Gdy uchwalono nową konstytucję, odpoczął. Resztę pozostawiał młodszemu w hierarchii. Jeszcze kilka miesięcy przed uchwaleniem konstytucji odbywał gorączkowe narady. Można było w korytarzu sejmowym zobaczyć zakłopotaną grupę z prezesem Sławkiem, wicemarszałkiem Makowskim oraz wicemarszałkiem Carem. Radzono, szukano dróg wyjścia, układano plan batalii, a później, po posiedzeniach komisji konstytucyjnej wysyłano do klubu sprawozdawców parlamentarnych referenta, posła Podoskiego, dla odrobienia protokołu posiedzenia. Do niego należała ostatnia korekta. I ten nie został zapomniany wśród odznaczonych.

Dostał zaszczytu również profesor Waław Makowski, który musiał mocno łamać się ze sobą, by przezwyciężyć dawne nawyki liberalne, stłumić w sobie skłonności pepesowskie, wyrzec się młodości górnej i chmurnej na rzecz poglądów o władzy mocnej. W pierwszych *rzędach* marszałka Piłsudskiego pełnił obowiązki ministra sprawiedliwości, ale później zgrzeszył, przewinił liberalnie i odtąd pokutuje jak wicemarszałek Car w gmachu przy ulicy Wiejskiej.

Nie zapomniano i o tych, którzy w ciężkich chwilach dla klubu umieli trzymać w karbach organizację złożoną z wielu frakcji. Dostał zaszczytu generalny sekretarz klubu, organizator zjazdu legionistów w Radomiu w r. 1930, poseł Osiński. Nie zapomniano również o najbliższych współpracownikach prezesa klubu Sławka, towarzyszach pancernych w okresie wyprawy na Ukrainę w r. 1920, wiceministrze Dolanowskim i wiceministrze Siedleckim.

Pierwszy premier rządów pomajowych prof. Bartel odznaczony już został dawno Orłem Białym. Dziś zostali odznaczeni inni byli premierzy rządów pomajowych: marszałek Świtalski za pierwszą walkę publiczną o konstytucję w sali Filharmonii, b. premier Prystor za walkę na froncie gospodarczym, b. premier Jędrzejewicz za walkę na froncie oświatowym, a wszyscy razem za umiejętność cichego odejścia bez żalu, bez pretensji. Odeszli i czekali cierpliwie, wiedząc, iż w pewnej chwili każdy z nich może okazać się znów potrzebny.

256

Nie dostał jedynie zaszczytu b. premier prof. Leon Koźłowski, autor ordynacji wyborczej do sejmu, a więc zdawało się najbardziej zasłużony. Począł cierpliwie i bez żalu tak jak czekali spokojnie inni byli premierzy.

W senacie nie było wprawdzie tyle walki, bo klub BB posiadał kwalifikowaną większość, ale nieraz trzeba było pracować w szybkim tempie, bić rekordy w parlamentarnym wyścigu z sejmem, uchylać szybko ustawy by dotrzymać terminu. Przewodniczył obradom wyglądający dostojnie marszałek Raczkiewicz. Prowadził tak skrupulatnie posiedzenia, że z góry wypisywał sobie całą procedurę i wszystkie szczegóły. Nie improwizował, a z kartki odczytywał i przeprowadzał głosowanie. Sprawozdawcy parlamentarni mogli zauważyć z łoża prasowej, gdy dostojnym głosem rozpoczynał, odczytując z kartki takie zdanie: — panowie wezmą do ręki druk...

Toteż rzadko się mylił. Z równą dokładnością wykonywał zlecenia prezesa Sławka referent konstytucji senator Rostworowski. W pośpiechu zapomniano widocznie o prezesie komisji konstytucyjnej Targowskim, który został przecież zrehabilitowany w sprawie żyrdowskiej.

Największego zaszczytu dostał jednak wódz kampanii, który rozpoczął walkę za kulisami Prezydium Rady Ministrów jeszcze w r. 1926, a prowadził ją później to jako prezes klubu, to jako premier. Walczył bez żadnych wahań, odchodził z prezydium Rady Ministrów by bić się z wrogiem przy ulicy Wiejskiej, by zniszczyć bohaterów reżymu parlamentarnego. W najostrejszych chwilach walki, w okresie kongresu krakowskiego stał na czele rządu i zapowiadał pokonanie wroga. Miała to być rozprawa ze stronnictwami, z prezesem Witosem i jego towarzyszami.

Skończyło się porażką stronnictw, procesem brzeskim, skazaniem przywódców. W ten sposób zamknięta

została karta polityczna w dziejach Polski. Prawomocnym wyrokiem w r. 1933 został pozbawiony praw obywatelskich Wincenty Witos, stracił prawo do odznaczeń, prawo do Orła Białego, którym został nagrodzony przed majem za zasługi w r. 1920. W r. 1935 na wniosek prezydenta Rada Ministrów uchwaliła przyznanie Orła Białego wodzowi walki po drugiej stronie barykady, premierowi Sławkowi. Tak skończył się okres bojów od r. 1926 do r. 1935, tak zamknięty został cykl walk między Witosem a Sławkim. 15 lipca, 1935.

257

17

### *Rezolucja na Żoliborzu*

14 lipca br. zebrał się w Warszawie na Żoliborzu front ludowy. Odbył się kongres Stronnictwa Ludowego. Za dawnych dobrych czasów zbierano się przeważnie w Krakowie. Kongresy nosiły charakter parady ludowej. Orkiestry, stroje ludowe, śpiewy, pochód przez ulice Krakowa na Wawel organizowano dla rozweselenia publiczności. Na kongres według ustalonego zwyczaju zjawiali się delegaci z papierkami, z podaniami do urzędów. Przychodził również minister ludowy, odbierał papierki, lub notował uwagi na podaniach.

Bywały i kongresy inne, pomajowe, gdy opozycja była jeszcze w ofensywie. Nie chowano się. Na jawnych kongresach uchwalano rezolucje antyrządowe. Układano przysięgi na Kleparzu. Parlament wychodził na ulicę, wzywał wyborców do walki. Czasy te minęły. Kongres przeniesiono na przedmieście Warszawy. Zamknięto drzwi dla prasy. Wstrzymano się od zewnętrznych wystąpień, pilnowano się, by ani na chwilę nie przekroczyć linii prawa i legalizmu. Unikano jakichkolwiek dyskusji, przemówień, które by podniecały. Wybrano odpowiedniego referenta, b. marszałka sejmu Ra-taja, który w ciągu wielu lat tkwił w polityce złotego środka, mędrkował chytrze, unikając scysji jako marszałek parlamentu. Starszyzna uchwiliła, że kongres ma się odbyć bez dyskusji. Po co gadać, kiedy każde słowo może jeszcze podniecić i posunąć zebranie dalej, niż pragnęli tego organizatorzy.

Dużo posłów ludowych nie przybyło na kongres, zjawili się natomiast starzy działacze, zauszniczy Witosa, posłowie z okresu sławy organizacji ludowej Piast. Przybył b. poseł Bobek z Cieszyna, towarzyszył mu dawny adiutant Witosa, b. poseł Widota. Kroczył obok stary *działacz* piastowy, b. referent budżetu, poseł Gruszka. Sekretarzowała posłanka trzech sejmów, Kosmowska. Powzięli uchwałę, że stronnictwo ludowe nie weźmie udziału w wyborach do parlamentu. Nie chciano dyskusji. Zebrani uznali, że wystarczy treść ordynacji wyborczej do sejmu i senatu, by zniechęcić wyborców. Uważano natomiast, że należałoby pomówić więcej o niedoli chłopskiej, o tym, o czym tak dawno w parlamencie nie było słyhać. Chciano przeistoczyć kongres w sejm chłopski. Działano spontanicznie. Gdy ktoś się zawahał, chciał rzucić jakieś „ale”, okrzyczano go i zmuszono do milczenia.

Po przerwie obiadowej, gdy delegaci chcieli znowu zebrać się by po uchwalonej rezolucji naradzić się nad losem chłopstwa,

258

wysłuchać sprawozdań z poszczególnych okręgów, dowiedzieli się od przewodniczącego, b. posła Malinowskiego, że kongres został zamknięty. Nie będzie więcej mówienia, nikt lepiej nie powie niż Rataj, a to co powiedział wystarczy. Obawiano się szczególnie postawy młodzieży, niespodziewanych rezolucji i postanowiono udaremnić zakusy grup radykalnych. Spisano szybko uchwałę kongresu, by rozejść się jak najrychlej.

Dopiero po godzinie przerwy organizatorzy zebrani w klubie robotniczym na Żoliborzu poczęli się zastanawiać nad sensem uchwalonej rezolucji. Postanowiono zbojkotować wybory, a więc opuścić drogę parlamentarną. Sens takiej uchwały zawiera tendencje rewolucyjne.

Wiadomo jednak, że kongresem nie rządziły żadne względy rewolucyjne. Była to uchwała rozpaczy i rezygnacji. Od kilku bowiem lat, bo od r. 1930 reżym obecny jest w ofensywie, a kluby opozycyjne w pozycji defensywnej. Jedna strona zadaje ciosy, a druga odpowiada skomleniem, powoływaniem się na prawo lub zgadywaniem, jakiego ciosu spodziewać się należy nazajutrz. Nie liczono sił własnych. Śledzono jedynie stan osłabienia przeciwnika. W każdej drobnej zmianie, w każdym manewrze reżymu dostrzegano już zapowiedź zmiany. Spodziewano się jakiegoś zwrotu na lewo. Stawiano na ministrów rządu premiera Kozłowskiego. Uśmiechano się do niego i później. Liczono, że premier Kozłowski i minister spraw wewnętrznych Kościółkowski nie dopuszczą, by nowa ordynacja wyborcza stała się prawem. Stawiano jak najbardziej kompromisowe wnioski, a w kularach sejmowych tworzone nawet pozory współpracy.

Dziś po uchwaleniu rezolucji niektórzy posłowie są jak gdyby w kłopotcie. Zakreślili granice działania, nie pozwolili na żadne daleko idące rezolucje, ale jednocześnie uchwała o bojkocie wyborów obowiązuje do dalszego działania.

Front ludowy postanowił pójść luzem. Zebrano się wprawdzie na Żoliborzu w domu robotniczym, ale nie

zastanawiano się nawet nad zasadami bloku i jednolitej postawy z partiami robotniczymi. B. poseł Putek odpowiadając na nabożeństwo kongresowe, udał się do Choczni, do swojej wsi rodzinnej, skąd rzadko wyrusza by spojrzeć na świat.

Milczeli również i secesjoniści, zwolennicy porozumienia z rządem, wystawiania kandydatów itp. Nie zabierali głosu, bo zlekli się postawy delegatów. Nastrój był bojowy. Sprawiała to nie tyle ordynacja wyborcza, ile niedola wsi, rosnąca nędza, przerażenie wobec dalszego spadku cen zboża i niepewnego jutra. A na odchodnym spoglądano sobie w oczy, badano się wzajemnie,

259

myśląc o ciężkich czasach, które przyczynić się mogą do dalszego spustoszenia moralnego. Znajdą się tacy, którzy zechcą zachęcić chłopą, by wystawił ich kandydaturę, bo tysiąc złotych miesięcznie — to nie fraszka. Przewijały się w myśli nazwiska tych wiernych towarzyszy Witosa, którzy załamali się w ostatnim roku i przeszli do obozu rządowego.

Nie zastanawiano się nad konsekwencjami tego kongresu, nie pomyślano nawet, że zebrał się w dziwny sposób. Zjawiono się o godz. 11-ej, wysłuchano błogosławieństw emigrantów politycznych z zagranicy, referatu posła Rataja i wyrzeczone się rozprawy o tym, co będzie nazajutrz. Wystarczyła im na pożegnanie pieśń bojowa, stary hymn powstania, śpiewany często w poprzednich sejmach.

Przybyli na kongres posłowie, którzy w r. 1930 organizowali zjazdy okręgowe, ruszali do Krakowa, odbywali marsze na Tarnów i Rzeszów i spodziewali się wówczas zwycięstwa, wierząc w moc parlamentaryzmu. Dziś przybyli bez wiary w zwycięstwo, bez zapału do objęcia władzy i tylko rezygnacyjnym oświadczeniem bojkotu wyborów zmanifestowali swój stosunek do reżymu.

A jednak jednomyślną postawą sprawili niespodziankę, dowiedli, że w obecnej chwili, przy rosnącej nędzy na wsi, trudno wprawdzie wykrzesać z chłopą akcję rewolucyjną, ale łatwo namówić go do odwrócenia się tyłem do urny, do machnięcia ręką, do zamknięcia się w barłogu i złowrogiemu wyczekiwania na jakieś nieznane mu bliżej czasy.

Gdy tłum opuszczał salę domu robotniczego na Żoliborzu, spoglądał na delegatów referent i wódz b. marszałek Rataj. Spozierał trwożliwie w podniecone twarze młodzieży. Przez dwie godziny, bo tyle tylko trwały obrady kongresu, perswadował, mitygował, hamował, by skończyć na rezolucji bojkotu. A tu wyrastały nastroje, które trudno było opanować i które udało się zahamować jedynie dzięki sprawności organizatorów, którzy w ciągu tych dwóch godzin załatwili się z delegatami. Pozostało wspomnienie pośpiechu, ugodowych motywów dla wcale nieugodowego wniosku.

Sekretarz kongresu poseł Smoła dyktował prasie tekst rezolucji. Był markotny, że doszło do tego, do sytuacji przymusowej, do pośredniej walki z ministrami, na których stawał jeszcze kilka miesięcy temu. Bojowy niegdyś działacz zląkł się własnego posunięcia w ciężkich czasach reakcji, gdy wypadnie się jeszcze dalej cofać bez walki i ponosić straty na rzecz reżymu.

20 lipca, 1935.

## 260

Przypisek.

**Działacze Wyzwolenia Malinowski, Róg, Smoła, Woźnicki i in. obecni na kongresie, zwrócili się w kilka miesięcy później do ministra spraw wewnętrznych Kościalskiego z ofertą wzięcia udziału w wyborach za cenę zagwarantowania im mandatu.**

*Wódka bez alkoholu*

*Kogóż zatem wybrać: poetę czy filozofa? Damy niech rozstrzygną: co do mnie, z Wszelkim będąc respektem dla jednego i drugiego, głosuję za burmistrzem Borysem, jeżeli posiada Ramienicę trzypiętrową, a dochodu czystego 20 tysięcy rubli i czterdzieści kopiejek-*

**Adam Mickiewicz: „Kogo wybrać za męża”.**

Czy rozpisano wybory w Polsce? Czy wybierano kandydatów, czy zbliża się termin wyborów? Plakaty władz urzędowych stwierdzają, że tak się stało. Obywatel przeciętny ma jednak wrażenie, że wszystko to należy do świata oderwanego od rzeczywistości, że to pewnie działo się w jakichś gmachach, ale nie doszło do świadomości wyborcy. Gorzej jeszcze: wyborca nie zdaje sobie sprawy kto właściwie bojkotuje wybory, opozycja czy czynniki miarodajne. Premier Sławek krótko, niedwuznacznie oświadczył, że jest przeciwnikiem agitacji wyborczej. Żadne odezwy, żadne ulotki. Wystarczy, że kandydat poleci się, ogłaszając skromny życiorys. Toteż pisma sanacyjne przeistoczyły się w nowoczesnych Plutarchów i drukują życiorysy sławnych mężów obozu rządowego. Lwią część biografii zajmują czyny wojskowe, cywilna część biografii jest często pomijana, jak gdyby przyszły poseł miał wstąpić do Akademii Wojskowej, a nie do parlamentu.

Życiorysy kandydatów przeglądał osobiście premier. Utrzymano ten sam rozmiar dla wszystkich bez wyjątku. Pan premier uważa, że kandydaci znani już są społeczeństwu, że zdobyli sobie wieloletnią pracą odpowiednią markę. Dla oblicza sejmu taki lub inny kandydat nie posiada żadnego znaczenia. Wszyscy będą jednakowo uchwałać i chwalić, a jeśli regulamin sejmowy postanowi, to przyjmą w kawalerskim

biegu ustawę w siedemdziesięciu czytaniach.

Czy jeden z tych kandydatów głosować będzie przeciw rządowi, kwestionując ustawy, zredukuje wydatki, opuści demonstracyjnie sale posiedzeń, walić będzie, broń Boże, w pulpit?

**261**

Zdawało się, że w nowych warunkach będzie mniej pola do popisu, mniej pracy w wydzieraniu ofiar sądom. W istocie rzeczy obrońcy sądowi okresu przedwojennego, którzy z poświęceniem walczyli w *sudiebnoj palatie* (rosyjska izba apelacyjna), znaleźli dużo okazji do działania. Nowi bohaterowie zjawili się w sali sądowej. Starzy obrońcy z adwokatem Śmiarowskim na czele walczyli o ich zwolnienie. Czynie to jako członkowie organizacji Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zbierali się często w bufecie sejmowym, by opowiadać o swoich zwycięstwach lub biadać nad niedolą więźniów politycznych. Siedzieli wspólnie senator Posner, adwokat Śmiarowski, posłanka o promiennych oczach, Kosmowska. Prawica nazywała ich masonami. Nikt bowiem z endeków żyjących z nienawiści nie mógł zrozumieć, co pchnęło tych ludzi do poświęceń.

Byli wierni sobie. Gdy przyszedł ciężki czas przewrotu hitlerowskiego w Niemczech zgłosili się, by publicznie zaprotestować przeciw temu co się tam dzieje i czego nie można teraz nazwać po imieniu ze względu na dobre stosunki łączące Polskę z Niemcami. Nie kadenowali, by z jednej strony podpisywać protesty, a w kilka tygodni później wygłaszać odczyty na zaproszenie Goebbelsa lub innych intelektualistów tego pokroju.

Zjawiał się często ze słowami pociechy, z optymistycznym pozdrowieniem senator Motz. Słuchano go chętnie, gdy zabierał głos z mównicy w senacie. Perswadował łagodnie. Miał w sobie coś z „causeura” francuskiego.

Mandat senatora traktował bardzo poważnie, mimo iż instytucja coraz więcej traciła na znaczeniu. Przyjeżdżał umyślnie z Paryża na posiedzenia senatu. Nie brał dla siebie diet, a pieniądze przeznaczał na cele oświatowe, a ostatnio na pomoc dla emigracji politycznej. Po przemówieniu schodził do bufetu sejmowego, by opowiadać kolegom o tym co się dzieje w ulubionej Francji, dodać otuchy na przyszłość. Słuchano go tak jak w długą ciemną noc polarną opowiadań o wschodzie słońca. Potakiwano, by po skończonej gawędzie wziąć się do szarej smutnej roboty.

Prof. Petrażycki, Baudouin de Courtenay, gen. Babiański, Śmiarowski, samotni profesorowie petersburscy na warszawskim terenie, działacze o zbyt radykalnych, jak na obecne stosunki poglądach, odchodzą. Topnieje grupa związana walkami przed wskrzeszeniem państwa polskiego, znikają ludzie serca, bohaterowie czerwonej Warszawy, tak barwnie skreśleni przez Grabca i coraz mniej jest tych „przyjaciół” w ciężkim okresie cofnięcia wstecz osi historii. >

8 lipca, 1935.

264

*Czwarte czytanie*

*Rozlaty rzety, pełne zwierza bory I pełno zbójców na drodze.  
(Powtór taty)*

Dyskusja na temat zwycięstwa przy wyborach ma się ku końcowi. Opozycja ogłosiła zwycięstwo w poniedziałek rano, twierdząc, że bojkot wyborów się udał. Brukowa tzw. prasa czerwona pogięła opozycję dopiero po południu, twierdząc, że liczba głosujących w r. 1935 była większa, niż liczba głosów, która padła na sanację w r. 1930. „Gazeta Polska” nie śpieszyła się z ogłoszeniem zwycięstwa. We wtorek jeszcze za przykładem dawnego „Kuriera Polskiego” zajmowano się miast wyborami sytuacją w Japonii. Dopiero nazajutrz rozległ się okrzyk „banzaj”.

Gdyby zwycięstwo było kompletne rozległyby się sanacyjne dzwony na słoneczne światła strony. Pan prezydent miasta nie omieszkałby zorganizować pochodu, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, Górecki, wygłosiłby przemówienie, chorągwie wisiałyby trzy dni z rządu. Szalałby Komitet Propagandy i Czynu Narodowego.

Tymczasem składano hołd raczej Pimowi. Chciano widocznie podkreślić znaczenie kongresu meteorologów, który odbywał się w Warszawie. PAT przeistoczył się w PIM'a. Komunikaty pół-urzędowe opowiadały jedynie o pogodzie. Deszcz w tych komunikatach lał jak z cebra. Wezbrały potoki, groziła powódź. Zapowiadano akcję ratowniczą. Mówiono już o potopie. Nazajutrz PIM zaprzeczył komunikatom PAT'a. Biuletyny PAT'a o pogodzie czyniły raczej wrażenie arki Noego, do której chcą się schronić ci, którzy musieli komunikować za wszelką cenę dużą frekwencją przy wyborach.

Nie wszystkie jednak raporty brzmiały tak groźnie. Niektóre tchnęły melancholią. Jeden z szefów bezpieczeństwa donosił: „nastrój poważny, frekwencja mała”. Był to krzyk serca, zwierzenie uczciwe człowieka, który nie chciał się zaślaniać pogodą.

Starostowie byli istotnie w kłopotcie. Pan premier domagał się wyborów bez agitacji, tańców bez muzyki. Wskrzeszać zapał dla ordynacji wyborczej należało do prometeuszowych dzieł, do akcji ponad ludzkie siły.

Dokonali tego w szlachetnym współzawodnictwie dwaj wojewodowie: poleski, Kostek Biernacki, wołyński, Józefski. Dane statystyczne nie rozstrzygnęły jeszcze sporu w walce o palmę pier-

265

wszeństwa, ale przykład z Kobrynia należy do najwspanialszych. Nie dziw przeto, że jeszcze przed biuletynami o wyniku wyborów z okolic bliższych doszła wiadomość o zwycięstwie w okręgu Kobryń. 127 tysięcy Białorusinów, nieco Żydów i Polaków głosowało na Podoskiego i Hołyńskiego. Nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. Lekceważono w sejmie referenta ordynacji wyborczej, który uchodził jedynie za cień wicemarszałka Cara, a w Kobryniu rozentuzjzmowane tłumy nie chciały posła Białorusina i jak gladiatorzy rzymscy wołali: „ave Podoski, głodomory te solutant”. Wiwatowano pewnie i na cześć referenta budżetu ministerstwa skarbu, posła Hołyńskiego.

Niemniej zwycięsko brzmiał biuletyn z Białegostoku. 57 tyś. oświadczyło się za ministrem Rajchmanem. Dobrowolny zapal dla pożyczek jest niczym wobec ochoczego nastroju ludności żydowskiej dla wyborów. Z takimi dowodami zwycięstwa można zostać murowanym, wiecznym ministrem. Premier Sławek lub min. spraw wewnętrznych Kościałkowski zdobyli po dwadzieścia kilka tyś. głosów, a min. Rajchman ma podwójne zaufanie.

Dziwić się należy jedynie „Czasowi”, że pisze z przekąsem o zwycięstwie, że skarży się na zbyt ni nacisk grup kierowniczych BB, że zerka nawet groźnie w stronę administracji. Korespondent łódzki „Czasu” wyraża żal, że z Łodzi nie wyszedł ani jeden robotnik.

Utyskiwania są niesłuszne. *Znane* jest francuskie przysłowie o najpiękniejszej kobiecie. Z ordynacji wyborczej nie można było wykrzesać więcej, nie można było jej naprawić liberalnymi uwagami ministra spraw wewnętrznych. Min. Kościałkowski może być dumny. Trzy, cztery krwawe zajścia w akcji wyborczej w zestawieniu z rozgoryczeniem z powodu ordynacji wyborczej — to ofiary stosunkowo małe. Nastrój więc był istotnie nie tyle poważny lub ponury, ile apatyczny.

Zawiodła stolica. Warszawa nie dopisała. Jest więc temat dla dziennika IKC (Ilustrowany Kurier Codzienny), aby znowu zaatakować warszawistów. Można domagać się przeniesienia stolicy. IKC tę ideę spopularyzował. Należy złożyć hołd wyborcom kobryńskim i przenieść stolicę gdzieś w pobliże (koło pewnego zakładu wychowawczego).

Na ogół panuje nastrój powszechnego zadowolenia. Premier uważa, że odniesione zostało zwycięstwo.

Wybrano pożądaných kandydatów, a frekwencja również nie zawiodła. Opozycja uważa również, że „plebiscyt udał się”. Społeczeństwo odrzuciło w czwartym czytaniu ustawę o ordynacji wyborczej przyjętą przez sejm w trzech czytaniach.

4 września, 1935.

266

„Kres wędrówki”

W pokoju *łączącym* salę posiedzeń sejmu z bufetem sejmowy<sup>01</sup>) gdzie zwykle podczas długotrwałych obrad posłowie siadali na kanapach i w fotelach, by przetrwać w gmachu sejmu, zasiadł b. premier Walery Sławek. Koło niego usiedli na miękkich fotelach nieodstępni i wierni towarzysze: sekretarz generalny BBWR Brząk-Osiński oraz wicemarszałek Podoski. Prowadzili ze sobą długą rozmowę. Omawiali pewne wypadki dnia poprzed-<sup>nie</sup>g<sup>o</sup>, gdzie na poufnej naradzie w Banku Gospodarstwa Krajowego prezes Sławek był zupełnie osamotniony, a obrona przeprowadzona przez adiutantów wypadła słabo.

Gdyby kilka miesięcy temu prezes klubu Sławek zjawił się na posiedzeniu i wygłosił przemówienie, nikt nie zabrałby głosu by polemizować. Oklaskiwano by gorąco, nie dbając<sup>o</sup> treść, a po skończonym posiedzeniu każdy czekałby z drżeniem serca na rozkazy. Kogo bowiem wziął na stronę prezes klubu, z kim rozmawiał poufnie, ten zyskiwał na powadze.

Premier Sławek mógł często przegrywać. Zdarzyło się nieraz, że marszałek Piłsudski nie pochwalił jego czynu. Dzieło konstytucji zostało zakwestionowane w Belwederze i prezes klubu szczerze zwierzył się ze swojej klęski. Nie umniejszało to jednak i<sup>e</sup>go znaczenia w łonie klubu. Tu prezes urastał do miary dyktatora. Nie m<sup>i</sup>ął kontrkandydatów. Piłsudski powierzył mu utworzenie BBWR i udzielił wyłącznego prawa decydowania o wszystkich sprawach związanych z istnieniem tego obozu.

Nie było nigdy obawy, że Sławek zdradzi tajemnicę. Każdy wyraz był górnolotny, przemówienie stanowiło poemat oderwany od czasu i przestrzeni. Wyszukane wyrazy były deklamacją o zaletach rycerskich, o obowiązku, o honorze.

Pułkownik Sławek nigdy nie zniżał lotu. W przemówieniach swoich nie widział ziemi. Był zawsze w niebie. Jego wróg jedynie znajdował się na ziemi, jego nieprzyjaciele politycznie należeli do obozu wyklętych, zanurzonych w błocie. Obóz jego składał si<sup>e</sup> ze szlachetnych. Karność i posłuszeństwo cenili Sławek jako największą zaletę. Sam wyrzekł się samodzielnego myślenia, uważając, że ta cecha należy jedynie do Belwederu. Domagał się, <sup>o</sup>y Podkomendni jego byli również jak on posłuszni.

Wymusztrowani jak w koszarach nie śmieli posłowie z klubu \*® opowiadać o przebiegu posiedzenia. Gdy zjawił się jednak śmiałek i w tajemnicy szeptał na ucho, to okazywało się zwykle, że oprócz okłasków i mowy oderwanej od sytuacji politycznej nie MO nic. PIM zapowiadał stale pogodę

267

Tak działo się i w sejmie po r. 1928. Zdawało się, że prezes klubu zmienia tylko szyk wyrazów. Nie *zniżając* lotu, widział w sekretarzach wojewódzkich i powiatowych BBWR bohaterów z nowoczesnego ułożonego przez niego Plutarcha. „Człowiek z budki suflera” brał na serio dostosowane do jego stylu sprawozdania z terenu o przebiegu wyborów. Nie wierzył w nadużycia wyborcze. Wystarczyło mu słowo honoru sekretarza, że wszystko było w najlepszym porządku. Tylko wróg może być podły, ale rzecznicy BBWR pamiętają o honorze i obowiązku. Nie było nikogo spośród członków klubu, który by, jak matka w komedii Rittnera przypomniał mu, że żyjemy w wieku 20-ym, że sprawy wyborcze wołają o pomstę do Sądu Najwyższego. Chwalono i kadzono, a buntowników, którzy odważyli się wstawić słowo „ale” spotykała kara zasłużona.

O sekretariatach BBWR opowiadano rzeczy najrozmaitsze. Przerażeni przedstawiciele obozu zachowawczego wołali na alarm. Nic nie pomogło. Prezes małego parlamentu w dalszym ciągu automatycznie błogosławił, chwalił i akceptował politykę regionalnych sekretarzy bloku.

Trwało to bez przerwy, aż nagle padł rozkaz. W Belwederze zastanawiano się, kto może w demi-sezonie politycznym objąć tymczasowo ster władzy, kto wobec konieczności natychmiastowego ustąpienia Kozłowskiego *zasiądzie* na Krakowskim Przedmieściu.

Prezes Sławek przyszedł do prezydium Rady Ministrów jako premier, ale traktował siebie za urzędnika do szczególnych poleceń Piłsudskiego. Takim urzędnikiem był w r. 1926, gdy wysłany został przez Piłsudskiego dla opanowania tajemnic i techniki rządzenia. Mógł spokojnie firmować sprawowanie władzy. W Belwederze zasiadał gwarant i żyrant. Mógł w dalszym ciągu wygłaszać uroczyste *kazania* i zasłaniać tym samym rzeczywistość Mógł to czynić do połowy maja roku bieżącego bez przeszkody. Ale oto los narzuca mu obowiązki prawdziwego premiera. Musi rządzić i decydować, uchylać bez pytania. Nikt nie powstrzymuje żadną cierpką uwagą jego potoku uroczystych słów. Nikt nie tłumaczy mu dobrotliwie, że ordynacja wyborcza jest pomysłem chybnym, nikt nie wyjaśnia, że ustawa o ordynacji wyborczej nie może być wyjściem z sytuacji po śmierci Piłsudskiego.

Premier zasiada u siebie na Krakowskim Przedmieściu i wysłuchuje raportów starostów, wojewodów, sekretarzy wojewódzkich i powiatowych. Przynoszą mu zewsząd entuzjazm, radość z powodu uchwalenia ordynacji wyborczej. Prezes BBWR wierzy nawet, że lud białoruski uparł się, by przedstawiciel ciężkiego przemysłu Hołyński został jego przedstawicielem.

268

# L

Rzeczywistość ostatnich wyborów nie rozczarowała prezesa Sławka. Było to jeszcze jedno zwycięstwo. Postanowił zwyciężać dalej. Wypisał kilkadziesiąt kartek dla umotywowania, że parlament powinien być milczkiem. Przygotowywał się do likwidacji BBWR, wierząc, że odtąd funkcje jego w parlamencie weźmie na siebie sam sejm i jego prezydium. Dziwił się, że po uchwaleniu konstytucji, ordynacji wyborczej, po wyborach do sejmu nikt nie wierzy jeszcze w istnienie raju na ziemi polskiej, że najbliżsi jego towarzysze coraz głośniejszą mówią, że autorem „raju utraconego” nie jest Milton, lecz Walery Sławek, że miast odcięcia kuponów z akcji wielkiego spadku rośnie groźba dewaluacji kapitału.

W historyczną noc w BGK doszło do buntu młodych pułkowników. Prawdy ukrywane w ciągu lat wielu rzucono otwarcie w twarz prezesa. Wypowiedziano mu posłuszeństwo, przyręczone jedynie szacunek. Był to więc pogrzeb polityczny pierwszej klasy ze wszystkimi możliwymi honorami.

Po dramatycznych scenach na Zamku spotkał go drugi cios z rąk towarzyszy własnych. U boku jego stoją jeszcze wierni Brzęk-Osiński i Podoski. Oplakują go rzewnie tylko kacyki terenowe, sekretarze wojewódzcy i powiatowi.

4 listopada, 1935.

*Wśród bólów porodowych*

Gdy w poprzednim sejmie *zabrał* głos minister rolnictwa Po-niatowski i zobrazował na podstawie cyfr



nędzę wsi, spadek spożycia i produkcji, na sali panowała konsternacja. Oklaskiwała go opozycja. Bili brawo szarzy żołnierze klubu BB. Starszyzna sanacyjna milczała. Nie dlatego, iżby cyfry były fałszywe, ale wymowa liczb obracała się przeciwko prowodyrom i przywódcom obozu rządowego. Nikt z nich nie był autorem tej nędzy, spadku spożycia, a jednak każdy z nich czuł się współwinnym. Miało się bowiem wrażenie, że w ciągu wielu lat ukrywano przed opinią publiczną cyfry statystyczne, że pozostawiono każdemu obywatelowi troskę o własną biedę, nie pozwalając wnikać w sprawy publiczne, że odesłano szarego człowieka z kwitkiem do domu, zapewniając go, że będzie dobrze.

Odrywano gwałtem ludzi od zagadnień gospodarczych, odsuwano na bok zagadnienia polityki zagranicznej. Nie należało o tym myśleć. Przywódcy obozu rządowego prowadzą Polskę do

269

mocarstwowości. Nie poprzestaną nawet na tym „skromnym” słowie. Mówiono już o wielkomocarstwowości.

Co tydzień wywieszano sztandary, urządzano pochody publiczne. Obwieszczano opinii publicznej zwycięstwa w polityce międzynarodowej. Pokazywano światu „silną rękę”, wypowiadano traktaty i Komitet Propagandy Czynu Narodowego był wprost zawalony pracą.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, po tak świetnych zwycięstwach, obóz rządowy domagał się dalszych praw dla władzy wykonawczej, że biadania opozycji traktowano jako defetyzm i szept agentur obcych. Ale oto przyszedł człowiek z własnego obozu i zgasił cyframi sny o potędze, opowiadanie o wielkomocarstwowości.

Po smutnej powieści ministra rolnictwa przyszedł z mowami wodnistymi minister skarbu. Zapewnił wówczas słuchaczy, że deficyt budżetowy będzie coraz mniejszy. Obecnie nowy minister skarbu, wicepremier Kwiatkowski, zgasił w czwartek wszystkie jupitera wielkomocarstwowości, zapaliwszy drobne światełka na grobowcach polskiej rzeczywistości. Poranek był mglisty. Przez górne szyby sali sejmowej nie przenikało światło słoneczne. Panował półmrok. Na trybunie stał człowiek w czarnym ubraniu i zaczął smutną powieść. Nie przywitano go zachęcającym oklaskiem. Zmierzo go w pierwszych rzędach badawczym spojrzeniem. Im dłużej mówił w półmroku, tym smutniej snuł swe wywody, tym bardziej tworzył przepaść między sobą a pierwszym rządem.

Zdawało się, że wymowa cyfr nie ma nic wspólnego z porachunkami, a jednak wyczuwano między wierszami, że wicepremier czyta nową powieść pt. „Dzieje grzechu mężów stanu od r. 1930 do r. 1935”.

Preliminowano budżety z nadwyżką, wyskakiwał budżet z deficytem. Preliminowano deficyt na sto milionów, osiągnięto deficyt 206 mil. Preliminowano deficyt na 120 mil., osiągnięto 245 mil. Sesja budżetowa i preliminarz budżetowy stanowiły dział humorystyczny. Wiedzano bowiem, że ustawa skarbowa ma magiczne artykuły przekreślające całkowicie pracę wielu miesięcy, przeistaczające budżet w fundusz dyspozycyjny. Zresztą wszystko było zabawą wobec palącego zagadnienia ustrojowego, wobec konieczności spreparowania ordynacji wyborczej.

A tu nagle po deficycie, który w ciągu 6 miesięcy wynosił już 190 mil. zł. minister skarbu w półmroku opowiada groźne rzeczy o zacofaniu gospodarczym. Estonia, Rumunia i Jugosławia przodują w eksporcie, w rozwoju produkcji. Czechosłowacja przerasta Polskę pięciokrotnie, choć nie dostąpiła zaszczytu zmia-

270

ny ustroju, ordynacji wyborczej, a na czele resortu spraw zagranicznych stoi nie nucący hymnów wielkomocarstwowych, Edward Benesz.

Złożyło się tak dziwnie, że człowiek, który do r. 1930 nucił pieśń o zwycięstwie, opowiadał białym wierszem o postępach przemysłu i handlu, musi tonem jeremiaszowym nucić treny. Mistrz słowa tym groźniej uwypuklił sytuację, tym wyraźniej oskarżał poprzedników swoich o grzechy rozrzutności, im więcej zbliżał się do dnia dzisiejszego.

Ale oto światła górne zostają zapalone. Ustaje cichy ton przemówienia. Głos potężnieje. Minister skarbu Kwiatkowski maluje wizję przyszłości. Jeszcze wczoraj puste kasy skarbowe, ale jutro będzie równowaga budżetowa, pojutrze nastąpi opracowanie planu inwestycyjnego. Przed oczyma słuchacza wyrasta fata morgana, cudowna bajka o żelaznym wilku. Pan minister skarbu przyrzeka przemysłowcom wzrost konsumpcji, zapowiada, że nie dojdzie do redukcji płac. Już powstają izby pracy. Za rok, za dwa wrócą do sejmu dawne tabele statystyczno-porównawcze.

Biją oklaski nie tylko szarzy żołnierze, ale i przywódcy z wyjątkiem prezesa klubu BB. Jest bowiem zmartwiony i dobity wieściami z zewnątrz. Gdy wicepremier zapowiada narodziny lepszego jutra do b. premiera dochodzą wieści, że cały sejm (dawniej Instytut dla Dziewic Szlacheckich) wbrew jego intencjom przeistacza się w instytut ginekologiczno-położniczy. Mianowicie z różnych stron na pierwszym piętrze dochodziły kwilenia noworodków grupowych.

Umarły partie, na ich miejscu powstają grupy. Kilka dni temu narodziła się grupa oświatowa. W południe ogłoszono narodziny grupy pracy.

Ojcowie chrzestni zjawiali się kolejno do urzędnika stanu cywilnego na terenie sejm marszałka Cara, by zameldować szczęśliwy poród i nazwę urodzonego. Zgłaszano już pretensje do lokalów klubowych. Jeszcze rano naradzano się regionalnie, ustosunkowano się z krakowskiego, wileńskiego lub poznańskiego punktu widzenia wobec rządu. Ale oto później nastąpił zwrot. Kończą się regiony, rodzą się grupy ideowe, poszukujące deklaracji ideologicznej.

Biedni posłowie nie chcą siedzieć na sali sejmowej według województw, starostw i komisariatów policji. Rodzi się partyj-nictwo dostosowane do nowych form ustrojowych.

Do posłów piszących „z regionalnym pozdrowieniem” przemawiał w czwartek wicepremier, inaugurując dyskusję budżetową. Kto wie jednak czy uzyskanie budżetu nie nastąpi w atmos-

271

ferze walk ideowych grup, które narodziły się w godzinę smutnej spowiedzi i rachunku sumienia wicepremiera rządu.

7 grudnia, 1935.

*Ksenofont polski*

(Strzępy meldunków Sławoja Składkowskiego)

Z łoża prasowej sejm lub senatu można było często zaobserwować zgiętego nad notatnikiem Sławoja Składkowskiego. Pisywał pilnie i nieustannie. Jak później okazało się — wzorował się na Pasku.

Czynił to jeszcze w legionach. Nie przerwał pracy aż do dnia dzisiejszego. Mógł bez żadnych trudności nazajutrz po śmierci Piłsudskiego wydać strzępy meldunków, protokoły ze 150 rozmów. W rozmowach tych Sławoj Składkowski zajmuje najskromniejsze miejsce. Píše nie oszczędzając własnej osoby. Cóż znaczy on w zestawieniu z Piłsudskim? W każdym słowie jest cześć i kult.

Pamiętniki te potwierdzają raz jeszcze słusność oświadczenia b. premiera Jędrzejewicza, że takie nastawienie panowało wśród wszystkich premierów i ministrów Polski pomajowej. Słuchali, godzili się i przyjmowali do wiadomości. Stawiali opór o ile sam marszałek pozwolił na to.

Generał Składkowski nie opuszcza ani jednego niepoehlebnego pod swoim adresem zwrotu. Marszałek oświadcza mu: „Składkowski, melduje — hu, hu i hu. Zawsze tacy zostaliście”. Marszałek kpi nieco z tego nieustannego stawania na bacność wielbiącego podkomendnego. Drwi czasem z generała, z którym może zrobić wszystko co chce. Mianuje go ministrem, generał nie słucha nawet jakiego resortu. Jutro każe mu wypędzić posłów z sejm. Uczyni to bez szemrania, dopiero w pamiętnikach przyzna się, że było mu to bardzo ciężko, ale wie o jednym, pamięta słowa marszałka: „A czy nie łaska paniczykowi gównu wozić?”. Nasłuchał się i nałykał słów różnych, a to, że był zanadto delikatny wobec sejm, że nie prał po mordzie, a to że wstawił niepotrzebne uwagi do słów Marszałka, a to że nie zrozumiał rozkazu. O wszystkim pisze wiernie. Góruje bowiem jedna myśl: niech wymyśla, niech krzyczy, byle spadł zaszczyt bezpośredniej rozmowy, byle był zdrów.

272

Gdy chory Piłsudski leży w mieszkaniu przyszłego ministra oświaty Sujkowskiego i nie chce jechać do Szpitala Ujazdowskiego, generał Składkowski całuje go w rękę i prosi błagalnie o wyjazd do szpitala. Nie obraża go nawet uwaga marszałka, że jest typowym szteblerem austriackim. Generał Składkowski ustawił się psychicznie w jednej określonej pozycji: stawania na bacność, uważnego słuchania, usiłowania odgadnięcia życzeń Piłsudskiego. Piłsudski kocha Wilno, uważa je za stolicę świata. Wiceminister spraw wojskowych Składkowski stara się dostosować wileński przemysł lniany do potrzeb wojskowych i melduje o tym Piłsudskiemu. Marszałek śmieje się, kpi z niego, ale Składkowski wie, że poprawił humor komendanta i o to chodzi.

Komendanta? Nie każdy śmie mu powiedzieć „komendant”. Jest to przywilej dla najwięcej zaufanych. Nie każdemu powie „wy”, a zresztą gdy mówi „wy” jest w dobrym humorze, gdy zwraca się na „pan” — sytuacja przedstawia się nieco gorzej, gdy używa pełnego tytułu interlokutora, gdy mówi „panie generale” wtedy jest bardzo źle. Widocznie gniewa się. Zerwie się zaraz burza. Składkowskiemu nie dokuczają tyle gniew Marszałka, ile strach o jego zdrowie, bo jest obawa ataku apoplek-tycznego. Choroba trapi bowiem Piłsudskiego przez cały czas, na długo jeszcze przed katastrofą. Stale gorączkuje i często jest zmęczony. Wyczerpuje go szczególnie walka na cywilnym froncie. Tu bowiem napotyka na opór. Prócz zachwyconych, rozegzalto-wanych zwolenników ma przeciwko sobie opozycję. Gdy otwiera sejm w r. 1928, gdy rozlegają się okrzyki opozycyjne, wzywa Składkowskiego, ale jednocześnie męczy go ta zwada. „Spostrzegłem, że komendant jest bardzo zmęczony, oddycha szybko, jest blady i spocony. Widocznie to wprowadzenie policji do sejm kosztowało go więcej zdrowia niż tych posłów, ryczących o wolnościach parlamentarnych. Proponuję panu Marszałkowi, by się położył na kanapę”.

Wkroczenie Piłsudskiego do sejm, scena z marszałkiem Da-szyńskim, pamiętne zajście w przedsiönku z oficerami, zostawiło również ślady na zdrowiu Piłsudskiego. „Niestety, zaostrzeniu uległ również stan zdrowia komendanta, który każdą ciężką walkę polityczną opłacał własnym zdrowiem”.

Marszałek nie znosi oporu, ale na froncie wewnętrznym jest to rzecz nie do omięcia. Toteż często składał urząd premiera. Musi się przedrzeć przez procedurę, przez ustawy, przez prawo obowiązujące.

„Tymczasem w sejmie ja ciągle musiałbym babrać się w brudach... zależy mi na skompromitowaniu dalszym Try-

273

18

bunału Stanu i sejmu ..zastrzelę ich jak psów (posłów), gdy sądy ich nie osądzą”.

Jest więc wielka nienawiść do sejmu, który stawia opór. Jednocześnie jednak zasługuje na uwagę okoliczność, że właśnie do tego gmachu przychodzi kilkakrotnie marszałek Piłsudski. Tu wygłasza przemówienia na posiedzeniach komisji. Nie zjawia się już więcej w sejmie następnym, który jest przecież uległy.

Te ciągle zmagania się, te wszystkie sprawy państwowe, *rozstrzygają* się w Belwederze w warunkach patriarchalnych. Marszałek Piłsudski tkwi jeszcze we wspomnieniach lat dziecińczych. Może na skutek tej tęsknoty i rozrzewnienia powołuje czasem na ministrów ludzi ze swoich okolic, tak żywo przypominających Woźnego i Rejenta z „Pana Tadeusza”. Nie chodzi mu tylko o ugłaskanie konserwatystów. Tęsknota sprawiła, że ministrami zostali Meysztowicz i Niezabytowski. Sprawuje często urząd jak Podkomorzy, siedząc w rozpiętej kurtce, w pantoflach. Ministrowie stanowią często dwór oddanych i posłusznych. W ich imieniu marszałek zawiadamia prezydenta o dymisji rządu. Ministrowie ze spokojem bez szemrania przyjmują wiadomość o swojej rezygnacji. Składkowski pisze o tym szczerze bez obsłonek, nie bartlując chytrze. Tak szczerze pisze o swojej dymisji, choć zdaje mu się, że ktoś podstawił mu nogę za nieustanne jeżdżenie samochodem po Polsce. Zabolalo go również, że podsunieto mu wiceministra Pierackiego na kontrolę, ale już później zżył się z nim i pracował doskonale z przyszłym ministrem spraw wewnętrznych. Z ministra Składkowski spadł na stanowisko wiceministra spraw wojskowych i to nie pierwszego, ale drugiego.

Odtąd urywa się cykl politycznych wrażeń Składkowskiego. *Zaczynają* się meldunki wojskowe, nieustanne rozmowy o budżecie, umundurowaniu wojska, awansach itp. I tu Składkowski przyznaje skromnie, że „Stachurek”, gen. Rupert, cieszy się większymi względami u Marszałka. Choremu, zmęczonemu Piłsudskie-mu imponowali ludzie zdrowi, pociągali go ci, którzy budzili wspomnienia czasów górnych i chmurnych, bohaterzy a la Cyrano de Bergerac, jak gen. Wieniawa-Długoszewski.

Gorączka trawi Marszałka, a jednak w ciągu długich miesięcy przyjmuje nieustannie raporty nie tylko o budżecie ministerstwa spraw wojskowych, ale i o budżecie państwa. Wie, że los państwa *związany* jest z zagadnieniami gospodarczymi. Nie myśli tylko o honorze, ale interesuje się mocno spadkiem dolara, funta i nawet odsuwa na bok sprawy wojskowe dla tych zasadniczych zagadnień.

Przez cały czas, prawie na każdym zebraniu czy posiedzeniu, przy spotkaniach mówi o rozroście biurokracji. Występuje ostro

274

przeciwko podwyżce poborów urzędniczych. „Panowie urzędnicy siedzieli nad swymi przywilejami i państwo jakby ruszyć ich nie może... Dziecko ma — płac, żonę ma — płac, źle — płac, ciągle płac. Urzędników jest za wiele, a wy jeszcze ich dobieracie. Te wasze „szczebły”, rangi. Takie państwo”. Odnosi się to wszystko tylko do urzędników cywilnych.

Reszta pamiętników stanowi prócz opisu rozmów na tematy budżetowe biuletyn o stanie zdrowia marszałka. Czasem lepiej, czasem dobrze, nagle źle, gorzej i wreszcie kartki posępne, ponure. Znika już gen. Składkowski. Jest tylko smutek i zapowiedź rychłej katastrofy, oświadczenie lekarza sprowadzonego z Wiednia. Składkowski nie może wyjaśnić dlaczego Piłsudski zamilkł od r. 1930, dlaczego nie przemawiał na tematy polityczne i odszedł tak, że opozycja nawet szeptać mogła, iż w wielu sprawach podzielał jej opinie. Głos mają inni ministrowie i premierzy, a nade wszystko min. Beck, który stale towarzyszył Piłsudskiemu po r. 1930.

Nikt jednak pewnie tak otwarcie stylem Ksenofonta i nieco Paska nie napisze o wypadkach dni ostatnich. Pamiętniki gen. Składkowskiego, może wbrew jego chęciom, uchylily nieco rąbka tajemnicy rządów od r. 1926.

21 grudnia, 1935.

*Od basu do dyszkantu*

Polska agencja telegraficzna podała komunikat urzędowy, że nie są przewidywane dalsze zmiany na stanowiskach wojewodów. Kilka miesięcy krążyły różne pogłoski na ten temat. Zapowiadano radykalną zmianę administracji, przesunięcia nie tylko na stanowiskach wojewodów. Obecny premier, Kościalkowski, pełniąc obowiązki min. spraw wewnętrznych, zwracał ciągle uwagę, gdy dochodziły go skargi o nadużyciach administracji, że łatwiej jest dotrzeć do wojewody niż do starosty.

Wydaje się nawet, że w obecnej sytuacji łatwiej jest zmienić konstytucję, ordynację wyborczą, niż aparat

administracyjny. Czynniki ten na podstawie układu sił oraz nowego ustroju otrzymał największe pełnomocnictwa w państwie. Na posiedzeniach Rady Ministrów Piłsudski skarżył się, że w jego nieobecności dopuszczono do podwyżki płac urzędników, a jednak walka jego nie dała rezultatów. Od r. 1930 do r. 1935 liczba urzędników

275

wzrosła o 30 tys., choć każdy premier w Polsce wiedział, że istnieje nakaz marszałka Piłsudskiego w kierunku zredukowania biurokracji cywilnej. Dopiero w r. 1935 przy układaniu budżetu na rok 1936-7 przystąpiono wreszcie do uwidocznienia wydatków na biurokrację. Aparat administracyjny rozrósł się. Biurokracja stała się podporą reżymu i oddawała mu zresztą poważne usługi. Nieraz wyręczała społeczeństwo w manifestacjach i pochodach.

W okresie wzmożenia się kryzysu gospodarczego, wzrostu deficytu budżetowego, urzędnicy w Polsce musieli ponieść również straty. Zaczęło się od redukcji płac, skończyło się na różnych pożyczkach ściąganych w mniej lub więcej dowolny sposób. Jednocześnie opracowano specjalny okólnik o szczeblach urzędniczych, który uprzywilejował górne warstwy kosztem niższych. Robotę przeprowadził b. min. oświaty, Wacław Jędrzejewicz, który za poniesione trudy ma zostać powołany na stanowisko posła polskiego w Tokio. Ustalono specjalne odszkodowania dla ministrów i premierów, które rząd obecny zamierza znieść jako zbyt *łażące* w okresie redukcji płac urzędniczych. Ustalono dziwaczny system renumeracyjny. Wprowadzono szereg urzędników wyższych do rad nadzorczych przedsiębiorstw państwowych. Wiceministrowie i dyrektorzy banków państwowych łączyli kilka funkcji członków rad nadzorczych oraz komisarzy w instytucjach publicznych. Dziś to wszystko ma ustać. Rząd zapowiada odpowiednie *zarządzenia*, choć wiadomości o zwolnieniu mężatek z urzędów przybierają charakter o wiele konkretniejszy niż te zapowiedzi. Wicepremier Kwiatkowski oświadcza jednak, że dotrze do tych, którzy się nie zrzekli podwójnych płac i nie wycofali się z rad nadzorczych.

A jednak powstają wątpliwości, czy praca ta osiągnie pewne rezultaty. Na uwagę zasługuje cichy ceremoniał odprawiany zwykle z powodu wniesienia do sejmu preliminarza budżetowego. Kilka dni przed tym zjawia się na Zamku prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa i składa sprawozdanie z czynności dokonanych. Wręcza książkę pełną materiałów o nadużyciach administracji. W dzień później gen. Krzemiński zjawia się zazwyczaj ze swoim dziełem do marszałków sejmu i senatu. Przekazuje również swoją pracę premierowi. W przeddzień dyskusji budżetowej członkowie komisji otrzymywali egzemplarze dla korzystania z materiałów. Przedmiotem dyskusji były przeto nie tylko oświadczenia referentów, przepisywane często z prac dyrektorów departamentów, mowy ministrów, ale i materiały Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Te dane posłużyły do akcji opozycji w r. 1928 i 1929. Cytowano jeszcze materiały NIK w r. 1931 i 1932. Później zmniejszono liczbę rozdawanych egzemplarzy. Prace NIK były

276

już do przejrzania w kancelarii sejmowej. Dziś trzeba już ubiegać się o wgląd do tego dzieła.

Na podstawie dawnej konstytucji NIK była organem sejmu. Na podstawie nowej konstytucji NIK przestała być organem ciała ustawodawczego. Kontrola oddana została całkowicie w ręce urzędnicze. Wobec tajemniczości tej akcji trudno ustalić, jak dalece cel kontroli zostaje osiągnięty.

Bywa czasem, że rozpoczyna się walka o kontrolę. Niedawno premier zęgnął wiceprezesa Banku Rolnego, b. posła, b. prezesa Strzelca, znanego działacza i rzecznika obecnego reżymu, Antoniego Anusza. W nekrologach mówiono o prawości jego charakteru, podawano szczegóły jego walk z nieprawościami. Premier podkreślił również, że Anusz walczył ciągle o prawdę. Nie podano jednak pewnego szczegółu z jego życiorysu, nie napisano, dlaczego odszedł tak nagle jako wiceprezes Banku Rolnego i dopiero po roku powołany został na stanowisko dyrektora w Towarzystwie Kredytowym Miejskim. Krążyły wówczas pogłoski, że Antoni Anusz, który walczył przed przewrotem majowym z nadużyciami zgłosił się z materiałem dowodowym po przewrocie do poważnych czynników i w odpowiedzi na swoje *zarzuty zastał* na stole swoim w urzędzie zawiadomienie o dymisji.

Walczył o kontrolę, o zbadanie zarzutów przez niego postawionych. Co się stało z tym materiałem dowodowym, czy został przekazany właściwym instancjom, czy spojrzano na ów materiał? Być może znajduje się on w aktach NIK? Stało się jednak tak, że w prasie możemy czytać o różnych wizytach prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa, gen. Krzemińskiego, o tym że był obecny na różnych uroczystościach, ale nie o tym, że dotarł ze swoim materiałem do społeczeństwa, że ujawnił wszystkie rzeczy, o których mówi się szeptem.

Gdy czytało się przeto przemówienia nad grobem Antoniego Anusza, odczuwano, że nie powiedziano wszystkiego, że nie dodano jednego szczegółu, iż zmarł mohikanin, który w łonie reżymu wołał na próżno o kontrolę publiczną.

10 stycznia rozpocznie się w sejmie dyskusja budżetowa. Omawiać się będzie poszczególne działy

budżetu. Referenci porozumieli się już z dyrektorami departamentów, otrzymali odpowiedni materiał, ale jak wynika z nowych warunków najciszej zachowywać się będzie niegdyś tak ważny czynnik w życiu publicznym, Najwyższa Izba Kontroli Państwa, która odgrywała jeszcze rolę do r. 1934. Był to bas opozycji, obecnie przeistoczył się w dyszkancik i głos jego nie dojdzie do uszu opinii publicznej.

28 grudnia, 1935.

277

#### *Polska mocarstwowa*

O godz. 12-ej nastąpiło otwarcie parlamentu hitlerowskiego w operze Kroiła. Do godz. 2-ej belcanto ponurej opery niemieckiej, brunatnego faszyzmu piał na temat pokoju pod akompaniament bębna i wojsk maszerujących z Niemiec północnych do Nadrenii. O godz. 3-ej nadchodziły już z Paryża odgłosy prasy francuskiej. W całej Europie ukazywały się dodatki nadzwyczajne wraz z komentarzami. W Polsce mocarstwowej panował jednak spokój. Nie ukazały się żadne dodatki nadzwyczajne. Nie było widać powodu do informowania opinii publicznej. Wielkie mocarstwa mogą sobie pozwolić na olimpijski spokój. Z mowy Hitlera wynikało, że kanclerz Niemiec przyspiesza terminy kalendarzowe, że zdziera nerwowo jeszcze jedną kartkę. Zbliżają się daty prowadzące do katastrofy. A jednak trudno wierzyć, że tak jest, skoro polska urzędowa służba informacyjna ociagała się gwałtownie z nadawaniem informacji o mowie Hitlera.

O godz. 2-ej po pół. dziennikarze zagraniczni w Berlinie otrzymali obszernie streszczenie przemówienia Hitlera. O godz. 1-ej w nocy prasa warszawska uzyskała wreszcie spreparowany tekst dla użytku polskiego. Przemówienie Hitlera urywa się jednak w najważniejszym miejscu. Prasa polska otrzymała gadulstwo, samochwalstwo, krytykę paktów, walkę z paktomania, przypominającą całkowicie analogiczne przemówienia urzędowe na terenie Polski.

Tak się stało, że tekst przemówienia Hitlera zginął gdzieś po drodze. Zawiodła komunikacja telefoniczna, telegraficzna, radiowa. Nie zawiodło jednak wspólne bicie serc, wspólny rytm polsko-niemiecki w ocenie sytuacji europejskiej po mowie Hitlera.

281

Półurzędowy komentarz polski wygłoszony przez radio, zamieszczony w niektórych pismach jako objaśnienie mowy Hitlera, jest szczytem kunsztu adwokackiego. Na ulicach Paryża panuje zdenerwowanie. Bezsilna Francja apeluje do Rady Ligi Narodów. Następuje wzmocnienie terenów francuskich na granicy Renu. Rząd francuski czuje się więc dotknięty zachowaniem się Hitlera. W Polsce jednak panuje wielka wyrozumiałość psychologiczna dla posunięcia berlińskiego. Nie morderca jest winien, lecz zamordowany. Ile jednak zrozumienia wykazuje półurzędowy komunikat polski twierdzący, że „pro-sowiecka polityka Francji, a zwłaszcza pakt sowiecko-czesko-słowacki, uważany był przez rząd Rzeszy za akcję polityczną... której ostrze zwrócone było wyraźnie przeciw Niemcom”.

„Należało się liczyć z tym, że tego rodzaju układy polityczne muszą spotkać się z reakcją rządu Rzeszy”. Jest to komentarz, który nie wymaga już żadnych komentarzy. Ustala on bez wątplenia po czyjej stronie staje interpretator, z kim sympatyzuje, kogo tłumaczy i usprawiedliwia. Ginią resztki traktatu wersalskiego i szczęśliwy interpretator niczym przewidujący rentier, czuje się zadowolony, że zaopatrzył się z góry w odpowiedni talizman, w niemniej szczerze złoto, bo w pakt nieagresji na lat 10.

Czar tego amuletu jest tak wielki, że komentator ma więcej serca i zrozumienia dla towarzysza paktu niż dla druha z którym jest związany sojuszem. Oczywiście warto byłoby ustalić czy „lubczyk” ten *działa* również z taką siłą sugestywną i po drugiej stronie, czy bawiący na polowaniu premier pruski Goering uchylił rąbka tajemnicy, czy na urzędowym przyjęciu w Warszawie notyfikował posunięcie Hitlera we wszystkich szczegółach aż do całkowitego podarcia traktatu wersalskiego na strzępy.

Pakt o nieagresji stał się tak cennym skarbem, że wydaje się nawet koniecznym dla podkreślenia gorących uczuć wzajemnych między Polską a Francją, zanulowanie sojuszu z *zamianną* na pakt. Może nazajutrz po tym akcie posunięcia Flandina znalazłyby tyleż zrozumienia i wytłumaczenia w formie półurzędowej, ile posunięcia kanclerza Hitlera.

Pakt o nieagresji sprawia cuda. Inaczej nie można byłoby odczytać takiego zdania w komentarzu, że „polityka rządu polskiego w obecnych czasach komplikacji i dość znacznego zamieszania międzynarodowego poszukiwała zawsze rozwiązań praktycznych i jasnych”.

To wszystko co wydawało się naiwne, niezrozumiałe, niejasne, wszystkie te podróże i polowania są więc aż nadto

282

**jasne i proste. Ulega się wiec złudzeniu, iż jest się mocarstwowym.**

9 marca, 1936.

#### *Kompleks nieślubnego dziecka*

Dziś lub w poniedziałek nastąpi zamknięcie sesji sejmu i senatu. Skończyło się ustalonym zwyczajem, że

rząd zwrócił się do sejmu o pełnomocnictwa. Jest to formalność oparta na wzajemności. W ramach nowego ustroju bowiem rząd udziela sejmowi pełnomocnictwa na trzymiesięczne funkcjonowanie, na bawienie się w mowy, na popłakiwanie w kularach i w bufecie.

W ciągu tych trzech miesięcy marszałek sejmu starał się wyćwiczyć oddziały poselskie, przyzwycząić do pracy sejmowej, nauczyć sztuki parlamentarnej: wchodzenia na mównicę, przemawiania z miejsca, głosowania itp. W grupach i klubach uczono posłów sztuki przeciwstawiania się, gniewania się, wygrażania paluszkami, przeistaczania rzeczy drobnych w wielkie zagadnienia, należenia do rodziny i koterii — czyli nowych obyczajów sejmowych.

Nauka nie poszła w las. Pierwszego dnia posłowie trafili do bufetu, nauczyli się już kręcenia się w kularach, na wiosnę spacerować będą w ogrodzie sejmowym, może z biegiem czasu zajrzą nawet do biblioteki sejmowej. Znaleźli się w tym sejmie posłowie, którzy już nie wiedzą jak zejść z tej mównicy mimo ostrzegawczego czerwonego sygnału marszałka. Są to nowi przywódcy nowonarodzonych klubów i grup. Przemawiają, protestują, zapowiadają, składają nawet oświadczenia w imieniu swojej grupy, a w głosowaniu wypada inaczej. Mowy są zaprzeczeniem czynów.

Takie lub inne oświadczenie sprowadza się do jednego: sejm uchwała ogromną większością głosów pełnomocnictwa dla rządu. Odbywa się to nawet bez *zgrzytania* zębów, bez wielkich gestów, ale z niemym żalem, że sejm buntujący się lekko w ciągu dwóch godzin musi, jak ten robot, jak golem praski, być posłusznym narzędziem swego twórcy i *związany, zmęczony* poddać się jego rozkazom, by dalej kręcić się pod takt i rytm muzyki rządowej.

W wigilię obrad sejmu nad pełnomocnictwami odbyło się posiedzenie niepodległościowców. Mówcy, jak tygrysy rzucali się

283



na rząd, zapowiadali odrzucenie pełnomocnictw *en bloc*. Gniewał się również poseł krakowski, Pochmarski. Gdzież ma wyrzucić swój gniew? Nazajutrz sytuacja zmieniła się nie do poznania. Posłowie z klubu niepodległościowego głosowali za pełnomocnictwami. Nie było zasadniczych sprzeciwów, gwałtownych uderzeń z ich strony. Prawnik sejmu trzeciego, mistrz od stawiania przecinków, wicemarszałek Podoski, postarał się choćby o jedną drobną dokuczliwą poprawkę: „W razie konieczności państwowej”. Jak gdyby wszystkie dekryty wydawane były dotychczas z konieczności antypaństwowej. Uchwalono oczywiście ustawę. Wystarczyło przemówienie premiera. A jednak było coś istotnie dramatycznego, bolesnego w tej decyzji sejmu. Sejm przeżywał tragedię. Cierpi bowiem od dnia urodzenia na kompleks nieślubnego dziecka, na poczucie *Minderwertigkeit*. Wydaje mu się, że gdy rząd przekazuje mu ustawę, mruga jednocześnie znacząco w jego stronę, że nie jest to prośba, lecz rozkaz, że sfery miarodajne zawsze wypominają sejmowi grzech pierworodny z tytułu ordynacji wyborczej, że rząd nie wpisał go do „ksiąg ludności cywilnej” jako dziecko zalegalizowane.

Sejm mówi tak ciągle o swoim prestiżu, jak średnie państwo o swojej mocarstwowości. Premier na komisji wyraził uznanie temu sejmowi, przyznał się do niego jako poseł, ogłosił jego legalizację, wydał mu świadectwo chrztu, a jednak sejm jest wciąż dotknięty. Uszanowano jego przeczulenie, proszono o pełnomocnictwa w wąskim zakresie i krótkim terminie. Czuły prestiżowo sejm, posiadający pięć achillesową w ordynacji wyborczej, ma ciągle wrażenie, że ktoś zerka w jego stronę jako do „domu podrzutków”.

Sejm chce zostać parlamentem. Skrępowany powrozami ustroju może jednak wierzgać stojąc na jednym miejscu, gniewać się w sprawach drobnych. Gniewa się na swoją bezsilność, czasem płacze z niemocy, czasem śmieje się z konceptu na jego rachunek w kularach sejmowych.

Kompleks syna naturalnego mścił się w czwartek 26 marca. Zmęczony sejm popłakiwał przy udzieleniu pełnomocnictw, biadał nad swoją niedolą, wierząc że prawdziwe dziecko z bezpośredniej woli ludu nie doznałoby tak krwawej obrazy. Nie pomogło serdeczne współczujące słowo członka tej izby, premiera Kościalkowskiego.

20 marca, 1936.

284

# L

## *Podczas paury*

O godz. 4-ej pp. odetchnięto w gmachu ministerstwa spraw wewnętrznych. Nie mniejszej ulgi doznano w Prezydium Rady Ministrów. Dzień 1-go maja upłynął na ogół: spokojnie, spokojniej niż co rok, choć podniecenie ogarnęło obie strony. Dwa, trzy, przewrócone samochody, poturbowania lub lekkie rany we Lwowie, Krakowie, Częstochowie i Chrzanowie, należą do mniej poważnych wypadków.

Kilka dni przed tym panowała jakaś dziwna niepewność. Władze były spokojne, że przywódcy będą lojalni, że uczynią wszystko by trzymać się starej dewizy socjaldemokratycznej w Niemczech:

„Towarzysze nie dajcie się prowokować”.

Przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności. Władze bezpieczeństwa nie ukazywały się na ulicy, lecz ukryły się w bramach. Dla PPS przeznaczono plac tuż koło komendy miasta. Wydawało się, że na Placu Marszałka Piłsudskiego (Plac Saski), będzie przestronnie, że organizacje, które miały demonstrować pod sztandarami PPS zajmą najwyżej jedną piątą część placu. Plac ten jest znacznie większy od Placu Teatralnego.

Stała się jednak rzecz niespodziewana. Nigdy za czasów sanacji, gdy na plac ten sprowadzano urzędników do różnych pochodów, gdy prezydent miasta skłaniał swoich podwładnych do wzięcia udziału w manifestacjach, nie było tam tak rojno. Pochody pierwszomajowe nie mogły zmieścić się na placu. Trzeba było zająć sąsiednie ulice, by móc manewrować masami.

Od r. 1924 nie wyległo tyle ludzi na ulice by demonstrować w dniu 1-go Maja. Panował nastrój protestu, zniecierpliwienia. Co kilka minut zrywały się okrzyki. Panowało jakieś napięcie. Wznoszono pięści. Wykrzykiwano: precz, wygrażano, a jednak skończyło się spokojnie. Wyładowano się w okrzykach, w groźbach.

Z tematów aktualnych można było widzieć jedynie transparenty poświęcone poległym niedawno w rozruchach we Lwowie i Krakowie. Dostało się w okrzykach pułkownikom, domagano się jak co rok zwolnienia więźniów politycznych. Rząd jednak został uszanowany. Flirt utrzymywany z premierem Kościłkow-skim na łamach „Robotnika” został dyskretnie przemycony w demonstracji pierwszomajowej. Pochód odbył się pod hasłem wzajemnej nieagresji. Obie strony dotrzymały umowy. Tak działo się również i na prowincji.

Rząd więc może zdyskontować przebieg manifestacji pierwszomajowej. Sublokatorzy, komuniści, którzy zostali przygarnięci

## **285**

do pochodu, zastosowali się lojalnie do wyraźnych życzeń gospodarza, tzn. PPS. Nie stawiano żadnych nadmiernych *żądań*. Domagano się jedynie frontu ludowego.

Na czele pochodu maszerowali nowi sprzymierzeńcy PPS, członkowie Legionu Młodych. Sprowadzili ze sobą cały bagaż szumnych słów o państwie pracy, o likwidacji systemu liberalno-ka-pitalistycznego. W r. 1930 widzieli likwidację tego systemu w zarządzeniach władz, w „łamaniu kości”. Składali wówczas hołd Jędrzej e wieżowi, Sławkowi. Tuż niedaleko w sąsiednim gmachu, gdzie mieści się ministerstwo spraw zagranicznych, wielu z nich znalazło pracę. Dziś pozbawieni protektorów przechodzą na ulicę robotniczą. Obecnie odpadły na krótko pogłoski o zmianie rządu. Tylko w kawiarniach słyszy się gdzieś spóźnione przebąkiwania o generale Sosnkowskim, który zrobi porządek i skończy wreszcie z lewicą, z całym mariażem sanacyjne lewicowym.

Plotki urywają się. Unosi się w powietrzu jedynie gadka o nowej partii rodzącej się nie tyle w bólu, ile w śmiechu. Nie partia, oczywiście, nie stronnictwo, ale cały obóz ma się narodzić. W chwilach zbliżającej się rocznicy śmierci Piłsudskiego wszystkie te sprawy odchodzą na bok.

Zmartwienia te i troski wypłyną nazajutrz. To przypomni sferom miarodajnym, że autor konstytucji, Sławek, zgubił po drodze obóz, że rząd obecny nie może znaleźć w ciągu 6 miesięcy żadnego oparcia, że w ciągu 10 lat udało się reżymowi saperską metodą rozsądzać różne stronnictwa, lecz nie udało się stworzyć własnego solidnego obozu. Nazajutrz po 12 maja szef prasowy reżymu dojrzy, że jest królem bez państwa, panem bez ziemi, że nawet pisma obozu rządowego mocno zastanawiają się nad kwestią popierania obecnego rządu.

Tymczasem po 1-ym Maja, po spokojnym dniu, sfery miarodajne odpoczywają, czekając na rozwój

wypadków i rzadko komu przychodzi do głowy myśl o zwołaniu sejmu dla wspólnego dźwignia ciężaru odpowiedzialności. W gmachu na Wiejskiej radzą grupki i kliki, próbując nadaremnie sztuki przeobrażenia się w jedną, wielką partię rządową.

4 maja, 1936.

*Pospolite ruszenie obozu rządowego*

Od kilku tygodni zapowiadano narodziny nowego rządu. Opowiadano, że po 12-ym maja nastąpić mają nowe przesunięcia, że

286

rozgrywka przerwana na kilka dni okresu żałobnego (sprowadzenie serca Piłsudskiego do Wilna) nastąpi w szybkim tempie. Czystki w administracji, zmiany ministrów miał dokonać Marian Zyndran Kościałkowski. Przygotowywał się do tej roboty dość systematycznie. Nikt nie przypuszczał, że sam premier padnie ofiarą rekonstrukcji. *Zmiana* nastąpiła więc szybko, w ostatniej chwili, była ona postanowiona już jakieś dwa, trzy dni przed uroczystościami pogrzebowymi. Kto zdecydował w tej sprawie, komu powierzono ostatecznie rozstrzygnięcie spraw personalnych? W ciągu kilku dni toczyły się rozmowy w generalnym inspektoracie, odbywały się narady na Zamku, aż zapadła ostateczna decyzja.

W kondukcje pogrzebowym szedł premier Kościałkowski, wolno, ciężkim krokiem, zmęczony nie tylko fizycznie. Nie mógł już wytrzymać dalszych ataków na swoją osobę. Jeszcze kilka dni przed tym snuł pomysły o rozszerzeniu podstaw rządzenia. Prowadził rozmowy, naradzał się, wpływał na czynniki decydujące, ale napotykał na nieprzewidywane przeszkody. Spostrzegł się, że nawet wicepremier coraz wyraźniej domaga się mocniejszych rządów politycznych. Wreszcie zwrócił się z prośbą o powołanie do rządu jednego z wybitniejszych generałów, który by mógł się przeciwstawić atakom w łonie obozu rządowego.

Prośba została uwzględniona. Na czele rządu stanął gen. Sława-woj Składkowski. Jakąkolwiekby byłyby fizjognomia nowego rządu, można go w odróżnieniu od poprzedniego nazwać gabinetem GISZ'u. Pierwszy raz wyszedł z ukrycia Gen. Inspektor Sił Zbrojnych, Rydz-Smigły i zjawił się w Prezydium Rady Ministrów nie tylko dla przywitania premiera, ale dla wypowiedzenia swojej opinii, zgłoszenia programu, wezwania do zgody. Konstytucja kwietniowa nie przewidywała takiego obrotu rzeczy. Ciężka legenda wyłobiał nowy paragraf w kwietniowym akcie konstytucyjnym. Generalny inspektor armii zjawił się na Krakowskim Przedmieściu i autorytetem swym poparł rząd.

Od roku opinia publiczna spoglądała w stronę GISZ'u. Zjawiali się tam kolejno różni mężowie stanu. Zgłaszały się delegacje, kłaniali się czołobitnie kandydaci do stanowisk, szukali rozstrzygnięcia sporu przedstawiciele stron w obozie rządowym. Z biegiem czasu generalny inspektor stał się arbitrem nawet dla pewnych grup poza obozem rządowym.

Generalny inspektor milczał. Przyjmował z miłym uśmiechem wszystkich, wysłuchiwał uważnie każdego. Z uprzejmego przyjęcia czyniono sobie pewne złudne nadzieje. Ciekawi zapytywali wciąż, czy rząd Kościałkowskiego, powołany po ustąpieniu płk. Sławka, cieszy się uznaniem GISZ'u, czy korzysta jedynie z przy-

287

zwalającego uśmiechu? Generalny inspektor działał na innym froncie. Walczył o serca na rubieżach zachodnich. Tak się złożyło, że pierwszy raz po zgonie Piłsudskiego przemówił na zjeździe legionistów podczas zatargu gdańskiego, że następnie zabrał głos w Poznaniu zwrócony twarzą do wojaków, że wreszcie w Katowicach znowu zaapelował do powstańców górnośląskich. Już w r. 1930 za życia Piłsudskiego mówił o granicach zachodnich Polski, odpowiadając na ataki niemieckiego ministra Treviranusa.

Wreszcie władza faktyczna została uzupełniona odpowiednimi paragrafami dekretu prezydenta. Powstały paragrafy nie przewidziane przez konstytucję. Wydany został dekret o naczelnych władzach wojskowych. Przyszły wódz organizujący ewentualną wojnę zyskał wgląd do wszystkich instancji. Zresztą sprawa ta była jasna. Walka toczona przez Piłsudskiego o prerogatywy generalnego inspektora sił zbrojnych została rozstrzygnięta zwycięstwem przewrotu majowego. Zwyciężyła teza, że kto organizuje wojnę, ten mobilizuje w czasie pokoju, ten przygotowuje wszystkie siły dla obrony, ten ma wgląd do spraw rządzenia. Tymczasem w powietrzu unosiła się legenda o froncie ludowym. Jednocześnie snuto bajkę o żelaznym wilku. Bezrobotnych generałów broni, już dawno wycofanych z obiegu politycznego z generałem Hallerem i Januszajtisem na czele, pasowano na rycerzy w walce z obecnym ustrojem. Wciągnięto do gry najwybitniejszego pianistę świata, który bezinteresownie poświęcił część mienia dla Polski. (Paderewski).

Trzymane dotychczas w okuciu społeczeństwo otrzymało za rządów Kościałkowskiego na czas krótki prawo do mówienia, rozwiązały się języki. Skończył się post. Zaczęły się zapusty polityczne pod akompaniament nieustannych mów przedstawicieli rządu. Przed oczyma obozu rządowego stanęło widmo



powrotu partii do życia. W tym momencie zapadły decyzje. Na widowni politycznej ukazał się Składkowski, który pragnął być całe życie cieniem Belwederu, pokornie posłusznym wykonawcą. Dziś staje na baczność z rozkazu generalnego inspektora sił zbrojnych.

„Gazeta Polska” wywiesiła chorągwie na znak radości, choć doczepiła małą kokardę żałobną z powodu obecności w nowym rządzie wicepremiera Kwiatkowskiego. „Kurier Poranny”, który jeszcze wczoraj zerkał w stronę lewicy dziś wita z uznaniem zmianę, widząc zapowiedź konsolidacji obozu i wzmocnienia obronności państwa.

Po drugiej stronie barykady tzn. wśród opozycji panuje pewne zamieszanie. Wczoraj wieczorem mogli jeszcze cichaczem zaglądnąć do prezydium Rady Ministrów, dziś duchy roku 30-go

288

# L

bronią wejścia do bram. Pozostaje zaglądnąć do Ministerstwa Pracy na Długiej i Rolnictwa na Senatorskiej.

Ogłoszono pospolite ruszenie obozu rządowego. Wcielono do szeregów i tych, którzy zwalczali poprzedni rząd i tych co zerkają na lewo, i tych co wyrzuceni z siodła ruszają piechotą popłakując w szeregu.

Na miejsce rządu o ruchach cywilnych zjawia się rząd o postawie wojskowej, z drylem, na baczność, z hasłem posłuszeństwa, z oczyma wlepionymi w generalny inspektorat. Oddziały prowadzi zawsze posłuszny gen. Sławoj Składkowski, tak jak wiódł w gmachu sejmu szeregi policyjne na rozkaz wodza w r. 1928. Miast długich mów rozpoczną się rozkazy i tylko gdzieś z dala rozlegać się będzie głos liberałów: syreni śpiew wicepremiera, smutne wołanie min. Poniatowskiego i łabędzie tony b. premiera, min. opieki społecznej Kościalkowskiego.

18 maja, 1936,

*Mowa o zmroku*

Sejm uchwalił ustawę o pełnomocnictwach. Rząd nie miał żadnych kłopotów. Nie wniesiono poprawek. Nie było żadnych złośliwych uwag pod adresem premiera. Nie zakwestionowano programu wygłoszonego przez Sławoja Składkowskiego na pierwszym posiedzeniu sesji nadzwyczajnej. Obdarzono premiera szeregiem komplementów, dodano błogosławieństwa na drogę, powoływano się na przemówienie generalnego inspektora sił zbrojnych.

Premier musiał się okupić jedynie dwudniowym pobytem w sejmie. Siedział bez przerwy w czasie dyskusji nad projektem ustawy o pełnomocnictwach. Notował skwapliwie i trudno było wywnioskować, czy zapisuje dla repliki czy też dla pamiętników.

Klub dyskusyjny uczestników walk o niepodległość postanowił podnieść poziom dyskusji. Mówcy mieli się dostosować do kamertonu przedstawiciela klubu, kandydata na ministra, redaktora Wojciecha Stpicyńskiego. Miał to być adres sejmu na mowę tronową, odpowiedź na przemówienie generalnego inspektora sił zbrojnych oraz expose premiera.

Diariusz sejmowy potraktował przemówienie Stpicyńskiego jako expose sejmu i podał cały tekst bez streszczenia. Referent projektu ustawy o pełnomocnictwach, poseł Sikorski, spoglądał z zazdrością w lokalny diariusz sejmowy na pieczołowity stosunek do przemówienia przyszłego ministra i żalił się, że mowa referenta

289

19

zawarta na kilkunastu kartkach, została streszczona jedynie na trzech stronicach. Zapamiętał to sobie i postanowił uczynić wszystko, by replika jego cieszyła się większym powodzeniem.

Jak na poprzedniej sesji odegrano grę w stylu sztuki Jewrei-nowa „To co najważniejsze”, uciekano więc od tematów istotnych, od faktów groźnych, od wypadków dni ostatnich. Uważano widocznie, że rozruchy we Lwowie, Krakowie, Częstochowie, Toruniu, Gdyni, należą do kroniki sądowej, że rzeczywistość polska zostaje należycie odzwierciedlona za kratkami sądowymi. Dotykano się tych rzeczy pośrednio, przypadkiem, oględnie, między wierszami. Bawiono się w unikanie rzeczywistości.

Dyskusja została wyprana ze wszystkiego, co bije tętnem dni ostatnich. Toteż nic dziwnego, że debaty przeistaczały się w „powinność mówienia”. Kilkunastu posłów siedzi na sali, reszta kręci się w kuluarach,

zagląda do ogrodu, tkwi w bufecie. Czasem przedrze się słońce przez szklaną kopułę sejmu, oświetli pustą salę posiedzeń, ławę rządową, gdzie trwa na stanowisku premier, mówcę, który odczytuje z trybuny kartki przez siebie przygotowane. Nikomu nie przerywają. Mówcy kolejno opuszczają trybunę i biegną do diariusza sejmowego dla uratowania długich przemówień.

Ściąga jeszcze na chwilę uwagę posłów gen. Żeligowski, ubrany w produkcję swojej okolicy, lnianą marynarkę i lniane spodnie. Mówi jak zwykle o wiosce, o biedzie, o komunizmie, szkodliwym wpływie młodzieży żydowskiej.

Urwało się. Znowu mówcy powtarzają te same trele, nuca piosenki swoich poprzedników. W kuluarach sejmowych kręcą się przerażeni posłowie żydowscy. Dzieci nowej ordynacji wyborczej mają uczynić coś co nie odpowiada ich usposobieniu. Wahają się, czy nie wstrzymać się od głosowania. Patrzą w oczy kolegów sejmowych, spoglądają w stronę premiera. Tak mało chcą. Mają przed sobą rzeczywistość rozruchów w Przytyku, w Mińsku Mazowieckim. Pragną jednego, by ktoś z komentatorów pisma świętego, z tych co wykładają intencje premiera, choć przelotnie, między wierszami powiedział, że uznanie bojkotu Żydów, że „owszem” premiera nie jest tolerancją bojkotu, że wszystko to razem wraz z ustępami posła Stępczyńskiego o wzroście nacjonalizmu jest tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności. Odchodzą w ką, w głębię ogrodu, pytają dziennikarzy o wieści. Zjawia się poseł łódzki Mincberg, przynosi jakiś komentarz, tak autentyczny jak jego mandat. Posłowie wahają się. Chcieliby usłyszeć jakieś słowo z ust referenta. Usłyszeli. Tym razem referent projektu ustawy o pełnomocnictwach, nie mógł się zalić, że replika jego nie została uwzglę-

290

niona przez diariusz. Podano go w poważnym streszczeniu. Mowa została umieszczona we wszystkich pismach. Przygarnął referenta serdecznie endecki „Dziennik Narodowy”, przytulił „Goniec”, umieścił oenerowski „ABC”, znalazł poważny kąt w „Gazecie Polskiej”.

Skomentował, pokwitował i wyjaśnił „owszem” tak, że posłowie żydowscy siedzieli ze spuszczoneymi głowami, rzucając czasem przerażone okrzyki, broniąc się urywanymi zdaniami. Nastąpiło rozwinięcie całej kwestii żydowskiej z zastrzeżeniem, że referent nie jest antysemitą. Uważa jedynie, że Żydów jest za dużo, że powinni się wynieść do Palestyny. Wszystko to dotyczyło tematu „owszem”, zagadnienia tolerancji walki gospodarczej z Żydami. Znalaziono egzorcyzm dla przepędzenia wszystkich klęsk w Polsce. Referent posługiwał się nim dość długo.

Pan premier milczał przez cały czas. Wyręczali go koledzy sejmowi, każdy jak mógł. Starał się go wyręczyć i poseł Mincberg próbując łagodzić ustęp przemówienia premiera w kwestii żydowskiej, wyręczył premiera najlepiej referent nadając poznańską (skrajnie antyniemiecką) interpretację słowom gen. Składkowskiego.

Premier nie klaskał, nie ścisnął dłoni referenta. Uznanie wyraziła mu izba. Spełniła to z entuzjazmem. Gdy referent przemawiał sala powoli ciemniała. Nie zapalono jeszcze świateł. Twarze posłów jaśniały jednak radością i bijące od nich światło padało również na ławy rządu.

20 czerwca, 1936.

*Pod nowy rytm*

Sejm, który zostanie zwołany w dniach najbliższych uchwali posłusznie, na rozkaz, pełnomocnictwa.

Expose premiera będzie krótkie i żołnierskie. Nie trzeba będzie apelować, wzywać, malować sytuacji w kraju, zużyć godziny czasu na przemówienie.

Stan pogotowia wojennego, bojowości rządu, daje się już we znaki. Odprawiono już pierwsze nabożeństwo wojskowe. Odbyło się zebranie piątków (5-go pułku legionów). Jeszcze przed tym wojewoda Hauke-Nowak przesłał pozdrowienia w imieniu Związku listonoszów. Wraca ton musztry wojskowej do życia cywilnego. Premier Składkowski nie obejmuje rządów, ale idzie na służbę. Nie powierzono mu misji utworzenia rządu, lecz na rozkaz prezydenta i generalnego inspektora sił zbrojnych uformował gabinet. Całe słownictwo parlamentarne usunięte zostało precz. Prze-

291

mawia żołnierz, zabiera głos wojskowy. Wszystko to zostaje złagodzone okolicznością, że stanowisko premiera objął lekarz wojskowy, literat, że ton wojskowy przyswoił sobie dla nastraszenia przeciwnika. Jak Flambeau na warcie w Orlątku, tak premier Składkowski zameldował przed kolegami, piątakami, program rządowy. Było to dziwne expose, jak przystoi kołu pułkowemu. Premier Składkowski poszedł na patrol, udając się na bój, szuka naboju do ładownicy. Program jest również krótki, walczyć on będzie z bezrobociem, z brakiem zgody i z chęcią krytykowania wszystkiego.

Uważni słuchacze, którzy spisali jego przemówienie, podali do wiadomości „Gazety Polskiej” i „Polski Zbrojnej” tekst. Nazajutrz trzeba było sprostować słowa premiera. Do przemówienia wkradły się bowiem

niedokładności. W pierwotnym tekście premier poszedł na patrol z generalnym inspektorem Rydzem Śmigłym. W tekście autoryzowanym zachowana została hierarchia. Premier Składkowski nie idzie razem z generalnym inspektorem, ale z jego rozkazu. Różnica wyraźna. Wynika z tego, że istnieje czynnik nadrzędny w Alejach Ujazdowskich, że „można” będzie, a raczej, „trzeba” powrócić do terminu, który uchodził w ciągu 9 lat od przewrotu majowego i pisać w dalszym ciągu: czynnik decydujący tzn. umieścić obok czynników konstytucyjnych czynnik nieprzewidziany przez autora konstytucji kwietniowej. Tak więc skorygowana zostaje zasada, że „prawo tylko rządzić będzie nami, że odtąd wkraczamy jedynie na drogę ustaw”. Czynnikiem trzecim z prawami superarbitra jest wojsko i jego wódz naczelny tj. generalny inspektor sił zbrojnych. Na jego rozkaz — jak oświadczył wyraźnie premier — utworzony został nowy rząd. Z nim omówione zostały personalia, uzgodnione zostały szczegóły, choć odpowiedzialność konstytucyjną ponosi tylko premier.

W zmianie rządowej, w naradach, wycieniowano wszystkie szczegóły. Podkreślono wyraźnie, że polityka zagraniczna nie podlega żadnym wahaniom. Pozostał na stanowisku minister spraw zagranicznych Beck. Odchodzą ci wszyscy, którzy pragnęli wprowadzić pewne korekty. Wolno jedynie tuszować i zmieniać ton w polityce zagranicznej „czynnikiem decydującemu”. Inni w rządzie trzymają się rytmu premiera.

Teraz *zaczyna* się robienie porządku, wzmocnienie ustroju, utrwalenie drylu. Premier wezwał do siebie wojewodów. Zagroził, nastraszył. Jak na placu podczas rewii rozkaz generała powtórzony zostaje przez dowódców pułku, następnie przez dowódców batalionów itp. Wojewodowie zwołują starostów i szefów bezpieczeństwa. Szefowie komendantów policji. „Baczość!” rozlega się w

292

szeregach. Władza została wzmocniona aż do granatowego munduru na rogu ulicy.

Premier dał już sygnał. Powtarzają się stare czasy inspekcji. Samochód kierowany przez ministra spraw wewnętrznych Składkowskiego zagląda do różnych okolic Polski. Już został złożony z urzędu starosta łowicki. Zaczyna się „ruch w interesie”, który ma przyczynić się do wzmocnienia nastrojów optymistycznych, do powtórzenia słów, które brzmiały tak ochoczo przed kryzysem gospodarczym, a były leitmotywem Sławoja Składkowskiego. Odtąd będzie można słyszeć wyrazy: byczo jest.

Dokonana została mobilizacja całego obozu rządowego. Krzywią się wprawdzie liberałowie, gniewają się, ale dano im do zrozumienia, że czynnik decydujący może zmienić garnitur. Wracają cichaczem maruderzy z Legionu Młodych. Wczoraj był potrzebny łagodny uśmiech Kościałkowskiego, dziś zachodzi konieczność posługiwania się mocną ręką. Wczoraj uśmiechano się jeszcze przez łzy w tragiczny rok po śmierci Piłsudskiego. Dziś należy wyprostować się i mocnym stukaniem na miejscu upozorować wielką siłę wojaków.

Zmieni się całkowicie ton prasy obozu rządowego. Redaktor Miedziński chwali wprawdzie PPS za zerwanie z komunistami, ale wystawia trójkę z minusem za zawarcie z nimi paktu o nieagresji i grozi dość znacząco. „Kurier Poranny”, który zerwał flirt z partyjnikami nie wdaje się w dyskusję z PPS, wyjaśnia jedynie, że inaczej być nie mogło, że stało się dobrze i omija rozmowy na temat powołania reakcyjnego ministra sprawiedliwości

(Grabowski).

Bęben gra. Oddziały obozu rządowego zjawiają się już na komendę placu, wyzbywają się narowów cywilnych, mówią żołnierskim tonem, i nawet wicepremier Kwiatkowski, który tyle miesięcy szedł razem z premierem Kościałkowskim, idzie teraz noga w nogę z premierem Składkowskim. Towarzyszy mu na zjeździe wojewodów, zachwycony jest przemówieniem premiera w prezydium Rady Ministrów. Sam wicepremier zaniemówił, coś go zatkało.

27-go odbędzie się apel publiczny w sejmie. Zjawi się rząd premiera Składkowskiego. Do ław rządowych nie wejdą, lecz wkroczą ministrowie. Premier trzymać będzie szkicownik i blok dla notatek do drugiego tomu „Strzępów”.

Nie obejdzie się bez krótkiego, jowialnego przemówienia premiera pod burza oklasków Sławka i tych wszystkich, którzy milczeli złowrogo, gdy przemawiał z mównicy premier Kościałkowski.

23 maja, 1936.

*Święto chłopskie — Wesola parada w Jarosławiu*

Demonstracja polityczna, parada letnia, chłopski 1-szy Maj? Trudno określić w jednym zdaniu co się działo 31 maja i 1-go czerwca na obszarze Rzeczypospolitej. Chłopi maszerowali, opuszczali wsie i wkraczali do miasta. Zjawiali się z banderą barwnie jak na święto chłopskie, z transparentami, napisami, jak podczas demonstracji politycznej. Orkiestry grały wesoło chłopskie piosenki, ale mieszało się to z groźną pieśnią: gdy naród do boju. Uchwalano rezolucje, tańczono na murawie. Chłopów ogarnęła chęć maszerowania, ruszania się, rzucania haseł, słuchania mówców, wyrażania woli i usłyszenia wskazówek od swoich przy-

wódców.

Rytm Krakowa, Lwowa, Częstochowy, gdzie odbywały się robotnicze, burzliwe demonstracje polityczne, sprawił swoje. Zdenerwowanie i podniecenie ogarnęło wieś już wcześniej. 1-go Maja na różnych terenach Polski chłopcy żywiołowo brali udział w pochodach robotniczych, pchali się do miast, zgłaszali akces do wieców robotniczych i gdyby nie przeszkody natury technicznej i inne bardzo przykre zakazy, inaczej wyglądałyby demonstracje pierwszomajowe w miastach i miasteczkach. Coś się ruszyło z miejsca, chęć podania sobie wzajemnie dłoni nurtowała wśród dołów. Była ona tamowana przez pewne instancje, a często nawet przez dwie partie polityczne (stronictwo ludowe, PPS).

Wylało się to 31 maja. Żakieria na nową modłę wkroczyła do miast, panowała w ciągu 12 godzin, bawiła kolorami, dziwiła mnogością, rytmicznym marszem. Działo się to na wezwanie stronictwa ludowego, które po kilku latach rozbicia i walk wewnętrznych wraca do znaczenia na wsi.

Co skłoniło przywódców do marszu? Z przemówień, z odezwań się i uwag prowodyrów wynika, że kierowała nimi chęć pokazania czynnikom decydującym, iż są siłą liczebną, że przy wszelkich rachunkach wciągania przez rząd społeczeństwa do jakiegokolwiek akcji należy brać pod uwagę siłę stronictwa ludowego, że jeśli nie mówili i nie kontaktowali się z rządem obecnym, to gotowi są jednak porozmawiać z „czynnikami decydującym”, odpowiedzieć na wezwanie, złożyć odpowiednią ofertę zabarwioną demokratycznymi hasłami, przyjąć różne kompromisowe wnioski w imię grożącego niebezpieczeństwa zewnętrznego.

Odbyło się to bez wypadku, bez starć. Panowała wzajemna kurtuazja. Władze uznały legalność milicji ludowej. Milicja ludowa zastosowała się do życzeń władz. Przybierało to czasem charakter sielankowy. Władze bezpieczeństwa prowadziły rokowania

294

z organizatorami pochodów na temat szczegółów. Perswazją uzyskały, że do pochodów nie dopuszczono na ogół oddziałów robotniczych, że nie doszło do bratania, że chłopski żywioł maszerował po mieście oddzielnie, spotykając się jedynie z życzliwym okiem gapiących się na chodniku robotników.

Doprowadzono do tego, że hufiec robotniczy, który wkroczył na rynek miasta Jarosławia, wycofał się po otrzymaniu odpowiednich wyjaśnień ze strony władz, że tak uzgodniono sprawę z organizatorami pochodów. Kurtuazja władz posuwała się jeszcze dalej. Milicję ludową kształcono, instruowano w gmachu starostwa, gdzie otrzymywała ona pierwsze wskazówki w kierunku ludowładztwa, naukę utrzymania ładu i ewentualnego puszczenia w ruch pałki.

12 godzin znajdował się Jarosław we władzy chłopskiej. Milicja ludowa utrzymywała ład i porządek, kierowała oddziałami, ustawiała hufce, regulowała ruch uliczny, wysyłała oddziały rowerzystów, patrolowała na wylotach i zdobyła uznanie władz bezpieczeństwa. Nie było żadnych wypadków naruszenia dyscypliny, złamania porządku, mimo iż w pochodzie brało udział kilkadziesiąt tysięcy chłopów, że brali udział ludzie, którzy rzadko maszerują w mieście.

Czy było ich 30 czy 40, czy 20, czy też 10 tys., jak szeptał mi na ucho zastępca starosty, spór ten rozstrzygnąć mogą fachowcy. Półtorej godziny trwała defilada wojska chłopskiego. Posuwali się szybko czwórkami, maszerowali rytmicznie, trzymali się drylu wojskowego, kroczyli pod takt marszów orkiestr, zawracali przepisowo na zakrętach. Przygotowywano się do wkroczenia na przedmieścia. Ustawiano oddziały, ćwiczone banderie, instruktorzy konno sprawdzali szeregi. Wreszcie dano sygnał. W stronę miasta ruszył pochód. 1450 jeźdźców rozbitych na szwadrony z zielonymi przepaskami ukazało się na ulicy. Była to prawdziwa kawaleria rusticana. Zaimponowała miastu doborem koni, różnorodnością kolorów, fantazją jeźdźców, zgrabnością oficerów chłopskich, którzy niczym gen. Wieniawa Długoszowski z zimną krwią, kokietując publiczność, hamowali popędliwość koni. Przejęto tradycje krakowskie. Kroczyły więc chłopki w kolorowych strojach ludowych. Maszerowano w czamarkach, sprowadzono wieńce i kłosy, umajono się w zieleń. Puszczono w ruch całą kolorystykę parad chłopskich zapożyczoną z uroczystości kościelnych i tylko żołnierski rytm zmieniał nieco znaczenie i obraz, i tylko dwa napisy: duże transparenty o jedności chłopskiej, z żądaniem amnestii dla Witosy i innych więźniów brzeskich, odmieniały nieco tło pogodnego obrazu. Czasem maszerujący boso chłop, lub chłopka w niekoniecznie pięknym ubraniu, bez barwnego szalika, bez fanaberyjnych ozdób,

295

przypominali, że w pochodzie kroczą chłopcy z Krzywdy Górnej i Dolnej, że radość podtrzymują orkiestry, grające raźnie i wesoło mazurki i polki. Czasem wydawało się, że austriacka trąbka przewodzi tym szeregom. Stary wiarus z dawnych czasów, trzymając róg, wygrywał pobudkę austriacką, by dodać ducha maszerującym w chwilach, gdy milkły orkiestry.

Namaszerowano się, naporadowano się nim usłyszano słowo o celach święta ludowego. Kilka godzin trwała uroczystość wkraczania na rynek, ustawiania się w szeregi. Przywódcy wykazali zdolności

strategiczne. Promieniował radośnie miejscowy wódz Jedliński, pokazując siłę chłopską władzy miejscowej. Kilka tygodni temu wypuszczono go z więzienia, a teraz mógł pokazać staroście, jaka siła stoi za nim, jak go bronią, jak ciżba chłopska słucha go pokorniej niż władz miejscowych. Był więc dumny i komenderował, rozstawiał, umieścił dyskretnie w samym końcu samochód sanitarny. Ustawił należycie orkiestry na placu, by nie dłużyło się w czasie czekania. Co kilka minut rozlegały się przed frontem wyprężonych oddziałów chłopskich słowa komendy: baczność! spocznij! Pod komendę oddały się również kobiety ustawione w szeregach.

Po godzinnym czekaniu rozległa się trąbka. Straż honorowa z krakusami ruszyła do hotelu, by sprowadzić prezesa naczelnego komitetu wykonawczego b. marszałka Rataja. Tymczasem ćwiczone szeregi. Zjawił się stary działacz sejmowy Gruszka, by sprawdzić sprawność oddziałów czekających na placu. Już zostały przygotowane kwiaty, już ustawiono na placu prezesów kół partyjnych, już kroczyli chorążowie z kumami, niosąc 41 zielonych sztandarów, już stanęli kołem prezesa obok trzech dziewczyn, trzymających chleb i sól na spotkanie wodza. Znowu zagrała trąbka. Dochodzą okrzyki. Orkiestry grają pieśń wesołą. Na wozie drabiniastym, posuwającym się wolno, siedzi marszałek Rataj z prezesem Gruszką. Spotykają prezesa NKW wszystkie możliwe honory. Przez szpaler utworzony aż do trybuny przechodził następnie Rataj obrzucany kwiatami, witany radosnymi okrzykami. Dla zebranych historia kończy się z rokiem 1928. Nie znają następnych sejmów, a szczególnie tego z r. 1930, nie istnieje dla nich sejm obecny i krzyczą: „niech żyje marszałek Rataj”.

Pod trybuną stoi straż. Pierwszy raz po kilkugodzinnym czekaniu usłyszy się jakieś żywe polityczne słowo. Przemawia prezes Gruszka. Napisy i portret umieszczony pod mównicą określają cel zgromadzenia na rynku: „Oddajcie nam wodza. Niech wróci Witos”.

Prezes Gruszka wita marszałka, ale głosem pełnym woła o powrót Witosy. Nie formułuje żadnych haseł, cieszy się jedynie

296

siłą liczebną ludu zebranego, chce by cyfry te doszły do wiadomości władz, by usłyszano wołanie i sprowadzono Witosy do Polski. Nie ma słowa o rezolucjach uchwalonych przez NKW. Nie rzucono żadnych haseł politycznych. Tu odbywa się tylko przywitanie na cześć marszałka Rataja. Między wierszami, uśmiechając się w stronę prezesa okręgowego komitetu robotniczego Przemyśla, mecenasa Grosfelda, mówi o święcie pracy b. poseł Gruszka. Mówi po uprzednim odesłaniu oddziału robotniczego z placu.

10 minut trwała cała uroczystość przemawiania i witania. I znowu kilka godzin trwało nabożeństwo, defilada przed gmachem Sokoła i dalsza parada.

Dopiero na błoniach po kilku godzinnych marszach zapachniało polityką. Długo natrudził się chłop nim usłyszał słowa wodzów. Zmoczył go deszcz, prażyło go słońce, paliło pragnienie, aż wreszcie na łąkach, na polach użyczonych przez władze wojskowe odbył się wiec polityczny. Poprzedziła go jeszcze jedna uroczystość ślubowania przy wręczeniu sztandarów.

Wzywano do jedności, mówiono o niedoli, o krzywdzie. Gdy jednak na głos z mównicy odpowiadała gromada chłopska wyrazami groźnego oburzenia, coś w rodzaju przestachu malowało się na twarzach przywódców. Omawiano przemówienie Rydza z 24 maja, rozważano jego tezy, zgłaszano akces do obrony kraju, stawiając jako warunek — powrót wodza, nowe wybory do sejmu i zmianę konstytucji.

Słowa z trybuny i hasła z dołu mieszały się dziwnie. Oto mówi marszałek Rataj: „Wierzę, że cierpliwości waszej nastąpił kres”. Z ciżby rozlegają się głosy: „Cierpliwość pękła, pójdziemy wszędzie”, ale natychmiast rozlega się głos marszałka Rataja: „Musicie dalej cierpliwie czekać, bo jesteście odpowiedzialni za państwo”. „Nie będziemy dalej czekać” odpowiada tłum, źle widocznie dosłyszawszy ostatnie słowa marszałka Rataja. „Czekajcie dla dobra państwa” woła ponownie mówca, na hasło rzucone z trybuny odpowiadają z dołu gniewne okrzyki. Wreszcie zacierają się hasła polityczne, odbywa się wiwatowanie, wzajemne uznawanie się, wzajemne komplementowanie się. Mówcy dziękują sobie nawzajem za wielki trud, za sprowadzenie tłumów, za udaną paradę.

Rozlegają się okrzyki: precz z sanacją! Biada temu, który by posunął się dalej, by rzucił ostry okrzyk o rządzie, bo prezydium odpowiedzialne jest nie tylko za państwo, ale i za rząd, skarci go i uspokoi.

Styl musi być utrzymany. Gdy wchodzi na mównicę przedstawiciel OKR w Przemyślu, gdy mówi o krwi przelanej, gdy wzywa znacząco między wierszami, gdy mówi o rządzie robotniczo-chłop-

297

skim — zebrani w prezydium oglądają się nawzajem, *patrz* z żalem to w stronę mówcy, to w stronę zastępcy starosty. Starosta grozi rozwiązaniem zebrania. Wita mówcę entuzjastycznie ciżba chłopska. Na hasło o rządzie robotniczo-chłopskim odpowiada tłum okrzykami o rządzie włościańsko-robotniczym. Tłum rozgrzewa się, nabiera kolorów, krzyczy o nędzy na przednówku, wprowadzając zamęt do wesołego

święta ludowego.

Zabrał jednak głos prezes Gruszka, podziękował zebranych, odczytał rezolucje. Tłum pod dyktando wodził odśpiewał Rotę, *czekając* jednak w dalszym ciągu na inne słowa, na inne hasła i wezwania. W prezydium chwila narady. Zaintonowano, „Gdy naród do boju”; dano upust gniewowi w pieśni. Tłum wchłaniał słowa, odśpiewywał wszystkie zwrotki i z rozkoszą skandował wyraz „psubraci”, wyrażając pięścią.

Prezes Gruszka zamyka zgromadzenie. A teraz zaczyna się zabawa ludową, oświadcza, uśmiechając się.

Tłum ustawia się w szeregi, tworzą się oddziały, orkiestry grają. Nikt jednak nie zostaje na placu dla zabawy. Wszyscy wracają do swoich wsi. Będą maszerować jeszcze 5-6 godzin. Z dnia ludowego pozostało wołanie o powrót Witosa i końcowa pieśń o psubratach.

5 czerwca, 1936.

*Święto chłopskie — osamotnieni w Lublinie*

Święto ludowe w Lublinie nie wypadło wspaniale pod względem dekoracyjnym. Chłopi nie zdobyli miasta, nie opanowali ulicy. Nie widać było oddziałów kroczących przez Krakowskie Przedmieście. Gdzieś przewijała się jakaś grupka z zielonymi opaskami. Oddziały przechodziły cichaczem przez miasto, wstydząc się słabej liczebności. Zbiórka wyznaczona została na godzinę 10-tą, a jeszcze o godz. 11-ej Plac Bychawski był na wpół pusty.

Przywódcy, którzy przybyli specjalnie z Warszawy, cofnęli się z przedmieścia z powrotem do miasta.

Trzeba było cierpliwie czekać w hotelu aż dojdą pierwsze wiadomości, że można rozpocząć. Tak trupa prowincjonalna czeka w ukryciu na wieści z kasy teatralnej, by zorientować się, czy warto grać.

Wydawało się to dziwne. Lublin był dawniej ośrodkiem ruchu ludowego w Kongresówce. Tu tworzono pierwsze kółka rolnicze, tu rozrastał się ruch zaraniarski, tu związywano ruch

298

ludowy z tradycjami powstańczymi radykalnego księdza Sciegienego.

Rząd ludowy z premierem Daszyńskim na czele i ministrem spraw wojskowych gen. Rydz Śmigłym powstał w Lublinie, opierając się o masy chłopskie w tych okolicach.

W 10-tą rocznicę rządu lubelskiego zgromadziły się tłumy chłopskie w mieście demonstrując razem z robotnikami, wznosząc okrzyki na cześć przyszłego rządu ludowego. Działy w okolicy i Wyzwolenie i Stronnictwo Chłopskie, ale maszerowano razem.

Teraz nastąpiła zmiana. Wszystkie grupy połączyły się w jedno, ale jednocześnie sanacja zorganizowała najpoważniejsze rozłamy w województwie lubelskim. Część przywódców Wyzwolenia przeszła na stronę rządową. Posłowie ze Stronnictwa Chłopskiego uczynili to wcześniej. Rozdziobiły okręg kruki i Wrony. (Wrona — poseł Stronnictwa Chłopskiego).

Nikt z rozłamowców nie utworzył poważniejszej grupy. Nie o to zresztą chodziło. Saperska robota nie polegała na zbudowaniu własnego mostu, lecz na wysadzeniu obiektów przeciwnika. Stronnictwo ludowe operuje przeto w Lubelszczyźnie kolumną czołową, tymi grupami, które się nie stropiły, których nie zniechęciły rozłamy. Nie wypadło więc święto ludowe mocno liczebnie, w barwach kolorowo. Nie było banderii, nie stawiała się żadna orkiestra, trzeba było skorzystać z pomocy muzyki robotniczej, oddać się pod opiekę związku zawodowego kolejarzy, który mieści się na Placu Bychawskim. Nie przez miasto, a boczną drogą nadchodziły wolno oddziały za oddziałem. Nadchodziły grupy z krańców województwa, maszerowały po stokilkadzieści kilometrów.

O godz. 12-ej Plac Bychawski zapełnił się nieco. Trudno było jednak obliczyć ile zebrało się ludzi.

Skupiono się niekształtnie. Nastawiono uszu by usłyszeć od przywódców, co mówią o wypadkach dni ostatnich, o rządach, które odeszły, o rządzie, który nadchodzi, o mowie Rydza, która wzywa do obrony, o niebezpieczeństwie, które grozi.

Na mównicę wchodzi b. poseł Graliński, specjalista od spraw międzynarodowych, umiejący na pamięć traktaty. Formuluje i wyjaśnia przed zebranymi postulaty naczelnego komitetu wykonawczego, wyjaśnia dlaczego Stronnictwo Ludowe nie może iść z komunistami, dlaczego musi być bezwzględne wobec narodowej demokracji. Mówca wyciąga dłoń do socjalistów, zatapia się w rozważania na temat polityki zagranicznej. Chłopi słuchają i jęczą. Jęk idzie od siebie, bez związku z przemówieniem. Tylko czasem wyrazy o krzywdzie, o wyrzuceniu z praw, o przywilejach sanacji wywołują smutne okrzyki „święta prawda!”. Mówca kończąc nawiązuje do przemówienia generalnego inspektora sił zbrojnych, zgłasza

299

akces, ale pod warunkiem, by masy ludowe korzystały z praw politycznych, a pod prawami rozumie dopuszczenie do sejmu.

Orkiestra przyzwyczajona do grania na zabawach ma wiele kłopotu z wykonaniem „Gdy naród do boju”. Dźwięki giną i urywają się, rytm dowolny i tylko bęben nadużywany gwałtownie dodaje nieco bojowości tej pieśni. Po orkiestrze chór dobrze wyszkolony odśpiewuje te same zwrotki.

Przedstawiciel PPS wita zebranych w imieniu okr. komitetu robotniczego. Nie sprowadzono oddziałów robotniczych. Usłuchano nakazu centrali PPS o wstrzemięźliwym stosunku. Mówca wita i mówi o rządzie robotniczo-chłopskim. Przyjmują go gorącymi oklaskami. Orkiestra gra Czerwonego. Pieśń wypada lepiej. Tłum ustawia się w szeregi. Po krótkim czasie dziwna niespodzianka. Rozrzucana masa przeistacza się w dobrze sformowany pochód. Na przedzie stu rowerzystów. Siedemset czwórkowych szeregów maszeruje w stronę miasta. Dużo transparentów o jedności chłopsko-robotniczej, o oświacie dla wsi, o amnestii dla więźniów, o pracy i chlebie, o wolności. Wkraczają dziwnie skupieni do obcego miasta, mając na chodniku tłum wyśmiewający ich.

Już na Placu Bychawskim postępuje za pochodem cień, łączy grupa łobuziaków ulicznych, rozdaje odezwy, rzuca żydożercze okrzyki pod adresem pochodu. Pochód posuwa się, przyjmując obojętnie okrzyki, jak nieodłączne szczekanie psów. W pewnej chwili rozlega się okrzyk: precz z Żydami! precz ze Stronnictwem Ludowym! To krzyczy dwudziestu wyrostków uzbrojonych w pałki. Wyczerpał im się nakład rozpowszechnianych odezwy. Trzeba więc zakończyć agitacją ustną. Pięciu milicjantów pochodu ludowego zbliża się w stronę wyrostków. Tchórzostwo robi swoje. Odtąd teren jest zwolniony. Tylko czasem na tyłach rozlega się jakiś odosobniony, oderwany gwizd.

Orkiestry grają na przemian „Gdy naród do boju”, Czerwonego, lub „Na barykady”. Zmienia się postawa ulicy. Rozlegają się okrzyki w rodzaju: precz z sanacją, niech żyje rząd robotniczo-chłopski. Dochodzą hasła radykalniejsze, ostrzejsze, pomieszane ze złowrogimi okrzykami przeciw narodowej demokracji. Uderzenie butami w bruk miejski jest coraz uporczywsze i twardsze. Zdaje się, że tłum złożony z trzech tysięcy chce do złudzenia nabrać siły potężnej masy.

Po krążeniu przez miasto tłum ze sztandarami skręca w bok. Zaczyna się znowu zgromadzenie ludowe, przerywane muzyką orkiestry, grającej na jakiejś zabawie. Zabierają głos kolejno nie tylko przedstawiciele NKW, ale chłopcy z różnych okolic. Wójcik z Tomaszowa lubelskiego po wyłożeniu zagmatwanej

300 historii ludu chłopskiego, opowiada „o tym naszym wspólnym święcie majowym, które powinno być jednym jedynym”. Zwierza się jak to chłopcy rwali się 1-go Maja do wspólnego marszu, jak żegnali się z rodzinami, idąc w stronę Zamościa, bo wiedzieli „że takie maszerowanie majowe z robotnikami to nie przelewki”.

Mówiono o klerykalizmie, o działaniu endecji, o ich szkodliwym warcholstwie. Mówiono o tysiącach instruktorów, którzy za pieniądze ciemnego pochodzenia agitują po wsiach, wzywając do pogromów antysemitów. Opowiadano o nędzy wsi, o rosnącej ciemnocie, o wzmagającym się analfabetyzmie. Zabierały głos kobiety w strojach puławskich i instruktorka bez stroju chłopskiego, wzywająca do zorganizowania Wici. Nie obyło się bez okrzyków na cześć Witosy. Wytworzyła się jakaś mozaika haseł i wniosków, zakończona uchwaleniem rezolucji NKW przeciw komunistom, endecji, za współdziałaniem z PPS. Wezwania przerywano okrzykami na cześć rządu robotniczo-chłopskiego.

O 2-jej trzydziści zwinięto sztandary. Uroczystość została zakończona. Przywódcy opowiadali o poziomie politycznym zebranych, pomijając liczebność, gniewali się, że nie dopisał szczególnie powiat lubelski, pocieszali się, że po roku rozbicia coś kiełkuje. Luzem rozleźli się chłopcy pogapić się na obce miasto, gdzie za obopólną zgodą PPS i Stronnictwa Ludowego klasa robotnicza wyciągnęła do nich palec zamiast dłoni. 6 czerwca, 1936.

#### *Tajemnica uśmiechu w Nowosielcach*

Od roku ustala się kolejność wypadków w Polsce. Przez kilka tygodni niepokój ogarnia miasto. Wybuchają strajki, dochodzi do krwawych rozruchów, demonstracyjnych pogrzebów. Co kilka dni dochodzą z miast wiadomości o ofiarach, a później przerwa na kilka miesięcy. Wszystko przenosi się do sali sądowej, odzwierciadla się w zeznaniu świadków.

Gdy milknie miasto, zabiera głos wieś, która przestała już być zaciszna i spokojna. Od roku odbywa się z przerwami marsz chłopów w Polsce. Czasem grupa endecka zawładnie tym żywiołem, poprowadzi do pogromów, rabunków, czasem wyleje się to w akt niezadowolenia z powodu szarwarku. Nagle wyziera walka klasowa w postaci buntu robotników rolnych (11

301

trupów) lub na zmianę zabiera głos Stronnictwo Ludowe, by prowadzić szeregi dla określonego celu politycznego.

Jeszcze kilka dni temu głośno było o Myślenicach, o Adamie Doboszyńskim, endeku, który napadł na starostwo wraz z grupą swoich zwolenników. Dziś sprawa ta uległa zapomnieniu. Tylko organ endecji „Dziennik Narodowy” nie wie jak wybrnąć z sytuacji. W pierwszych dniach nastąpiło całkowite wyparcie się bohatera z Myślenic. Omal, że nie został „wojtkiem żydowskim”, który na własną rękę organizował zajazd. Bronili go jedynie więcej rycerscy koledzy „Gońca”. Po pewnym jednak czasie, gdy strach minął

„Dziennik Narodowy” wrócił do Doboszyńskiego, licząc na kapitał, który można ubić przy procesie. Sprawa ta blednie jednak wobec nowych wypadków, nowych zajęć na terenie wsi. Chłopi zasmakowali w maszerowaniu, we wkraczaniu do miasta, w wysyłaniu banderii konnych, w pokazywaniu siły liczebnej. Po święcie ludowym postanowiono świętować dalej, szukać nowych okazji do dalszych marszów. Święteczne maszerowanie przeistoczyło się stopniowo w polityczne kroczenie. Prócz zielonych sztandarów zjawiają się coraz liczniej transparenty, żądania i hasła. Inicjatorzy ostrożnie wyciągają tłumy chłopskie na murawę, marząc o połączeniu pięknego z pożytecznym, wierząc, że wszystko skończy się na zabawie ludowej, ale gdy zjawiają się chłopi, gdy maszerują w szeregach, gdy widzą własną siłę, rośnie w nich chęć rządzenia, objęcia władzy, wkroczenia na arenę polityczną. Odbywa się wówczas znany dialog na wszystkich wiecach chłopskich, gdy przywódcy proszą o cierpliwość, a chłopi zniecierpliwieni odpowiadają: nie możemy, nie wytrzymamy. Niewinnie, patriotycznie, sielsko zapowiadała się uroczystość w Nowosielcach. Cóż mogło być więcej zgodnego, dobrodusznego i pogodnego jak uczczenie pamięci bohatera chłopskiego, który setki lat temu walczył z Tatarami. Nie wspomniano Kostki Napięńskiego, ani zbójców podkarpackich, nie czczono Szeli. Poświęcono dzień pamięci chłopca, który łączy, a nie dzieli. Nie dziw więc, że generalny inspektor sił zbrojnych przyjął zaproszenie na uroczystość. Widział w tym nowym pospolitym ruszeniu chłopstwa w powiecie Jarosławskim i Przeworskim realizację myśli, wyłuszczonej 24 maja na zjeździe delegatów legionistów. Chłop zostaje wciągnięty do walki o obronę państwa, zgłasza w ten sposób swój akces, zaprzęga się do szeregu wojaków. Generalny inspektor przyjął zaproszenie. Miała się odbyć uroczystość chłopsko-wojskowa bez udziału rządu, a nade wszy-

302

L

stko bez udziału tych posłów, którzy rzekomo uchodzą za przedstawicieli Przemysła, Jarosławia, Przeworska itd.

W ciągu ostatniego roku jeździł Generalny Inspektor Sił Zbrojnych na różne uroczystości, szczególnie na Kresy Zachodnie. Zjawiał się, przyjmował defiladę wojsk, przemawiał do wojaków, budził entuzjazm i odjeżdżał jako zwycięzca. Każde przemówienie stanowiło deklarację polityczną, próbę zdobycia serc. Generalny inspektor przemawiał na uroczystościach, gdzie przeważał czynnik wojskowy, zabierał głos, zwracając się do kolegów w legionach, ale oto został zaproszony na uroczystości, gdzie przeważał czynnik cywilny, element oddany stronnictwu chłopskiemu. Mogły więc powstać pewne wątpliwości, a nawet zaświtać myśl o ewentualnym odrzuceniu zaproszenia. Należało bowiem wystąpić w nowym środowisku, zetknąć się bezpośrednio z masami. A jednak stało się inaczej. Co wpłynęło na tę decyzję? Do dziś dnia generalny inspektor przyjmował u siebie w Alejach Ujazdowskich najrozmaitsze delegacje, poczynając od własnych towarzyszy legionistów, dawnych peowiaków, kończąc na przedstawicielach klubu ukraińskiego. Stawił się do raportu prezes Sokola, endek pułkownik Arciszewski. Nawiązywał się więc kontakt poprzez delegacje. Wkroczenie do spraw wewnętrzno-politycznych odbywało się powoli. Wódz naczelny wysłuchiwał wszystkich postulatów, odbierał różne memoriały, uśmiechając się dobrotliwie, nie ujawniając swego stosunku.

Po utworzeniu nowego rządu Składkowskiego sytuacja zmieniła się nieco. Do Prezydium Rady Ministrów przychodzi generalny inspektor. 24 maja zapowiada politykowanie i dotrzymuje słowa.

29 czerwca zjawia się generalny inspektor w Nowosielcach. Styka się już nie z delegacją, ale z narodem chłopskim. 150 czy 200 tys. ścisłość tych cyfr nie posiada specjalnego znaczenia. Wystarczy, że wręczone zostało memorandum, że nastąpiło zetknięcie nie tylko z chłopstwem, ale i ze Stronnictwem Ludowym. Generalny inspektor nie zabierał głosu. Nie przemawiał. Milczał, uśmiechając się, gdy oddziały chłopskie maszerowały wznosząc okrzyki na cześć armii. Uśmiechał się również, gdy oddziały te wznosiły okrzyki na cześć Witosa, gdy oddawali Bogu boskie i cesarzowi cesarskie, gdy przyjmowali ofertę o wspólnym marszu w obronie kraju i stawiali postulaty tak przeciwne wytycznym wyłuszczonej w exposé premiera Składkowskiego.

Milczał, gdy rzucano okrzyki o nowym sejmie, gdy doma-

303

ucji, gdy ujrzał na transparencie hasła premiera. We wsi sąsiedniej przysięgła ostrą krytyką polityki zagranicznej, a w powiatowym sejmie wyrażano te postulaty w naczelnym kołach Stronnictwa Ludowego. Tyle miesięcy do sfery właściwych. Na wiecach odpowiadano generalnemu inspektorowi, nie wierząc, że dojdzie do niego w Alejach Ujazdowskich. Ale oto zjawiał się *yiedz* i uśmiechnął się. Wystąpił więc w Katowicach. Co mu do tego? Każdy iarodajnych nie ma mowy o powrocie mogło to jedynie nastąpić przy uchwały w sejmie. Jedno wiec żądanie zostaje i? Generalny inspektor milczał, wyje-przed



zapowiedzianym terminem. Nie a. Hołd dla armii osładzał pigułkę pol-  
a. Nauczył się od swego mistrza „oder-ia”, atakować wroga wtedy, gdy się k milczał Piłsudski w sierpniu 1930 r.

ym kontakcie? Odpowiedź nastąpi na zjazd legionistów), czy też w inne dni i memorandum poparte 200 tysiącami która maszeruje już od wielu miesięcy. >na została przerwa. W czasie tej pauzy, i siebie obowiązek generalnego inspek-ncjonuje już jako budzik, zaglądając irzędów, instruując, musztrując admini-i, które oczekują ją w najbliższym cza-:e, w odpowiedzi na marsze chłopskie.

4 lipca, 1936.

acy Daszyński po raz ostatni przestąpił '-ie w ciągu wielu lat był panem, przy-, marszałkiem. Złożył ślubowanie po-

selskie ł odtąd nigdy nie widać było b. marszałka w gmachu sejmu. Tylko co kilka miesięcy marszałek sejmu Świtalski przy otwieraniu posiedzenia ogłaszał dalsze udzielenie urlopu posłowi Daszyńskiemu. Nie zabierał głosu złożony ciężką chorobą, ale gdyby nawet był zdrow nie miałby co do roboty w gmachu, gdzie rządy objął marszałek Switalski, gdzie słowo mówione przestało się cieszyć powodzeniem, gdzie zapanował rozkaz i suche warczenie nowego pana, a raczej dowódcy sejmu.

Dawny pan sejmu nie zniósłby tego reżymu. Za dużo panował, przewodził, kroczył królewsko po tym gmachu, gdzie święcił nieustanne triumfy, walczył słowem, odnosząc zwycięstwo.

Przyszedł do tego gmachu już pełen sławy. Pan wiedeńskiego parlamentu, ulubieniec proletariatu wiedeńskiego, szermierz w walce o powszechne prawo wyborcze, zdobywca głosów i serc w Ujeżdżalni Krakowskiej, wiceprezes Koła Polskiego, prezes frakcji socjalistycznej polskiej, delegat do rokowań z panami w Galicji, nie potrzebował wizytówki. Wystarczyła postać, która kroczyła (nigdy nie chodziła) uroczysto po gmachu sejmowym, zapraszająca jak gdyby od niechcenia na bok innych przywódców, wzywająca mrugnięciem oka kolegów z klubu, panująca dostojnie w sejmie warszawskim.

Nic dziwnego, że gdy w prasie ukazywały się wiadomości, że w dyskusji zabierze głos poseł Ignacy Daszyński, trudno było o miejsce na galerii sejmowej, że ławy rządowe były przepełnione, że na sali obecni byli wszyscy posłowie, a w łoży prasowej, mimo dobrej akustyki, przechylano się, by lepiej usłyszeć i zobaczyć pana parlamentu. Zaczynał zrazu cicho, jak gdyby mówiąc do siebie. Głos rósł, aż w pewnej chwili rozlegało się basowe, doskonale nastrojone, pełne oburzenia dudnienie Ignacego Daszyńskiego, któremu towarzyszyły odpowiednio dobrane okrzyki, niby akompaniament towarzyszy z lewicy. Grzmiał z góry, niby potężny Ignacy, a oburzały się razem z nim na sali wygi parlamentarne: Diamand, Żuławski, Mora-czewski, Lieberman, Bobrowski.

Każde przemówienie było szczytem kunsztu oratorskiego połączone ze zdolnościami aktorskimi. Tak wyśpiewał votum nieufności dla premiera Ignacego Paderewskiego. Zdawało się, że nie może być nic więcej melodyjnego, kuszącego dźwiękami niż przemówienie wielkiego pianisty, a jednak wódz socjalistów polskich, stwierdzając, że Ignacy Paderewski nie jest na serio prezesem Rady Ministrów, odniósł zwycięstwo. Było w tym przemówieniu wszystko: oburzenie, satyra, krótki przegląd dzia-

**305**

20

ści i wreszcie polityczne oświadczenie. Każdy ustęp prze-ienia wypowiedziany został w innym tonie. Toteż mówiono, aderewski gra tak jak Daszyński mówi, a Daszyński mówi, Paderewski gra.

Czyż dziwne, że odnosił triumfy, że pewne próby ugo-ia go, wykpienia z ław prawicy, spotykały się z dosadnymi •wiedziami. Groźny Danton, posługujący się wszystkimi moż-mi zapowiedziami rewolucji, drażniący prawicę wzmaga-n oburzeniem ludu, był jednak ujmujący dla swoich wro-klasowych. Miał wiele serca dla antagonistów z KKP (b pracy konstytucyjnej), dla Stesłowicza, hr. Baworow-go, Fedorowicza, Koliszera, a przerażone panienki w bufie-sejmowym, które uciekły z Kresów przed rewolucją, słucha-mowy na dole, uspakajały się później, przestały się oba-:, że pan sejmu sprowadzi do Polski widmo rewolucji ro-kiej.

Był przywódcą lewicy. Gdy trzeba było, był wyrazicielem trojów całego sejmu. Nikt lepiej niż on nie walczył o Cie-(i, złorzecząc pod adresem Czechów, nikt gwałtowniej nie mierzał ciosów komunistom. Nic dziwnego przeto, że stanął

czele rządu jako wicepremier w roku 1930.

Uderzał ostro w prawicę, zwalczał szczególnie endecję, jąć z nią porachunki z dawnych czasów. Wielbił ł słaWił jed-;o. Zdawało się, że tylko dla niego walczy tutaj, że jako idny rycerz mierzy się z przeciwnikami, mając na tarczy izman Józefa.

W jego obronie staje, gdy powstać ma rząd Korfantego. tej chwili gotów jest obalić wszystkie zasady obowiązują-»o parlamentaryzmu, rodzi dziwaczną komisję główną, by : dopuścić do rezygnacji

naczelnika państwa. Jemu składa 4d w każdym przemówieniu. Wystarczy mu serdeczna roz-3wa w Belwederze, spoglądanie w oczy, usłyszenie słów uzna-a. Wielbi go przez lata, zaprzęga cały klub oraz inne partie wicowe do sławienia imienia dawnego towarzysza partyjnego. Tak walczy bez przerwy. W historycznym dniu, gdy mot- ch podniecony przez endecję wychodzi na ulicę, by nie dopu-:ić posłów do sejmu, zamknięty w bramie, wyrwa się po izyskaniu odsieczy, by gromić ministra spraw wewnętrznych udać się ze skargą do swego wodza.

Odnosi triumfy aż do przewrotu majowego. Walczy nie tylko przeciwnikami, ale tłumy we własnej partii wszelkie lewe odchy-:nia. Zna drogi ugłaskania malkontentów. Gdy w r. 1919 wzno-żą pięści ku niemu niektórzy przedstawiciele robotników i pa-

106

robków z Kongresówki, mając za nic wielkiego pana sejmu, ten nie złorzeczy, nie gniewa się, uspakaja rozdawaniem mandatów do przyszłego sejmu. (Kwapiński, Zaremba). Ugłaskał jaskrawych, zdobył nieprzejednanych.

A oto przychodzi dzień zwycięstwa. Ukochany przez niego wódz staje na czele przewrotu majowego. Zwycięża. Obejmuje całkowitą władzę. Kto powinien byłby stanąć na czele rządu w tej chwili osobliwej? Czyż nie prezes rządu lubelskiego, desygnowany nazajutrz na premiera w rządzie warszawskim, wice-premier r. 1920, który bronił w rządzie imienia marszałka? Kto miał pomścić krzywdy, jeśli nie autor broszury „Największy człowiek w Polsce”? •

Ominięto go. Nie powołano go do rządu. Wydawało się, że parlamentarzysta nie obdarzony dystynkcjami wojskowymi, nie stanie należycie na bacność, nie wykona wszystkich rozkazów bez szemrania, choć był tak wierny i oddany.

Stary parlamentarzysta czuje, że słowo w tym gmachu przy ulicy Wiejskiej traci na znaczeniu. Nie śmie wznieść dawnego głosu oburzenia choć nie ma powodu do trelów, do hosanny, do radosnego unoszenia się. Sejm zostaje coraz więcej krzywdzony, deptany, poniżany. Rozlega się w dyskusji sejmowej głos konającego lwa w konającym sejmie. Uderza w ministrów, kpi z pewnych poczynań rządu, ale oszczędza największego człowieka w Polsce. W pewnej chwili głos urywa mu się. Musi przerwać, dając ucztę jedynie do połowy. Wyjeżdża zagranicę na kurację.

Zbliża się okres wyborów do nowego sejmu. Wicemarszałek Ignacy Daszyński prowadzi jeszcze rozmowy z piłsudczykami ua temat porozumienia. Wydaje mu się, że jest droga do współpracy między PPS a obozem rządzącym, że zwycięzcy r. 1926 wezmą na siebie rolę radykałów wśród inteligencji. Podsuwa im myśl powołania do życia organizacji pod tytułem „Legiony pracy”, lub „Wolności miast”, zamiast szkaradnej nazwy BBWR. Nie docenia należycie przebiegu walki. Mierzy wszystko doświadczeniem nabytym w okresie walk parlamentarnych, względno liberalizmu.

W r. 1928 następuje historyczny moment. Większość sejmowa w nowym parlamencie, wbrew opinii czynnika decydującego, wybiera Daszyńskiego na marszałka. Lekki bunt wielbiciela komendanta budzi niezadowolenie w Belwederze. Autorowi „Największego człowieka w Polsce” wydaje się, że zostanie mu to wybaczone, że zostanie wzięta pod uwagę suma zasług, że uda mu się doprowadzić do harmonijnej współpracy między sejmem a Belwederem. Był gotów przynieść na talerzu, za cenę prze-

307

prosin, usta parlamentu. Skneblował sejm regulaminem tak, by nie rozlegały się złorzeczenia pod adresem czynnika decydującego. Trzymał w ryzach mniejszości narodowe, ganił prawicę za słowa przeciwko komendantowi. Słowem „był marszałkiem marszałka”. Gdy w dzień imienin marszałka Piłsudskiego endencja domaga się odbycia posiedzenia sejmu, Daszyński odzywa się na wpół żartem, na wpół serio: — radzę nie zadzierać ze świętym Józefem.

Zdawało mu się, że zdobywa w ten sposób uznanie Belwederu, choć nie miał do tego gmachu dostępu. Szukał/odpowiedzi w cichych rozmowach z cieniem Belwederu, Waleryni Sławkiem. W dramatycznych chwilach wysadzania sejmu przez przywódcę BBWR ścisłał w kularach dłoń jego mając wrażenie, że choć w ten mistyczny sposób ręka jego dostępuje zaszczytu zetknięcia się symbolicznie z ręką komendanta.

Nie pomagają perswazje, prośby, apele, chęć wspólnego ratowania kraju, szukanie kontaktów przez Bartla. Ręka została odtracona w wywiadzie udzielonym przez Piłsudskiego pt. „Gasnący świat”.

Zaczyna się seria konfliktów w walce o budżet, o prawo szafowania groszem publicznym. Wysuwa się na front zastępcą Daszyńskiego w sztuce mówienia, poseł Herman Lieberman.

Dramat rośnie. Marszałek sejmu cofa się coraz dalej, licząc jeszcze na jakieś drogi porozumienia.

Następuje jednak wyraźny zatarg. Do gmachu sejmowego wkraczają oficerowie. Piłsudski domaga się otwarcia posiedzenia sejmu. Marszałek Daszyński sprzeciwia się. Dawni przyjaciele stają jako

przeciwnicy. Jeden uzbrojony w buławę, drugi w laskę marszałkowską. Daszyński zachował się godnie, choć musiał cierpieć boleśnie, że właśnie z nim wdał się w spór. W tym momencie okazał się prawdziwym obrońcą parlamentu. Toczył jednak spór na wąskim terenie, unikając szerszych walk. Walka, która potoczyła się w ciągu roku 1930 jest znana. Zmęczony dramatycznym przebiegiem bojów z 31 października 1929 r. marszałek Daszyński milknie. Ileż mąk, ileż cierpień znosił, gdy za karę minister spraw wojskowych, wkraczając do gmachu przy ulicy Wiejskiej omijał sejm i zaglądał do senatu, zasiadł w senackiej komisji.

Strudzony walką, stwierdziwszy swą całkowitą przegraną, zaniemógł ciężko trybun trzech sejmów, szermierz od lat kilkudziesięciu. Mało wiedział o dalszych poniżeniach opozycy'i. Docierały do niego jedynie odłamki faktów, a trapiąca go choroba

308

odebrała mu możliwość należytego posługiwania się wielkim słowem. Zaniemógł jak parlament. Pozostało jednak po nim wspomnienie w tym gmachu: wspaniała rzeźba Dunikowskiego, doskonały obraz Norblina. Przy sali prowadzącej do wejścia spogląda jako ojciec bezdietny na produkcję ordynacji wyborczej Walerego Sławka. Lwią grzywą i smutnym spojrzeniem odprowadza nieznanych żołnierzy parlamentaryzmu polskiego.

Pan, który pilnował honoru tego gmachu, nie dostąpił, a może i słusznie, zaszczytu opuszczenia chorągwi żałobnej w dzień jego śmierci. Widocznie obawiano się, że sztandar ten stanowić będzie nie tylko symbol żałoby z powodu jego zgonu, ale że przypomni również zgon parlamentaryzmu w Polsce. Zmarł w rocznicę najdumniejszego swego czynu, 31-go października, tak jak dawniejszy Wódz jego w rocznicę przewrotu majowego.

Zmarł przywódca partii, jeden z wodzów Międzynarodówki, najlepszy z sejmów istotnych pan słowa.

2 listopada, 1936.

*Dzieje nowej legendy*

(Rozkazy, artykuły, mowy marszałka Rydza Śmigłego)

Dla uczczenia marszałka Rydza Śmigłego zebrane zostały rozkazy, artykuły, mowy pt. „Byście o sile nie zapomnieli”, które zawierają twórczość generalnego inspektora sił zbrojnych do r. 1936 włącznie. Książka ta ukazała się na czasie. Przy systemie rządów autorytatywnych, gdy nie partie, lecz osoby decydują o losach państwa, staramy się zwykle poprzez dzieła, życiorysy, dotrzeć do programu politycznego, ustalić pewne prawdy, zgadywać jakimi drogami pójdzie szef państwa.

Praca ta jest żmudna, napotyka na trudności, ma się wrażenie, że między życiorysem bohatera do okresu objęcia władzy, a następnym rozdziałem życia jest jakaś przepaść. Gdy doszedł do władzy Piłsudski wertowano jego życiorys, badano dzieła zebrane, powoływano się na znajomości, a jednak ileż niespodzianek sprawił najbliższym. Rzadko ujawniał cele ostateczne, zaskakując w ten sposób przeciwnika.

Toteż Rydz Śmigły, który był jednym z najbliższych współpracowników Piłsudskiego pisze w artykule pt. „Schemat wspomnień z POW”.

309

— Nikt z nas nie był na tyle wtajemniczony w szczegóły jego pracy politycznej aby móc cokolwiek z tej pracy objąć i kontynuować, nie mówiąc już o bardzo osobistych i wybitnie indywidualnych metodach jego pracy, której momentem decydującym była jego wyjątkowa osobistość

Odbywa się przeto poszukiwanie szczegółów z życiorysów, szperanie w stosunkach osobistych, czasem nieco natrętne zagłębienie do mieszkania (Rydza Śmigłego): kto przychodzi, z kim mówi, czy tylko z przemysłowcem Falterem, czy z działaczem Lewiatana Karszo-Siedleckim, czy wyłącznie z Augustem Zaleskim, czy z Adamem Krzyżanowskim, czy prawda, że też i z Polakiewiczem? Czy tylko wysłuchuje, czy się radzi?

Nie znając programu staramy się dostać do wnętrza poprzez mgłę legendy. Toteż kilka miesięcy po ogłoszeniu, iż gen. Rydz Śmigły zostaje generalnym inspektorem sił zbrojnych czytano z uwagą życiorys napisany przez Gepnika. Niestety, nie odsłonił on wszystkiego. Dał przegląd walk, dzieje dowodzenia, ale nie ma historii ewolucji światopoglądu.

Wiemy wszyscy, że Rydz Śmigły był ministrem spraw wojskowych rządu lubelskiego, pamiętamy, że siedząc w Wilnie na Cielętniku jako inspektor armii był najwierniej oddany Piłsudskiemu. Snuły wówczas nadzieje radykalne grupy ludowe, wierząc w lewicowość syna ludu.

Od tego czasu upłynęło lat wiele, zaszły nowe okoliczności. Toteż w książce jego zaczyna się poszukiwanie stosunku do różnych zagadnień. Co myślał w dniach Brześcia, jak zapatrywał się na wypadki

lat ostatnich? Czy wahał się, czy wątpił?

Książka, która się ukazała, nie zawiera tych zwierzeń. Są tam przeważnie przemówienia, artykuły pisane, nie ma kartek z pamiętnika. Marszałek Rydz Śmigły przyznaje się w jednym z artykułów, że nie potrafi notować swych przeżyć i wrażeń.

A jednak książka ta zawiera dużo zwierzeń, daje pewien obraz człowieka. Widać, że od ławy szkolnej ulegał, jak wszyscy późniejsi legioniści, czarowi literatury Młodej Polski, że był nie tylko wiernym i wrażliwym czytelnikiem, ale i sam pisał w tym duchu. Pierwszy artykuł napisany w r. 1904 pt. „Stary, postrzępiony sztandar wojskowy”, poświęcony sztandarowi, który znajduje się w sali muzealnej, jest pisany pod wpływem Zerom-skiego.

Czarowi poezji romantycznej ulega Rydz Śmigły przez lata całe. Opisuje swe wrażenia, gdy wkracza z oddziałem na ziemię wileńską. Czuje czar Mickiewicza, Opis alei, świerku ciemnego mickiewiczowskiego i uczuć doznanych jest wzruszający. Malarz

310

łączy się tu z pisarzem, z człowiekiem tęsknoty, z dzieckiem neoromantyzmu, który sam grał na scenie w młodości w dramatach Wyspiańskiego.

W pismach góruje kult miłości do marszałka Piłsudskiego. Odezwy do żołnierzy, wezwania do bitwy, zapowiedź walki, wszystko kończy się hołdem złożonym komendantowi.

Na cześć wodza pisze kilkakrotnie artykuły lub wygłasza przemówienia. W dniu imienin Piłsudskiego w r. 1923 wygłasza przemówienie pt. „Wodzu, prowadź w bój”, stwierdzając, że „pożałowania godna jest armia, nie mająca wodza. Gdy nie ma wodzów wtedy fabrykuje się i fałszuje wodzów. Urabia się opinię, wytwarza się sztuczną i pozorną wartość moralną. Używa się sztucznych sposobów, aby wywołać zaufanie i miłość żołnierza do fałszowanego wodza”.

Prócz kultu wodza znajduje się tam wiele wspomnień o legionach, o walkach pierwszego pułku, o pierwszej dywizji, o Strzelcu i o POW, o wartości piechoty, o znaczeniu walki na bagnety. Są tam artykuły z okresu, gdy armia polska była jeszcze w zarodku. Jest również uwaga: „że najszczególowsze regulaminy służby wewnętrznej nic nie pomogą, jeśli ich się nie oprze na głębokiej treści ideowej”. Ale im dalej, tym więcej znajdujemy uwag politycznych, dotyczących doby współczesnej. Szukamy skwapliwie odpowiedzi, co myśli naczelny wódz o stronnictwach. Znajdujemy przemówienie z r. 1932 poświęcone pamięci prezydenta Narutowicza. Pisze wówczas o działalności narodowej demokracji: „Bezrząd z najpotworniejszym chamstwem, ekstrakt najgorszych dni przeszłości, skoncentrował się, by znieważać głowę państwa”. Jest również i uznanie dla PPS „która w ciągu całej wojny nie zmieniła swego niepodległościowego programu. Czasy te to piękna karta dziejów tego stronnictwa”.

Czy wszystkie te uwagi i artykuły dają podstawę do prognozy na przyszłość, czy można coś wysnuć na temat polityki zagranicznej, stosunku do ustroju? Najnowsze artykuły i przemówienia, znajdujące się na ostatnich kartkach tej książki są tylko pośrednio poświęcone zagadnieniom polityki zagranicznej. Wy-powiedziane zostały bądź w r. 1930, gdy w Niemczech mówiono o krwawiącej granicy, bądź w r. 1935 w Krakowie w odpowiedzi na roszczenia gdańskie, bądź w Poznaniu i Katowicach w rocznicę powstań na zachodnich granicach Polski.

Czyż można wysnuć wnioski o polityce zagranicznej na podstawie niżej przytoczonego ustępu, gdy gen. Rydz Śmigły w r. 1933, składając hołd pamięci peowiaków oświadcza: „a potem, pamiętając o przeszłości, poszli na zachód krwią łączyć Pol-

311

skę z powracającymi do niej dzielnicami. Był w nich instynkt historyczny, mądrość plemienna”.

Marszałek Rydz Śmigły słuchał uważnie wskazań wodza, czytał jego dzieła, a jednak przyznaje się, że w pewnej chwili nie znał jego intencji.

*Czytając* uważnie książkę „Byśmy o sile nie zapomnieli”, *zaglądając* w twarz wodza, który na Rozdrożu przyjmował wojska, badając jego działalność, mamy ciągle wrażenie, że przesuwają przed nami postać romantyka delikatnie perswadującego. Dotychczas nie unosił się jeszcze w powietrzu bat, który miałby świstać. Stanowczość dała się we znaki tylko na polach bitwy. Marszałek przyjmuje delegacje, wysłuchuje uważnie, ale nie grozi, nie złorzeczy, nie demaskuje, nie przerywa ciszy wielkimi niespodziankami.

Są jednak słowa, które brzmią jak zapowiedź: „Jeśli apelowanie do wzniosłości i szlachetności nie znajduje oddźwięku, to trzeba zacisnąć pięść, aby była twarda i apelować do strachu i grozy”.

Artykuły i mowy stanowią więc przyczynek dla oceny przeszłości. Można sobie według własnych upodobań coś dośpiewać i domarzyć, widząc naczelnego wodza po swojej stronie, by doznać gorzkich rozczarowań, tak jak ci, którzy czytali uważnie dzieła Piłsudskiego, kroczyli z nim razem, a w pewnej chwili zostali zaskoczeni.

Nie ma jednak innego sposobu wnikania do wnętrza, a chciałoby się wiedzieć co myśli, *zamierza i*

zdecyduje w najbliższej chwili pierwsza osoba obok prezydenta. Oszczędzany przez Piłsudskiego Rydz Śmigły był wolny do r. 1935 od trosk polityki wewnętrznej. Jego dorobek literacki z tego okresu poświęcony jest przeważnie sprawom wojskowym. Od 1935 r. zaczyna się nowy okres. Przemówienie z 24 maja na *zjeździe* delegatów Związku Legionistów jest już zapowiedzią nowego tonu. Słowa wypowiedziane na dziedzińcu zamkowym stanowią wstęp do drugiego tomu, w którym momenty polityki wewnętrznej odegrają donioślejszą rolę, niż w tomie pierwszym.

16 listopada, 1936.

*Rendez-vous ziyh duchów*

Inaczej być nie mogło. Miesiąc musiał się **zakończyć** „powstaniem listopadowym” lumpenproletariatu **studenckiego, awan-**

**312**

turami i burdami publicznymi. Nie mogło się obejść bez „podatku krwi i mienia” złożonym na ołtarzu reakcji. Dni są krótsze, a noc jest dłuższa. O takiej porze przypada benefis narodowej demokracji, próby dojścia do władzy lub chociażby wykazania siły, zameldowania się i ujawnienia znaku życia.

W roku bieżącym awantury uniwersyteckie urozmaicone zostały jeszcze zabawą walk wewnętrznych w obozie prawicowym. Ponura tragedia została na chwilę przerwana, jak w szekspirowskim dramacie, dialogiem grabarzy i błaznów. Młodzi ze starej endecji przeprowadzili dyskusje z młodymi oenerowcami. Rozstawiono sobie rodziny po kątach. Stara endecja zarzuciła swoim dawnym wychowankom, iż organ ONR-ABC jest niemal organem następnych trzech liter (DEF — defensywa polityczna). Organ endecji „Dziennik Warszawski” został posądzony o lenistwo, nieróbstwo, brak koncepcji ideowych. Język krytyki był dosadny i obie strony miały rację.

Ta walka wewnętrzna osłabiła nieco działalność endecji na uniwersytecie warszawskim. Skończyło się porażką. „Mamy” nie miały sposobności przyjść z pomocą żywnościową. Nie było przedstawienia publicznego. W późną noc bez akompaniamentu publiczności odbyła się ewakuacja na uniwersytecie warszawskim. Studenci uniwersytetu cieszyli się oczywiście większą względnością władz niż robotnicy, którzy okupowali fabryki z obawy, że tracą pracę. Upominano ich kilkakrotnie, dwukrotnie przysyłano ultimatum i jeszcze w ostatniej chwili przed generalnym atakiem w czasie rzucania przez studentów kamieni z góry, władze bezpieczeństwa proponowały honorowe wyjście z sytuacji.

„Wykłady na wyższych zakładach naukowych zostały zawieszane. Groźne słowo o relegowaniu studentów, którzy okupowali uniwersytet, wymaga jeszcze w tej chwili interpretacji. Ministerstwo oświaty nie wyjaśniło czy studenci zostaną wydalen na okres semestru, czy na czas dłuższy. Tydzień temu zapowiadano bezwzględna walkę, ale w ciągu ostatnich dni prowadzone są jakieś rokowania, rozmowy. Grupa pułkowników twierdzi, że gdyby u władzy stał Janusz Jędrzejewicz nie doszłoby do awantur studenckich.

Inicjatywa akcji wydarta została tym razem z rąk studentów warszawskich. Role pionierów wzięli na siebie wilnianie. Zaczęło się od okupacji uniwersytetu wileńskiego, a skończyło się na scenach, które rozegrały się na ulicach miasta. Szczegóły tych zajęć nie mogą być przedmiotem opisu. Stała umowa między pewnym czynnikiem a prasą, że wszystko zostanie stonowane, stuszowane. Prasie żydowskiej nie pozostało nic innego jak Zgodzić się na propozycje czynników miarodajnych.

313

Nie należy bawić się w reminiscencje historyczne i dziwić się że stało się to wszystko w mieście Adama Mickiewicza. Dawne czasy minęły bezpowrotnie. Było to niegdyś miasto zgody, współzycia narodowości. Pod butem carskim sytuacja wyglądała inaczej. Polacy, Żydzi, Białorusini i Litwini spotykali się razem, mówili o współzyciu, o wyzwoleniu, o dobrej zgodzie między narodami. Marzyli o Wilnie jako o stolicy kantonów li-tewsko-białoruskich. Idee Syrokomli chciano wcielić w życie. Marzenia te snuł jeszcze w okresie Litwy Środkowej poeta Czesław Jankowski. Opowiadał o tym w wywiadzie dziennikarskim gen. Lucjan Żeligowski. Polak Abramowicz, Żyd Szabad i Litwin Ołsejko tworzyli wówczas wspólne koło. Czasy te minęły bezpowrotnie. Wilno zmienia oblicze, przestaje być miastem marzycielskim, senni obywatele zostają dopingowani podskórną szprycą antysemitką

Któż nie zabierze głosu by podjudzać? Przedstawił się opinii publicznej dawno zapomniany, skądinąd znany lekarz b. marszałek senatu prof. Szymański. Zdawało się, że po gorzkich doświadczeniach politycznych zamilknie, że zrozumie wreszcie, iż Piłsudski powołał go na wysokie stanowisko jedynie dla pograżenia ówczesnego senatu. Zapominał jak bezradnie władał laską marszałkowską, regulaminem senackim, ile kłopotu sprawiał swoim najbliższemu na terenie Wiejskiej, ile śmiechu było, gdy rodził rządy w towarzystwie fotografów. Teraz prof. Szymański zabiera znowu głos, stawia ultimatum, domaga się upokorzenia żydowskiego itp. Należy mu wybaczyć. Nie on tu jest winien. Ktoś z tyłu nakręca pewne figury, puszcza je na scenę, wyzyskując imiona wybitne dla celów przykrych.

Wyplęły i inne nazwiska. Za kulisami tej roboty widzieć można wyraźnie osobę, która najwięcej się kręciła, straciła całą równowagę i rzuciła na szale swoje pióro dziennikarskie. Skończyła się dżentelmeńska dyskusja w „Słowie Wileńskim”, odkąd jej redaktor stracił mandat poselski. Lekkie tony antysemityczne przeistoczyły się w wyraźne dźwięki żydożercze. Redaktor Stanisław Mackiewicz pyta czy konstytucja istotnie gwarantuje Żydom dowolność wybrania miejsca do siedzenia na sali wykładowej, a w kilka dni później, w okresie bicia szyb, wdzierania się do sklepów żydowskich, wypróżnienia ich zawartości, redaktor „Słowa” z zachwytem stwierdza, iż jakkolwiek nie schlebia młodzieży studenckiej, to jednak stwierdzić musi, że była taktowna i zachowała umiar. Ani słowa potępienia dla ostatnich wypadków w Wilnie, stale komplementy pod adresem nieznanymi sprawców i tylko wyraz ubolewania z powodu wybicia szyb u rektora, choć w ów dzień zrabowano kilkaset sklepów

314

żydowskich. Obok artykułu można było czytać niemniej podburzające opisy pełne *Scbadenfreude*. Szlachetny wyścig między endeckim „Dziennikiem Wileńskim”, a „Słowem” skończył się zwycięstwem ostatniego.

Jeszcze kilka lat temu redaktor „Słowa” zachowywał umiar, chcąc odegrać rolę dworzanina w przyszłym pałacu królewskim. Teraz zwątpił w szansę monarchizmu i został na kilka dni honorowym bardem bohaterów dzwonnika z Notre Dame, nadając Wilnu koloryt carskiego Kiszyńskiego.

Nie bardzo pięknie wyglądał rzekomo postępowy „Kurier Wileński”, mędrkujący chytrze, potępiający rozruchy w niedzielę, by chwalić je później w poniedziałek.

Wilno zawiodło. Trubadur królewski odebrał mu cały czar miasta zgody i porozumienia. Stał wyraźnie po drugiej stronie barykady ze słusznym prawem do tytułu protektora ONR-u.

Dzieje się to zgodnie ze wskazówkami publicysty „Podbi-pięty”, który dowodzi, że właściwie wszyscy mogą się porozumieć, że może dojść do zgody między obozem rządowym i endecją, a pakt spisać można na skórze żydowskiej i ukraińskiej.

Ponury tydzień skończył się. Pogrom w Przytyku, rozruchy w Wilnie i Lwowie przypomniły ludności żydowskiej, że jest coraz gorzej we wszystkich dziedzinach i na różnych terenach. Listopad z okresu wyborów prezydenta Narutowicza otrzymuje prawa obywatelstwa i rzuca czarny cień na sytuację w kraju. 28 listopada, 1936.

#### *Expose ministra Becka*

Minister spraw zagranicznych Beck zabrał głos po raz drugi w parlamencie w ciągu jednego roku. Uczynił to, usprawiedliwiając się, że w ciągu roku ilość wydarzeń czyni koniecznym częstsze analizowanie sytuacji. Należy stwierdzić, że min. Beck nie miał potrzeby usprawiedliwiania się. Dwa razy do roku przemawiać na temat polityki zagranicznej w okresie, gdy sytuacja międzynarodowa na świecie zmienia się nieustannie, gmatwa się, nie należy do częstszych analiz wypadków. Raczej należało rozpocząć przemówienie od wstydliwego przyznania się, że gdy inni ministrowie spraw zagranicznych w Europie zabierali już kilkadziesiąt razy głos, minister spraw zagranicznych Polski zachowywał milczenie. Zdobył się na wygłoszenie expose prawdopodobnie pod wpływem

315

pobytu w Londynie. Tam bowiem mógł przekonać się, że ministrowie odpowiadają często na interpelacje posłów w sprawie polityki zagranicznej, że min. Eden w ciągu ostatnich kilku tygodni zabrał kilkakrotnie głos w parlamencie, przemawiał na zebraniach, składał oświadczenia w klubie na temat polityki zagranicznej.

Było dużo tematów, które interesują w tej chwili opinię publiczną w Polsce, poczynając od zagadnienia Gdańska, kończąc na sprawie stosunków polsko-niemieckich, przemówienia Schachta, rokowań na temat spłaty zaległości niemieckich za tranzyt przez Polskę. Minister jednak w końcu roku postanowił trzymać się systemu kalendarzowego i zajął się wypadkami w kolejności nie według wagi przedmiotu, lecz według czasu.

Wymieniając kolejno sąsiadów min. zgubił Czechosłowację, lecz znalazł Węgry, co oczywiście musi wywołać specjalny popłoch u geografów. Zapomniana Czechosłowacja i obdarzone specjalnymi łaskami Węgry dowodzą najlepiej, że po wszystkich wizytach paryskich i rewizytach w Warszawie na froncie polsko-czeskim jest bez zmian.

Wszystkich tych, którzy interesują się rozwojem stosunków polsko-niemieckich, którzy odnoszą się krytycznie do paktu polsko-niemieckiego i jego trwałości, minister nazwał nerwowcami. Z dziwnym spokojem bowiem wymieniał Beck specjalnie przed wszystkimi wizytami pobyt Goeringa w Polsce, podkreślając znaczenie pobytu wielkiego łowczego. Wyrzekając się nerwowej oceny tego zwrotu, należy przypuszczać, że min. Beck wyróżnił Goeringa z powodu dyskusji leśnej, toczącej się jednocześnie w komisji sejmowej.

Oczywiście w expose, wygłoszonym wczoraj są tony i nuty niespotykane dotychczas w jego przemówieniach. Ustęp poświęcony Francji równa się prawie ustępowi poświęconemu Niemcom. Ton jest nieco cieplejszy niż dotychczas bo i zakończenie jest kon-kretniejsze i realniejsze. Min. Beck odsyła słuchaczy do wyjaśnień min. skarbu, który zreferuje w najbliższym czasie projekt umowy pożyczkowej z Francją.

Analiza wypadków w Europie nie wypadła tak pesymistycznie jak u innych ministrów spraw zagranicznych. Sprawily to widocznie mocne nerwy, spokój i demonstracyjnie podkreślana wyższość metod polityki zagranicznej Polski nad pociągnięciami innych państw. Było więc w tym dużo uznania dla własnej polityki.

Wszędzie miał rację min. Beck. Domagał się wcześniej uznania aneksji Abisynii, kwestionował istnienie komitetu o nieinterwencji w sprawie Hiszpanii, odniósł się krytycznie do Ligi Narodów,

316  
domagał się łaskawszych względów dla pozaligowców (Niemcy, Japonia).

Im więcej oddalał się min. Beck od Polski, tym konkretniej i wyraźniej precyzował swoje stanowisko. Gdy zbliżał się z powrotem do Gdańska styl stawał się coraz więcej dyplomatyczny, mniej konkretny, i tylko między wierszami stwierdzić można było, że dojdzie do porozumienia w sprawie Gdańska kosztem konstytucji wolnego miasta, że formuła o uszanowaniu praw mniejszości polskiej będzie dana przez Niemcy jako okup za zgwałcenie i likwidację wolności na terenie już dawno nlewolnego miasta Gdańska. Nie obeszło się również bez momentu żydowskiego. Nieszczęsny plan ewakuacyjny i filozofia kolonizacyjna była przedmiotem rozważań min. Becka. Cała akcja bojkotowa, całe „owszem” zostało wytłumaczone jako naturalny proces dziejowy nie tylko w Polsce, ale na terenie całej Europy wschodniej. Gdy się chce raz do roku, albo co najwyżej dwa zająć się przeglądem polityki zagranicznej, gdy w okresie tak skomplikowanym uważa się drugie przemówienie w ciągu roku za nadmierny wysiłek, trudno spodziewać się by expose' zawierało więcej niż kalendarzowy przegląd roku, niż sprawozdanie w roczniku Polskiej Agencji Telegraficznej o polityce zagranicznej.

19 grudnia, 1936.

*„Taki wiesz jak słuchacz”*

W piątek w godzinach rannych gmach przy ulicy Wiejskiej przypominał w całej pełni sejm dawnego okresu. Nie powiewała wprawdzie chorągiew, ale liczba samochodów, stojących na dziedzińcu, ruch w kuluarach oraz w bufecie, nadawały sejmowi pozory parlamentu.

O godz. 11-ej 30 świat miał się dowiedzieć o liniach wytycznych polityki Polski. Po półgodzinnym posiedzeniu i expose ministra spraw zagranicznych Becka doznano pewnego zawodu w sali senackiej i znowu wrócono do sali, mieszczącej się na parterze sejmu. 7 godzin obradowała komisja budżetowa nad zagadnieniem obalenia ministra rolnictwa Poniatowskiego. Wertowano konstytucję, przepisy, zestawiano dekret z ustawami obowiązującymi. Poseł Dudziński walczył o honor parlamentu. Domagał się rozszerzenia kontroli parlamentarnej nad działalnością lasów państwowych. Dodawał do tego argument najwięcej przekonywujący, że społeczeństwo chce wiedzieć, co się dzieje

317

w tej przepastnej krainie. Argument był słuszny, społeczeństwo domaga się istotnie kontroli, ale już w kuluarach rozżaleni frak-cjoniści z Naprawy dodawali, że nie wolno wysuwać argumentów o życzeniach społeczeństwa. Mogłoby się bowiem okazać że opinia publiczna domaga się od sejmu obecnego jednego: zmiany ordynacji wyborczej, oraz błagalnego memoriału do najwyższego czynnika, by zechciał rozwiązać sejm i senat.

Nie należy liczyć się również i z opinią naprawiaczy. Chcieli by ich człowiek, dr Surzyński, został wybrany jako wicemarszałek i w ten sposób będą mieli jaczęjkę w prezydium sejmu. Robota nie udała się. Mafijnie udoskonalona organizacja, sięgająca wpływami do różnych instytucji gospodarczych, posiadająca kontakty z tytułu dawnych prac w Zarzewiu tzn. w organizacji młodzieży narodowej, stanowiąca bigos radykalnej frazeologii z nacjonalistycznymi hasłami, spotkała się z oporem grupy pułkownikowsko-konserwatywnej na terenie sejmu.

Naprawa postanowiła wobec tego odegrać się na posiedzeniu komisji budżetowej i broniła z całych sił ministra Poniatow-skiego. Wojna wypadłaby kiepsko, gdyby w obronie ministra rolnictwa nie stanął pełnomocnik pułkownika Koca, płk. Miedziń-ski. Sam minister nie przejmował się zbyt procesem walki. Min. Poniatowski nie obawiał się dymisji, tak jak się nie obawia wniosku posła Szczepańskiego o redukcji płac urzędniczych. Sekretariat w dalszym ciągu przeznacza przeważną część pensji min. Poniatowskiego na cele kulturalno-oświatowe.

Nie znaczy to jednak, że walki w łonie sejmu ustaną, że w czasie dyskusji budżetowej nie powtórzą się sceny roku zeszłego. *Znajdzie się jakiś nowy Kasprowy Wierch (walka o windę), jakiś nowy obiekt walki. Znajdzie się nowy żer dla tarć klikowych, nowa okazja do rozprawy grup między sobą.*

Czytelnik zada pytanie: *czemu zaprzęta się uwagę walkami klikowymi, tarciami wewnętrznymi, bojami wśród obozu rządowego? Czyż nie narastają siły społeczne, czyż nie odbywa się w łonie społeczeństwa walka poważniejsza?*

Kto uważnie przegląda wypadki miesięcy ostatnich, ten z przykrością stwierdzić musi, że poziom walk społecznych obniżył się, że wielkie wypadki i odruchy zostały zasypane popiołem przyziemnych walk i tarć.

Najlepiej świadczyć by mógł o tym poseł Niedziałkowski, redaktor „Robotnika”, który w ciągu ostatnich miesięcy miał zajmować się wypadkami na ulicy robotniczej, śledził uważnie epizody na ulicy sanacyjnej, wyciągał dłoń do Legionu Młodych, w ostatnim zaś argumencie przeciw obozowi rządowemu, posługiwał się określeniem „ech, wy sanacja”.

318

Drobne zagadnienia zajmują uwagę polityków. Dziennikarze żywią się plotkami miast wiadomością. Szukają natchnienia nie na szerokim świecie, ale w nieco stęchłych środowiskach. Przynoszą wiadomości z komisji budżetowej, z walk naprawiackich. Dziennikarze żywią się biuletynami zdrowia. Minęły bowiem czasy walk na całym froncie, szerokich bojów, kongresu krakowskiego. Lwów, Kraków, Chrzanów i inne miejsca rozruchów robotniczych odbijają się osłabionym echem za kratkami sądowymi, a „Robotnik” żywi się kondolencjami zbieranymi z powodu zgonu wodzów.

Nateżony słuch dziennikarza nie przynosi żadnych dodatnich wieści o wzmożonym ruchu społecznym.

Wszystko zostaje stłamszone, zduszone i radykalny głos sanacyjnej senatorki Fle-szarowej uchodzi w tej atmosferze jak gdyby za wezwanie do przewrotu. Taki wieszcz, jaki słuchacz. Taki dziennikarz jaki słuchacz, taki dziennikarz, jaki sejm, jaka ordynacja wyborcza, jakie ruchy społeczne i robotnicze, oraz pismo odzwierciadlające jego nastroje.

22 grudnia, 1936.

319

lenia i zażądał, by głosowali na listę rządowe. Żydzi przyrzekli, że poprą kandydata. Starosta domagał się, by i dzieci poparły listę. Prezes gminy żydowskiej oświadczył: — jakżeż możemy domagać się od nich by głosowały, kiedy nasze dzieci w Boga nie wierzą.

W Boga mogą nie wierzyć, oświadczył ze spokojem starosta, bo go nie widza, ale we mnie muszą wierzyć i mnie szanować, bo mnie widza i czuć będą.

Argument przemówił do przekonania. Czuli starostę na każdym kroku. Pisma, które spokorniały w przeglądzie noworocznym coś czuły i kogoś zobaczyły.

Odezwał się „Czas”, trochę psocił IKC pod adresem administracji, dąsał się na biurokrację „Kurier Polski”, ale czyniły to tak przyjemnie, łagodnie, świątecznie, że czynniki miarodajne powinny na dzień 11-go listopada zwiększyć liczbę odznaczeń dla prasy za niezależność.

Dwa pisma ogłosiły deklarację polityczną z powodu zakończenia roku. 31 grudnia Miedziński ogłosił artykuł w „Gazecie Polskiej” pt. „Na przełęcz”. Ideologia programowa nie odbiega całkowicie od światopoglądu nacjonalisty carskiego Bobrinskiego w r. 1912. Napisał ten artykuł ten, który zgrzytał zębami pełen oburzenia z powodu zamordowania prezydenta Narutowicza. Należy przeczytać przemówienie Eligiusza Niewiadomskiego, mordercy prezydenta, przed sądem, zestawić myśl *zasadniczą* z artykułem „Na przełęcz”. Przewrót majowy miał zamknąć drogę przed rzecznikami Eligiusza. Ciśnie się przeto uwaga, czy nie należało u schyłku roku 1936 napisać artykuł pt. „Eligiuszu — zwyciężyłeś”.

Odmienne traktuje sytuację współpracownik „Kurier Porannego”, Czarnocki. „Gazeta Polska”, a szczególnie Miedziński jest przedstawicielem ideologii pułkownika Koca, a „Kurier Poranny”, tęskniący do bloku lewicy sanacyjnej z lewicą opozycyjną reprezentuje inteligencję, biurokrację u dołu. Kto zwycięży?

Tak się układa w życiu politycznym Polski, że jednocześnie zwyciężają dwa kierunki przeciwstawne. Czynniki miarodajne nie mają potrzeby w tej chwili śpieszyć się. Obóz wprawdzie nie zyskał jeszcze na rok nowy programu, ale kraj został wzbogacony pożyczką, która posiada znaczenie polityczne i gospodarcze. Zapas złota wzrósł o 30 milionów zł. Sejm jak i prasa nie będą zadawać specjalnie drażliwych pytań przy pożyczce francuskiej. We wtorek zabierze głos pan min. Beck, by nie tylko zapewnić Francję o *przyjaźni*, ale mrugnąć w stronę zachodniego sąsiada, uspokoić go, że choć „usta milczą,

324

to dusza śpiewa, kocham cię”, że nie było żadnych tajnych umów



odbywa się więc w atmosferze spokoju ^czenia . . 7c pułkownika Sławka. Hamulce działa, ą dobrze (lepiej ><sup>ak</sup> jf wkTać z dyskusji, w polskich kolejach państwowych) w gdu pStycznym<sup>7</sup> Błogosławieni cisi, albowiem oszczędzam  
M<sup>a</sup>- 4 stycznia, 1937.

### *Burza mgłami niebo kryje*

Akcja organizacyjna trwa w dalszym ciągu. Dzień w dzień prasa umieszcza całe kolumny organizacji zgłaszających akces do obozu płk. Koca. W tej chwili trudno rozróżnić jaka jest ilość liczebna wszystkich związków, stowarzyszeń, klubów, organizacji zawodowych. Kroczą jeszcze poczty sztandarowe, chorążowie i wśród morza sztandarów nie widać głów mas. Łopocące chorągwie zasłaniają kroczących szeregowców.

Gdy nastąpi ostateczne podsumowanie, gdy powołane zostaną do życia wszystkie sektory, gdy dojdzie do skutku nominacja pierwszych dwustu osób na stanowiska odpowiedzialne, będzie można zdać sobie sprawę nie tylko z siły liczebnej, ale i jakościowej nowego obozu.

Tymczasem prowadzona jest robota propagandowa. Nigdy wicemarszałek Miedziński nie był tak czynny jak ostatnio, to pisząc niedyskrecje, to umieszczając wstępne artykuły, to perswadując, to grożąc, to kusząc, to wyklinając. Towarzyszy mu w walce w „Kurierze Porannym” jeden z wybitniejszych literatów w Polsce Ferdynand Goetel, narażając pismo na stratę czytelników. Walczy prasa czerwona (brukowa), uderza od czasu do czasu „Polska Zbrojna”. Prócz niedyskrecji, można czytać w „Gazecie Polskiej” wypadki w przeglądzie prasy.

Ród Starzyńskich walczy na wszystkie fronty. Zakasał rękawy zastępca naczelnego redaktora „Gazety Polskiej”, b. wojewoda, Mieczysław Starzyński. Dyrektor Polskiego Radia, major Roman Starzyński oddał do dyspozycji wszystkie rozgłośnie. Najenergiczniej jednak pracuje prezydent stołecznego miasta Warszawy Stefan Starzyński. W dwa dni po przyjeździe z Londynu wygłosił przemówienie na uroczystym zebraniu w Ratuszu, zwołał przedstawicieli miast z całej Polski, objął kierownictwo jako prezes organi-

**325**

zacji warszawskiej Ozonu, stając się wodzem mieszczaństwa, jak niegdyś prezydent Dekiert.

Dawniej teoretyk etatyzmu zrewidował on swój stary program, dostosował go do tez wysuniętych w deklaracji polityczno-ideologicznej Ozonu i nawet rozwinął program rozwoju mieszczaństwa, jak gdyby nie miał za sobą dwóch dzieł: „Frontu gospodarczego” i „5-ciu lat na froncie gospodarczym”, uzasadniających między innymi upaństwowienie handlu.

Sprawił to rozkaz. Poprzez całą mowę płk. Koca wygłoszoną w sali ratuszowej grzmiały nuty rozkazu. Przerzucał energicznie kartę za kartą, wyrzucał wyrazy jak rozkazy. Pod dźwięk tego rozkazu odbywa się zbiórka. Zjawia się ze swoim wojskiem kombatanckim gen. Górecki. Wyływają nazwiska nowe. Do roboty stanął w szyku bojowym Leopold Skulski, b. premier, który od 15 lat nie zajmował się więcej sprawami politycznymi „drzwi od polityki zamknawszy hałasu”. Był rozżalony i miał ku temu słuszne powody. W pierwszym sejmie *znaczył* wiele. Stał na czele Narodowego Zjednoczenia Ludowego złożonego z 68 posłów. Należał jeszcze wówczas do Zjednoczenia Narodowego, które wchodziło poprzednio do Zw. Sejmowego Ludowo-Narodowego, (endecja). Głosami swoimi mógł przeważać to na prawo, to na lewo. Popierał Paderewskiego. Objął po nim stanowisko prezesa Rady Ministrów. Jeszcze przez długi czas w pierwszym sejmie decydował o losach poszczególnych rządów.

Przy wyborach do drugiego sejmiku stronnictwo jego zostało zgruchotane. Ocalał jedynie poseł ksiądz Bliźniński. Poseł Skulski zniknął z widowni politycznej wraz z Narodowym Zjednoczeniem Ludowym oraz Zjednoczeniem Narodowym. Odtąd wiedziano o nim mało. Raz tylko zjawiał się w sądzie jako opiekun dzieci po zamordowanym prezydencie Narutowiczu. Przyjmując na siebie ten obowiązek dowiódł, że zrywa całkowicie z obozem, na którym ciążył grzech ohydny czynu. Od tego czasu inż. Skulski poświęca się całkowicie przemysłowi, tkwi w przedsiębiorstwach prywatnych, w radach nadzorczych, zaprzeczając pogłoskom o jego współdziałaniu w Żyrardowie.

Teraz b. premier Skulski wraca. Przychodzi jako przedstawiciel przemysłu wsparty o dawne doświadczenie polityczne, przynosi ze sobą nazwę zjednoczenia narodowego (Ozon — Obóz Zjednoczenia Narodowego). Może wrócić inni, dawni, zapomniani. Jeszcze wczoraj przyszedł do sejmiku na zwiady b. poseł i senator, b. działacz Stronnictwa Ludowego, poseł Jan Dębski.

Słowa w prasie opozycyjnej stają się ostrożniejsze, przemyślane, bo w takiej chwili nawet zimmunizowane głosy sejmiku i

326

■  
fJozkaz dudnią w zimowe dm na początku marca.  
8 marca, 1937.

### *Duch czasu*

W piątek, w dzień imienin Piłsudskiego, wygłosił przemówienie przez radio prezydent Ignacy Mościcki. Obecni byli jednocześnie generalny inspektor Rydz Śmigły, marszałek sejmu Car i marszałek senatu Prystor.

Przemówienie zawierało momenty polityczne. Już w r.ub. można było czytać między wierszami oświadczenia prezydenta, szereg uwag na temat życia wewnętrznego Polski oraz polityki zagranicznej. Na samym wstępie prezydent podkreślił umiejętność prowadzenia polityki zagranicznej, przez ucznia wielkiego marszałka, min. Becka, który nie odstępował ani na krok od wytycznych swojego mistrza. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że min. Beck, tak samo jak i jego polityka jest czynnikiem stałym, że konstytucyjnie przypada mu urząd kanclerza polityki zagranicznej. Rządy mogą ulec zmianie, może nastąpić rekonstrukcja choćby i w lipcu. Władza może zostać dostosowana do nowych warunków i rytmicznie kroczyć we wszystkich resortach zgodnie z zasadami deklaracji płk. Koca. Przy wszystkich tych zmianach min. Beck staje się prawie, że czynnikiem nieusuwalnym. Odtąd dłuższe urlopy ministra spraw zagranicznych nie dadzą powodu do żadnych rozmyślań, do żadnych plotek pochodzących z prasy francuskiej, ani do przesadnych alarmów, płynących z przerażonej prasy niemieckiej.

Mamy jednocześnie i drogowskaz polityki zagranicznej, jak gdyby wskazówkę dla min. Becka. Prezydent oświadczył, powołując się na autorytet marszałka Piłsudskiego, że należy prowadzić politykę nadzwyczaj prostolinijną i pełną jawności. Prezydent oświadczył, że taką politykę uprawia min. spraw zagra-

327

nicznych Beck. Jest to komentarz autorytatywny. Odtąd upaść muszą wszelkie nieudomówienia, krytyki, zastrzeżenia.

Niemniej wyraźnie i dobitnie określił prezydent nie tylko swój stosunek, ale również i pozycję czynnika decydującego w państwie wobec deklaracji płk. Koca. Dowiedzieliśmy się z ust pana Zamku, że treść tej deklaracji można uważać jako wyznaczenie wiary naczelnego wodza. Dla usunięcia wszelkich niejasności czytamy w następnym zdaniu, że „inicjatywa tworzenia obozu zjednoczenia narodowego wyszła od naczelnego wodza”. Mamy do czynienia w takim razie z aktem pierwszorzędnej wagi, który zyskał dwóch gwarantów: poparcie czynnika najwyższego oraz czynnika decydującego.

Kto wie, czy gdyby wiadomość o tym doszła do ogółu w dzień ogłoszenia deklaracji, czy liczba zgłaszających akcesy nie byłaby o wiele większa niż dotychczas.

Tak czy owak — akt deklaracyjny przeistacza się stopniowo w nowy akt konstytucyjny, mimo iż nie był on wniesiony do sejmu i senatu, iż nie był przedmiotem dyskusji ciał ustawodawczych.

Ulega przeobrażeniu akt kwietniowy. Próba oparcia konstytucji na ciałach ustawodawczych nie dała pożądanego rezultatu. Należy wzmocnić znaczenie pewnych paragrafów.

Akcja inwestycyjna dokoła konstytucji nie mogła się skończyć jedynie na tym. Zachodziła konieczność wzmocnienia reżymu, który ustalili się w Polsce od daty przewrotu majowego. Zdobyte okopy należało podmurować żelazobetonem. Wahania, które trwały w ciągu kilku miesięcy świadczyły o niebezpieczeństwie. Toteż w maju w r. 1936 rzucona została myśl o utworzeniu nowego obozu.

Akcja zorganizowania i ogłoszenia deklaracji trwała dość długo. Nazajutrz nie wszystkie rzeczy były jeszcze dostatecznie jasne. Nikt nie wiedział dokładnie, jaki będzie stosunek rządu do tej deklaracji, czy tylko przyjaźnie neutralny. Prezydent użył poparcia nie tylko obozowi, ale i autorowi deklaracji, którego przyjął po rocznym niewiedzeniu kilka tygodni temu.

Po kilku tygodniach nastąpił więc nowy okres w życiu Obozu Zjednoczenia Narodowego. Przemówienie prezydenta starczyło za wszelkie akcesy. Stopniowo *zgłaszają* się z województwami posłowie i senatorowie. Zgłosiło się również województwo warszawskie, choć brak tam podpisu twórcy obozu poprzedniego, prezesa BBWR, płk. Sławka.

Tak się stało, że sejm i senat, zajmujący w konstytucji po kilka rozdziałów z paragrafami, nie były przedmiotem omówień

328

. c^

zasłonił swoją osobą dwie i

Po piątkowym Pggj jaśnienie sytuacji. Odtąd w  
apiło całkowite nŁywać będą Deklarac,ę spięto -bęc  
przeciwstawiać jeden akt

*W spokoju*

ekscesów, choćby na <sup>^^T^</sup>ze sposobu działania, z szu-Uw<sup>ie</sup> za obłokami świec dymnych ak ze J<sup>^</sup>. mgłą można  
kania roboty na tyłach<sup>^</sup> Jow<sup>^</sup> się. repre. było z góry określić, kto g a me F u ,1. zentują, do czego zmierzają w  
swoje, t ) Ł<sup>^</sup>

Dzień upłynął nie tylko spokojni e «ua <sup>^</sup>

by specjalnie P<sup>^^^</sup>teotowskiej był słabszy, mż w roku komunistów w <sup>demTfC1</sup>iSze Nie słyhać było nic o  
Rosj zeszyłym hasła o wiele kg<sup>^^J^</sup>Jej Nie padały okrzyki SwSiej, o wojnie, o <sup>^^^^sM^y</sup>na cześć frontu  
<sup>^^^</sup>Sastyczniejszych okrzyków, jak komuniści unikali P<sup>rzez/^^nfe^</sup>zy emności gospodarzy pochod. „dyby nie  
chcąc narażać na nieprzyje <sup>^</sup> WodzOwie <sup>s y</sup> Byłby zresztą kłopot <sup>\*^j^łłS</sup> ludu. Okrzyk rzu-dnia  
wczorajszego okazują się <sup>^</sup> brzmiałby,,ak e Db

wczoraszeg

w tłum, mech żyje Dąbał luD D j zemawia)ący me-nawet prowokacja Tomasz L>a ,^P Ogł



**T<sup>^</sup>enerowskie grupy popierane przez**

329

Beck. *Jest to* komentarz autorytatywny. Odtąd upaść ty<sup>sze</sup>kie niedomówienia, krytyki, zastrzeżenia.

<sup>^</sup>Niemniej wyraźnie i dobitnie określił prezydent nie tylko \*rpj stosunek, ale również i pozycję czynnika  
decydującego w óstwie wo<sup>bec</sup> deklaracji płk. Koca. Dowiedzieliśmy się z ust <sup>^</sup>na Zamku, że treść tej  
deklaracji można uważać jako wyznanie y naczelnego wodza. Dla usunięcia wszelkich niejasności czy-<sup>p</sup>  
następnym zdaniu, że „inicjatywa tworzenia obozu zjed-eia narodowego wyszła od naczelnego wodza”.

Mamy do nia w takim razie z aktem pierwszorzędnej wagi, który zyskał dwóch gwarantów: poparcie  
czynnika najwyższego oraz ynnika decydującego.

<sup>^</sup>Kto wje> czy gdyby wiadomość o tym doszła do ogółu w Jien ogłoszenia deklaracji, czy liczba  
zgłaszających akcesy nie byiały o wiele większa niż dotychczas.

Tak czy owak — akt deklaracyjny przeistacza się stopniowo w nc<sup>^</sup>wy a<sup>kt</sup> konstytucyjny, mimo iż nie był  
on wniesiony do

sej<sup>mu</sup> i senatu, iż nie był przedmiotem dyskusji ciał ustawodawczych.

kga przeobrażeniu akt kwietniowy. Próba oparcia konstytucji na ciałach ustawodawczych nie dała  
pożądanych rezultat<sup>0^</sup> Należy wzmocnić znaczenie pewnych paragrafów.

A«cja inwestycyjna dokoła konstytucji nie mogła się skończyć jedynie na tym. Zachodziła konieczność  
wzmocnienia reżymu, ktory ustalili się w Polsce od daty przewrotu majowego. Zdobyte okopy należało  
podmurować żelazobetonem. Wahania, które tntf<sup>^</sup>ty ty ciągu kilku miesięcy świadczyły o  
niebezpieczeństwie. Toteż ty maJu w r 1936 rzucona została myśl o utworzeniu nowego obozu.

"\*cja zorganizowania i ogłoszenia deklaracji trwała dość dłu<sup>g</sup>- Nazajutrz nie wszystkie *rzeczy były* jeszcze  
dostatecznie jasf<sup>16</sup>- Nikt nie wiedział dokładnie, jaki będzie stosunek rządu do <sup>te</sup>J deklaracji, czy tylko  
przyjaźnie neutralny. Prezydent użyczył P<sup>0</sup>Parcia nie tylko obozowi, ale i autorowi deklaracji, którego  
przyj?<sup>\*</sup> p0 rocznYm niewidzeniu kilka tygodni temu.

"o kilku tygodniach nastąpił więc nowy okres w życiu *Obozu Zjednoczenia Narodowego*. Przemówienie  
prezydenta starczył<sup>0</sup> za wszelkie akcesy. Stopniowo *zgłaszają* się z województwa<sup>TM1</sup> Posłowie i  
senatorowie. Zgłosiło się również województwo warszawskie, choć brak tam podpisu twórcy obozu  
poprzedniego, BfiWR, płk. Sławka.

się stało, że sejm i senat, zajmujący w konstytucji po kilka *t&zdziałów* z paragrafami, nie były  
przedmiotem omówień

328

a czynnik schowany w jednym paragrafie, ale oparty o legendę, zasłonił swoją osobą dwie izby.

Po piątkowym przemówieniu prezydenta nastąpiło całkowite wyjaśnienie sytuacji. Odtąd względy  
praktyczne nakazywać będą zwężenie ramy krytyki wobec deklaracji Koca. Deklarację spięto klamrami z  
aktem konstytucyjnym i trudno będzie wobec tego  
przeciwstawiać jeden akt drugiemu.

27 marca, 1937.

*W spokoju*

O godz. 3-iej pp. ukazał się biuletyn urzędowy, że dzień 1-go Maja minął na ogół w całej Polsce spokojnie.

Nie było więc masakry, ani zetknięcia pochodów, ani poważniejszego napadu z wymianą strzałów. Oczywiście, nie mogło się obejść bez „nieznanych sprawców”, bez repetycji pogromowej, bez próby zorganizowania ekscesów, choćby na tyłach. Bandyty uciekli, zasłaniając się tchórzliwie za obłokami świec dymnych, ale ze sposobu działania, z szukania roboty na tyłach, chowania się za smrodliwą mgłą można było z góry określić, kto są, ci nieznani sprawcy, jaką grupę reprezentują, do czego zmierzają w swojej akcji politycznej<sup>1</sup>.

Dzień upłynął nie tylko spokojnie. Miało się wrażenie, że fale podniecenia zeszłorocznego opadły znacznie. Na próżno wysiłał się w przeddzień demonstracji Otmar w „Gazecie Polskiej”, by specjalnie przygwoździć komunistyczną partię Polski. Udział komunistów w demonstracji pepesowskiej był słabszy, niż w roku zeszłym, hasła o wiele łagodniejsze. Nie słyhać było nic o Rosji Sowieckiej, o wojnie, o polityce zagranicznej. Nie padały okrzyki na cześć frontu ludowego. Wtuleni, jak nielegalni sublokatorzy, komuniści unikali przez cały czas drastyczniejszych okrzyków, jak gdyby nie chcąc narażać na nieprzyjemności gospodarzy pochodu. Byłby zresztą kłopot również z rzucaniem hasel. Wodzowie dnia wczorajszego okazują się nazajutrz wrogami ludu. Okrzyk rzucony w tłum, niech żyje Dąbal lub Bruno Jasieński brzmiałby, jak dysonans, a nawet prowokacja. Tomasz Dąbal, przemawiający niedawno na Pl. Teatralnym, a znajdujący się w Moskwie, ogłoszony został urzędowo jako szpieg. Na głowę Bruna Jasieńskiego spadły najcięższe razy. Utrzymywał kontakt z Dąbałem. Był przyjacielem Awerbacha, krytyka literackiego, organizatora asocjacji proletariac-

#### 11. Oenetowskie grupy popierane przez rząd.

329

kich pisarzy. Awerbach był przyjacielem wroga ludu, szefa bezpieczeństwa w Związku Radzieckim, Jagody. Należy więc być ostrożnym z wymienianiem wodzów, ze sławieniem bohaterów.

Grzani słońcem demonstranci jak gdyby łagodnieli. Zmęczyła ich *zresztą*, zbyt uciążliwa trasa maszerowania z Woli nad Wybrzeże Kościuszkowskie, docierania z Mokotowa aż do Wisły. Hasła w pochodzie PPS były skromne i odbiegały od zeszłorocznych. Domagano się rozpisania wyborów do ciał ustawodawczych, zmiany ordynacji wyborczej. Wystawiono *żądania* wyborów do rad miejskich. Trzy, cztery kukły, pięć, sześć karykatur, kilka portretów Bluma (premiera Francji) oraz stare hasła walki z faszyzmem, gdziegdzie padały okrzyki podchwycone przez tłum o walce z antysemityzmem. Pochód był dość duży, jakkolwiek mniejszy niż w roku zeszłym. Nie gorączkowano się, kroczone dość szybko. Nie zakończono pochodu wiecem na Pl. Teatralnym. Szybko zwijano sztandary, opuszczając Pl. Saski, gdzie w roku zeszłym doszło do ostrych zatargów. Robotnicy pod wpływem rozruchów lwowskich i krakowskich uważali wówczas, że należy reagować. Nie wiedziano jedynie w jaki sposób dać konkretny wyraz nastrojom.

Nastrój zgody panował we wszystkich pochodach robotniczych. Była chęć pojednania między grupami robotniczymi. Zostały więc niepotrzebnie rozdzielone. Nie było obawy, by mały pochód prorządowego Związku Związków Zawodowych (ZZZ — gupa Moraczewskiego) zagrażał pochodowi PPS, nie było również obawy, by grupa drugiego odłamu prorządowego (Jaworowski) miała zatarg z ZZZ. Nie było również obawy, by wszystkie grupy łącznie odrzuciły myśl wspólnego kroczenia z organizacjami żydowskimi. Władze odseparowały pochody właśnie w okresie, gdy między grupami robotniczymi toczyły się rozmowy nieurzędowe na temat porozumienia, ewentualnego zespolenia związków zawodowych i wspólnego radzenia nad dolą robotników.

Toteż demonstracja PPS zachowywała specjalną ostrożność koło bram uniwersytetu. Nie było jednak powodów do obawy. Grupki studentów, uwijających się na Krakowskim Przedmieściu, pozwalały sobie jedynie na sykanie, sarkanie, na rzucanie okrzyków antyżydowskich, by uciekać jak najszybciej, gdy milicja robotnicza odwrócona w ich stronę ruszała naprzód. Napastnicy trzymali się zasady siła złego na jednego, napadając w kilkudziesięciu na samotnego czerwonego harcerza w Łodzi.

Nie powiodła się akcja dywersyjna na szerszą skalę. Pierwszy Maj upłynął bez ostrego podniecenia, bez specjalnie groźnych hasel. Krzyczano „precz z sanacją”, choć nikt już teraz właściwie nie przyznaje się do tego kierunku. Gdzieś szemrano

330

przeciw sejmowi, ale i parlament obecny nie ma gorących obrońców wśród czynników miarodajnych. Pochody przeistaczały się raczej z manifestacji politycznych w uroczystości na cześć słońca. Była chęć opuszczenia ciemnych i brudnych ulic by rozgrzać się nad brzegiem rzeki i tylko prowokacyjne, chuligańskie napady na krańcach zakłócały spokój i idylliczną harmonię dnia.

3 maja, 1937.

*Cztery rocznice*

Zaczynają się znowu dni prozy z troskami i niepokojami. Jeszcze kilka dni temu otulono w krepę żałoby i

wspomnień kraj. Trzy minuty trwała cisza o zmroku. W blasku ognia i dymu unoszącego się w górę kończono wieczór żałobny pod dźwięki

Szopena.

Smutne wypadki dnia nie pozwalają należycie zastanowić się nad znaczeniem czterech rocznic, przypadających prawie, że w tym samym terminie. Między 12 a 15 maja działy się te wypadki. Rocznica przewrotu majowego zbiegła się ze śmiercią Józefa Piłsudskiego.

Dopiero dziś można odsłonić i wyjaśnić pewne wypadki, które rozegrały się wówczas. Nikt bowiem nie rozumie, dlaczego Polska najpóźniej ze wszystkich krajów dowiedziała się o zgonie Piłsudskiego. Przerwały program radiostacje czeskie, francuskie, podały do wiadomości publicznej o wypadku rozgłośnię niemieckie, a tylko ze stacji warszawskiej dochodziły dźwięki muzyki, dowodzące, że szersze rzesze nie zostały powiadomione o wypadku w Belwederze. Toczył się bowiem spór o następstwo.

Dopiero późnym wieczorem podano o tym do wiadomości publicznej. Wszystkie sale Prezydium Rady Ministrów zostały oświetlone, nadjeżdżały i odjeżdżały samochody i prócz krótkich pytań o ostatnich chwilach słyszeć można było aktualne pytanie: kto? To znaczy, kto zostanie generalnym inspektorem sił zbrojnych? Pytano się nie tylko o wodza dla armii; chodziło o rzeczy ważniejsze, o następcę i zastępcę. Nikt bowiem z obecnych w tym gmachu, prócz premiera Sławka, nie wierzył, że konstytucją można będzie wypełnić częściowo lukę legendy.

Gorączka, która trawiła całe społeczeństwo, była hamowana uroczystościami pogrzebowymi. Zagadnienie jednak, które trapiło kraj, które było odraczane lub odsuwane, z powodu choroby

331

Marszałka, występowało na wierzch. Prawie w ciągu całego roku trwała ta gorączka. Wielki niemowa, jakim jest świat cywilny w Polsce przemówił nagle za rządów premiera Kościłkowskiego, jak Daniel w „Judycie”. Rząd i społeczeństwo otworzyły znowu usta. Przez kraty rządowe uśmiechał się do wyborców pierwszy premier po śmierci Piłsudskiego, Kościłkowski.

Dopiero w rocznicę śmierci Piłsudskiego, wystąpił publicznie na arenę polityczną generalny inspektor sił zbrojnych. Toteż między 12 a 15 maja przypada rocznica aktywnej działalności na polu politycznym marszałka Rydza Śmigłego.

12 maja zostały ostatecznie zdecydowane losy rządów Kościłkowskiego. Pozwolono mu jeszcze dostąpić zaszczytu występowania w charakterze premiera na pogrzebie serca Piłsudskiego w Wilnie.

Na stanowisko premiera został powołany Sławoj-Składkowski. Obecny premier mógłby święcić rocznicę rządzenia. Zabronił jednak w okólniku ministrom i wojewodom święcenia jubileuszów, uważając że dziesięciolecie to zaledwie jedna trzecia część normalnego urzędowania.

Rok ten posiada szczególne znaczenie dla życia publicznego, bo zbiega się on nie tylko z wystąpieniem na arenę czynnika decydującego, ale z nowym okresem w sposobie rządzenia Polską, z próbą powołania do życia nowego obozu na miejsce zlikwidowanego BBWR.

24 maja padło hasło. Odtąd zaczyna się praca płk. Koca, a szef rządu czyni wszystko by mu nie przeszkodzić w robocie. Organy administracyjne wpływają wszelkimi sposobami na prasę, by fragmenty wiadomości, notatki, lub plotki nie przeszkodziły, nie ośmieszyły poczynań Koca.

Niepostrzeżenie, stopniowo, krok za krokiem, szeregiem posunięć przeistacza się oblicze reżymu. Pod hasłem walki z komunizmem, z kryptokomunizmem, w imię obrony państwa zostaje zahamowany flirt z odchyleniem lewicowym. W tych okolicznościach powstaje nowy obóz, który z biegiem czasu zyskuje uznanie czynnika najwyższego. Zdawałoby się, że luki zostają stopniowo wypełnione, że w okresie poprawy gospodarczej przychodzi również stabilizacja polityczna. A jednak ocena wypadków dana przez naczelny komitet uczczenia pamięci Józefa Piłsudskiego nie brzmi optymistycznie.

„Pryśł spokój o jutro, w którym oddychał każdy, gdy losy państwa w jego ręku widział. Dziś, w jego naukach pragniemy znaleźć wskazania jak spokój odzyskać, na czym poczucie naszej mocy zbiorowej ugruntować”.

332

Nie ma więc jeszcze tego spokoju. Jest lepiej jak powiada premier, ale nie może już jak za dawnych czasów rzucić hasła

„byczo jest”.

Nie mogę od razu wymagać, aby pan powiedział, że jest do-krze — oświadcza premier wychudłemu, wynędzniałemu robotnikowi. A robotnik powiedział: „Panie, ja jestem daleki od tego, aby to powiedzieć”.

Nie ma przeświadczenia, że nastąpiła stabilizacja i należyte ugruntowanie reżymu, wstrząśniętego 12 maja 1935 r. Coś zawiodło, nie dopisało. Odbywa się więc dalsza próba poszukiwania dróg. Dotychczas bowiem

poszukiwania nie dały należytych rezultatów. Dokonano w ciągu roku radykalnego zwrotu na prawo, przemalowano półurzędowe organy prasowe na kolory czarno-żółte. Nic nie pozostało z demoliberalizmu „Kuriera Porannego”, resztki obiektywizmu w „Gazecie Polskiej” w kwestii żydowskiej zostały skonwertowane na kawałki w stylu oenerowskiego ABC. Próba kompozycji zakończona została dekompozycją. Łódź nowego obozu nie posuwa się tymczasem naprzód.

Toteż w rocznicę śmierci Piłsudskiego, przewrotu majowego, aktywnego wystąpienia nowego czynnika decydującego i rządu gen. Składkowskiego czynione są nowe próby w kierunku przywrócenia spokoju o jutro. We wtorek prawdopodobnie będziemy świadkami dalszej próby, zainicjowanej przez czynniki decydujący. Na zebraniu filistrów prawicowej organizacji studenckiej Arkonii, ma wystąpić Rydz Śmigły i rozpocząć nowy okres w dziejach polityki obecnego reżymu.

15 maja, 1937.

„Poemat o tumultach”

Wypadatob, -6. d\*j

młodzieżowe, zamierzeń rządu nowic przy okazji, dlaczego me wiczowi cała wytężona robotą obozu

rzee-poko-duchowo bez-

^

oceny, zanalizowania praktyki władz szkolnych w^

333

zajmowania się sprawami polityki bieżącej, że bez dygresji nie wypada dalej pisać i zaprzętać uwagę czytelnika.

Tak się bowiem stało, że „zamknięto nas w ciasny krąg łańcucha i każą oddać jak najprędzej ducha”. Mus przemilczenia rzeczy najistotniejszych ciąży jak przekleństwo.

Byłoby hańbą nie pisać o pogromie w Brześciu, nie zająć się oceną tej tragedii lub powstrzymać się od zacytowania uwag prasy sanacyjnej. A jednak, kto wie, czy uda się?

Dziwnie bowiem układa się porządek *rzeczy*. O godz. 2-iej w czwartek cała prasa żydowska została powiadomiona o szczegółach nieszczęścia. Nie było kłopotu o informacje. Powstała jedynie troska, która wyłania się ilekroć jak grom z jasnego nieba spada podobne nieszczęście. Już wyrobił się styl ostrożnego dobierania wyrazów i określeń. Już dawno został skreślony ze słownictwa wyraz „pogrom”. Prasa unika „ekscesów”, „rozruchów antyżydowskich”. Smutny przebieg wypadków zostaje zwykle osłodzony uwagą o „energicznej interwencji władz policyjnych”. Nikt nie posuwa się do czynienia analogii z okresem carskim i mimo wszystko gazety żydowskie nie ważą się na umieszczenie własnych wiadomości.

Czeka się na półurzędowy komunikat, na depesze PAT-a. Wysłanie korespondenta w pierwszej chwili jest bezcelowe. Opis wymaga bowiem uzgodnienia, złagodzenia obrazu, sprowadzenia grozy do rozmiarów nieomal sielanki.

Obeszło się więc bez uwagi redakcji, bez artykułu wstępnego, bez wskazania na niebywałe zjawisko, groźniejsze niż pogrom w Przytyku.

Nazajutrz jednak można było się przekonać, że prasa związana z obozem rządowym nie poprzestała na przytoczeniu komunikatów. „Kurier Poranny”, organ Skiwskich i Piestrzyńskich, zarzuca Żydom prowokację, tworzenie odpowiedniej atmosfery.

Dyskusja na ten temat jest zbyt cicha. Od miesięcy trwa akcja bojkotowa w miastach i miasteczkach, od tygodni podsyca się nastroj odpowiednimi uwagami, dając asumpt „działaczom prowincjonalnym” do prowadzenia „akcji ewakuacyjnej” na terenie swego powiatu. Od góry do dołu odbywa się polowanie... a tu nagle zarzut myśliwego, że zwierzyzna zachowuje się nietaktownie, że szczuta wywija niepotrzebnie ogonem, rzuca się na wszystkie strony, a tymczasem naciska nagniotek Nemroda.

Odpada potrzeba wdawania się w rozprawę. Opisy i obrazki przytoczone przez niektóre pisma dają obraz nastawienia prasy rządowej. Doigrano się i dogadano dość wyraźnie. Pozorna wsty-dliwość prasy stołecznej została uzupełniona bezceremonialnymi korespondencjami prasy prowincjonalnej. Co się działo w Brze-

334

^r^k\*\*\*\*\*

SSTM -3ff ='ŁWSS &



poszukiwaniu dróg.

Odbywa się więc próba. Rok temu Rydz Śmigły przy uroczystościach na cześć Pyża w Nowosielcach oglądał szeregi wojska chłopskiego. Wręczono mu postulaty Stronnictwa Ludowego, przedstawiono mu życzenia rzeczników Witosa. Zapadła decyzja odmowna. We wtorek nastąpił dalszy zwrot.

Nieśwież został skonwertowany na Arkonię, a może uzupełniony. Złe-miaństwo przyjęło wówczas skwapliwie wyciągniętą dłoń i wiernie służyło, ciągnąc odpowiednie zyski w ciągu dość długiego okresu. Dłoń wyciągnięta ku zwolennikom endecji została serdecznie uściśnięta w lasach Resursy Obywatelskiej.

Teraz kolej na stronnictwa prawicowe.

Te piosenki burszowskie, które rozlegały się w ciągu ostatnich kilku dni w Warszawie i w Wilnie do czegoś obowiązują. Kierunek jest już wiadomy. Na uroczystościach śpiewano pieśń filarecka: „Oto siedzą prawnicy i dla nich puchar staw. Dzisiaj trzeba prawicy, a jutro trzeba praw”. Dzisiaj trzeba prawicy.

Prawica lekko wzdraga się. Piosenka ginie tymczasem w murach korporanckich.

22 maja, 1937.

#### *Bańki mydlane — Inny Beck*

Na pierwszy rzut oka życie polityczne w Polsce płynie spokojnie pod akompaniament radości i wesela.

Wicepremier Kwiatkowski oświadcza jedynie, że okres poprawy gospodarczej powinien być wyzyskany dla konsolidacji politycznej. Odbywają się więc manewry, konferencje, zjazdy. Wszędzie głośzą jedność i zjednoczenie, choć każdy tańczy od innego pieca. Nie są to wielkie gry, ani ważne posunięcia polityczne.

Zbierają się grupy, a nie stronnictwa. Często są to ludzie związani przyjaźnią z okresu lat studenckich, zespoleni nie tyle światopoglądem, ile wspólną frazeologią. Tak obradowano na zjeździe koleżeńskim narodowej organizacji studenckiej Zarzewie. Mówiono wiele, opowiadano mniej. Niby godzono się na Ozon, ale z zastrzeżeniami. Były Zarze-wiak, wicepremier Kwiatkowski, zobrazował sytuację gospodarczą, oszczędzając jednak słuchaczom perspektywy pogorszenia koniunktury. Widmo nieurodzaju zostało usunięte precz. Ujemny bilans handlowy nie trapił obecnych.

Tylko izby ustawodawcze nie cieszyły się zaufaniem Zarzewia. Domagano się rozwiązania parlamentu, nowej ordynacji wyborczej, nowych wyborów. Działo się to w obecności dostojników państwowych, b. członków Zarzewia, wicepremiera Kwiatkowskiego, ministra komunikacji Ulrycha, prezesa najwyższego trybunału administracyjnego Helczyńskiego.

Zdawałoby się, że sejm i senat powinny cieszyć się uznaniem powszechnym, że sfery miarodajne nie powinny się gniewać, iż obradują nieco dłużej. Parlament nie ma jednak szczęścia. Czyż trzeba było w obecności marszałka senatu zarzucić na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności posłom i senatorom, że nie prenumerują Polskiego Słownika Biograficznego?

Słownik zajmuje się wyłącznie tymi działaczami politycznymi lub naukowymi, którzy już umarli.

Posłowie, senatorowie, chcieli prawdopodobnie ujrzeć siebie w Słowniku, ale nie w charakterze nieboszczyków politycznych. Toteż tylko senator Malinowski z dawnego Wyzwolenia prenumerował Słownik, pilnie studiując życiorysy dość pouczające. W Słowniku Biograficznym w porządku alfabetycznym spotykają się kolejno różni działacze. Obok zasłużonego Becka (Beka) Józefa, ojca obecnego ministra spraw zagranicznych, znajduje się życiorys Becka Jana z wieku 18-go, który „przeszedłszy z pensji francuskiej na pruską otrzymał tytuł pruskiego Kriegersrata i rzeczywiście doradzał Fryderykowi II jak ma używać Polaków do swoich celów wojennych. W lipcu 1758 r.

338

Branicki zląkł się skutków tej roboty, ostentacyjnie kazał zrewidować papiery Becka i wysłać go z życzliwym listem do Gdańska, gdzie nim się zaopiekował rezydent pruski Reimer... Płakał Beck i ryczał z żalu, po czym w Gdańsku jał pić z frasunku". Tak oto opisuje prof. Konopczyński dzieje Becka Jana w wieku 18-ym.

Incydent z Akademią został wyczerpany. Prezes senator Wróblewski nie ustąpi, sekretarz nie złoży urzędu, a cały zatarg nosił charakter akademicki, teoretyczny.

21 czerwca, 1937.

#### *Niebo w rękach wroga*

Widmo wojny światowej to oddala się, to zbliża się gwałtownie. Nagle mignie błyskawicą nad wodami Hiszpanii, w Pekinie lub nad Amurem, to ginie widmo pożogi za chmurami konferencji gospodarczej, aranżowanej przez nowoczesnych Briandów: Bluma lub Edena. W pewnej chwili wydaje się, że szkice paragrafów pokojowych, jak piorunochrony odwróciły widmo rzezi, nagle jednak, traktaty drżą jak pajęczyna pod ciężkim uderzeniem zbrojeń.



Zapewnienia o pokoju kończą się zbrojeniami. Ustrój demokratyczny nie zwolnił Czechosłowacji od ciężkiego kłopotu zwiększenia budżetu wojennego. Nic dziwnego. W rozważaniu sztabu niemieckiego Czechosłowacja zajmuje dość poważne miejsce. Do pomocy Niemcom staną Węgry a Czechosłowacja wyraża obawę że liczba wrogów zwiększy się. Przyjaciele są daleko i kto wie, czy zechcą lub zdołają, po rozmowach ostatnich przedrzeć się przez Rumunię na teren zagrożony.

Toczy się dyskusja charakterystyczna na temat wartości poszczególnych rodzajów broni, przyszłości lotnictwa, wyższości sterowców nad samolotami i na odwrót. Dyskusja ta zyskała również prawa obywatelstwa w Polsce. Od kilku lat nastąpił zwrot w ocenianiu wartości obrony technicznej. Powołano inspektora obrony powietrznej.

Od wielu lat ciążyły nad Polską cechy rycerskie, resztki uprawianej partyzantki w powstaniach, w legionach, w rewolucji 1905 r. Szumiała jeszcze fantazja działalności indywidualnej, legend o husarii. Jeszcze w r. 1920 zetknęły się ze sobą i zmagaly oddziały kawaleryjskie. W r. 1933 na Błoniach w Krakowie imponuje na rewii kawaleria.

339

Od tego czasu nastąpił przełom. Dziennikarze, którzy mieli sposobność zwiedzać centrum wyszkolenia lotniczego lub inne oddziały, mogliby wiele opowiedzieć na ten temat. Lotnictwo wojskowe przeistoczyło się w naukę. Pilot to nie tylko szofer w przestworzach. Lotnik nie błąka się. Aparaty określają miejsce pobytu, radio odbiorcze i nadawcze łączy z ziemią, fotograficzne przyrządy szybko chwytają teren u dołu, karabiny maszynowe wyrzucają tysiące kul na minutę. Astronomia, meteorologia, wyższa matematyka obowiązują nowoczesną husarię nieba. Od samolotu, który musiał się rozbiegać w ciągu 10 minut do aparatu myśliwskiego, który odrywa się z miejsca pnąc w chmury, dzieli tak poważna różnica, jak od pierwszego balonu do ćwiczeń lotniczych Utocz-kina i Pegou na lotnisku warszawskim przed wojną. Zagadnienie lotnictwa wojennego interesuje nie tylko wojskowych, obchodzi ono i laików.

Co będzie nazajutrz po ogłoszeniu wojny, czy domy zostaną bezpardonowo zbombardowane przez nieprzyjaciela, czy można się obronić, czy sprawi to artyleria przeciwlotnicza, czy obronna flota powietrzna, czy wszystko łącznie?

Nie są to pytania oderwane. Nakładem zarządu głównego Ligi Obrony Przeciwlotniczej ukazała się książka gen. majora wojska brytyjskiego E.B. Aschmore'a, b. dowódcy obrony przeciwlotniczej Londynu. Książkę tłumaczył płk. dyplomowany, pilot Ro-meyko. Autor kreśli cały etap obrony przeciwlotniczej w okresie wojny światowej i przyznaje, ile czasu upłynęło nim Londyn zdołał jako tako obronić się przed atakiem, jak szukano na próżno nieprzyjaciela, który zniknął, jak bezkarnie bombardował, jak sygnalizacja nie dawała żadnych rezultatów. Gdy zdawało się, że miasto znika przed oczyma nieprzyjaciela, bo zgaszono wszystkie światła, księżyc stał się sprzymierzeńcem wroga. Obrona była prymitywna. Pierwszą bronią przeciwlotniczą Londynu było małe działko. W r. 1914 było wszystkiego 33 dział, które można było nazwać przeciwlotniczymi. Lotnictwo min. spraw wojskowych działało niezależnie od lotnictwa marynarki wojennej.

Następują kolejne opisy nalotów nocnych, pierwszego powodzenia sterowców. Atakowano miasto także w dzień. Wystarczy przytoczyć straty jednego nalotu 25 maja 1917 roku — 286 zabitych i rannych, 13 czerwca tegoż roku — 594 zabitych i rannych.

„Bezradność obrony i widok grupy Niemców, spokojnie w biały dzień bombardujących Londyn wywoływały silne oburzenie. Większość naszych pilotów nie zdołała odnaleźć przeciwnika i w tym właśnie tkwiła trudność zagadnienia obrony przeciwlotniczej

340

# L

dla lotnictwa myśliwskiego. Strzelano i strącano własne samoloty. W ciągu 4 lat wojny liczba zabitych od nalotów wyniosła w Anglii 1400, straty materialne 2,042,000 funtów szterlingów. Jeden nocny napad zatrzymywał całą pracę w zakładach amunicyjnych na szerokiej przestrzeni”.

Obrona należyta była gotowa dopiero pod koniec wojny, Anglia posiadała 200 samolotów myśliwskich i dwustu pilotów świetnie wyszkolonych. Jak się obronić? Autor książki pisze jeszcze o samolocie, który w ciągu pół minuty przeleci jedną milę. Tak było w r. 1929. Tłumacz zwraca uwagę, że nowoczesny samolot w ciągu pół minuty przeleci 3 km. Generał Aschmore wyśmiewa odstraszenie nieprzyjaciela przy pomocy

snopów światła reflektorów. Autor twierdzi, że obrona przeciwlotnicza kraju powstrzyma napady nieprzyjacielskie. Należy zwiększyć ilość eskadr myśliwskich. Nie wierząc w skuteczność nalotów z wysokości dziesięciu tys. metrów, lub zostosowania aparatu bez pilota, autor domaga się przygotowania eskadr, które zajmą się jedynie obroną przeciwlotniczą. Autor przyznaje się do własnej niemocy w ciągu kilku lat.

Kto pamięta pierwszy okres nalotu zeppelinów i aeroplanów niemieckich nad Warszawą, kto uprzytomni sobie, że policjanci i żołnierze na własną rękę strzelali wówczas z rewolwerów i karabinów do samolotów zabijając przechodniów, ten łatwo zda sobie sprawę z realizmu opisu. B. dowódca obrony przeciwlotniczej wierzy, że „jeżeli utrzymamy skuteczną obronę przeciwlotniczą, możemy nigdy nie być napadani, lecz jeżeli nie będziemy mieli obrony przeciwlotniczej...”.

Czy tak jest, czy nowe postępy lotnictwa nie przekreśliły znaczenia wywodów autora? Czy kryją się jeszcze w laboratoriach inne groźniejsze pomysły?

W każdym razie stwierdzić można, że nad rycerskość żołnierza górować będzie przygotowanie techniczne oparte o bazę przemysłową. Rozwój lotnictwa bombardującego lub myśliwskiego, środki zaradcze w walce z nalotem stają się aktualną lekturą mas. Zielona lub czerwona gwiazda, posuwająca się na niebie późną nocą, reflektory oświetlające teren przypominają, że musimy uzupełnić wykształcenie wiedzą o lotnictwie, że samolot nie jest zjawą niebieską, że może się stać prawdziwym gromem z jasnego nieba.

Gdy w godzinach wieczornych, w czasie alarmu powietrznego, milknie miasto otulone w mroku, nasuwa się chęć czytania podobnej literatury, jak broszurki zaradczej w walce z tyfusem i cholera w dniach grożącej epidemii.

19 lipca, 1937.

341

#### *Dalszy marsz na prawo*

Komunikat urzędowy o zamachu na płk. Koca z podaniem nazwiska sprawcy zamknął wreszcie dyskusję i dociekania poszczególnych pism. Wiadomo było, że wszyscy bez różnicy kierunku odgrodzili się od aktu terrorystycznego. Odżegnali się nawet ci, którzy nieustannie zajmują się dokonywaniem aktów terrorystycznych, podając komunikaty o swoich „czynach”. Uczynili to więc ONR-owcy, którzy kilka dni temu rozesłali komunikat, że „w nocy z soboty na niedzielę wykonana została przez okręg radomski ONR, akcja bojowa w Przytyku. Rzucono pięć pocisków...”. Terror ONR-u zatrzymuje się rzekomo u bram Matejki, gdzie mieści się Ozon mimo, że panowie ci mają żal do ich przywódców. Wzgardzono bowiem w Ozonie kandydaturami przedstawicieli ABC przy powołaniu gauleitera młodzieży, mianując na to stanowisko człowieka z Falangi. Jest jednak nadzieja, że dojdzie do przeprosin i porozumienia.

Dalsze zastanawianie się nie ma w tej chwili żadnego sensu. Myślenie jest szkodliwe dla rozumu, jak higiena dla zdrowia. Myślenie jest więcej karalne od Myślenic (zamach dokonany na starostwo przez endeka Doboszyńskiego).

Po zamachu wrócono zmianę frontu w Ozonie, pewne odchylenie w obozie rządowym. „Robotnik” znalazł się znowu w obozie piłsudczyków. W zapale gorliwości zarzucał Żydom amerykańskim wtrącanie się do spraw wewnętrznych polskich, puszczając mimo uszu okoliczność, że sprawa brzeska (nie pogromu w Brześciu) była przedmiotem rozpraw 2-jej Międzynarodówki, a nawet zaprzętała uwagę radykała Herriota. Mniejsza o to. W tej chwili front ozonowy wraca do zdrowia. Żadne okoliczności nie zmuszą go do zboczenia z obecnej drogi. Nastąpi dalsze maszerowanie na prawo.

Gdy obóz piłsudczyków współpracował z lewicą, posługiwał się wówczas wspólną terminologią. Prawicę nazwano „chieneną” (blok wyborczy: chrześcijańska jedność narodowa). Dziś Ozon korzysta z terminologii ukutej przez prawicę. Dla zohydzenia koncentracji ruchu demokratycznego w Polsce organ ONRu „ABC” i „Słowo Wileńskie” posługują się umyślnie terminem żydowskim „fołksfront”, który tchnie żydokomuną. W miesięczniku „Młoda Polska”, organie Związku Młodej Polski, niedawno założonym przez Ozon, znajduje się artykuł płk. Koca. Czytamy tam między innymi: „przeżyte formy i oportunistyczne przyzwyczajenia stają na przeszkodzie, usiłując przeciwdziałać krystalizowaniu się i grupowaniu sił twórczych narodowo-

342

Młoi maj, wa

lczyć

pismach pravicowych.

Artykuły te zostały dni ostatnich. W ten sposób gauleitera Rutkowsfaego. kowskiego rzez radio zos

\*•> - -O\*

stkich wypadkach deklaracja ideowa nie przez Rut-  
ewagami, które dowodzą n g £  
W StaChUI - ^Podczas przerwy

## zwroty e

jukiemniku Ozonu.

### *Bilans ujemny*

było ani tekstu uchwalonych rezolucji, ani dalszych wieści. Codziennie otrzymuje się przyrzeczenie, że dziś wieczorem ukaże się komunikat o sposobie realizowania uchwały Stronnictwa Ludowego. Do dziś dnia nie ma jednak żadnych informacji, prócz głuchych wiadomości o aresztowaniach w Kieleckim, prócz oświadczenia b. posła Putka. Znowu więc, jak w pierwszych dniach po zamachu na płk. Koca prasa zagraniczna wyprzedza prasę krajową<sup>1</sup>.

Rozwinęła się natomiast dość długa dyskusja na temat obchodu zorganizowanego przez Stronnictwo Narodowe. Warszawski „Dziennik Narodowy” notuje wszystkie recenzje z powodu debiutu po wieloletniej przerwie. Czy pochód w Warszawie wypadł dobrze, czy źle — sądzić można jedynie w zestawieniu z dawnymi pochodami endeckimi w Warszawie.

Narodowa demokracja panowała w Warszawie wszechwładnie do wybuchu wojny światowej. Pochód narodowy zorganizowany w dzień ogłoszenia carskiej konstytucji październikowej w 1905 r. ściągnął kilkadziesiąt tys. ludzi. W ciągu lat po odzyskaniu niepodległości demonstracje endeckie zwabiały po kilkanaście tys. osób. Połowa posłów do sejmu ze stolicy należała do „ósemki” i tylko dzięki protekcji endeckiej udawało się chadekom zdobyć dwa lub trzy mandaty w Warszawie.

Minęły te czasy niestety, kiedy na błoniach był kwiatów dostatek. Od r. 1926 rzedną szeregi narodowej demokracji. Odchodzi Lewiatan z ziemianami: Wierzbicki ze Steckim. Uciekają kupcy.

Opuszczają powoli szeregi młodzi. Odchodzi Stahl, Piestrzyński, opuszcza Romana Dmowskiego wierny uczeń, Drobnik. Stronnictwo Narodowe przekazuje młodemu historykowi Wojciechow-skemu swe archiwa i doznaje rozczarowania. Inaczej niż pragnęło Stronnictwo Narodowe wyglądać będą dzieje Narodowej Demokracji w opisie nawróconego profesora. Odchodzi wódz, teoretyk, który kierował Związkiem Ludowo-Narodowym na terenie sejmu od r. 1922 aż do r. 1928. Wymiana listów między profesorem Stanisławem Grabskim, a wiernym do dziś dnia endecji prof. Stanisławem Głębińskim dowiodła, że straty endecji są dość poważne na terenie Małopolski Wschodniej.

Stara gwardia raczej poddawała się niż umierała. Dopiero w r. 1935, wraz ze śmiercią Piłsudskiego zaświtała nadzieja na ulicy endeckiej. Uwierzono, że teraz nie ma już żadnych przeszkód do objęcia rządów, że należy jedynie czekać i wzmocnić kurs antysemitki. Być może, ostatni zwrot antysemitki w obozie rządowym pomieszał nieco szyki endeckie, ale nowi wodzowie wierzyli, że

1. Proklamowano chłopski strajk powszechny który się w dużej mierze udał.

344

hasłami politycznymi,

ze

zechce

człowiek z ulicy woli antysemityzm autentyczny, nabywać ideologię endecką z pierwszego źródła. Rozpoczęła się praca reorganizacyjna, zmiana wodzów, liczenie. szeregów. Skład personalny partii uległ bowiem w ciągu tego czasu przeobrażeniom. Utworzyły się różne orientacje na terenie stronnictwa.

Istnieją endecy rozmaitych autoramentów. Endekiem starej daty nie dostosowanym do nowych warunków jest prof. Stanisław Stroński. B. poseł i współpracownik „Kuriera Warszawskiego”, dyplomata Zaleski nie może również nadażyć za nowym kursem swoich dawnych towarzyszy.

B. poseł Stypułkowski, obrońca w różnych procesach endeckich i oenerowskich, został zawieszony w prawach członka, a przeciwnicy jego w stronnictwie twierdzą, że się „skomercjalizował”, że w przyszłym rządzie premiera Grabowskiego zostanie na pierwszy ogień wicemin. sprawiedliwości.

Pozostał wierny stronnictwu dawny sekretarz klubu parlamentarnego, znawca spraw samorządowych, niegdyś autor zwięzłych artykułów w „Gazecie Warszawskiej” Medard Kozłowski. Dziś pisze w bezpartyjnie endeckim „Wieczorze Warszawskim”. Należy do frontu Morsztyn. Tam zbierają się endecy starej daty, zwolennicy demokratycznej ordynacji wyborczej. Spotykają się Karol Wierczak ze Stanisławem Rymarem i żalą się na niewdzięczność młodych. Prof. Rybarski odpoczywa w Muszynie i pisze więcej w prasie informacyjnej niż partyjnej.

Wódz nie wtrąca się na pozór do spraw wewnętrznych. Ucieka od aktualii, by utrzymać się wśród wszystkich grup prawicowych jako czynnik nadrzędny. Roman Dmowski usuwa się od zagadnień politycznych i pisze podobno dzieło o starożytnym Rzymie.

Nawet uchodzący jeszcze za bezapelacyjnego wodza i przedstawiciela młodych, Bielecki, został widocznie dotknięty rdzą parlamentaryzmu. Pełni on obowiązki prezesa, ale jest już nadgryzany przez młodych, którzy zajmują się tłumaczeniem wzorów niemieckich i flomagają się usunięcia wszelkich złudzeń liberalno-parlamentarnych. Wszystkich razem łączy jedynie program antysemicki: w innych dziedzinach panuje poważna różnica zdań.

B. poseł Stanisław Strzetelski pisze się na porozumienie z Obozem Zjednoczenia Narodowego. Jedni przeprosiliby się już dawno, lecz nie mają zaufania i boją się, że zostaną „wykiwani” przy ostatecznym realizowaniu kontraktu ślubnego. Obserwują losy własnych kolegów, którzy przeszli do obozu przeciwnego i wolą pozostać na stanowisku wierni stronnictwu.

345

### S3"

U wrót szczęścia, kilka metrów przed metą, Ozon przejmując hasła endeckie. Mieszają się i *plączą* ideologicznie różne grupy i grupki w dawnym Stronnictwie Narodowym. Szarpią partię dawni towarzysze, należący obecnie do ONR lub Falangi.

W takich warunkach po latach przerwy Stronnictwo Narodowe dokonało w Warszawie przeglądu sił. Miasto nie dopisało. Honor uratowały grupki zaprawione w akcjach pogromowych w Przytyku, Odrzywole, Brześciu itd. Prowadził oddziały nowy teoretyk, wódz najmłodszych, Giertych. Pochód wypadł poważniej niż wszystkie improwizacje Ozonu, ale nie dał efektu, którego spodziewała się endecja, panująca niegdyś w stolicy.

Gorzej wypadło na prowincji. Pod brzęk wybitych szyb maszerowano w kilkunastu miastach b. Kongresówki, wznosząc okrzyki antyżydowskie. Bilans po wieloletnim czekaniu pod rządami młodych wypadł słabiej, niż za dawnych czasów pod wodzą tych, którzy są odstawieni na boczne pozycje w okresie reorganizacji.

21 sierpnia, 1937.

### Ogniwa

Seria procesów chłopskich nie urywa się. Kończy się proces o zajścia chłopskie w Raclawicach, gdzie toczyła się bitwa niedaleko zagrody pułkownika Sławka. Wytoczono nowe procesy przeciwko chłopom. Powstaje komitet obrońców w procesach chłopskich. Na innych frontach panuje chwilowo cisza. Obok prób wprowadzenia nowego osadnictwa na terenach Kresów Wschodnich i Galicji Wschodniej rozwinęła się akcja w Poznańskim i w innych okręgach z hasłem: „tydzień lub miesiąc bez Żyda”. Sezon żydożerczy przeistacza się w akcję permanentną. Dawniej obowiązywały pewne miesiące. Latem odbywały się napady na letniskach. We wrześniu rozpoczynała się akcja koło sklepów z książkami. W listopadzie inaugurowano serię rozruchów studenckich, która trwała dwa, lub trzy miesiące. Dziś wobec braku repertuaru gra się sezonową sztukę po sezonie, licząc na zdobycie publiczności.

Jeszcze kilka lat temu w sejmie poprzednim podczas wypadków listopadowych rozlegał się głos oburzenia naczelnego redaktora „Gazety Polskiej” Miedzińskiego. Dziś sytuacja zmieniła się gwałtownie. Oto w „Gazecie Polskiej” ukazał się komunikat kierownictwa Związku Młodzieży Polski o przesadzeniu

346

przez członków ZMP studentów Żydów na lewą stronę audytorium. „Przesadzanie Żydów odbyło się w całkowitym spokoju przy ogólnym entuzjazmie licznie zgromadzonych słuchaczy szkoły”.

Mniejsza o „spokój i ogólny entuzjazm”, mniejsza o to, że dzieje się to, w gmachu i szkole ufundowanej przez dwóch Żydów Wawelberga i Rotwanda. Apel do honoru i sumienia nie ma sensu. Wystarczy jedynie stwierdzić, że na froncie studenckim przyspieszono terminy, że nakazano rozpoczęcie akcji przed ustalonymi datami bicia Żydów w wyższych zakładach naukowych. Jeszcze kilka tygodni temu nie wolno było pisać o otwarciu w prasie kierownictwa ZMP o różnych wyczynach dokonywanych ostatnio na ulicach wobec Żydów. Wieści o przychwyta-niu wybitnych członków kierownictwa ZMP, mieszczącego się przy ulicy Wiejskiej, niedaleko centrali Ozonu, ulegały konfiskacie. Dziś wolno było pisać o tym, że działali na ulicy Świętokrzyskiej. Dziś wodzowie sami zgłaszają się do „Gazety Polskiej” z obwieszczeniem o swoich czynach. Oczywiście nie podlegają one konfiskacie. Zawiadomienie umieszczone zostało na miejscu po-czytnym.

Wiadomość ukazała się w piśmie, które uchodziło dotychczas za tubę ulicy Wierzbowej. Tam w Genewie min. Beck w wielkiej trosce o los ludności żydowskiej interesuje się publicznie zagadnieniem emigracji, kwestia rozszerzenia granic państwa żydowskiego, zwiększenia kwoty emigracyjnej. Tu w Warszawie czynione są zabiegi w kierunku stworzenia podstaw do najszerszego wychodźstwa, by ziemia paliła się pod stopami, by powstała nowa „alija” (emigracja) czyjegoś imienia. Okres emigracji r. 1924-5 zapisał się szydyczko w pamięci żydowskiej jako alija Grabskiego, jako emigracja nękanych gospodarzo Żydów. Dziś

dochodzą nowe męki. Obok wozu sekwestrowego Grabskiego puszczone zostały w ruch bat i pałka przy łaskawym współudziale...

Trudno jest wyraźnie nazwać po imieniu współudziałowców, choćby dlatego, że ZMP zostało powołane przez szefa Ozonu płk. Koca, że gauleiter młodzieży polskiej został przedstawiony urzędowo opinii publicznej. Pamiętać zaś należy, że płk. Koc nie działał w imieniu własnym. Tu więc urywają się dociekania oraz możliwość wyciągania ostrzejszych wniosków.

Trochę się wierzyć nie chciało, że wódz Ozonu związany w legionach nie tylko z Polakami, pójdzie tak daleko. Wydawało się niektórym, że „Ogniwa” powstrzymają go od działań, które jeszcze kilka lat temu były potępione przez dzisiejszych kierow-

347

ników Ozonu. Jeszcze kilka miesięcy temu min. wyznań religijnych i oświecenia publicznego, prof. Świętosławski, zgłaszając symbolicznie akces do Ozonu, potępił z trybuny sejmowej przesadzanie Żydów na ławki specjalne. Nie było jeszcze wówczas żadnych wskazań z ulicy Matejki na ten temat.

Obowiązywała więc zasada przewidziana nawet w konstytucji kwietniowej (równouprawnienie).

Dziś wszystko się zmieniło. Jedynie na tym froncie Ozon wraz ze swoim kierownictwem młodych pokazuje swe prawdziwe oblicze. Stare ogniwa przyjaźni, znajomości, idą precz.

Odbywa się gwałtowne przekreślenie przeszłości. Kierownictwo ZMP ma przeto wdzięczne zadanie. Może wzorem sąsiada zachodniego przeprowadzić autodafę książek „szkodliwych” w Polsce. Można wdrzeć się do sklepów żydowskich i żądać wydania Orzeszkowej, Konopnickiej, biorąc na dokładkę Mickiewicza.

Można to wszystko spalić na wielkim stosie wraz z opowiadaniem Orzeszkowej pt. „Ogniwa”, które niepotrzebnie tak wzruszająco i pięknie nadawano przez rozgłosnię warszawską kilka dni temu. Nie ma ogniw wśród szefów Ozonu. Jest ogień, który pali całą przeszłość w imię wątpliwej nadziei uzyskania powodzenia za każdą, a szczególnie antysemicką cenę.

18 września, 1937.

*Wczoraj i dziś*

Obwieszczenie komisarza rządu na miasto Warszawę stało się jednocześnie sygnałem do przerwania w prasie rubryki, która od kilku dni wywoływała nastroje nie dające się opisać, nie tylko ze względu na zakaz, ale również z powodu słów przerażenia oraz bezradnego spoglądania w stronę władz. W tych chwilach stwierdzić można było, że społeczeństwu żydowskiemu brak ludzi pióra, którzy mogliby w chwilach tak ciężkich odmalować obecny stan. Chciało się wypożyczyć dla opisu nieszczęść, i klęsk wyjątki z wieszczów polskich, powtarzać ustępy z „Dziadów”, cytować wstęp do „Pana Tadeusza”. Odwaga załamywała ręce. Obywatel Żyd zazdrościł desce na płocie, którą się tak zajmuje minister Składkowski.

Obok odezwy wojewody Jaroszewicza wiszą odezwy młodego Ozonu. U dołu napis Drukarnia

Współczesna, a więc tam gdzie

348

drukuje się jednocześnie półurzędowa „Gazeta Polska”. Gdy skończą się terminy, gdy będzie można podać choć drobny fragment historii tych odezw, dziejów przenikania faszystowskiej Falangi do obozu miarodajnego, wówczas czytelnik zrozumie dlaczego musiał w ciągu kilku dni pytać bezradnie, nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi.

Krzyk wśród nocy został zakazany. Pozostaje zajmować się sprawami ubocznymi, jak gdyby wesołymi, które zwróciły uwagę prasy zagranicznej. Od kilku dni ubiegali się korespondenci o uzyskanie oryginału pisma redagowanego dla złodziei. Organ złodziei „Nasze Życie” był dość szeroko komentowany.

Podawano szczegóły z różnych działów. Było więc pikantne obwieszczenie: baczność w niedzielę mecz Polska — Dania. A jednak przyznać trzeba, że zainteresowania korespondentów zagranicznych były nieco przesadne.

Drobne notatki w złodziejskim piśmie nielegalnym są niczym wobec wzywania do napadów, grabieży, w tygodnikach sprzedawanych na ulicach w dzień biały pod zbrodnicze okrzyki kolporterów. Tygodników takich namnożyło się dużo. Wydaje się czasem, że redaktorzy tych pism przystąpili do dzieła natychmiast po odsiedzeniu kary więziennej za zbrodnie pospolite, że redaktorka „Naszego Życia” może ujść za witezia pełnego cnót wobec tych nowych rycerzy pióra.

Obok tygodników można czytać w miesięcznikach i kwartalnikach teoretyczne uzasadnienie gwałtów i napadów. Organ Jezuitów „Przegląd Powszechny” umieścił w ostatnim numerze artykuł Wilczkowskiego pt. „Wojna z Żydami”.

Autor z zimną krwią badacza pisze: „Do czego doprowadzić może akcja bojkotowa? Czy do masowego pomoru Żydów, nędzy i głodu? Częściowo może tak, ale nie w pierwszym rzędzie i to nie jest najważniejsze” (str. 247).

Masowy pomór, nędza, głód wśród Żydów, dzięki akcji bojkotowej to rzecz obojętna. Jezuita proponuje

dalsze recepty: „trzeba oczywiście w rozwiązaniu palącego zagadnienia żydowskiego stosować i bojkot i numerus clausus, trzeba forsować tezę dobrowolnej, czy nawet ograniczeniami prawnymi wymuszonej emigracji Żydów z Polski” (str. 250).

Wszystkie te recepty zostały już wypisane kilkadziesiąt lat temu. Wszystkie środki wzmacniania (nastroju emigracyjnego) były używane również i w owym okresie. „Przegląd Współczesny” z września rb. umieścił listy Orzeszkowej z 7-go marca 1905 r. do profesora Tadeusza Grabowskiego. Inaczej ocenia ona ekscesy, inne wnioski wyciąga wielka pisarka polska.

349

„Ten ruch robotniczy jest bardzo poważny, spokojny i obok stanowczości wymagań posiada pewien zarys szlachetnej godności ludzkiej. W Polsce jest on zresztą silnie zabarwiony dążnościami narodowymi. Niestety w tym, że poniżej warstwy robotniczej samym spodem toczy się potok błotnistej, samej ostatecznej tłuszczy, żywiołów najbrudniejszych, najciemniejszych, najnędzniej szych fizycznie, moralnie. Te tłuszcze, ten żywioł zarażony i zarazkonośny, wzięto w rękę jak maczugę do rozbijania wrogich sobie warstw. Proszę sobie wyobrazić tylko taką kombinację sił różnorodnych. Gdy robotnicy urządzają bezrobocia, na miasto spadają hordy złodziei, nożowców, podpalaczy, rabują sklepy, napadają domy prywatne, wyprawiają na ulicach rozpasane, cyniczne tańce i wrzaski”.

Ale po co dawne wywoływać dzieje? Pisarze ówczesni apelowali do serc i sumień. Dziś zwycięża „racja stanu”. Echa tego triumfu słyszeć można w okrzykach wyrostków na Nowym Świecie i Marszałkowskiej tuż przy Dworcu Głównym.

25 września, 1937.

*Nowa pielgrzymka*

Prezydent przyjął w sobotę na dwugodzinnym posłuchaniu wspólną delegację PPS, Komisji Centralnej Związków Zawodowych i Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Konferencja trwała dwie godziny. W ciągu 20 minut odczytywano memoriał powyższych organizacji. Godzinę i 40 minut spędzono na omówieniu sytuacji, analizie wypadków dni ostatnich. Rezultat konferencji został zawarty w krótkim wyjaśnieniu „Robotnika”, że prezydent zakończył ją oświadczeniem iż zbada gruntownie treść memoriału w ramach, oczywiście, tych uprawnień, które konstytucja wyznacza głowie państwa.

Sam fakt przyjęcia delegacji PPS posiada znaczenie polityczne. Od r. 1930 przedstawiciele opozycji nie zjawiali się na Zamku, nie składali petycji. Jeszcze do r. 1935 opozycja miała możliwość sformułowania swoich żądań w parlamencie i nie uważała za wskazane zwracać się z apelem, ostrzeżeniem do czynników państwowych. Czynił to raczej na łamach prasy redaktor naczelny „Robotnika”, Mieczysław Niedziałkowski.

Kongres krakowski r. 1930 zerwał wszelkie możliwe węzły. Uchwały powzięte przez Centrolew, będące następnie przedmiotem rozpraw sądu, nie wróżyły na długie lata możliwości porozumienia.

350

Skończyły się więc korowody przedstawicieli poszczególnych klubów na Zamku, Zerwano już dawno z tradycją porozumiewania się ze stronnictwami na temat tworzenia rządu. Ustały wizyty Chańdzynskich, Woźnickich, Niedziałkowskich. Stało się to już w r. 1930. Konstytucja kwietniowa działała jak gdyby wstecz. Odkąd zaś nastąpiło urzędowe ogłoszenie nowej konstytucji, odkąd zapowiedziano likwidację stronnictw w życiu parlamentarnym, partie polityczne zmieniły taktykę działania.

Rozpoczęło się tak zwane działanie w terenie. Stronnictwo Ludowe szukało drogi przez powołanie do czynu mas. Rozpoczęło się maszerowanie, poczynając od obchodu ku czci Pyrza w obecności czynnika decydującego, a kończąc na wypadkach, które rozegrały się 15 sierpnia rb. Na petycji wręczonej czynnikowi decydującemu skończyła się apelacja do górnych sfer przedstawicieli Stronnictwa Ludowego. Taktyka PPS, łagodniejsza w środkach, nie odbiegała na ogół od posunięć Stronnictwa Ludowego. O zamiarze wizyty na Zamku przedstawiciele stronnictwa robotniczego zawiadomili uprzednio Stronnictwo Ludowe.

Pierwotnie zastanawiano się nad ewentualnością łącznego wystąpienia lub zgłoszenia się tego samego dnia na Zamku. Plan ten został zaniechany. Stronnictwo Ludowe nie uważało za wskazane wziąć udział w ostatnich posunięciach PPS.

Plan zgłoszenia się na Zamku powstał kilka tygodni temu, gdy prasę, a raczej kawiarnie obiegały najfantastyczniejsze pogłoski, które pękły z trzaskiem w gazetach zagranicą<sup>1</sup>. Wersje nieprawdopodobne zostały w sposób stanowczy zdementowane. Cel uboczny więc audyencji odpadł.

Pozostały jedynie postulaty, które rozlegały się w ciągu ostatnich miesięcy z coraz mocniejszym dudnieniem na wsi i w mieście, poczynając od wołania o zmianę ordynacji wyborczej, kończąc na stanowisku opozycji w sprawie polityki zagranicznej.

Między wierszami memoriału, wśród zgłoszenia akcesu do dzieła obrony można wyczytać uwagi, które są

echem niepokoju ostatnich miesięcy.

Postulaty zostały ubrane w formę najlojalniejszą, stanowią akces do wezwania czynnika decydującego z 24 maja 1936 r. (wezwanie do obrony państwa) i zatrzymują się jedynie trwożliwie i z przerażeniem u bram Ozonu. A sam fakt zjawienia się na Zamku dowodzi, że PPS, mając przed sobą różne widma, stanęła na gruncie konstytucji kwietniowej.

**1. Krążyły pogłoski, iż przygotowywany jest pogrom instytucji demokratycznych oraz prasy lewicowej. Miano to uczynić przy pomocy Falangi.**

**351**

Wszystkie postulaty PPS, mieszczą się w ramach konstytucji kwietniowej. Rzeczywistość jednak polityczna w Polsce i fakty dokonane po ogłoszeniu konstytucji przekreślają możliwość zrealizowania w obecnych warunkach postulatów opozycji. Wszystko po- I płynęło innym łożyskiem.

Uwzględnienie jednego z postulatów, poczynając od zmiany ordynacji wyborczej, kruszyłoby całkowicie misternie skonstruowane dzieło płk. Sławka i marszałka Cara. A jak wiadomo, po il wszystkich naradach, po wszystkich rozmowach i konferencjach I zapadła decyzja trwania na ustalonym stanowisku.

Wizyta na Zamku nastąpiła więc w okresie pogodzenia się wszystkich czynników decydujących. Nie traci ona mimo to na aktualności i przyczyni się prawdopodobnie do złagodzenia nastrojów w Radzie Naczelnej PPS.

Jeszcze kilka miesięcy temu rozlegały się wołania o strajk powszechny, o zaostrzenie metod walki, o obronę związków zawodowych przed groźbą likwidacji. Ruch robotniczy przypominał nieco czartyzm w momencie nasilenia, gdy w 1842 r. konwent robotniczy, zebrawszy 3.300 tyś. podpisów pod petycję, wniósł na plecach do gmachu parlamentu żądania robotnicze.

Sejm przestał być przybytkiem skarg ludności, ustały już od dawna pochody pod gmach przy ulicy Wiejskiej. Nastąpiło wyładowanie sytuacji przez audyencje na Zamku. Funkcje parlamentu zostały przerzucone na czynnik najwyższy. W obopólnych rozmowach ustalone zostają życzenia społeczeństwa i ewentualny stosunek do tych postulatów. Niezwykła uprzejmość musi starczyć często za możliwość uwzględnienia żądań zawartych.

Pielgrzymka PPS po dniach krakowskich wzmaga nadrzędność czynnika najwyższego. Uprzejma odpowiedź łagodzi sytuację i daje możliwość PPS snucia wiosennych marzeń w dni listopadowe.

15 listopada, 1937.

*Sprawy ważne*

Sąd znowu zajmuje poważne miejsce w prasie. Brudy i wałM społeczne znajdują swoje odzwierciedlenie za kratkami sądowymi. Zeznania oskarżonych w niektórych procesach brzmią sensacyjnie. Odslaniają zatuszowane obrazki z minionych dni. Proces starosty Czarnockiego w Kartuzach, zeznania oskarżonego, rewelacje poszczególnych świadków zwolnionych z tajemnicy służbowej, dają rzut oka na ostatni okres rządów BBWR. Jeśli uwierzyć zeznaniom

**352**

oskarżonego, to nie było takiego państwowego funduszu, którego nie wolno byłoby wydawać na utrzymanie bloku. Sprawa rzuca cień również na wojewodę Kirtiklisa, który został niedawno usunięty ze swego stanowiska. Kilka lat temu b. wojewoda panował wszechwładnie, jako wicewojewoda wileński.

Dziś z powodu choroby nie może stanąć jako świadek w procesie starosty Czarnockiego.

Niemniej sensacyjnie wygląda proces sądowy o rozruchy chłopskie w powiecie jarosławskim. Interpelacja księdza Lubelskiego w sejmie uzupełniła częściowo obraz skreślony przez premiera. Teraz zeznają w sądzie uczestnicy strajku chłopskiego. W najbliższym czasie ma się odbyć seria dalszych procesów związana z rozruchami chłopskimi. Sprawy te zostały poruszone jedynie mimochodem w sejmie.

W Wilnie toczy się proces przeciwko Dembińskiemu, Jędry-chowskiemu i innym literatom-publłcystom, oskarżonym o akcję prokomunistyczną W Lublinie zakończył się proces z analogicznego oskarżenia. W Zamościu toczy się sprawa przeciwko pięćdziesięciu kilku oskarżonym o akcję komunistyczną. Seria tych procesów nie jest jeszcze zamknięta. Orientujący się w nastrojach władz korespondent „Słowa” zapowiada dalszą akcję represyjną. Między wierszami daje się wyczuwać możliwość przeludnienia pewnego obozu.

Komunikat ministerstwa spraw wewnętrznych o Berezie Kartuskiej uzupełniono charakterystyką osób, skierowanych do wskazanego miejsca odosobnienia. Zakres działań władzy administracyjnej został rozszerzony. Rozpoczyna się ostra walka z osobami, uchodzącymi w oczach władzy za notorycznych paskarzy, defraudantów itp.

Akcja taka była zazwyczaj podejmowana w okresie trudności gospodarczych i pełnego przełomu ekonomicznego. Działo się to w r. 1919 i 1920, gdy obserwowano nieustanne podbijanie cen, ukrywanie artykułów pierwszej potrzeby. Wówczas to premier Pa-derewski obiecywał „szubienicę dla paskarzy”. Do czego zmierza ostatnie zarządzenie ministerstwa, jakie są ostatecznie cele zarządzenia — trudno w tej chwili ustalić

Walka z nadużyciami nie ustaje. Już w styczniu ma się rozpocząć wreszcie proces przeciwko b. zastępcy dyrektora departamentu podatkowego, Michalskiemu. Śledztwo toczyło się czas dłuższy i widocznie obejmowało dość szerokie kręgi, skoro zapowiadana rozprawa sądowa ulegała nieustannemu odroczeniu. Odbywa się analiza wyroków i motywów. Jednych interesuje wyrok, drugich „osad”, który pozostał w motywach, jednych skazanie, drugich — drożdże na których wyrósł tak wspaniale BBWR.

353

23

oo

m

Os

.••V,W<sup>1</sup>AV::X-;-•  
fcy!»A^,..v.-" /-••;•/"":;:•  
<-./ZKW?/Wf;i \*>?N#i!- R%

Sprawy sądowe zajęły również uwagę Senatu. Cicho, bez żadnych zapowiedzi rozpoczęła się dyskusja nad sprawą zniesienia sądów przysięgłych. Z drobnej notatki w pismach można było się dowiedzieć, że min. Grabowski podtrzymuje projekt ustawy, który był przedmiotem głośnej dyskusji na poprzedniej sesji Senatu.

Teraz odbyło to się bez wielkich walk, zmienił się nieco skład komisji prawniczej. Stary zasłużony obrońca w procesach politycznych, b. ambasador, senator Patek nie wszedł do komisji prawniczej. Nie było już wątpliwości co do głosujących, nie wołano na odsiecz wahających się. Sprawa była ostatecznie przesądzona. Sądy przysięgłych będą zlikwidowane. „Uratowano” jedynie Doboszyń-skiego. Stało się to dzięki poprawce wniesionej przez senatora Petrażyckiego, który na każdym kroku podkreśla swe sympatie dla prawicy.

Teraz sprawa zniesienia sądów przysięgłych nie wywoła już ostrzejszych dyskusji w senacie. Kilka miesięcy przerwy w obradach parlamentarnych dało rezultaty. Większość senatorów umi-tygowała się, zajęła miejsca w Ozonie i zerwała z „buntem starych”. Ustaną dotychczasowe podjazdowe walki, chyba że stanie do boju nowoobraty wódz obozu konserwatystów hr. Bniński (kandydat endecji na prezydenta). Sejm przy drobnych sprawach toczy wielkie dyskusje, dochodzi do podniecenia, do wymiany zdań. Sprawa medalu za długoletnią służbę, odznaczeń dla wsi, wywołała dyskusję. Kwestię zaś długów hipotecznych załatwiono z pośpiechem bez wielkiego hałasu i krzyku.

Sprawy ważne załatwia się cicho i bez większego natężenia. W ciągu dwóch dni komisja prawnicza sejmu zlikwidowała ustawę o ochronie lokatorów. Nie było dawnych bojów z drugiego sejmu, gdy ustawę uchwalano.

22 bm. Sejm da na gwiazdkę nowy podarunek, uchwalając ustawę o zniesieniu ochrony lokatorów.

Dyskusja potrwa kilka godzin. Nie będzie gorączkowych walk. Sprawy ważne zostają dziwnie lekceważone, sprawy drobne zyskują na walorach w gmachu przy ulicy Wiejskiej.

18 grudnia, 1937.

354

*Publicysta-rycen*

W niedzielę w „Kurierze Warszawskim” nie było artykułu wstępnego z podpisem B.K. W godzinach wieczornych nadeszła wiadomość o śmierci Bolesława Koskowskiego. Naczelny publicysta pisma stał na posterunku do ostatniej chwili, zabierał głos od kilkudziesięciu lat, poruszając tematy z dziedziny polityki wewnętrznej i zagranicznej. Choć odzywał się kilka razy tygodniowo, przysłuchiowano się stale jego wywodom. Budziły one szczególne zainteresowanie w ciągu ostatnich lat, gdy myśl „niewygodną” należało ubrać w formę możliwą do ukazania się w prasie, gdy różnice należało oblec w taką postać, by mogły bez szwanku dla samej myśli i bez szkody dla pisma, ukazać się w postaci wstępnego artykułu.

Budować wyraźnie zdanie, sformułować jasno myśl, pohamować uczucia oburzenia i w wyrozumowany sposób dać finezyjnie do odczucia przeciwnikowi absurdalną niesłuszność jego postępowania — należało do szczególnych umiejętności naczelnego pu-blisycy „Kuriera Warszawskiego”.

Pisał na aktualne tematy. Zachodziło więc nieraz pytanie jak naczelny redaktor pisma upora się z niebezpieczeństwem, wybrnie z sytuacji, dając wyraz swym poglądom najczęściej niezgodnym z miarodajnym kierunkiem. Zachodziło pytanie, jak ujmie na zimno rzeczy gorące. Bywało nieraz, że uwagi naszkicowane przez Bolesława Koskowskiego, pisane w formie oględnej, zawierały więcej z ducha sprzeciwu niż inne, radykalne artykuły wstępne zaprawione poezją. r;:



Sztukę nabyta w okresie przedwojennym wydoskonalil w ciagu lat ostatnich. Sprawozdawca parlamentarny Dumy Państwowej, który musiał powściągliwie i ostrożnie *zaglądać* za kulisy Pałacu Taurydzkiego, nauczył się demobilizować przeciwnika wytwor-nością formy.

Należał do obozu narodowej demokracji, bronił Koła Polskiego i jego polityki. Lecz w r. 1912 znalazł się w konflikcie z wodzem Romanem Dmowskim. W tym okresie walki wykazał zdolności satyryczne.

Dokumentem pozostanie artykuł wstępny pt. „Poseł na szczudłach”. Nie było osobistej napaści, ani żadnych obelg. Obraz jednak skreślony przez B.K. stał później, wbrew jego własnym chęciom, bronią w rękach polityków, zwalczających narodową demokrację

Należał do narodowej demokracji. Nie przerabiał jednak ewolucji tego stronnictwa pod wpływem różnych kierunków i nastrojów międzynarodowych. Nie wchłaniał w siebie faszyzmu, gdy w stronnictwie rozbrzmiewały wołania o likwidację demokracji. Wybrany na senatora w tym okresie milczał, nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia, ale że wierny starym swoim przekonaniom endeckim nie dążył za zbyt jaskrawymi hasłami, które nie odpowiadały jego usposobieniu, ani jego manierom.

Z biegiem czasu B.K. okazał się bezpartyjnym narodowcem, konserwatystą, ale bez fagasowych form uległości wobec kierunków panujących, zachowawcą z odcieniem parlamentarno-demokra-tycznym, biorącym wzory ze szkoły umiarkowanej francuskiej.

Francja bowiem służyła mu wzorem, ją pokochał z całej mocy. Poincare i cała grupa umiarkowanych służyli mu nieraz do cytów i uwag. W tę Francję wierzył B.K., pozostał wierny orientacji ententofilskiej. Z tych wychodząc założeń, pozostał w ciągu ostatnich lat, w sprzeczności z miarodajnym kierunkiem polityki zagranicznej. Gdy nad krajem przewinęła się burza, gdy prądy nacjonalistyczne, ubrane w szatę totalną wzięły górę nawet na ulicy miarodajnej, B.K. pozostał sobą tzn. starym, dawnym narodowym demokratą. Widocznie czas poczynił wielkie spustoszenia, cofnął się mocno wstecz, skoro niektórym mogło się wydawać, że naczelny publicysta „Kuriera Warszawskiego” poszedł na lewo. Nie. Pozostał sobą. Czuł się coraz więcej samotnym na swoim konserwatywnym skrzydle. Zachowawcy bowiem dla celów koniunkturalnych chwytały się faszystowskiej poły, umizgali się do dzierżących władzę, a on jeden, wskazując na Francję, cytując konserwatystów angielskich powtarzał ciągle: demokracja umiarkowana jest jednak lepsza ze wszystkiego złego.

358

\*- owym okresie była to d,

ęo dotknęła smutkiem fajmował miejsce n<sub>ny</sub>m bądź na terenie t<sub>y</sub>ków skierowywała B<sup>y</sup> K. Dwie skromne waniem jego uwagi, składano w<sub>w</sub>isku, nie zmieniając P

ąc prawie na u

adym k<sup>az<</sup>

politycz-<sup>uwaga</sup> poli-się co powie

wiele Czytano z zaintereso-i, który trwał na stano-> j dziennikarzem.

lat, czuwał nad

publicznej.

*Ekonomista* — romantyk premier Władysław

# #\*

26 stycznia, 1938.

W książce „Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej” opisuje twórca waluty polskiej dzieje walk na terenie parlamentu, historię załamania się złotego, przeszkody na które napotykał z różnych stron.

Kilkakrotnie zjawiał się b. poseł do Dumy Państwowej, znawca spraw gospodarczych jako minister skarbu w Polsce odrodzonej. Ale dopiero w r. 1923 wzrosła jego popularność. Stał się najpotężniejszym premierem w okresie rządów parlamentarnych. W okresach poprzednich spełniał i jako premier i jako minister skarbu dość smutny obowiązek. Musiał się zgodzić w r. 1920 na umowę w Spa, gdzie koalicja narzuciła mu znaczne zmniejszenie terenów wschodnich Polski. Omowa ta została po zwycięstwie unieważniona. Pierwsze reformy finansowe przy zamianie korony austriackiej na markę polską spotkały się z oporem izby.

Dopiero po upadku rządu chienio-piasta w r. 1923, po rozbiciu się większości na terenie sejmu, zjawiał się Władysław Grabski jako mąż *zaufania* prezydenta Wojciechowskiego. Po wstrząsach finansowych, po kryzysie gospodarczym, po dramatycznych perypetiach ze spadającą stale marką wziął na siebie trud stworzenia i ustabilizowania nowej waluty. Kilkakrotnie przemawiał w tej sprawie z trybuny sejmowej. Głosem cichym jak zwykle, ale pełnym namiętnych tonów i patriotycznej nuty, wzywał do ofiar. Ze

składek powstać miał przyszły bank emisyjny. Marka miała zniknąć z powierzchni. Mocny, ustabilizowany złoty polski, oparty o skarbiec złota, miał utrwalić nowe życie gospodarcze Polski.

Tym jednym pociągnięciem zdobył sobie premier uznanie w kraju. Parlament milcząco musiał potakiwać, przekazywać mu część władzy i osłabiać władzę ustawodawczą na rzecz wykonawczej, rzucając do stóp premiera ustawę o pełnomocnictwach.

Konstytucja marcowa przybierała wówczas prawie że kolory obecnej konstytucji kwietniowej. Na mocy ustawy o pełnomocnictwach posypały się dekrety, regulujące wszystkie dziedziny życia gospodarczego. Sejm w milczeniu, zgrzytając zębami, akceptował wszystkie *zarządzenia*. Waluta polska była mocna. Pięć złotych osiemnaście groszy wynosił dolar. Siła nabywcza złotego była duża.

Powstawały trudności utrzymania równowagi budżetowej, łatania wydatków, wzmocnienia systemu fiskalnego. Sejm zdał się na łaskę premiera. System etatystyczny i monopolowy został rozbudowany. Odtąd różne gałęzie życia gospodarczego przechodzą na własność państwa, by stać się źródłem dochodów. System podatkowy został doprowadzony do doskonałości. Fiskalizm święcił triumfy. Sam ofiarny, gotowy do poświęceń premier chciał przerzucić i natchnąć ofiarnością całe społeczeństwo,

360

nie tylko na okres krótki, jak to było przy powstaniu Banku Polskiego, ale na całe długie lata.

Wszystkie te ofiary miano ponieść na ołtarzu waluty polskiej. Nikt nie śmiał się wówczas sprzeciwić.

Krytyka w sejmie była minimalna. Potężny premier kilku zdaniem rzuconymi w dyskusji przechylał szalę zwycięstwa. Bronił swoim autorytetem poszczególnych ministrów.

Nie widział chmur na horyzoncie ekonomicznym. Zdawało mu się, że stworzył mocne zręby gospodarki polskiej i, że może już przystąpić do dzieła naprawy Rzeczypospolitej w innych dziedzinach. W ten sposób podjął się rozwiązywania zagadnień mniejszości narodowych w Polsce, powołując do życia specjalny komitet. Przy współudziale brata, Stanisława Grabskiego, oraz wicepremiera Thugutta, komitet przeprowadził tzw. ustawy językowe, dopuszczające do częściowego posługiwania się językiem ukraińskim, białoruskim i niemieckim w urzędach publicznych.

Znekane gospodarczo społeczeństwo żydowskie, dławione systemem podatkowym, zmorą etatyzmu, zostało również zaproszone do okrągłego stołu, do rozmów na temat „ugody”. Stronnictwo narodowe, które było związane z premierem Grabskim nie śmiało się przeciwstawić i akceptowało te posunięcia. Pan waluty polskiej nie napotykał na przeszkody.

Trwało to czas długi, aż ukazały się chmury na horyzoncie gospodarczym. Bezrobocie w groźnej formie trapiło już kraj. Zaczęły się rozruchy robotnicze w miastach. Bilans handlowy narażony został na poważny szwank po wygaśnięciu umowy o kontyngencie węgla, który Niemcy obowiązywały się zakupywać co roku w Polsce. Zagraniczni doradcy finansowi, którzy zjawiali się w Polsce by nie tylko chwalić dzieło odrodzenia gospodarczego, ale wzmocnić skarbiec dla utrwalenia waluty, znikali bez słów pożegnania. Bilans płatniczy był narażony.

Odkąd wypadało ratować skarb mniejszymi pożyczkami, zaciągniętymi na uciążliwych warunkach, sytuacja polityczna premiera ulega pogorszeniu. Sejm przechodzi do ataku, domaga się swych praw, krytykuje ustawy wydawane na mocy rozporządzeń. Zachodzi konieczność manewrowania w rządzeniu, kłeczenia większości, szukania kompromisu i częstszego zjawiania się w parlamencie. Potężny premier, który cieszył się powszechnym uznaniem Izby rozgląda się trwożnie po sejmie. Zachodzą dziwne zmiany. Posłowie rzucają gromy na jego głowę.

A przecież nic nie robił dla siebie. Wiódł żywot skromny człowieka oddanego pracy państwowej i nauce. W wolnych od rządzenia chwilach wracał do domu przy ulicy Brackiej, by dalej pracować, studiować i poświęcać się sprawom, którymi się zajmo-

**361**

wał w ciągu lat, jako autor dzieł o wsi polskiej i historii towarzystwa rolniczego.

Waluta załamała się. Wraz z nią i potęga premiera Grabskiego. Musiał odejść, nie mając już zaufania mściwego parlamentu. Odchodził smutny, bo miał poczucie, że nie ponosi żadnej winy, że wypadki rozgrywające się na świecie, a niemniej stosunki w parlamencie przyczyniły się do załamania się sytuacji gospodarczej.

Odszedł więc. Znikł minister skarbu romantyk w dziele nakręcania śruby podatkowej. Należał bowiem do pokolenia popowstaniowego, którego *łączyło* działanie pozytywistyczne z marzeniami romantycznymi w stylu Wokulskiego. Nic dziwnego, że znalazłszy się na odczycie Piłsudskiego w sali Colosseum o powstaniu styczniowym, nie mógł oprzeć się wzruszeniu przy wspominaniu epoki powstaniowej. Oklaskiwał najgoręcej, zdawałoby się, przeciwnika politycznego.

A później, po odejściu, nieraz oklaskiwał w artykułach pociągnięcia gospodarcze pomajowe, widząc w nich naśladowictwo uczniów, którzy sztukę mistrza doprowadzili do perfekcji. Wydawało się nawet, że

obejmie stanowisko bądź jako wicepremier, bądź jako minister resortu gospodarczego. Były premier został jednak powołany tylko do ciał doradczych.

Zyskiwał na zestawieniu z następcami. Niewinnie wygląda walka Grabskiego z parlamentem na tle historii dalszej. Przysłowiowy fiskalizm Grabskiego błędnie wobec praktyk w okresie, gdy parlament odszedł w cień. Z biegiem czasu dzieje przywróciły mu wszystkie zasługi, których nie można mu było przyznać w ciężkiej chwili jego odejścia od rządów.

2 marca, 1938.

*W rozśpiewanej sali*

Od kilku lat Stronnictwo Ludowe prowadzi obrady kongresu przy drzwiach zamkniętych. Skończono z dawną tradycją publicznego omawiania zagadnień w sali Sokoła w Krakowie. Nie ma już pochodów po skończeniu kongresu. Dostęp dla prasy został zamknięty. Stronnictwo Ludowe nie posiada własnych gazet codziennych, a do innych odnosi się na ogół z nieufnością. Utrzymanie tajemnicy obrad, w której bierze udział do tysiąca ludzi jest niemożliwe. *Zresztą* drzwi zamknięte przed prasą otworzono dla szeregowych członków, umieszczając ich na galerii. Gdyby nie wpuszczano nikogo do sali przylegającej, gdzie mieścił się bufet,

362

gdzie uczestnicy prowadzili ożywione rozmowy, można byłoby mimo wszystko ustalić nastrój kongresu już w przedśionku.

Śpiew i burzliwe oklaski dochodziły nawet do ulicy. Miało się wrażenie, że w sali panuje rozhułkany żywioł, że nowi ludzie, którzy w dużej ilości przybyli jako delegaci na kongres różnią się gwałtownością temperamentu od swoich poprzedników, a tym bardziej od wodzów, którzy zasiedli w prezydium i prowadzili obrady. Dekoracja sali w gmachu Starego Teatru przyczyniła się już do wzmocnienia nastroju i nasilenia określonych uczuć. Sztandary owinięte zostały krepą. Przy prezydium umieszczono tablicę z listą zabitych podczas wypadków sierpniowych.

Przemówienie marszałka Rataja przyjmowano nie tyle oklaskami, ile radosnym potupywaniem nóg, groźnym krzykiem i pieśnią „O cześć wam panowie, magnaci!”. Komu grożono, kogo miano na myśli? Sala nie zdawała sobie z tego być może wyraźnie sprawy.

Przed gmachem przy poszostnej kontroli wejścia trzymano się ściśle formalności. Na sali obrad nie odgrywały one żadnej roli. Żywiołowo bez żadnej prawie dyskusji zdecydowano wydalenie z sali b. więźnia brzeskiego, posła Putka. Nie zastanawiano się nad względami formalnymi. Zastrzeżenia, które rozległy się na sali zostały zagłuszone jednym wielkim hukiem.

Sposób wydalenia z bufetu posła Putka należy do scen więcej niż przykrych. Bez wysłuchania strony, bez sądu partyjnego, z miejsca, na drugi dzień obrad wydalono z partii posła Putka. Tak zareagowała sala z powodu zachowania się jego w dni sierpniowe (zastrzegł się przeciwko chłopskiemu strajkowi politycznemu). Choć formalnie opowiadano o zaleganiu w składkach, o nie poddaniu się zarządzeniom władz stronnictwa.

Nie mogły przeciwdziałać temu grupy, które w kularach wyrażały żal. Starzy posłowie, którzy niegdyś wodzili rej na kongresach zeszli na plan drugi. Zjawili się dla zadokumentowania wierności, ale nie przemawiali, tylko radośnie spoglądali na młodych widząc w nich zapowiedź odegrania się. Przybyli zmęczeni chorobą i czekaniem. Zbladł i schudł jeden z dawnych współpracowników Witosa, b. poseł Brodacki. Cichym głosem szeptał w kularach głośny niegdyś poseł Widota. Smętnie rozglądał się dawny wódz, który zawahał się jednak przed przewrotem majowym, a później usunął się na czas krótki — b. poseł Brył. Przechadzali się często w bufecie, jak gdyby wśród obcych. Znali wprawdzie wszystkich członków prezydium, witali się gorąco z b. marszałkiem Ratajem, ale w kularach stwierdzili, że za kulisami tego ruchu zjawił się nowy wódz, nowy znawca gier i gieriek, prof. Stanisław Kot.

363

Nazywano go szarą eminencją kongresu. Dwa lata, a może trzy należy do Stronnictwa Ludowego, wybitny profesor, a jednak wpływy jego, jak to można było stwierdzić na sali, ogromne. O informacje ubiegano się, zwracając się do prof. Kota, który był łaskaw wpuścić niektórych dziennikarzy na krótki czas do sali obrad. Był niezmordowany. Pouczał i wyjaśniał, dawał wskazówki intymne i okazał się nieocenionym dla prasy. Od niedzieli do poniedziałku sala wyładowywała się w okrzykach, wołaniach, w tonach radykalnych, w przypominaniu ofiar, w wymienianiu sojuszników. Była jednak pewna rozpiętość między tonem użytym u dołu, a sugestią narzuconą z góry. Nie tylko dlatego, że prezydium starało się pohamować i ująć w karby rozhułkany żywioł. To było prawie niemożliwe.

Wyrobiony parlamentarnie, osłabiony dolegliwościami b. wicepremier Thugutt nie mógł zapanować nad salą, która ekscytowała się podnosząc coraz wyżej ton. Rozpalona własną gorączką nie wsłuchiwała się w subtelności przemówień wodzów, przerabiała je transformacyjnie na własny prąd. U góry wodzowie

mówili o współpracy z robotnikami, chowając PPS wśród różnych organizacji robotniczych, a u dołu wymieniano jedynie PPS, jako ewentualnego sojusznika. U góry wymieniano wśród zasłużonych dla ruchu Stanisława Grabskiego i innych członków Stronnictwa Pracy. Sala jednak nie reagowała.

Dla zebranych porządek obrad nie miał faktycznego znaczenia. Miała to być dyskusja nad sprawozdaniem komitetu wykonawczego. Inne myśli ogarnęły jednak wszystkich. Wydawało się zebranim, że można tylko mówić o jednym, o powrocie... i władzy.

Reszta nie istniała. Wszystko inne było tylko wzajemnym zagrzewaniem się do boju, do przyszłej akcji. W tej gorączce nie zauważono nawet w ciągu dwóch dni Żydów, kwestii żydowskiej i tylko władze stronnictwa łaskawie podsunęły zebranim rezolucje o tonach nieprzyjaznych. W kuluarach, w kiosku księgarskim widniała wprawdzie broszura „Żydzi w Polsce i ich wrogi stosunek do narodu”. Ale wspomniana książeczka Konecznego nie cieszyła się popytem.

Wszystkie sprawy zaległe i bolączki mają być załatwione dopiero nazajutrz. Nikt nie chce słyszeć ani o agraryzmie, ani o polityce personalnej ministrów.

Punkt ciężkości przeniósł się do innego lokalu, gdzie obradowała komisja-matka i komisja wnioskowa. W sali zaś rozśpiewanej uwijały się Chochoły i duch Wernyhory. Gospodarze w innym pokoju radzili nad ujęciem żywiołu w karby organizacyjne, nad poprowadzeniem mas.

### 364

Z kim pójść? Dół wyśpiewał i wystukał już swoje sympatie. Góra ma w rezolucji ustalić sojusznika. W imię umiarkowania, dla utrwalenia sił w Poznańskim unikano ściślejszego kontaktu z PPS. Tylko straż porządkowa zapraszała serdecznie na galerię przedstawiciela prasy socjalistycznej, doktora Szumskiego. Przepędzono jednak kolportera pism socjalistycznych choć tolerowano rozpowszechnianie umiarkowanej „Nowej Prawdy”.

Sala zmęczona już była śpiewaniem, wykrzykiwaniem, wołaniem. Już dochodziło do pewnych niesnasek. Poznański delegat wypominał przy sprzeciwach sali wrogi stosunek PPS do Witosa i podważał wartość ewentualnego sojusznika. Inny, polemizując z poprzednim mówcą wołał o konieczności wspólnej walki. Zbliży się moment końcowy. Komisja matka i komisje wnioskowe uzgodniły już wszystko. Prezesem NKW ma zostać marszałek Rataj. Zrzeka się. Jest zmęczony. Ciężko mu będzie w nowej sytuacji. Tyle lat na wiecach i zebraniach powstrzymywał rozhukane żywioły. Teraz ma je prowadzić do boju, przejść od kunsztu parlamentarnego, do sztuki wojennej. Słowem kapitan statku pasażerskiego ma zostać komendantem okrętu wojennego.

Sala nie zna wszystkich subtelności, nie przyjmuje odmowy. Śpiewem i hymnem chłopskim „O cześć wam panowie magnaci” domaga się przyjęcia najwyższego zaszczytu. Następnie rozegrała się na sali subtelna zabawa podziału ról między marszałkiem Ratajem a poznańskim działaczem Mikołajczykiem.

Rezolucje? Rozśpiewana sala przyjmowała je bez wnikania. Odczytywała po swojemu, nie słyszała uszczypliwości rzucanych pod adresem PPS, nie dostrzegła przesadnych komplementów pod adresem Stronnictwa Pracy. Nie mogła się nawet zorientować, że tak ułożone rezolucje oznaczają częściowy rozbrat z PPS. Uchwały traktowano jako zadatek zwycięstwa i dodawano sobie animuszu dalszym śpiewem, który zagłuszał treść wszystkich wymyślnych działań góry.

Nie liczono sił, nie sprawdzano, czy pewne zwycięstwa nie pochodzą tylko z jednej połaci Małopolski Zachodniej. Mnożono w entuzjazmie siły w Kielecczyźnie, zapowiadano zdobycie Łomżyńskiego, przyjmowano oklaskami białoruskie i ukraińskie zgłoszenia do stronnictwa. Tak złorzeczył i śpiewał żywioł nieokiełznany, wiecując na kongresie w ciągu dwóch dni.

Inne sprawy zapisywano już na karb taktyki. Strategię powierzono wodzom wybranym i tym, którzy za kulisami prowadzili grę. Szeregowcy zwinęli sztandary pokryte krepą i ruszyli przez miasto do wsi najbliższych lub na dworzec. Przechodzili ulicami, jak obcy, nie witali ich, ani zegnali — ewentualni sojusznicy.

### 365

Nie powtarzały się sceny z okresu kongresu centrolewu. Rezolucje i zakulisowe gry uczyniły swoje. Dół odszedł w oczekiwaniu hasła. Góra naradzała się nad podziałem ról w NKW i nad stosunkiem grup do siebie.

5 marca, 1938.

### *Ciężki trud*

Czarne chorągwie wiszą nad bramą sejmu. Do połowy masztu opuszczono sztandar Rzeczypospolitej, wiszący zwykle w czasie posiedzeń sejmowych. Zmarł marszałek sejmu, Stanisław Car.

Od dłuższego czasu nie opuszczał mieszkania. Nie mógł przewodniczyć ani brać udziału w obradach i pracach sejmowych. Można było to stwierdzić bez biuletynu o stanie jego zdrowia. Sejm niedomagał, maszyna parlamentarna mocno skrzypiała. Niedociągnięcia wynikające z ordynacji wyborczej

występowały na jaw.

W gabinecie swoim pracował nieustannie. Tu ćwiczył posłów w sztuce parlamentarnego zachowania się. Tu przeglądał wnioski zgłaszane do sejmu, oceniając ich wartość konstytucyjną. Pracował usilnie nad tym, by sejm obecny wyglądał jak parlament.

Miał kłopoty nielada. Regulamin sejmowy rozwiązał ręce poszczególnym posłom. Każdy może zgłosić wniosek lub interpelacje, paraliżując maszynę parlamentarną. Należało stworzyć grupy na miejsce partii. Ostatnim ordynacja wyborcza zamknęła wstęp do gmachu sejmu. Wprowadzenie nowych obyczajów wymagało wielkiego wysiłku. Czuwał nieustannie nad tym marszałek Car. Ciągłe wyłaniały się nowe trudności. Wpłynął wniosek posła Ducha o zmianę ordynacji wyborczej do sejmu. Brzmiało to jak votum nieufności dla autorów obecnej ordynacji, zagrażało bytowi sejmu. Wniosek ten zginął po drodze z gabinetu do łaski marszałkowskiej, Sejm czuł się zagrożony wnioskami o udzielenie pełnomocnictw. Zazdrosna o swoje prawa instytucja widziała w tych żądaniach chęć poniżenia. W przemówieniu na zamknięcie sesji sejmowej zabrał głos marszałek i dał do zrozumienia, że odtąd izba nie będzie udzielać pełnomocnictw. Wyjaśnienia dane zostały dość kunsztownie. Marszałek Car uważał się bowiem za stróża nowej konstytucji i starał się przywrócić, nadwyrężony według jego mniemania, układ paragrafów w ustawie kwietniowej. Współtwórca nowej konstytucji uważał bowiem, że nazajutrz po jej uchwale-

366

niu skończy się ciężka mitręga nieustannego stosowania interpretacji, że odtąd zacznie się okres traktowania paragrafów konstytucji dosłownie, bez naginania.

Okres od r. 1926 do r. 1935 traktował jako czas przejściowy. Racja stanu musiała górować nad wszystkim. W imię tej racji i z przywiązania do Piłsudskiego minister sprawiedliwości Car czynił wszystko, by paragrafy konstytucji marcowej wyglądały jak artykuły przyszłej konstytucji kwietniowej. Praca napotykała na poważne przeszkody. Przeciwstawiała mu się większość izby, świat prawniczy. Wpadało działać w walce z dawnymi przyjaciółmi. Oddany obozowi rządzącemu działał konsekwentnie. Tylko raz zawahał się. Piłsudski w specjalnym wywiadzie wspomina o wątpliwościach prawniczych Cara przy sprawie brzeskiej. « Opuścił stanowisko ministra i jako wicemarszałek sejmu poświęcił 5 lat pracy nowej konstytucji. Dwaj ludzie zetknęli się, by wspólnie ją opracować. Myśli i koncepcje Sławka przyoblekał w formę prawną Stanisław Car.

Gdy praca została dokonana, gdy uchwalone zostały konstytucja i ordynacja wyborcza, gdy przyszedł sejm wybrany na nowych zasadach, obóz rządzący wysunął b. min. Cara na stanowisko marszałka. Do niego miało należeć wcielenie w życie nowych form, wykształcenie izby na modłę parlamentu.

Odtąd na miejsce partii miały rozpocząć swą działalność grupy regionalne, techniczne ciała pomocnicze. Partie w żadnej formie nie miałyby dostępu do sejmu. Ze słownictwa parlamentarnego miał zostać wykreślony termin „klub polityczny”.

Stało się jednak inaczej. Grupy starały się przeistoczyć w kluby polityczne. Do gmachu Sejmu wkradł się nowy przeciwnik i rozbił swe namioty. Przedostał się jako „Koło Parlamentarne Ozonu”.

Marszałek Car przeciwstawił się tej koncepcji, interweniował u czynników najwyższych i decydujących. Dalszą akcję w tym kierunku przerwała choroba.

Nie przewodniczył już w czasie ostatniej sesji sejmowej. Całą pracę powierzył wicemarszałkowi sejmu Schaetzlowi. Z dala przyglądał się pracom sejmu, nie mogąc już wypełniać wykładnią wszystkich luk wynikających z ordynacji wyborczej. Nie mógł już brać udziału w ciężkiej pracy pouczenia posłów. Gabinet jego przestał być konfesjonalem, gdzie posłowie wyspowiadali się z grzechów nieświadomości lub przedkładali wnioski na osąd prawniczy stróża konstytucji.

Chciał obronić godność nowego sejmu, nadać mu cechę par- lamentu, chciał pracować nad realizowaniem nowej konstytucji, myśląc, że nastąpi triumf prawa i nie będzie potrzebna interpretacja. Zachorował w okresie piętrzących się trudności. Przyszła >

367

nowa interpretacja, która obracała się przeciwko jego zamierzeniom.

Konstytucja, która zdawało się nie wymaga już żadnej wykładni zyskała nowych, interpretatorów. Oręż, którym tak świetnie i kunsztownie władał twórca konstytucji, przejęty przez innych obracał się przeciw jego tworowi. Toczył walkę z nowymi interpretatorami. Śmierć przerwała ten ciężki trud. 20 czerwca, 1938.

### *Bajki o żelaznym wilku*

Istnieje zwyczaj w okresie martwego sezonu, gdy dział wypadków nie dopisuje, gdy nie ma rozboju, sensacyjnego mordu, wówczas reporter wymyśla oryginalną bujkę. Kilka lat temu krążyła w Warszawie wymyślona przez jednego ze zdolniejszych reporterów bajka o żmijach i węzach. Trwało to co najmniej miesiąc. Podawano wiadomości o wypadkach ukąszenia. Warszawa przeistoczyła się w kłębowisko syczących węzów. Z trawników wyzierały żmije. Reporterzy dopomagali sobie wzajemnie w utrwaleniu raz wymyślonego kawału. Fantastyczne wiadomości w okresie sezonu martwego obiegają cały świat, wracają z powrotem do kuźni plotek i autorzy, zapominając o wymyślonej bajce, wierzą w wiadomość uzyskaną drogą okólną z New Yorku lub Liverpoolu. W okresie martwego sezonu politycznego wypływa w Polsce bajka o masonach. Autorami są zwykle trupy polityczne, szukające sposobu galwanizowania swoich klik przy pomocy tajemniczych opowiadań o straszliwym szkodniku, który trapi kraj. Autorzy mają zwykle w pogotowiu egzorcyzmy na przepędzenie widma. Bajki o masonach opowiada się obecnie w ciągu całego roku. Wspecjalizował się w nich mały syn wielkiego ojca, prezesa Akademii Umiejętności, Kazimierza Morawskiego. Artykuły te działają jak środek nasenny. Człowiek zasypia, a w nocy śni mu się straszliwe widma masonskie. Któż nie jest według tych bajek masonem? Autorzy tych bujdk starają się zatuszować okoliczność, że masoneria od wielu lat nie odgrywa już żadnej roli, że przeważnie są to zebrania snobów, że tajne konwentykły sprowadzają się do pustego, beztreściwego ceremoniału. Inne grupy i kliki tajne spiskują, wywierają nacisk terroryzują, przygotowują zamachy. Sprawcy są rzekomo nieznanymi.

368



i nad ulacjs porta Budzyńsk.ego o <sup>TM</sup> „r Składkowski miał wówczas oto)? do

5=5

masonem, talangowca Jerzego Brauna.

Rzeczowa dyskusja na temat masonów i ich tostom

Brockhousa, Encyclopedia Bntanmca 7 Wiązki tei dowiedzieć się można, że w wieku 18-ym człon-

tym

znalazł

malarz Bacciarelli itp.

<sup>Son</sup> SSn W macherów politycznych, która w pewnej

369

antysemickiego „Jutra Pracy”. Odtąd działa nie jako współpracownik Matuszewskiego, ale jako towarzysz broni Budzyńskiego. Kilka lat temu zastanawiano się dlaczego senator Kozłowski musiał tak szybko i niespodzianie opuścić stanowisko premiera. Teraz zastanawiają się niektórzy dlaczego tak nagle i niespodziewanie został premierem. Prof. Kozłowski uchodził wprawdzie za człowieka wiedzy w dziedzinie panteologii. Najbliżsi jego przyjaciele polityczni sądzili, że doza jego śmiechu zabija odrobinę posiadanej powagi, że ta cecha utrudnia mu posuwanie się po drabinie dygnitarskiej.

Tak czy owak, po jałowych dyskusjach na temat przyszłego pana Zamku, po wymienieniu nazwisk marszałka sejmu Sławka, marszałka Senatu Prystora, wicepremiera Kwiatkowskiego i min. Becka — wrócono do mniej poważnych plotek i kawałów. Wyciągnięto węza z warsztatu reporterskiego.

To wszystko razem może służyć dowodem, że dobrze się dzieje w kraju, gdzie ploty są powszechnym tematem artykułów, a bajki o masonach ożywiają martwość sezonu politycznego.

11 sierpnia, 1938.

*Zwycięstwo władzy*

Rząd odniósł zwycięstwo. Frekwencja wyboreza w r.1938 była dwukrotna w stosunku do r. 1935, gdy wybory do sejmu odbywały się za rządów Sławka. Udział wyborców na Śląsku, w Warszawie, w Łodzi był liczny.

Na zwycięstwo złożyły się: powodzenie na terenie międzynarodowym, hasło zmiany ordynacji wyborczej, wyraźniejsza akcja sfer miarodajnych i słabe, na wół senne przeciwdziałanie strony przeciwnej. Szturm przypuszczony przez Ozon był gwałtowniejszy, niż atak BBWR w r. 1935. Nie zdano się jedynie na łaskę agitatorów. Puszczono w ruch wszystkie możliwe aparaty, by wyjść zwycięsko z wyborów.

Walka toczyła się nie tyle o kandydatów, ile o frekwencję. Nie szczędzono wydatków. Drukowano plakaty, licząc się ze słabą znajomością czytelnictwa w kraju. Na transparentach umieszczano wezwania ogromnymi literami.

Ozon działał na prawach przedsiębiorstwa zetatyzowanego, korzystał z dobrodziejstw monopolu. Rzadko jakiś śmiałek ważył przeciwstawić mu się w kolegium wyborczym, lub wyruszyć później w pojedynkę do walki z kandydatami, wyznaczonymi przy

370

ulicy Matejki (siedziba Ozonu). Czynniki miarodajne czuwały, by obozowi nie stała się krzywda, by organizacja zrodzona dopiero, stawiająca pierwsze kroki na arenie politycznej, nie została porwana przez podmuch wiatru, lub ciosy przeciwników. Dobrodziejstwa wolności wyborczej spadały w 99% na kandydatów nowego obozu.

Nic dziwnego, że poświęcono mniej uwagi osobom kandydatów, a ześrodkowano zainteresowanie na frekwencji. Spoglądano jedynie na poszczególne punkty, gdzie miała się odbyć heroiczna walka śmiałków przeciwstawiających się ozonowym kandydatom, gdzie wykluczeni z rady familijnej rozpoczęli dramatyczną walkę o dopuszczenie do wspólnego stołu. Te miejsca zapalne stały się przedmiotem zakładów totalizatorskich, gorętszej walki, angażowania się ludzi postronnych.

Dramat rozgrywał się w Warszawie w piątym okręgu, gdzie kandydował b. premier, b. prezes BBWR. Płk. Sławek padł w walce nierównej. Ugiął się pod ciężarem plakatów i odezwo przeciwników. Załamał się pod stosem ulotek zwróconych przeciwko niemu. Kilka tysięcy głosowało za nim prawdopodobnie na przekór, chcąc oddać hołd opuszczonemu, pozbawionemu tych walorów, które dają możliwość zyskania mandatów bez wielkich trudności.

Pomoc udzielona przez prawicę redaktorowi Mackiewiczowi w Wilnie nie starczyła do osiągnięcia zwycięstwa. Zdobył Wilno po raz wtóry Żeligowski, a za nim dopiero stanął drugi generał, szef Ozonu, Stanisław Skwarczyński.

Do gmachu przy ul. Wiejskiej miał dostać się jako teoretyk obozu, jego przyszyły wódz „znawca” sprawy żydowskiej, członek Naprawy, Tadeusz Katelbach. Użyczyli mu swej pomocy wieczni tułacze z Legionu Młodych. Przepadł. Zastąpił go w czynnościach jako ekspert Zbigniew Lepecki.

Znowu wkroczy do sali sejmowej Sanojca. Nikt jednak nie będzie się sprzeciwiał gwałtownie jego wywodom. Kluby opozycyjne nie będą opuszczały na znak protestu sali posiedzeń.

Wraca do sejmu dawny towarzysz Sanojcy, więzień brzeski, Józef Putek. Toczył niegdyś zawzięcie boje o prymat władzy w Choczni, walczył z klerem, przeciwstawiał się ostro obecnemu premierowi. Dziś poseł Putek jest poza Stronnictwem Ludowym. Okręg pozostał wierny niezależnie od wszelkich przemian politycznych, którym podlega Putek.

Zwycięstwo władzy pociągnie za sobą konsekwencje. Nie zachodzi oczywiście potrzeba zmiany rządu. Triumf rządu jest większy niż wygrana Ozonu. Powstaje jednak pytanie, jakie konsekwencje zostaną wyciągnięte z rezultatu 6 listopada. Czy rząd poprzestanie jedynie na wykonaniu obietnicy o zmianie ordynacji wy-

371

borczej, i wniesieniu projektu ustawy amnestyjnej? Czy nowa ordynacja wyborcza usunie wszystkie bariery, stworzone przez autorów poprzedniej, czy też w imię racji stanu skonstruowane zostaną nowe parawany? Czy zwycięstwo i zmiany, zachodzące w sąsiednim państwie nie zwiększą apetytu w czasie jedzenia, czy władza, która wykazuje swą siłę w czasie akcji wyborczej, nie zostanie w dalszym ciągu wzmocniona?

"Wchodzimy w okres wyborów samorządowych, które mają być, według zapewnienia władz, czyste, uczciwe i rzetelne. Wniosą więc poważną korektę do oceny nastrojów w kraju. Dopiero nazajutrz po tych wyborach zapadnie prawdopodobnie decyzja, jak dalece Ozon korzystać może z ostatnich owoców zwycięstwa władzy.

8 listopada, 1938.

372

W listopadzie 1935 r., po wyniku wyborów do sejmu, wycofał się częściowo z życia politycznego płk. Sławek. 2-go kwietnia rb. wycofał się z życia doczesnego. Chciał, być może, podkreślić, że bez działania życie ludzkie, a szczególnie życie człowieka, który całe lata walczył na różnych

posterunkach, nie ma sensu i znaczenia. Nie była to więc ucieczka przed życiem, lecz przed trwaniem na stanowisku emeryta politycznego, korzystającego z zaszczytów składanych jego przeszłości. Odszedł, gdy stwierdził niezbicie, że jego wysiłki skończyły się niepowodzeniem. Liczba towarzyszy topniała szybko. Dokoła niego została drobna garstka przyjaciół, dotrzymujących mu smętnie kroku. Późnymi wieczorami można było widzieć płk. Sławka spacerującego w towarzystwie wiernego, oddanego płk. Schaetzla.

Tak skończył się żywot trzykrotnego premiera, b. długoletniego prezesa Związku Legionistów, b. prezesa pierwszej partii prorządowej, b. marszałka sejmu, jednego z najbardziej oddanych uczniów i przyjaciół marszałka Piłsudskiego.

Nie traktował tytułów, którymi został obdarzony jako zaszczyty. Były to kolejne obowiązki nakładane na niego przez wodza, zadania, które spełniał z oddaniem. Wpierw czuł skromnie w prezydium Rady Ministrów, jako urzędnik do szczególnych poleceń. Odchodził i wracał jako premier. Nie pytał o szczegóły, a bezwzględnie realizował powierzone mu zadania.

W tej walce, nazajutrz po przewrocie majowym, wypadło mu staczać boje z dawnymi towarzyszami partyjnymi w PPS: posługiwać się różną bronią, nie szczędząc przyjaciół lat dawnych. Jeszcze

*Po zgonie pułkownika Sławka*

kilka tygodni przed tym rozmawiał serdecznie z przyjacielem Da-szyńskim. Padł rozkaz. Stosunki zostały zerwane. Odtąd w r. 1928 rozpoczyna się walka z lewicą.

Należało zgodzić się z rozkazem szukać nowych przyjaciół politycznych, zbliżyć się do ziemiaństwa, sprzymierzyć się z konserwatystami, wciągnąć do pracy Tarnowskich, Potockich, Radziwiłłów. Sławek spełniał włożony nań obowiązek. Nie miał powodów do wahań. Już inaczej pojmował koncepcje państwa nowoczesnego. Z dawnych walk i bojów, z demokratycznych przyzwyczajęń pozostało pełne skromności obejście ze współpracownikami, mówienie na „wy” z najbliższymi działaczami. Koncepcja państwa solidarys-tycznego, klas pogodzonych ze sobą, przypada najwięcej do smaku dawnemu towarzyszowi Gustawowi. Takim państwem rządzić mają najlepsi i najszlachetniejsi, rycerze ducha — słowem elita platońska, a nie wybierane przez szary tłum jednostki, schlebiające pospólstwu.

Oderwany od rzeczywistości snuł w najcięższych chwilach życia gospodarczego swe marzenia. Mówił o harcie rycerskim, o konieczności zmian ustrojowych. Mówił konsekwentnie i uparcie, niezależnie od pogody politycznej. Wydawało się, że chce odrodzić w kraju złoty wiek rycerstwa, niweczając po drodze nowoczesne urządzenia polityczne, wypowiadając wojnę wszystkim istniejącym stronnictwom. Echa dumań hetmańskich, sny epoki neoromantycznej towarzyszyły jego poczynaniom. Te sny, wołania rycerskie, miał przetopić w paragrafy, adoptowany piłsudczyk, oddany przyjaciel — Stanisław Car. Inni, młodzi współpracownicy torowali drogę do uchwalenia konstytucji w sejmie.

Coraz częściej można było widzieć w kuluarach sejmowych grupkę rozmawiających ze sobą ludzi. Było to w wigilię śmierci Piłsudskiego. "Wśród rozmawiających znajdował się płk. Sławek. Przygotowywano i przyśpieszano pracę nad konstytucją, wierząc, że skutki wstrząsu na wypadek śmierci Piłsudskiego zostaną złagodzone wejściem na tory nowej ustawy zasadniczej. Odtąd prawo i konstytucja miały zastąpić żyjącą legendę. Prace nie napotykały na opór w łonie obozu rządowego. Wszelkie zastrzeżenia były wypowiedzane tak cichym szeptem, że nie dochodziły do uszu szefa BBWR. Gdy wychodził z lokalu klubu na pierwszym piętrze gmachu sejmowego widział za sobą hufiec kroczących posłów, przytakujących zgodnie, a głosujących według jego rozkazu na parterze w sali posiedzeń sejmu.

Nazajutrz po śmierci Piłsudskiego zjawili się u odnośnych czynników, by wyrazić swój pogląd na dalszy przebieg spraw państwowych. Wydawało mu się, że odtąd obowiązywać będą wyłącznie paragrafy konstytucji, że racja stanu ujęta w nowe paragrafy

376

prawa rządzić będzie krajem. Odniósł jeszcze jedno zwycięstwo w sejmie. Karny klub głosował za nową ordynacją wyborczą.

Było to przedostatnie zwycięstwo. Wyniki wyborów utrudniały mu akcję w realizowaniu konstytucji według swego pojmowania. Przegrał walkę wyborczą, dojrzał szczyt we własnej organizacji. Nowe paragrafy nowej konstytucji zostały spowite nową legendą. Rozbił w gniewie blok rządowy, jak Mojżesz tablice przykazań, a sam schronił się do gmachu sejmu, gdzie zasiadł skromnie w ostatnich rzędach, by przyglądać się, jak jego P<sup>g</sup>J łęk Car walczy o realizację nowej konstytucji. <sup>Gd7..matsz^^</sup> zmarł - stanął na czele sejmu. Przyjaciele najbliżsi widzieli w tym nowym wysunięciu płk. Sławka możliwość powierzenia mu z bbgiem czasu losów konstytucji na najwyższym stanowisku - Pierwsza zapowiedź wysunięcia się skończyła się rozwiązaniem

Odtąd rozchodzą się drogi Sławka z obozem miarodajnym.

skim W r 1938 Ozon przeciwstawia mu kandydaturę Szczepań-skkgo. Pierwszy na liście kontrkandydatów



w tym okręgu ^ igiturje z ramienia Ozonu dawny współpracownik przy układaniu konstytucji prof. Makowski, (obecnie marszałek sejmu) . Sławek przepił przy wyborach, mając przeciwko sobie dawnych .oddanych mu koleaów Po klęsce doznanej widzi w nowym świetle wyniki wy-bcSTw t 1935. Daje wyraz swoim poglądom w specjalnym wywiadzie o konieczności dokonania zmian w ordynacji wyborczej. Wycofuje się z życia politycznego. Realizuje, zdawało się, swoje sny lal dawnych. Może odpocząć. Żyje ?\*\*%\* \*\*\* w mieszkaniu przy Al. Szucha 16. Bez jego inicjatywy Rada Mims-trów uchwała mu pełną emeryturę.

W rozpamiętywaniu elegijnym wracał do towarzyszy lat dawnych stykał się nie tylko z b. marszałkiem Prystorem, ale i z czynnymi dSzczami PPS. Opuścił pole walki. Ci, których zwalczał stąpił do Niedziałkowskiego i pocałował go w czoło. Były to prze orosiny przygotowanie się do odejścia, oderwanie się od walk doczeJnych. W zadumaniu gorzkim, w zastanawianiu się nad dae-£3 a" ostatnich doszedł do przekonania, że " JgJ^ mógł służyć tak wiernie jak swemu wodzowi i przyjacielowi, że nikt nie zrozumie już siły i wagi jego poświęć <\*\*.

Rozeście się wertepami, rozejście się chwilowe, tragiczne mepóroSmienie", Vk twiŁdzi „Gazeta Polska”, TM\*°J™£\$ do spotkania na szerokim gościńcu. Gdy stwierdził swą bezsilność,

377

gdy zszedłszy z gościńca szerokiego ocknął się na bocznej uliczce, postanowił odejść na zawsze. Czarne chorągwie wywieszono przed gmachem, gdzie rządził lat wiele w walce z opozycją. Bukiet kwiatów złożono przed bustem jego, który został ustawiony koło bustu marszałka Stanisława Cara. Strzał wymierzony w usta był jak gdyby nawrotem do lat dawnych. Tak odchodzili bojowcy w chwilach długiej pauzy, lub zwątpienia. Tak odszedł trzykrotny premier rządów pomajowych, płk. Walery Sławek.

5 kwietnia, 1939.

*Z Londynu*

Do Polski przybył i został osadzony w więzieniu Wincenty Witos. Z więzienia został wypuszczony poseł Stronnictwa Ludowego Władysław Kiernik. Oddał się w ręce władz b. więzień brzeski, ludowiec Bagiński. Wrócił po kilkuletniej nieobecności Wojciech Korfanty, zlikwidowana została emigracja polityczna. Pozostał poza granicami kraju jedynie b. poseł Lieberman.

Gdyby powrót ten nastąpił dwa miesiące temu, prasa zajęłaby się zagadnieniem emigracji politycznej. Snuto by jaki plan opracowuje opozycja, ośrodkiem uwagi byłiby emigranci z Wincentym Witosem na czele. Teraz nie ma czasu na rozpamiętywanie, na analizę faktu, że się to tak dziwnie zbiegło: odejście (samobójstwo) płk. Sławka i przyjazd Wincentego Witos.

Różnice zdań w dziedzinie polityki zagranicznej między obozem rządowym, a opozycją zostały już prawie wyrównane. Sprawy zagraniczne spowodowały nie mniejszą konsolidację, niż wewnętrzna akcja pożyczkowa na cele obrony. Ministerstwo spraw zagranicznych może się wyrzec swego urzędowego organu. Rzecznikiem polityki MSZ jest organ endecji „Warszawski Dziennik Na-rodowy”. Politykę tę popiera socjalistyczny „Robotnik” i chadecka „Polonia” w Katowicach.

Na powrót min. Becka nie zachodzi w tej chwili potrzeba organizowania obchodów i demonstracji, odwoływania się do talentów organizacyjnych prezydenta miasta Starzyńskiego. Nastąpiła radykalna zmiana nastrojów. Wyrównały się wszystkie różnice w dziedzinie polityki zagranicznej.

Tak się złożyło, że rokowania londyńskie toczyły się w czasie obrad Izby Gmin. Wszystko odbywało się prawie w atmosferze jawności. Parlament miał możliwość kontrolowania przebiegu roz-

378

mów dyplomatycznych. Codziennie przedstawiciele opozycji interpelowali, stawiali krótkie pytania, otrzymywali odpowiedzi od prem. Chamberlaina i min. spraw zagranicznych Halifaxa. Wszystko odbywa się na zasadzie dwustronności. Anglia ma przyjść z pomocą Polsce. Polska ma przyjść z odsieczą Anglii. Dalszy rozwój stosunków handlowych między Polską a W. Brytanią wpłynąć ma na zwiększenie aktywności bilansu handlowego Polski niezależnie od korzyści jakie osiągnąć może bilans płatniczy.

Dyskusja w parlamencie angielskim, artykuły prasy londyńskiej wyjaśniły tak dalece sytuację, że nie zachodzi już potrzeba zwołania komisji spraw zagranicznych sejmu.

Do okresu ponownego wznowienia prac sejmowych min. Beck uda się być może do Paryża. Droga do Francji prowadzi przez Anglię. Porozumienie angielsko-polskie przywróci poprzednie znaczenie sojuszowi polsko-francuskiemu, wzmocni obieg krwi poszczególnych paragrafów, przywracając należyte skromne brzmienie tekstowi umowy o nieagresji z Niemcami.

W ciągu trzech tygodni nastąpiła radykalna zmiana. Odtąd sprawy zagraniczne są przedmiotem uwagi

wszystkich. Zagadnienia polityki wewnętrznej schodzą na plan drugi.

Obok depesz londyńskich budzą zainteresowanie informacje berlińskie, nowy ton w prasie niemieckiej. Dotychczas przyjmowano tam wszystkie wieści z maskowanym spokojem. Od dwóch dni temperament wziął górę: zabiera głos „Deutsche Dienst”, twierdząc, że „Polska sprzeniewierzyła się polityce marszałka Piłsudskiego i odbiegła od porozumienia polsko-niemieckiego, odmawiając rozmów na temat życzeń niemieckich, które mogłyby w rezultacie uregulować ostatecznie stosunki”. Zdarza się więc z jakimiś życzeniami „Deutsche Dienst”.

W kilkunastu miastach odbyć się mają w najbliższych dniach wybory do rad miejskich. Od pewnego czasu obradują lewicowe rady miejskie w Warszawie i Łodzi. Ośrodek zainteresowania został jednak zmieniony w szybkim tempie. Towarzyszy mu konsolidacja wszystkich kierunków politycznych wobec zagadnień polityki zagranicznej. Memoriały i petycje zastrzegające się co do dotychczasowej polityki zagranicznej Becka są już spóźnione. Delegacje zostały zresztą o tym poinformowane.

W bieżącym tygodniu Londyn wypierał wszystkie miasta w działach informacji zagranicznych.

Lohengrin berliński przestał już kusić. Odzywał się do łabędzia jedynie tonami żalu. Taki był skutek „życzeń niemieckich”, o których pisze „Deutsche Dienst”.

8 kwietnia, 1939. 379

### *Szermierz realista*

Duże nekrologi na łamach pism, skreślone życiorysy nie dadzą obrazu dawnej sławy Wojciecha Korfatego. Rozpoczął swą działalność publiczną więcej niż 35 lat temu. Walczył w sejmie pruskim i w parlamencie Rzeszy. Nazwisko Korfatego wymieniano jako jednego z lepszych mówców opozycji. Umiał przemawiać hardo i zaczepnie, dostosować się do brutalnego stylu pruskiego, wywołując nieraz burzę na sali. W okresie prześladowań antypolskich, gdy laska i bat stanowiły atut pedagogiczny w systemie niemczenia, Korf anty przyniósł ze sobą na salę posiedzeń pałkę, by w trakcie przemówienia obrazowo przedstawić metody działań pruskich.

Syn górnika, działał na Śląsku wśród proletariatu polskiego. Metody agitacji, walki o polskość były tu osobliwe. Nieraz realizm przywódcy ruchu robotniczego fiudził zastrzeżenia wśród działaczy poznańskich. Zarzucano mu bezceremonialność, łatwość przerzucania się z jednej grupy do drugiej, zbyt pochopne porozumiewanie się z przeciwnikiem. Padaly zarzuty ostrzejsze. Nie umniejszały jednak sławy Korfatego wśród ludu górnośląskiego, który z zadowoleniem witał wspinanie się w górę syna górnika.

Gdy więc Korfanty stanął w sejmie polskim w r. 1919 należał do wodzów parlamentu, do tych, którzy uczyć będą posłów sztuki poruszania się w tym gmachu, prowadzenia akcji, działania za kulisami, tworzenia rządu, paktowania z przeciwnikami.

Korfanty nie rwał się w pierwszej chwili do trybuny. Nie nęciła go sława mówcy, ani talent publicysty. Miał to już poza sobą. W wolnej Polsce sięgał wyżej, traktując sejm jako odskocznnię do przyszłej kariery. Stał na czele obozu, który zwalczał wówczas bezwzględnie naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, choć w parlamencie niemieckim podczas wojny upominał się o zwolnienie więźnia magdeburskiego. Był realistą. Z tych względów poparł przedłużenie kadencji i zatwierdzenie w urzędzie Józefa Piłsudskiego. Wniosek ten referował w imieniu konwentu seniorów, a więc wszystkich ugrupowań politycznych w sejmie.

Już na pierwszym posiedzeniu sejmu przy przystąpieniu do wyboru marszałka zaimponował zmysłem praktycznym. Na małą grupkę posłów żydowskich spoglądano jak na trędowatych. Toczył się bój o to, kto ma zostać marszałkiem: przedstawiciel prawicy czy też chłop, Trampczyński, czy Witos. Lewica nie uważała za wskazane ubiegać się o brakujące głosy żydowskie. Korfanty zawarł z nimi pakt. Żydzi głosowali za Trampczyńskim, posłowie żydowscy wza-mian uzyskali miejsca w komisjach sejmowych.

380

Nie długo popisywał się Korfanty zdolnościami krasomówczymi w sejmie, walcząc z drugim asem Ignacym Daszyńskim. Powierzono mu zadanie odpowiedniejsze. Miał kierować akcją plebiscytową w kraju, gdzie był popularny, gdzie cieszył się uznaniem górnika i umiał odparowywać ciosy pruskie. Przemawiał na wiecach i zebraniach na Górnym Śląsku.

W hotelu Lommitz w Bytomiu urzędował jako przedstawiciel Polski. Przeistoczył biuro swoje w warownię, broniąc się przed napadami. Gdy jeden z dziennikarzy żydowskich zjawił się u niego w hotelu, by zakomunikować, że posłowie żydowscy w imię zasad demokracji i samookreślenia, popierają słuszne żądania Polski, zaprzęął z miejsca dziennikarza do pracy, wskazując na konieczność nawiązania kontaktu z mieszczaństwem żydowskim. Wrócił do sejmu jako zwycięzca. Prawica nie ominęła okazji, by desygnować go na premiera. Organizator plebiscytu na Górnym Śląsku miał przeprowadzić wybory do przyszłego sejmu, zdobyć większość dla ugrupowań ósemki, tzn. utrwalić władzę narodowej demokracji w kraju.

Przeciwstawił się temu Naczelnik Państwa. Rozgorzała walka w kraju i w Sejmie. Groźba dymisji Naczelnika Państwa, Piłsudskiego zawisła w powietrzu. Klub pracy konstytucyjnej, stanowiący języczek u wagi, zląkł się. Kandydatura Korfatego została wycofana przez wszechmocny sejm do którego należało również desygnowanie premierów.

Dopiero w przyszłym sejmie Korfanty wchodzi do rządu większości polskiej jako wicepremier. W programie nowej władzy znajduje się również postulat walki z mniejszościami słowiańskimi • oraz akcji zmierzającej do ograniczenia praw Żydów. Oczywiście nie nosi to jeszcze charakteru tak skrajnego i bezwzględno jak obecny program Ozonu. Wiatry z zachodu wiały bowiem jeszcze inaczej.

Dzieje walk o utrzymanie rządów chjeno-piasta, szturmów lewicy i piłsudczyków przeciwko temu rządowi są znane. Obiektem szczególnych zarzutów był wicepremier Korfanty.

Rząd upadł. Ataki przeciw Korfantemu nie ustały. Musiał się bronić przeciwko zarzutom osobistym, stanąć przed sądem marszałkowskim. Zdawało się niektórym, że gwiazda jego zgasła. Ilekroć jednak wracał na Górny Śląsk, zdobywał ponownie mandaty i uznanie.

Walki warszawskie nie wpływały na jego aureolę na Górnym Śląsku.

Po przewrocie majowym sytuacja Korfatego uległa pogorszeniu. Walka okazała się nierówną. Kończy się klęską brzeską. Nietykalność posła sejmu śląskiego broni go przed dalszymi szykana-

381

•r

mi. Zasiada jeszcze jako senator w r. 1930. Nie zabiera jednak głosu, a na Górnym Śląsku daje mu się we znaki wojewoda Gra-żyński.

Tylko w kularach sejmowych słyszeć można jeszcze cierpkie uwagi Wojciecha Korfatego, rozmowy toczone z posłami ukraińskimi. Zmienił się bowiem radykalnie. Po Brześciu, po rozmowach z towarzyszami niedoli ustosunkował się inaczej do problemu mniejszościowego. Mówił o porozumieniu, o stopieniu ostrza walk.

Dalsze losy Korfatego są znane i nie nadają się obecnie do ścisłego opisu. Przebywał za granicami kraju. Nie pozbawiło go to wpływu na pismo „Polonia”, które redagował. Zmieniły się czasy. Były realista wpadł w mistykę. Zasady etyki chrześcijańskiej i moralności zaprzętały jego umysł. Zagadnienia polityczne zeszły na drugi plan. W piśmie jego znalazł przytułek twórca pozytywizmu w w. 19-ym, dawniej wolnomyśliciel, Aleksander Świętochowski. Razem mieli walczyć o wolność człowieka, przeciwstawiając się ideom totalnym. Czas cofnął się tak dalece wstecz, reakcja rozpanoszyła się tak mocno, że idee i myśli głoszone pod redakcją Wojciecha Korfatego wydawały się radykalnymi i postępowymi. Zbliżył się na emigracji z Witosem. Wrócili do Polski podczas wypadków marcowych.

Nie było już mowy o podjęciu walki na nowo, o rozpoczęciu działalności na Górnym Śląsku, gdzie dawniej panował niepodzielnie. Warunki złożyły się tak, że nie mógł oddać do dyspozycji swego doświadczenia i świetnej znajomości rzeczy w walce z sąsiadem zachodnim. Mówca niepośledni, dawny wódz Górnego Śląska, wrócił schorzały. Resztę dopowie historia. Staną wówczas przed oczyma czytelnika dzieje pierwszych bohaterów sejmu, historia wzlotów i upadku Wojciecha Korfatego, bezwzględne jego zasługi w walce o zdobycie Śląska oraz smutny epilog w odrodzonej ojczyźnie.

20 sierpnia, 1939.

**Chory Korfanty po powrocie z zagranicy został natychmiast osadzony w więzieniu.**

*Expose dygnitarza w nielasce*

Spór o Witosa dogorywa. Dalsza seria bezpodstawnych zarzutów przestaje już być przedmiotem uwagi.

Sąd skazał niedawno za oszczerstwo redaktorów „Merkuriusza”. Jako oskarżyciele stanęli

382

przed sądem b. premier Bartel i min. Poniatowski. Szkalowanie według określonej metody było drogowskazem tego pisma. Znamiennym był atak na Edena. Akcję prowadzono zawzięcie dla wiadomego celu. Starano się obrzydzić tych wszystkich, którzy odnosili się krytycznie do polityki porozumienia z Niemcami.

Nikt jednak w tej chwili nie bada historii, nie wdaje się w analizę niedawnej przeszłości. Warunki polityczne i prasowe nie nadają się do sprawdzania słuszności lub niesłuszności takich lub innych metod w polityce zagranicznej. Wszystkie te sprawy wypłyną na wierzch w innych, normalniej szych okolicznościach.

Wprawdzie mówi się w tej chwili o pewnym odprężeniu. O demobilizacji roczników we Francji, o obniżeniu stawek asekuracyjnych od ryzyka wojny. W tej pauzie oddechowej sprawy zostały zawieszane, ale nie rozstrzygnięte. Świadczy o tym stanowcza nota komisarza rządowego Gdańska, Chodackiego, do

prezydenta senatu gdańskiego. Kto wie czy rozwiązanie tych dylematów należeć będzie w ogóle do ministrów spraw zagranicznych.

Na półkach księgarskich leży jednak broszurka pt. „Uwagi o polskiej polityce w r. 1939” z receptami dyplomatycznymi i wskazaniem w dziedzinie polityki wewnętrznej na cały rok.

Może nie warto byłoby zająć się uwagami spóźnionymi. Od tego czasu zaszły nowe wypadki. Niemcy połączyły Czechy i pożerają Słowację.

Wszystkie więc koncepcje dotyczące tych dwóch narodów odpadają. Może nie warto byłoby zająć się książką, gdyby nie autor, który w ciągu wielu lat zajmował odpowiedzialne stanowisko jako dyplomata. Autor broszury był niegdyś posłem w Angorze i w Moskwie, w czasie przewrotu majowego pełnił przez krótki czas obowiązki komisarza politycznego w MSZ. Gdy Piłsudski przebywał w Druskiénikach wyjeżdżał wówczas do niego z raportami. Pewnego dnia, jak opowiadają dobrze poinformowani, marszałek Piłsudski postanowił nie korzystać nadal z raportu b. posła.

Roman Knoll mianowany został następnie posłem w Berlinie. Krążyły różne wersje na temat jego działalności. Pewnego dnia w niedzielę, poseł Knoll wsiadł do samochodu by wyjechać za miasto. Nagle wezwano go z biura w sprawie pilnej depechy.

— Ja po to wstąpiłem do dyplomacji, a nie do straży ogniowej, by nie załatwiać rzeczy nagłych — miał odpowiedzieć pan Roman Knoll.

Po opuszczeniu stanowiska posła w Berlinie kariera urwała się całkowicie. Próba pisania artykułów w prasie czerwonej (brukowej) nie udała się. Bonmoty na piśmie wypadły źle. Rozżalony dyplomata z miną demona w wydaniu popularnym, ubrany ekstra-

383

wagancko krążył po Warszawie nie zwracając jednak już uwagi polityków.

Dopiero niedawno spłodził broszurę. Na kilkudziesięciu kartkach jest cały program wewnętrzny i zagraniczny. Autor, jak każdy dygnitarz w niełasce, uderza również i we własny obóz. Zarzuca swoim dawnym kolegom, że „grzęzną w samochwalstwie”, „że degenerują się w łatwym utrzymywaniu władzy, uzyskanej w spadku”.

Twierdzi, że „gdzie władcy posługują się cenzurą, kłamstwem aby naród ukołysać, nie ma ta ich polityka należytej dynamiki”. Opozycja również do niczego się nie nadaje.

Z mniejszościami autor załatwia się krótko i węzłowato. „Żydzi nie mogą i nie powinni stawać się Polakami. Na załatwienie sprawy żydowskiej jest tylko jeden sposób: wyjazd z Polski, przynajmniej trzech milionów Żydów i to nie w przeciągu długiego okresu, ale przez lat kilka”.

Nie więcej kłopotów ma autor ze sprawą ukraińską: „Ruś Czerwona i polska część Wołynia muszą się stać zupełnie polskimi. Mamy do takiego stawiania sprawy zupełne prawo, zawarliśmy bowiem z rządem narodowym ukraińskim, uznanym przez cały ich naród, jak i z rządem sowieckim traktaty, stwierdzające, że Ukraina znajduje się na wschód od naszej granicy... Polonizacja, a raczej repolonizacja naszych południowo-wschodnich ziem jest absolutną koniecznością”.

Z Białorusinami nie ma również żadnych kłopotów: „Białorusini polscy powinni się w polskim narodzie rozpuścić, jako jeden z jego szczepów i nic nie stoi temu na przeszkodzie. Winno to jednak nastąpić szybko, żeby na wypadek jakiejś konfiguracji element ten nie był już ciałem obcym wewnątrz naszych granic”.

Żydów wypędzić, Ukraińców repolonizować, Białorusinów spolszczyć, a nade wszystko zrobić to w szybkim tempie. Zagadnienie ukraińskie można spławić na podstawie traktatu. Czy nie za szybko, czy nie za bardzo w stylu straży ogniowej, od której się odżegnywał pan Knoll?

Broszura była pisana już w okresie przełomowym, gdy nastąpił kryzys w stosunkach dyplomatycznych, zwrot w polityce zagranicznej. Mniejsza o recepty w dziedzinie polityki zagranicznej. Te są zupełnie spóźnione wraz z żalem „że rachunki z Czechami załatwiliśmy z nimi w chwili dla nich najkrytyczniejszej i jakby we współdziałaniu z ich odwiecznym wrogiem”. Autor radzi prowadzenie takiej polityki, by „Czesi i Słowacy rozumieli, że nic im od nas nie zagraża, że nie w dalekich Sowietach, ale w sąsiedniej Polsce muszą narody te widzieć ostoję i obronę”. A w kim mają widzieć ostoję Ukraińcy i Białorusini?

384

Program kuleje prawdopodobnie również z powodu krótkości czasu. Broszura ta dowodzi jak dalece może się oderwać od rzeczywistości dyplomata w niełasce, któremu mogą się udać trzy lub cztery powiedzonka, ale całość wypada niezdarne i nie w porę.

Pan Knoll, jak klucznik w „Panu Tadeuszu”, przed ostateczną rozgrywką, proponuje „wynieść śmiecie”. Przegapił jednak terminy. „Krótka chwila stoi na zawadzie by się stało zadość knollowej radzie”. W tej chwili opowiadają nawet o rozmowach kół miarodajnych z Ukraińcami.

Czy autor broszury jest jednak samotny, czy odzwierciadla tylko nastroje dygnitarza w niełasce, czy nie ma cichych współwyznawców? Dla odpowiedzi wypadłoby analizować wypadki ostatnich dni i poczynić wnioski, które w tej chwili nie nadają się do opublikowania. W każdym razie Knoll niepotrzebnie wyszedł z matecznika. Gdyby nie napisał broszury „słóweczka” jego dodałyby mu sławy i stworzyły pozorną legendę o jego trzeźwości i rozumie politycznym.

12 czerwca, 1939.

**Znane jest powiedzenie Knolla, jako komisarza MSZ po przewrocie majowym, że jest to najście bandytów na jaskinię idiotów.**

### *Waga wypadków*

W lipcu panować miał sezon martwy. Wszystkie sprawy zostały pozornie odroczone do sierpnia, a nawet do września. Zapowiadano krótką przerwę serii prowokacji niemieckich, odraczając bieg wypadków do Parteitagu, który ma się odbyć dopiero we wrześniu.

W sierpniu spodziewano się przemówienia marszałka Smigły-Rydz, nawiązania do pierwszego wystąpienia publicznego na zjeździe legionistów w roku 1935-ym. Do tego okresu miała istnieć przerwa. Drobne sprawy wewnętrzne, niesnaski między „Gazetą Polską” a „Robotnikiem” represje, względnie zwolnienia z więzień miały urozmaicić martwy sezon polityczny.

Stało się jednak inaczej. Sprawa Gdańska wypłynęła ponownie. Systematycznie, z kalendarzem w rękę, przeprowadzają Niemcy akcję prowokacyjną, poczynając od zwalniania robotników polskich ze stoczni gdańskiej poprzez skazanie jż. Golecza za drobne przewinienie. Wiadomo było z góry, że sędziowie mają już przy-

**385**

25

gotowany wyrok przed rozprawą. Wreszcie zamordowano na zimno strażnika granicznego Witolda Budziewicza.

Sezon polityczny rozpoczął się więc. W ciszy toczą się rokowania polsko-angielskie w Londynie, przerywane serią plotek niemieckich na temat przebiegu rozmów o pożyczkę. W Moskwie wloką się rozmowy. Symbolicznym wyrazem niewiary w szybkie zawarcie umowy był przyjazd generała Ironside'a do Polski. Rozmowy wojskowych utrzymywane są zwykle w tajemnicy. Nikt jednak nie przypuszcza, że dowódca wojsk brytyjskich, znający język rosyjski, przyjechał do Polski dla pogłębienia znajomości języka polskiego.

Sytuację polityczną w Polsce oświetlił dobitnie w wywiadzie udzielonym dziennikarce amerykańskiej, marszałek Smigły-Rydz. W ostatnich latach Naczelnny Wódz niechętnie udziela wywiadów. Zdawało się, że na tematy aktualne zabierze głos dopiero 6-go sierpnia, w dwudziestopięciolecie pierwszego wymarszu legionów. Oświadczenie o sytuacji międzynarodowej padło wcześniej, niż się tego spodziewano. Marszałek Smigły-Rydz zwraca już cię pierwszy raz uwagę na sprawy zachodnie. W roku 1930 na zjeździe legionistów w Radomiu, wygłoszone zostało przemówienie w odpowiedzi Treviranusowi. Pierwsze przemówienie po objęciu stanowiska Generalnego Inspektora, zostało poświęcone „guzikowi”, tzn. sprawie gdańskiej. Podróże inspekcyjne odbywał Marszałek do ziemi zachodnich, odwiedzając Poznań.

Gdy stosunki polsko-niemieckie rozwijały się więcej niż normalnie, gdy flirt przybierał pozory miłości, Marszałek Smigły-Rydz udał się do Paryża, by przywrócić sojuszowi prawdziwe znaczenie. Nastąpiło wyprostowanie linii.

Cały wywiad, udzielony dziennikarce amerykańskiej poświęcony jest sprawom zachodnim. Wszystkie pogłoski, które ukazywały się w prasie na temat rokowań polsko-niemieckich w sprawie Gdańska, zostały obalone jednym krótkim oświadczeniem. Nie znaczy to, że zostały odrzucone propozycje w sprawie rozmów. Zakres rokowań jednak na przyszłość został ściśle sprecyzowany. Pierwszy raz urzędowo stwierdzone zostało zarządzenie mobilizacji. W wywiadzie strona dyplomatyczna została jak gdyby odsunięta na plan drugi. Nie jest to lekceważenie sojusznika, ale przypomnienie przykładu czeskiego, że na przyjaciółach oprzeć się nie można, że Polska musi liczyć na siebie, niezależnie od rozmów prowadzonych z Ironsidem, od ewentualnych wizyt bombowców angielskich, od przyjazdu wodza francuskiego, generała Gamelina itp. Nie ma tu fanfaronady z przesadzaniem wartości sił własnych, ale jest niezłomne postanowienie walczyć w każdej okoliczności, jeżeli wojna zostanie narzucona.

386

Marszałek Smigły-Rydz występuje tu nie tylko w charakterze wojskowego. Odkąd zarządzona została

mobilizacja, od czasu gdy momenty wojskowe przeważają nad innymi czynnikami, los spraw zagranicznych przesuwają się oczywiście coraz wyraźniej w stronę Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Stosunek do sąsiadów został wyraźnie nakreślony. Jest więc wstrzemięźliwa ocena możliwości współpracy z Sowietami, nawet w dziedzinie ewentualnego uzyskania surowców. Zresztą, sprawy te zależą w wielkiej mierze również od ostatecznego wyniku rokowań między Londynem a Moskwą.

Spokojnie, bez żalu, a nawet z pewnym zrozumieniem odniósł się Marszałek Smigły-Rydz do państw bałtyckich, jakkolwiek Generalny Inspektor Sił Zbrojnych mógłby mieć wiele powodów do żalu i urazy. Marszałek Smigły-Rydz jest zdobywcą Dynaburga. Miasto to przekazał natychmiast w ręce łotewskie. Wiara w Węgrów jest raczej wyrazem psychiki żołnierskiej, reminiscencji historycznych, niż przewidywaniem natury dyplomatycznej. Cięży stare przysłowie o dwóch bratankach, choć głosy prasy węgierskiej nie zawsze brzmią przychylnie dla Polski.

Spokojny i stanowczy ton wywiadu wywołał poruszenie w prasie niemieckiej. Od kilku dni prowadzi się tam nerwową polemikę z poszczególnymi zdaniem. Nawrót do „guzika”, oświadczenie, że zajęcie Gdańska przez Niemców „byłoby aktem, przypominającym rozbiór Polski”, wyjaśniły sytuację polityczną wyraźniej, niż wszelkie komunikaty, niż wszystkie zaprzeczenia o rokowaniach i rozmowach. Wywiad udzielony został jeszcze przed 6-ym sierpnia, w okresie tzw. sezonu martwego. Wypadki dnia usprawiedliwiają konieczność przedwstępnych działań. Coś się więc dzieje w lipcu. Przerwa trwała krótko, a wadze wypadków bieżących dał wyraz

Marszałek Smigły-Rydz.

22 lipca, 1939.

### *Nowe zapasy ideologiczne*

Kiedy wieczorem słuchacz radiostacji zagranicznych stara się zorientować, jaki kraj nadaje audycję, musi się na krótki czas zawahać. Anglicy mówią po niemiecku. Niemcy propagują po angielsku, Włosi agitują po francusku, Francuzi opowiadają po włosku, Rosjanie rozprawiają po niemiecku, Niemcy nadają audycje rosyjskie. Często przemówienia bywają poprzedzane odpowiednią muzyką — dla całkowitego wprowadzenia w błąd słuchacza. Radiostacja niemiecka przemawia w pewnych godzinach po polsku, cytując pisma polskie o zabarwieniu antysemitycznym, solidaryzuje się z

387

ich poglądami i stwarza pozory, jak gdyby nic więcej tylko troska o dobro Polski, o ukrócenie „psychozy wojennej” zmuszała ją do nadania audycji polskich.

Nawet prasa półurzędowa spostrzegła się, że kampania antysemityczna prowadzona w ostatnich czasach w Polsce była wodą na młyn niemiecki. Ostrzegając przed nadmierną akcją żydożerczą przedstawił „Gazety Polskiej”. Co prawda w kilka dni później inny dziennikarz nie wytrzymał i na łamach tegoż pisma dowodził, że nic się nie zmieniło, że można w dalszym ciągu uprawiać hecę i nucić piosenkę emigracyjną. Jednakże zdawało się, że w tej dziedzinie nastąpi pewne opamiętanie. „Polityka” z dnia 23 lipca pisze dość stanowczo: „Oprócz napadu „Kuriera Porannego” na Witosa, oprócz nieprzytomnych reminiscencji antyukraińskich i antyżydowskich pomniejszych organów, z epoki, gdy jeszcze tworzenie nowych wrogów wewnętrznych było tylko błędem, nie zaś zbrodnią, oprócz tych, jak mówimy, sporadycznych nieprzemyślanych wyskoków, całość opinii wykazuje jednomyślny spokój i zaufanie do własnego spokoju”.

Największą jednak sensacją była korespondencja Lupa z Londynu, umieszczona w wileńskim „Słowie”. Pionierem akcji antysemitycznej w Wilnie jest redaktor Stanisław Mackiewicz, który na zimno forsował wnioski aryjskie w Syndykacie Dziennikarzy Wileńskich, udzielał moralnego poparcia studentom, sprawcom ekscesów, przyczynił się do wytworzenia atmosfery niepokoju, do rozdzielenia mieszkańców na dwa obozy narodowe, jakkolwiek dawniej Wilno symbolizowało współzycie wszystkich mieszkających tam narodowości.

Korespondent londyński „Słowa” przeżył już niejedną ewolucję. Należał kiedyś do komitetu porozumienia polsko-żydowskiego, by w kilka lat później głosić hasła antysemityczne ulegając czarowi innego publicysty, Ignacego Matuszewskiego. Według krążących pogłosek, były minister skarbu patronował w ciągu ostatnich lat organizacjom neoendeckim. Pisma wydawane przez fa-langistów różnego autoramentu korzystały z ogłoszeń towarzystwa kredytowego, lub innych organizacji, z którymi pan Ignacy Matuszewski był związany. Zresztą utrzymywał on ścisły kontakt z redakcją „Słowa” i starał się gorliwie o wzmocnienie poparcia moralnego lub innego dla tej gazety.

Pan Lup udał się do Londynu i jest tam korespondentem „Słowa”. W tych dniach napisał o sytuacji wewnętrznej Polski w związku z obecnym porozumieniem z Anglią. Mniejsza o stwierdzenie, że antysemityzm w Anglii nie jest popularny, że „prosty” człowiek na ulicy angielskiej uważa, iż Hitler jest złym człowie-

kiem, bo „nie dotrzymuje słowa, nie daje światu pokoju i prześladowuje Żydów”.

Ważniejszy jest taki wniosek korespondenta: „Nasilenie antysemityzmu w Polsce — to woda na młyn antypolskiej propagandy sowieckiej i niemieckiej, która i w masach angielskich, i wśród lewicy angielskiej nam może bardzo zaszkodzić”.

Redaktor „Słowa” nie opatrzył korespondencji londyńskiej żadnymi uwagami. Pozornie więc wydaje się, że nie odgrodził się od niej, że raczej solidaryzuje się z wywodami korespondenta. Czy tak jest, czy istotnie w „Słowie” nastąpiła ewolucja, czy wypadki ostatnich miesięcy wywołały pewne refleksje — trudno w tej chwili stwierdzić

W każdym razie należy zaznaczyć, że hałaśliwa działalność ONR-u i Falangi chwilowo ustała, że wynikają stąd rzeczy sensacyjne, że bezrobocie falangistów pociąga za sobą konsekwencje odzwierciedlające źródła ich działania i moralności.

Kilka dni temu dokonano w Warszawie na ulicy Grzybow-skiej napadu rabunkowego na Julię Koepkową. Władzom bezpieczeństwa udało się ustalić nazwiska bandytów. W kronice wypadków przeczytaliśmy, że jeden z bandytów, Cercha, student prawa, był czynnym członkiem Falangi i kierownikiem administracyjnym pisma tej organizacji.

Drugi bandyta, jak podaje urzędowy komunikat kroniki kryminalnej, był również studentem i należał swego czasu do Falangi. Był trzykrotnie karany za napady terrorystyczne.

Czy ten komunikat nie nasuwa pewnych refleksji, nie rzuca światła na wypadki ostatnich lat, na historię ekscesów antyżydowskich?

Aresztowani staną przed sądem i wyjaśnią, być może, tło polityczne ich działania. Będzie to historia ponura, ale i pouczająca. Oczywiście jest to jedynie wypadek na marginesie poważnych rzeczy, które rozgrywają się w tej chwili w Polsce, Anglii i Francji. Kilka miesięcy trwa nowy zwrot w stosunkach dyplomatycznych i przyczynia się już do oświetlenia mrocznych punktów politycznych. Inaczej widzi się w chwili obecnej w Polsce tragedię rozbioru Abisynii, inaczej patrzy się, nawet w prasie ozonowskiej, na finał wojny domowej w Hiszpanii, w innych barwach przedstawia się również przebieg wojny japońsko-chińskiej.

Czy możliwe są dalsze ewolucje, nowy stosunek do wielu kwestii wewnętrznych w Polsce?

Korespondencje i notatki budzą złudzenia.

Po kilku dniach jednak zabiera głos dziennikarz z „Gazety Polskiej”, Mr. S. by zapewnić, że wszystko pozostaje po dawnemu.

### 389

Te gwałtowne zapewnienia budzą jednak odmienne refleksje. W ciągu kilku miesięcy pogubiono na łamach prasy półurzędowej wiele koncepcji. Pozostała ostatnia, pożyczona u dawnego przeciwnika. Z gorliwością janczarów broni się ostatnich fortów koncepcji skrajnie nacjonalistycznej. A obok słyszy się już ostrzeżenia na łamach pisma, które w ciągu ostatnich lat prowadziło zawziętą akcję żydożerczą. Niektórzy z obozu miarodajnego radzą wyrzucić stary bagaż ideologiczny i przygotować rezerwy bardziej przystosowane do powagi chwili, odcinające się całkowicie od poglądów narzuconych przez sąsiada, a podchwytywanych łapczywie przez rozgłośnię niemiecką w audycji polskiej.

24 lipca, 1939.

#### *Rozpamiętywania*

Okres przyzywany nazwano w Europie i w kraju odprężeniem. Słuszniej i ściślej wypadłoby zastosować termin sowiecki „piere-dyszka”. Nikt bowiem nie sądzi, że jest to odprężenie w kierunku porozumienia się stron przeciwnych. Obie strony powiedziały już swoje i czekają. Czekanie polega na przygotowywaniu się, oglądaniu się, oglądaniu się wzajemnym, werbowaniu sojuszników, zakończeniu pewnych aktów przygotowawczych.

Wyraźne ustalenie stosunków polsko-niemieckich poprzedził prowizoryczny układ między Anglią a Polską. Nazajutrz nawet nie można było zdawać sobie sprawy dlaczego nastąpiło tak rychłe podpisanie umowy prowizorycznej. Opinia publiczna raczej domyślała się niż wiedziała. Wracającemu z Londynu ministrowi Becko-wi zgotowano w Warszawie samorzutnie owację. Przed dworcem stali ci, którzy domyślali się, że tak radykalny zwrot nie następuje dla fantazji, że rządzi nim nowy układ sił w Europie. Później sytuacja stawała się coraz wyraźniejszą, dobitniejszą i nie wymagała już żadnych komentarzy. Odtąd następuje żywsza wymiana zdań między Paryżem, Londynem, a Warszawą. „Wspólne serca bicie” słychać w przemówieniach ministrów trzech stolic. Różnica polega jedynie na odchyleniach nastrojowych.

Tkwiały w parlamentarzystwie mężowie stanu Zachodu składają wielokrotne oświadczenia bądź w parlamencie angielskim, bądź francuskim. Sale parlamentu nie starczą ministrom Zachodu. W obliczu chwili składają wyjaśnienia w klubach, przemawiają na specjalnych zebraniach.

390

W tych okolicznościach nikt się w kraju nie upominał o przemówienia własnych czynników miarodajnych. Wystarczyły dosadne deklaracje ministrów francuskich i angielskich, tym bardziej, że wyrazom tym towarzyszyły zdania o obronie demokracji, parlamentarystwu i innych urzędów, które są w pogardzie u nas i ulegają wycofywaniu.

W przerwie rozpoczęły się rozmowy angielsko-sowieckie. Pozornie rokowania te nie mają nic wspólnego z Polską. Trwają one czas długi. Generał Władysław Sikorski twierdzi, że porozumienie „musiałoby z czasem doprowadzić do pożądanego ewolucji wewnętrznej w imperium sowieckim w duchu demokratycznym”. Przeszkody te są iluzoryczne. Carska Rosja zawierała sojusz z republikańską Francją. Orkiestry urzędowe grały w stolicy nad Nową na cześć gościa francuskiego Marsylianę, a jednocześnie w Petersburgu bito demonstrantów rosyjskich za nucenie tej pieśni na ulicach. Istnieją przeszkody natury głębszej, związane z niechęcią wiązania się w przymierza, które mogłyby narazić Sowiety natychmiast na konflikt z Niemcami, na walkę na morzu Bałtyckim. Stąd też stałe wysuwanie zagadnienia niebezpieczeństwa państw Bałtyckich.

Rokowania trwają czas dłuższy, przyczyniły się prawdopodobnie do przyspieszenia rozmów polsko-angielskich na temat przeistoczenia układu prowizorycznego w umowę stałą. United Press donosi z Londynu, że należy spodziewać się podpisania sojuszu polsko-angielskiego jeszcze przed zawarciem paktu angielsko-rosyjsko-francuskiego. Po załatwieniu tej ostatniej formalności ma nastąpić również finalizacja umowy gospodarczej. Ambasador Raczyński oraz płk. Koc wrócili już do Londynu.

Rozpoczyna się więc nowa faza rokowań. Opinia publiczna nie wdaje się oczywiście w szczegóły. Zasady sojuszu zawarte już zostały w umowie prowizorycznej. Intryguje w dalszym ciągu termometr uczuć wyrażający się w sumie pożyczkowej. Interesują szczegóły form kredytowych, a więc ile wypadnie w towarach, a ile w gotówce. Rzecz zrozumiała, że sojusz polsko-angielski uświęca zasady bilateralizmu, ale spoglądając na mapę ustalić można, że suma paktów bilateralnych składa się na jeden wielki sojusz.

Sprawy odległe przybliżają się coraz mocniej. Walki chińsko-japońskie nie należą już do przysłowiowego wstępu z „Wesela”. Każdy chce „by Chińczyk! trzymały się mocno”. Niemniej więc budzi zainteresowanie wizyta premiera bułgarskiego w Berlinie, którego Rzesza Niemiecka kusi do rozpoczęcia akcji rewizjonistycznej, wymierzonej przeciw Rumunii. Sprawy Ententy bałkańskiej dotyczą więc również Polski. Walki wewnętrzne, rozgrywające się w Jugosławii nie należą do rzeczy obojętnych. Konieczność porozumienia chorwacko-serbskiego wydaje się nieodzowną dla rzeczni-

**391**

ków określonego frontu, choć kłótnie wewnętrzne ucieszyłyby tak bardzo Węgrów. W tym wypadku, jak i w wielu okolicznościach, rozchodzą się drogi dwóch bratanków mimo, iż jeszcze rok temu wyglądało to nieco inaczej.

Mimo ogłoszonej przerwy i odprężenia na froncie wewnętrznym panuje w dalszym ciągu cisza. Nie wynika ona ze stwierdzonego sezonu ogórkowego, ani z racji wyjazdu pewnych ministrów na urlop. Wszelkie dyskusje urywają się tylko dlatego, że w świadomości piszących utrwała się coraz mocniej wrażenie, że dyskusja zarządzona podczas przerwy niczego nie wyjaśni, nikogo nie zbliży i nie wywoła tych posunięć, których spodziewano się nazajutrz po zagarnięciu Czech i Moraw przez Niemcy. Mówiono wówczas o rozszerzeniu podstaw rządzenia. Wierzono nawet w demobilizację Ozonu.

Dziś nikt nie roi snów w noc letnią, tym bardziej, że nikt nie wierzy w dłuższe przerwy, w większe paury, w trwalszą pieredysz-kę

Wspomnienia i rozpamiętywania historyczne ogarnęły prasę. Przygotowuje się okolicznościowe artykuły do jubileuszu wybuchu wojny. Związek legionistów zapowiada wydanie pamiątkowej książki z okresu pierwszego wymarszu, gdy dzisiejsi ministrowie (oczywiście nie wszyscy) stanęli w szeregu by walczyć wówczas o niepodległość, wolność a nawet i demokrację. Wspomnieniu lat dawnych poświęca się w prasie krótkie chwile przerwy.

10 lipca 1939.

**li**

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE Pawła Hostowca ..... 7



|                                                |     |
|------------------------------------------------|-----|
| <b>PRZEDMOWA</b>                               | 17  |
| <b>1929</b>                                    |     |
| <i>Konwent seniorów</i>                        | 23  |
| <i>Kapeki</i>                                  | 2^  |
| <i>„Zwischenruffy” i obstrukcje</i>            | 28  |
| <i>Osobiści nieprzyjaciele Pana Boga</i>       | 31  |
| <i>Aleksander, Artur, straż marszałkowska</i>  | 32  |
| <i>Sejm śpiewa</i>                             | 34  |
| <i>Czerwony szlachcic i poseł Krempa</i>       | 36  |
| <i>Kauzjik w Sejmie</i>                        | 37  |
| <i>Tajny radca mężów stanu</i>                 | 39  |
| <i>Klub BB</i>                                 | 41  |
| <i>Bohater złotego środka</i>                  | 43  |
| <i>Ugrzeczniomy socjalista z PPS</i>           | 46  |
| <i>Marszałek marszałka</i>                     | 48  |
| <i>Gladiator parlamentu — Herman Lieberman</i> | 52  |
| <i>Profesor Stroński</i>                       | 54  |
| <i>Ostatni mobikanin</i>                       | 51  |
| <i>Poseł Słoma — rolnik i literat</i>          | 62  |
| <i>Dola i niedola Wojciecha Stpiczynskiego</i> | 64  |
| <i>Martwy bufet</i>                            | 67  |
| <i>Marian Dąbrowski — Northcliffe polski</i>   | 69  |
| <i>Obywatel Thugutt</i>                        | 71  |
| <i>Klub ukraiński</i>                          | 74  |
| <i>Poseł Sanojca</i>                           | 76  |
| <i>Poseł Mackiewicz — herold królewski</i>     | 78  |
| <b>392</b>                                     |     |
| <b>393</b>                                     |     |
| 152                                            |     |
| 155                                            |     |
| 157                                            |     |
| 160                                            |     |
| 163                                            |     |
| 166                                            |     |
| 169                                            |     |
| 171                                            |     |
| 174                                            |     |
| 176                                            |     |
| 178                                            |     |
| .....                                          | 185 |
| <i>•owej konstytucji ..</i>                    | 187 |
| .....                                          | 190 |
| .....                                          | 192 |
| .....                                          | 195 |
| .....                                          | 198 |
| .....                                          | 201 |
| .....                                          | 204 |
| .....                                          | 207 |
| .....                                          | 209 |
| .....                                          | 212 |
| <i>sanacyjnych</i>                             | 215 |
| <i>ich</i>                                     | 218 |
| .....                                          | 221 |
| 227                                            |     |

231  
234  
237  
239  
241  
243  
245  
249  
251  
395

### 1930

#### KONGRES CENTROLEWU

*Tradycja austriacka* ..... 81  
*Pojednanie wrogów* ..... 85  
*Na kleparzu* ..... 87  
*Dwie dusze Kuby Bójki* ..... 89

### 1931

*Lecą liście z drzew (Z powodu śmierci posła Marka)* . 95 *Mąż stanu na urlopie*  
..... 97  
*Smętne odejście — (Z powodu dymisji min. Matuszewskie-  
go)* ..... 99  
*Zwiastun pokoju — poseł Jan Dąbski* ..... 102

### 1932

*Senat spoczywa w spokoju* ..... 107  
*Oj dana dana stronnictwa ludowego* ..... 110

#### ZAMORDOWALI GO

*Blok mniejszości narodowych* ..... 113  
*Gwardia republikańska na ulicach Warszawy* ..... 117  
*Mordowanie po śmierci* ..... 120  
*Pech Romana Dmowskiego* ..... 123  
*Kongres pięknych słów* ..... 126

### 1933

*Noc św. Bartłomieja w tanim wydaniu* ..... 131  
*Smutna uroczystość w Sejmie* ..... 134  
*Dymisja „partyjnika” Karola Irzykowskiego* ..... 136  
*Najlepszy dowcip Karola Radka* ..... 139  
*Byle polski sejm zaciszny, byle polski sejm spokojny* .... 142  
*Na zjeździe legionistów* ..... 144  
*Ugłaskanie sekutnicy. Sąd nad kartelem cementowym* .... 146  
*Pan sejmu na tulaczce* ..... 149

394

*Z żałobnej karty rządu* .....  
*Polityka na kongresie historyków ... Konstytucja złotego wieku rycerstwa . Nocny duch ustawy  
samorządowej . Pałac na Bielańskiej* .....

*Chorąży i świadek lat tłustych* ....

*„Pion” rządu* .....

*Pierwsze akordy Akademii Literatury Stronnictwo umiera* .....

*Po przegranej walce* .....

*Polskie na Moskwie gody* .....

### 1934

*Rok pozornej stabilizacji* .....

*Nagle i niespodziewane uchwalenie n Sejm w odblasku pożogi wiedeńskiej Tajemnica Belwederu*  
.....

*„Droga” Adama Skwarczyńskiego .. Żołnierz rewolucji i dyplomata ... Polityka a sport* .....

*Odrodzenie sanacji* .....

Losy księgi zażaleń .....  
Zaproszenie do sejmu .....  
Dla kogo? .....  
Nieprzyjacielska dyskusja dwóch pism Sztuczny tłok czyli ustawa o bibliotekę, Bitwa o Żyrardów  
.....

### 1935

Nowe boje ..... t .....  
Umorzenie zaległości programowych Sanacyjna oda do młodości .....  
Nazajutrz .....  
Dary Danaid .....  
Troski dnia powszedniego .....  
Smutne opowiadanie .....  
Dymisja weterana partii .....  
Pedicure .....  
Zgon sejmu .....

### 1936

Polska mocarstwowa ..... 281  
Kompleks nieślubnego dziecka ..... 283  
Podczas pauzy ..... 285  
Pospolite ruszenie obozu rządowego ..... 286  
Mowa o zmroku ..... 289  
Pod nowy rytm ..... 291  
Święto chłopskie — Wesola parada w Jarosławiu ..... 294  
Święto chłopskie — Osamotnieni w Lublinie ..... 298  
Tajemnica uśmiechu w Nowosielcach ..... 301  
Pan słowa ..... 304  
Dzieje nowej legendy ..... 309  
Rendez-vous złych duchów ..... 312  
Expose ministra Becka ..... 315  
„Taki wieszcz jaki słuchacz” ..... 317

### 1937

Błogosławieni cisi ..... 323  
Burza mgłami niebo kryje ..... 325  
Duch czasu ..... 327  
W spokoju ..... 329  
Cztery rocznice ..... 331  
„Poemat o tumultcie” ..... 333  
Nowa pieśń filarecka ..... 336  
Banki mydlane — Inny Beck ..... 338  
Niebo w rękach wroga ..... 339  
Dalszy marsz na prawo ..... 342  
Bilans ujemny ..... 343

396

### 1939

Po zgonie pułkownika Sławka Z Londynu .....•••••  
Szermierz realista .....•••••  
Expose dygnitarza w niełasce .. Waga wypadków .....-•••••  
Nowe zapasy ideologiczne ... Rozpamiętywania .....•  
375  
378  
380  
382  
385  
387  
390

397

*Hymn Pierwszej Brygady . Od Witosa do Stawka Rezolucja na Żoliborzu ... Wódka bez alkoholu*

*Przyjaciele .....*

*Czwarte czytanie .....*

*„Kres wędrówki” .....*

*Wśród bólów porodowych*

*Ksenofont polski .....*

*Od basu do dyszkantu ..*

255

258

261

263

265

267

269

272

275

*Ogniwa .-.....*

*Wczoraj i dziś .-•• tfowa pielgrzymka Sprawy ważne •••*

**1938**

*Publicysta-rycerz •••• Ekonomista-romanyk . -*

*W rozśpiewanej sali •••*

*Ciężki trud ••••",',"*

*I\$ o żelaznym wilku Zwycięstwo władzy •••*

346

348

350

352

357

359

362

366

368

370